

DANIELLE STEEL

ZATRZYMANE CHWILE

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Niezmordowanie pociąg sunął w głąb włoskich ciemności, koła rytmicznie turkotały na szynach. W pociągu wszędzie tłoczyli się nędznie przyodziani handlarze, grube chłopki z chudymi dziećmi, nędznie przyodzione handlarki i hordy amerykańskich żołnierzy. Pachniało stęchlizną, smutkiem, jak w domu nie sprzątanym, nie wietrzonym od lat, a ponadto zmęczeniem ciał od dawna nie mytych, nie zadbanych, nie kochanych. A przecież nikomu na myśl nie przyszło, że można by otworzyć okno. Nikt by się nie odważył. Stare kobiety wrzeszczałyby jak napadnięte, gdyby nagle owionęło je ciepłe nocne powietrze. Poczwałyby się wprost znieważone. Wszystko je denerwowało. I przecież nie bez powodu. Były wyczerpane. Były chore. Były tak długo nękanie głodem, zimnem, gorącem i strachem. Miały za sobą piekło czteroletniej wojny. Ale wojna się skończyła. Trzy miesiące po wojnie minęły teraz, w sierpniu 1945 roku. Pociąg sunął niezmiernie już dwie, zdawałoby się nie mające kresu, doby.

Serena wsiadła do tego pociągu w Paryżu i nie odzywając się do nikogo ani słowem przejechała przez Francję, Szwajcarię i część Włoch. Dojeżdżam... dojeżdżam... dojeżdżam... turkotały koła na szynach, gdy na pół leżała skulona w kącie przedziału, z oczami zamkniętymi, z twarzą przyciśniętą do szyby. Zmęczona. Boże, okropnie zmęczona. I obolała. Nawet ręce ją bolały od obejmowania się, jak gdyby dla rozgrzewki, chociaż upał w pociągu panował nieznośny. Długie jasne włosy zmierzwiły jej się na spoconym karku. Pociąg zaczął zwalniać i po paru minutach zatrzymał się, a ona siedziała nadal nieruchomo. Może wysiąść, bodaj tylko na chwilę, przejść się, żeby rozruszać zdrętwiałe nogi? Była w podróży od dziewięciu dni, od wieków całych i jeszcze nie dotarła do domu.

Wciąż o domu myślała, wspomnienia opadały ją raz po raz. Z trudem powstrzymywała okrzyk radości, gdy jadąc przez Alpy pojęła, że jest z powrotem we Włoszech. Ale to dopiero początek. Wolno otworzyła oczy w łunie świateł dworca i znów się upomniała: to dopiero początek, bo właściwie ta podróż jeszcze się nie rozpoczęła. Rozpocznie się o którejś godzinie jutro, kiedy już dojadę, i zobaczę, i dowiem się... wreszcie.

Wyprostowała się sennie, wyciągnęła swe smukłe nogi pod siedzenie naprzeciwko. Siedziały tam i spały dwie staruszki, jedna szczuplutka, druga opasła i między nimi wciśnięte wychudzone dziecko, jak żaloszny płat różowego mięsa pomiędzy czerstwą bułką paryską i krągłym bochenkiem czerstwego chleba. Popatrzyła na tę trójkę obojętnie. Nic nie dałoby się wyczytać w jej szmaragdowozielonych oczach, niewiarygodnie pięknych, ale zimnych, z ledwie tylko tłącą się w nich znikomą odrobiną ciepła. Miały jednak w sobie coś intrygującego - drzwi do duszy szczelnie

zamknięte, tak że nie można było zobaczyć nic poza doskonałością rysów arystokratycznej twarzy, cerą jak podświetlony biały marmur. Jej młodość i uroda nie wabiły, nie przyzywały, dziwnie lodowate. Całą czułość i wrażliwość tej dziewczyny maskował wypracowany dystans.

- Scuzi - szepnęła Serena przechodząc na palcach obok śpiących staruszek i dalej po nogach chrapiącego staruszka. Uważała, że to podle z jej strony, ale chwilami miała naprawdę dosyć starych ludzi. Odkąd przyjechała do Europy, co krok widziała starych i starych - czy tylko tacy zostali? Starzy i garstka dzieci, które brykały idiotycznie, popisywały się przed amerykańskimi żołnierzami. Jedynie ci żołnierze byli młodzi. Amerykanie w jasnobrunatnych mundurach, parada promiennych uśmiechów, zdrowych zębów, błysków oczu. Mrowie ich, widok wystarczający chyba do końca życia. I nieistotne, po czyjej są stronie - rozmyślała. Należą do wojny. Jaką więc różnicę sprawia kolor mundurów? Czarne czy brązowe, czy zielone, czy... fioletowe, jeśli już o to chodzi, czy szkarłatne... czy turkusowe. Popuściła wodze fantazji w ciepłym nocnym powietrzu na peronie. Popatrzyła, jak strumienie amerykańskich mundurów kaskadami wylewają się z pociągu, i odwróciła się do nich tyłem. Ale i tak słyszała głosy tych żołnierzy: rozmowy, śmiechy w ciszy późnej nocy przerywanej zgrzytaniem i szczękaniem metalu wagonów.

- Papierosa? - Zobaczyła czyjąś rękę przysłaniającą jej pole widzenia, chociaż tak wymownie odwróciła się plecami.

Zaskoczona potrząsnęła głową, zgarbiła się, jak gdyby wciąż jeszcze musiała się chronić, nie inaczej niż przed laty.

Wyczuwało się w Serenie jakąś ranę, pomimo jej młodości i wspaniale rozkwitłej urody, coś rozbitego, uszkodzonego, może raz na zawsze. Odnosiło się wrażenie, że dźwiga jakiś straszny ciężar, udręczona prawie nie do wytrzymania.

A przecież nic w jej powierzchowności nie świadczyło o tym. Oczy miała czyste, twarz idealnie gładką. Nawet w swej pomiętej, brzydkiej sukience prezentowała się imponująco. Tylko przyglądając się bardziej wnikliwie musiało się zauważyć tę udrękę. Tak właśnie przyjrzał jej się jeden z Amerykanów i teraz, gdy zaciągnął się ostatni raz dymem papierosa i upuścił niedopałek na peron, mimo woli znów skierował na nią wzrok. Boże, jaka ładna! Jasnoblond włosy wymykają się spod ciemnozielonego bawełnianego szalika, zawiązanego na głowie po chłopsku, ale nie przekonująco. Ta dziewczyna nie może uchodzić za chłopkę, w cokolwiek byłaby ubrana. Zdradzają postawa, zdradzają ruchy, wdzięk młodej gazeli. Jest w niej coś prawie zbyt pięknego. Prawie boli jej widok, gdy się patrzy na nią za długo bez przerwy. I ten sprany ciuch na niej... wprost żenujący. Aż by się chciało klepnąć ją w ramię i zapytać: dlaczego tak się przebrałaś, co robisz tutaj, w ścisku, wśród mętów z zatłoczonego pociągu? I następnie: skąd przybyłaś? Dokąd jedziesz? Dlaczego wyraz oczu masz taki daleki?

Stojąc na peronie w tę ciepłą noc Serena nie sugerowała żadnej odpowiedzi. Po prostu stała tam, strzelista, bardzo wysoka i smukła, młoda w pogniecionej bawełnianej sukience. Spojrzała na głębokie załamania taniej tkaniny i obciągnęła sukienkę długą, delikatną ręką. Od razu nasunęło się wspomnienie. Mama... Mama... wypielęgnowana dłoń wygładzająca dół sukni... białej, jedwabnej... na przyjęciu w ogrodzie palazzo... Przez chwilę z zaciśniętymi powiekami odpychała myśl. Musiała robić to często. Ale wspomnienia nadal się nasuwały.

Otworzyła oczy i zobaczyła, że jeden z żołnierzy uporczywie patrzy na nią, więc pobiegła z powrotem do pociągu. Zdawałoby się, że przed czymś ucieka - aż zastanowił się przed czym, gdy po stopniach weszła do wagonu z rozmachem pełnym wdzięku, jak gdyby dosiadała wspaniałego wierzchowca, żeby pogalopować w noc. Dopóki nie zniknęła mu z oczu, patrzył na jej wysoką, smukłą, pięknie wyprostowaną postać. Cóż za nadzwyczajny wdzięk wytworności. Wielka dama -myślał żołnierz. I nie mylił się.

- Scuzi - znów szepnęła wracając na swoje miejsce w przedziale. Usiadła, westchnęła cicho, znów oparła głowę, ale pomimo zmęczenia tym razem nie próbowała zasnąć. Jakże spać teraz? Już za kilka godzin dojedzie... za kilka godzin... za kilka godzin. Pociąg ruszył, podchwycił ten refren, gdy wpatrywała się w ciemność za oknem. Czują sercem, duszą, nawet kośćmi, że cokolwiek się stało, przecież wróciła i przynajmniej będzie w domu. Samo to, że słyszy wokoło włoski język, sprawiało ulgę.

Za oknem przelatywały po ciemku spokojne okolice swojskie, przynależne do niej nawet teraz, po bez mała czterech latach życia wśród zakonnice, w klasztorze na północy stanu Nowy Jork. Aby się znaleźć w Ameryce, odbyła przed czterema laty podróż, zdawało jej się nie mającą końca, tak samo jak ta powrotna. Najpierw z babcią i Flaviem, jednym z nielicznych służących, którzy zostali, przedostała się przez granicę do Ticino. Tam, we włoskiej części Szwajcarii, czekały na nich cztery kobiety: dwie uzbrojone przewodniczki i dwie zakonnice. I właśnie tam musiała pożegnać się z babcią, płacząc niepoohamowanie, tuląc się do babci ostatni raz, mocno, z całej siły, i błagając, żeby jej pozwoliła zostać. Tyle już utraciła dwa lata wcześniej w Rzymie... Nie mogła znieść myśli o tym, gdy w chłodnym powietrzu włoskich Alp stała w serdecznych objęciach babci... po raz ostatni. „Pojedziesz z nami, Sereno, i będziesz bezpieczna”. Wszystko zgodnie z planem starannie ułożonym już prawie miesiąc wcześniej. Ameryka. Tak strasznie daleko. „To się skończy i wrócisz do domu”.

To się skończy... ale kiedy? Tam w Alpach Serenie wydawało się, że to trwa całe życie, wieczność. Miała wtedy czternaście lat, a za sobą już dwa długie lata tej wojny, i żaloby, i lęku. Nie tyle nawet lęku własnego, ile wszystkich wokoło. Dorośli lękali się nieustannie, żyjąc pod terrorem Mussoliniego. Dzieci z początku próbowały udawać, że ich to nie obchodzi. Ale to

musiało obchodzić każdego. Wcześniej czy później wydarzenia każdego dopadały. Wcześniej czy później to chwytalo za gardło i dusiło, jak gdyby miało zadusić na śmierć.

Serena wciąż pamiętała takie uczucie. Widziała, jak jej ojca wywlekają z domu ludzie Mussoliniego... widziała, jak ojciec powstrzymuje krzyk, usiłuje być dzielny, usiłuje bezradnie, wzrokiem chronić swoją żonę. Potem słyszała okropne odgłosy znęcania się nad nim na dziedzińcu palazzo i straszliwe krzyki, których w końcu nie zdołał powstrzymać. Wówczas jednak go nie zabili. Poczekali do następnego dnia i zastrzelili go razem z sześcioma innymi na dziedzińcu Palazzo Venetia, gdzie Mussolini miał Kwaterę Główną. Matka Sereny była przy tym. Prosiła, błagała, krzyczała i płakała, a ci żołnierze się śmiali. Principessa di San Tibaldo czołgała się błagając, a ci mężczyźni w mundurach urągliwie się z nią drażnili. Jeden złapał ją za włosy, pocałował brutalnie, splunął i cisnął ją na bruk. W parę minut później było już po wszystkim. Ojciec Sereny stał zwiotczały przy słupie, do którego go przywiązano. Jej matka rozszlochana podbiegła do niego i trzymała przez chwilę, zanim prawie jak dla zabawy ją też zastrzelili. Dlaczego? Dlatego że oboje byli arystokratami. Dlatego że ojciec Sereny nienawidził Mussoliniego. Włochy chorowały, zatrute szczególną trucizną, ekstraktem nienawiści, paranoi, chciwości i lęku. W tej zgrozie brat obracał się przeciw bratu, nieraz mąż przeciw żonie. Stryj Sereny obrócił się przeciw jej ojcu i to z dziwną pasją, której Serena nie mogła zrozumieć. Ojciec uważał Mussoliniego za barbarzyńcę, bufona i głupca, stryj nie dopuszczał do żadnej różnicy zdań. Na początku wojny Sergio di San Tibaldo stał się pieskiem pokojowym Mussoliniego. Za jego sprawą Umberta aresztowano, bo brat twierdził, że Umberto jest niebezpieczny, niespełna rozumu i ma powiązania z aliantami, co absolutnie nie było zgodne z prawdą. Rzeczywiście Sergio mógł zyskać sporo, gdyby pozbył się starszego brata, więc się go pozbył. Jako młodszy syn odziedziczył po ojcu tylko farmę w Umbrii, której od dzieciństwa nie cierpiał. I to bez prawa sprzedaży. Miał korzystać z niej do końca życia i zostawić ją swoim dzieciom, czy też w braku takowych dzieciom Umberta. A tymczasem, jak gdyby ku jego upokorzeniu, Umberto posiadał wszystko: prezenję, wdzięk, tytuł, pieniądze, pałac będący siedzibą rodu od siedmiu pokoleń, dzieła sztuki, wysoką pozycję i Graziellę - oczywiście to była ta ostatnia iskierka, by rozgorzała jego nienawiść do starszego brata.

Sergio nienawidził ojca Sereny szczególnie jako męża Grazielli, bajecznej królowej elfów o niewiarygodnie zielonych oczach i włosach niczym złocista przędza. Graziella była szczytem wykwintu, kochał ją we wczesnej młodości, małą jeszcze dziewczynkę, gdy wszyscy razem spędzali lato w Umbrii czy w San Remo, czy w Rapallo. I potem kochał ją zawsze. Ale ona zawsze kochała Umberta. Wszyscy kochali Umberta. Wszyscy... a najbardziej Graziella.

W czasie pogrzebu w Santa Maria Maggiore szlochając Sergio zadawał sobie pytanie,

dlatego tak właśnie się stało. Dlaczego Graziella była żoną Umberta? Dlaczego podbiegła do Umberta po egzekucji? Nikt z obecnych na pogrzebie nie wiedział, jaką rolę odegrał Sergio w doprowadzeniu do śmierci brata i bratowej. Ich przyjacielom Sergio wydawał się nieporadnym słabeuszem. Nikt nie znał prawdy z wyjątkiem babki Sereny. Stara principessa nagabywała i węszyła, wypytywała i wywierała nacisk wszędzie, gdzie należało, aż dowiedziała się wszystkiego. Miała dość odwagi, by rzucić to synowi w twarz, pałając wściekłym gniewem pełnym zgrozy i rozpacz, tak dojmującym, że po tej rozmowie Sergio w pełni pojął, jak koszmarnie skrzywdził swoich najbliższych. I po co? Żeby zdobyć palazzo z marmuru? Kobieta, która poniosła śmierć u stóp swego zastrzelonego męża i przecież nigdy nikogo innego nie kochała?

- Czym się kierowałaś?! - krzyczała matka. - Miłością do Mussoliniego? Do tego wieprza, Sergio? Zabiłeś mojego pierworodnego jemu w ofierze?

Trząśnięty po tym wybuchu jej wściekłości i wiedział, że już zawsze trudno mu będzie żyć z tą prawdą. Matce się nie przyznał, zaprzeczył wszystkiemu, przysiągł, że nie brał w tym żadnego udziału. Matka jednak wiedziała i wiedziała Serena. Czuł w czasie pogrzebu, jak drążą go błyszczące zielone oczy bratanicy i z ulgą w końcu przed nimi uciekł. Principessa di San Tibaldo, nie mając sił do walki z naporem Mussoliniego i nie chcąc ujawnić światu bratobójstwa swojego syna, zabrała wnuczkę i najstarszych służących, i wyniosła się z Rzymu.

- Teraz palazzo należy do ciebie - powiedziała Sergiowi w rześkim oświetlonym, czarno-białym marmurowym hallu przed wyjściem. Nie chciała go widzieć już nigdy, jego i tego domu. Sergio to już nie jej syn, to ktoś obcy. Jeszcze mu się przypatrzyła przez łzy mądrymi, starymi oczami. Wolno potrząsnęła głową i wyszła cicho z pałacu.

Tak więc Serena z babcią nie widziała odtąd stryja, i palazzo, i Rzymu. Miała dwanaście lat, gdy po raz ostatni wyszła ozdobną bramą spiżową na Via Giulia, a przecież w dwa lata później stojąc w rześkim chłodzie Alp czuła się tak, jakby wyjechała z Rzymu zaledwie przed kilku godzinami. Tamte dwa lata były dla niej trudne, lata zwalczania wspomnień - odgłosów męki ojca w rękach żołdaków na dziedzińcu, widoku matki wybiegającej z domu nazajutrz rano, matki z oczami wielkimi, pełnymi łęku, nie uczesanej, w czerwonym płaszczu kurczowo zaciskanym przy szyi, i potem widoku zwłok rodziców, które żołnierze przynieśli i zostawili przed bramą porzucone na białych marmurowych stopniach, z których krew ściekała w trawę. Krzyczała wtedy bez końca i nawet gdy żegnała się z babcią, miała je znów przed oczami. Jeszcze nie zatarły się te wspomnienia i oto babcię również traciła, wyprawiona w daleką podróż, żeby przeżyć czas wojny bezpiecznie. Tylko że gdzie może być bezpiecznie? Nigdzie. Czternastoletnia Serena już to wiedziała. Straciła wszystkich poza babcią, która teraz wysyłała ją samą do Ameryki.

- Będę pisać do ciebie, Sereno. Przrzekam. Codziennie, i kiedy Włochy staną się znów

miłym krajem, wrócisz, zamieszkas u mnie, przyrzekam ci to, kochanie. Przyrzekam... - Pomimo swego hartu ducha principessa zająknęła się, przytulając wnuczkę, tę jedyną bliską istotę, ostatnie ogniwo łączące ją z pierworodnym.

Po wyjeździe Sereny czekała principessę samotność. Ale nie było wyboru. We Włoszech zrobiło się zbyt niebezpiecznie dla dziewczynki. Trzy razy w ciągu ubiegłych dwóch miesięcy żołnierze na Piazza San Marco zaczepili Serenę. Nawet brzydki, skromnie ubrana ta czternastolatka przyciągała wzrok, zbyt piękna, zbyt wysoka, zbyt kobieca, chociaż jeszcze niedojrzała. Ostatni podrywacz szedł za nią od szkoły do domu, chwycił ją grubiańsko za rękę, pocałował i przycisnął do ściany. Jedna ze służących to zobaczyła. Serena milczała zdyszana, wielkooka ze strachu, że ten napastnik ją zabierze gdzieś daleko od babci. Na szczęście nic się nie stało, ale bała się wciąż twarzy, oczu żołnierzy, ich śmiechu. A principessa zdawała sobie sprawę, że z każdym dniem niebezpieczeństwo wzrasta i że lepiej w ogóle nie wypuszczać wnuczki z domu. Nie sposób uchronić Sereny przed szalejącym oblędem wojny. Lada dzień może nastąpić koszmar. Alicja di San Tibaldo wiedziała, że musi uratować to dziecko. Przez kilka tygodni szukała rozwiązania na próżno, więc gdy biskup spokojnie je podsunął, nie miała wyboru. Po cichu, po kolacji w tamten pamiętny wieczór powiedziała wnuczce, jaki jest plan. Serena rozplakała się i zaczęła błagać, żeby jej nie wysyłać tak daleko. Mogłaby przecież wyjechać na farmę w Umbrii, tam się ukrywać, obciąć włosy, ubierać się nędznie, pracować w polu... wszystko, tylko proszę, Norma, błagam... Ale rozdzierające szloch nie odniosły skutku. Pozostanie we Włoszech byłoby jej zgubą, ciągłym tańcem na linie, codziennym narażaniem jej na zgwałcenie, okaleczenie, śmierć. Nie pozostawało nic innego, poza rozłąką do końca wojny. Żegnając się po szwajcarskiej stronie granicy, obie wiedziały, że może to być rozłąka bardzo długa.

- Sereno, wkrótce wrócisz i ja tu będę, kochanie. Cokolwiek by się działo. - Oby to się sprawdziło, modliła się Alicja di San Tibaldo w duchu, gdy łzy strumieniem płynęły dziewczynce z oczu i smukłe ramiona trzęsły się w babcinych objęciach.

- Me h prometti? Przyrzekasz mi, babciu? - wykrztusiła Serena.

Stara principessa przytaknęła niemo, pocałowała wnuczkę ostatni raz, po czym skinieniem przywołała przewodniczki i zakonnice. Odeszła pełna gracji, a zakonnice poprowadziły Serenę, serdecznie ją obejmując. Miała przejść tej nocy kilka mil do ich klasztoru i nazajutrz z nimi i grupą innych dzieci pojechać autobusem do ich siostrzanego domu odległego o sto mil. Stamtąd miała być przekazana do innej grupy i ostatecznie wywieziona ze Szwajcarii. Podróż długa i żmudna, połączona z niebezpieczeństwem bombardowań w Londynie i na oceanie. Alicja jednak uznała, że ta trasa jest dla jej wnuczki największą szansą bezpieczeństwa i przetrwania. Pozostawanie Sereny we Włoszech oznaczałoby z pewnością jakieś nieszczęście, a ona prędzej by umarła niż dopuściła,

żeby coś się stało Serenie. Tyle jest winna Umbertowi i Grazielli po tym, co uczynił Sergio. Teraz ma tylko Serenę... Patrzyła na coraz mniejszą plamę ciemnego brązu, szydełkową czapkę, spod której wymykały się jasne włosy. Serena i zakonnice dochodząc do pagórka odwróciły się, dziewczynka ostatni raz pomachała ręką, zanim zniknęły principessie z oczu.

Serenę przerażała ta długa podróż z postojem przez pięć dni i nocy w schronach przeciwlotniczych Londynu, skąd wreszcie grupa wyjechała na wieś i wypłynęła frachtowcem z Dover.

Rejs do Stanów był ponury, Serena nie odzywała się ani słowem. Nie mówiła po angielsku. Kilka z towarzyszących grupie zakonnice mówiło po francusku, ale chociaż francuski знаła, w ogóle z nikim nie chciała rozmawiać. Utraciła już wszystkich. Wszystkich i wszystko, rodziców, stryja, babcię, dom rodzinny, i w końcu ojczyznę. Godzinami stała na pokładzie, samotna postać, szarobura, z przetrzepywaną wiatrem płachtą długich jasnoblonde włosów. Zakonnice obserwowały ją nic nie mówiąc. Z początku obawiały się jej desperacji, ale z czasem poznały ją lepiej. Można dobrze poznać dziecko tylko je obserwując. Serena miała w sobie niezwykłą godność. Wyczuwało się w niej siłę i dumę tak samo jak smutek i żalobę. Wszystkie dzieci z tej grupy skierowanej do Stanów Zjednoczonych utraciły najbliższych, parę z nich pod bombami utraciło od razu oboje rodziców i rodzeństwo, kilkoro co najmniej ojca czy matkę, każde swoich ukochanych przyjaciół. Ale Serena utraciła coś więcej. Odkąd się dowiedziała, że to stryj wydał jej ojca na śmierć, nie wierzyła ludziom. Przez te dwa lata ufała wyłącznie babci. Nikomu innemu. Ani służbie, ani żołnierzom, ani rządowi. Nikomu. A teraz zabrakło tej jedynej osoby, na którą mogła liczyć. Oczy miała bezdennie, przejmująco smutne. Taki żal, taką rozpacz widuje się w oczach dziecka tylko podczas wojny.

Stopniowo wyraz smutku stał się mniej widoczny. W klasztorze na północy stanu Nowy Jork nieraz, chociaż nieczęsto, nawet śmiała się z koleżankami. Ale na ogół była poważna, skupiona, milcząca i w każdej wolnej chwili pisała do babci, zadając jej setki pytań, szczegółowo opisując każdy swój dzień.

Wiosną 1943 roku listy od principessy przestały przychodzić. Najpierw Serena przejawiała lekkie zaniepokojenie, potem wyraźnie coraz bardziej się denerwowała. W końcu zatrwożona co noc leżąc bezsennie zastanawiała się, z nienawiścią snuła domysły... To znowu Sergio... Przyjechał do Wenecji, żeby zabić babcię. Zabił - wyobrażała sobie, bo babcia wiedziała, co zrobił ze swoim bratem. Nie mógł ścierpieć nikogo, kto o tym wie, i kiedyś postara się zabić mnie także. Ale niech spróbuje - myślała, bezwiednie niegodziwie przymrużając swe zielone oczy. Niech spróbuje... ja zabiję go pierwsza. I będę patrzyła, jak będzie powoli umierał. Zabiję go...

- Sereno? - Którejś nocy przyćmione światło padło z korytarza, w drzwiach stanęła Matka

Prowincjalna. - Czy coś się stało? Dostałaś niedobłą wiadomość z domu?

- Nie. - Ściany szybko stanęły na baczność, gdy Serena usiadła na łóżku. Potrząsnęła głową, jej zielone oczy już nie wyrażały niczego.

- Czy na pewno?

- Tak, proszę Matki. Dziękuję, że Matka jest łaskawa zapytać. - Przed nikim się nie otwierała. Przed nikim z wyjątkiem babci w swoich codziennych długich listach, na które od dwóch miesięcy nie otrzymywała odpowiedzi. Wstała z łóżka i stanęła na zimnej podłodze, smukła w prostej bawełnianej nocnej koszuli, z włosami blond opadającymi na ramiona, obramowującymi twarz wyrzeźbioną, wyczelowaną, przedziwnie posągową jak na jej szesnaście lat.

- Mogę usiąść? - Matka Prowincjalna patrzyła na Serenę.

- Bardzo proszę.

Matka Constance usiadła na jedynym w tym pokoiku krześle. Serena pokręciła się przez chwilę, po czym usiadła na łóżku. Czowała skrępowanie, oczy miała znów smutne.

- Czy w niczym, dziecko, nie mogę ci pomóc? - Inne dzieci zadomowiły się w klasztorze. Dzieci z Anglii, Włoch, Holandii, Francji. Od czterech lat przysyłano tu europejskie dzieci, żeby po wojnie zabrać je z powrotem do Europy, jeżeli ich rodziny przeżyją. Serena była starsza od najstarszej dziewczynki, dwunastoletniej wtedy, gdy przyjechała. Poza nimi dwiema były to sześć-, siedmio- i dziewięciolatki. Wszystkie oprócz Sereny szybko znalazły spokój, jak gdyby przybyły z niedalekiego Poughkeepsie i nie wiedziały, co to rzeczywisty lęk. Wprawdzie lęk się czał i nieraz miewały nocą koszarne sny, ale na ogół stanowiły dziwnie beztroską gromadę. Nikt by nie uwierzył w tragedie poprzedzające ich przyjazd do Ameryki. W większości przypadków znikwały wszelkie widoczne ślady stresów wojny. Z Sereną od początku rzecz się miała inaczej. Tylko Matka Constance i jeszcze dwie zakonnice znały w pełni jej dzieje opisane w liście Principessy di San Tibaldo, który przyszedł wkrótce po jej przyjeździe. Od samej Sereny jednak nic z tego nie usłyszały. W ciągu tych lat nigdy im się nie zwierzała. Dotychczas.

- Co cię trapi, moje dziecko? Źle się czujesz?

- Czuję się doskonale... - Sekunda wahania, jak gdyby przez sekundę się zastanawiała, czyby nie otworzyć jakichś uświęconych drzwi. Zdarzyło się to po raz pierwszy i matka Constance wiedziała, że musi to wykorzystać, choćby zwierzenie się było dla Sereny bolesne. Niewątpliwie ta dziewczyna jest jeszcze bardziej przygnębiona niż kiedykolwiek przedtem.

- Ja tylko...

Matka Constance milczała łagodnie patrząc Serenie w oczy, które nagle napęłniły się łzami.

- Nie dostaję listów od babci. - Łzy wolno spływały po policzkach. - Już prawie dwa miesiące.

- Rozumiem - przytaknęła Matka Constance. - Nie przypuszczasz, że babcia może gdzieś wyjechała?

Serena potrząsnęła głową i otarła łzy.

- Dokąd?

- Może do Rzymu? W jakichś sprawach rodzinnych? Oczy Sereny natychmiast zhardziały.

- Babcia tam nie ma już żadnych spraw.

- Skoro nie - Matka Constance nie chciała naciskać dalej - to może po prostu są coraz większe trudności z przewożeniem poczty. Nawet z Londynu. - Przez cały czas pobytu Sereny w klasztorze listy od jej babki przychodziły zza oceanu zawilumionymi podziemnymi kanałami. Przesłanie ich z Włoch do Stanów było nie lada wyczynem, ale zawsze przychodziły.

Serena wpatrywała się w nią badawczo.

- Chyba to nie to.

- Czy tam jest jeszcze ktoś, do kogo byś chciała napisać?

- Tylko jedna osoba. - U babci w końcu została jedna, jedyna służąca. Wszyscy inni musieli odejść. Mussolini nie życzył sobie, żeby ktokolwiek ze starej gwardii trzymał tyle służby, ile przedtem trzymała principessa. Dostała pozwolenie na zatrudnianie jednej służącej do wszystkiego. Chociaż co wierniejsi jej domownicy chcieli pracować u niej bezpłatnie, nie uzyskało to aprobaty. Biskup, przyjaciel domu, zmarł poprzedniej zimy. Tylko do tej służącej Serena mogła napisać.

- Napiszę do Marcelli jutro. - Uśmiechnęła się po raz pierwszy, odkąd Matka Prowincjalna weszła do jej pokoju. - Że też nie pomyślałam o tym wcześniej.

- Jestem pewna, że twoja babcia dobrze się czuje, Sereno.

Dziewczyna przytaknęła powoli. Wiedząc, że babcia zaczyna osiemdziesiąty rok życia, ona nie była tego taka pewna. Ale babcia w listach nie napomykała o żadnych dolegliwościach, chorobie czy niedobrym samopoczuciu.

To, że korespondencja się urwała, nadal pozostawało nie wyjaśnione. List do Marcelli wrócił po czterech tygodniach nie otwarty z dopiskiem listonosza na kopercie, że Marcella Fabian pod podanym adresem nie mieszka. Czyżby wyjechała na farmę? Może sytuacja w Wenecji się pogorszyła? Ogarnięta coraz większą paniką, milcząca i spięta, Serena nie wiedziała, co myśleć. Napisała do babci na farmę w Umbrii, ale ten list też wrócił. Napisała do rządcy i list wrócił z dopiskiem „zmarły”. Z czasem panika, rozpacz i trwoga zmieniły się w tępy ból. Niewątpliwie stało się coś, nie sposób jednak zbadać co. Już nikt jej nie został. Nikt z rodziny, poza Sergiem oczywiście. Teraz nie miała do kogo się zwrócić. Mogła tylko czekać na możliwość powrotu do Włoch, żeby sama dowiedzieć się tam na miejscu.

Było jeszcze dosyć pieniędzy. Żegnając się z Sereną babcia wcisnęła jej do ręki gruby plik

banknotów. Nie wiadomo, jak zdobyła amerykańskie pieniądze, ale gdy Serena nazajutrz po cichu policzyła te banknoty w łazience, okazało się, że to tysiąc dolarów. Ponadto zakonnice otrzymały wymyślnymi kanałami międzynarodowymi dziesięć tysięcy dolarów na pokrycie kosztów jej pobytu w klasztorze. Serena wiedziała, że sporo jeszcze z tej sumy musiało zostać. Co noc leżąc w łóżku planowała podróż do Włoch za te pieniądze, natychmiast po wojnie. Najpierw Wenecja, gdzie wszystkiego się dowie, i jeżeli babci coś się stało z winy Sergia, pojedzie stamtąd prosto do Rzymu i zabije go!

Z tą myślą Serena żyła bez mała dwa lata. Wojna w Europie skończyła się w maju 1945 roku i Serena od razu chciała wyjechać. Wiele dzieci jeszcze czekało na wiadomości od rodziców, dla niej to była tylko sprawa dokumentów i biletu. Nawet nie potrzebowała pozwolenia zakonnice. Miała już osiemnaście lat. Dziewiętnasty rok życia zaczęła w dniu zwycięstwa nad Japonią - w pociągu do Nowego Jorku. Wydawało się, że całe wieki trwa uzyskanie miejsca na statku, ale w końcu dało się to załatwić.

Matka Constance odprowadziła Serenę na statek w nowojorskim porcie. Długo tuliła ją do siebie.

- Pamiętaj, moje dziecko, że cokolwiek się stało, ty nie możesz tego zmienić. Teraz nie możesz. I wtedy byś nie mogła. Byłaś tutaj, tak jak chciała twoja babcia. i to dobrze, że byłaś u nas.

Serena wysunęła się raptownie z objęć Matki Constance. Sędziwa zakonnica zobaczyła łzy w jej ogromnych zielonych oczach, które błyszczały chyba bardziej niż szmaragdy. Ze łzami spływającymi po policzkach dziewczyna pełna rozwagi, rozpacz i żalu przecież okazała serdeczność.

- Matka była dla mnie taka dobra przez te wszystkie lata. Dziękuję. - Uściskała Matkę Constance jeszcze raz. Zakonnica majestatycznie wyszła z kajuty. Na pożegnanie powiedziała:

- Jedź z Bogiem.

Potem jeszcze stanęła w tłumie odprowadzających i machała do Sereny ręką. Serena machała ręką do niej gorączkowo, już uśmiechnięta.

Było to zaledwie osiem dni temu. Wspominając Matkę Constance w turkotliwym pociągu Serena spojrzała w okno. Wstawał brzask. Ze zdumieniem patrzyła na różowoszare niebo, gdy pociąg pędził wśród pól leżących od lat odłogiem, poznaczonych lejami po bombach, i serce jej się wyrывało do tego kraju, do tego narodu, do tych, którzy cierpieli. Ona przebywała wówczas bezpieczna daleko w Stanach. Jest im wszystkim coś winna, cząstkę siebie, swojego serca, swojego życia. Jadła piezzonego indyka i lody nad rzeką Hudson, gdy oni, głodni, borykali się, walczyli i umierali. Teraz wróciła do tych, którzy nie umarli, wróciła o świcie nowej ery. Wzruszona patrzyła, jak słońce wysuwa się na niebo. W końcu nastaje dzień. I jestem w domu - pomyślała.

W pół godziny później pociąg wjechał na dworzec Santa Lucia. Powoli, nieomal z zapartym tchem Serena wysiadła w tłoku staruszek, dzieci, bezzębnych starców i żołnierzy, i stanęła przy ponurych tylnych drzwiach Wenecji. W dzieciństwie dwa razy na rok oglądała ten widok, gdy z rodzicami przyjeżdżała z Rzymu i wyjeżdżała do Rzymu z powrotem. Rodziców już nie było i nie było odwiedzin wielkanocnych. W jakiś nowy świat, w nowe życie wkraczała idąc wolno z dworca, patrząc na stare budowle w słonecznym blasku, na rozmigotaną wodę Wielkiego Kanału. Kilka gondoli podrygiwało przy postoju, flotylla najróżniejszych łodzi krążyła w pobliżu mola, przewoźnicy przekrzykiwali się w staraniach o pasażerów. Nagle Serena zobaczyła wokół siebie wenecki ruch i po raz pierwszy od wielu dni się uśmiechnęła. Takiego uśmiechu nie czuła w sercu przez tyle długich lat.

Nic się nie zmieniło, a zmieniło się wszystko. Wojna przemiotła się przez Włochy, był holocaust i jak niezliczeni inni, ona też utraciła najbliższych, a przecież to jest nadal ta odwieczna Wenecja w całym swoim złocistym splendorze. Serena uśmiechała się i już po chwili spiesząc wśród ludzi zaczęła cicho się śmiać. W jednym momencie osiągnęła pełnoletność i wróciła do domu.

- Signorina! - wołał gondolier zapatrzony w jej długie, piękne nogi. - Signorina!

- Si... gondola per piacere. - Tyle razy mówiła to przed laty. Rodzice zawsze jej pozwalali wybierać gondolę.

- Ecco. - Ukłonił się jej nisko, pomógł wsiąść, załadował poobijaną walizkę. Podała mu adres i rozparła się na siedzeniu, gdy wprawnie lawirował między łodziami na Canale Grandę.

ROZDZIAŁ DRUGI

Płynąc powoli gondolą Serena z czią i bojaźnią patrzyła na roztaczające się przed jej oczami wspomnienia, których do siebie nie dopuszczała przez cztery lata, a które nagle tutaj się odnalazły. Wydawało się, że lśniący pozłotą w słońcu Opiekuńczy Duch Komory Celnej widzi ją w gondoli przepływającej poniżej, utrzymującej ten swojski rytm prawie już zapomniany, chociaż kiedyś tak się nim lubowała. I dalej widoki Wenecji, niezmiennie w ciągu stuleci historii Włoch, czarowały ją zapierając dech swym pięknem. Ca'd'Oro i Ca'Pesaro, i maleńkie piazza, i mostki, i raptem Ponte di Rialto, pod którym gondola przesunęła się wolno, i na drugim końcu Wielkiego Kanału nie kończące się palazzi: Grimani, Papadopoli, Pisani, Mocenigo, Contarini, Grassi, Rezzonico, wszystkie najokazalsze pałace Wenecji. Nagle poniosło gondolę lekko pod Ponte dell'Accademia i minęła Pałacowe Ogrody Franchetti, i Palazzo Dario, i kościół Santa Maria della Salute stojący z prawej strony, i przepłynęła przed Pałacem Dożów, przed Campanile, i prawie zaraz znieruchomiała przed Piazza San Marco. Gondolier przestał wiosłować. Serena zapatrzyła się zadziwiona ponad wszelkie słowa. Gdybyż tylko dawni Wenecjanie po swych dalekich wyprawach do portów cudzoziemskich mogli wrócić tu teraz. Zobaczyliby ze zdumieniem i zachwytem wszystko to, co zostawili.

- Pięknie, no nie, signorina? - Gondolier spojrzał dumnie na San Marco, a potem znów na nią. Ale ona tylko przytaknęła.

Nadzwyczajny ten powrót po tylu latach. Nic w Wenecji się nie zmieniło. Świat wokoło się wywrócił, a Wenecji nawet wojna nie tknęła. Bomby spadały tak blisko, a Wenecję jakimś cudem omijały. Gondola popłynęła dalej powoli pod Ponte di Paglia i już szybko pod znakomity Ponte dei Sospiri, Most Westchnień, i w labirynt mniejszych kanałów mijając mniej ważne pałace, stare posągi wyrzeźbione na wspaniałych fasadach. Były balkony i małe placyki, i wszędzie ozdobny splendor, który przyciąga ludzi do Wenecji od tysiąca lat.

Jednak Serena już nie była urzeczona tą architekturą. W labiryncie mniejszych kanałów patrzyła na dobrze znane miejsca ze skupieniem, ze zmarszczonym czołem. Zbliżała się do celu. Odpowiedzi na dręczące ją przez dwa lata pytania miała w zasięgu ręki.

Gondolier powtórzył, żeby się upewnić, adres, który mu podała, i widząc wyraz jej twarzy nie powiedział nic więcej. Wiedział. Inni wrócili wcześniej niż ona. Żołnierze przeważnie. Niektórzy z niewoli. Szukali swych matek, kochanek, żon. Zastanowił się, kogo może szukać ta młoda piękność i skąd przybywa. Czegokolwiek szuka, oby to odnalazła. Podpływali. Serena już wypatrzyła ten dom. Okiennice odpadające od zawiasów, kilka okien zabitych deskami. Woda

wąskiego kanału omywała kamienne stopnie tuż poniżej żelaznej kraty pomostu. Serena wstała.

- Mam zadzwonić do drzwi? - zapytał gondolier. Była kołatka i był staromodny dzwonek, ale ona szybko potrząsnęła głową. Podtrzymał ją, gdy ostrożnie wysiadała z gondoli. Przez chwilę patrzyła na zaciemnione okna, aż za dobrze wiedząc, co oznaczają.

Po długim wahaniu raptownie pociągnęła za łańcuch dzwonka. Przymknęła oczy, czekała... ileż to razy tak dzwoniła i czekała... liczyła sekundy, dopóki nie ukazywała się któraś ze swojskich twarzy i na drugim planie babcia uśmiechnięta, gotowa ją uściskać i śmiejąc się wejść z nią po stopniach do głównego salonu... gobeliny, kosztowne brokaty... posągi... znakomite miniaturki złocistomiedzianych koni San Marco na szczycie schodów... Ale tym razem jest tylko cisza poza odgłosami z kanału. Wiedziała, że nikt nie otworzy.

- Non, c'e nessuno, signorina - zapytał gondolier. Pytanie retoryczne. Bo oczywiście tam nie ma nikogo, nie ma od lat. Jeszcze popatrzyła na kołatkę, jeszcze chciała kołatanem jednak kogoś wyrwać z dobrze znanych głębin domu, zmusić do otwarcia tych drzwi, zmusić do cofnięcia zegara.

- Ej!... Ej! - usłyszała za sobą uporczywe nawoływanie. Odwróciła się, przepływający łódką handlarz warzyw patrzył na nią podejrzliwie. - Nie widzi pani, że ich nie ma?

- Nie wie pan, gdzie są?! - zawołała do niego poprzez inne łodzie rozkoszując się tym, że znów mówi po włosku. Jak gdyby wcale z Włoch nie wyjechała. Jak gdyby czterech lat w Stanach Zjednoczonych po prostu nie było.

Handlarz wzruszył ramionami.

- A bo kto to wie? - i dodał filozoficznie: - Wojna... mnóstwo ludzi się wyniosło.

- Nie wie pan, co się stało z panią, która tu mieszkała? - zapytała już gorączkowo. Gondolier przyglądał się jej, gdy odpowiedzi udzielił listonosz na wolno pływającej barce.

- Signorina, ten dom został sprzedany. - Listonosz też się nią zainteresował.

- Komu? Kiedy? - zapytała wstrząśnięta. Dom sprzedany? Tego nigdy nie brała pod uwagę. Ale dlaczego babcia miałaby sprzedać dom? Zabrakło pieniędzy? Taka możliwość dotychczas nie przyszła jej do głowy.

- W zeszłym roku, jeszcze w czasie wojny. Kupili jacyś z Mediolanu. Żeby na starość przenieść się do Wenecji, podobno... Już po wojnie, kiedy sobie ten dom urządzają. - Listonosz wzruszył ramionami.

Urządzają? Serena obruszyła się w duchu. Co on sobie myśli? Co sobie myślą „jacyś” z Mediolanu? Te brązy. Te bezcenne antyki, marmurowe posadzki. Ten nieposzlakowany ogród na tyłach. Co tu jest do urządzania?

Listonosz zobaczył, jakie wrażenie wywołały jego słowa. Podpłynął do pomostu.

- To była pani znajoma... ta starsza pani? - I gdy mu przytaknęła oniemiała, powiedział: - Ecco. Capisco allora. - Ale tylko wydawało mu się, że zrozumiał. - Umarła, niestety. Dwa lata temu. Wiosną.

- Na co umarła? - Serena poczuła, że wiotczeje, jak gdyby ktoś wyciągnął z niej wszystkie kości. Zrobiło jej się słabo. Przewidywała, że to usłyszy, lękała się tego, a przecież wbiło się to w jej serce jak nóż. Spróbowała mieć nadzieję, że listonosz się myli, ale patrząc na jego dobrotliwą, niemłodą twarz, zaraz tę nadzieję straciła. Babcia umarła.

- Była już bardzo stara, signorina. Miała prawie pięćdziesiąt lat. Potrząsnęła głową prawie z roztargnieniem i powiedziała cicho:

- Nie, skończyła tamtej wiosny osiemdziesiąt.

- Aha! - Mówił łagodnie, nie bardzo wiedział, jak ją pocieszyć. - Jej syn przyjechał z Rzymu, ale tylko na dwa dni. Kazał wszystko wysłać do Rzymu, słyszałem później. Wszystkie jej rzeczy, wszystko. A dom wystawił od razu na sprzedaż. Jednak cały rok minął, zanim go kupili.

Więc znowu Sergio - pomyślała Serena. Kazał wszystko wysłać do Rzymu.

- A listy do niej? - zapytała teraz gniewnie, jak gdyby coś w niej powoli rozgorzało. - Co z tymi listami? Czy były przesyłane do niego?

Listonosz przytaknął.

- Powiedział, żeby tylko listy do służby odsyłać nadawcom.

Więc Sergio dostawał wszystkie moje listy? Dlaczego mnie nie zawiadomił? -myślała gorączkowo. Dlaczego nikt nie napisał mi o tym? Ponad dwa lata szalałam z niepokoju, zastanawiałam się, zadawałam pytania, na które nie otrzymywałam odpowiedzi. On mógł mnie zawiadomić, drań!

- Signorina? - Listonosz i gondolier czekali. - Va bene?

- Si... si... grozie... Ja po prostu... - Chciała jakoś się wytłumaczyć, ale łzy napłynęły jej do oczu. Odwróciła się. Listonosz i gondolier popatrzyli na siebie.

- Przykro mi, signorina.

Odwróciła, skinęła głową. Listonosz odpłynął. Gondolier czekał.

Po chwili, po ostatnim spojrzeniu na zardzewiałe zawiasy bramy, dotknęła łańcucha dzwonka jeszcze raz, jak gdyby nawiązywała łączność z jakąś częścią siebie, namacalną częścią przeszłości, jak gdyby czując pod palcami to, czego dotykała babcia, mogła znów do swojej babci przynależeć. Potem wolno podeszła do gondoli. Wydawało jej się, że coś w niej, co było bardzo istotne, zmartwiało. Więc Sergio ostatecznie dopiął swego - ma tytuł. Nienawidziła go. Niech się udusi swoim tytułem, niech zgnije, niech umrze o wiele jeszcze okropniejszą śmiercią niż ojciec, niech...

- Signorina? - Gondolier widział jej twarz wykrzywioną gniewem i udręką. Jaka męczarnia duszy może poznać twarz tak młodą bruzdami takiego zniekania? - Dokąd panią zawieźć teraz?

Wahała się przez chwilę. Z powrotem na dworzec? Nie. Jeszcze nie. Przedtem trzeba... Przypominając sobie ten mały piękny kościółek - może tam ktoś wie lepiej i więcej - odpowiedziała:

- Proszę do Campo Santa Maria Nuova.

- Maria dei Miracoli? - pytająco gondolier podał nazwę kościoła, do którego chciała pojechać.

Przytaknęła, pomógł jej wsiąść i odbił powoli od pomostu, gdy ona wpatrywała się w fasadę domu, pewna, że zawsze będzie ten widok pamiętać i że nigdy nie wróci, by go znów zobaczyć. Nigdy nie wróci do Wenecji. Nie ma po co. Już nie.

Kościół Santa Maria dei Miracoli był akurat taki, jak w jej wspomnieniach, prawie zasłonięty wysokim murem, na pozór skromny. To dopiero wewnątrz Maryja Cudów pokazywała cudowności. Inkrustacje marmurowe, misterne rzeźby zaskakiwały nowo przybyłych swoim pięknem, i zawsze nadal zachwycały wszystkich, którzy ten kościół znali od dziesiątek lat. Serena stojąc tam doznała uczucia, że babcia jest przy niej jak dawniej, gdy przychodziły na mszę co niedziela. Stała w ciszy przez kilka minut, po czym podeszła przed ołtarz i uklękła. Rozpaczliwie starała się nie myśleć... co teraz zrobić... dokąd pojechać.

Rozmyślenia o utracie nic nie dadzą, a przecież rzeczywistość wydawała się nie do zniesienia, dwie łzy stoczyły się po policzkach na delikatnie zarysowany podbródek. Po chwili jednak Serena ruszyła do kancelarii na tyłach kościoła. Siedział tam przy zwyczajnym biurku stary człowiek w sutannie i czytał wystrzępiony, oprawny w skórę modlitewnik.

- Proszę księdza? - Spojrzał znad modlitewnika prosto w jej oczy. Przypuszczała, że jest nowy w tej parafii. Nie przypominała go sobie. - Może ksiądz mógłby mi pomóc? Chodzi o pewne informacje o mojej babci.

Stary człowiek w sutannie westchnął i wstał opieszale. Tyle jest takich poszukiwań, odkąd wojna się skończyła. Ludzie umarli, wyprowadzili się, zaginęli. Raczej nieprawdopodobne, by znalazły się jakieś dane dla tej dziewczyny.

- Nie wiem. Sprawdzę w rejestrach. Imię i nazwisko?

- Principessa Alicja di San Tibaldo - odpowiedziała Serena cicho, nie chcąc nikomu imponować, niemniej ksiądz się ożywił, bardziej już zainteresowany i usłużny, aż wbrew sobie poczuła rozdrażnienie. Czy tytuł tak dużo znaczył. Jaką może sprawiać różnicę? Dlaczego? To wszystko jest takie nieważne teraz. Tytuły, nazwiska, pozycja, pieniądze. Wszystko nieważne poza tym, że babcia umarła.

Szepecząc coś pod nosem, ksiądz szurał otwieranymi szufladami pełnymi dokumentów, a potem zaczął, zdawało się nieskończenie, przeglądać wielką księgę. Wreszcie skinął głową i znów spojrzał na Serenę.

- Tak - podsunął księgę ku niej. - Tutaj. Tysiąc dziewięćset czterdziesty trzeci rok. Dziewiętnastego kwietnia. Przyczyna śmierci naturalna. Ksiądz z naszego kościoła udzielił Ostatnich Sakramentów. Zmarła została pochowana w ogrodzie przykościelnym. Chce pani zobaczyć gdzie?

Z powagą Serena przeszła za nim z kancelarii przez kościół do wąskich drzwi prowadzących w blask słońca. W małym ogrodzie, otoczonym niewysokimi drzewami, pełno było kwiatów i małych staroświeckich nagrobków. Ksiądz szedł szukając w nich potępienia. Przyjechała z Sergiem, który sprzeniewierzył się rodzicom panienci, którego nawet musiała znienawidzić jego matka. Ale dokąd mogła się udać? To było zrozumiałe. Oprócz starej pani nie miała na świecie nikogo. - Nie rozumiem, jak to się stało. Rozgniewali się na niego. Pił. Wciąż był pijany. - Wzrokiem mówiła Serenie, że wie dlaczego. Pił, bo ugiął się pod swoim brzemieniem, ten morderca swojego brata, swojej bratowej... - Zapożyczył się u złych ludzi. Przychodzili tu do palazzo późno w nocy. Wrzeszczeli na niego. On wrzeszczał na nich. I ludzie z Duce przychodzili. Rozgniewani... może z powodu tych wierzyieli. Nie wiem. Jednej nocy słyszałam, jak grozili, że go zabiją....

- I zabili? - Oczy Sereny rozżarzyły się brzydko. Może ostatecznie spotkała Sergia zasłużona kara.

- Nie. - Marcella potrząsnęła głową. W głosie jej nie było litości. - Sam się zabił, panienko. Zastrzelił się w ogrodzie, w dwa miesiące po śmierci principessy. Nie miał pieniędzy, nie miał nic. Tylko długi. Adwokaci mi mówili, że na spłacenie poszło wszystko ze sprzedaży obu domów i całego majątku.

Więc nic nie zostało. Nieważne. Przecież nie po to wróciła.

- A ten dom? - Serena z powagą spojrzała na Marcellę. - Czyj teraz jest?

- Nie wiem. Nigdy tych właścicieli nie widziałam. Teraz po wojnie wynajęli go Amerykanom. Przedtem stał pusty. Byłam tu sama. Co miesiąc adwokat przynosi mi pensję. Chcieli, żebym została i pilnowała porządku. Kiedyś Niemcy prawie już zajęli palazzo, ale jakoś do tego nie doszło. - Marcella wzruszyła ramionami, znów zakłopotana. Panienka straciła wszystko, a ona jeszcze tu mieszka. Dziwne jest życie.

- Ci Amerykanie mieszkają tu teraz?

- Jeszcze nie. Dotychczas tylko pracowali. Ale... w przyszłym tygodniu się wprowadzą. Najpierw mieli tu tylko biura, wczoraj mi powiedzieli, że wprowadzą się we wtorek. - Znowu

wzruszyła ramionami. Ta Marcella zupełnie taka, jaką Serena pamiętała z dzieciństwa. - Dla mnie to bez różnicy. Mają wszystko od swoich. I wczoraj mi powiedzieli, że przyjmą dwie dziewczyny, żeby mi pomagały. Więc dla mnie nic się nie zmieni, panienko. - Przyjrzała się Serenie uważnie. - E tu? Vai bene? Co się działo z tobą przez te lata? Byłaś, panienko, u zakonnicy?

Serena przytaknęła powoli.

- Tak, i czekałam, żeby móc wrócić.

- A teraz? Gdzie się zatrzymałaś? - Marcella spojrzała na walizkę, którą Serena postawiła na chodniku.

- Nieważne. - Serena wzruszyła ramionami. Czuła się dziwnie wolna, nie przynależna do żadnego miejsca, do żadnego czasu, do nikogo. W ciągu ubiegłych dwunastu godzin wszelkie więzi, jakie kiedykolwiek ją z czymś czy z kimś łączyły, zostały przecięte. Była teraz zdana na siebie i wiedziała, że przetrwa. - Zatrzymam się w którymś hotelu, tylko najpierw chciałam przyjść tutaj, żeby zobaczyć.

Marcella popatrzyła na nią i ze łzami, znów napływającymi do oczu, zwiesiła głowę.

- Principesso - powiedziała to słowo tak cicho, że Serena ledwie je dosłyszała. Lekki dreszcz przebiegł jej po krzyżu. Bo to słowo wyczarowało utracony obraz babci... Principessa... znów ogarnęło ją uczucie osamotnienia. Marcella podniosła głowę, otarła łzy fartuchem, w którym chodziła zawsze, nawet teraz, i nagle przywarła do jej ręki. - Przez te wszystkie lata jestem... u twojej babci najpierw, a potem tu, w tym domu. - Szerokim ruchem wskazała imponującą budowlę za plecami Sereny. - Jestem tu. W palazzo, a ty - z lekceważeniem wskazała tę żalostną niedużą walizkę - jak biedna sierotka w łachmanach szukasz noclegu w hotelu. Nie - powiedziała dobitnie i potrząsnęła przecząco całą swą korpulentną osobą. - Nie, principesso, nie pójdziesz do hotelu!

- Co proponujesz, Marcello? - Serena uśmiechnęła się łagodnie. To był głos i wyraz twarzy, które stara służąca знаła już przed dwunastu laty. - Mam się wprowadzić do tych Amerykanów?

- Pazza, va! - Marcella uśmiechnęła się od ucha do ucha. - Nie do Amerykanów. Do mnie. - Podniosła walizkę z chodnika, ujęła Serenę mocniej za rękę i pociągnęła ją w stronę palazzo. Ale Serena potrząsnęła głową.

- Nie mogę.

Stały przez chwilę bez ruchu. Marcella spojrzała dziewczynie w oczy. Wiedziała, o czym ona myśli. Sama musiała pokonać swoje koszmary, żeby wrócić do Rzymu po śmierci starej principessy. Z początku mogła wspominać tylko tamtych... Umberta i Graziellę... małą Serenę... i służących, z którymi w dawnych czasach pracowała, kamerdynera, którego kiedyś kochała tak rozpaczliwie... Sergia, gdy był młodszy, jeszcze nie zepsuty do szpiku kości... principessę piękną i szczęśliwą.

- Możesz mieszkać u mnie, panienko. Musisz. Nie możesz być sama w Rzymie. - I dodała łagodniej: - Tutaj jest twoje miejsce. W domu twojego ojca.

Serena miała oczy pełne łez.

- To już nie jest dom mojego ojca.

Marcella powiedziała jeszcze łagodniej:

- Ja tu mieszkam. Nie pójdziesz do mojego mieszkania? - Zobaczyła w głębokich zielonych oczach Sereny taką udrękę, jak w poranek śmierci Umberta, i wiedziała, że mówi nie do kobiety, tylko do dziecka. - W porządku, panienko, chodź, kochana moja... Marcella się tobą zaopiekuje. - Objęła Serenę i stały teraz jak na początku, splecione uściskiem poprzez próżnię ubiegłych lat. - Andiamo, cara.

Serena z jakiegoś niezrozumiałego dla niej samej powodu pozwoliła sobie pójść za Marcellą. Przyszła tu, żeby zobaczyć, a nie żeby zostać. Chciała stać, patrzeć i wspominać z daleka, nie próbując wkroczyć znów w środek wspomnień. To było ponad jej siły, nie mogła tego znieść. Ale poszła poprowadzona przez Marcellę delikatnie do tylnych drzwi... i wyczerpanie dawało się we znaki... jak gdyby cały ten dzień nagle zebrał się w jedną chwilę i już mu nie sprostała. Chciała tylko położyć się gdzieś i przestać myśleć, zaniechać wszelkiego wysiłku.

Znalazła się przy tylnych drzwiach pałacu należącego do jej rodziców. Marcella szybko wsunęła w dziurkę i przekręciła ciężki klucz, drzwi skrzypnęły, zupełnie tak jak skrzypiały przed laty, i hall służbowy wyglądał tak samo, gdy zapaliła światło. Białe ściany pożółkły, jasnoniebieskie portierey wyblakły, posadzka trochę zmatowiała, bo mniej rąk było do pastowania i Marcella się postarzała. Ale właściwie nic się nie zmieniło, nawet zegar na ścianie spiżarni był ten sam. Serena szeroko otwierała oczy, zdumiona, pierwszy raz po tylu latach wolna od gniewu, od bólu. Wreszcie wróciła do domu.

Gdacząc jak stara kwoka, Marcella powiodła ją dobrze znanym korytarzem do pokoju, w którym kiedyś mieszkała Teresa, ładna, młoda pokojówka. Teresy też, jak innych służących, od dawna nie było i teraz jej pokój Marcella wybrała dla panienki. Po drodze wzięła z szafy postrzępione stare prześcieradło i koc. Wszystko z biegiem czasu się zniszczyło, nadal jednak jaśniało czystością. Przygotowała łóżko. Serena usiadła w fotelu. Milczała zapatrzona.

- Va bene, panienko? Rozbierz się, bambina mia. Jutro rano wypiorę te rzeczy z podróży. W łóżku napijesz się gorącego mleka. - Mleko jeszcze było na wagę złota, ale Marcella nieba by przychyliła temu biednemu dziecku.

Serenie się wydawało, że znowu ma dziewięć lat, czy pięć, czy dwa.

- Zaraz przyniosę ci mleko. - Marcella uśmiechając się do Sereny otuliła ją kocem w wąskim łóżku.

Ściany tego służbowego pokoju były białe z szarym szlakiem, w oknie wisiała wąska spłowiała zasłona, na podłodze leżał dywanik pamiętający Teresę i inne pokojówki. Ale Serena nawet się nie rozejrzała. Położyła głowę na poduszce, przymknęła oczy i spała już mocno, gdy Marcella po chwili wróciła z drogocennym mlekiem i cukrem. Staruszka zatrzymała się w mroku przy drzwiach patrząc na dziewczynę śpiącą w księżycowej poświacie. Taka jak dawniej - pomyślała - tyle że wtedy była o wiele mniejsza... i spokojniejsza... I pomyślała o zdenerwowaniu Sereny, o jej gniewie... udręce... i przerażeniu. Z bólem powróciła myślą do nieszczęścia, jakie spadło na to dziecko, a potem nagle zdała sobie sprawę, że patrzy na ostatnią żyjącą principesę z rodu Tibaldo. Principessa Serena... śpi w pałacu swego ojca w pokoju służbowym.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Nazajutrz rano, gdy blask słońca wpadł przez wąskie okna, Serena spała jak młoda bogini z włosami jak wielki złocisty wachlarz na poduszce. Marcella znów stanęła przy drzwiach i patrzyła z czcią nieomal, urzeczona promiennością jej urody, zdumiona jeszcze bardziej niż w poprzedni wieczór faktem, że ona wróciła. To przecież cud...

U»- Ciao, Cella. - Serena sennie otworzyła jedno oko i uśmiechnęła się. - Jest późno?

- Na co? Masz się z kimś spotkać? Tylko jeden dzień w Rzymie i już taka zajęta?

Marcella podeszła. Serena usiadła w łóżku. Wydawało się, że sen zdjął z niej brzemień lat. Nawet po wrażeniach poprzedniego dnia była bardziej pogodzona z losem niż kiedykolwiek, odkąd wyjechała ze Stanów. Przynajmniej już wiedziała. Wiedziała wszystko to, co tak strasznie bała się usłyszeć. Najgorsze stało się. Teraz musiała się zastanowić, jak żyć dalej.

- Co byś chciała na śniadanie, signorina? -i Marcella poprawiła się szybko: -Scusi, principessa.

- Jak? Nie będziesz mnie tak nazywać! Principessa była Norma - powiedziała Serena na pół z rozbawieniem, na pół z oburzeniem. To należało do innej epoki, innych czasów. Ale Marcella wyprostowała swoje pięć stóp wzrostu jak dragon na baczność.

- Teraz ty masz ten tytuł. Ze względu na nią i tamte wszystkie przed nią musisz pamiętać, kim i czym jesteś, szanować to.

- Jestem sobą. Serena di San Tibaldo. Punto. Finito. Basta.

- Bzdura! - fuknęła Marcella obciążając na Serenie koc. Podniosła oczy z powagą. - Nie zapominaj, panienko, kim jesteś. Ona nigdy nie zapomniała.

- Nie musiała zapominać. Nie musiała żyć w świecie, w którym my żyjemy teraz. Tam wszystko się skończyło, Marcello. Wszystko. Umarło razem z... -Serena chciała powiedzieć „z moimi rodzicami”, ale nie zdobyła się na to. -Umarło razem z całym pokoleniem ludzi, których nasz czarujący Duce usiłował zgładzić. Na szczęście, w wielu przypadkach nie zdołał. Ale co zostało? Tacy jak ja, którzy bez dziesięciu bodaj lirów przy swoim nazwisku muszą zarabiać na utrzymanie kopaniem rowów. Czy coś więcej niż to znaczy być teraz principessą, Cello?

- Znaczenie tego jest tutaj. - Marcella żarliwie stuknęła się w obszerny biust, gdzie było jej szlachetne serce, a potem w czoło. -i tutaj. A nie w tym, co się robi, czy też czego się nie robi, i nie w tym, ile się ma pieniędzy. Jest się principe czy principessą nie z powodu majątku. Nasza pani nie miała dużo pieniędzy pod koniec. Ale principessą była zawsze. Kiedyś ty, panienko, będziesz taka jak ona.

Serena potrząsnęła głową stanowczo.

- Marcello, świat się zmienił. Możesz mi wierzyć. Ja wiem.

- A co ty widziałaś, odkąd tu jesteś? Dworzec i co jeszcze?

- Ludzi. W pociągu, na ulicach. Żołnierzy, i młodzież, i starych. Są inni niż byli, Cello. Ich nie obchodzą principessy, jak pewnie nigdy nie obchodziły. To tylko nas obchodził ten splendor, ale jeśli mamy choć trochę rozumu, szybko o tym splendorze zapomnimy. -i po tym nawrocie cynizmu Serena spojrzała na Marcellę. - Rzeczywiście myślisz, że tych Amerykanów będzie to obchodziło? Gdybyś im powiedziała, że w suterenie ukrywasz principessę, myślisz, że oni by się tym przejęli?

- Ja ciebie nie ukrywam, panienko. - Marcella posmutniała. Nie chciała słyszeć o nowym świecie. Dla niej ważny był dawny świat. Cały jako taki. Dawny porządek rzeczy. - Po prostu zatrzymałam cię u siebie.

- Dlaczego? - W oczach Sereny błysnęło okrucieństwo. - Dlatego że jestem principessą?

- Dlatego że kocham cię, panienko. Zawsze cię kochałam, zawsze będę cię kochać - oświadczyła staruszka dumnie, podchodząc i siadając na łóżku.

Serena, rozrzewniona do łez, wyciągnęła rękę.

- Przepraszam, nie chciałam tego powiedzieć. - Przytuliła się do Marcelli. -Tylko bolą mnie wspomnienia z tamtych czasów. Utraciłam wszystko, co było dawniej. Ale dla mnie znaczenie mieli jedynie ci, których kochałam. Nie chcę tego przekłętego tytułu. Wolałabym, żeby babcia jeszcze żyła, i wystarczy mi być sobą.

- Ale twoja babcia, panienko, nie żyje i właśnie tytuł ci zostawiła. Nic poza tym i wiem, że chciałaby, żeby dla ciebie też ten tytuł był chlubą. Nie chcesz być principessą? - Ze zdziwieniem Marcella patrzyła na dziewczynę.

- Nie chcę. Chcę zjeść śniadanie. - Poprzedniego dnia Serena jadła tylko chleb z serem na dworcu. O obiedzie zupełnie zapomniała. Ale teraz śmiała się z powagi Marcelli, gdy ta otarła łzy i fuknęła:

- Wcale nie dorosłaś! Jesteś tak samo niemożliwa, jak zawsze byłaś! Bezczelna... niegrzeczna!

Serena przeciągnęła się i leniwie wstała z łóżka. Z uśmiechem.

- Mówiłam ci, Cella. Principessy to nic dobrego. Zła krew.

- Przestań sobie dworować!

- Przestanę, jeżeli ty przestaniesz traktować to poważnie. - Patrzyła na Marcellę z czułością, ale i ze zdecydowaniem. - Mam teraz ważniejsze sprawy do przemyślenia.

Staruszka już bez żadnych uwag poszła do kuchni, żeby zaparzyć kawę będącą po wojnie

towarem na wagę złota. Ale Serenie niczego by nie skąpiła, wszystko by dała tej księżniczce o nowoczesnych poglądach. Wariactwo, bzdura, nie chceć tytułu... to śmieszne - utyskiwała przygotowując śniadanie. Urodzić się na principessę i nie używać tytułu! Śmieszne! Za długi widać był ten pobyt w Ameryce. W dziesięć minut później zawołała Serenę na śniadanie. Uderzająco piękna dziewczyna przysłała w niebieskim płaszczu kąpielowym, który dostała w klasztorze, i z włosami tak wyszczotkowanymi, że w porannym słońcu lśniły jak złoto.

- Co jest na śniadanie, Cella?

- Grzanki, szynka, galaretka, kawa i brzoskwinie. - Były to wspaniałe skarby, niektóre, jak galaretka i cukier, oszczędzane miesiącami. Serena natychmiast to zrozumiała i ucałowała staruszkę w pomarszczony policzek, zanim usiadła. Obiecała sobie jeść powściągliwie, chociaż miała teraz wilczy apetyt.

- Witaj w domu, panienko. - Nastąpił moment radosnej ciszy, gdy Serena uśmiechnięta prostowała swe długie nogi pod stołem.

- Sprawiasz, że chcę tu zostać na zawsze. - Ale mówiąc to wiedziała, że nie może, i zapragnęła odejść, zanim poczuje zbyt wielką pokusę, żeby zapuścić się w inne rejony pałacu. Właściwie nie chciała ich oglądać.

Gdy wstała od stołu, Marcella patrzyła na nią w zamyśleniu.

- Czemu nie mogłabyś zostać, panienko? Nie musisz jechać z powrotem do Stanów.

- Nie muszę. Ale nie ma żadnego powodu, żebym tu została. Z wyjątkiem tego, że to był mój dom.

- Nie chcesz zostać? - zapytała Marcella, wyraźnie dotknięta. Serena się uśmiechnęła.

- Chcę, oczywiście. Ale nie mogę tak po prostu się tu wprowadzić. Muszę mieć jakieś mieszkanie, pracę i w ogóle. Nie wiem, czy znalazłabym pracę w Rzymie.

- Dlaczego musiałabyś pracować? - Staruszka się zirytowała. Chciała trzymać się przeszłości. Serena rozumiejąc odpowiedziała z uśmiechem:

- Dlatego że muszę jeść. Nie będę miała pracy, nie będę jadła.

- Mogłabyś mieszkać tutaj.

- I objadać ciebie? Ładnie byś wyglądała.

- Niczego nam nie zabraknie. Amerykanie wyrzucają więcej prowiantu, niżby zjedli wszyscy rzymianie razem wzięci. Niech ci nasi tylko się tu wprowadzą.

- I jak im wytłumaczymy to, że ja tu jestem? - zapytała Serena rozbawiona. - Rezydująca principessa? Brelok przynoszący szczęście? Twoja przyjaciółka? Tylko im powiemy, że są szczęściarzami, skoro mogą mnie gościć, i naturalnie zostaną.

- Nie ich rzecz, kim ty jesteś - powiedziała Marcella, nagle przechodząc do defensywy.

- Mogliby nie przyznać ci racji, Cella.

- No więc możesz pracować u nich. Jako sekretarka. Przecież mówisz po angielsku. No nie?

- Marcella spojrzała na Serenę z ciekawością. Powinna -pomyślała - po tych czterech latach, dziewczyna inteligentna, ostatecznie.

Serena się roześmiała.

- Owszem, mówię. Ale nie daliby mi posady sekretarki. Mają swoje kandydatki. Dlaczego mieliby zaangażować mnie? - Oczy jej się roziskrzyły. Wpadła na pomysł.

- Wymyśliłaś coś? - Marcella taki wyraz oczu znała aż za dobrze. Dawniej zawsze trochę ją niepokoił, często jednak najbardziej bulwersujące pomysły Sereny okazywały się dobre.

- Możliwe. Kto tutaj decyduje o przyjmowaniu do pracy?

- Nie wiem... - Przez chwilę Marcella się zastanawiała. - Dali mi jakiś adres na wypadek, gdybym znalazła dziewczyny do pomocy w domu. - Popatrzyła podejrzliwie. - A bo co?

- Bo chcę się zgłosić.

- Do czego?

- Zobaczą, co zaproponują. - Jedna sprawa to nieprzytomne z wyczerpania przenocowanie w przytulnej służbowej suterenie Marcelli, a zupełnie inna to mieszkanie na stałe przy kuchni pałacu, który kiedyś nazywało się swoim domem. Ale Serena wiedziała, że jeszcze nie jest gotowa pójść wyżej. Gdyby dali jej tu jakąś pracę, musiałaby sobie powiedzieć, że to jest ich dom, nie mający już nic wspólnego ani z nią, ani z nikim, kogo znała, i że nigdy przedtem tego domu nie widziała.

Coś w niej jednak drżało trochę, gdy doszła do końca Via Nazionale, minęła Łaźnie Dioklecjana, skręciła na Piazza delia Republica i trafiła pod podany przez Marcellę adres. A jeśli nie dadzą jej pracy? Co wtedy zrobić? Wrócić za reszkę pieniędzy do Stanów? Czy zostać tutaj, w Rzymie? Ale po co? Żeby zadośćuczynić sercu - odpowiedziała sobie, popychając ciężkie drzwi amerykańskiego biura. Rzym jest tutaj, w Rzymie moje miejsce! Uśmiechnęła się na myśl o tym i nadal się do siebie uśmiechała, gdy przy wejściu zderzyła się z wysokim mężczyzną o chłopięco uśmiechniętej twarzy, z blond kędziorami widocznymi pod wojskową czapkę. Tę czapkę miał włożoną zawadiacko na bakier i w jego szarych oczach zapląsało rozbawienie. Chociaż chciała uśmiechnąć się do niego, natychmiast spowaźniała jak zawsze na widok wojskowego munduru, i odwróciła wzrok. Może był przystojny, może był życzliwy, ale mundury przypominały jej dawny koszmar.

- Przepraszam - lekko dotknął jej łokcia, tak jakby tym gestem chciał przekazać przeprosiny na wypadek, gdyby nie znała jego języka. - Czy mówi pani po angielsku? - Zauważył, że ta dziewczyna ma cerę jak kremowy atlas, złociste jak pszenica włosy i ogromne zielone oczy, ale

dziwnie zeszywniała po ich przypadkowym zderzeniu i teraz, gdy nabrała tchu odzyskując panowanie nad sobą, patrzy na niego dziwnie lodowato. Chyba nie zrozumiała, co powiedział. Więc uśmiechając się, spróbował po włosku: - Scuzi, signorina. Mi dispiace molto... - i zająknął się z ujmującym uśmiechem.

Ale Sereny tym najwyraźniej nie ujął. Tylko skinęła głową na znak, że rozumie.

- Grazie - szepnęła.

Jej reakcja by go rozdrażniła, gdyby nie to, że patrząc na nią, przelotnie dojrzał w tych zielonych oczach cierpienie. Widywał już takie jak ona. Wszyscy wyszli z wojny jakoś okaleczeni. Nazwał ją w duchu Lodową Dziewicą i poszedł w swoją stronę.

Wpadła mu w oko jej efektowna uroda, jednak nie w stylu majora B.J. Fullertona było polowanie na miejscowe piękności. Odkąd przyjechał, udawało mu się powstrzymać od tego. Nie bez powodu. Zareczył się niedawno z jedną z najpiękniejszych panien z najlepszego towarzystwa w Nowym Jorku. Pattie Atherton, najbardziej urocza debiutantka w salonach 1940 roku, teraz mając dwadzieścia trzy lata była jego narzeczoną. Więc tylko uśmiechnął się do siebie znowu i cicho gwizdnął zbiegając ze schodów do czekającej limuzyny. Miał w ten poranek mnóstwo spraw, o zderzeniu z Sereną szybko zapomniał.

W biurze Serena rozejrzała się, nie wiedząc, do którego biurka podejść, po czym ruszyła tam, gdzie zobaczyła napis ZATRUDNIENIE i mniejszy włoski Lavoro. Zająkliwie powiedziała, o jaką pracę jej chodzi. Nie chciała, żeby wiedzieli, jak płynnie mówi po angielsku. To nie ich rzecz - zadecydowała. I przede wszystkim nie chciała mieć posady tłumaczki czy, jak podsunęła Marcella, sekretarki. Chciała tylko szorować podłogi w swoim starym domu i być z Marcellą, a to przecież nie wymagało żadnej znajomości angielskiego.

- - Mówi pani, że tam pracuje znajoma gospośnia? - Przytaknęła. - Ona panią tu przysłała? - Amerykanie przemawiali do Włochów powoli, dobitnie i bardzo głośno, zakładając, że to naród głupi i głuchy. Znow przytaknęła. - Dobrze pani mówi po angielsku? Trochę? Więcej niż trochę? Rozumie pani, co ja mówię?

- Si. Un po. Dosyć. - Dosyć, żeby froterować posadzki i czyścić srebro -pomyślała. Ta kobieta w mundurze przy biurku najwidoczniej też była tego zdania.

- Dobrze. Major wprowadzi się tam we wtorek. Jego adiutant też tam będzie, i sierżant zajmujący się gospodarstwem. W dodatku trzech ordynansów. Myślę, że się ich zakwateruje w dawnych pokojach służbowych na górze. - Serena od razu wiedziała gdzie. Pokoje na poddaszu zajmowało kilkoro ze służby jej rodziców. Lepsze pokoje służbowe były w suterenie... ucieszyła się, że pozostają dla Marcelli i dla niej. - Jeszcze nie znaleźliśmy drugiej dziewczyny. Myślisz, moja droga, że na razie ty i ta Marcella dacie sobie radę we dwie?

- Tak - odpowiedziała Serena szybko. Wcale nie chciała, żeby w suterenie zamieszkała jakaś obca.

- Ta Marcella wydawała mi się raczej sędziwa, kiedy ją zobaczyłam. Co z cięższą pracą?

- Ja podołam. - Serena wyprostowała się usiłując wyglądać na jeszcze wyższą, niż była. - Mam dziewiętnaście lat.

- Dobrze. Może druga dziewczyna okaże się niepotrzebna. - Amerykanka się zadumała.

Serena nagle uświadomiła sobie, że jeśli nie przyjmą drugiej młodej do pomocy, to przez większą część dnia będzie z „nimi” w pokojach, do których miała nadzieję nie wchodzić. Ale nie sposób mieć wszystko. Trzeba się wziąć w garść i porządnie pracować. Warto. Niech suterena należy tylko do niej i Marcelli. Obca służąca byłaby tam bardziej nie do zniesienia niż amerykańscy oficerowie mieszkający powyżej. To rzeczywiście idiotyczne, mieszkać w swoim rodzinnym domu, który teraz obcy ludzie wynajmują armii amerykańskiej. Co ja tu robię, do diabła? - myślała. Rzeczywiście nie wiedziała, ale wydawało jej się, że tak będzie najlepiej.

- Przyślemy kogoś na inspekcję w poniedziałek - oznajmiła Amerykanka - i wtedy dowiecie się koniecznych szczegółów. Proszę, postarajcie się, żeby w pokojach było czysto, zwłaszcza w głównej sypialni. Major - uśmiechnęła się kokietyrnie, co Serena uznała za niedorzeczność - jest przyzwyczajony do kwater bardzo okazałych. - Ale ten komentarz się zmarnował, bo nowej służącej majora było to obojętne.

Amerykanka wstała, dała Serenie jakieś papiery do podpisania i powiedziała, że pensja w lirach będzie wypłacana pierwszego i piętnastego każdego miesiąca. Pięćdziesiąt dolarów miesięcznie plus mieszkanie i pełne utrzymanie. Serena uznała, że to świetnie. Wyszła z biura na Piazza delia Republica radośnie uśmiechnięta i gdy wróciła do małego mieszkania w suterenie swojego domu, śpiewała stare, dobrze znane piosenki.

- Ojej, tak się cieszysz, panienko. Pewnie cię przyjęli do pracy u jakiegoś generała.

- Nie - uśmiechnęła się do Marcelli. - Czy może powinnam powiedzieć: tak. Przyjęli mnie do pracy u mojego generała. U ciebie!

Przez chwilę Marcella nie rozumiała.

- Co?

- Przecież słyszałaś. Będę pracować u ciebie. Zaczniemy w poniedziałek. Albo wcześniej, jeżeli chcesz.

- Tutaj? - zapytała Marcella oszołomiona.

- Właśnie.

- Nie! - Staruszka się oburzyła. - Tyś mnie oszukała! Dałam ci ten adres, żebyś dostała dobrą posadę, nie taką jak tutaj!

- To bardzo dobra praca - powiedziała Serena i dodała łagodniej: - Dostatecznie dobra dla ciebie, Cello. A ja chcę być tutaj z tobą. Nie chcę pracować w biurze. Chcę tylko być tutaj. W domu.

- Ale przecież nie tak, Santa Maria... co za szaleństwo. Tyś zwariowała. Nie możesz tu pracować.

- Dlaczego?

I znów się zaczęło.

- Zapominasz, kim jesteś. Principesso...

Z zielonym ogniem w oczach Serena patrzyła teraz na tę staruszkę, która pracowała u jej najbliższych przez czterdzieści siedem lat.

- I ty powinnaś o tym zapomnieć, Marcello. Tamte czasy się skończyły. Jakikolwiek mam tytuł, nie mam ani grosza przy duszy. Nic a nic. Gdybyś ty mnie tu nie wzięła, nocowałabym w jakimś przytułku, i gdyby dziś mnie nie przyjęli do szorowania podłóg, wkrótce bym umarła z głodu. Marcello, ja niczym nie różnię się od ciebie. I na tym koniec. To proste. Jeżeli ja jestem zadowolona, ty też powinnaś być.

Tym przemówieniem uciszyła Marcelłę, przynajmniej chwilowo. A potem w nocy cicho na palcach odważyła się wreszcie pójść na górę. Było to nie aż tak bolesne, jak z lękiem przewidywała. Prawie wszystkie meble, które kiedyś bardzo lubiła, już wyniesiono. Zostało kilka kanap, ogromny fortepian i w pokoju jej matki nadzwyczajne antyczne łoże z baldachimem. Łoże pewnie tylko dlatego, że nigdzie indziej by się nie mieściło. Tylko ten widok ją zasmucił. Z bólem pomyślała o mamie w tym łożu, promiennej i ślicznej rankiem, gdy przychodziła powiedzieć dzień dobry przed wyjściem do szkoły.

Chodząc po pokojach zatrzymywała się na chwilę, przypominała sobie, jakie meble w nich stały kiedyś, przypominała sobie popołudnia i wieczory, i kolacje, przyjęcia w Boże Narodzenie ze wszystkimi przyjaciółmi rodziców i przyjęcia popołudniowe, gdy babcia przyjeżdżała z Wenecji... wizyty Sergia... i innych. Gdy już odbyła tę cichą pielgrzymkę po pokojach, wróciła do sutereny dziwnie uspokojona, jak gdyby w końcu wszystkie duchy położyła na wieczny odpoczynek. Nie zostało nic z tego, czego się bała. Teraz to był jakiś dom, w którym będzie mogła pracować u Amerykanów wypełniając swoje obowiązki, żeby mieszkać tu w palazzo, żeby być w Rzymie.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Nazajutrz Serena obudziła się o świcie. Umyła się, zwinęła swe złociste włosy w kok na karku, po czym owiązała głowę granatowym bawełnianym szalikiem. Włożyła starą, niebieską bawełnianą sukienkę, którą nosiła w amerykańskim klasztorze, gdy z młodszymi dziewczynkami zrywała maliny czy truskawki. Był to wyraźnie stary ciuch, spłowiały, w wielu miejscach połatany. Włożyła ciemne grube pończochy, solidne półbuciki i na sukienkę czysty biały fartuszek. Z powagą stanęła przed lustrem. Na pewno nie ubrała się tak, jak przystało principessie. Ale nawet granatowy szalik na głowie nie ujmował jej urody. Jeśli już coś, to stanowił kontrast z bladobrzoskwiniową cerą i z zielenią błyszczących oczu.

- Wyglądasz w tym śmiesznie. - Marcella patrzyła na nią z dezaprobatą, nalewając kawę, gdy dzień wstawał za wzgórzami. - Na miłość boską, nie mogłaś włożyć czegoś przyzwoitego?

Ale Serena nic nie powiedziała. Oburącz podniosła do ust filiżankę pełną gorącej kawy i zmrużyła oczy przed parą.

- Co ci Amerykanie sobie pomyślą, kiedy cię, panienko, zobaczą w tym łachu?

- Pomyślą, że jestem człowiekiem ciężkiej pracy, Marcello. - Zielone oczy patrzące znad filiżanki wydawały się za stare i za mądre jak na oczy młodej dziewczyny.

- Ach... bzdura! - Marcella irytowała się bardziej niż poprzedniego dnia. Uważała, że cała ta sprawa jest śmieszna. Co gorsze poczuwała się do winy, bo ostatecznie sama radziła Serenie postarać się o posadę. Jeszcze miała nadzieję, że Serena się zapomni, zacznie ze swymi pracodawcami mówić dobrze po angielsku i w rezultacie już jutro będzie pracować u dowódcy, jako jego sekretarka, w jednym z tych dużych pięknych pokoi na górze.

Ale w pół godziny później Marcella już nie pamiętała o swojej nadziei. Obie były bardzo zajęte biegając po schodach tam i z powrotem, pomagając żołnierzom wnosić skrzynie i zastanawiając się razem, co umieścić w którym pokoju. Stara Marcella jednak nie biegła tak szybko, więc przeważnie pomagała im Serena.

Wydawało się, że jest wszędzie, mówiła niewiele, doglądała wszystkiego, pomagała, jak gdyby miała dziesięć par rąk.

- Dziękuję. - Dowódca tych żołnierzy uśmiechnął się do niej pod koniec popołudnia, gdy przyniosła im sześć kubków gorącej kawy. - Nie dalibyśmy sobie rady bez takiej pomocy. - Nie był pewny, czy ona rozumie, ale wiedział, że trochę mówi po angielsku i że dostatecznie zrozumiąły może być sam jego szeroki uśmiech i ton głosu. Barczysty, prawie pięćdziesięcioletni, miał wielki tors, łysinę i ciepłe piwne oczy. - Jak pani na imię?

To musiało wcześniej czy później nastąpić. Wahała się tylko chwilę.

- Serena - odpowiedziała cicho.

- Serena - od razu wymówił to po amerykańsku, ale nie budził w niej sprzeciwu. Widziała, jak przez cały dzień pracował na równi ze swoimi podkomendnymi. Zaczynał, pracowity, często wbrew jej protestom wyręczał ją, bez słowa brał od niej ciężkie skrzynki w swe ogromne ręce i wnosił po schodach.

Był pierwszym mężczyzną w wojskowym mundurze jakiegokolwiek państwa, do którego rzeczywiście się uśmiechnęła.

- Ja jestem Charlie. Charlie Crockman. - Uścisnęli sobie dłonie. Spojrzał jej w oczy i uśmiechnął się znowu. - Porządnie się dziś napracowałaś, Sereno.

- Wy też. - Uśmiechnęła się nieśmiało, nie popatrzyła na tamtych. Charlie parsknął śmiechem.

- Ale nie tak, jak się napracujemy jutro.

- Więcej? - zapytała ze zdumieniem. Zapełnili każdy pokój mnóstwem skrzyń, kartotek, szafek, biurek, lamp, krzeseł i innych rzeczy. Zastanowiła się, gdzie jeszcze można coś postawić.

Charlie potrząsnął głową.

- Nie, już nic więcej. Tylko że zabierzemy się do prawdziwej pracy. Major będzie tu jutro rano. - Przewrócił oczami, uśmiechając się od ucha do ucha. - Wszystko ma być rozpakowane, ustawione przed południem.

Żołnierze jęknęli i przyłączyli się do rozmowy.

- Myślałem, że pojechał na weekend do Spoleto - uzalił się głośno jeden z nich. Charlie Crockman znów potrząsnął głową.

- Nie on. Jak go znam, będzie tu już dzisiaj przymierzał się do swojego biurka i układał papiery długo w noc. - Otrzymując tę kwatere, major B.J. Fullerton otrzymał też wiele nowych zadań. Był poniekąd bohaterem wojennym i teraz miał próbować swoich sił jako ważna persona przy biurku, stąd kwatery aż w palazzo.

- Gównu - powiedział inny żołnierz.

Serena udawała, że tego nie słyszy. Po paru minutach, gdy z przejściem rozmawiali dalej, wymknęła się do przytulnej kuchni. Marcella siedząc na krześle moczyła nogi w miednicy, oczy miała zamknięte. Serena stanęła za nią i zaczęła delikatnie masować jej ramiona. Marcella się uśmiechnęła.

- Set tu?

- To znaczy kto?

- Mój aniołek. - Obie się uśmiechały. Długi był ten dzień pracy.

- Cello, może pozwolisz, żebym ja dziś zrobiła kolację?

Ale staruszka nie chciała o tym słyszeć. Już kurczak piekł się w piecyku i makaron się gotował. Do tego były małe pomidorki, świeża sałata, marchewka i bazylia z ogrodu, w którego części Marcella uprawiała warzywa.

Po tej przepysznej kolacji Serenie oczy się kleiły, gdy pomagała sprzątać ze stołu nakłaniając Marcellę, żeby już poszła spać. Nie dla staruszki taka ciężka praca jak dzisiaj.

- I tym razem ja ci przyniosę do łóżka posłodzone gorące mleko. Nic nie mów. To rozkaz!

- Ach, principesso... za dużo dobroci...

Serena z błyskiem w oczach cofnęła się o krok i wysoko podniosła głowę.

- Skończ z tym, Marcello!

- Przepraszam. - W ten wieczór Marcella się nie kłóciła. Znadto była zmęczona i obolała. Chociaż głównie Serena pracowała z Amerykanami, sam tylko wysiłek, żeby pomagać, wyczerpał staruszkę. I dręczyło ją poczucie winy, no bo jak może pozwalać panience na taką harówkę. Z początku próbowała powstrzymywać Serenę szeptem: „Principesso!” - ale dziewczyna uciszała ją raptownie gniewnym zmarszczeniem brwi i dalej robiła swoje.

- Już połóż się spać, Cello. Za chwilę przyniosę ci mleko.

Sennie ziewając staruszka usłuchała. Z szuraniem odeszła, nagle jednak coś sobie przypomniała. Zatrzymała się w drzwiach.

- Muszę jeszcze iść na górę.

- Po co?

- Pozamykać tam. Oni pewnie nie umieją. Muszę sprawdzić drzwi frontowe, zanim się położę. I mówili, że wszystkie światła w domu mają być zgaszone.

- Ja się tym zajmę.

Marcella zawahała się, po czym skinęła głową.

- Dobrze. Ale tylko dzisiaj.

- Tak jest, proszę pani.

Uśmiechając się, Serena napełniła filiżankę mlekiem i poszła po cukier. Po chwili otworzyła drzwi maleńkiej sypialni Marcelli, ale dolatujące z łóżka ciche chrapanie powiedziało jej, że się spóźniła. Więc z uśmiechem sama pociągnęła łyk tego ciepłego mleka i wróciła do kuchni, usiadła i wypila resztę. Umyła filiżankę i spodek, wytarła je, schowała ostatnie pozmywane talerze. Westchnęła i ruszyła z sutereny po służbowych schodach na górę.

W głównym hallu wszystko było w porządku. Fortepian nadal stał tak jak zawsze, od dziesiątek lat, żyrandol nad wejściem palił się tak jasno jak zawsze w czasach jej rodziców. Bezwiednie z uśmiechem zadarła głowę, wspominając jaki zachwyty wywoływały w niej przed laty

te rześiste światła. Gdy odbywały się przyjęcia, stała na kolistych marmurowych schodach i patrzyła, jak mężczyźni w smokingach czy frakach, kobiety w barwnych sukniach wieczorowych przechodzą pod tym roziskrzonym kryształowym żyrandolem przez hall do ogrodu i jak tam stoją przy fontannie i piją szampana. Słuchała ich śmiechów, usiłowała dosłyszeć, co mówią. W nocnej koszuli siadała na schodach tuż za zakrętem i wytężała wzrok spomiędzy słupków balustrady. Roześmiała się teraz wchodząc na te schody. Ale dziwne jest to uczucie: być tutaj w ciemną noc, gdy ich wszystkich dawno już nie ma. Wspomnienia jednocześnie upajały ją i przejmowały zimnym dreszczem. Budziły tęsknotę i zarazem żal. Na podeście pierwszego piętra nagle poczuła falę nostalgii takiej, jak nigdy od lat. Zapragnęła pójść do swojego dawnego pokoju, usiąść na swoim łóżku, popatrzeć na ogród za oknem. Odruchowo podniosła rękę i ściągnęła z głowy zakurzony już granatowy szalik, rozpuściła swe długie jasne włosy. Podobnym gestem kiedyś co dzień zdejmowała kapelusz po powrocie ze szkoły wbiegając do swego pokoju. Teraz tylko stanęła w drzwiach i rozejrzała się. Pokój był prawie pusty z paroma biurowymi szafkami, zwyczajnym biurkiem, półką na książki i kilkoma krzesłami. Nic nie zostało z dobrze znanego umeblowania, z rzeczy, które kiedyś były jej...

Zdecydowała się podejść do okna. Nadal jest fontanna... ogród... ogromna wierzba, zupełnie tak jak zapamiętała. Kiedyś przez to okno też tak patrzyła chuchając na kwiaty mrozu w zimie albo martwiąc się, że ma lekcje do odrobienia, więc nie może bawić się pod wierzbą. Gdyby teraz zacisnęła powieki bardzo mocno, chyba usłyszałaby głos mamy, głosy jej przyjaciółek roześmianych, spacerujących albo wiosną grających w krokieta, plotkujących o rzymskich znajomych. Mama w niebieskim płóciennym kostiumie... mama w jedwabnej sukience... w malowniczym wielkim kapeluszu... może patrzy znów na okna jej pokoju... może macha do niej ręką, w której trzyma świeżo ścięte róże i...

- Kim pani jest? - złowieszczo zabrzmiał czyjś głos za plecami Sereny. Dziewczyna aż podskoczyła, z cichym okrzykiem zakręciła się i przywarła do

ściany, oburącz się jej przytrzymując. W mroku widziała tylko sylwetkę jakiegoś mężczyzny. Światło padało z korytarza zbyt słabe i dalekie. Nie wiedziała, kto to, i co tutaj robi i czy jej nie skrzywdzi, ale gdy przestąpił próg, zobaczyła połysk odznak wojskowych. Był w mundurze. Przypomniało jej się, jak Charlie Crockman mówił, że major długo w noc będzie się przymierzał do biurka.

- Pan... - nieomal wyskrzeczwała, tak się trzęsła - ten major?

- To ja pytam. - Teraz ten głos zabrzmiał przerażająco stanowczo.

Kontakt był przy drzwiach, ale on nie zapalił światła. Tylko stał i patrzył na nią, niezbyt dobrze widoczną w mroku rozrzedzonym przez księżyc za oknem, a przecież jakoś mu znaną.

Doznał wrażenia, że już ją gdzieś spotkał przedtem. Obserwował ją, odkąd weszła do tego pokoju mającego być jego gabinetem. Już zgasił światło i wyszedł na korytarz, zanim usłyszał jej kroki na schodach. Najpierw machinalnie sięgnął po pistolet, zaraz jednak uznał, że to niepotrzebne. Wystarczy się dowiedzieć, skąd i kim ona jest, i co robi tutaj w Pallazzo Tibaldo, w jego gabinecie o dziesiątej wieczorem.

- Prze... przepraszam... przyszedłam, żeby zgasić światła. -i nawet chciała dodać „panie majorze” zirytowana tym, że zareagowała tak głupio. Widziała teraz wyraźniej jego mundur i odznaki, i władcze przechylenie głowy. - Przepraszam.

- Czyżby? To nadal nie jest odpowiedź na moje pytanie. Kim pani jest?

- Jestem Serena, pracuję tutaj. - Powiedziała to po angielsku lepiej, niż chciała, ale w tych okolicznościach zdecydowała się nie igrać. Lepiej, żeby on jej angielszczyznę rozumiał, bo inaczej mógłby, nie daj Boże, kazać ją aresztować albo zwolnić z pracy. - Jestem tu pokojówką.

- Co robiłaś tutaj na gorze, Sereno? - zapytał major już łagodniej.

- Zdawało mi się, że coś słyszę... jakieś hałasy. - Spuściła wzrok pod jego spojrzeniem w mroku. Może jednak lepiej ostatecznie go okłamywać. - Musiałam zobaczyć, co się dzieje.

- Rozumiem. - Przyjrzał jej się uważniej. Ona kłamie. Przecież od kilku godzin zachowywał się cicho, nawet po zgaszeniu światła. - Jesteś bardzo odważna, Sereno. - Jego oczy z niej kpiły, wiedziała to. - Co byś zrobiła, gdybym był tu intruzem? - Przesunął wzrokiem po jej smukłych ramionach, długich pięknych rękach.

Pojęła to spojrzenie.

- Nie wiem... Zawołałabym... kogoś... na pomoc... chyba.

Dalej się jej przyglądał. Wolno podszedł do kontaktu i zapalił światło, które niedawno zgasił. Jakaż to śliczna dziewczyna, wysoka, pełna wdzięku, oczy jak zielone ogniki, włosy jak złoto na rzeźbach Berniniego.

- Zapewne nie wiesz, że nikt by z pomocą nie przyszedł. Tutaj nie ma nikogo. Ale tym razem Serena się oburzyła. On jej grozi? Śmiałyby napaść na nią w jej własnym pokoju? Myśli, że są w palazzo sami? Patrząc na tego wysokiego, szczupłego młodego Amerykanina wyczuła, że nawet w mundurze jest on nie tylko majorem. Jest mężczyzną przywykłym do władczego zdobywania wszystkiego, czego chce, więc jeżeli teraz zachciało mu się jej, to i tej zachciance uczyni zadość. - Pan się myli. - I tym razem nawet nie pomyślała, że wypada dodać „panie majorze”. - Nie jesteśmy tu sami. - Powiedziała to poprawnie, z pewnością siebie i błyskiem furii w zielonych oczach.

- Nie? - zapytał ze zdumieniem. Czy ona przyprowadziła tu kogoś ze sobą? Bezczelna smarkata, jeśli tak. No, ale wszystko jest możliwe. Mogła do tego ładnego palazzo sprowadzić

swojego chłopaka, żeby się tu z nim kochać. Uniósł brew, gdy Serena o krok się cofnęła.

- Właśnie. Nie jesteśmy sami.

- Zaprosiłaś znajomego?

- Mieszkam tutaj z moją... zna... z moją ciotką - zająknęła się znowu celowo.

- Tutaj? W palazzo?

- Ona czeka na mnie przy schodach. - To było wierutne kłamstwo, ale jej uwierzył.

- Też tu pracuje?

- Tak. Nazywa się Marcella Fabiani. - Miała tylko nadzieję, że ci dwoje nigdy się nie spotkają. Miała nadzieję, że wyczaruje postać swojej ciotki, herod-baby, która czuwa, żeby nikt jej nie skrzywdził. Ale przypomniała sobie, jak smacznie chrapie stara grubaska Marcella, i omal głośno nie jęknęła. Gdyby ten mężczyzna chciał ją zgwałcić czy zrobić jej coś złego, rzeczywiście nikt by nie pospieszył na ratunek.

- Więc ty jesteś Serena Fabiani, przypuszczam. - Jeszcze raz przyjrzał się jej uważnie, gdy zawahała się, zanim przytaknęła.

- Tak. Serena Fabiani.

- Jestem major Fullerton, jak zapewne się zorientowałaś. Nie żaden intruz. To jest mój gabinet. I nie chcę ciebie już tu widzieć. Chyba że cię tu sam wezwę w godzinach pracy. Jasne?

Przytaknęła. Ale chociaż mówił surowo, miała wrażenie, że śmieje się z niej. Małe zmarszczki przy zewnętrznych kącikach oczu świadczyły, że wcale nie jest tak poważny, jak się wydaje.

- Czy jest jakieś przejście z waszej kwatery do palazzo? - zapytał wpatrując się w nią z zainteresowaniem, ale teraz ona też uważnie mu się przyglądała. Miał raczej kędzierzawą grzywę blond, szerokie bary i wyraźnie silne ręce, dłonie kształtne, palce ładne i długie nogi... Właściwie bardzo przystojny - stwierdziła -ale przy tym strasznie butny. Wbrew sobie zastanowiła się, z jakiej pochodzi rodziny. Przypomniał jej nagle niektórych z jej dawnych kolegów w Rzymie. Tylko dlaczego zapytał o przejście do jej kwatery? Raptownie się wyprostowała nie próbując ukryć ognia w swych zielonych oczach.

- Tak, panie majorze, jest. Prowadzi prosto do sypialni mojej ciotki. Rozumiejąc sytuację, B.J. Fullerton z trudem powstrzymał się od śmiechu.

Doprawdy przedziwna dziewczyna i jakoś zabawna. On nie ma żadnych wobec niej zamiarów, a ona w środku nocy stoi tu w jego gabinecie, uśmierca go wzrokiem i daje do zrozumienia, że niechby tylko spróbował ją napastować...

- Rozumiem - powiedział - więc postaramy się w przyszłości nie budzić twojej ciotki. Proponuję zamknąć drzwi pomiędzy waszą kwaterą i resztą palazzo na stałe, żeby... hm... już nie

kusiły ciebie do kręcenia się tutaj. I oczywiście od jutra, kiedy się tu wprowadzę, będzie przed pałacem wartownik, jeżeli więc usłyszysz coś w nocy - spojrzał na nią wymownie, ale popatrzyła mu w oczy bez drgnienia - nie będziesz musiała przybiec mi na ratunek.

- Nie przyszłam panu na ratunek, panie majorze. Przyszłam zobaczyć, czy nie dostał się tu jakiś włamywacz. Moim obowiązkiem - tym razem rzeczywiście miała trudności językowe i znów musiał wysiłkiem woli powstrzymać śmiech - jest strzec tego domu.

- Z pewnością jestem ci do głębi wdzięczny za twoje staranie, Sereno. A w przyszłości niekoniecznie to będzie należało do twoich obowiązków.

- Bene. Capisco.

- Więc w porządku. - Wahał się tylko przez chwilę.

- Dobranoc.

Nie ruszyła się, żeby od niego odejść.

- A te drzwi?

- Drzwi? - Nie wiedział, o co chodzi.

- Drzwi do naszej kwatery. Czy muszą być od jutra zamknięte? - Bo to znaczyło, że będą musiały wychodzić na dwór i wchodzić po frontowych stopniach za każdym razem, gdy ktoś wezwie je dzwonkiem albo gdy będą miały coś do roboty w palazzo. Dla Marcelli rzeczywiście to utrudnienie i dla niej też niewygodne.

Ale major teraz z wolna się uśmiechnął. Już nie mógł się opanować. Ona rzeczywiście jest bardzo zabawna i taka uparta, taka dzielna i zdeterminowana.

Zastanowił się, jakie miała życie, gdzie nauczyła się angielskiego. Zdenerwowana, gdy zastał ją w gabinecie, ujawniła, że jednak mówi bardzo dobrze po angielsku.

- Myślę, że na razie ich nie zamkniemy. Bylebyś opierała się pokusie i nie wałęsała tu nocą. W końcu - powiedział patrząc na nią psotnie - mogłabyś przypadkiem wylądować w mojej sypialni, a to byłaby niezręczna sytuacja, prawda? Nie przypominam sobie, żebyś zapukała, zanim tu weszłaś.

Zobaczył jej rumieniec prawie fioletowy i po raz pierwszy, odkąd zagadnął ją po ciemku, spuściła oczy. Omal nie zrobiło mu się przykro, że jej dokuczył. I zdał sobie nagle sprawę, że jest młodsza, niż na to wygląda. Wysoka czternastolatka, która wydaje się o parę lat starsza. Chociaż z tymi Włoszkami nigdy nic nie wiadomo. I wiedział już, że osądził ją niesprawiedliwie. Ona jeszcze patrzyła na swoje praktyczne klasztorne półbuciki i ciemne pończochy, więc tylko chrząknął, podszedł do drzwi, przytrzymał je przed nią i rzekł, tym razem stanowczo:

- Dobranoc.

Wyszła nie patrząc na niego i z głową podniesioną powiedziała:

- Buona notte.

Po chwili usłyszał jej kroki na schodach i w nie kończącym się marmurowym hallu. Zobaczył, jak gasną wszystkie światła na parterze, po czym doleciało ciche trzaśnięcie jakichś drzwi daleko. Drzwi sypialni jej ciotki? Uśmiechnął się, rozbawiony.

Dziwna dziewczyna, poza tym że owszem, piękna. I raczej takie zawracanie głowy jemu niepotrzebne. Pattie Atherton czeka w Nowym Jorku na niego. Myśl o Pattie przywiodła jej obraz - w sukni wieczorowej z białej organdy, w pelerynie z niebieskiego aksamitu obszytej białymi gronostajami. Ta połyskliwa czerń włosów, ta świeża cera, wielkie niebieskie oczy lalki. Uśmiechając się poszedł do okna i popatrzył na ogród, ale teraz pomyślał nie o Pattie, tylko o Serenie mającej oczy zielone, ogromne, pełne determinacji. O czym ona myślała, gdy stała przy tym oknie? O kim? Co nie znaczy, żeby to rzeczywiście go interesowało. Serena, owszem, bardzo młoda, bardzo ładna, jest tylko jedną ze służących przydzielonych do sprzątnięcia w palazzo.

A przecież myśl o niej jakoś go trapiła, gdy rozejrzał się po swoim gabinecie, zanim poszedł do sypialni.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

- Sereno! Zostaw to! - szepnęła gwałtownie Marcella, zanim Serena zaczęła szorować w łazience przy pokoju zajmowanym przez Charlie'ego Crockmana.

- Marcello, va bene... - dziewczyna machnięciem ręki odprawiła staruszkę jak przyjacielskiego psa, ale Marcella znów spróbowała zabrać jej ścierkę. - Czy nie przestaniesz?

- Nie, nie przestanę. - Teraz Marcella ze złośliwym błyskiem w oczach, siadając na krawędzi wanny, szepnęła: - Jeżeli mnie nie usłuchasz, panienko, ja im powiem.

- Co im powiesz? - zapytała Serena. Uśmiechnęła się i odgarnęła z twarzy długie pasmo blond włosów. - Że nie umiem robić tego, co robię? Oni prawdopodobnie sami już wiedzą. - Przysiadła na piętach. Pracowała u Amerykanów od miesiąca bez mała i bardzo jej to odpowiadało. Miała co jeść i gdzie spać, mieszkała z Marcellą, swoją jedyną teraz rodziną, i to w swoim dawnym domu. Czy można chcieć więcej? - pytała siebie codziennie. Można sporo - odpowiadała sobie czasami. Ale owego „sporo” przecież nie było. A to tutaj przecież już miała. Napisała do matki Constance, że wszystko dobrze się ułożyło. Babcia umarła, ale ona znów mieszka w domu swoich rodziców w Rzymie. Okoliczności jednak nie wyjaśniła.

- No, panienko?

- Czym ty mi teraz grozisz, stara czarownico? - Kłóciły się szeptem po włosku. Jednak to była przyjemna przerwa. Serena pracowała bez wytchnienia od szóstej rano, a dochodziło już południe.

- Jeżeli nie będziesz zachowywać się godnie, ja cię obnażę! Serenę to rozbawiło.

- Ukradniesz mi całą moją garderobę?

- Jak ci nie wstyd! Nie, powiem majorowi, kim jesteś.

- Och, znowu zaczynasz. Marcello najmiłsza, prawdę mówiąc wątpię, czy major by się tym przejął. Łazienki trzeba szorować i wszystko mu jedno, czy robi to principessa czy jakaś inna, byleby się przykładała do pracy nie gorzej niż on co wieczór w swoim gabinecie. Chyba nawet by się specjalnie nie zgorszył.

- Tak ty myślisz. - Marcella popatrzyła znacząco. Serena przechyliła głowę.

- Co to znaczy? - Major polubił Marcellę i często widywała, jak ze sobą gawędzą. Parę dni temu nawet zastała Marcellę przy cerowaniu jego skarpetek. Ale sama starała się go unikać. Od pierwszego spotkania nigdy nie miała pewności co do jego dobrych intencji i wydawał jej się zbyt bystry, zbyt spostrzegawczy, by chciała mu się nawijać przed oczy. W pierwszym tygodniu po wprowadzeniu się do palazzo wypytywał o nią i zauważyła kilka razy, jak bacznie ją obserwuje.

Bogu dzięki, dokumenty miała w porządku, gdyby sprawdził. - Znowu z nim flirtowałaś?

- To bardzo miły człowiek. - Marcella wzrokiem skarciła młodą principesę, wciąż jeszcze na klęczkach w łazience Charlie'ego Crockmana.

- No to co? Nie jest naszym przyjacielem, Marcello. Jest wojskowym. Pracuje tutaj tak samo jak my. I nie jego, do diabła, rzecz, kim ja kiedyś byłam.

- On uważa, że bardzo dobrze mówisz po angielsku - powiedziała Marcella wyzywająco.

- No to co?

- To że mógłby znaleźć ci lepszą posadę.

- Nie chcę lepszej posady. Podoba mi się ta, którą mam.

- Ach... dawero? - Stare oczy zamigotały. - Naprawdę? Zdawało mi się w zeszłym tygodniu, że lamentowałaś nad swoimi splekanymi rękami. I czy to nie ty nie mogłaś zasnąć, bo tak cię krzyż bolał? I jak tam twoje kolana po szorowaniu podłóg, i nogi, i...

- Dobrze... dobrze! Wystarczy! - Serena wzdychając wrzuciła szczotkę ryżową do kubła z mydlinami. - Ale już przywykłam i chcę być tutaj. - Zniżyła głos, spojrzała błagalnie. - Cello, czy nie możesz tego zrozumieć? Tutaj jest mój dom... nasz dom - poprawiła się szybko.

Staruszka ze łzami w oczach poklepała ją po policzku.

- Zaslługujesz na coś więcej, dziecko. - Życie jest dla Sereny bardzo niesprawiedliwe - pomyślała - aż serce się ścisza. Ale wierzchem dłoni otarła łzy.

Tak właśnie zastał je, ku swemu zakłopotaniu, Charlie Crockman.

- Przepraszam - bąknął, szybko się wycofując.

- Fa niente! - zawołała Serena. Lubiła go, rzadko jednak mówiła z nim po angielsku. Nie miała mu nic do powiedzenia. Nie miała nic do powiedzenia żadnemu z nich. Poza tym, że dobrze jej tutaj. Obsesyjnie w ciągu ubiegłego miesiąca pragnęła zachować istniejący stan rzeczy, trwać przy swoich wspomnieniach. Z tą jedyną myślą chodziła po pokojach, sprzątała, pastowała posadzki, odkurzała i rankiem, gdy słała ogromne łoże majora, wyobrażała sobie, że to nadal jest łoże jej matki. Marzenia zamącały tylko zapachy lipy, korzeni i tytoniu, zapachy majora, zamiast woni róż i konwalii snujących się przed dziesięciu laty.

W ten poranek po wyszorowaniu łazienki Charlie'ego Crockmana wzięła pajdę chleba z grubym kawałkiem sera, pomarańczę i nóż, i powoli wyszła do ogrodu. Usiadła pod swym ulubionym drzewem i jedząc patrzyła na wzgórze za ogrodem.

W pół godziny później zobaczył ją tam major. Przystanął z daleka, gdy ona starannie obierała pomarańczę, a potem położyła się w trawie, podniosła wzrok na drzewo. Nie wiedział, czy chce podejść do niej, ale coś w niej wciąż jeszcze go intrygowało. Jakaś szczególna aura tajemniczości otacza tę zapracowaną młodą bratanicę Marcelli. Nadal nie bardzo wierzył w to, co

one obie mu opowiadały, ale jej papiery były w porządku i kimkolwiek była, pracowała ciężko i dobrze. Czy istotne kim ona jest? Dziwnie jednak wydawało mu się to jakoś istotne. Często wspominał, jak zobaczył ją w tamten pierwszy wieczór, stojącą w mroku jego gabinetu, patrzącą przez okno na tę właśnie wierzbę.

Wolno podszedł, usiadł cicho przy niej patrząc na jej twarz podniesioną ku drzewu i niebu, a potem ku niemu. Drgnęła, gdy go zobaczyła, i szybko usiadła, obciągnęła fartuch na spódnicę, przykryła nogi w grubych pończochach, zanim sobie pozwoliła spojrzeć mu w oczy.

- Pan zawsze mnie zaskakuje, panie majorze.

Znów zauważył, że jej angielszczyzna jest lepsza niż zwykle, i nagle chciał powiedzieć, że to on zawsze jest nią zaskoczony. Ale tylko się uśmiechnął w powiewie wrzeźniowego wiatru łagodnie przeczesującego mu jasne włosy.

- Przyciąga cię to drzewo, czy tak, Sereno?

Przytaknęła z dziecinnym uśmiechem i poczęstowała go pomarańczą. Jak na nią, ogromny krok naprzód. Ostatecznie on był żołnierzem, a od dawna przecież wszystkich żołnierzy nienawidziła. Coś w nim jednak sprawiało, że pragnęła mu ufać. Może dlatego że zaprzyjaźnił się z Marcellą. Oczy miał dobrotliwe, przyjmując połówkę pomarańczy i zaczynając rozdzielać cząstki. Ona przez chwilę miała oczy bardzo dalekie.

- Kiedy byłam mała, mieszkałam w pewnym domu... z którego mogłam widzieć drzewo... zupełnie podobne do tego. - Spłonęła rumieńcem i zrobiło jej się głupio. Patrzył na nią rozbawiony.

- Rozmawiasz z tym drzewem tutaj?

- Czasami - wyznała.

- Czy zamierzałaś z nim rozmawiać wtedy w gabinecie, kiedy cię przyłapałem? Potrząsnęła głową. Posmutniała.

- Nie, tylko chciałam je zobaczyć. Z mojego okna... - wyraźnie się pohamowała - z okna mojego pokoju widać było też drzewo.

- Tamten pokój - zapytał łagodnie - gdzie jest?

- Tu w Rzymie.

- Jeszcze zagładasz do niego? - Nie wiedział czemu, ale chciał o niej wiedzieć więcej.

Odpowiedziała wzruszeniem ramion.

- Teraz w tym domu mieszkają obcy ludzie.

- A twoi rodzice, Sereno? Gdzie oni są? - Po wojnie to pytanie niebezpieczne, zdawał sobie z tego sprawę. Odwróciła się z dziwnym wyrazem oczu.

- Wszyscy moi najbliżsi nie żyją, panie majorze. Wszyscy. -i przypomniało jej się. - Z wyjątkiem Marcelli.

- Przykro mi. - Zwiesił głowę i palcami poczochnął trawę. On nie stracił w czasie tej wojny nikogo. I jak wiedział, jego rodzina dziękowała Bogu, że jego nie utraciła. Wielu przyjaciół i znajomych poległo, ale nie jego bracia, kuzyni, wujowie czy dalsi krewni. To była wojna, która prawie nie tknęła świata, w którym żył. I wiedział, że wkrótce wróci do swojego świata. Ale jeszcze nie teraz. Teraz cieszyła go praca w Rzymie.

Przyszedł ordynans przerywając im tę rozmowę. Był telefon od generała Tarnhama, żeby major natychmiast przyjechał. Więc major szybko ruszył do palazzo, oglądając się z żalem przez ramię, i już go tego dnia nie widziała.

Gdy wieczorem powiedziała Marcelli dobranoc i położyła się w zimnej pościeli, stwierdziła, że myśli o popołudniowym interludium w ogrodzie, o tych długich smukłych dłoniach bawiących się żdźbłami trawy, o tych szerokich barach i szarych oczach. Jest szalenie przystojny, aż dziwne, że się go nie widzi w smokingu czy też na boisku piłki nożnej - myślała. Takich Amerykanów widywała w ciągu czterech i pół lat nad rzeką Hudson, tylko że daleko im wszystkim do niego!

A Bradford Fullerton akurat w tym momencie myślał o niej. Stał po ciemku przy oknie gabinetu, kurtka munduru wisiała na krześle, krawat leżał na biurku, a on patrzył na drzewo za oknem. Jeszcze widział, jak słońce odbijało się w jej oczach, gdy podawała mu połówkę pomarańczy. Nagle po raz pierwszy od długiego czasu poczuł tęsknotę fizyczną, jakiś przemożny głód, zatęsknił ciałem do tej dziewczyny, jak od dawna nie tęsknił do żadnej. Zaraz po wojnie był w domu na tygodniowym urlopie, namiętnie kochał się z Pattie, i po powrocie do Włoch rzeczywiście bez trudu dochowywał jej wierności. Dotychczas. Teraz mógł myśleć tylko o Serenie, o kształcie jej szyi, jej ramion, o jej talii tak cienkiej, jakby prawie nic nie było pod wykrochmalonym paskiem białego fartucha. Obłąd. On zaręczony z najpiękniejszą dziewczyną w Nowym Jorku nagle czuje pociąg do włoskiej służącej. Ale czy ważne, że to służąca? Wiedział, że nie, wiedział, że jej pragnie, pragnie nie tylko fizycznie - chce od Sereny czegoś więcej. Chce znać jej sekrety, odkryć, co się kryje w głębokich, tajemniczych cieniach tych ogromnych zielonych oczu.

Stał przy oknie, zdawałoby się, od wielu godzin zapatrzony w wierzbę, gdy zobaczył Serenę. Jak widmo, jak wspaniały duch przemknęła pod tym drzewem i usiadła. Długie włosy powiewały poruszane wiatrem, prawie srebrzyste w księżycowej poświacie, delikatny profil był uniesiony, jak gdyby wdychała nocne powietrze, oczy miała przymknięte. Okutana w coś, chyba w koc, wyprostowała na trawie swe długie nogi. Dojrzał, że jest bosa, i poczuł, jak wszystko w nim się napina i wyrywa do tej dziewczyny. Nieomal bezwolnie odwrócił się, wyszedł z gabinetu cicho zamykając drzwi za sobą, zbiegł na dół po marmurowych schodach. Przeszedł przez długi

jaśniepański hall do bocznych drzwi od strony ogrodu i zanim zdołał się powstrzymać, już stąpał po miękkiej trawie, już stanął za Sereną, drząc w tym wietrze, dygocząc z pożądania, ale nie bardzo wiedząc, co go pod tę wierzbę przygnało. Serena jak gdyby wyczuła jego obecność, odwróciła się i spojrzała na niego przerażonymi wielkimi oczami, nic jednak nie powiedziała. Stał przez chwilę. Patrzyła na niego i czekała, aż bez słowa usiadł obok niej na trawie.

- Rozmawiałś ze swoim drzewem? - w końcu zapytał łagodnie. Czuł przy sobie ciepło jej ciała i nie był pewny, co powiedzieć, to pytanie wydawało mu się głupie. Ale gdy spojrzał na nią teraz, zobaczył, że jej twarz lśni od łez. - Sereno, co się stało? - Długo nie odpowiadała, potem wzruszyła ramionami, unosząc dłonie, i uśmiechnęła się krzywo. Zapragnął wziąć ją w objęcia, a przecież nie śmiał. Nie wiedział, co by pomyślała. Nie wiedział nawet, co sam myśli. -Dlaczego płaczesz?

Westchnęła i prawie odruchowo oparła głowę na jego ramieniu, przymknęła oczy.

- Czasami... - powiedziała cicho w chłodnym mroku - czasami jest bardzo samotnie... po wojnie. - Otworzyła oczy. Pałały, gdy spojrzała. - Nie ma nikogo. Już nie ma.

Przytaknął powoli, usiłując zrozumieć jej ból.

- Musi ci być bardzo ciężko. -i zapytał nagle, bo już nie mógł tłamsić w sobie tych pytań. - Ile masz lat, Sereno?

- Dziewiętnaście. - Odpowiedziała głosem aksamitnym w mroku. Uśmiechnęła się lekko. - A pan?

Też się uśmiechnął.

- Trzydzieści cztery. - Nie był pewny dlaczego, ale poczuł, że ona akceptuje jego życzliwość. Jak gdyby w tamto popołudnie coś między nimi się zmieniło. Podniosła głowę z jego ramienia, a on od razu zatęsknił do tego delikatnego naporu, zatęsknił do niej rozpaczliwie, wpatrzony w jej usta, oczy, twarz. - Sereno... - Nie wiedział, jak jej to powiedzieć ani nawet co z tego chce jej powiedzieć, jakoś jednak musiał wyrazić swoje uczucia.

- Słucham, panie majorze. Roześmiał się.

- Na miłość boską, nie mów do mnie tak. - Pomyślała, że sama podobnie reaguje, gdy Marcella tytułuje ją principessą, i też się roześmiała.

- Dobrze, więc jak mam mówić? Szanowny panie? - Teraz przekomarzała się z nim raczej kobieco niż dziewczęco. Z łagodnym uśmiechem, z czułością w morskoszarych oczach popatrzył na nią przeciągle i szepnął:

- Właśnie... możesz właśnie tak mnie nazywać. - Ale zanim zdążyła odpowiedzieć, wziął ją w objęcia i pocałował, sam zdumiony swoim pragnieniem, głosem, swoją namiętnością. Przywarł do niej cały, trzymał ją mocno, nie chciał oderwać ust od jej ust, gdy rozchyliła wargi. Pożądanie

zapierało mu dech, więc w końcu, żeby odetchnąć, odsunął się powoli od niej, zwiotczalej, stopniałej nieomal w jego ramionach, wzdychającej cichutko. - Och, Sereno... - Pocałował ją znowu i tym razem ona musiała nabrać tchu. Potrząsnęła głową, jak gdyby chciała oprzytomnieć, i ze smutkiem spojrzała na niego w księżycowej poświacie. Znowu oczy jej lśniły od łez.

- Nie powinniśmy, panie majorze... nie możemy.

- Dlaczego?! - Nie był pewny, czy ona nie ma racji, ale nie chciał się opamiętać. - Sereno...

- Chciał jej powiedzieć, że ją kocha, ale to przecież idiotyzm! Kocha? Prawie jej nie zna. Jednak wiedział, że jakaś nadzwyczajna więź łączy go z tą dziewczyną.

- Nie. - Podniosła rękę, a on zaczął całować jej smukłe palce. - Nie może tak być. Pan ma swoje życie. To tutaj, to tylko Rzym - uśmiechnęła się rzewnie - rzuca czary. - Widziała fotografie Pattie Atherton w jego sypialni i na jego biurku.

Ale major myślał tylko o Serenie, patrząc na nią w poświacie, całując ją delikatnie i odsuwając, żeby znowu na nią patrzeć. Nie wiedziała, dlaczego mu pozwala, ale wydawało się, że coś jej to nakazuje i że od początku przeczuwała, że to nastąpi. A to przecież szaleństwo... Amerykanin... żołnierz? Do czego to doprowadzi? Nieomal się skrzyła na tę myśl.

- Dlaczego płakałaś, Sereno?

- Już powiedziałam dlaczego. Czułam się samotna. Było mi smutno. -i dodała: - Myślałam o... - Nie znajdowała słów. Jej świat już nie istniał. - O tym co odeszło.

- To znaczy o czym? Powiedz mi. - Chciał wiedzieć o niej wszystko. Dlaczego ona się śmieje, dlaczego płacze, kogo kocha, kogo nienawidzi i z jakiego powodu.

- Ach... - westchnęła. - Jak mogę to określić? Utracony świat... w innych czasach... pełen pięknych pań i wytwornych mężczyzn... - Pomyślała nagle o swoich rodzicach, o ich przyjaciółach, spośród których wielu już nie żyje albo uciekło. Umilkła na chwilę mając przed oczami tamte twarze przypominające się ostatnio coraz częściej. Major znowu zobaczył jej łzy.

- Nie płacz, Sereno. - Przytulił ją do siebie zapłakaną.

- Przykro mi.

- Mnie też. Przykro, że ciebie to spotkało.

I uśmiechnął się w duchu: bratanica Marcelli to bajka, raczej odbiega od „utraconego świata pełnego pięknych pań i wytwornych mężczyzn”. Długo patrzył na tę służącą o urodzie tak dziwnie nobliwej i zastanawiał się, kim ona jest rzeczywiście, chociaż wiedział, że to nie ma i chyba nie będzie miało żadnego znaczenia. Ona jest kimś szczególnym, uroczym, pragnął jej, jak nigdy dotąd nie pragnął kobiety, nawet tej, z którą był zaręczony. Nie rozumiał dlaczego, ale nie kwestionował ani tego faktu, ani stwierdzenia, że zwariował. Jak można kochać dziewczynę prawie nie znaną? A przecież wiedział, że ją kocha, i Serena w jego objęciach też o tym wiedziała. Znowu ją całował

długo i żarliwie. A potem już nic nie mówiąc wstał i pociągnął ją, by wstała także, pocałował ją jeszcze raz i wolno poprowadził do tylnych drzwi palazzo. Tam ją zostawił po ostatnim pocałunku nadal bez słowa. Patrzyła na niego przez długą chwilę, zanim cicho zamykając drzwi zniknęła w służbówce, w której mieszkała z Marcellą.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

W ciągu kilku następnych dni maja B.J. Fullerton, udęczony, wypełniał swoje obowiązki machinalnie, a Serena chodziła jak we śnie. Nie rozumiała, co ją nagle zbliżyło do majora, i nie była pewna, czy chce, żeby takie zbliżenie się powtórzyło. Już od tylu lat nie cierpiała wojen, żołnierzy, mundurów, wszelkich armii, a przecież nagle znalazła się w objęciach majora, i to upragnionego ponad wszystko. Ale czego on oczekuje od niej? Znała odpowiedź na to pytanie, czy też wydawało jej się, że zna, i zjechała się gniewnie, ilekroć pomyślała o fotografii przy jego łóżku przedstawiającej nowojorską piękność. On chciałby się przespać ze swoją włoską służącą, tylko o to mu chodzi - przypadkowa wojenna przygoda. A przecież nawet rozgniewana przypominała sobie jego objęcia i pocałunki pod wierzbą i wiedziała, że pragnie znów tak się z nim spotkać. Trudno byłoby powiedzieć, kto z tych dwojga ma minę bardziej nieszczęśliwą, gdy usiłowali się uporać ze swoją pracą.

Przy czym obserwowali ich wszyscy, a rozumiały tylko dwie osoby. Ordynans majora, Charlie Crockman, wymienił znaczące spojrzenie z Marcellą w parę dni później, chociaż żadne słowo nie padło. Major warczał na wszystkich, niczego nie załatwiał do końca, zawieruszył dwie teczki z dosyć ważnymi zarządzeniami i chociaż je odnalazł, dalej się złościł. Serena pastowała jeden i ten sam kawałek posadзки przez cztery prawie godziny, a potem odeszła zostawiając ścierki i szczotki w drzwiach frontowych, patrzyła na Marcellę jak w powietrze i położyła się spać bez kolacji.

Nie rozmawiali ze sobą od tamtej nocy pod wierzbą. Nazajutrz rano Serena wiedziała, że to sprawa beznadziejna, a major był zły na siebie, nękany poczuciem winy i lękiem. Z pewnością Serena - rozmyślał - jest niewinna pod każdym względem, z pewnością jest dziewicą i za dużo już przecierpiała, żeby jeszcze ją unieszczęśliwić wojennym romansiem z amerykańskim oficerem. W dodatku musiał myśleć o swojej narzeczonej. Ale sęk w tym, że myśl nie o Pattie zaprzętała go rankiem i wieczorem, i przez dwanaście godzin każdego dnia. Chwila za chwilą wydawała się wypełniona myślami o Serenie, aż w niedzielę rano, gdy ją zobaczył przy pracy w warzywniku Marcelli, nie mógł już znieść tego dłużej. Po prostu musiał z nią porozmawiać, wyjaśnić jej wszystko, zanim zupełnie zwariuje.

W spodniach khaki i jasnoniebieskim swetrze zbiegł na dół i z rękami w kieszeniach podszedł do niej. Wyprostowała się nad grządką zdumiona, odgarnęła włosy, żeby nie zasłaniały jej oczu.

- Tak, panie majorze? - Miał wrażenie, że w jej głosie brzmi wyrzut, ale po chwili się

uśmiechnęła, więc się rozpromienił. Szalenie rad, że ją widzi, nie przejąłby się, gdyby nawet rzuciła w niego ogrodniczą łopatę. To była męka, te wysiłki, żeby jej unikać przez długie cztery dni.

- Chcę z tobą porozmawiać. - I zapytał prawie nieśmiało: - Jesteś zajęta?

- Trochę. - Serena nagle wydawała się bardzo dorosła składając narzędzia, znów się prostując i patrząc mu w szare oczy zielonymi oczami. - Ale niespecjalnie. Chce pan, żebyśmy usiedli tam? - Wskazała małą żelazną ławkę nadal ładną, pomimo łuszczącej się farby, pozostałą z lepszych czasów. Z ulgą przyjęła jego propozycję, byli sami, nikt ich nie obserwował. Wszyscy ordynansi mieli tę niedzielę wolną. Marcella poszła do kościoła i w odwiedziny do znajomej. Ona po wcześniejszej mszy chciała zająć się ogrodem, więc staruszka nawet nie próbowała ciągnąć jej do swojej kumy. Na ulicy przed palazzo stało jak zwykle dwóch wartowników, ale poza tym byli rzeczywiście sami - major i Serena.

Podszedł z nią do ławki i oboje usiedli. Zapalił papierosa, zapatrzył się na wzgórze w dali.

- Przepraszam - powiedział. - Zachowywałem się w tym tygodniu fatalnie. Myślę, że mam lekkiego bzika. - Spojrzenie szarych oczu było szczere. Przymknęła.

- Ja też mam. Nie wiedziałam, co się dzieje.

- Gniewasz się? - Od czterech dni się nad tym zastanawiał. Może ona się zlekła. Wiedział, że sam czuje lęk, chociaż nie rozumie dlaczego.

- Chwilami się gniewałam. - Uśmiechnęła się z wolna, a potem westchnęła. - Chwilami nie. Bałam się... i miałam zamęt w głowie... i... - Spojrzała na niego, milknąc, a on znów zapragnął obejmować ją, tulić i nagle ogarnęło go pożądanie. Posiąść ją tutaj, na trawie pod drzewami, w jesiennym słońcu. Zamknął oczy, jak gdyby chwycił go dojmujący ból. Serena dotknęła jego ręki. - Co panu jest, panie majorze?

- Wszystko. - Otworzył oczy. - Nie rozumiem tego, co czuję... co się stało. - I nieoczekiwanie duchem i ciałem, całą swoją istotą wiedział, że nie zdoła z tym dłużej walczyć. - Kocham cię. O Boże... - Przyciągnął ją do siebie. - Kocham cię.

W Serenie, gdy poczuła na ustach jego wargi, też wezbrało pożądanie, ale nie tylko. Spokojnie zapragnęła należeć do niego zawsze, być jego częścią, żeby stać się całością. To było tak, jak gdyby tutaj, w siedzibie rodziców, w ich ogrodzie znalazła swoją przyszłość, jak gdyby był jej sądzony ten wysoki, jasnowłosy Amerykanin, jakby urodziła się dla niego.

- Kocham cię - wyszeptała bardzo cicho. Uśmiechała się i jednocześnie w oczach jej błyszczały łzy.

- Wejdiesz ze mną do domu? - Nie chciał wziąć jej na ręce i wnieść. Chciał, żeby wiedziała, co robi, żeby sama zdecydowała.

Zrozumiała go. Przytaknęła powoli i wstała z ławki. Oczy miała ogromne, patrząc na niego, takich wielkich oczu nigdy dotąd nie widział. Z powagą ujął jej rękę i poszli razem przez ogród, a ona czuła się dziwnie, tak jakby przed chwilą się pobrali... Czy chcesz tego mężczyznę...? Chcę... Słyszała własny głos mówiący to w jej sercu, gdy wchodzili razem do hallu i zamknął za nimi drzwi. Objął ją w pól, poprowadził na główne schody i do sypialni, kiedyś będącej sypialnią jej matki. Stała na progu i nagle zaczęła drzeć, wpatrzona w łoże z baldachimem oczami pełnymi wspomnienia i lęku.

- Nie... nie mogę... - powiedziała prawie szeptem. Przytaknął. Przecież by jej nie nakłaniał, chciał tylko przytulić ją, popieścić, całować jej aksamitną skórę.

- Nie musisz, kochanie moje... nigdy... ja nie będę ciebie zmuszał... Kocham cię. -Te słowa koziółkowały w gęstwinie jej jedwabistych włosów, gdy osunął usta na jej szyję i piersi. Delikatnie wargami rozchylił ciemną bawełnianą sukienkę, spragniony każdego cała tej białej skóry i sunącym językiem zaczął zbierać smak jak nektar, aż ona zaczęła cicho jęczeć. - Kocham cię, Sereno... Kocham cię... - To nie było kłamstwo, rzeczywiście nigdy dotąd nie zdarzyło mu się tak kochać i pożądać.

Zapominając, co powiedziała w drzwiach, podniósł ją pieczołowicie, położył na łóżku i wolno rozebrał. Nie opierała się, same jej ręce poszukały go, przywarły do niego tak, że już nie mógł walczyć ze swym przemożnym głosem.

- Sereno - wyszeptał ochryple - chcę ciebie, najmilsza... chcę... - Ale w tym szepcie było pytanie i popatrzył jej w oczy.

Przytaknęła. Ściągnął z niej resztę bielizny, leżała przed nim naga. Sam się rozebrał i już leżał przy niej, przyciskał ją do siebie. I najpierw jak najdelikatniej, potem bardziej zaborczo wsuwał się w nią coraz głębiej, dopóki nie krzyknęła z bólu. Wtedy wbił się, wiedząc, że trzeba to zrobić natychmiast, a ból minie. Tkliwie zaczął ją wtajemniczać w cuda miłości i kochali się bardzo czule do chwili, gdy ona nagle wygięła się i krzyknęła głośno, ale nie z bólu. Teraz sobie pozwolił na niepohamowanie. Poczuł, jak przesywa go strzała z gorącego złota, i uleciał w niebo pełne gwiazd. Spleceni ze sobą dryfowali po wszechświecie w nieskończoność... aż ocknął się przy niej, pięknej, jak gdyby motyl znalazł się w jego objęciach.

- Sereno, kocham cię. - Z każdą chwilą te słowa nabierały głębszego znaczenia i tym razem ona z uśmiechem kobiety ucałowała go i utuliła. Wydawało się, że upłynęły godziny, zanim zdobył się na to, by się od niej odsunąć. Uśmiechając się do tej niewiarygodnej, złocistej kobiety-dziecka, powiedział - jak gdyby dopiero co ją spotkał:

- Cześć!

Spojrzała na niego i parsknęła śmiechem. Śmiała się z wyrazu jego twarzy i z tego, co

powiedział, i z duchów odepchniętych na bok nie szorstko, ale zdecydowanie. Leżąc w łóżu swojej matki podniosła wzrok na baldachim obity niebieskim aksamitem, przypominający jej niebo w lecie.

- Ładne to, prawda? - zapytała. Też podniósł wzrok i znów się do niej uśmiechnął, ale teraz dziwnie rozpromieniona śmiała się jak psotna smarkuła. - Właśnie - pocałowała go w czubek nosa. - To zawsze było ładne.

- Co? - Nie wiedział, o czym ona mówi.

- To łóżko. Ten pokój. Uśmiechnął się łagodnie.

- Często tu przychodziłaś z Marcellą? - zapytał naiwnie, wobec czego zachichotała, już bez opamiętania. Musi mu powiedzieć teraz. Musi. Potajemnie w ogrodzie dały im ślub życziwe duchy i oni już stali się naprawdę małżeństwem w łóżu jej matki. Czas powiedzieć mu prawdę.

- Nie przychodziłam tu z Marcellą. - Spuściła głowę i sięgając po jego rękę, zastanowiła się, jak to sformułować. Po chwili znów spojrzała mu w oczy. - Ja tutaj mieszkałam, panie majorze.

- Może byś już zaczęła mówić mi Brad? Czy proszę o zbyt wiele? - Pocałował ją. Odsunęła się uśmiechnięta.

- Zgoda. Brad.

- Co to znaczy, mieszkałaś tutaj? Z Marcellą i swoimi rodzicami? Cała twoja rodzina tu pracowała?

Potrząsnęła głową, już poważna. Usiadła i nie puszczając jego ręki, owinęła się prześcieradłem.

- To była sypialnia mojej mamy, Brad. A twój gabinet był moim pokojem. Dlatego... - tak ściszyła głos, że ledwie ją słyszał. - Dlatego poszłam tam wtedy wieczorem. Kiedy pierwszy raz cię zobaczyłam... tam po ciemku... - Świdrowała go wzrokiem, gdy zapatrzył się w nią zdumiony.

- Boże, kim ty jesteś? - Długo nie odpowiadała. - No bo nie bratanicą Marcelli. - Uśmiechnął się. Od dawna to podejrzewał.

- Nie. - Nastąpiła jeszcze jedna chwila ciszy, po czym Serena wyskoczyła z łóżka i złożyła majorowi głęboki, pełen szacunku ukłon. - Mam zaszczyt się przedstawić. Principessa Serena Alessandra Graziella di San Tibaldo... - Wyprostowała się i stała piękna w pełni swego wytwornego wdzięku przed wprost zagapionym Bradem Fullertonem.

- Kto? - Ale już to usłyszał. Gdy zaczęła powtarzać, kim jest, powstrzymał ją ruchem ręki, roześmiał się. Oto więc ta włoska „służąca”, której uwieść nie pozwalało mu sumienie, „bratanica” Marcelli. Coś cudownego, szalonego, urocze wariactwo. Nie przestawał się śmiać patrząc na Serenę i ona też się śmiała, a potem znów leżała w jego objęciach na łóżu swojej matki.

- Dziwne życie prowadzisz, kochanie. - Zamyślił się. - Mieszkasz tutaj i pracujesz dla naszej armii. - Nagle przypomniał sobie, jak musiała przez ten miesiąc pracować i już mu się to nie

wydawało takie zabawne. W istocie, to wydawało się rozpaczliwie okrutne. - Jak do tego, na Boga, doszło?

Opowiedziała mu wszystko od początku, od czasów niezgody pomiędzy jej ojcem i Sergiem. Opowiedziała o śmierci rodziców, o latach w Wenecji, o ucieczce do Stanów i o powrocie. I wyznała mu prawdę, że już nie ma nic i jest nikim, jeśli nie służącą w palazzo. Nie ma pieniędzy, nie ma dobytku, nic z wyjątkiem swego pochodzenia i nazwiska.

- Kochanie, masz o wiele więcej - powiedział z czułością. - Masz czarowny dar, szczególnie rzadko spotykany wdzięk. Gdziekolwiek jesteś, Sereno, ten wdzięk ci pomaga. Jesteś kimś szczególnym, Marcella ma rację. Jesteś principessą... księżniczką... teraz rozumiem. - W tym widział wytłumaczenie jej czaru. Ona jest księżniczką... księżniczką... moją królową - pomyślał patrząc na nią tak czule, że omal się nie rozplakała.

- Dlaczego mnie kochasz, majorze? - zapytała nagle jakoś dziwnie starsza i mądra.

- Dla twoich pieniędzy. - Uśmiechał się do niej, bardzo przystojny i dziwnie młody jak na swój wiek.

- Tak myślałam. Przypuszczasz, że mam ich wystarczająco dużo?

- nie masz?

- Prawie dwadzieścia dwa dolary po ostatniej wypłacie.

- Doskonale. Już cię biorę. Tyle właśnie chcę. - Ale zaczął ją całować i oboje chcieli czegoś innego.

Znów się kochali, a potem przytulając się w milczeniu rozmyślał o tym, co przeszła, i o długiej drodze, jaką przebyła, żeby wrócić do domu, do palazzo, gdzie, chwała Bogu, ją znalazł. Nigdy jej od siebie nie puści. Ale tak rozmyślając o Serenie, spojrzał przypadkiem na fotografię uśmiechniętej brunetki w srebrnej ramce na marmurowym blacie stolika przy łożu. Serena jak gdyby wyczuła, gdzie on patrzy, odwróciła się i też spojrzała na tę fotografię Pattie uśmiechającej się teraz do nich dwojga. Nic nie powiedziała, tylko spojrzała mu w oczy pytająco. Westchnął cicho i potrząsnął głową.

- Nie wiem, Sereno. Na to jeszcze nie mam odpowiedzi.

Przytaknęła rozumiejąc, ale nagle się zaniepokoiła. A jeśli go utraci? Musi go utracić. Tamta dziewczyna należy do jego świata, tak jak ona, Serena, chyba nigdy nie mogłaby należeć.

- Kochasz ją? - zapytała łagodnie, ze smutkiem.

- Wydawało mi się, że ją kocham. Nawet bardzo.

Znów przytaknęła i nic nie powiedziała. Delikatnie uniósł jej podbródek, zmusił ją, żeby spojrzała mu w oczy.

- Zawsze będę ci mówił prawdę, Sereno. Nigdy niczego nie zataję. Jestem z nią zaręczony i,

do diabła, pojęcia nie mam, co zrobić. Ale kocham ciebie. Szczerze, uczciwie, kocham ciebie. Wiedziałem to od pierwszej chwili, kiedy zobaczyłem, jak skradasz się na palcach po ciemku w moim gabinecie. - Uśmiechnęli się do tego wspomnienia oboje. - Muszę tę sprawę przemyśleć. Nie kocham Pattie. Kochałem, bo była dla mnie częścią dobrze znanego, wygodnego świata.

- Ja nie jestem częścią tego świata, Brad.

- Nieważne dla mnie. Ty to ty.

- A dla twojej rodziny?

- Oni bardzo lubią Pattie. Co nie ma żadnego znaczenia.

- Czyżby? - Serena siłąc się na impertynencję chciała wstać, ale ją zatrzymał.

- Tak. Ukończyłem trzydzieści cztery lata. Muszę, Sereno, żyć moim własnym, a nie ich życiem. Gdybym chciał się podporządkować, już bym wyszedł z wojska i pracowałbym u któregoś z przyjaciół mojego ojca w Nowym Jorku.

- W jakiej dziedzinie? - Nagle nienasycenie ciekawa, chciała wiedzieć o nim jak najwięcej.

- W banku prawdopodobnie. Albo ubiegałbym się o jakiś urząd. Moja rodzina jest bardzo zaangażowana politycznie w Stanach.

Westchnęła ze znużeniem i z cynicznym uśmiechem sarnich oczu.

- Moja rodzina była bardzo zaangażowana politycznie tutaj. - Spojrzała na niego, smutna, mądra i odrobinę roześmiana. Był rad, że ona widzi ironię sytuacji.

- Tam jest trochę inaczej - powiedział.

- Mam nadzieję. Czy tym właśnie chcesz się zajmować? Polityką?

- Możliwe. Ale prawdę mówiąc, wolę zostać w armii. Myślę o karierze wojskowej.

- Co twoja rodzina na to? - zapytała, jak gdyby natychmiast wyczuła, że rodzina ma, czy też usiłuje mieć nad nim wielką władzę. - Im się podoba ten pomysł?

- Nie. Ale chodzi o życie. A moje życie to właśnie to. I kocham cię. Więc zawsze o tym pamiętaj. Sam chcę decydować o sobie. - Spojrzał jeszcze raz na fotografię. -i o tym także. Capisci?

Uśmiechnęła się słysząc, jak bardzo po amerykańsku on wymawia to włoskie słowo.

- Capito.

- To dobrze. - Pocałował ją i po chwili znów się kochali.

ROZDZIAŁ ÓSMY

- Co?! - Marcella nie posiadała się ze zdumienia. Przez chwilę Serena bała się, że staruszka zemdleje.

- Odetchnij. Tylko to, że ja mu powiedziałam.

- Powiedziałaś majorowi? - Teraz Marcelli chyba groził wstrząs mózgu. - Co mu powiedziałaś?

- Wszystko. O rodzicach. O tym domu. - Serena usiłowała być nonszalancka, ale to nie wyszło. Roześmiała się nerwowo.

- Co się stało, że mu powiedziałaś? - Staruszka przyglądała jej się bystro. A więc miała rację. Dziewczyna jest zakochana w tym urodziwym Amerykaninie. Oby on się z nią ożenił - pomyślała - oby Pan Bóg wysłuchał mojej modlitwy. Tylko taką mogła żywić nadzieję. Major, sądząc ze szczegółów, które obserwowała, był dobrze wychowany, prawdopodobnie z bogatej rodziny i dawno już uznała, że to przyzwoity młody człowiek.

- Po prostu powiedziałam i koniec. Rozmawialiśmy i byłabym nieuczciwa, gdybym dalej tuiła przed nim prawdę.

Żeby w to uwierzyć, Marcella była za stara i za mądra, ale przytaknęła roztropnie udając, że ją to przekonało.

- I co on powiedział?

- Nic. - Serena uśmiechnęła się w duchu... że mnie kocha... - Nie sądzę, żeby tytuły mu imponowały. Niech to diabli - powiedziała i uśmiechnęła się do Marcelli. - Nadal jestem dla niego tylko pokojówką.

- Tak? - Cella patrzyła na jej reakcję. - Tylko tym jesteś dla niego, Sereno?

- Oczywiście. No cóż... chyba jesteśmy teraz przyjaciółmi... - Te słowa przebrzmiały, Marcella rozważała je przez chwilę, po czym zdecydowała się wymusić odpowiedź na zasadnicze pytanie.

- Sereno, kochasz go?

- Czy ja go... no to przecież... - Dziewczyna się plątała i nagle zrzuciła maskę. - Tak, kocham go.

Staruszka podeszła i wzięła ją w objęcia.

- Czy on kocha ciebie?

- Chyba. Ale... - Z głębokim westchnieniem Serena uwolniła się z objęć Marcelli i zaczęła chodzić po pokoju. - To jednak nic nie znaczy, Cello. Muszę patrzeć prawdzie w oczy. On jest

tutaj... to taki rzymski romans... wojenny. I kiedyś pojedzie z powrotem... do swojego świata.

- Zabierze cię tam - powiedziała Marcella dumnie. Ostatecznie czuła się jakoś zrosnięta z tą szczególną księżniczką.

- Nie przypuszczam. I gdyby mnie zabrał, to tylko z litości. Tylko dlatego że byłoby mu przykro zostawić mnie tutaj.

- To dobrze. Więc wyjedź z nim. - Z punktu widzenia Marcelli wszystko się ułożyło. Ale Serena widziała lepiej.

- Nie taka to prosta sprawa.

- Prosta, jeżeli ty chcesz. A chcesz? Kochasz go dostatecznie, żeby z nim wyjechać?

- Oczywiście. Ale nie w tym rzecz. On ma tam swoje życie, Cello. Nie jest z tych, którzy zabierają do Ameryki swoje wojenne oblubienice...

- Oblubienica wojenna! - Marcella się poderwała. - Oblubienica wojenna? Brak ci piątej klepki. Jesteś księżniczką, czy może o tym zapominasz? Nie zapomniałaś przypadkiem powiedzieć mu i o tym? - Była wyraźnie zaniepokojona.

Serena parsknęła śmiechem.

- Owszem, powiedziałam mu. Ale to za mało. Ja nic nie mam, Cello. Już nic. Ani grosza. Co jego rodzina pomyśli, jeżeli on przyjedzie do domu ze mną? -Z dnia na dzień nabrała mądrości życiowej, Marcella jednak nie chciała słuchać jej wywodów.

- Pomyśli, że wielki szczęściarz z niego, to właśnie pomyśli!

- Być może. - Serena wątpiła. Przypomniała sobie tę twarz widywaną tak często... „Moja rodzina bardzo lubi Pattie”, zabrzmiały jej w uszach jego słowa. Czy ją, Serenę, oni tam by polubili? Wydawało się to nieprawdopodobne. Ogarnął ją wstyd, jak gdyby okryła się hańbą razem ze stryjem Sergiem i Duce. Jej ojczyzna się rozpadła, jej życie też.

Powoli Serena wyszła do ogrodu. Marcella patrzyła za nią.

Październik był dla Sereny miesiącem pięknego snu. Zorganizowali swój romans, ona i Brad, w sposób cudownie precyzyjny. Co wieczór po kolacji Brad szedł do swego pokoju, a Serena czekała w swoim. Gdy Marcella zwykle już po odejściu ordynansów kładła się spać, Serena cicho na palcach biegła do głównego hallu i na górę po marmurowych schodach do sypialni majora, gdzie on jej oczekiwał z zabawnymi opowieściami, czasem z listem od młodszego brata, z białym winem albo szampanem, z paterą ciastek, ze zdjęciami, które jej zrobił w poprzedni weekend i które razem oglądali. Zawsze było coś, czym mogli się dzielić ze sobą i cieszyć, chichocząc, rozważając, i nieuniknienie następował wkrótce cud miłości, niezliczone odkrycia i rozkosze, jakie znajdowała w jego objęciach. W końcu wszystkie fotografie Pattie zostały usunięte do gabinetu i tam już ich nie widziała. Spędzali noce w przytulnym łóżu z baldachimem, wstawali rankiem przed

szóstą, zanim w domu zaczynał się ruch. Przez chwilę patrzyli, jak słońce wytacza się nad ogród, i po ostatnim pocałunku, dotknięciu, uścisku Serena wracała do służbowej sutereny i rozpoczynali każde swój dzień. Dziwnie czuli się, jak gdyby niedawno wzięli ślub, żyli w godzinach dnia myślą o powrocie do siebie wieczorem.

Trzydziestego pierwszego października Serena zastała Brada zdenerwowanego. Odpowiadał jej wymijająco, wyraźnie się zaniepokoił, gdy go objęła, po czym gdy to skomentowała, udał, że niedosłyszał.

- Co?! - Siedział w fotelu zapatrzony w ogień na palenisku kominka i daleki, i dopiero po chwili spojrzał na nią. - Przepraszam, Sereno, co mówiłaś?

- Że chyba czymś się martwisz, kochanie - szepnęła mu w szyję. Westchnął i przytulił głowę do jej głowy.

- Naprawdę nie. Jestem tylko rozproszony.

Przyjrzała mu się uważnie i znów pomyślała: jaka to dumna twarz, jakie piękne te szare oczy. Już wiedziała, że on w dodatku do dużej inteligencji ma bardzo dobre serce. Czasami aż za bardzo. Jest człowiekiem, którego największa cnota to współczucie, i zawsze stara się rozumieć swoich żołnierzy, pomagać im. Dlatego też nieraz okazuje za mało stanowczości jak na przywódcę. Nigdy nie jest bezwzględny. Zawsze się przejmuje.

- Co cię tak rozprasza, B.J.?

Uśmiechnął się, gdy nazwała go tak, jak ogólnie go nazywano. Czyniła to rzadko. Przekomarzając się z nim, tytułowała go panem majorem. Zwykle mówiła mu po imieniu: Brad.

Patrzył teraz na nią i uznał, że jednak trzeba jej powiedzieć. Zamierzał poczekać z tym do rana, ale po co? - i tak żadna chwila nie będzie odpowiednia.

- Sereno... - Jego ton sprawił, że serce jej zamarło. Wiedziała, co ma nastąpić. On wyjeżdża z Rzymu. - Dostałem dziś rano telegram. - Słuchała z oczami zamkniętymi, żeby powstrzymać łzy. Powinna być dzielna, kiedy to usłyszy, ale wszystko się w niej trzęsło, zatrzepotała powiekami i zobaczyła odbicie swego bólu w jego oczach. - No, spokojnie, najdroższa, nie jest aż tak źle. - Wziął ją w objęcia i zaczął muskać wargami miękką złocistą przędzę jej włosów.

- Wyjeżdżasz? - zapytała zdławionym szeptem. Prędko potrząsnął głową.

- Oczywiście, że nie. To ci przyszło na myśl? - Delikatnie odsunął się od Sereny patrząc czule, a przecież ze smutkiem. - Nie, kochanie, nie wyjeżdżam. Nic urzędowego. -i zdecydował się palnąć. - To Pattie. Jest w drodze tutaj. Niezupełnie wiem dlaczego. Zawiadamia mnie, że ta podróż to prezent urodzinowy od jej ojca. Szczerze mówiąc, myślę, że jest niespokojna. Rzadko do niej ostatnio pisywałem, więc telefonowała tu co drugi dzień potem, jak... Nie wiem. Trudno mi było z nią rozmawiać. Nie zdołałem postąpić z nią honorowo. Nie wiem. Nie mam pewności, co zrobić.

Chyba powinienem był napisać do niej wiele tygodni temu, zerwać zaręczyny, ale... - Martwił się rozpaczliwie. - Po prostu nie byłem pewny.

Serena przytaknęła powoli. Czuła ból, jakby nóż wbijał jej ktoś w serce.

- Nadal ją kochasz, prawda? - Raczej stwierdziła, niż zapytała. B.J. patrzył z jeszcze większą udręką w oczach.

- Nie mam pewności. Nie widziałem jej od wielu miesięcy i to wydaje się teraz takie nierealne. Pierwszy raz przyjechałem do domu po trzech latach. Nastrój taki szampański, taki romantyczny. Jej rodzina i moja rodzina temu błogosławiły. Zupełnie jak w jakimś filmie. Nie jestem pewny, czy to ma związek z prawdziwym życiem.

- Ale zdecydowałeś się z nią ożenić? Przytaknął.

- Wszyscy tego chcieli. - Wiedział, że musi być uczciwy. -i ja tego chciałem. Uważałem to wtedy za słuszne. A teraz...

Serena przymknęła oczy i przeciągnęła się w ciepłe ognia usiłując znieść to, co przewidywała. Znów spojrzała na niego smutno, bez gniewu. Wiedziała, że nie może pokonać tej ładnej, ciemnowłosej dziewczyny. Ona już go sobie zdobyła -pomyślała - a ja jestem nikim. Pokojówką, tak jak powiedziała Marcelli. Paskudna jest w tym wszystkim oczywistość faktów.

- Wiem, co myślisz. - Żałośnie Brad zwichrzył ręką swoje już i tak potargane włosy. Zanim Serena przyszła do niego w ten wieczór, siedział przez długie godziny rozmyślając, rozważając, zadając sobie pytania, na które nie znajdował odpowiedzi. - Sereno, kocham ciebie.

- I ja ciebie kocham. I rozumiem, że to, co nas łączy, jest bardzo romantyczne, jest cudowne, ale tylko tutaj. Brad, tamto nie jest realne? Ona, jej rodzina dobrze cię znają. Ty ich dobrze znasz. Tam jest twoje życie. Czym rzeczywiście może być nasze spotkanie? Czymś na pamiątkę? Chwilą czułości? - Wzruszyła ramionami. -Właśnie to jest „jak w filmie” - przytoczyła jego określenie. - Z prawdziwym życiem nie ma związku. Nie możesz zabrać mnie tam do siebie. Nie możemy się pobrać. To z nią powinieneś się ożenić i wiesz o tym.

Oczy miała pełne łez, więc nie odwróciła się, gdy podszedł szybko i wziął ją w ramiona.

- A jeżeli ja nie chcę?

- Musisz. Jesteś z nią zaręczony.

- Mógłbym zerwać. - Sęk tylko w tym, że nie był pewny, czy tego chce. Kochał Serenę. Ale przedtem Pattie też kochał. I to z dumą, rozradowany, podniecony. Czy tak jak wtedy, czuje się teraz? W tej chwili jego uczucie do Sereny było opiekuńcze, tkliwe, chwilami prawie ojcowskie. Chciał być dla niej. Wiedział też, że co wieczór chce, żeby ona była dla niego. Zaczął już liczyć na jej spokojną obecność, jej przemyślane wypowiedzi, na momenty, gdy cicho rozważała wszystko, co on mówi. Nieraz jej uwagi pomagały mu później. Siedząc przy biurku i męcząc się z jakimś

problemem, słyszał przy sobie ten łagodny głos i śmiało ów problem rozwiązywał. Serena dawała mu siłę, o jakiej Pattie nie miała pojęcia. Serena przetrwała utratę i żal, dzięki temu stała się silniejsza i właśnie taką siłą dzieliła się z nim. U jej boku czuł się tak, jakby mógł przenosić góry, w jej objęciach znajdował namiętność przedtem mu nie znaną. Ale czy to się utrzyma do końca życia?

I czy rzeczywiście mogłby zabrać ją do domu? Tego nie był pewny. Pattie Atherton to dziewczyna z jego świata, z jego środowiska, element już utkanego gobelinu. Racja, że powinien połączyć się z Pattie. Może jednak nie? Patrząc w głębokie zielone oczy Sereny, już nie był tego pewny. Chciał mieć to, co miał, gdy ją przytulał, namiętność, ciepło, siłę, którą z nim dzieliła. Z tego nie mogłby zrezygnować. Ale może będzie musiał. - O Boże, Sereno... po prostu nie mam pewności. - Przytulił ją mocniej i poczuł, jak ona drży. - Taki ze mnie osioł. Wiem, że powinienem się zdobyć na decydujący krok. Ale to okropność, że ty wiesz, a Pattie nie wie. Powinienem przynajmniej powiedzieć jej prawdę. - Czuł się winny w stosunku do wszystkich i był w wielkiej rozterce.

- Nie, Brad, nie powinieneś. Ona nie musi wiedzieć. Jeżeli się z nią ożenisz, nie będzie potrzeby, żeby kiedykolwiek dowiedziała się o mnie. - Bo to przecież jeszcze jeden wojenny romans wojskowego z Włoszką. Na pewno roi się od takich romansów wokoło - pomyślała Serena pełna teraz zawziętości. Ale tylko przez chwilę. Odepchnęła gniew. Jakim prawem mogłaby się gniewać? Sama z własnej woli dała Bradowi swoje serce i siebie - zrobiła to, co zrobiła, wiedząc, że w jego życiu jest inna kobieta, wiedząc doskonale, że ten romans może przeminąć z wiatrem. Zaryzykowała i prawdopodobnie przegrała. Ale nie żałowała ryzyka. Kochała Brada i wiedziała, że on ją kocha, cokolwiek czuje do swojej narzeczonej.

- Kiedy ona przyjedzie?

Popatrzył w pałające zielone oczy i zaczerpnął tchu.

- Jutro.

- O Boże mój. - Więc to ich ostatnia noc. - Dlaczego mi nie powiedziałeś?

- Dopiero dziś wieczorem dowiedziałem się dokładnie. Po kolacji dostałem następny telegram.

- Chcesz, żebym już poszła? - Niewiele w tym cienkim głosie zabrzmiało brawury. Brad szybko potrząsnął głową i objął Serenę jeszcze mocniej.

- Nie... Na Boga, nie... Jesteś mi potrzebna. -i znowu poczuł się winny, zdając sobie sprawę, jak dalece jest nie w porządku. Powoli odsunął się od Sereny. -Chcesz odejść?

Tym razem potrząsnęła głową i popatrzyła mu w oczy.

- Nie.

- Och, dziecinko... - Wtulił twarz w jej szyję. - Kocham cię... czuję się takim mięczakiem.

- Nie jesteś mięczakiem. Jesteś tylko człowiekiem. Takie rzeczy się zdarzają. Przypuszczam - westchnęła wszechwiedząco - że zdarzają się co dzień. - Ale jemu dotąd nigdy nic takiego się nie zdarzyło. Nigdy dotąd nie był tak zdezorientowany. Oto są przed nim dwie upragnione kobiety na dwóch drogach, a on nie ma pojęcia, która z tych dróg jest właściwa.

- Chodź. - Serena wzięła go za rękę. Gdy spojrział na nią, wydawała mu się bardziej kobietą niż kiedykolwiek przedtem. To, że ma tylko dziewiętnaście lat, wydawało się niedorzecznością. Była stara i mądra jak czas, stojąc tam i uśmiechając się łagodnie. - Jesteś zmęczony, kochanie.

Cierpiała, ale nie okazywała tego. Dawała mu jedynie miłość i spokój, i siłę. Tę samą siłę, która pomogła jej przetrwać śmierć rodziców, i wygnanie do Stanów, i utratę ukochanej babci w czasie wojny. Tę samą siłę, która pomogła jej wrócić i mieszkać w palazzo w służbowej suterenie, szorować podłogi łazienek i nie pamiętać, że kiedyś była principessą. Teraz ona tę siłę dawała jemu. Milcząco wprowadziła go do sypialni, stanęła przy łóżu swojej matki i zaczęła powoli go rozbierać. To był ich obrzęd wieczorny: czasami on ją rozbierał, czasami tylko patrzył podziwiając pełne wdzięku, jej piękne młode ciało i długie nogi. Ale dzisiaj nie mógł oderwać od niej rąk, gdy w poświacie księżyca błyskały jak platyna jej włosy, a jego odzież leżała na podłodze, zanim się rozebrała. Raptownie podniósł ją na łóżo.

- Och, Sereno, najmilsza... tak cię kocham... - powtarzał sunąc po niej ciepłymi i zgłodniałymi wargami.

- Brad - szepnęła w poświacie i na długie godziny do wschodu słońca zapomnieli, że jest inna dziewczyna.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Major B.J. Fullerton stał, przystojny, bardzo wysoki i wyprostowany na płycie lotniska wojskowego pod Rzymem. Oczy miał trochę niespokojne, cienie znużenia świadczyły, że się nie wyspał, i gdy ! zapalał papierosa, ręce mu drżały. Idiotycznie - myślał - denerwować się przed spotkaniem z Pattie, jednak się denerwował. Jej ojciec, członek Kongresu, Atherton z Rhode Island załatwił dla niej przelot samolotem wojskowym i miała wylądować za dziesięć minut. Przez krótką chwilę B.J. żałował, że zanim wyszedł z palazzo, nie łyknął czegoś mocnego. Potem nagle zobaczył, jak samolot krąży wysoko w górze, zniża się i w końcu z gracją ląduje. Stał nieruchomo patrząc na schodzących po schodkach dwóch pułkowników i majora, potem gromadkę adiutantów, kobiety w wojskowym mundurze i... serce puściło mu się galopem. Pattie na szczycie schodków rozejrzała się, zobaczyła go i pomachała ręką, uśmiechnięta wesoło w czerwonej czapce na kruczych włosach, w futrze i w ciemnych pończochach. Schodząc dotykała poręczy wytworną małą dłonią w czarnej rękawiczce. Nawet z daleka widział, jaka jest ładna. Otóż to właśnie: ładna. Nie uderzająco piękna, jak Serena. Ale ładna z promiennym uśmiechem, dużymi niebieskimi oczami lalki, zadartym noskiem. W lecie była trochę piegowata, gdy przyjechała na wczasy do Newport, gdzie jej rodzice mieli „letni domek” o czternastu sypialniach i gdzie co rok bawiło całe towarzystwo.

Biedna mała Pattie Atherton. B.J. poczuł drżenie, patrząc na nią, chciał podbiec, tak jak ona biegła do niego, ale coś go przyhamowało. Podeszedł długim niespiesznym krokiem, uśmiechając się markotnie.

- Hej, ładniutka. Czy ja mogę pani pokazać Rzym, czy ktoś na panią czeka? - żartobliwie pocałował ją w czoło. Ze swym olśniewającym uśmiechem Miss Ameryki, zachichotała.

- Proszę, żołnierzu. Chętnie zwiedzę Rzym z tobą. - Wzięła go pod rękę, przytuliła się do niego. Omal nie przymknął oczu, tak się bał, że go zdradzą. Nie chciał się czulić, nie chciał żartować, nie chciał jej zwodzić. Chciał od razu powiedzieć prawdę tutaj na lotnisku... Pattie, zakochałem się w innej... muszę ci zwrócić słowo... z nią się ożenię... ciebie już nie kocham... Ale czy rzeczywiście? Czy on już nie kocha Pattie Atherton? Nie był tego pewny. W istocie, gdy niosąc jej walizkę szedł za tym jej futrem, był prawie pewny, że ją kocha.

Miał samochód z kierowcą i po chwili usadowili się przy sobie na tylnym siedzeniu. Nagle zarzuciła mu ręce na szyję, pocałowała go w usta tak, że pozostawiła ślad szminki czerwonej idealnie pod kolor czapki.

- Hej, mała, wolnego. - Szybko sięgnął po chustkę do nosa, gdy kierowca ustawiał walizkę

w bagażniku.

- Czemu wolnego? Przebyłam cztery tysiące mil, żeby się z tobą zobaczyć. -Oczy jej migotały trochę zanadto, jak gdyby już wiedziała, jak gdyby wyczuła, że jest jakoś inaczej. - Nie dostanę całusa za te trudy?

- Dostaniesz na pewno. Ale nie teraz. - Poglaskał ją po ręce, z której zdjęła rękawiczkę, i zobaczył iskrzący się pierścionek zaręczynowy. Zaręczył się z nią nie dawniej niż tego lata. Jeszcze daleko do Święta Dziękczynienia, a już się rozmyślił.

- Dobrze - powiedziała rzeczowo i zauważył, że wysunęła podbródek, podobnie jak to robi jej apodyktyczna matka. - Więc jedźmy do tego pałacu. Zresztą -uśmiechnęła się słodko - i tak bardzo chcę go zobaczyć. Tatuś mówi, że jest boski.

- Jest. - B.J. znów poczuł drzenie. - Ale czy nie lepiej pojechać najpierw tam, gdzie masz się zatrzymać? Jeszcze nawet nie wiem gdzie.

- U generałostwa Bryce - poinformowała zadowolona z siebie, tonem córki kongresmana Athertona. Przez chwilę nienawidził jej buty. Jakże ona się różni od delikatnej Sereny, jakże szorstka wydaje się w porównaniu z tamtą, czy to naprawdę ta sama ładna dziewczyna, z którą tak miło spędzał tyle czasu w Newport na urlopie latem? Wcale go już tak nie pociągała jak wówczas. Kącikiem oka patrzył na nią, polecając kierowcy jechać jednak do palazzo.

Patrzył na te połyskliwe fale krótkich włosów widoczne spod kosztownej czapki z czerwonej wełny.

- Pattie, co sprawiło, że przyjechałaś tu teraz? - Zasunął szybę pomiędzy nimi i kierowcą i spojrzał Pattie prosto w oczy. Miał się na baczności, chociaż nie wiedział dlaczego. - Przecież ci mówiłem, że postaram się przyjechać na Boże Narodzenie.

- Wiem. - Spróbowała być jednocześnie opryskliwa i uwodzicielska, co prawie się jej udało. Prawie. - Ale za bardzo do ciebie tęskniłam. - Pocałowała go figlarnie w szyję, znów pozostawiając ślad szminki. Jednak patrzyła na niego badawczo. Oczami zadawała mu nie wypowiedziane pytanie. - A bo co? Czy masz mi za złe, Brad, że przyjechałam?

- Ależ skąd! Tylko jestem teraz strasznie zajęty. I... - zapatrzył się w okno samochodu, pomyślał o Serenie, zanim znów spojrzał na Pattie z wymówką w oczach i w tonie głosu - powinnaś była przedtem mnie zapytać.

- Powinam? - Z uniesioną brwią znów wydała mu się uderzająco podobna do swojej matki. - Gniewasz się?

- Nie, oczywiście, że nie. - Poklepał ją po ręce. - Ale, Pattie, sześć miesięcy temu tu była strefa wojny. Mam wiele pracy. Przy tobie nie będzie mi łatwo.

Częściowo powiedział prawdę, istotną jednak przyczynę zataił. Ona chyba to wyczuła

taksując go spojrzeniem.

- No, tatuś mnie zapytał, co chcę dostać na urodziny, chciałam właśnie to. -Z lekkim wyrzutem dodała: - Naturalnie, jeżeli ty jesteś za bardzo zajęty, żeby poświęcić mi czas, generał i pani Bryce na pewno z przyjemnością oprowadzą mnie po Rzymie i zawsze mogę pojechać do Paryża. Tam także tatuś ma przyjaciół. - Mówiła to opryskliwie i małostkowo, aż ogarnęło go rozdrażnienie. Nie mógł nie dosłyszeć kontrastu pomiędzy groźbą ukrytą w słowie „tatuś” i powagą w słowach „mój ojciec” padających z ust Sereny, gdy opowiadała mu o swojej rodzinie. Co Pattie wie o takich nieszczęściach? Nic. W głowie jej tylko zakupy w eleganckich sklepach, tenis, wywczasy w Newport, przyjęcia u panien na wydaniu i brylanty, El Morocco i Stark Club, i bal po balu w Nowym Jorku i w Bostonie. - Brad - teraz Pattie spojrzała na pół gniewnie, na pół ze smutkiem - nie cieszysz się, że przyjechałam do ciebie? - Wydęła dolną wargę, duże niebieskie oczy załśniły, ale zastanowił się, czy w ogóle na coś jej rzeczywiście zależy. Podejrzewał, że jeśli już, to tylko na tym, by dopiąć swego w rozgrywce z tatusiem czy kimkolwiek innym.

Latem tego roku Pattie wydawała mu się czarująca, taka śliczna i ponętna, i o ileż zabawniejsza niż te wszystkie panny, które znał przed wojną. Ale różniła się od nich, co musiał przyznać, tylko tym, że była trochę bardziej bystra i o wiele, wiele sprytniejsza. Nagle się zastanowił: może do zaręczyn doszło w wyniku jej manipulacji? Z pewnością sprowokowała go, podsyciła jego pożądanie wtedy na werandzie letniego domu w Newport i brylantowy pierścionek wydawał mu się niską ceną do zapłacenia za ten skarb między jej zgrabnymi udami.

- No, B.J. - Nadal chciała odpowiedzi na swoje pytanie. Musiał przypomnieć sobie, że Pattie przy nim siedzi w samochodzie pędzącym ulicami Rzymu.

- Cieszę się, Pattie. Cieszę się, że cię widzę. - Ale brzmiała w tym uległość zgnębionego męża po długich latach małżeństwa. B.J. nie czuł się narzeczonym i kochankiem, patrząc na tę ładną twarzyczkę, czerwoną czapkę i futro. - Myślę, że po prostu jestem trochę zaskoczony.

- Niespodzianki są przecież miłe - zmarszczyła nos. - Ja kocham niespodzianki.

- Wiem o tym. - Uśmiechnął się do niej już łagodniej, pamiętając, jak bardzo była zadowolona z prezentów i kwiatów od niego, i kiedyś z przejażdżki powozem w poświacie księżycy, gdy wpadł na pomysł, by jej sprawić taką przyjemność. Ona też uśmiechnęła się na to wspomnienie.

- Kiedy wrócisz do domu, B.J.? - Znów ta opryskliwość. Westchnął. - To znaczy już ze wszystkim?

- Nie wiem.

- Tatuś mówi, że mógłby ci to załatwić raz-dwa, jeżeli pozwolisz. - Mrugnęła. - Czy może nawet, jeżeli nie pozwolisz. Może dałabym ci to na gwiazdkę.

Teraz zaniepokoił się panicznie. Myśl o rozstaniu z Sereną, zanim będzie gotów się z nią rozstać, zdjęła go grozą. Zaciśnął palce na ręce Pattie za mocno. Spojrzała mu w oczy, odczytała w nich, zdawałoby się, strach.

- Pattie, w żadnym razie nie rób mi tego. O moim życiu w wojsku decyduję sam. Rozumiesz? - Podniósł ochryply głos, chociaż jej oczy go mitygowały. - Rozumiesz?

- Rozumiem - odrzekła szybko. - Może nawet lepiej niż myślisz.

Nie odważył się zapytać, co ona chce przez to powiedzieć. Cokolwiek wiedziała czy podejrzewała, wolał tego jeszcze nie słyszeć. Wcześniej czy później będzie musiał z nią porozmawiać. Będzie musiał powziąć jakąś decyzję. Ale jeszcze nie teraz. Poniekąd doceniał jej spryt. Jeśli jest jakiś sposób, żeby mnie zatrzymała przy sobie - pomyślał - to właśnie jej przyjazd tutaj. Jeśli mamy się pobrać, dobrze, że ona mi o tym przypomina osobiście, zanim będzie za późno. W tej samej jednak chwili, gdy zaczął myśleć z kolei o Serenie, wjechali w główną bramę palazzo.

- Boże święty, B.J.! - wykrzyknęła Pattie olśniona. - To tutaj? - Przytaknął na pół z dumą, na pół z rozbawieniem. - Ale ty jesteś tylko majorem! - wyrwało jej się i zatkała sobie usta ręką w rękawiczce.

Parsknął śmiechem.

- Dobrze, że tak ci to zaimponowało.

Machinalnie pomógł jej wysiąść z samochodu, już zdenerwowany coraz bardziej. Chciał przecież odwieźć ją do rezydencji generała, żeby nie wprowadzać jej tutaj w biały dzień. Z pewnością natkną się na Serenę, a takiej sytuacji by nie sprostął.

- Szybko cię tu oprowadzę, Pattie, i zaraz potem ulokujemy cię u Bryce'ów.

- Mnie się nie spieszy. Spałam w samolocie przez całą drogę do Irlandii. - Uśmiechnęła się zadowolona i majestatycznie wkroczyła po stopniach prowadzących do głównego hallu. Jeden z ordynansów otworzył ogromne drzwi z brązu. Znalazła się pod wspaniałym zyrandolem. Zobaczyła fortepian i odwróciła się do B.J. stojącego za nią, wbrew sobie rozbawionego jej reakcją. - Wojna to piekło, co, majorze?

- Absolutne. Chcesz się tu rozejrzeć?

- No pewnie.

Poszła za nim po schodach, a za nią sunął wzrok ordynansów. Na swój sposób była bardzo efektowna, żaden z nich od dawna nie widział takiej kobiety jak ona. Wprost parowało od niej pieniędzmi i elitarnością. Wydawało się, że zstąpiła z fotografii w Vogue tutaj w te progi, odległe o ponad cztery tysiące mil od ich ojczyzny. Wymienili ze sobą szybkie spojrzenia. Lala pierwsza klasa, a jakże, i słyszeli, że to córka kongresmana. Gdyby stary majora nie był swego czasu

senatorem i gdyby nie wiedzieli, że w jego rodzinie też są ciężkie pieniądze, chyba by się zastanawiali, jakie ma zamiary! Ale w tym stanie rzeczy wydawało się, że ci dwoje są dla siebie stworzeni. Jeden z ordynansów tylko szepnął do drugiego:

- Rany boskie, człowieku... to ci dopiero nogi!

B.J. prowadził ją z pokoju do pokoju, przedstawiał jej oficerów i sekretarza w biurze. Potem usiadł z nią w niedużym salonie od strony ogrodu, gdzie czasami przyjmował gości, i wtedy nagle spojrzała na niego, przechyliła głowę i zadała pytanie, którego chciał uniknąć.

- Nie pokażesz mi swojego pokoju?

Już ją szybko przeciągnął przez swój gabinet, celowo jednak ominął ogromną sypialnię z antycznym łóżem pod baldachimem. - Mogę, gdybyś chciała.

- Pewnie że chcę. Przypuszczam, że jest tak okazały jak cały ten pałac. Biedny B.J. - zagruchała żartobliwie. - W takich trudnych warunkach tutaj żyjesz! I pomyśleć, ludzie litują się nad tobą, biedakiem wciąż jeszcze w Europie, chociaż wojna się skończyła!

Ale było w tym coś więcej niż żartobliwość i rozbawienie. Wiedział, że Pattie już podejrzewa i oskarża, urażona i zła. Zaczął to wyczuwać prowadząc ją przez marmurowy hall na gorze i otwierając przed nią pięknie rzeźbione dwuskrzydłowe drzwi.

- Boże święty, B.J. To wszystko dla ciebie? - Odwróciła się za szybko, więc zobaczyła, jak on się rumieni po korzonki włosów.

Nie odpowiadając podszedł do szeregu wielkich okien, otworzył jedno i wyszedł na balkon. Mruknął:

- Stąd jest ładny widok. - Ale nie o widok ogrodu mu chodziło. Tęsknił do widoku Sereny, ostatecznie to jest także dom Sereny.

- Nie miałam pojęcia, że żyje ci się tutaj tak luksusowo. - Głos Pattie doleciał do niego jak przez chmurę dymu, gdy stanęła przy nim na tym małym balkonie i popatrzyła na faliste trawniki.

- Masz mi to za złe? - Głęboko spojrzał jej w oczy, usiłując zbadać, jaka jest i co czuje. Czy rzeczywiście go kocha, czy tylko chce go mieć? Nieraz już zadawał sobie to pytanie.

- Nie mam ci za złe... jasne, że nie... tylko zaczynam się zastanawiać, czy kiedykolwiek zechcesz wrócić do domu.

- Jasne, że wrócę. W końcu.

- Ale na razie nie? - Szukała w jego łupkowoszarych oczach odpowiedzi na coś innego. Wyraźnie strapiony, odwrócił wzrok.

I nagle zobaczył Serenę siedzącą spokojnie pod swoim drzewem. Zobaczył ją z profilu i przez chwilę stał jak zahipnotyzowany. Pattie też ją zobaczyła. Zajrzała mu w oczy raptownie.

- B.J.?

Długo się nie odzywał. Nie słyszał Pattie. Widział teraz w Serenie coś nowego, coś czego przedtem nie dostrzegł, przynajmniej nie tak. Godność, powagę, piękno prawie nie wypowiedziane i uświadomił sobie, że patrzy na nią jak na odbicie nieba w spokojnej wodzie, podczas gdy przebywanie z Pattie jest ciągłym miotaniem się na falach wzburzonego morza.

- Przepraszam. - Po chwili zwrócił się do Pattie. - Nie dosłyszałem, co mówiłaś. - Ale dziwny miał wyraz oczu i w ogóle był jakiś inny.

- Kto to jest? - Oczy Pattie zaświeciły, wydęte pulchne wargi stały się natychmiast nieledwie kreską.

- Słucham?

- Nie zgrywaj się, B.J. Przecież słyszysz. Kto to jest? Twoja włoska dziwka? -W Pattie wezbrał rwący potok zazdrości. Nie wiedząc nic na pewno, omal trzęsła się, wściekła. Ale B.J. też nagle się rozgniewał. Chwyił ją swą silną dłonią za futrzany rękaw i zacisnął palce, aż dobrze poczuła ten chwyt.

- Nigdy już nie mów mi nic w tym rodzaju! To jedna z tutejszych służących. I jak większość ludzi w tym kraju przeszła piekło. Większe niż może sobie wyobrazić taka jak ty, ze swoimi pojęciami o „pracy na rzecz wojny”, balikami dla żołnierzy w organizacjach wojskowych i przesiadywaniem z przyjaciółmi co wieczór w El Morocco.

- Czy to w porządku, majorze? - Z pałającą furią patrzyła mu w oczy. - Niby dlaczego ona jest dla ciebie taka ważna, jeżeli nie jest twoją dziwką? - Wypluła to słowo, a on bezwiednie chwycił ją za drugą rękę i zaczął nią potrząsać. Gdy się odezwał, głos miał ochryply i donośny.

- Niech cię diabli, nie nazywaj jej tak!

- Dlaczego? B.J., czyżbyś się w niej zakochał? - I jeszcze jadowiciej: - Czy twoi rodzice o tym wiedzą? Czy wiedzą, co ty tutaj wyprawiasz? Sypiasz z jakąś cholerną Włoszczką na posługach?

Zamierzył się, żeby ją uderzyć, ale w porę się powstrzymał, drżący i blady, gdy odruchowo spojrział na ogród i zobaczył, że Serena stoi przed balkonem przerażona, ze łzami w oczach.

- Sereno! - zawołał, ale od razu zniknęła. Poczul w sercu nóż bólu. Co Serena słyszała? Szpetne oskarżenie, które rzuciła Pattie, z wściekłością zadane pytanie, czy wiedzą jego rodzice, i te słowa „z jakąś cholerną Włoszczką na posługach”? Czuł zgrozę nie tylko dlatego, że Serena mogła to usłyszeć. Nagle sobie uświadomił, że Pattie Atherton wcale już go nie obchodzi. Puścił ją i cofnął się ostrożnie.

- Pattie - powiedział ponuro. - Jeszcze nie wiedziałem o tym, kiedy mi przysłałaś telegram, że przyjedziesz. Gdybym wiedział, poprosiłbym cię, żebyś nie przyjeżdżała. Ożenię się z tą dziewczyną. Ona nie jest taka, jak myślisz. Ale to rzeczywiście nie ma znaczenia. Kocham ją.

Przepraszam, że dopiero teraz ci to mówię.

Pattie Atherton patrzyła na niego wstrząśnięta, przerażona. Z wolna potrząsnęła głową i ze łzami w oczach wykrzyknęła:

- Nie! Nie możesz mi tego zrobić, ty łotrze cholerny! Ja ci nie pozwolę! Zwariowałeś, żeby żenić się ze służącą? Co będziesz robił? Zostaniesz tutaj? Do Nowego Jorku nie możesz jej zabrać, rodzice by się ciebie wyrzekli i dla wszystkich byłbyś żenujący... - wykrztusiła, a łzy już spływały jej po policzkach.

- Nie w tym rzecz, Pattie. Chodzi o moje życie, a nie moich rodziców. I ty sama nie wiesz, o czym mówisz. - Teraz miał głos spokojny i stanowczy.

- Wiem, że ona jest tu jedną ze służących. Przytaknął i spojrzał na Pattie przeciągle.

- Nie chcę, Pattie, dyskutować z tobą na ten temat. Chodzi o nas dwoje. Przykro mi, latem popełniłem błąd. Ale chyba ani ty, ani ja nie bylibyśmy szczęśliwi, gdybyśmy się pobrali.

- Więc zostawisz mnie na lodzie, czy tak? - Piskliwie roześmiała się przez łzy. - Tak po prostu? A potem co... przywieziesz tę swoją kurewkę do domu? Jezu, B.J., ty chyba rozum postradałeś! - Zmrużyła oczy. - Czy może ja, skoro wierzyłam w te wszystkie trele-morele, którymi mnie raczyłeś. W te brednie, jak bardzo mnie kochasz!

- Kochałem... wtedy...

- A teraz nie? - Wyraźnie chciała go uderzyć, tylko nie śmiała. B. J. trzymał się dobrze. Miał pewność.

- Kochałem cię nie dosyć, żeby się z tobą ożenić. - Mówił łagodnie wbrew wszystkiemu, co powiedział przedtem. - To byłaby straszna pomyłka.

- Och, rzeczywiście. - Ściągnęła z palca i wetknęła mu w rękę pierścioneł. - Myślę, że dopiero teraz popełniłeś straszną pomyłkę, koleżko. Ale pozwolę ci samemu się o tym przekonać.

Już milcząc wszedł za nią do pokoju, gdzie zobaczyła swoją fotografię, którą w przypływie tchórzostwa postawił na dawnym miejscu. Podeszła, wzięła tę fotografię w srebrnej ramce i cisnęła o ścianę. Brzęk szkła przerwał ciszę pomiędzy nimi. B.J. patrzył, jak ona płacze. Po chwili położył jej ręce na ramionach.

- Przepraszam, Pattie.

- Idź do diabła! - zakręciła się na pięcie i stanęła z nim twarzą w twarz. Niegodziwie, jak gdyby wymierzyła cios, powiedziała: - Obyś zgnił. W istocie, panie B.J. Fullerton, jeżeli będę mogła kiedykolwiek przyczynić się do zgnojenia twojego życia, jak ty zgnoiłeś moje, z radością to zrobię.

- Nie mów takich rzeczy, Pattie. - Współczuł jej, chciał wierzyć, że ona tak nie myśli.

- Dlaczego? Wydaje ci się, że nie mówię poważnie?

- Mam nadzieję, że nie.

Był bardzo przystojny. Nienawidziła go, przyglądając mu się po raz ostatni.

- Nie oszukuj się, B.J. Ja nie jestem puszczalską makaroniarą. Nie spodziewaj się, że padnę ci do nóg i zacznę błagać... nie spodziewaj się też, że ci przebaczę. Ja ci nie przebaczę! - To mówiąc odwróciła się i wyszła z pokoju.

Zszedł za nią na dół bez słowa i dopiero w głównym hallu powiedział, że pojedzie z nią do Bryce'ów, ale z zimną wściekłością potrząsnęła głową.

- Każę twojemu kierowcy, żeby mnie tam zawiózł. B.J., nie chcę ciebie widzieć. Już nigdy.

- Zostaniesz parę dni w Rzymie? Może moglibyśmy jutro porozmawiać trochę spokojniej? Nie musimy rozstać się jak wrogowie. Wiem, Pattie, że to bolesne, ale naprawdę tak będzie lepiej.

- Nie mam ci już nic do powiedzenia, B J. Ty skunksie, ty wszarzu. - Łzy spływały z jej przepelnionych oczu. - Nienawidzę cię! I jeżeli myślisz, że zachowam to w sekrecie, bardzo grubo się mylisz. - Znow zmrużyła oczy nienawistnie. -Wszyscy w Nowym Jorku będą wiedzieli, co ty tutaj wyprawiasz. Bo im powiem. Więc jeżeli przywieziesz tę dziewczynę ze sobą, niech ci Bóg pomoże. Wyśmieją cię tak, że uciekniesz gdzie pieprz rośnie!

B.J. patrzył na nią, wyraźnie się jej nie bojąc, ale to, co mówiła, go rozgniewało.

- Nie rób nic - powiedział - czego będziesz później żałować.

- Właśnie to ktoś powinien powiedzieć tobie, zanim dałeś mi takiego kopniaka. Minęła go i wyszła z palazzo. Głośno trzasnęła drzwiami.

Stał jeszcze przez długą chwilę zastanawiając się, czy pójść za nią, i wiedząc, że nie zdoła. Ordynansi dyskretnie zniknęli, gdy usłyszeli, że oni schodzą do hallu. W ciszy B.J. ostatecznie wrócił na górę. Musiał przemyśleć to, co się stało, ale już i tak był pewny, że nie żałuje. Nie kocha Pattie. To oczywiste. Kocha Serenę. Tylko że Bóg jeden wie, co Serena usłyszała z krzyków Pattie na balkonie. Przypomniawszy sobie te krzyki i nagle pojął, że nie ma ani chwili do stracenia. Natychmiast trzeba z Sereną porozmawiać!

Ale gdy wyszedł z gabinetu, żeby jej poszukać, zatrzymał go sekretarz. Pilny telefon z kwatery głównej w Mediolanie. Dopiero w dwie godziny później miał czas dla siebie.

Pobiegł do sutereny. Zapukał do drzwi. Gwałtownie je otworzyła Marcella.

- Serena! - Zapłakana, z chustką do nosa w ręce, zdenerwowała się na widok majora jeszcze bardziej.

- Nie ma jej tutaj? - Przeraził się, bo Marcella potrząsnęła głową, znow płacząc.

- Nie. - I zalała go potokiem niezrozumiałych włoskich słów, aż musiał ją uciszyć, łagodnie przytrzymać oburącz jej roztrzęsione starcze ramiona.

- Marcello, gdzie ona jest?

- Non so... Nie wiem.

Nagle dostał obuchem w głowę, gdy staruszka płacząc jeszcze rozpaczliwiej wskazała mu pokój Sereny.

- Wzięła swoją walizkę. Wyjechała.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Prawie przez godzinę major siedział u Marcelli debatując z nią, co się stało i dokąd Serena mogła pojechać. Niewiele miejsc mu przychodziło do głowy. Z pewnością nie pojechałaby do domu swojej babki w Wenecji kupionego przez obcych ludzi, a o ile Marcelli było wiadomo, innych możliwości nie miała. Żadnych krewnych ani przyjaciół. Chyba - przypuszczał major - wyruszyła z powrotem do Stanów. Ale to przecież nie jest wycieczka, na którą można wyruszyć w każdej chwili. Musiałaby uzyskać nową wizę, załatwić formalności. Może więc zatrzymała się gdzieś w Rzymie, żeby jutro od rana się tym zająć. Trzeba by zatelefonować do ambasady i sprawdzić, to jednak będzie możliwe dopiero jutro. Na razie nic nie da się zrobić. Ogarnęło go uczucie bezsilności i pustki.

Wypytywał Marcellę, dopóki tej starej chłopce nie zaschło w gardle. Serena przybiegła do suterenu drzwiami od strony ogrodu i zamknęła się w swoim pokoju na klucz. Marcella wiedziała, że na klucz, bo próbowała tam wejść, gdy usłyszała, że ona płacze.

W pół godziny później Serena wyszła ze swojego pokoju blada, z walizką w ręce. Powiedziała Marcelli po prostu, że wyjeżdża, i w odpowiedzi na łzy i błagania staruszki wyjaśniła tylko, że nie ma wyboru. Z początku Marcella myślała, że major ją zwolnił - mówiąc to spojrzała na majora z ukosa bardzo przepraszająco - czy też w każdym razie, że ona wyjeżdża z jego powodu. Ale Serena zapewniła, że nic podobnego, wyjeżdża, bo musi natychmiast wyjechać z Rzymu! Marcella zastanawiała się, czy grozi jej jakieś niebezpieczeństwo. Trudno było poznać, czy to tylko zdenerwowanie, czy również i strach. Tak czy owak, obie płakały i Serena po serdecznym pożegnaniu uciekła. Marcella szlochała już od paru godzin, gdy usłyszała pukanie majora, któremu otworzyła z nagłą nadzieją, że może Serena się rozmyśliła i wraca.

- Nic więcej nie wiem, panie majorze - znowu płacząc chwyciła za rękaw tego współczującego młodego Amerykanina. - Dlaczego ona wyjechała? Perchś? Non capisco.

Major mógł tylko szukać słów pociechy. No bo czyż można to wyjaśnić? Nie można. Musiał swoje piekło przeżywać sam.

- Marcello, proszę, posłuchaj. - Staruszka załkała jeszcze głośniejsze. - Psst... chcę coś powiedzieć. Przyrzekam, ja ją znajdę. Domant uado a trovarla.

- Ma dove? Ale gdzie? - Lamentowała beznadziejnie. Przez tyle lat nie widziała Sereny, teraz ją miała u siebie i znów ją utraciła.

- Non so done, Marcello. Nie wiem gdzie. Ale znajdę.

Uściskał starą służącą i cicho wrócił na górę. Siedział w mroku nieskończenie, zdawałoby

się, długo i rozpamiętywał wszystko, przypominał sobie urywki rozmów z Sereną. Ale chociaż głęboko grzebał w tych wspomnieniach, nic z nich nie wynikało. Serena ma na świecie tylko Marcellę - tym bardziej druzgocząco bolesne musiało być dla niej rozstanie z tą staruszką, odejście z jedyne domu, jaki miała. Pełen poczucia winy znów zaczął roztrząsać swoją kłótnię z Pattie. Jak to brzmiało z daleka? Co Serena myślała patrząc na nich dwoje, widząc ich razem i słuchając gniewnych wymysłów Amerykanki?

W końcu zrezygnował ze znalezienia odpowiedzi na te niezliczone kłębiące się pytania. Pozostaje mu tylko czekać - i czekać. Wszedł do sypialni, zapatrzył się w łożę. Tej nocy niechętnie położył się pod niebieskim atlasowym baldachimem, straszliwie samotny bez tej, którą kochał. Co będzie, jeżeli jej nie odnajdziesz? -zapytał siebie. Będę jej szukał aż do skutku - odpowiedział. Przecheszę całe Włochy, i Szwajcarię, i Francję. A potem Stany. Żeby ją odnaleźć - zrobię wszystko, więc na pewno ją odnajdę i wtedy powiem jej, że ją kocham i oświadczę się. Był całkowicie pewny miłości do Sereny, nawet przelotnie nie pomyślał o Pattie, leżąc bezsennie, zastanawiając się raz po raz, dokąd Serena wyjechała.

Dopiero o wpół do szóstej rano, gdy doleciało skądś daleko pianie koguta, usiadł raptownie w łóżku i wyjrzał przez okno ze zdumieniem.

- Boże! - Jakże mógł o tym nie pamiętać. Przecież ta odpowiedź powinna mu się nasunąć od razu.

Błyskawicznie wstał, pobiegł do łazienki, wykąpał się, ogolił i za dziesięć szóstą był już ubrany. Zostawił kartkę dla sekretarza i swoich oficerów z wyjaśnieniem, że wezwano go w ważnej, nie cierpiącej zwłoki sprawie, przy czym poprosił sekretarza, żeby „świecił za niego oczami”. Zostawił memoranda w widocznym miejscu, włożył grubą kurtkę i zbiegł do sutereny. Musiał porozmawiać z Marcellą. Ku swojej uldze zobaczył w szparze pod jej drzwiami światło. Zastukał cicho dwa razy i po chwili staruszka mu otworzyła, zdziwiona i zdezorientowana, widząc go po cywilnemu, a nie jak zawsze dotąd w mundurze.

- Co, panie majorze? - cofnęła się, żeby wszedł, ale z ciepłym uśmiechem potrząsnęła głową.

- Marcello, chyba wiem, gdzie ją znajdzie. Tylko potrzebuję pomocy. Ta farma w Umbrii... którą tam się jedzie?

Marcella jeszcze wyraźniej zaskoczona patrzyła na niego przez długą chwilę. Zmarszczyła brwi, pomyślała, aż w końcu przytaknęła. Już i jej oczy błyszczały nadzieją.

Przyniosła ołówek, arkusz papieru, gestem poleciła majorowi usiąść.

- Pan sobie zapisze to, co powiem.

Usłuchał skwapliwie i w kilka minut później wyszedł z tym papierem w kieszeni. Pomachał jeszcze ręką do Marcelli biegnąc w stronę szopy, gdzie miał jeepa, którym jeździł bez kierowcy,

jeżeli nie korzystał ze służbowej limuzyny. Marcella ze łzami nadziei patrzyła za odjeżdżającym.

Jazda z Rzymu do Umbrii była długa i męcząca. Na kiepskich szosach poranych głębokimi koleinami roło się od pojazdów wojskowych, od piechurów, od wozów z drobiem, z obfitością owoców i sianem. Wszędzie jeszcze pozostały ślady wojennych spustoszeń i nieraz B. J. myślał, że ani on, ani jego jeep nie wyjdą z tego cało. Gdyby sam tylko jeep nie wytrzymał, to on mając przy sobie swoje wojskowe dokumenty mógłby zarekwirować każdy samochód na szosie, żeby dojechać na farmę.

Ale wciąż jeszcze swoim jeepem, już po zapadnięciu zmroku, skręcił na nie używaną, wyboistą wiejską drogę, która biegła w kierunku podanym mu przez Marcellę. Po chwili jednak zaczął wątpić, czy to rzeczywiście ten kierunek. Jakoś nic teraz się nie zgadzało z opisem na kartce, więc zatrzymał jepea w ciemnościach. Nie było nawet księżycy, żeby się zorientować, ciemne chmury pędziły po niebie, gdy spojrzał w górę. Wyteżając wzrok rozejrzał się wokoło. Ostatecznie wypatrzył daleko na horyzoncie za jeepem kępę budynków skupionych, jak gdyby dla rozgrzewki, i zmęczony, z przeciągłym westchnieniem pojął, że to właśnie jest ta farma.

Zawrócił i skręcił na inną wąską, wyboistą drogę, biegnącą z drugiej strony szosy w tamtym kierunku. Wśród wybujałych krzaków rozchlapując kałuże i podskakując na wybojach, dojechał do dużego placu czy też podwórza. Naprzeciw niego stał duży dom, na prawo szereg stodół czy obór, na lewo koliście rozciągał się sad. Nawet o zmroku widać było, że to duża farma, i że jest opuszczona. Dom ciemniał zaniedbany i pusty, drzwi stodół odpadały od zawiasów, w szparach bruku na podwórzu rosła trawa wysoka aż do pasa, a to, co kiedyś było rolniczym wyposażeniem, połamane, zardzewiałe niszczało w sadzie, którym wyraźnie nikt od lat się nie zajmował. B.J. długo patrzył i zastanawiał się, co teraz zrobić. Wrócić do Rzymu? Pojechać do najbliższej wioski czy na najbliższą farmę? Tylko że tu, gdzie okiem sięgnąć, pustkowicie. Nie ma nic, nie ma nikogo. Sereny na pewno nie ma. Nawet gdyby tutaj szukała schronienia, przecież nie mogłaby zostać. Ze smutkiem popatrzył ostatni raz na stodoły, a potem na dom i nagle w ciemnościach coś przemknęło mu przed oczami w jeszcze ciemniejszy róg podwórza. Zwierzę? Kot? Złuda? Czy może ktoś, kogo przeraził swoim wtargnięciem? Zdając sobie sprawę, jakim wariactwem jest ta samotna eskapada, powoli zaczął cofać się w stronę jepea. Wciąż przy tym patrzył tam, gdzie owo coś zobaczył. Stał przy jeepie, pochylił się, wyciągnął pistolet i odbezpieczył. Teraz ruszył przed siebie z nie zapaloną latarką elektryczną w drugiej ręce, prawie pewny, gdzie zobaczył ten ruch. Teraz wypatrzył w rogu dziedzińca za krzakiem coś skulonego. To szaleństwo, wiedział, doprowadzić do starcia, może nawet ponieść śmierć bez żadnego powodu na jakiejś opuszczonej farmie, wśród włoskiego pustkowia, w sześć miesięcy po wojnie tylko dlatego, że szuka pewnej dziewczyny. Ostatecznie wojnę przeżyłem - myślał - co za ironia, gdybym poległ tutaj. Serce mu łomotało, ale skradał się

wzdłuż domu.

W niewielkiej odległości od tego rogu wcisnął się w wąską wnękę i wysunął rękę z latarką jednocześnie ją zapalając. Z pistoletem już wycelowanym zmrużył oczy, przez chwilę oślepiony światłem latarki tak samo jak jego ofiara, a potem się przeraził. Taki kot? Ktoś krył się zgarbiony w czapce nisko zsuniętej na oczy i ręce trzymał podniesione.

- Wyjdź stamtąd! Jestem z armii amerykańskiej! - Mówiąc to BJ. poczuł się trochę głupio, ale nie wiedział, co powiedzieć innego. Zobaczył, jak ta postać, wysoka, kanciasta w granatowym płaszczu występuje naprzód i nieruchomieje.

- Hurra! - Wrzasnął uśmiechnięty teraz od ucha do ucha. To była Serena. Stała wielkooka, blada ze strachu, a potem ze zdumienia, gdy się zbliżał.

- Chodź tu, do licha! Powiedziałem, żebyś stamtąd wyszła. - Nie czekał, żeby się odezwała, podbiegł do niej i zanim zdążyła wykrztusić bodaj słowo, zamknął ją w objęciach. - Niech cię diabli, ty wariatko! Mogłem cię zastrzelić!

Zielone oczy iskrzyły się w świetle latarki, gdy patrzyła na niego, jeszcze osłupiała.

- Jak mnie znalazłeś?

Pocałował ją w jedno oko, i w drugie, i w usta.

- Nie wiem. Przyszło mi to na myśl dziś rano. Marcella podała mi trasę. - Zmarszczył brwi patrząc na nią. - Nie powinnaś była tego robić, Sereno. Zamartwialiśmy się o ciebie.

Potrząsnęła głową i odsunęła się od niego.

- Musiałam. Nie mogłam tam być ani chwili dłużej.

- Mogłaś zaczekać, żeby porozmawiać ze mną. - Trzymał ją za rękę, chociaż odeszła o parę kroków, popychając kamyk na ziemi.

- Nie ma o czym rozmawiać. Prawda? - W jej spojrzeniu był cały ten żal, który sprawił, że wyjechała z Rzymu. - Słyszałam, co ona mówiła o mnie, o twojej rodzinie. Ma rację. Jestem tylko twoją włoską dziwką... służącą... - Powiedziała to spokojnie. Uścisnął jej rękę.

- Ona jest wredna. Teraz już wiem. Dotychczas nie widziałem tego jasno. Przekręca fakty. Jest zazdrosna, po prostu.

- Powiedziałeś jej o nas?

- Nie musiałem. - Uśmiechnął się łagodnie i długo milczeli w ciemnościach. Coś niesamowitego miała w sobie ta samotność we dwoje na opuszczonej farmie. - Chyba kiedyś to była nie byle jaka posiadłość.

- Owszem. - Uśmiechnęła się do niego. - Kochałam tę farmę. Była idealnym miejscem dla dziecka. Krowy, świnie i konie, i mnóstwo życzliwych ludzi na polach, owoce w sadzie, woda niedaleko, żeby popływać. Najmilsze wspomnienia z dzieciństwa mam właśnie stąd.

- Wiem. Pamiętam. - Popatrzyli na siebie wymownie. Serena westchnęła. Jeszcze nie mogła uwierzyć, że ją znalazł. Takie rzeczy zdarzają się tylko w książkach i w filmach, nie w prawdziwym życiu, a jednak stoją tu sami we dwoje o miliony mil od cywilizacji.

- Twoja narzeczona nie będzie się gniewać, że wyjechałeś z Rzymu? - Spojrzała na niego dziwnie. Potrząsnął głową.

- Nie bardziej niż wtedy, gdy zerwałem zaręczyny.

- Dlaczego to zrobiłeś, Brad? - zapytała zgorszona, omalże zła. - Czy ze względu na mnie?

- Ze względu na siebie. Kiedy ją zobaczyłem, wiedziałem już, co do niej czuję. - Znowu potrząsnął głową. - Nic. Czy też cholernie prawie nic. Złakłem się. To straszna dziewczyna, krętaczka, intrygantka. Byłem jej do czegoś potrzebny. Nie jestem pewien do czego, ale zrozumiałem to, kiedy się wypowiadała. Chciała, żebym był marionetką, tak myślę, żebym zajął się polityką, jak jej ojciec i mój, i dał jej wysoką pozycję, pole do manipulowania. Jest w niej jakaś niewiarygodna płycizna, Sereno. I kiedy ją zobaczyłem, miałem odpowiedź na wszystko, z czym ostatnio się biedziłem. Na wszystko, tylko w tej pierwszej chwili jeszcze o tym nie wiedziałem. A potem ona zobaczyła, jak patrzę na ciebie, i także wiedziała. Wtedy właśnie słyszałaś ją, Sereno.

- Okropnie się rozgniewała. Brad, aż bałam się o ciebie. - Wyglądała bardzo młodo, stojąc przed nim na tym podwórzu. - Bałam się. - Przymknęła oczy. - Musiałam uciec... myślałam, że jeżeli zniknę, to ułatwi ci... - Urwała, gdy znowu wziął ją w ramiona.

- Czy ostatnio mówiłem, że cię kocham? Uśmiechnęła się i przytaknęła.

- Myślę, że to chciałeś mi powiedzieć, kiedy tu przyjechałeś. - Zadumała się. -Więc z nią skończone?

- Tak, i teraz możemy zacząć poważnie.

- Już zaczęliśmy poważnie. - Zrzuciła mu ręce na szyję. Delikatnie pogłaskała ją po włosach.

- Chcę się z tobą ożenić Sereno. Wiesz o tym, prawda? Ale ona spokojnie potrząsnęła głową.

- Nie.

To było proste słowo. Spojrzał na nią z uśmiechem.

- To znaczy, że nie wiesz?

- Nie. To znaczy, że kocham cię całym sercem, więc nie wyjdę za ciebie. Nigdy - powiedziała tak stanowczo, że się przestraszył.

- Dlaczego, do diabła, nie?

- To byłoby dla ciebie krzywdzące. Z wyjątkiem serca nie mam ci co dać. Tobie potrzebna jest kobieta taka jak ona, z twojego świata, z twojej sfery, z twojego kraju, taka, która zna twoje

zwyczaję, taka, która potrafi ci pomóc, jeżeli kiedyś zdecydujesz się zająć polityką. Ja bym tylko była kulą u nogi... włoska wojenna żona... służąca... - Słowa Pattie wciąż jeszcze brzmiały jej w uszach. - Włoska dziwka... inni też zaczęliby mnie tak nazywać.

- Akurat! Sereno, czy nie zapominasz, kim jesteś?

- Wcale nie zapominam. Ty pamiętasz, kim byłam. Ja już tym kimś nie jestem. Słyszałeś, co powiedziała Pattie.

- Przestań! - Ujął ją za ramiona i lekko nią potrząsnął. - Jesteś moją principessą.

- Nie. - Nie odrywała oczu od jego oczu. - Jestem twoją pokojówką. Przyciągnął ją do siebie, zastanawiając się, czym ją przekonać.

- Sereno, kocham cię. Szanuję cię w każdej postaci. Jestem z ciebie dumny, do cholery jasnej! Nie pozwolisz mi decydować samemu, co dla mnie dobre?

- Nie. - Uśmiechała się do niego z czułością i smutkiem. - Nie wiesz, co robisz. Więc ci nie pozwolę.

- Nie sądzisz, że moglibyśmy kłócić się o to później? - uśmiechnął się, pewny, że w końcu ją przekona, ale zdawał sobie sprawę, że po wielogodzinnym prowadzeniu jeepa jest wyczerpany. - Czy znajdzie się tu gdzieś dla nas jakiś nocleg? Czy może postanowiłaś już nie sypiać ze mną?

- Na oba pytania odpowiadam: nie. - Uśmiechnęła się do niego nieśmiało. - Nie ma tu żadnego łóżka w promieniu wielu mil. Zamierzałam przespać się w stodole.

- Czy w ogóle jadłaś coś dzisiaj? - zatroszczył się. Potrząsnęła głową.

- Niewiele. Przywiozłam ser i salami, ale wykończyłam je rano. Zamierzałam pójść jutro na targ w miasteczku. Dziś wieczorem byłam strasznie głodna.

- Chodź. - Objął ją ramieniem i wolno poprowadził do jeepa. Otworzył drzwiczki, pomógł jej wsiąść, po czym wyciągnął plecak, w którym miał kilka zabranych w ostatniej chwili kanapek. Były też jabłka, kawałek ciasta i tabliczka czekolady.

- Co? Nylonów nie ma? - zapytała z uśmiechem, pałaszując kanapkę.

- Nylony dostaniesz, jeżeli wyjdiesz za mnie.

- Och - wzruszyła ramionami, rozparła się na siedzeniu. - W takim razie muszę poprzestać na czekoladzie.

- Rany boskie, ależ ty jesteś uparta.

- Tak - potwierdziła Serena dumnie. A B.J. znów się uśmiechnął.

Tej nocy spali w jeepie swobodnie objęci, nogi mieli zdrętwiałe, ale serca lekkie. Odnalazł ją, wszystko było dobrze i zanim zasnęła, zgodziła się wrócić z nim do Rzymu. O wschodzie słońca zjedli po jabłku, umyli się przy studni, po czym pokazała mu całą tę farmę, którą kochała w dzieciństwie, gdy życie było tak zupełnie inne. Całując ją przed starą oborą, przyrzekł sobie, że

czegokolwiek mogłoby to wymagać, wreszcie ją przekona i będzie ją miał na zawsze.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Gdy Serena nazajutrz wróciła do Rzymu, Marcella już spała. Serena zostawiła walizkę w małej sieni na znak, że jest z powrotem, i cicho poszła z B.J. na górę do dobrze znanego łóżka. Kochali się tak, jak nie odważyli się kochać na szosie, i znowu była szczęśliwa w jego objęciach. Fotografie Pattie zniknęły definitywnie, czuła się wolna, pełna radości życia. Następnego dnia rano Marcella zrobiła jej • piekielną awanturę o tę ucieczkę. Wymyślała wniebogłosy przez dwie prawie godziny, groziła, że jej porządnie natrze uszu, po czym rozplakała się i przytuliła ją błagając, żeby już nie wyjeżdżała.

- Nie wyjadę. Przrzekam ci, Cello. Zawsze już będę tutaj.

- Nie zawsze. - Spojrzała na nią tajemniczo, i- Bądź tu tylko tak długo, jak długo powinnaś być.

- Powinam być tu zawsze - powiedziała spokojnie Serena. - Przynajmniej w Rzymie, tu jest moje miejsce. - Dawno przestała myśleć o powrocie do Stanów Zjednoczonych.

- Może jednak nie aż tak zawsze. - Marcella znów na nią spojrzała.

- Nie wiem, o czym mówisz, i chyba nie chcę wiedzieć. - Serena odeszła, żeby nalać kawę. Doskonale wiedziała, co Marcella ma na myśli.

- On cię kocha, panienko. - Ten głos był stary i mądry. Serena odwróciła się do Marcelli.

- Ja też go kocham. Na tyle, by nie zrujnować mu życia. Zerwał zaręczyny z tą Amerykanką. Myśli, że są po temu powody, i może ma rację. Ale ja za niego nie wyjdę, Cello. To byłoby złe. To by mu zrujnowało życie. On bardzo liczy się ze swoją rodziną, która przecież by mnie znienawidziła, obcą Włoszkę, zupełnie dla nich niezrozumiałą. Więc bez względu na to, co ci powiedział i co ty myślisz, moja odpowiedź brzmi: nigdy. Już mu to mówiłam i teraz mówię tobie, Marcello. Chcę, żebyś to pojęła. Musisz się z tym pogodzić tak samo jak ja. Ja już się z tym pogodziłam, chyba więc i ty możesz.

- Zwariowałaś, Sereno. Dla jego rodziców to szczęście mieć taką synową.

- Jestem pewna, że byliby innego zdania. - Wciąż jeszcze słyszała słowa Pattie. Podała Marcelli filiżankę kawy i poszła do swojej klitki, żeby rozpakować walizkę.

Potem życie popłynęło spokojnie przez cały listopad. Serena i Brad byli szczęśliwi jak nigdy przedtem. Marcella się uspokoiła i wydawało się, że na świecie po prostu nie może dziać się nic niedobrego. Święto Dziękczynienia uczcili wspaniałą kolacją. Pod kierunkiem Brada Serena upiekła indyka, zrobiła nadzienie. Brad postarał się o kasztany i rozpaczliwie trudną do zdobycia galaretkę żurawinową, a Marcella dostarczyła słodkie kartofle z groszkiem i cebulą w śmietanie.

Razem zasiedli do znakomitej uczy. To była pierwsza kolacja Sereny w Święto Dziękczynienia.

- Pierwsza z wielu. - Brad wznosił toast białym winem, a ona pomyślała, że pierwsza i na pewno ostatnia. W ciągu tego roku przeniosą go do Stanów, więc taka chwila jak ta już się nie powtórzy. Od czasu do czasu myśląc o samotności, która ją czeka, pragnęła zajść w ciążę. Brad jednak bardzo uważał, żeby to się nie stało. Wiedziała, że gdy on wyjedzie z Rzymu, wszystko się skończy. Nie będzie Brada, nie będzie jego dziecka, będą tylko wspomnienia tych cudownych chwil, jedyna dla niej duchowa podpora.

- O czym myślałaś przy kolacji? - zapytał Brad, gdy później leżeli na dywanie przed kominkiem.

- O tobie.

- Co o mnie?

- Że cię kocham - ...i że będę straszliwie tęsknić, kiedy wyjedziesz... Tego nigdy nie mówiła, ale nie przestawała o tym myśleć.

- Gdybyś rzeczywiście mnie kochała - znów zaczął dokuczać, przymilać się, wywołując jej uśmiech - tobyś za mnie wyszła. - Wiedział jednak, że trzeba miesięcy, żeby ją przekonać. Czy przynajmniej tak mu się wydawało, aż do następnego dnia.

Siedział przy biurku, ta koperta leżała na podłodze, a on wpatrywał się w rozkaz, który otrzymał, i był bliski płaczu. Koniec idylli w Rzymie. Przeniesienie. Za tydzień.

- Niemożliwe. - Serena zbladła jak on, gdy to przeczytał. - Tak prędko? Myślałam, że zawsze uprzedzają na miesiąc z góry.

- Nie zawsze. Nie tym razem. Od dziś za tydzień jadę do Paryża. - Dobrze, że chociaż tylko do Paryża. Mógłby przyjeżdżać do niej, ona mogłaby przyjeżdżać do niego. Ale to nie będzie takie łatwe. Skończą się ich normalne powszednie sprawy tutaj, noce pod baldachimem, wczesne poranki we dwoje, nieustanne spojrzenia, zerknięcia w ciągu dnia, kradzione chwile, gdy przychodził do jej służbówki po obiedzie, tylko żeby ją pocałować, powiedzieć słowo, zażartować, tylko żeby ją zobaczyć, usłyszeć, poczuć przy sobie... tego wszystkiego już nie będzie. Zastanawiał się, jak zdoła bez tego żyć. Spojrzał na nią i po raz tysięczny któryś otwarcie zapytał: - Czy wyjdiesz za mnie? Weźmiemy ślub i wyjedziemy razem.

Powoli potrząsnęła głową.

- Nie mogę wyjść za ciebie, przecież wiesz dlaczego.

- Nawet teraz?

- Nawet teraz. - Spróbowała uśmiechnąć się dzielnie. - Nie mógłbyś mnie tam zabrać w charakterze pokojówki?

Zachnął się gniewnie.

- Słaby dowcip. Mówię poważnie, Sereno. Na litość boską, zrozum, co się dzieje. Wszystko się dla mnie kończy. Wyjeżdżam do Paryża od dziś za tydzień i Bóg jeden wie, dokąd później. Prawdopodobnie z powrotem do Stanów. Nie mogę ciebie zabrać ze sobą, jeżeli się nie pobierzemy. Zechciej, proszę, stuknąć się wreszcie w łepetynę. Wyjdź za mnie, żebyśmy nie stracili tego, co ma dla nas największą wartość na świecie.

- Nie mogę. - Mówiąc to czuła w krtani kulę wielkości pięści i nocą, gdy Brad zasnął w jej objęciach, płakała prawie do rana. Musi się z nim rozstać ze względu na niego, jeżeli naprawdę go kocha, a przecież kocha. Ale najcięższym zadaniem w jej życiu będzie oderwać od niego swoje serce.

Martwiła się i opancerzała przez ten tydzień, a przecież w ostatnią noc ogarnął ją strach nie do zniesienia, że utraci Brada. Od tygodnia Marcella oblegała ją, dręczyła, perswadowała i błagała, i Brad na swój sposób robił to samo. Ona pewna swoich racji nie chciała ich słuchać. Wiedziała jednak, że nic jej w życiu nie zostanie. Nigdy nie będzie mężczyzny, którego by pokochała tak, jak kocha B.J. Tej ostatniej nocy wprost nie wytrzymała nieznośnie już gorzkiej słodyczy, gdy tuliła go do siebie i głaskała po głowie, chcąc na zawsze wyryc wspomnienie w pamięci, skoro to jedyny sposób zachowania go przy sobie.

- Sereno? - A więc on nie śpi. Głos miał cichy w łozu pod baldachimem. Uniosła się, żeby zobaczyć jego twarz.

- Co, najdroższy?

- Kocham cię tak bardzo... Zawsze będę cię kochał... nie mógłbym nikogo kochać tak jak ciebie.

- Ja też.

- Będziesz do mnie pisała? - zapytał. Ostatecznie pogodził się z tym, że wyjedzie z Rzymu bez niej.

- Oczywiście. Zawsze. - Obietnice, że zawsze, jak aż za dobrze wiedziała, zacierają się z czasem. Kiedyś on się ożeni i zapomni, wtedy już chętnie zapomni i wszystko, co go z nią łączy, ostatecznie zgaśnie. Ale wiedziała, że dla niej to nie zgaśnie nigdy. Ona nie zapomni. - A ty będziesz pisał? - Tak jak on miała łzy w oczach. Oboje przez ten tydzień walczyli ze łzami.

- Oczywiście. Ale wolałbym zabrać cię ze sobą.

- W kieszeni może czy w jakiejś ukrytej przegródce walizki? - Uśmiechnęła się do niego i pocałowała go w czubek nosa - Paryż jest taki ładny, polubisz Paryż szalenie.

- Przyjedziesz za dwa tygodnie, prawda? Powinienem ci załatwić papiery, kiedy tylko tam dojadę. - Wymógł na niej obietnicę, że jeśli się da, będzie przyjeżdżała do niego na weekend, kiedy

tylko będzie mogła. Nie chciał, żeby jeździła pociągiem sama. Niech jej towarzyszy Marcella. Ale przypomniała mu, że naraz nie mogą zwalniać się z pracy w palazzo. Przyznał jej rację.

Brad przebrnął ubiegły tydzień, jak gdyby szedł w gęstej mgle. Z nastaniem dnia swego wyjazdu czuł się kompletnie wyczerpany. Przed wschodem słońca usiadł w łóżu z baldachimem i spojrzał na śpiącą obok pod wachlarzem z jasnych jedwabistych włosów Serenę. Dotknął tych włosów, i policzków, i rąk, i piersi, po czym delikatnie ją obudził. Znow się kochali. Tuląc ją do siebie pojął, że to już ostatni raz w Rzymie. Za dwie godziny wyjedzie i zostaną im tylko dorywcze weekendy w Paryżu, skąd w końcu będzie musiał wyjechać z powrotem do Stanów. Poczuł, jak znowu wzbiera w nim głód jej miłości. Lekko dotknęła go najpierw palcami, potem wprawnym już językiem. Wiele się nauczyła w ich łóżu, przede wszystkim z potrzeby serca, i instynktownie starała się dawać mu rozkosz w każdy możliwy sposób. Więc po raz ostatni jęczał cicho, nieomal z bólu tej błogości, aż wysunął się spod pocałunków i wtargnął w nią. To ona zdała sobie sprawę, co się stało. Miała nadzieję, że jego ostatnim prezentem dla niej będzie syn.

Ale w godzinę później, gdy spotkali się w jego gabinecie, żadne z nich nie myślało o niczym poza tym, że się rozstają. Objęli się i całowali, patrzyli przez okno na ponury ogród, wspominając, jak pięknie tam było latem i jesienią.

- Przyjedziesz za dwa tygodnie? - Odwrócił jej głowę od okna, żeby jeszcze raz ją pocałować.

- Przyjadę. - Oboje jednak wiedzieli, że to nie jest takie proste.

- Jeżeli nie, ja przylecę do Rzymu. - A potem co? Otchłań samotności dla niego i dla niej, przez całe lata. Serena jego i siebie skazuje swymi niezłomnymi zasadami, niezbitym przekonaniem, że nie jest dla niego odpowiednią partią. - Sereno, proszę cię... rozważ to na nowo... pobierzmy się. - Ale ona teraz z twarzą zalaną łzami, z krtanią ściśniętą, mogła tylko potrząsnąć głową. - O Boże, jak ja cię kocham.

- I ja kocham ciebie - zdołała wyszeptać, zanim przyszedł po majora ordynans.

Po wyjściu Brada z pokoju niemal zaskowyczała jak zwierzę. Oparła się o ścianę, zapatrzyła w ogród. Za kilka minut jego już nie będzie... utracę go na zawsze... Nie wytrzymując tej myśli zbiegła na dół do ogrodu w okolice służbowej sutereny. Wiedziała, że tam ją zobaczy z samochodu, a lepiej żeby nie stała przy głównym wejściu wśród personelu, lepiej niech tylko on i kierowca widzą jej twarz zmiętą smutkiem. Gdy przejeżdżał, zobaczyła, że on też płacze, błady w oknie samochodu nieubłaganie już pędzącego. Potem widziała już jedynie jakąś niewyraźną twarz za tylną szybą. Brad odjechał. Z oczami szklistymi, pełnymi bólu, poszła prosto do swego pokoju i zamknęła drzwi na klucz.

Marcella milczała. Za późno na strofowanie. Panienki decyzja, panienki życie. Ale gdy

Serena przeleżała w łóżku dwa dni, Marcella się o nią zaniepokoiła. Trzeciego dnia była rzeczywiście przerażona. Serena nie chciała wstać, nie chciała jeść, chyba nie spała ani przez chwilę, nic tylko leżała zapatrzona w sufit i bezgłośnie płakała. Nie wstała nawet wtedy, gdy major zatelefonował i ordynans przyszedł poprosić ją do telefonu. Następnego dnia Marcella prawie w panice sama poszła do sekretariatu.

- Muszę zadzwonić do pana majora - oznajmiła stanowczo, usiłując nadać temu pozory sprawy urzędowej, gdy tam weszła w czystym fartuchu i w świeżo uprasowanym szaliku na głowie.

- Do majora Appleby? - zdziwił się sekretarz. Ten nowy major miał się zjawić dopiero nazajutrz rano. Może stara Marcella chce odejść z tej pracy. Już zaczęto się zastanawiać, czy jej bratanica nie odeszła. Odkąd major Fullerton wyjechał, nikt nie widział Sereny.

- Nie. Muszę zadzwonić do pana majora Fullertona w Paryżu. Zapłacę za ten telefon. Ale niech mnie pan połączy i ja chcę z nim rozmawiać na osobności.

- Zobaczę, co się da zrobić. - Sekretarz popatrzył na tę nieposkromioną staruszkę i obiecał, że zrobi, co tylko będzie mógł. - Wezwę panią, jeżeli będę go miał na linii.

Tak się złożyło, że już po półgodzinie szczęśliwie złapał B.J. siedzącego ponuro w swoim nowym biurze i zastanawiającego się, dlaczego Serena nie przyszła do telefonu, gdy dzwonił. Zresztą nie miała to być dla niej dobra wiadomość. Pozwolenie na jej weekend w Paryżu odrzucono. Padła przy tym podkreślona zmarszczeniem brwi niejasna aluzja o fraternizacji, a także uwaga że „roztropniej jest nie ciągnąć za sobą swoich uchybień”. B.J. słysząc to zakipiał gniewem, i uznał, że musi Serenie powiedzieć. Mógł pocieszyć ją tylko tym, że za parę tygodni chyba będzie mógł się wyrwać, przyjechać do Rzymu, ale pojęcia nie miał kiedy. Siedział zapatrzony w paryski deszcz na Place du Palais-Bourbon w siódmym Arrondissement, gdy przełączono do niego telefon z Rzymu. Drgnął i uśmiechnął się poznając głos swego byłego sekretarza.

- Marcella chce z panem mówić, panie majorze. Powiedziała, że to ważna sprawa prywatna. Zaraz ją tu wezwę. Zechce pan major poczekać chwilę?

- Oczywiście. - Ale nagle się przestraszył. Może stało się coś? Może Serena miała jakiś wypadek albo znów uciekła na tę opuszczoną farmę, a tym razem jego nie ma, żeby zabrać ją stamtąd, może wpadła do studni, może złamała nogę, może... - Jak tam, Palmers, u was w porządku? - zapytał sekretarza z niepokojem.

Ten młody sierżant odpowiedział pogodnie:

- Jak najbardziej, panie majorze.

- Wszyscy nadal na tym wózku? - Pytał o Serenę, ale nie odważył się wypowiedzieć jej imienia.

- Prawie wszyscy. Nie widzimy bratanicy Marcelli, odkąd pan major wyjechał. Marcella mówi, że jest chora, ale że za parę dni będzie zdrowa. - Boże, wszystko mogło się zdarzyć, nawet... Zanim B. J. zdążył sformułować w myśli swoje najgorsze obawy, sekretarz oznajmił: - Panie majorze, jest już Marcella. Da sobie pan major radę z jej angielskim, czy mam wziąć drugą słuchawkę, żeby pomóc?

- Nie, jakoś sobie poradzimy, dziękuję. - B.J. zastanowił się, ilu z nich wie. Chociaż on i Serena bardzo dbali o zachowywanie pozorów, plotki o takich rzeczach zawsze jakoś zaczynają krążyć. Do Paryża doszły z pewnością. - Dziękuję, Palmers, miło z wami znów porozmawiać.

- I z panem majorem. Daję Marcellę.

- Maggiore? - Głos staruszki doleciał jak powiew świeżego powietrza.

- Tak, Marcello. Wszystko w porządku? Serena? - W odpowiedzi na to pytanie posypał się zawrotny grad słów włoskich, z których B.J. zrozumiał tylko czasowniki jeść i spać, ale nie wiedział, kto je, śpi i dlaczego Marcella jest taka przejęta. -Chwileczkę! Zaraz! Piano! Piano! Powoli! Non capisco. Chodzi o Serenę?

- Si.

- Jest chora? - Jak z szybkostrzelnego karabinu poleciały słowa włoskie i znów poprosił Marcellę, żeby mówiła wolniej. Tym razem się postarała.

- Nic nie jadła, nic nie piła, ani nie spała, ani nie wstawała. Tylko płakała, płakała i płakała i... - Sama Marcella zaczęła płakać. - Ona umrze, Maggiore. Ja wiem. Tak właśnie umarła moja matka.

- Ona ma dziewiętnaście lat. Nie umrze. - Ja do tego nie dopuszczę, pomyślał. - Marcello, trzeba ją namówić, żeby wstała.

- Si. Ogni ora. Ale ona nie chce. Nie słucha. Nic nie robi. Chora.

- Był lekarz?

- To nie dla lekarza. Chora z miłości do pana, Maggiore.

- A ja jestem chory z miłości do niej. - Cholerna wariatka, nie chciała wyjść za mnie, bo ubzdurało jej się, że chodzi o moje dobro, a teraz oboje jesteśmy nieszczęśliwi.

- Co możemy zrobić? - zapytała Marcella. Mrużąc oczy, patrzył na grudniowy deszcz.

- Sprowadźcie ją do telefonu. Chcę z nią mówić.

- Nie przyjdzie. - Głos Marcelli znów był płaczliwy. - Wczoraj, kiedy pan dzwonił, nie przyszła.

- Dziś wieczorem, kiedy zadzwonię, musi przyjść, choćby trzeba było ją przywlec. - Do diabła, że też nie ma tam w suterenie telefonu. - Ja chcę z nią pomówić.

- Ecco. Va bene.

- Może Marcella to zrobić?

- Zrobię to. Pan pojechał do Umbrii, żeby ją znaleźć, ja muszę przyprowadzić ją do telefonu. Facciamo miracoli insieme. - Marcella w dalekim Rzymie uśmiechnęła się. Powiedziała przecież majorowi, że razem czynią cuda. I to będzie cud wyciągnąć Serenę z łóżka.

- Dobrze byłoby, żeby wstała kilka minut wcześniej, inaczej będzie za słaba. Chwileczkę. - B.J. zastanowił się szybko. - Mam pomysł. Pokój gościnny jest teraz nie zajęty, prawda?

Marcella odpowiedziała po chwili:

- Nessuno, Maggiore. Nie zajęty.

- Dobrze. Ja to załatwię.

- Pan ją tam umieści? - zapytała Marcella oszołomiona. Serena pomimo swego pochodzenia i tytułu ostatecznie tylko pracuje w palazzo, i to jako służąca. Zajmowała wprawdzie łóżko majora przez te wszystkie miesiące, ale to nie znaczy, że mogłaby teraz zająć pokój przeznaczony dla Bardzo Ważnych Gości. Marcella złękła się, że będzie poważny kłopot.

- Umieszczę ją tam, czy ona zechce czy nie. Niech Marcella poprosi Palmersa do telefonu. Już on ją tam zaraz przeniesie. Ja zadzwonię... - B.J. spojrział na zegarek - za godzinę.

- Co mam powiedzieć sierżantowi Palmersowi?

- Sam mu powiem. Że jest ciężko chora i boimy się zapalenia płuc. A w suterenie jest za duża wilgoć, więc każę ją przenieść na górę.

- Co zrobimy, kiedy nowy Maggiore przyjedzie?

- Marcello... - Nie odważył się powiedzieć, co myśli. - Tym się nie przejmujcie. Niech podejdzie Palmers. Porozmawiam z nim, a Marcella przygotowuje Serenę.

- Dobrze, Maggiore. - Staruszka przesłała mu cmoknięcie. - Kocham pana, Maggiore. Jeżeli Serena teraz nie zechce za pana wyjść, to ja za pana wyjdę.

Zachichotał w słuchawkę.

- Marcello, biorę to pod uwagę.

Wydając polecenia Palmersowi był niezłomnie zdecydowany. Już wiedział, co zrobi. Jeżeli nie zdoła przemówić Serenie do rozumu przez telefon, pokona jej upór osobiście w Rzymie. Polecą tam natychmiast bez pozwolenia, jakoś z tego się wytłumaczy, gdy wróci. Najpierw jednak poprosił wojskową telefonistkę o połączenie z Rzymem za godzinę.

Telefon odebrał Palmers, potem odezwała się Marcella. Słysząc było szuranie, głosy, trzask zamykanych drzwi i wreszcie:

- Brad? - To był prawie szept. - Co to znaczy? Co się stało? Przenieśli mnie z mojego pokoju.

- - Świetnie. Tak im kazałem. Wysłuchaj mnie, Sereno. Ja już nie będę wysłuchiwać ciebie.

Chcę, żebyś wyszła za mnie. To, co robisz, jest zabijaniem nas obojga. Siebie skazujesz na śmierć i ja się czuję tak, jakbym umarł, odkąd wyjechałem z Rzymu. To obłąd... obłąd, czy słyszysz? Kocham cię. No, rany boskie, dziewczyno, czy ty się opamiętasz i przyjedziesz do Paryża, żebyśmy się pobrali, czy ja mam przyjechać do Rzymu, zabrać cię siłą?

Roześmiała się cicho i milczała. Niemal widział to rozważanie. Nie mógł w tej ciszy jednak widzieć Sereny opartej na poduszkach, łez płynących jej z oczu, rozdygotanej ręki, w której trzymała słuchawkę walcząc ze sobą, żeby nie powiedzieć tego, co wyrывało jej się z ust, aż nagle powiedziała:

- Tak!

Powiedziała to szeptem, nie był pewny, czy dobrze słyszy.

- Co mówisz? - wstrzymał oddech.

- Mówię, że wyjdę za ciebie, majorze.

- Słusznie jak diabli! - Usiłował być zuchwały, ale ręce trzęsły mu się bardziej niż jej i miał kulę w gardle tak dużą, że z trudem dobywał słowa. - Od razu zacznę załatwiać formalności, kochanie, i ściągniemy cię tutaj jak najprędzej. - Mój Boże! Mój Boże! - myślał. Zgodziła się! Powiedziała: tak! Chciał ją zapytać, czy naprawdę, ale wolał nie ryzykować, nie dawać jej możliwości ponownego zastanowienia się. - Kocham cię, najdroższa, całym sercem.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Rano przed wyjazdem z Rzymu Serena długo stała pod swoją wierzbą w ogrodzie, szczelnie otulając się kurtką. Było zimno, słońce ledwie wzeszło, gdy patrzyła na dalekie wzgórza, a potem znów na białą marmurową fasadę palazzo, z którego wyjeżdżała po raz drugi. Wspominała tamten pierwszy raz, wyjazd z babcią do Wenecji. Zaplanowany został pośpiesznie w ponurej atmosferze, w przerażeniu, w świeżej żałobie po rodzicach. Zbiegła wtedy z marmurowych stopni, nie wiedząc, czy kiedykolwiek jeszcze zobaczy swój dom. Teraz znów tego nie wiedziała, ale nastrój wyjazdu był zupełnie inny. Miała wyjść za mąż, tym razem czuła się gotowa do wyjazdu.

Ostatecznie palazzo już nie jest jej i nigdy nie będzie, sensu nie ma sobie wyobrazić, że to jest nadal rzeczywiście jej dom. Tylko te klitki, w których mieszkała z Marcellą, mogły być jej domem, a i to dopóki sprzątała, zamiatała, pastowała podłogi. Cicho westchnęła podnosząc wzrok na okna gabinetu B.J., swojego dawnego pokoju, po czym spojrzała dalej, na balkon sypialni matki, sypialni, którą dzieliła z nim.

- Addio - szepnęła z wiatrem. - Nie arrivererci, czy arrivererla, do widzenia, tylko addio... żegnaj.

Ostatnie chwile przed wyjazdem były gorączkowe i bolesne, i smutny był ostatni uścisk Marcelli, gdy obie śmiały się przez łzy. Marcella odrzuciła propozycję Sereny, nie chciała wyjechać do Paryża. Ta zacna staruszka widziała swoje miejsce na świecie tylko w Rzymie i nie wątpiła, że jej księżniczka będzie pod dobrą opieką. Serena obiecała pisać do niej często - ktoś jej zawsze list przeczyta - a jeśli B.J. to załatwi - także telefonować. Wkrótce potem uwięziona szybko z podjazdu, patrzyła na dobrze znane ulice w drodze do Dworca Termini, skąd miała wyjechać z Rzymu. Mignęły Fontana di Trevi, Hiszpańskie Schody, Piazza Navona, po czym znalazła się w tłoku ludzi spieszących do pociągów. Z walizkami i torbami podróżni byli pełni nadziei albo zmęczeniu, albo podnieceni, tak właśnie jak Serena, która nagle wyglądała bardzo młodo, biorąc swoją walizkę od ordynansa. Uścisnęła ordynansowi rękę, zanim weszła na stopień wagonu.

- Dziękuję. Grazie mille. - Uśmiechnęła się do niego promiennie. Łzy wylane przy pożegnaniu z Marcellą dawno wyschły, teraz mogła myśleć wyłącznie o B.J. Czuła się tak, jakby wyjeżdżała nie z domu, tylko z powrotem do domu.

- Żegnaj... - szepnęła do siebie, gdy pociąg nabrał szybkości i swojskie zarysy jej miasta zaczęły znikać w dali. W jej oczach nie było łez. Myślała o Paryżu, o tym co ją tam czeka.

Przyjechała do Paryża po dwunastej w południe. Zobaczyła z daleka wieżę Eiffla i różne pomniki, o których nic nie wiedziała, a potem wolno pociąg wjechał na Gare de Lyon. Gdy coraz

bardziej zwalniając sunął wzdłuż peronu, wstała i przycisnęła twarz do okiennej szyby, żeby wypatrzeć B.J. Na peronie stały grupki czekających, ale jego nigdzie nie było widać, aż zaczęła się martwić, że go nie znajdzie. Był to wielki dworzec i nagle poczuła się bardzo samotna. Pociąg zatrzymał się. Wzięła walizkę, sięgnęła po koszyk z prowiantami od Marcelli i powoli w ogonku innych pasażerów niepewnie wysiadła z pociągu. Jeszcze raz się rozejrzała po długim peronie, po nie znanych twarzach i serce jej biło szaleńczo. Wiedziała, że B.J. nie mógł zapomnieć godziny jej przyjazdu, wiedziała, gdzie go znaleźć, gdyby z jakiegoś powodu nie spotkali się na dworcu, ale pomimo to jej nerwowe podniecenie doszło do szczytu. Oto jest w Paryżu, przyjechała do B.J., żeby zostać jego żoną. Zaczęło się całe nowe życie.

- Czy on zapomniał przyjść? - zagadnął ją młody żołnierz amerykański, z którym rozmawiała w pociągu w nocy. Potrząsnęła głową, a żołnierz, raptownie się prostując, zasalutował komuś za jej plecami. Jak gdyby wyczuła, kto to jest, odwróciła się z oczami rozszerzonymi, z twarzą rozjaśnioną, ze śmiechem w krtani. Major Bradford Jarvis Fullerton wziął ją w objęcia i podniósł. Ten młody Amerykanin ze wzruszeniem ramion i uśmiechem zniknął gdzieś za nimi.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Paryż tego dnia przystroił się dla Sereny w najładniejsze kolory. Niebo było jaskrawoniebieskie, sosny soczyście zielone, pomniki tak swojsko poprzątkowane szarością jak zawsze od stuleci, ale tu i ówdzie dla kontrastu bielily się marmurowe fasady z błyskającymi złoceniami i wspaniałą patyną. I wszędzie ludzie w szydełkowych czapkach, w czerwonych szalikach wydawali się szczęśliwi, podnieceni, twarze mieli różowe, wyszczypane przymrozkiem, oczy błyszczące. Nadchodziło Boże Narodzenie i chociaż w Paryżu jeszcze panował zamęt, miała to być pierwsza gwiazdka w czasach pokoju. Pierwsze od sześciu lat Boże Narodzenie, które paryżanie będą mogli obchodzić rzeczywiście z radością.

Trzymając się za ręce, Serena i B.J. jechali jego sztabowym samochodem przez szerokie bulwary i wąskie ulice, minęli Invalides i Notre-Dame i nadzwyczajny widok Place Vendôme i dalej z Champs-Elysees skręcili za Łuk Triumfalny w wir ruchu na i Ctoile, kolistym skrzyżowaniu przy Łuku Triumfalnym, gdzie zbiegało się dwanaście ulic i gdzie wszystkie samochody ścięły się zawrotnie w nadziei tylko, że stamtąd wyjadą unikając zderzenia. Gdy Łuk był już bezpiecznie za nimi i Serena znów się rozglądała, dojechali na Avenue Hoche przed „hotel particulier”, w którym B.J. był zakwaterowany. Ten miejski dom sprawiający wrażenie raczej wiejskiego dworu należał przed wojną do właściciela jednej z najbardziej we Francji znanych winnic. W ostatnich, pełnych udręki dniach przed wkroczeniem Niemców do Paryża, ów człowiek zdecydował się pojechać do siostry w Genewie i zostawił dom pod opieką służby na czas, dopóki wojna się nie skończy. W końcu dom zarekwirowali Niemcy, ale oficer, który w nim mieszkał, był cywilizowany, toteż nic nie uległo zniszczeniu. Teraz właściciel domu zachorował i nie mógł wrócić. Amerykanie wynajęli dom od niego za symboliczną opłatę. B.J., szczęśliwie i przytulnie w nim ulokowany, rezydował może nie tak wspaniale jak w palazzo di San Tibaldo, ale bardzo wygodnie, mając dwoje starych, życzliwych służących, Francuzów.

Serena zobaczyła, że przed domem jest ładny ogród otoczony dobrze utrzymanym żywopłotem, z ozdobną bramą z kutego żelaza. Kierowca zatrzymał samochód, wysiadł pospiesznie i otworzył bramę, zanim wjechał na podjazd. B.J. odwrócił się do Sereny.

- No, kochanie, to właśnie tutaj.

- Ślicznie tu. - Rozpromieniona patrzyła na niego, nie dbając o ten dom ani trochę, ciesząc się tylko tym, co widzi w jego oczach. I jej oczy iskrzyły się, gdy pocałował ją i poprowadził do domu.

Weszli po schodkach i prawie natychmiast ciężkie drzwi, również z kutego żelaza, otworzył

łyśy i krągły, nieduży mężczyzna, przy którym stała nieduża, wyraźnie sympatyczna kobieta.

- Monsieur et Madame Lavisse, moja narzeczona, principessa di San Tibaldo. Serena przelotnie zakłopotana taką prezentacją powitała ich podaniem ręki, którą oboje uścisnęli, sztywno się kłaniając.

- Miło nam - uśmiechali się do niej serdecznie.

- I mnie bardzo miło. - Spojrzała na hall za nimi. - Ślicznie tu.

Jej komplement wyraźnie sprawił im taką przyjemność, jakby byli właścicielami tego domu, i od razu chcieli ją wszędzie oprowadzać.

- To już nie tak niestety, jak kiedyś - wyjaśnił Pierre pokazując jej ogród za domem. - Ale robimy, co możemy, żeby Monsieur le Baron zastał tu wszystko nie tknięte. - Ich pan nie widział swego paryskiego domu od pięciu lat i być może, skoro był chory, starzec siedemdziesięciopięcioletni, już nie miał go zobaczyć, ale oni wierni do końca utrzymywali wszystko w porządku dla niego, za co zresztą hojnie im płacił. Wyjeżdżając z Francji zostawił dla nich w powiernictwie okazałą sumę na wszelkie wydatki i odkąd wojna się skończyła, dostawali co miesiąc czek. Przez cały czas dbali o ten piękny dom z umiłowaniem i najcenniejsze rzeczy, najlepsze obrazy ukrywali w sekretnym pomieszczeniu pod suteroną, nie odkrytym nawet przez Niemców. Teraz za panowania Amerykanów w Paryżu nadal doglądali wszystkiego w tym domu nie mniej troskliwie, niż gdyby go mieli na własność.

Hall i korytarze były tu z marmuru jak w palazzo w Rzymie, ale nie białego, tylko brzoskwinioworóżowego. Na korytarzach stały w równych odstępach kanapy Ludwik XV z ramami oparć i poręczami pozłacanymi, wyściełane bladobrzoskwiniowym aksamitem. Na ścianie wisiały dwa doskonale obrazy Turnera przedstawiające wspaniały zachód słońca w Wenecji, w kącie stała duża inkrustowana komoda Ludwik XV z różowym marmurowym blatem i rzucało się tu i ówdzie w oczy kilka innych mebli małych, ale równie znakomitych. Z hallu szereg wysokich szklanych drzwi prowadził na brukowane alejki ogrodu między grządkami wyczekującymi kwiatów wiosny. Teraz w ogrodzie niewiele było do pokazania, więc przeszli do głównego salonu, gdzie Serena stanęła jak wryta, pełna nieledwie czci. Ciemnoczerwony adamaszek i biały aksamit, ciężkie napoleońskie meble, wyściełane szezlongi w jaskrawomalinowe i kremowe pasy, dwie ogromne chińskie urny przy bezcennej sekreterze, wielkie portrety członków rodziny barona, rozświetlony ogniem, buzującym na palenisku, kominek dostatecznie duży, by mógł w nim stanąć nawet B.J. Był to pokój tak zaprojektowany, żeby ludziom zapierało dech z zadziwienia i zachwytu. Serena urzeczona rozglądała się po małych, chińskich objets de art, perskich dywanach i rzędzie portretów pędzla Zorna, które przedstawiały barona i jego siostry jako dzieci. Potem B.J. poszedł pierwszy do mniejszego pokoju z boazerią za salonem. Tutaj też czekał buzujący ogień, ale

kominek był mniejszy i przy trzech ścianach od podłogi do sufitu wznosiły się półki z książkami w pięknych oprawach. Gdziekolwiek książki nie wypełniały półek całkowicie. Pierre ze zgrozą wskazał te puste miejsca. Wyjaśnił, że to jedyna strata poniesiona w wyniku niemieckiej okupacji. Oficer, który tu mieszkał, zabrał wyjeżdżając sporo książek. Ale i tak dobrze, że poza tym nic innego. Pierre uważał się za szczęściarza.

- Ten Niemiec jednak był człowiekiem honoru.

Na parterze mieściły się też piękny owalny pokój śniadaniowy z widokiem na ogród i za nim uroczysta jadalnia, której ściany zdobiła namalowana wioska chińska. Tę tapetę, pochodzącą z osiemnastego wieku, zaprojektowano pierwotnie na zamówienie księcia Yorkshire, ale jeden z przodków barona kupił ją bezpośrednio od malarza i potajemnie wywiózł do Francji. W jadalni stały meble Chippendale na typowych szponiastych nogach i ze spiralnymi ornamentami na oparciach, i wspaniały angielski kredens pomocniczy, wywoskowany do połysku. Podziwiając te pokoje Serena przypomniała sobie dom babci w Wenecji, ale ten tutaj był zarówno bardziej, jak i mniej jaśniepański. Włoskie pałace, w których mieszkała, były większe i okazalsze, a przecież ten dom pełen takich znakomitych przedmiotów, chociaż mniejszy, wydawał się bardziej imponujący. Chodziła jak po muzeum zdumiewając się w duchu i sotto voce dzieląc się swym zdumieniem z B.J. Jakim cudem zdołali uchronić to wszystko przed nawałnicą wojny? Wzruszający też był fakt, że stary kamerdyner nabrał do B.J. dostatecznego zaufania, by powyciągać z ukrycia rzeczywiście cenne rzeczy.

- Staruszek jest nadzwyczajny - szepnęła Brad, gdy Pierre szedł przed nimi na górę. Marie-Rose, jego żona, już poszła do kuchni i przygotowywała przekąskę dla Sereny. - Sądząc z tego, co mi mówił, większość ukrywał w suterenie. Mam wrażenie, że najlepsze sztuki jeszcze tam są. - Ale Pierre nie mógł przecież ukrywać mebli, czy przynajmniej wszystkich mebli, zastanawiała się Serena, i to niezwykle, że żadne z tych dzieł sztuki nie zostało uszkodzone, nie zniszczyło się w ciągu tylu wojennych lat.

Na górze były cztery ładne sypialnie. Przestronna główna sypialnia ze ścianami obitymi niebieskim aksamitem, z ładnym szezlongiem i przytulnym podwójnym fotelem, z małym biurkiem, i z kominkiem. Rozciągał się stąd widok na ogród poniżej, i dalej na Paryż, i był przy tej sypialni mały gabinet, z którego B.J. korzystał od czasu do czasu pracując wieczorem, i drugi pokój - „twoja garderoba”, szepnęła Serenie B.J. Ten łączył się z piękną sypialnią, całą różową, należąca kiedyś, jak im powiedział Pierre, do zmarłej już baronowej. Dwie pozostałe sypialnie służyły teraz jako pokoje gościnne: jedna zielona z ładnym obrazem - sceny z polowania - nad kominkiem i z mnóstwem angielskich sztychów o tej samej tematyce na innych ścianach. Druga szara z płótnem Jouy przytwierdzonym do ścian, przedstawiającym sceny pasterskie szare na przyciemnionym beżu, z

ładnym mosiężnym kandelabrem, też z pięknym biurkiem i kilkoma innymi świetnymi antykami.

- A wyżej jest strych. - Pierre zadowolony uśmiechnął się do B.J. i Sereny. Lubił popisywać się tym domem.

- Pierre, to wszystko takie cudowne - powiedziała Serena. - Aż słów mi brak. o wiele piękniejsze niż wszystko, co widziałam we Włoszech i w Stanach. Prawda? - Spojrzała na B.J. łagodnie, oczami pełnymi zachwytu. Pierre pomyślał, że lekko robi się człowiekowi na sercu, gdy widzi tę parę.

- Mówiłem, że ten dom jej się bardzo spodoba, no nie? - B.J. przytakując Serenie spojrzał na Pierre'a.

- Tak, panie pułkowniku. A teraz, jeżeli pan pułkownik i mademoiselle zechcą zejść na dół do biblioteki, z pewnością już tam Marie-Rose będzie coś dla mademoiselle miała. - Słusznie był pewny, jak się przekonali po chwili, bo w bibliotece czekały kanapki na jednym półmisku, ciastka i ciasteczka na drugim i wysoki srebrny dzbanek napełniony gorącą czekoladą.

B.J., ledwie Pierre ich zostawił samych, objął Serenę i zaczął całować, zgłodniały jej pocałunków.

- Boże, już straciłem nadzieję, że będę z tobą sam. Och, mała, jak ja do ciebie tęskniłem.

- I ja do ciebie. - Ból tamtych pierwszych dni rozłąki mignął w jej oczach i przywarła do niego na chwilę. - Tak się bałam... że już nigdy ciebie nie zobaczę, że... - Zamknęła oczy, potem je otworzyła, pocałowała go w szyję. - Wprost nie wierzę, że jestem tutaj z tobą w tym przepięknym domu... to jak sen, aż boję się obudzić. - Rozejrzała się wokół z radosnym uśmiechem.

Znów ją pocałował.

- Jeżeli jednak się obudzisz, ja będę przy tobie. I mało tego, kiedy się obudzisz, będziesz już moją żoną.

- Jak to? Tak zaraz? - wyraźnie się spłoszyła.

- A bo co? Potrzebujesz czasu, żeby się rozmyślić? - Ale młody podpułkownik nie wydawał się zaniepokojony, biorąc jedną z kanapek, które Marie-Rose im zrobiła, i znów siadając. Po wyjeździe z Rzymu dostał awans.

- Nie bądź niemądry. Tylko myślałam, że trochę dłużej potrwa zorganizowanie tego. - Nagle zdała sobie sprawę i uśmiech zapląsał w jej oczach. - Czy to znaczy, że pobierzemy się dzisiaj?

- Mniej więcej. Na pół się pobierzemy, ściśle mówiąc.

- Na pół? - Ogromnie rozbawiona, pociągnęła łyk czekolady. - To znaczy, że ja się z tobą pobiorę, a ty ze mną nie?

- Ależ skąd. Pobierzemy się oboje. Tylko że tu trzeba wziąć dwa śluby. Jeden w l'hotel de

ville, czyli w ratuszu, żeby się zarejestrować, że tak powiem. A następnego dnia drugi w takim kościele, w jakim się chce. Ten drugi właściwie nie jest konieczny. Ale przypuszczałem, że będziesz chciała. - Nagle nieśmiało spojrzał na Serenę. - Mógłby nam udzielić ślubu kapelan, ale tu niedaleko jest ładny kościółek, więc przypuszczałem, że może... gdybyś ty... - zarumienił się jak chłopiec. Serena ujęła jego twarz w obie dłonie i pocałowała go.

- Czy pan wie, jak bardzo pana kocham, panie pułkowniku? - Nie wiem, powiedz mi.

- Całym sercem i duszą.

- Tylko? - Spróbował udąć rozczarowanie, bez skutku jednak. - A co z resztą?

- Masz brudne myśli. Reszta będzie twoja dopiero po ślubie.

- Co? - teraz był naprawdę wstrząśnięty.

- Nie przesłyszaleś się. Pójdę do ślubu jako dziewica... poniekąd.

- No, niech mnie... Do którego ślubu? Dzisiejszego czy jutrzejszego?

- Do jutrzejszego, oczywiście. U nas we Włoszech jest taki sam system - zsunęła swe zgrabne długie nogi dziewiczo skromnie i spojrzała na niego znad filiżanki z czekoladą.

- No, straszna z ciebie przekora. - Zaczął ją całować, wolno przesuwając ręką po jej nodze.

- B.J., przestań!

W tej właśnie chwili wszedł Pierre. Dyskretnie zakaszłał i dosyć głośno zamknął drzwi za sobą. Serena obciągnęła spódnicę i spojrzeniem zgromiła B.J., który tylko się uśmiechnął.

- Słucham, Pierre?

- Samochód czeka, panie pułkowniku.

B. J. czule popatrzył na Serenę. Prawie nie zdążył jej powiedzieć, a to już ma się stać.

- Kochanie, pierwsza runda. Chcesz jeszcze pójść na górę, umyć twarz czy coś, zanim pojedziemy?

- Teraz? Już? - znów ogarnął ją popłoch. - Dopiero co wysiadłam z pociągu. Wyglądam okropnie.

- Nie dla mnie. - Uśmiechnął się do niej i wiedziała, że jest szczery, ale wstała pospiesznie i spojrzała na niego tylko przelotnie, zanim podbiegła do drzwi. W drzwiach się odwróciła nieprzytomnie.

- Zaraz wrócę. Nie jedź beze mnie.

W różowym marmurowym hallu usłyszała, jak się śmieje, a on w bibliotece usłyszał, jak ona pędzi po schodach. Wydawało mu się, że nie ma jej całe wieki, ale rzeczywiście nie było jej dziesięć minut. Gdy wróciła, wyglądała uroczo, prawie jak panna młoda. Tydzień przedtem w Rzymie Marcella uszyła jej prostą sukienkę z białej wełny - ramiona poszerzone, zwyczajny kołnierzyk bebe, krótki rękaw; wcięta w talii i rozkloszowana. Materiał był piękny i kupiła go za

oszczędności z całego ubiegłego miesiąca dla Sereny w prezencie. Prosiła, żeby włożyła tę sukienkę do ślubu.

Schodząc powoli na dół Serena ze złocistymi włosami zwiniętymi w kok-ósemkę, z oczami błyszczącymi, smukła w tej kloszowej sukience rozfalowanej wokół niej, wyglądała jak principessa od stóp do głów. Wydawała się bardzo wysoka, gdy podeszła do B.J., który dopiero wtedy zobaczył sznur pereł na jej szyi i perłowe kolczyki. Pocałował ją w usta.

- Sereno, wyglądasz pięknie.

Uśmiechnęła się i tylko przez krótką chwilę żałowała, że nie może mieć uroczystego ślubu jak te, na których bywała z rodzicami przed laty. W koronkach, w atlasach księżniczki z baśni niczym białe obłoki sunęły majestatycznie po marmurowych schodach, wlokąc za sobą metry i metry bieli. Ale to było dawno, a teraz jest dzień jej ślubu i na pewno nie będzie się czuła inaczej niż tamte panny młode. Nadzwyczajne. Jeszcze dziś rano, gdy się obudziła w pociągu, nie wiedziała, że to dzień jej ślubu. Wiedziała, że weźmie ślub wkrótce, a przecież nie tak zaraz, w cztery godziny po przyjeździe. Radośnie spojrzała na pana młodego. B.J. sięgnął po jej brązowy płaszcz, który trzymała, ale Pierre nagle podszedł dyskretnie i potrząsnął głową.

- Nie, panie pułkowniku... nie...

- Nie? Jak to? Coś nie w porządku?

- Tak. - Stary kamerdyner przytaknął stanowczo i podnosząc rękę jak dyrygent orkiestry symfonicznej polecił im obojgu: - Proszę zaczekać. Tylko chwilę.

Zniknął w pokoju kredensowym i odgłosy jego oddalających się kroków powiedziały im, że zszedł do sutereny. B.J. wzruszył ramionami, nie wiedząc, o co chodzi, a Serenie serce zaczęło łomotać z podniecenia. Za pół godziny będę panią Bradford Jarvis Fullerton III - myślała.

- Wprost nie mogę uwierzyć - zachichotała raptem jak mała dziewczynka.

- co, kochanie? - B.J. patrzył na zegarek. Miał nadzieję, że przez Pierre'a się nie spóźnią.

Sereny to nie trapiło.

- Nie wierzę w nasz ślub. Jest jak w bajce. No kto by uwierzył, że... - I dalej tak paplała, gdy czekali, aż nagle zapytała: - Czy twoi rodzice wiedzą? - Nie pierwszy raz pomyślała o tym, ale przypuszczała, że już ich zawiadomił.

- No pewnie. - Odpowiedział jednak trochę za szybko. Spojrzała na niego podejrzliwie.

- Brad?

- Co?

- Zawiadomiłeś ich?

- Przecież mówię, tak.

Siadając na jednej z wyściełanych różowym aksamitem ławek zapytała teraz ciszej:

- I co oni na to?

- Gratulują. - Uśmiechnął się do niej krzywo, a ona zrobiła minę.

- Jesteś niemożliwy. Pytam poważnie. Gniewają się?

- Oczywiście, że nie. Są zadowoleni. I co o wiele ważniejsze, Sereno, ja jestem zadowolony.

Czy to nie wystarcza?

Spojrzał na nią z powagą. Wstała, żeby go pocałować.

- Wystarcza, oczywiście.

Akurat w tym momencie wrócił Pierre kipiący podnieceniem, a za nim przyszła Marie-Rose niosąc coś przewieszono na wieszaku, niewidocznego w czarnym satynowym worku. Gdy Marie-Rose przestała mówić, Pierre zabrał od niej ten nieporęczny bagaż, podniósł worek wysoko i rozpiął zamek błyskawiczny. Zobaczyli wspaniałe ciemnobrązowe futro, jak się okazało, z soboli. Serena patrzyła bez słowa nie rozumiejąc.

- Mademoiselle... Principesso... - Pierre rozpromieniony przemówił jednak ceremonialnie. - Te sobole należały do pani baronowej świętej pamięci i trzymaliśmy je razem z innym cennym mieniem pana barona w zamkniętym pokoju na dole przez te wszystkie lata. Uważamy, że wydaje się stosowne... Chcielibyśmy, żeby pani je włożyła dzisiaj do ślubu z panem pułkownikiem i jutro też do ślubu kościelnego. -Z łagodnym uśmiechem wyciągnął rękę, żeby podać futro drżącej Serenie. Marie-Rose stojąc za Pierre'em dorzuciła serdecznie:

- Będzie bardzo dobrze wyglądało na pani białej sukni.

- Ale to takie cenne... sobole, wielkie nieba... nie mogłabym... - Bezradnie Serena zwróciła się do narzeczonego. - Brad... ja...

B.J. jednak już wymienił przeciągłe spojrzenie z Pierre'em, a jej zniszczony brązowy płaszcz z samodziału leżał jak brzydki tłumok na wyściełanej ławce. Ostatecznie ona jest księżniczką i ma zostać jego żoną, cóż w tym złego, że dwa razy włoży te sobole?

- No, kochanie. Czemu tego nie wkładasz? Pierre ma rację i to piękny płaszcz. - Uśmiechnął się do niej tklawie.

- Ale, Brad... - Twarz miała karmazynową po części z zakłopotania, po części z podniecenia. Nie chcąc już tracić czasu, B.J. wziął futro z rąk kamerdynera i pomógł jej włożyć. Leżało świetnie na jej ramionach, rękawy były dostatecznie szerokie i długie, kaptur zamiast kołnierza ogromny. Nasunął jej kaptur na głowę. Wyglądała jak królowa z rosyjskiej baśni, gdy pochylił się, żeby ją pocałować. Pierre i Marie-Rose patrzyli zachwyceni.

- Mademoiselle, wszystkiego najlepszego. - Pierre podszedł, podali sobie ręce i Serena niewiele myśląc pocałowała go w policzek.

- Dziękuję. - Prawie nie mogła mówić, tak była wzruszona. Jak bardzo ci starzy Francuzi jej

zaufali i jak szybko, zważywszy, co przeszli w czasie wojny. Nadzwyczajne, że stać ich na takie wielkoduszne gesty ufności i sympatii. W pewnym sensie to ich prezent ślubny dla niej. Wprost nie potrafiłaby wyrazić swego wzruszenia. Marie-Rose też do niej podeszła, uściskały się i wycalowały w oba policzki.

Zajechali przed hotel de ville na końcu Rue de Rivoli i trzymając się za ręce wbiegli tam po schodach. Brad przytrzymał drzwi, gdy Serena w rozwirowanych sobolach przeszła pod jego ramieniem. Na korytarzu ze złoceniami i lustrami zauważyła, że kilka głów się odwraca za nią i Bradem. Uroczyście wkroczyli do jednego z biur. Brad wyciągnął z kieszeni płaszczka plik papierów i dał je młodej urzędniczce, najwyraźniej dobrze już o wszystkim poinformowanej. Przepraszył, że się spóźnili, po czym ta młoda kobieta poprowadziła ich do innego pokoju. Tutaj barczysty urzędnik kazał im się podpisać w bardzo dużej księdze. Przejrzał ich papiery, sprawdził paszporty i opatrzył kilka dokumentów urzędową pieczętą. Wyszedł do nich zza biurka, odchrząknął, podsunął na nosie okulary, poprawił krawat, po czym podniósł prawą rękę, tak jak gdyby chciał ich zaprzysiąc. Wymamrotał parę banałów po francusku i podał Serenie sfatygowaną starą Biblię, prosząc, by powtarzała za nim formułkę. Powtarzała więc, blada, wzruszona, z sercem bijącym bardzo prędko, aż przyszła kolej na Brada i po chwili było już po wszystkim. Barczysty urzędnik usiadł z powrotem przy biurku.

- Mogą państwo iść. I moje gratulacje - powiedział najzupełniej obojętnie. Brad i Serena popatrzyli na siebie. Fakt zaczynał do nich docierać.

- Załatwione? - To Brad się odezwał.

- Tak. - Urzędnik spojrzał na nich jak na dwoje idiotów. - Są państwo małżeństwem.

I jak we śnie przez całą drogę trzymając się za ręce, wrócili do pięknego domu, gdzie Pierre i Marie-Rose zostawili dla nich butelkę szampana. Brad tkliwie uśmiechnięty wznosił toast na cześć swojej żony.

- No, pani Fullerton, jak pani myśli? Nie czas już do łóżka? - Oczy mu błyszczały złośliwie. Serena potrząsnęła głową z rozbawieniem i żalem.

- Tak wcześnie? W nasz wieczór weselny? Czy nie powinniśmy balować, tańczyć, czy bo ja wiem co?

- Rzeczywiście chcesz balować? - Uśmiechnęli się do siebie oczami.

- Po prostu chcę być z tobą... - powiedziała Serena. - Do końca życia.

- I będziesz, kochanie, będziesz. - To była obietnica opieki i pewności jutra, i Serena wiedziała, że on tej obietnicy zawsze dotrzyma.

Potem B.J. zagarnął swoją długonogą oblubienicę w ramiona i przeniósł ją z saloniku po szerokich schodach do sypialni, gdzie delikatnie położył ją na łóżku.

- Brad... - szepnęła niepewnie, ale jej ręce były tak samo skwapliwe jak jego. Przesunęła dłońmi po swoim mężu, wsunęła je pod koszulę, a potem już wolniej rozpięła mu spodnie, czując, jak głód jego wezbrał.

- Kocham cię, najdroższa.

- Och, Brad!

- Mogę? - zapytał, zanim zaczęła zdejmować sukienkę i gdy przytaknęła, zrezygnował sobie z eklerem, ściągnął jej sukienkę przez głowę. - Och, najdroższa, tak bardzo chcę ciebie.

Po chwili oboje nadzy leżeli na tym dużym łóżku, światło było przygaszone, ogień płonął na palenisku kominka, a za oknami nagle zapadł mrok w ten ich wieczór weselny, gdy on ją wziął spragnioną, wziął delikatnie a całkowicie, rozkoszując się świadomością, że jest jej mężem.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Ślub kościelny nazajutrz rano w małym angielskim kościele daleko na Avenue Hoche był ceremonią krótką i uroczą. Serena włożyła tę samą sukienkę co poprzedniego dnia, ale dostała od Marie-Rose jakimś cudem zdobytą wiązanekę białych róż, którą miała w ręce, idąc przez kościół, otulona ciemnym futrem sobolowym z kapturem na jej złocistych włosach. Wyglądała niewiarygodnie czarująco, gdy odwróciła się do Brada i jeszcze raz złożyła swoją przysięgę - tym razem przed malowniczym, niedużym ołtarzem w blasku zimowego słońca wpadającego przez okna. Potem stary, niewysoki ksiądz z uśmiechem pobłogosławił państwa młodych i ogłosił ich mężem i żoną. Pierre był družbą, Marie-Rose matkowała Serenie. B.J. zbyt niedawno przyjechał do Paryża, żeby już mieć w tym mieście bliższe znajomości, zresztą chciał wziąć ślub po cichu. Za kilka dni w czasie oficjalnych uroczystości gwiazdkowych, jakie miały się odbyć w Paryżu, zamierzał przedstawić Serenę wszystkim jako swoją żonę.

- No, pani Fullerton, teraz czuje się pani mężatką? - Uśmiechnął się do niej trzymając ją za rękę w samochodzie, gdy Pierre i Marie Rosę siedzieli na przednim siedzeniu z kierowcą.

- Jeszcze jak. Dwa razy bardziej niż wczoraj. - i pomyśleć, że ona przyjechała do Paryża niecałe dwadzieścia cztery godziny temu, a już jest żoną B.J. Nagle przypomniała sobie Marcellę i przez chwilę żałowała, że nie może teraz starszuce powiedzieć. Postanowiła napisać list jeszcze tego wieczora.

- Szczęśliwa, kochanie?

- Szalenie. A ty, pułkowniku? - I gdy Brad się pochylił, żeby pocałować ją w usta, uśmiechnęła się z twarzą prawie przysłoniętą wspaniałym sobolowym kapturem, z oczami roziskrzonymi w zimowym blasku jak szmaragdy.

- Nigdy nie byłem szczęśliwszy. I wkrótce pojedziemy w podróż poślubną, masz moje słowo. - Ale za krótko był w Paryżu, jeszcze nie mógł poprosić o dostatecznie długi urlop. Co nie znaczy, żeby Serenie na tym zależało. Cały czas, jaki z nim spędzała, był dla niej jak miodowy miesiąc. W jego obecności nie brakowało jej do szczęścia niczego. - Może pojedźmy na wieś w samo Boże Narodzenie. - Popatrzył na nią rozmarzony. Rzeczywiście nie chciał nigdzie wyjeżdżać. Chciał być z nią w łóżku przez cały następny tydzień. Jak gdyby czytała w jego myślach, zachichotała. - Co cię tak śmieszy?

- Ty. - Pochyliła się i szepnęła mu do ucha: - Nie wierzę w ani jedno słowo z tego, co mówisz. Wątpię, czy w ogóle kiedyś wywieziesz mnie na wieś. To spisek, żeby mnie trzymać zamkniętą w naszym pokoju.

- Skąd wiesz? - szepnął. - Kto ci powiedział?

- Ty sam. - Znow zachichotała, zaraz jednak obciągnęła futro na nogach i postarała się spoważnieć. - Brad, ale ja muszę załatwić gwiazdkowe sprawunki, wiesz.

- W dniu naszego ślubu? - Prawie się zgorszył.

- Dziś albo jutro. Potem już gwiazdka.

- A co ja będę przez ten czas robił?

- Możesz pójść ze mną, przynajmniej po część zakupów. - Uśmiechnęła się radośnie i znow zniżyła głos. - Muszę kupić coś dla nich. - Wskazała oczami Marie-Rose i Pierre'a zajętych pełną ożywienia pogawędką z kierowcą.

B.J. się zgodził.

- To dobry pomysł. - Spojrzał na zegarek i zmarszczył brwi. - Po obiedzie chcę zatelefonować do rodziców.

Serena przytaknęła. Lękała się tego, ale wiedziała, że musi wcześniej czy później ich poznać, a będzie łatwiej, jeżeli przedtem porozmawia z nimi parę razy przez telefon. Ilekroć jednak o nich myślała, przypominała sobie Pattie Atherton i te słowa wypowiedane z wściekłością, dolatujące z balkonu do ogrodu... ty i jakaś cholerna Włoszka na posługi... twoja włoska dziwka... Omal się nie wzdrygnęła. Brad pogłaskał ją po rękę.

- Nie musisz się ich obawiać, Sereno. Na pewno cię pokochają. I co o wiele ważniejsze, ja cię kocham. I są - uśmiechnął się do siebie na myśl o swojej rodzinie - moi dwaj bracia. Ty ich też pokochasz. Zwłaszcza Teddy'ego.

- Najmłodszego? - Spojrzała znow radośnie mężowi w oczy, usiłując zapomnieć słowa Pattie. Może ostatecznie jego bracia ją polubią.

- Tak. Teddy jest najmłodszy. Greg jest średni. - Przelotnie twarz mu się zasępiła, - Greg jest... no, inny. Cichy... nie tak jak my dwaj. Greg... nie wiem, chyba bardziej wdał się w ojca. Raczej trzyma się na uboczu, sam. Łatwiej ulega wpływom niż ja czy Teddy. My dwaj jesteśmy bardziej uparci, a przecież on jeżeli już coś sobie wbije do głowy, to zależy mu na tym piekielnie i jest jak cholerny muł. - Popatrzył na nią z rozbawieniem. - Ale Teddy... to dobry duch rodziny, skrzat, elf. Przyzwoitszy niż my wszyscy razem wzięci i bardziej twórczy. Teddy ma - długo się zastanawiał - duszę... i poczucie humoru... rozum... i prezencję.

- Chwileczkę, może dostał mi się nie ten brat, co trzeba. B.J. był całkowicie poważny.

- Możliwe. I on jest w wieku odpowiedniejszym dla ciebie niż ja. - Ale szybko poweselał. - Tylko że to ja ci się dostałem, dzieciaku, i już nie uwolnisz się ode mnie. - Było jednak jasne, jak zawsze, gdy mówił o swoim najmłodszym bracie, że bardzo serdeczna więź łączy go z Teddym. - Wiesz, Teddy ukończy Princeton w czerwcu i chce iść na medycynę, i do licha, pójdzie i będzie

wspaniałym lekarzem. - Znów na nią spojrzął z szerokim uśmiechem, a ona go pocałowała.

W domu na Avenue Hoche otworzyli następną butelkę szampana i pili razem z Pierre'em i Marie-Rose. Potem starzy poszli na dół, żeby przygotować obiad, oni na górę, żeby znów się cieszyć swoim miodowym miesiacem, i gdy Marie-Rose w godzinę później wezwała ich brzęczykiem, wcale im się nie chciało ubrać i zejść do jadalni.

W końcu Serena stała już ubrana, w szarej spódniczce i szarym swetrze, na którym połyskiwał ten jej sznur pereł. B.J. wychodząc z łazienki zauważył, że to strój bardzo skromny.

- Co się stało z białą sukienką? - Zachwyciła go Serena w bieli, taka śliczna z talią jak osa, kolor szary wydawał się dziwnie smutny w tym szczęśliwym dniu. Ale to była jej najlepsza spódnica, a sweter był kaszmirowy, coś dla niej nadzwyczajnego. Serena miała tylko rzeczy, które przywiozła z klasztoru, i to, co sobie kupiła za pieniądze zarobione pracą w palazzo. Wiedziała, że teraz kiedy jest żoną B.J., będzie musiała kupować więcej i zamierzała wydać na ubranie część resztki swego maleńkiego kapitału. Nie chciała kompromitować męża nieładnymi, kupowanymi z drugiej ręki ciuchami.

- Nie martw się. Kupię sobie nowe rzeczy - powiedziała zakłopotana. - Czy to... jest bardzo brzydkie? - Spojrzała w lustro i zobaczyła, jak smętnie wygląda. Dalekie to od tej białej sukienki i pożyczonych soboli, ale nic innego nie ma. Lekko się zarumieniła, gdy B.J. podszedł do niej i wziął ją w objęcia.

- Podobałabyś mi się nawet w derce, ty głuptasie. Na tobie nic nie jest brzydkie. Po prostu dobrze ci było w bieli i w tym futrze. Może byśmy się wybrali do sklepów dziś po południu, żeby kupić jakieś ładne rzeczy dla ciebie? Mój prezent na gwiazdkę.

I nie dopuszczając do jej protestów objął ją ramieniem i poprowadził na dół. Obiad był wspaniały. Marie-Rose przeszła samą siebie w swoich staraniach. Lekko przyprawiony krem jarzynowy, smakowity pasztet i świeżo upieczony chleb, pyszny boeuf Strogonoff i purée z kwiatów karczochów - ulubiona potrawa B.J. Ponadto sałata, brie i gruszki, a na zakończenie suflet czekoladowy z sosem waniliowym i bita śmietana.

- Dobry Boże, chyba nie będę mogła się ruszać. - Serena patrzyła na B.J. nieomal w oszołomieniu. - W życiu tyle naraz nie zjadłam.

- Boże, to było cudowne. - B.J. szklistym wzrokiem spojrzął na Pierre'a, podającego mu teraz mały kieliszek koniaku i cygaro. Odmówił z żalem.

Gdy Pierre wyszedł, B.J. wstał od stołu, przeciągnął się w ciepłym zimowym słońcu, które wpadało przez francuskie okna, a potem stanął za Sereną, zaczął pocierać jej ramiona swymi silnymi dłońmi. Odchyliła głowę w tył, żeby spojrzeć na niego.

- Cześć, kochany. Czy jesteś tak szczęśliwy jak ja?

- O wiele bardziej. I grubszy. Boże, po tym obiedzie chyba już się nie wbiję w żaden mundur.

- Dobrze, że nie włożyłam tej białej sukienki od Marcelli. Pękłaby na mnie i zostałyby z niej tylko strzępy. - Roześmiała się i pomógł jej wstać. Też się przeciągnęła. - Nawet nie mam ochoty chodzić po sklepach, ale rzeczywiście to konieczne.

- Najpierw - B.J. spojrzął na zegarek - musimy zadzwonić do moich rodziców. Może trzeba będzie długo czekać na połączenie, ale to jest teraz najważniejsze. Chcę ich przedstawić mojej żonie.

Pocałował ją i przeszli do biblioteki, gdzie podniósł słuchawkę telefonu na biurku, połączył się z centralą i zająkliwie po francusku podał telefonistce numer w Nowym Jorku.

- Nie chcesz, żebym ja jej powiedziała? - szepnęła Serena.

- Czuję się bardzo zaradny - odszepnął - kiedy mój francuski jest zrozumiały. -Wiedział, że jego francuszczyzna pozostawia bardzo wiele do życzenia, podczas gdy Serena mówi w tym języku płynnie, niemniej jakoś sam sobie poradził. Po udzieleniu telefonistce wszystkich niezbędnych informacji położył słuchawkę na widelkach.

Pierre napalił w kominku przed obiadem, więc teraz ogień buzował. B.J. usiadł w blasku ognia i skinieniem przywołał Serenę, która usiadła przy nim wyraźnie zdenerwowana. Zaczął głaskać ją po głowie, jak gdyby miał nadzieję, że tym rozproszy jej obawy.

- Brad, myślisz, że bardzo będą się gniewać?

- Nie. Zdziwią się, być może. - Wpatrywał się w ogień. Myślał o swojej matce.

- „Ale powiedziałaś, że ich uprzedziłeś o naszym ślubie.

- Wiem. - Odwrócił się do niej i oczy miał spokojne, jak gdyby się nie bał i był bardzo pewny tego, co robi. W takich momentach Serena na nowo uświadamiała sobie jego pewność siebie i siłę. Brad zawsze wydawał się całkowicie pewny i ta właśnie cecha sprawiła, że w wojsku tak awansował, i przedtem ogromnie mu pomagała. W Princeton był kapitanem drużyny piłki nożnej i tak jak wówczas wszyscy, zarówno z drużyny, jak i spoza drużyny, polegali na jego słowie, Serena teraz też poczuła się spokojniejsza. Samym tonem głosu ją uspokajał, chociaż niezupełnie pojmowała to, co on mówi. - Wiem, że tak powiedziałem. Ale nie uprzedziłem ich. Bo i po co? To była moja decyzja, chciałem z tym poczekać, dopóki się nie pobierzemy.

- Ale dlaczego?

Westchnął głęboko, spojrzął w ogień, a potem znów na nią.

- Dlatego, Sereno, że moja matka ma bardzo silny charakter. Lubi stawiać na swoim i czasami jej się wydaje, że wie, co jest dla nas najlepsze. Ale nie zawsze wie. Gdyby mogła, chętnie by dokonywała wszystkich wyborów za nas. Ja nigdy na to nie pozwalałam. Ojciec pozwala. Zresztą

matka nieraz decyduje za niego doskonale. Ale nie za mnie, Sereno, nie za mnie. - Zadumał się tak, jakby rozpamiętywał swoje życie. - Myślałem - podjął po chwili - że gdybym do niej zadzwonił przed faktem, spróbowałyby dołożyć swoje dwa grosze, od razu tu przylecieć, poznać moją narzeczoną i Bóg raczy wiedzieć co jeszcze. Prawdopodobnie by uznała, że jestem dla ciebie za stary. I przede wszystkim chodziło mi o twój spokój, Sereno. Dostyc już przeszłaś, chcę ci wszystko ułatwiać, a nie utrudniać. Przyjechałaby tu, oglądała cię od stóp do głów, mówiłaby, że jesteś pierwsza klasa, i przerażałaby cię śmiertelnie na dodatek. Więc postanowiłem, że weźmiemy nasze życie we własne ręce i zawiadomimy ją aif accompli. - Odczekał chwilę i zapytał: - Przebaczasz?

- Chyba tak. - Mówił rozsądnie, ale obawy jeszcze niezupełnie ją opuściły. -Co będzie, jeżeli się rozgniewa i z góry poczuje do mnie antypatię?

- Kochanie, nie mogłaby. Antypatia do ciebie? Musiałaby mieć źle w głowie. A wiele da się o mojej matce powiedzieć, tylko nie to.

W tej samej chwili, jak gdyby na dany znak, telefon zadzwonił. Francuska telefonistka oznajmiła, że jest połączenie ze Stanami Zjednoczonymi. Potem doleciał nosowy głos zza Atlantyku. Telefonistka w Nowym Jorku powiedziała, że łączy. B.J. usłyszał trzykrotne buczenie i odezwał się jego najmłodszy brat.

- Do diabła, to ty, stary? - ryknął poprzez zakłócenia na linii. - O rany, jak jest w Paryżu? Żałuję, że mnie tam nie ma.

- Nie przejmuj się tym. Co w szkole?

- Jak zawsze. Piekielne nudy. Ale jestem prawie na wylocie, Bogu dzięki, i już mnie przyjęli w Stanford na medycynę od września.

Gada jak podniecony uczeń - pomyślał B.J. z uśmiechem.

- To pierwszorzędnie, smyku. Hej, słuchaj, mama w domu? - rzadko pytał o ojca. Ojciec od trzydziestu lat był człowiekiem niewidzialnym. Pod pewnymi względami pan Fullerton miał dużo wspólnego ze swoim średnim synem, Gregiem. Przejawiał nieco więcej przedsiębiorczości i ostatecznie swego czasu zasiadł w senacie, ale bardziej przyczyniły się do tego dobre powiązania, prestiż rodziny Fullertonów i wielkie pieniądze wydane na kampanię niż jego osobista charyzma. Prawdę mówiąc, to Margaret Fullerton powinna uprawiać działalność polityczną. B.J. często żartował, że minęła się z powołaniem, ma wszelkie dane, żeby być pierwszą kobietą prezydentem. I byłaby, gdyby mogła to sobie załatwić. Ale nie mogła, więc musiała poprzestać na windowaniu swego męża, obracając się w kręgach takich osobistości jak Eleanor Roosevelt.

- Tak, mama jest w domu. Dobrze się czujesz, Brad?

- Po prostu wspaniale. A wy? Greg? Tata?

- Greg zdemobilizowany parę tygodni temu. - Ale to nie był powrót bohatera, jak wszyscy

wiedzieli. Greg przez cały czas wojny służył przy biurku w Fort Dix i na weekendy przyjeżdżał do domu albo latem do Southampton. Czuł się rozpaczliwie winny z tego powodu, co w końcu powiedział młodszemu bratu. Ale ponieważ B.J. bardzo szybko postarał się o odkomenderowanie do Europy i kilka razy przydzielano go do zadań w niebezpiecznych strefach, rodzice mogli wykorzystać swoje wpływy, żeby drugi syn nie ryzykował życia. Tak to więc Greg bezpiecznie odbył służbę wojenną w New Jersey. A Teddy stanowczo zamierzając się zaciągnąć, gdy tylko wiek mu na to pozwoli, był od roku 1941 oczywiście w college'u.

- Co Greg robi teraz?

- Jego zapytaj - powiedział Teddy z lekkim wahaniem. I po chwili: - Tata da mu stanowisko w kancelarii adwokackiej. Ale co z tobą, Brad? Nigdy nie wrócisz do domu?

- W końcu wrócę. Na razie nikt tutaj mi o tym nie mówił.

- Jesteś już gotów wrócić? - zapytał Teddy dziwnym tonem. B.J. się zastanowił dlaczego.

- Chyba nie. Tu jest piekielnie miło, Ted. Słuchaj, jeżeli wiosną jeszcze tu będę, kiedy ukończysz college, może przyjedź do mnie... do nas - poprawił się szybko zerkając nad biurkiem na Serenę.

- Myślisz, że jeszcze będziesz tam wtedy? - W głosie Teddy'ego brzmiało rozczarowanie. - Niech to diabli, nigdy się nie zwolnisz?

Nastąpiła chwila ciszy.

- Chyba nie, Teddy. Lubię wojsko. Nie myślałem, że je polubię. Ale myślę, że to jest coś akurat dla mnie. - I B.J. spojrział z czułością na Serenę. Chciał powiedzieć o niej Teddy'emu, ale uznał, że najpierw musi powiedzieć matce. - Słuchaj, później z tobą porozmawiam. Poproś mamę, Ted. I słuchaj - dodał - nie mów im nic. Mama dostanie ataku, jeżeli jej powiem, że zostaję w wojsku.

- Brad. - Znów ten dziwny ton głosu Teddy'ego. - Mama chyba wie. - To zabrzmiało jak ostrzeżenie.

- Coś niedobrze?

- Nie.

I tak zaraz się dowiem - pomyślał B.J. nagle spięty.

- Już idę po mamę - powiedział Teddy.

Matka siedziała w jadalni z Gregiem i Pattie Atherton zaproszoną na rodzinne śniadanie przedgwiazdkowe. Ted stanął w drzwiach i zaczął ją przywoływać na migi. Podeszła szybko, zmarszczyła brwi.

- Co się stało?

- Nic. Brad dzwoni. Z życzeniami wesołych świąt - powiedział Ted. Oby tylko matka nie

sprawiła, że te święta nie będą wesołe.

Margaret Fullerton podnosząc słuchawkę telefonu w swoim pokoju musnęła się drugą ręką po białych włosach i usiadła przy biurku. W wytwornej czarnej sukni od Diora miała figurę młodej dziewczyny. Ukończyła pięćdziesiąt osiem lat, ale z łatwością mogłaby sobie kilkanaście lat ujmować, gdyby chciała, tylko że nie chciała nigdy. Miała oczy łupkowoszare jak B.J. i rysy bardzo podobne, twarz jednak zawsze jakoś napiętą, w odróżnieniu od jego twarzy łagodnej i niefrasobliwej. Wydawało się, że wciąż nasłuchuje czegoś, jakichś nadludzkich, pozaziemskich skomleń, dostykalnych wyłącznie dla niej. I że jest naładowana energią elektryczną, którą łąda chwila wyładowuje, co zresztą rzeczywiście czyniła porażając przeważnie męża, ale też nierzadko synów. Wobec takich kobiet jak ona rodzina liczy się ze słowami i zachowuje nadzwyczajną ostrożność w obawie przed „wybuchem”. „Uważajcie, chłopcy, żeby matka nie wybuchła” - błagał synów jej mąż. I sam tak bardzo uważał, że prawie się do niej nie odzywał, tylko nieustannie przytakiwał. Chłopcy brali z niego przykład, gdy byli młodszy. B.J. nawet udoskonalił ojcowskie zdawkowe, prawie automatyczne „Uhhh...”

- Cześć, mamó. Jak tam leci w Nowym Jorku?

- Interesująco. Bardzo interesująco. Eleanor była u nas wczoraj na obiedzie. -Wiedział, że Eleanor to pani Roosevelt. - W polityce ostatnio raz po raz coś nowego. Trudne czasy dla Eleanor, dla nas wszystkich właściwie. Wiele trzeba przeorganizować po wojnie. Ale mniejsza z tym. Brad, synku mój kochany, bez dygresji, co u ciebie? - mówiła z emfazą, która dziesięć lat temu bardzo by go zdenerwowała. Pokonał w sobie jednak strach przed matką, gdy zrezygnował z posady w Waszyngtonie i tak jak chciał, przeniósł się do Pittsburgha. Matka to posunięcie gwałtownie potępiła, a on wtedy po raz pierwszy w życiu zdecydował się nie baczyć na jej gniew. - Dobrze się czujesz, mój złoty? Zdrowszy? Szczęśliwy? Przyjedziesz do domu?

- Tak na te trzy pierwsze pytania, ale chyba nie na czwarte. Przynajmniej na razie nie widać, żeby zamierzali wysłać mnie do Stanów. Ale czuję się wspaniale, wszystko jest po prostu wspaniale. - Widział, jak wyczekująco patrzy na niego Serena, i nagle zdał sobie sprawę, że znów, nie inaczej niż dawno temu boi się matki. Tym razem jednak musi stawić matce czoło ze względu nie tylko na siebie, ale i na swoją żonę. Myśl o Serenie dodała mu odwagi. Palnął: - Mam dla ciebie dobrą wiadomość, mamó.

- Znowu awans, Brad? - W głosie jej brzmiało zadowolenie. Za nic nie chciała, żeby wstąpił do wojska, dopóki się przy tym upierał, ale potem awanse, które często dostawał, uspokoiły ją, zadośćuczyniły jej dumie.

- Niezupełnie, mamó. Naprawdę to wiadomość jeszcze lepsza. - Z trudem przełknął ślinę, pojmując, co zrobił. Serena miała rację. Powinien był zadzwonić do matki przed ślubem. Rany

boskie, jak jej to powiedzieć teraz, już po fakcie? Czuł cienką powłokę potu na czole i modlił się, żeby Serena tego nie widziała. - Ożeniłem się. - Chciał zamknąć oczy, nabrać tchu, ale nie mógł, gdy te wyczekujące, ufne zielone oczy wlepione były w niego. Więc uśmiechnął się i kiwnął głową na znak, że wszystko idzie świetnie.

- Co zrobiłeś?! Żartujesz, oczywiście. - Matka umilkła, ale zdążył dosłyszeć napięcie w jej głosie i od razu sobie wyobraził napięcie na jej twarzy, jej wytworną, prawie kościstą rękę z ciężkim brylantowym pierścionkiem, zaciśniętą kurczowo na słuchawce. - O czym ty mówisz?

- O pewnej cudownej panience, którą poznałem w Rzymie. Wzięliśmy ślub dzisiaj, mamo, tutaj w kościele Angielskim. -i czekał, zdawałoby się, nieskończenie, gdy matka milczała. A Margaret Fullerton w Nowym Jorku miała teraz na twarzy wyraz zawziętości, oczy ciemnoszare jak Atlantyk przed huraganem.

- Czy jest jakiś uzasadniony powód, że trzymałeś to w sekrecie?

- Nie. Tylko chciałem, żeby to była niespodzianka. Głos matki był lodowaty.

- Przypuszczam, że ona jest w ciąży.

B.J. z wolna zaczynał kipieć gniewem. Nic się nie zmieniło. Niezależnie od tego ile mają lat, matka traktuje ich zawsze tak samo, jak niesforne, zwariowane marionetki. To sprawiło, że wyniósł się z domu przed laty. Raczej nie pamiętał o tym, teraz sobie przypominał. Jest tak, jak było.

- Nie, mamo, mylisz się. - Serena słuchała, więc udawał, że rozmawiają ze sobą serdecznie.

- Jej na imię Serena. Blondynka i bardzo piękna. - Zrobiło mu się głupio, chciał cisnąć słuchawkę na widelki. - I jesteśmy szalenie szczęśliwi.

- Zachwycające. - Słowa matki strzelały mu w ucho. - Spodziewasz się ode mnie oklasków? Czy możliwe, że to ta dziewczyna, o której Pattie opowiadała mi w listopadzie? Wspomniała coś, że to służąca tam, gdzie mieszkałeś. Więc to ta czy jakaś inna?

Jakim prawem pytasz, niech cię diabli porwą! - chciał wrzasnąć, ale panował nad sobą jak tylko mógł powściągając wściekłość.

- Wolę nie mówić o tym teraz. Myślę, że Pattie w Rzymie miała wzrok trochę przysłonięty zazdrością, bo...

- Dlaczego? - przerwała matka. - Przecież zerwała zaręczyny.

- Niezupełnie. Ja jej powiedziałem, że sytuacja uległa zmianie i że chcę zerwać. - Inaczej słyszałam. - Margaret Fullerton najwyraźniej nie wierzyła synowi. -

Pattie powiedziała, że miałeś romans z pomywaczką, że zastała cię z nią, więc oddała ci pierścionek i wróciła do domu.

- To ładna historyjka, mamo. Ale sęk w tym, że niezgodna z prawdą. Zgadza się tylko

jedno. - Uznał, że roztropnie będzie powiedzieć matce przynajmniej tyle na wypadek, gdyby czegoś dowiedziała się później. - Serena pracowała w tym palazzo. Przed wojną to był pałac jej rodziców. Ale jej ojciec, jak większość włoskiej arystokracji, opowiadał się przeciw Mussoliniemu, i oboje jej rodziców zastrzelono na początku wojny. To długa historia, teraz nie będę się wdawał w szczegóły. Serena jest principessą, księżniczką, w czasie wojny była w klasztorze w Stanach i kiedy w tym roku latem wróciła do Włoch, dowiedziała się, że już cała jej rodzina nie żyje. Nie miała nikogo, nie miała nic, więc przyjechała, żeby zobaczyć swój dawny pałac, i wtedy dostała tam pracę jednej z pokojówek. Porządnie się naharowała, mamó. - Uśmiechnął się do Sereny. - Ale to już przeszłość.

- Urocze. Mała gołąbka. Wojenna żona. - Ton matki był pełen jadu. - Mój kochany chłopcze, czy ty masz pojęcie, ile hołoty włóczy się teraz po Europie i podaje się za księżęta i hrabiów? Boże, oni to robią nawet tutaj. W klubie waszego ojca jest kelner, który mówi, że jest rosyjskim księciem. Może - zaproponowała matka tym razem ze słodyczą - chciałbyś przedstawić mu swoją żonę. Na pewno byłby dla niej odpowiedniejszym towarzyszem niż ty.

- Mówisz głupstwa, mamó. - Oczy mu pałały. - Zadzwoń, żeby cię zawiadomić. I na tym koniec. Myślę, że powiedzieliśmy sobie na razie dosyć. - Zobaczył w oczach Sereny łzy. Ona się orientuje, jaka to rozmowa - pomyślał i serce go bolało. Chciał usłać drogę różami swojej żonie, nie dbał o to, co mówi matka. - Do widzenia mamó. Niedługo znów zadzwonię.

Matka nie pożegnała go gratulacjami.

- Zanim położysz słuchawkę, może chciałbyś wiedzieć, że twój brat Gregory się zaręczył.

- Naprawdę? Z kim? - Rzeczywiście to go teraz nie obchodziło. Znadto był oburzony reakcją matki na wiadomość o jego ślubie z Sereną. Ale zanim odpowiedziała, coś wydało mu się dziwne: dlaczego Teddy ani słowem nie wspomniał o Gregu?

- On się zaręczył z Pattie - oznajmiła matka z zadowoleniem, nieomal z uciechą.

- Atherton? - B.J. osłupiał.

- Tak. Z Pattie Atherton. Nie pisałam ci o tym, bo nie byłam pewna, a nie chciałam ci sprawiać przykrości zbytecznie. - Bujda! Ona chciała, żeby to był duży wstrząs. B.J. zbyt dobrze znał swoją matkę. - Zaczęła się z nim spotykać zaraz po powrocie z Rzymu.

- To fantastycznie. - Podziwiał zdolności manipulacyjne tej wrednej, chytrej Pattie. Przynajmniej tym razem trafił jej się odpowiedniejszy z braci. Greg będzie tańczył, jak ona mu zagra. Dokonała właściwego wyboru. Ale czy Grega nie unieszczęśliwi? B.J. miał tylko nadzieję, że nie. Bardzo był ciekaw, co myśli o tym Teddy, teraz jednak nie mógł z nim porozmawiać. - Kiedy ich ślub, mamó?

- W czerwcu. To prawie się zbiegnie z urodzinami Grega, kończy trzydzieści lat. -

Wzruszające. A Pattie ma dwadzieścia cztery lata i będzie doskonałą panną młodą w białej koronkowej sukni. B.J. wyobraził to sobie i poczuł się nieomal chory. Ta jęzda pożre jego brata. - Jestem pewna, synku, że to dla ciebie bolesne, ale uważam, że powinienes być na ich ślubie.

- Oczywiście. Nie pominąłbym tego. - Już stawał się znowu sobą, chociaż wciąż jeszcze bojaźnią napawała go zręczność matki.

- Swoją wojenną żonkę możesz zostawić tam w domu.

- Wykluczone, mamó. Oboje będziemy niecierpliwie czekać na spotkanie z wami w czerwcu, a na razie życzymy wam wesołych świąt. Nie będę teraz rozmawiał z Gregiem, ale przekaż mu, mamó, moje życzenia wszystkiego najlepszego. - Po prostu nie chciało mu się z Gregiem rozmawiać. Nigdy nie byli sobie bliscy, tym bardziej więc ostatnio. Rozmowy z matką miał stanowczo dosyć, tak niegodziwie odniosła się do Sereny. Pragnął odejść od telefonu za wszelką cenę. Szkoda, że Serena jest w pokoju. Szczerze żałował, że nie może powiedzieć matce tego, co myśli. Ale wiedział, że za chwilę będzie musiał.

- Greg chyba jeszcze jest z Pattie w jadalni. Właśnie kończyliśmy śniadanie, kiedy zadzwoniłeś. Pattie przyjechała tu rano. Mają pojechać do Tiffany'ego, wybrać pierścionek.

- Cudownie.

- To mogłeś być ty, Brad.

- Cieszę się, że nie jestem. Zaległa brzemienna cisza.

- A ja wołałabym, żebyś to był ty. Żebyś nie zrobił tego, co zrobiłeś.

- Zmienisz zdanie, mamó, kiedy poznasz Serenę. Znow cisza, tym razem dziwna.

- Normalnie nie utrzymuję stosunków towarzyskich ze służącymi.

B.J. chciał wybuchnąć, ale wiedział, że nie może ze względu na Serenę.

- Jesteś głupcem, Brad - wtargnęła matka w jego milczenie. - Jak ci nie wstyd! Mężczyzna mający takie powiązania, takie szansę... zastanów się, co zrobiłeś ze swoim życiem. Płakać mi się chce na myśl o tym, co odrzucasz. Myślisz, że kiedykolwiek powiesz ci się w polityce z żoną tego pokroju u boku? O ile mi wiadomo, ona jest zwyczajną prostytutką, żadna z niej księżniczka. Pattie powiedziała, że wygląda jak zdzira.

- Sama osądzisz, mamó. Jest damą dziesięć razy bardziej niż Pattie. Ta mała dziwka Pattie puszcza się za darmo od lat! - W końcu stracił swoją zimną krew.

- Jak śmiesz tak obrzydliwie mówić o narzeczonej brata!

- Więc ty nigdy już - głos jego wleciał w słuchawkę jak torpeda, aż Margaret Fullerton drgnęła, zaskoczona - nigdy nie mów o mojej żonie w ten sposób. Czy to jasne? Ona jest teraz moją żoną. Cokolwiek myślisz, odtąd zachowaj to dla siebie, do cholery! Ona jest moja. I to już wszystko. Więcej nic nie potrzebujesz wiedzieć. I spodziewam się, że wszyscy w naszej rodzinie,

nie wyłączając tej jędzy, Pattie, będą ją traktować z szacunkiem. Powinniście, do cholery, pokochać ją, wy wszyscy, bo ona jest o całe niebo lepsza od was, ale czy ją pokochacie, czy nie, lepiej bądźcie dla niej grzeczni i dla mnie też, kiedy o niej mówicie, bo w przeciwnym razie nie zobaczycie mnie już nigdy!

- Nie będę tolerować twoich pogrózek, Bradford. - Jej głos był twardy jak granit.

- A ja nie będę tolerować twoich! Wesołych świąt, mamó. - B.J. cicho położył słuchawkę na widelkach.

Gdy odwrócił się rozżalony, Serena siedziała przed ogniem, twarz miała ukrytą w dłoniach, ramiona jej się trzęsły. Podszedł i zmusił ją, żeby spojrzała na niego. Podniosła twarz mokrą od łez.

- Och, kochanie. Tak mi przykro, że to wszystko słyszałaś!

- Ona mnie nienawidzi... ona mnie nienawidzi... serce jej krwawi przez nas.

- Sereno - wziął ją w ramiona i przytulił. - Ona nie ma serca, kochanie moje. Nie ma już od lat. O tym wszyscy w rodzinie wiedzą i powinienem był ci powiedzieć. Moja matka ma umysł jak bicz, a serce z kamienia. Jest twardsza niż większość mężczyzn, których znam, i na niczym jej nie zależy, poza tym, żeby wszyscy robili to, co ona chce. Od lat usiłuje mną także rządzić. Lepiej jej się to udaje z Gregiem, moim bratem, i nie jestem pewny, czy Teddy to przetrwa. A ty jej się nie podobasz dlatego, że nie jesteś jej pomysłem... nie ona ciebie znalazła, nie mogła nawet próbować mnie zmusić, żebym się z tobą ożenił. Nienawidzi cię, bo jesteś poza jej kontrolą. Ja sam ciebie wybrałem, tak jak sam z własnej woli wstąpiłem do wojska. Więc ona nie akceptuje tego. Naprawdę nie ma to nic wspólnego z tobą jako taką. To jest bitwa, która od lat toczy się pomiędzy nią i mną.

- Ale Pattie... powiedziała, że byłam służącą w palazzo... Co twoja matka może myśleć? - Serena jeszcze szlochała w jego objęciach.

- Sereno, najdroższa, przede wszystkim nie zapominaj, kim rzeczywiście jesteś. I w każdym razie dla mnie nieważne, że byłaś służącą czy czymkolwiek innym. Tylko boleję nad tym, że przeszłaś przez ten cały zamęt, że tyle miałaś w życiu urazów i niedoli, i ciężkiej pracy. Ale jedno mogę ci powiedzieć, odtąd będę dokładał wszelkich starań, żeby twoje życie było szczęśliwe, i wszystko ci naprawię. - Ucałował jej mokre oczy, pogłaskał ją po głowie.

- Myślisz, że ona nam kiedykolwiek przebaczy?

- Oczywiście. Nie taka to wielka sprawa. Ona po prostu była zdumiona. I czuła się dotknięta, bo nie wtajemniczyliśmy jej wcześniej. - Retuszował sytuację, mając nadzieję, że to na razie wystarczy.

Serena ze smutkiem potrząsnęła głową.

- Zawsze będzie mnie nienawidziła. I zawsze będzie mnie uważała za włoską służącą.

B.J. roześmiał się.

- Ależ nie, głuptasku. Na pewno nie, daję ci słowo.

- Skąd taka pewność?

- Przecież znam swoją matkę. I matka zna mnie. Wie, że mną nie może rządzić. Prosty fakt.

Ostatecznie ona zaakceptuje to, co się stało, i kiedy w końcu się spotkacie, podbijesz ją tak, jak podbiłaś mnie. Zobacz, jaka jesteś piękna, delikatna i urocza, inteligentna i... taka, jaką kocham.

Wszyscy cię pokochają, Sereno, nawet moja cholerna matka... przekonasz się.

- Ale to, co Pattie mówiła...

- Zawistne gadanie. Nawet matka to przyzna, kiedy zobaczy was we dwie razem.

- Razem? - To był wstrząs dla Sereny. B.J. wyjaśnił smętnie:

- Pattie w czerwcu wyjdzie za mojego brata, Grega. Ciekawy rozwój wypadków, prawda?

Serena przyjrzała mu się uważnie i otarła łzy.

- Ona wyjdzie za twojego brata? - Przytaknął. - Przejmujesz się?

- Nie tak jak myślisz. Przejmuję się, bo chyba nic gorszego nie mogłoby się mojemu bratu zdarzyć. Czy też może się mylę, może jest mu potrzebny ktoś, kto nim będzie kierował. Matka nie będzie nim kierowała wiecznie.

- Rzeczywiście jest taki słaby?

- Z przykrością to stwierdzam, ale tak, słaby, biedaczysko. Zupełnie jak ojciec.

- Twój ojciec też jest słaby? - Zdumiona słuchała tej szczerzej krytyki rodzinnej. Dotychczas B.J. nigdy ich nie krytykował przy niej.

- Tak, ojciec też jest słaby. A matka ma więcej jaj niż cała drużyna piłki nożnej razem wzięta. Nie sądzę, żeby była z tym szczęśliwa, i w różnych okolicznościach to nas doprowadza do szału, ale co zrobić? Najważniejsze, najdroższa, że ja cię kocham. No, spełniłem już swój obowiązek, zawiadomiłem rodzinę, że się pobraliśmy. Przykro mi, że nie podskakiwali z radości, ale nie rozpaczajmy, bo będą podskakiwać, kiedy cię poznają. Teraz ruszamy po gwiazdkowe zakupy. Zgoda?

Serena podniosła na niego oczy jeszcze wilgotne i postarała się uśmiechnąć. - Kocham cię. - Ale od razu rozplakała się znowu. - Przepraszam.

- Za co? Chociaż właściwie za to, że płaczesz przez cały dzień naszego ślubu, powinnaś przeprosić. Bardzo przeprosić, zwłaszcza po tym fantastycznym obiedzie.

- Nie. Przepraszam za zmartwienie, jakiego narobiłam twojej rodzinie.

- Żadne zmartwienie, możesz mi wierzyć. Dałaś mojej matce coś do przemyślenia, a to jej na pewno nie zaszkodzi. Wszystkich innych wiadomość o naszym ślubie tylko ucieszy.

B.J. chciał mówić dalej, ale w tym momencie zatelefonował ze Stanów jego brat, Teddy.

- Co się stało? - Na jego twarzy, trochę zaniepokojonej, Serena nagle zobaczyła szeroki uśmiech. - Och, ona jest rewelacyjna, pokochasz ją... Dobrze... dobrze... dam ci ją do telefonu. - I wetknął Serenie słuchawkę w rękę, krótko dokonując prezentacji: - Teddy, mój brat.

- Hallo, Sereno, mówi Ted. Jestem młodszym bratem twojego męża. Chcę tobie osobiście pogratulować. Chcę, żebyś wiedziała, że bardzo mnie cieszy wasze szczęście. Skoro mój brat cię kocha, na pewno jesteś panią pierwsza klasa. Już nie mogę się doczekać chwili, kiedy cię zobaczę.

Łzy znów napływały jej do oczu, gdy szepnęła:

- Serdecznie dziękuję. - Zarumieniła się i sięgając po rękę męża, wyjąkała: - Mam nadzieję... tak bardzo... że nie przysporzę rodzinie zmartwienia... - B.J. słyszał w jej głosie trwogę. Biedna mała księżniczka boi się jego dwudziestodwuletniego brata. Biedactwo doprawdy jest jak wyżęta przez wyżymaczkę. Ale już nigdy więcej. Trzeba matkę powściągnąć, kiedy przyjadą do Nowego Jorku na ślub Grega. Jeżeli przyjadą.

Ted szybko uspokoił Serenę.

- Mogłabyś nam przysporzyć zmartwienia tylko w jednym wypadku. Gdybyś unieszczęśliwiła Brada, a tego sobie nie wyobrażam.

- Och, nie! - wykrzyknęła wstrząśnięta.

- Więc świetnie. Tylko wiedz, jak bardzo cieszę się z ciebie.

Znów miała w oczach łzy, gdy pożegnała swego nowego szwagra i oddała słuchawkę Bradowi.

- Prawda, że jest fantastyczna? - B.J. promieniał. Teddy znów był poważny.

- Mam nadzieję, że nie zwariowałaś, tak jak mówi mama. Brad, czy to rzeczywiście przyzwoita dziewczyna?

- Jak najbardziej.

- Kochacie się?

- Tak, kochamy się.

- No to życzę ci wszystkiego najlepszego, Brad. Żałuję, że nie mogę tam z wami brać udziału w tej radości. - B.J. wiedział, że Teddy jest szczerzy.

- Ja też żałuję. Ale naprawimy to sobie, kiedy się spotkamy. A propos, co padło Gregowi na umysł?

- Słyszałaś. Pattie chyba sobie wykombinowała, że skoro nie może mieć ciebie, niech będzie on. Mam szczęście, że nie zdecydowała się na mnie.

- Większe szczęście, niż ci się zdaje, chłopcze.

- Tak myślę. Oby nasz Greg wytrzymał.

- Oby. - Jeden i drugi z niepokojem myśleli o rychłym małżeństwie brata. -W każdym razie

chciałem pogratulować wam, życzyć pomyślności, powiedzieć ci, że cię kocham.

- Wspaniały z ciebie chłopak, Ted. I piekielnie dobry brat. Kocham cię. - BJ. aż zachrypl z wzruszenia.

- Oboje was całuję - powiedział Ted i dodał: - Do widzenia.

B.J. położył słuchawkę i spojrzał na Serenę. Na jego twarzy malowała się wielka czułość.

- Nie byle jaki ten mój braciszek.

- Wydaje się cudowny.

- Jest cudowny. Och, już czekam na to, żebyście się poznali. - Stali przytuleni do siebie w bibliotece i BJ. myślał o swojej rodzinie w dalekim Nowym Jorku. Chociaż radował się tym dniem szczególnie dla niego i Sereny, nagle poczuł, że tęskni do Stanów, do rodziny, a zwłaszcza do swego brata, Teda. - Chcesz teraz wyjść po zakupy? - Spojrzał na żonę.

- Jak ty chcesz - odrzekła.

Oboje mieli za sobą godzinę pełną emocji i była wyczerpana, nadal jednak chciała kupić dla niego prezent.

Popatrzył na nią ciepło i wziął ją za rękę.

- Ja chcę kupić” ci, Sereno Fullerton, wszystko, co mi się pod oczy nawinie. -Uśmiechnęła się słysząc swoje nowe nazwisko. - No, jazda do sklepów. Idź i włóż ten swój brzydki płaszcz. - Bo futro już zwróciła Pierre'owi i Marie-Rose. - Kupię ci nowy.

- Nie sobole, mam nadzieję.

- Raczej nie.

Ale jak się okazało, kupił jej futro z rysia, efektownego blondyna, i niezliczone pudła nowej garderoby. Gdy zataczając się, wrócili o godzinie szóstej do domu, miała co najmniej dwanaście nowych sukienek, dwa kostiumy, pół tuzina kapeluszy, to futro z rysia, płaszcz z czarnej wełny, pantofle, torebki, szale, bieliznę, nocne koszule i złote kolczyki. Była wprost zasypana lawiną kosztownych rzeczy. Jej prezent dla niego wydawał się znikomym w porównaniu z tym wszystkim, chociaż kosztował prawie całą resztę jej oszczędności. Kupiła złotą papierośnicę i złotą zapalniczkę, na których później, gdy już mu je da, miało być wygrawerowane jego imię, nazwisko wraz z datą. Zamierzała dać mu te pierwsze prezenty gwiazdkowe nazajutrz, rankiem w Boże Narodzenie.

Kierowca pomógł im wnieść wszystkie łupy do frontowego hallu, skąd powoli ramię w ramię poszli na górę. On znów patrzył na nią z przyjemnością, ona podnosiła na niego wzrok zdumiona. Kim jest ten człowiek, którego poślubiła? Czy możliwe, że wcale nie musi się liczyć z groszem? Od czasów przedwojennych nie widziała takich bogactw. Zastanowiła się, czy jego rodzina i bracia nie myślą, że wyszła za niego dla pieniędzy.

- Coś niedobrze, pani Fullerton? - B.J. najchętniej by umieścił Serenę pod kloszem, gdzie by jej nie dosięgła szorstkość jego matki.

- Nie, tylko myślałam, jakie to szczęście dla mnie, że mam ciebie.

- Zabawne, tak samo ja pomyślałem o tobie.

Zatrzymał Serenę na szczycie schodów, podniósł ją, otulił szczelniej nowym futrem, które od razu, gdy je kupił, włożyła w sklepie, i przeniósł ją, blondynkę tak jasną jak te rysie, przez próg sypialni.

- Co ty robisz? - zapytała sennie, poruszając ustami przy jego ramieniu. Dzień był długi, pełen wzruszeń i podniecenia. Ślub, ogromny obiad weselny, matka Brada, te wszystkie zakupy... Nic dziwnego, że czuła się taka wyczerpana.

- Przenoszę cię przez próg. Amerykańskim zwyczajem dla uczczenia faktu, że jesteśmy nowożeńcami. Przychodzą mi też na myśl inne sposoby, w jakie możemy to uczcić.

Zachichotała. Położył ją na łóżku i pocałował. Po chwili nie miała już futra na sobie ani niczego innego i kochali się aż do utraty sił, a potem zasnęli spokojnie w swoich objęciach. Marie-Rose postawiła im kolację na wózku pod drzwiami, ale się nie obudzili, nie wstali, żeby wziąć kanapki i kakao. Spali obejmując się jak dwoje dzieci.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

W dwa dni później, rano w Boże Narodzenie, Serena obudziła się wcześniej niż jej mąż i szybko przemknęła z sypialni do sąsiedniej garderoby, gdzie schowała poprzedniego wieczora te dwa pudełeczka. B.J. przeciągnął się leniwie i patrzył na nią, zaspany i szczęśliwy, gdy wracała. - Chodź, moja śliczna żono. Przytuliła się do niego, ściskając w ręce swoje prezenty.

- Wesołych świąt, kochanie.

- Boże Narodzenie? - Zapytał niby to zdumiony, jak gdyby nie wiedział, jaki jest dzień. Pociągnął ją na łóżko i znów leżała przy nim, w jego ciepłe. - Myślałem, że jutro.

- Och, cicho bądź, przecież wiesz, że dzisiaj! - Chichotała myśląc o tych wszystkich cudownych prezentach, które jej kupił. - Proszę, to dla ciebie.

Tym razem zdumiony był rzeczywiście.

- Kiedy to kupiłaś, Sereno? - Tak go zaprzątało kupowanie dla niej, że u Cartiera wybierając kolczyki nie zauważył, kiedy od niego na chwilę odeszła. - Jesteś myszka chytruska, co?

- W dobrych sprawach. No, rozpakuj.

Najpierw ją pocałował, a potem wolno odpakował pierwszy prezent denerwując się nie spiesząc. Dokuczał jej i sobie, więc śmiała się z niego, aż w końcu opakowanie się zsunęło i trzymał w ręce jedwabście gładką piękną papierośnicę ze złota.

- Sereno! Mała, jak mogłaś! - Był wstrząśnięty, musiała wydać majątek. Nawet nie wiedział, że miała tyle pieniędzy w rezerwie. Jeśli miała, to teraz nie zostało jej już nic. Ale złota papierośnica zawsze była w Europie typowym prezentem ślubnym dla młodego człowieka. Serena kupiłaby mężowi właśnie papierośnicę, gdyby jej rodzice żyli. Papierośnicę, zapewne z inicjałami z szafirów i z dedykacją misternie wygrawerowaną wewnątrz. I może ponadto spinki z szafirów albo wieczorowe o dwóch główkach z czarnych onyksów i iskrzących się brylantów. Ale ta nieozdobna złota papierośnica była zarówno ładna, jak imponująca. B.J. wzruszył się niewysłowienie.

- Kochanie, oszalałaś. - Pocałował żonę.

- Na twoim punkcie. - Radośnie chichocząc dała mu drugi prezent, który odpakował z nie mniejszym zachwytem.

- Boże święty, Sereno, rozpieszczasz mnie!

Na sekundę jej ogromne zielone oczy posmutniały.

- Żałuję, że nie mogę rozpieszczać cię bardziej, Gdybym... Przerwał biorąc ją w objęcia.

- Większego szczęścia po prostu sobie nie wyobrażam. Jesteś najlepszym prezentem, jaki dostałem w życiu. - Wyskoczył z łóżka i podszedł do komody w kącie. Patrzyła z

zainteresowaniem.

- Co ty robisz?

- Och, nie wiem. Przyszło mi na myśl, że może Święty Mikołaj zostawił tu coś dla ciebie?

- Oszalałeś? Tyle prezentów kupiłeś mi przedwczoraj.

Ale B.J. już wracał do niej zdecydowanie ze srebrzystym pakiecikiem owiązanym srebrzystą wstążką, intrygująco maleńkim.

- Masz, kochanie. Potrząsnęła głową.

- Na więcej prezentów nie zasługuję.

- Ależ tak, zasługujesz na wszystko co najlepsze... bo jesteś najlepsza. Zrozumiano?

- Tak, panie pułkowniku.

Zasalutowała mu żartobliwie i oczy jej zrobiły się ogromne, gdy zaczęła rozwiązywać wstążeczkę. Nawet w opakowaniu ten prezent wyglądał na kosztowny i jeszcze kosztowniejsze wydawało się pudełeczko z czarnego zamszu. Otworzyła, zobaczyła na lśniącej czarnej wyściółce coś roziskrzonego i zachłysnęła się z wrażenia. Ręce jej zadrżały, była nieomal przerażona.

- Och, Brad!

- Podoba ci się? - Wziął ją za rękę i wsunął jej na palec ten pierścionek. Owalny różowy brylant bez skazy otoczony mniejszymi białymi brylancikami. Pierścionek znakomity, godny pięknej, smukłej ręki, którą przystroił.

- Boże! - Prawie oniemiała patrzyła na to чудо. Nawet rozmiar był dobry. -Och, Brad! - Łzy nagle napłynęły jej do oczu, a B.J. się uśmiechał, zadowolony, że jest tak szczęśliwa.

- Zasługujesz na tuzin takich pierścionków, Sereno. Niemcy niewiele tego zostawili w Paryżu. Ale gdy pojedziemy do Stanów, będziemy kupować, ile tylko się da. Śliczne rzeczy dla ciebie, futra, suknie, mnóstwo biżuterii, kapelusze, wszystko, co ci się spodoba. Będiesz moją księżniczką... moją księżniczką... zawsze.

W ciągu następnych miesięcy wydawało się Serenie, że tylko zabija czas, przez cały dzień spacerując w Bois de Boulogne, chodząc do na pół jeszcze pustych muzeów, rozglądając się bez celu po sklepach i czekając, czekając na wieczór, gdy B J. wróci z pracy. Chciała tylko jego obecności, mąż był dla niej wszystkim na świecie. B.J. odkrył w niej namiętność, o jaką przedtem nigdy by jej nie podejrzewał. Godzinami leżeli przy sobie przed ogniem w bibliotece, rozmawiali, całowali się i przytulali, a potem jak dwoje dzieci na wyścigi biegli do sypialni. Ale w łóżku wcale nie byli jak dzieci. Kochali się wytrawnie i nieskończenie, i tak im zima minęła i nastąpiła wiosna.

Brad, chociaż nadal zajęty swoją pracą, miał o wiele mniej roboty teraz, gdy najbardziej palące problemy powojenne już rozwiązano, a rozwiązywanie tych mniej palących miało trwać całe lata. Żył więc w przyjemnej ciszy, w jakimś niefrasobliwym zastoju, w którym rzeczywiście mógł

przy biurku śnić na jawie. Przerwę obiadową spędzał z Sereną, długo spacerował z nią po parkach albo pędził do domu, żeby szybko nacieszyć się jeszcze jedną namiętą przygodą, zanim znów usiadzie przy biurku.

- Nie mogę tak wciąż się z tobą spotykać. - Uśmiechnął się do niej sennie w pewne popołudnie w maju, leżąc w jej objęciach szczęśliwy i wyczerpany.

- Dlaczego? Myślisz, że twoja żona zrobi ci awanturę? - Serena też się uśmiechała. Wyglądała teraz dojrzalej niż przed pięcioma miesiącami, gdy przyjechała do Paryża pociągiem z Rzymu.

- Moja żona? - B.J. potargany popatrzył na nią. - Do diabła, nie, to wariatka na punkcie seksu. - Serena parsknęła śmiechem. - Czy zdajesz sobie sprawę, że w wieku czterdziestu lat będę wyglądał na sześćdziesiąt, jeżeli się nie opamiętam? - Nie wydawał się jednak tym przejęty.

Serena spojrzała na niego filuternie.

- Uskarżasz się, pułkowniku? - Ale w oczach miała już rano dziwne blaski, jak gdyby coś przed nim tała. Znów to zauważył przy obiedzie i zaraz zapomniał, gdy rozmawiali. Teraz chciał ją zapytać, co to takiego. Przedtem jednak sam miał jej coś do powiedzenia. - No, pułkowniku, uskarżasz się?

- Właściwie się nie uskarżam. Tylko powinnaś wiedzieć, że kiedy pojedziemy do Stanów, nie będę mógł być taki czynny. - Oczy mu migotały.

Serena przechyliła głowę.

- Naprawdę? Przytaknął bez przekonania.

- Bo... bo ostatecznie Amerykanie tak się nie zachowują.

- Nie lubią się kochać? - zapytała z udaną zgrozą i nadal z tym błyskiem oczu.

- Nie lubią.

- Kłamiesz.

- Nie kłamię. - Uśmiechnął się do niej. - Do diabła, skończą się te szaleństwa, kiedy tam będziemy. Moja przerwa obiadowa będzie krótsza.

- Brad! - Serena popatrzyła na niego dziwnie. - Ty mi chcesz coś powiedzieć?

- Tak.

- Co? - Ale wydawało jej się, że wie.

- Przenosimy się do Stanów, księżniczko.

- Do Stanów - powtórzyła oszołomiona. Wiedziała, że to w końcu nastąpi, ale nie przypuszczała, że tak szybko. - Do Nowego Jorku?

- Do Nowego Jorku tylko na trzytygodniowy urlop. Potem, kochanie, do San Francisco i zostanę pełnym pułkownikiem. Co pani na to, pani Fullerton? - Był to awans nie byle jaki,

zważywszy, że miał trzydzieści cztery lata. Wiedział o tym i ona wiedziała.

- Brad! - Uradowała się. - Cudownie! I San Francisco?

- Pokochasz to miasto. I mało tego. Teddy będzie niedaleko, bo jesienią zaczniesz studia medyczne w Stanford. I jeszcze będziemy przedtem na ślubie Grega. Wszystko tak dobrze się układa, no nie?

- Mniej więcej. - Z tym samym wciąż tajemniczym uśmiechem rozparła się na poduszkach.

- Mniej więcej? Dostaję awans, wysyłają nas do kraju na jedną z najlepszych placówek, a ty mówisz „mniej więcej”. Sereno, powinienem dać ci klapsa. -Żartobliwie pociągnął ją i chciał położyć sobie na kolanie, ale powstrzymała go ruchem ręki.

- Tego bym nie robiła. - Głos miała dziwnie łagodny, oczy błyszczące, i jakaś świetlistość jej twarzy sprawiły, że znieruchomiał, jak gdyby wyczuł, co mu powie.

- Dlaczego? - zapytał.

- Dlatego że spodziewam się dziecka, Brad - powiedziała tak tkliwie, że oczy mu zwilgotniały. Przysunął się i objął ją.

- Och, kochanie.

- To chłopiec, mam nadzieję. - Przywarła do niego. Stanowczo potrząsnął głową.

- Dziewczynka. Zupełnie taka jak ty.

- Nie chcesz mieć syna? - Była tym zaskoczona, a on patrzył na nią jak na cudotwórczynię i prawie nie słyszał jej słów, wprost powalony uczuciem spełnienia.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Samochód, mający ich zawieźć do Hawru, podjechał o ósmej rano. Walizki i torby czekały spakowane w hallu frontowym. Pierre i Marie-Rose stali przy tych bagażach sprawiając wrażenie bardzo wykrochmalonych, sztywni i bladzi. Marie-Rose nieustannie, odkąd przyniosła Serenie śniadanie na tacy, ocierała oczy. Pierre wyglądał jak ojciec po pogrzebie jedyne syna, gdy po raz ostatni uściśnął rękę B J. Od czasów przedwojennych nigdy nie dbał o swoich pracodawców tak żarliwie jak o tę kochaną, młodą parę, a B.J. i Serena stali przed nimi teraz też smutni. B J. aż za dobrze wiedział, że to koniec pewnej ery, zaczyna się inne życie. W czasie wojny dawny Brad przepadł, on stał się kimś nowym, przekonał się, kim jest, jako jeden z wielu w mundurze, pod zwykłym nazwiskiem Fullerton. W armii to dla nikogo nic nie znaczyło. Fullerton? No to co? Ale teraz wracał do Stanów Bradford Jarvis Fullerton EH, i czekało go wszystko, co z tego wynika. Miał zobaczyć się z matką, ojcem, braćmi, ich przyjaciółmi i być na ślubie Grega, i próbować każdemu wyjaśnić, dlaczego zostaje w wojsku, dlaczego wojsko mu odpowiada, dlaczego się nie zwolni. Miał się usprawiedliwiać z tego, że nie chce pójść w ślady swego ojca, senatora, i że nie chce pracować w rodzinnej kancelarii adwokackiej, i że jest taki pewny swojej decyzji. Trzeba też będzie odpowiadać na pytanie, które nie padnie, bo nikt nie odważy się - dlaczego ożenił się z Sereną, Teraz, gdy wyjeżdżali z bezpiecznej, swojskiej i majowo zielonej Europy, czuł się odpowiedzialnym opiekunem żony. Tym bardziej że nosiła pod sercem jego dziecko. Ale nawet gdyby tak nie było, pragnął jej to przeflancowanie ułatwić, wiedział, że pierwsze dni znajomości z jego matką będą dla niej pełne napięcia. Później nawet ta nieposkromiona matka - o tym nie wątpił - ulegnie czarowi jego księżniczki. Zresztą gdyby nie uległa, palicho. Całym sercem należał teraz do Sereny. I po tylu latach w armii rodzina wydawała mu się jakoś mniej ważna, mniej rzeczywista. Ale to wszystko mu ciążyło w poranek wyjazdu, gdy uściskiem dłoni pożegnał się z Pierre'em i schylił się, żeby ucałować Marie-Rose w oba policzki, tak jak przed nim Serena.

- I na pewno dostaniemy fotografię dzieciątka? - Prawie tymi samymi słowami zapytała przez telefon Marcella w poprzedni wieczór.

- Przyślemy dziesiątki fotografii, na pewno. - Serena uściśnęła rękę Marie-Rose i pogłaskała się po lekkiej wypukłości swojej jedwabnej garsonki lila. B.J. już prawie co dzień gładził ją po brzuchu, sprawdzając, czy dziecko urosło, a ona mu dokuczała, że jest zafascynowany synem. „Córka” - poprawiał ją dobitnie i wtedy śmiała się z niego. Chciała, żeby to był chłopiec, dziedzic jego nazwiska, ale on się upierał, że chce mieć córkę zupełnie taką jak ona.

Państwo Fullerton pożegnali się z dwojgiem służących i odjeżdżając machali do nich

rękami. Gdy samochód z Avenue Hoche pędził w stronę l'Etoile, Serena oparła głowę na ramieniu B.J. i, jak przedtem w Rzymie, zastanowiła się, czy jeszcze w życiu zobaczy te znane, miłe sercu widoki.

- Dobrze się czujesz? - B.J. zapytał z niepokojem, taką powagę miała w oczach. Może chora? Ale przytaknęła i uśmiechnęła się.

- Doskonale. - Jeszcze raz spojrzęła za okno auta. - Tylko żegnam się... znowu. Sięgnął po jej rękę.

- Dużo miałaś tych pożegnań, kochanie. Teraz się osiedlimy, będziemy mieli dom, przynajmniej na jakiś czas. - Była, jak wiedział, możliwość, że pozostanie w San Francisco pięć lat, może nawet dłużej. - Ładnie urządzimy dom dla dziecka, zakorzenimy się, masz moje słowo. - Spojrzał na nią znów i łagodnie zapytał: - Będziesz tęskniła do tego wszystkiego tutaj?

- Do Paryża? - Zastanowiła się, ale on potrząsnął głową.

- Do wszystkiego, nie tylko do Paryża... do Europy.

- Trochę, Brad. Tak bardzo przez cały czas w Ameryce bałam się, co z wojną i z babcią, i czy w ogóle kiedykolwiek wrócę do Wenecji, do Rzymu, że czułam się tam jak uwięziona. Ale teraz będzie zupełnie inaczej. - Istotnie Serena nie miała w Europie już nikogo poza Marcellą. Na całym świecie nie miała nikogo poza Marcellą i swoim mężem. Wiedziała, że jej miejsce jest oczywiście przy mężu. Zadzwoiła do Marcelli poprzedniego dnia, powiedziała, że wyjeżdżają. O dziecku mówiła już przedtem. Staruszka śmiała się i płakała. Ale nie chciała wyjechać z nimi do Stanów. Bo ma swoje miasto, Rzym, a panienska ma teraz Brada. - Inny jest wyjazd tym razem. - Serena wzruszyła ramionami, wyglądając nagle tak bardzo na Włoszkę, że B.J. się uśmiechnął. - Ale trochę smutno mi wyjeżdżać, bo tu wszystko takie swojskie, bo mówię w tym języku.

- Nie bądź niemądra, po angielsku mówisz prawie tak dobrze jak ja. Właściwie - uśmiechnął się szeroko - to nawet lepiej.

- Nie w tym rzecz. Tutaj ludzie rozumieją moje życie, moją umysłowość, mojego ducha. Co innego w Stanach. Tam ludzie myślą inaczej niż my.

- Tak. - Rozważył jej słowa. - Inaczej.

Wiedział też, że większość ludzi tam nie doceni jej pochodzenia. No bo jakież mogą tam mieć pojęcie o pięknie, którym była otoczona dorastając, o tych nadzwyczajnych rzeźbach, gobelinach i obrazach, o pałacach w Wenecji i Rzymie, dla niej będących wówczas czymś powszednim i zwykłym, i o jej środowisku, i o sposobie życia przed wojną. To już zginęło, a przecież trwały ślad pozostał, nieusuwalnie przenikając jej istotę. To sprawia, że jest delikatna i wyrafinowana, spokojna i mądra zarazem, jak gdyby wszelkie piękno, jakie znała w dzieciństwie, rzeczywiście stało się jej udziałem. Ale B.J. już od dawna wątpił, czy da się to wszystko dobrze

przełożyć na język jego rodzimej kultury. Z tego też między innymi powodu nie spieszył się z powrotem do Stanów. Teraz jednak ta chwila nadeszła. Żeby to przeplacowanie było mniej gwałtowne, poświęcił część urlopu na dłuższą podróż. Mieli popłynąć przez Atlantyk statkiem Liberte, który po wojnie Francja otrzymała od Niemiec. Zarezerwował kabinę pierwszej klasy przy jednym z górnych pokładów.

Jazda do Hawru pociągiem-promem zanadto by Serenę zmęczyła, zdecydował B J., więc ordynans zawiózł ich samochodem. Mogli zatrzymywać się po drodze, kiedy tylko chcieli, i Serena w samochodzie czuła się dobrze. Zresztą od początku dobrze znosiła ciężę i po pierwszych trzech miesiącach jej samopoczucie nawet się poprawiło. Przez całą drogę z Paryża gawędzili. B.J. opowiadał o swym dawnym życiu w Nowym Jorku, o swej rodzinie i przyjaciółach, a ona mówiła o latach spędzonych u zakonnicy. Podróż minęła bardzo szybko i nagle znaleźli się na molo, ich bagaże kierowca prznosił z samochodu i wkrótce steward już ich prowadził schodami do kajuty, gdy Serena rozglądała się z czcią nieledwie. Niczym ten transatlantyk nie przypominał frachtowca, którym kiedyś w towarzystwie kilkudziesięcioroga małych uchodźców i kilku zakonnicy wypłynęła z Dover. Był to luksusowy statek pasażerski pierwszej kategorii. Idąc korytarzem z piękną boazerią, zaglądając do wyściełanych czerwonym pluszem saloników, zdała sobie sprawę, że czeka ją nie byle jaka podróż.

W jej oczach pląsały światełka, gdy odwróciła się do męża. Patrzył na nią wyczekująco, też podniecony. Sporo trudu kosztowało go załatwienie miejsc na Liberte w tak krótkim czasie. Ale gotów był zrobić wszystko w granicach swoich możliwości, żeby wprowadzenie jej w jego świat odbyło się gładko i zaczęło się szczęśliwie. Już wiedział, że ślub brata najprawdopodobniej oznacza niełatwe dla nich obojga chwile, i do stawienia czoła Pattie Atherton z pewnością mu się nie spieszyło, chciał więc przynajmniej przedtem zrobić żonie i sobie przyjemność wczasami na oceanie.

- Podoba ci się tutaj?

- Brad!... - mówiła szeptem, gdy godnie szli za stewardem do swojej kajuty, gdzie, jak wiedzieli, już były ich kufrы przysłane parę dni wcześniej. - Tu jest cudownie! Jak w pałacu. - Chichotała, a on się śmiał, wyraźnie zadowolony.

- Wieczorem zabiorę cię na dancing. - Przelotnie się zasępił. - Czy może nie powinniśmy?

Roześmiała się, wchodząc do kajuty.

- Ty głuptasie, twój syn zatańczy bardzo chętnie.

- Moja córka - poprawił ją niższym głosem i oboje umilkli zaskoczeni, tak wspaniale ich kajuta była urządzona. Wszędzie niebieski plusz albo niebieski atlas, boazeria z ciemnego mahoniu i meble mahoniowe z ozdobami i okuciami z mosiądzu, piękne małe latarnie, staroświeckie

angielskie lustra i duże przewiewne luki w wypolerowanych mosiężnych ramach. Idealna kajuta na podróż poślubną -w którą po ślubie nie wyruszyli - chociaż widząc to wnętrze zbytkowne i wygodne, chcieliby się zajmować je przez cały rok, a nie tylko przez krótki tydzień.

- Pokojówka przyjdzie za chwilę, żeby pomóc Madame rozpakować rzeczy. -i steward wskazał ogromną paterę pełną świeżych owoców, półmisek z ciastkami i karafkę sherry na wąskim kredensie. - Obiad podamy zaraz po pierwszej, kiedy wypłyniemy z portu, ale tymczasem może pan pułkownik i Madame zechcą coś przekąsić.

Wszystko było doprowadzone do perfekcji, popatrzyli na siebie zachwyceni, gdy steward uklonił się raz jeszcze i wyszedł z kajuty.

- Och, kochanie, jest bajecznie! - Serena rzuciła się mężowi w objęcia. B.J. promieniał.

- Jest jeszcze lepiej, niż myślałem. Boże, tylko tak podróżować! - Napełnił dwa małe kieliszki sherry, jeden podał żonie i wzniosł toast: - Zdrowie najpiękniejszej kobiety, jaką znam, kobiety, którą kocham - oczy mu rozjaśnił ciepły uśmiech -matki mojej córki!

- Syna - poprawiła go jak zawsze.

- Niech twoje życie w Stanach będzie szczęśliwe, kochanie. Zawsze, zawsze. - Dziękuję. - Popatrzyła w kieliszek, a potem na niego. - Wiem, że będzie. -

Łyknęła trochę sherry i teraz ona wzniosła toast: - Zdrowie mężczyzny, który daje mi wszystko i którego kocham całym sercem... obyś nigdy nie żałował, że przywiozłeś do domu wojenną żonę. - Coś smutnego miała przy tym w oczach, więc B.J. szybko wziął ją w objęcia.

- Nie mów tak.

- Dlaczego?

- Dlatego że cię kocham. Dlatego że kiedy mówisz takie rzeczy, zapominasz, kim jesteś. Nie wolno ci zapominać, kim rzeczywiście jesteś, Sereno. Principesso Sereno. - Uśmiechnął się do niej tkliwie, ale potrząsnęła głową.

- Jestem teraz panią Fullerton, żadną już principessą, i to mi się podoba. - Po chwili zapytała: - Czy ty, Brad, nie zapominasz, kim rzeczywiście jesteś? -Doznawała takiego wrażenia od kilku miesięcy. Zaczęła się orientować w jego dążeniu do bezimienności, któremu sprzyja to, że jest w wojsku i w Europie. -Zdaje mi się, że kocioł garnkowi przygania.

- Możliwe. - Przez długą chwilę patrzył w luk. - Właściwie moje pochodzenie zawsze było dla mnie ciężarem. - Nigdy dotąd nie wyznał tego nikomu, dziwił się, że wyznaje to Serenie... przed samym powrotem do Stanów, w dodatku. - Jakoś wcale nie mogłem się dopasować... „Kwadratowy kołek w okrągłej dziurze”, znasz takie wyświechtane określenie? Nie wiem dlaczego, ale tak jest. Moi bracia chyba czują się inaczej. Teddy dopasuje się wszędzie z łatwością, a Greg, czy się dopasuje czy nie, w każdym razie będzie się do tego zmuszał. I ja już nie wierzę w

te wszystkie nadęte bzdury. Właściwie nigdy nie wierzyłem w wartości uznawane przez Pattie Atherton, moją matkę, mojego ojca. Wszystko, żeby podkreślać własne znaczenie, wszystko na pokaz. Cokolwiek się robi to nie dlatego, że się to uważa za dobre i że się chce to zrobić, i że to ma sens. Och, nie, liczą się tylko pozory i jak patrzy na to świat. Ja już nie mogę prowadzić takiego życia.

- Dlatego zostajesz w armii?

- Właśnie. Spisuję się w armii względnie dobrze, będę mógł mieszkać w różnych, bardzo miłych miejscach na ziemi, prawdopodobnie dostatecznie daleko od Nowego Jorku, jeżeli mnie na jakimś etapie nie przydzielą do Waszyngtonu. -Przewrócił oczami z żartobliwą zgrozą. - I nie będę już musiał się wysilać, brać udziału w rodzinnej grze. Sereno, ja nie chcę być B.J. Fullertonem Trzecim. Jestem Brad, B.J. we własnej osobie, ktoś, kogo oboje możemy szanować. Po to, żeby być z siebie zadowolony, nie muszę należeć do klubów mojego ojca, ożenić się z córką przyjaciół mojej matki. Nigdy mi się te układy nie podobały i teraz już wiem dlaczego. Po prostu nie jestem tego pokroju. Ale ty - spojrzał na nią z czułością -urodziłaś się jako księżniczka. Nie możesz od tego uciec, ukryć się przed tym, zmienić tego czy odrzucić, nie możesz udawać, że tego nie ma. Bo to jest tobą. Tak samo jak te wspaniałe zielone oczy.

- Skąd wiesz, czy ja nie lubię swojego pochodzenia tak samo jak ty twojego?

- Stąd że znam ciebie. Tobie w twoim pochodzeniu nie podoba się tylko okazałość, efekt. Nie chcesz wydawać się snobką. Ale zasadniczo nie odrywasz się od swoich korzeni. Należysz do tamtego świata i gdyby tamten świat jeszcze istniał, na pewno bym cię z niego nie zabrał, bo teraz w Ameryce ludzie nie rozumieją takich światów, z jakiego ty pochodzisz. Ale nic lepszego nam się nie trafiło, mała, możemy tylko wyjaśniać to ludziom. Zresztą tym, którzy mają bodaj trochę oleju w głowie - uśmiechnął się - nie będziemy musieli wyjaśniać nic a nic. Bo to, czym jesteś, piękno, wdzięk i dobroć, i czystą wytworność prezentujesz sobą. I choćbyś się nazwała panią Jones, najdroższa, jesteś do głębi duszy księżniczką.

- To niemądre. - Serena uśmiechnęła się lekko zarumieniona, zakłopotana. -Gdybym ci nie powiedziała, wcale byś nie wiedział.

- Wiedziałbym na pewno.

- Nie wiedziałbyś. - Przekomarzała się z nim teraz. W tej pięknej niebieskopłuszowej i mahoniowej kajucie objął ją i namiętnie pocałował w usta, po czym wziął ją na ręce i z rozmachem położył na szerokim łóżku.

- Nie ruszaj się. Muszę coś załatwić. - Uśmiechnęła się, gdy podszedł do drzwi kajuty, zdjął z haczyka tabliczkę „Nie przeszkadzać”, otworzył drzwi i wywiesił ten napis na zewnątrz. - Dla zreflektowania pokojówki. - Odwrócił się, uśmiechnięty, zasunął zasłony i rozluźnił krawat.

- Co to ma znaczyć, panie pułkowniku? - Serena filuternie patrzyła z łóżka, księżniczka w każdym calu, poza tymi iskierkami śmiechu rozsrebrzającymi jej oczy.

- A jak pani myśli, pani Fullerton?

- W biały dzień? Tutaj? Teraz?

- Czemuż by nie? - Usiadł na krawędzi łóżka i znów pocałował żonę.

- Boże święty! Zajdę.

- To wspaniale. Będziemy mieli bliźnięta. - Och, nie mów...

Ale zatkał jej usta pocałunkiem. Po chwili już ściągali ładną niebieską atlasową kołdrę, pod którą ukazała się biel prześcieradeł z monogramem tej francuskiej linii transatlantyckiej, schludnie wyhaftowanym niebieską przędzą. Pościel była gładka i chłodna, ręce B.J. były ciepłe na piersiach i biodrach Sereny. Głodna jego ciała, kwiliła cicho, a on przesuwiał ustami po jej ustach i oczach, i włosach, i ręce jego czyniły cuda, po czym nagle zaskoczył ją nieomal.

- Ooch! - był to jeden przeciągły okrzyk zdumienia i rozkoszy, przebrzmiały w symfonii cichych szepków i jęków, gdy statek powoli wypływał z basenu portowego i zaczął się ich rejs do domu.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Dni na Liberte przelatywały zbyt szybko. Pogoda była cudowna i nawet normalny atlantycki czerwcowy wiatr nie zrywał się, by nękać Serenę i BJ. siedzących na leżakach obok siebie. Serena tylko dwa razy miała lekkie mdłości przed śniadaniem, ale gdy już zjedli, przeszli się po pokładzie, zagrali raz w krążki i pogawędzili z kimś z pasażerów, nie pamiętała o żadnych dolegliwościach, zadowolona i w doskonałej formie. Obiad jedli zazwyczaj sami, ucinali sobie drzemkę w swojej kajucie, a potem spędzali czas na pokładzie, dopóki nie nadchodziła pora przebrania się na podwieczorek, przy którym poznawali wciąż nowych ludzi, rozmawiali ze znajomymi z poprzednich dni i słuchali muzyki kameralnej. Wszystko bardzo Serenie przypominało babcię i jej przyjaciół, muzykę, jakiej lubili słuchać, potrawy, jakie lubili jeść, wspaniałe kolacje, stroje wieczorowe, te suknie z szarej koronki na różowych spodach z satyny, sznury pereł i idealnie skromne szare atłasowe czółenka - nic z tego nie było jej obce. Wydawało się to częścią jej dawnego życia. Ale i Bradowi też nie było nie znane: raz po raz spotykali znajomych jego rodziców czy jego wujów, czy wspólnych znajomych jednych i drugich.

W sumie ta podróż mijała niefrasobliwie, spokojnie, uroczo, oboje więc w ostatnią noc żalowali, że się skończy, gdy dobiją do Nowego Jorku.

- Może powinniśmy na gapę wrócić do Paryża.

- Nie - powiedziała Serena zdecydowanie, podparta łokciem na poduszce, dopieszczona. - Chcę pojechać do Nowego Jorku, poznać twoją rodzinę, a potem zobaczyć San Francisco i tych wszystkich kowbojów i Indian. Myślę, że spodoba mi się Dziki Zachód.

BJ. roześmiał się głośno, rozbawiony obrazami, które wyczarowała.

- Jedyny w tobie pierwiastek szaleństwa to twoja wyobraźnia.

- Nie ma kowbojów ani Indian? Ani jednego?

- W San Francisco nie ma. Żeby zobaczyć kowbojów, będziemy musieli pojechać w Góry Skaliste.

- Świetnie - uradowała się i pocałowała go w szyję. - Więc pojedziemy, tak?

- Na kiedy to planujesz, madame? Na drugi dzień po urodzeniu dziecka?

- Oczywiście. A niby co mam wtedy robić? Siedzieć w domu i szydełkować buciczki?

- Wydaje mi się to stosowne.

- No, ale mnie nie. Ja chcę coś robić naprawdę, Brad.

- Boże ratuj! - Opadł na poduszki z jękiem. - Oto kobieta nowoczesna. Ale co chcesz robić?

Iść do pracy?

- Czemu nie? To przecież Ameryka. Demokracja. Mogłabym uprawiać działalność polityczną. - Oczy jej zamigotały, gdy podniósł rękę.

- Wykluczone! Jedna taka kobieta w mojej rodzinie zupełnie wystarczy, dziękuję ci. Wymyśl coś innego. Zresztą, niech to diabli! - Zmarszczył brwi, rozdrażniony, jednak tylko trochę.

- Za sześć miesięcy będziesz miała dziecko. Nie możesz spokojnie skoncentrować się na tym?

- Chyba mogę. Ale też chyba mogłabym zajmować się czymś ponadto. Przynajmniej dopóki będę czekać.

- Znajdziemy ci jakąś miłą pracę ochotniczą.

Przytaknęła powoli, a przecież później sporo myślała o San Francisco. Ani ona, ani Brad nie znają tam nikogo. Brad pozna ludzi w bazie, a ona co? Nie chciała siedzieć z rękami założonymi na ogromnym brzuchu, czekając. Gdy mu to powiedziała, zafrasował się.

- Ale o co ci chodzi? Czy nie tak czekają kobiety?

- Nie wszystkie. Na pewno są takie, które coś robią w czasie ciąży. Wiesz - zadumała się na chwilę - biedne kobiety we Włoszech dalej pracują na roli, w sklepach, w piekarniach, tak jak wtedy, gdy nie były w ciąży. Pewnego dnia paff! - i już jest dziecko! No to idą do pracy z dzieckiem pod pachą. - Uśmiechnęła się na tę myśl, a on znów się roześmiał, rozbawiony.

- Masz nie najgorsze sformułowania, kochanie. Czy tego właśnie chcesz? Paff i już jest dziecko, a ty dalej pracujesz na roli?

Popatrzyła dziwnie.

- Byłam szczęśliwa, kiedy pracowałam z Marcellą.

- Dobry Boże, Sereno. To było straszne, rany boskie, służąca w pałacu swoich rodziców!

- Sama koncepcja była straszna, ale ta praca wcale nie. Czułam się tak, jak bym codziennie czegoś dokonywała. Nie miało dla mnie znaczenia, co robię, bylebym robiła dużo i dobrze. - Jak mała dziewczynka dumna z siebie, spojrzała na B.J. - Miałam mnóstwo obowiązków, sam wiesz.

Pocałował ją delikatnie w czubek nosa.

- Wiem, że tak, maleńka. I pracowałeś cholernie ciężko. Za ciężko. Nie chcę, żebyś kiedykolwiek robiła coś takiego - powiedział zadowolony, wiedząc, że nigdy tak nie będzie. - Teraz jesteś moją żoną, kochanie. A jedynym chyba plusem nazwiska Fullerton jest to, że łączy się z dostatecznym komfortem, by zabezpieczyć nie tylko nas, ale i nasze dzieci przed taką niedolą. Na zawsze.

- Miło wiedzieć. - Nie wydawała się olśniona. - Ale ja bym ciebie kochała nawet, gdybyś był biedny.

- Wiem, najdroższa. Ale miło, że nie trzeba się tego obawiać, prawda? Przytaknęła, wsunęła się w jego objęcia, po czym oboje zasnęli. Ona przed zaśnięciem jeszcze pomyślała o San

Francisco i wiedziała, że chce tam coś robić, nie tylko urodzić dziecko. Oczywiście macierzyństwo będzie cudowne, podniecające, ale powinna zajmować się czymś więcej. Jeszcze nie wiedziała czym. Z czasem to się okaże.

Nazajutrz o szóstej rano steward zapukał do ich drzwi i oznajmił, że wpływają do Nowego Jorku. W myśl zwyczaju statek wpływa do basenu portowego wczesnym rankiem, chociaż wylądować dopiero o dziesiątej. Trzeba załatwić formalności i chodzi o to, by pasażerowie spokojnie mogli się przygotować. Ale było coś szczególnego w widoku Statuy Wolności o wschodzie słońca rzucającego poprzez niebo złociste błyski na jej rękę z pochodnią i koronę. Mało kogo ten widok nie poruszał i ci Amerykanie, którzy wstali dość wcześnie, by to zobaczyć, zawsze wtedy czuli się jakoś szczególnie związani ze swoim krajem. Serena wzruszyła się niewysłownie: Statua Wolności oświetla jej drogę wiodącą w nowe życie.

Nawet BJ. dziwnie milczał. Ostatnim razem przyleciał do kraju tylko na krótko samolotem wojskowym. Teraz czuł się tak, jakby wreszcie już po wszystkich wojnach, mając żonę u boku, wracał do ukochanej ojczyzny. Słonecznym blaskiem zajaśniało mu w sercu uczucie spokojnego spełnienia i wdzięczności. Żeby dać temu wyraz, mógł tylko objąć Serenę i mocno ją przytulić.

- Witaj w domu, Sereno.

- Grazie - szepnęła i pocałowali się w pomarańczowej łunie czerwcowego poranka.

- Piękne będzie dla nas życie tutaj, kochanie. - To było przyrzeczenie, którego zamierzał dotrzymać do kresu dni ich obojga.

- Wiem. I dla naszego dziecka.

Stali tak chyba przez godzinę trzymając się za ręce, patrząc na Nowy Jork w dali. Statek czekał na urzędników imigracyjnych, na holownik, na klarowanie, na biurokrację i całą resztę tego wszystkiego, co łączy się z zawinięciem do portu, ale do BJ. i Sereny nic nie docierało, gdy tak stali, pogrążeni w myślach o przyszłości.

Akurat w tym samym czasie matka Brada na Fifth Avenue siedziała w łóżku i piła poranną kawę. Brwi miała zmarszczone, oczy chmurne, rozmyślała o swym najstarszym synu i o kobiecie, z którą się ożenił. Gdyby mogła, chętnie by zmusiła Brada, żeby pozbył się tej żony jak najszybciej, ale jeszcze nie wpadła na żaden rozsądny pomysł, jak się do tego zabrać. Na pieniądzach Brada nie mogła położyć ręki ani też on nie miał teraz stanowiska, na którym byłby zależny od rodziny. Na swój sposób Brad po prostu zwał i krążąc nad rodziną robi to, co mu się podoba - na swój sposób z tą cholerną młodą dziwką, mającą wejść do rodziny... Margaret Fullerton postawiła filiżankę na tacy tak, że aż brzęknęło, odrzuciła kołdrę i wstała z łóżka wyraźnie zdecydowana.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Z sercem łomoczącym Serena szła po schodach przed B.J. Jacy oni się okażą? Co powiedzą? W głębi duszy miała przebłysk nadziei, że pani Fullerton - „tamta pani Fullerton”, uśmiechnęła się do siebie - będzie na molo, żeby ich powitać.

Dźwigała swoje zdenerwowanie jak wielkie brzemie, idąc w kremowym płóciennym kostiumie, w kremowej jedwabnej bluzce i z włosami upiętymi w kok ósemkę. Wyglądała bardzo młodo i uderzająco ślicznie, delikatna, aż bezbronne, i świeża jak biała róża samotna w kryształowym wazonie. Chciałoby się tej róży dotknąć, a przecież się nie śmiało. Ręką w niepokalanie białej giemzowej rękawiczce ledwie muskała poręcz schodni i gdy obejrzała się raz za siebie, Brad wszystko odczytał w jej oczach. Pochylił się ku niej, żeby jej dodać otuchy.

- Nie miej takiej spłoszonej miny. Oni na ciebie nie napadną, ręczę. -i w duchu dodał: nie odważą się. Ale wiedział, że odwagi nie zabraknie jego matce... Pattie... Gregowi, jeżeli Greg jest pod wpływem jednej czy drugiej z nich... Ojcu? Nie był pewny. Mógł mieć pewność tylko co do Teda.

Od stewarda rano dostali na pożegnanie dwie ładne gardenie, które Serena przypięła sobie do klapy żakietu. Czuł ich mocną woń.

- Głowa do góry, mała!

Znów spojrzała na niego i tym razem zobaczył, że jest blada ze strachu. To nie w porządku wystawiać ją na taką próbę, przez chwilę nienawidził swojej matki. Czyż nie mogłaby to być starsza pani, pulchna i dobrotliwa, zamiast tej smukłej kocicy, królowej dżungli... Rzeczywiście jego matka jest jak pantera czyhająca na łup. Wyobraził sobie, jak wyczekuje, kocia, drapieżna, kręci się po molo niecierpliwie. Musiał potrząsnąć głową, żeby odsunąć ten obraz. Ale gdy doszli do oznaczonej literą F komory celnej, gdzie musieli poczekać na swoje kufry i pokazać je celnikowi, zobaczył, że nikt z rodziny po nich nie przyjechał. Nie było rodziców, żadnych dobrze znanych twarzy. Dalekie to od ochryple wrzaskliwego przyjęcia, jakie mu zgotowali na lotnisku rok temu. Rozczarowany, ale też czując ulgę, wziął Serenę za rękę.

- Możesz się odprężyć. Tutaj ich nie ma.

Ściągnęła nerwowo brwi.

- Myślisz, że nie będzie? - Czy całkowicie go wykreślili z jej powodu? Tego lękała się przez cały czas, tym kierowała się upierając, że za niego nie wyjdzie, gotowa do końca życia oplakiwać go w Rzymie.

- Na litość boską, Sereno, wyglądasz, jakby ktoś ci umarł. Uspokój się. Pewnie są jak diabli

zajęci przygotowaniami do tego cholernego ślubu i wesela. Pojedziemy taksówką. - Ale nawet jemu dziwnie zlekceważony wydawał się ten powrót po tak długim czasie do rodzinnego domu.

A tymczasem najmłodszy brat stał w odległości pięćdziesięciu jardów i patrzył na nich z uśmiechem rozpląsanym na twarzy i w niebieskich oczach. B.J. nagle go zobaczył. Wiedział, że taki jest ten uśmiech nie potrzebując widzieć z bliska. Znał te drobne zmarszczki uśmiechu przy kącikach oczu. Teddy zawsze uśmiechał się tak, że cała twarz mu się rozjaśniała i dwa głębokie dołki, ku jego wielkiemu niezadowoleniu w dzieciństwie, robiły mu się na policzkach. W białych flanelowych spodniach, niebieskim blezerze i słomkowym kapeluszu z płaskim denkiem wyglądał cudownie spiesząc do brata i bratowej. B.J. wyciągnął ręce, żeby go uściskać, ale on z bukiem czerwonych róż chciał najpierw powitać Serenę, ten jasny uśmiech miał tylko dla niej, jak brat czy przyjaciel po bardzo długiej rozłące. Znieruchomiał przed nią raptownie, olśniony jej urodą i wytwornością, po czym objął ją i uściskał, aż jej dech zapało.

- Cześć, Sereno. Witamy w domu! - powiedział z taką emfazą, tak entuzjastycznie, że oboje się uśmiechnęli i Serena poczuła łzy w oczach. Uściskała go równie mocno i tak jakby zawsze go kochała i chciała, żeby on ją kochał. - Strasznie się cieszę, że jesteście. - Znad jej ramienia spojrzał na ukochanego brata.

B.J. nie mógł już czekać ani chwili dłużej. Wziął w ramiona oboje, Teda i żonę, i stali razem zamknięci w tym niedźwiedzim uścisku śmiejąc się i płacząc przy ogromnym statku, który przywiózł młodych państwa Fullerton do domu.

Wydawało się, że wieki minęły, zanim Teddy wypuścił z objęć Serenę, w końcu jednak mogła przyjrzeć się temu najmłodszemu bratu, tak dobrze jej znanemu z opowiadań. Był jeszcze wyższy niż B.J. i poniekąd przystojniejszy. Poniekąd nie - stwierdziła patrząc to na jednego, to na drugiego, gdy ożywni gawędzili o wszystkim, o ślubie, o rodzicach, o podróży. B.J. ma rysy bardziej regularne, ramiona szersze i wydaje się o wiele bardziej wyrafinowany - patrzyła na swojego męża z dumą.

A przecież w Teddym było coś niezwykłego, coś, co nie dawało się przeoczyć. Blask nieomal, jakieś podniecenie rozświetlające mu duszę, rzutujące na wszystkich w jego orbicie. Przepęłniała go radość, serdeczność, miłość eksplodując jak fajerwerki w dniu Czwartego Lipca. Wprost musiało się go lubić, chcieć należeć do jego życia. Serena też to czuła patrząc na niego, ale dołączyło się inne uczucie, fala podziwu tak przemożna, że nie wiedziała, co z tym zrobić. Teddy, chociaż rozmawiał z bratem w tempie karabinu maszynowego, nie spuszczał z niej oczu. Wreszcie znowu się zwrócił do niej.

- Sereno, jesteś taka piękna. - Wydawało się, że jej uroda zwała go z nóg. Roześmiała się niepewnie.

- Nie tylko - powiedział jej mąż. - Ona jest księżniczką. No i co ty na to?

- Wygląda na księżniczkę - orzekł młodszy brat z całą powagą, gdy B.J. czule patrzył na niego, rozbawiony.

- Tylko się w niej nie zakochaj, chłopcze. Ja pierwszy ją zobaczyłem. Ale Teddy wpatrywał się w Serenę z jakąś nabożną czcią, wprost żenującą.

- Boże, jesteś urocza. - Nie mógł oderwać od niej wzroku, ale to ona sprawiła, że czar przysł. Nad naręczem róż, które jej ofiarował, szepnęła:

- Tak naprawdę ja to nie Serena. Poznałam B.J. na statku i poprosił, żebym ją zastąpiła.

- Jednak spryciara, no nie? - B.J. objął ją dosyć zaborczo ramieniem. Ostatecznie ten brat jest o dwanaście lat młodszy od niego, starszy od Sereny tylko o trzy lata. Nie chciał, żeby chłopaka poniosło. - A propos, jak się miewa nasza przemiła przyszła bratowa?

Słoneczny Teddy zachmurzył się na długą chwilę.

- Chyba świetnie - odpowiedział zdawkowo głosem przytłumionym. - Greg od dwóch tygodni co wieczór się upija. Nie jestem pewny, co to ma znaczyć. Radość czy strach?

- Może jedno i drugie po trochu. - B.J. patrzył bratu w oczy. Ale Teddy zawsze był z nim szczery.

- Zdaje mi się, że Greg nie wie, co robi. Albo może, co jeszcze gorsze, nie chce wiedzieć.

- Dajesz do zrozumienia, że ktoś powinien ukrećić łeb tej sprawie? Teraz? -B.J. się zaniepokoił.

- Nie wiem. Mama na pewno tego nie zrobi. Greg błyskawicznie staje się jej najbardziej obiecującym wielkim kandydatem. Odkąd ty zostałeś oficerem zawodowym. - Teddy spojrział na starszego brata dyskredytująco, ale B.J. tylko się uśmiechnął. - A że ja, to oczywiście, nigdy nie wejść do tej gry rodzinnej, Greg chyba takim kandydatem jest.

- Biedne chłopaczysko.

Przez chwilę B.J. milczał, a potem podeszli celnicy, żeby przeszukać ich kufrы i sprawdzić paszporty. Zapytali o paszport Teda, na co on okazał specjalną przepustkę. Z tą przepustką, którą dzięki uprzejmości jednego z ustosunkowanych przyjaciół ojca dostał od burmistrza Nowego Jorku, mógł przyplływających znajomych witać na statku, zamiast czekać, aż przejdą przez komorę celną. Bardzo przydatna przepustka w takich momentach jak ten, ale celnik uznał, że Teddy niedbale nią machając, traktuje go protekcyjnie.

- Ma się przywileje, ech? Teddy trochę się zmieszał.

- Tylko ten jeden raz. Mój brat wraca do domu z wojny. - Wskazał B.J. i celnik od razu złagodniał.

- Powrót na Liberte, synu? Niezły sposób podróżowania.

- Nie najgorszy. Udało nam się zarazem odbyć podróż poślubną.

- Żona tam pojechała po pana? - Tylko sprawdzał bagaże. Drugi celnik, który wziął od nich paszporty, wiedział już, że Serena jest Włoszką, ten jednak nie wiedział. Serena milczała.

- Nie. - B.J. popatrzył na nią z dumą. - Nie, ja moją żonę właśnie tam poznałem. W Rzymie.

- Włoszka? - Zmrużonymi oczami celnik przyjrzał się nieposzlakowanej, złocistobiałej piękności z gardeniami w butonierce, sam w wyszarzonym mundurze, w krawacie poplamionym i z żalobą za paznokciami.

- Tak, moja żona jest Włoszką. Z Rzymu - powtórzył B.J. uśmiechając się, gdy celnik zaczął patrzeć na niego spode łba.

- Mnóstwo dziewczyn u nas w kraju do żeniaczki, synku. Czy może nie pamiętało się o tym? Do licha, niejeden z was pojechał tam za ocean i zapomniał, co jest w kraju. - Spode łba popatrzył jeszcze na nich troje i szybko odszedł do walizek innych pasażerów. B.J. miał w oczach błyski gniewu, a Teddy ślełą furję, ale Serena położyła im ręce na ramionach i potrząsnęła głową.

- Nie. To bez znaczenia. Po prostu stary i rozgniewany. Może ktoś porzucił jego córkę.

- Może ktoś powinien rozwalić mu facjatę. - Teddy miał chęć to zrobić, a B.J. sprawiał takie wrażenie, jakby chciał Teddy'emu pomóc.

- Nieważne. Jedźmy do domu.

Bracia spojrzeli na siebie. B.J. westchnął i przytaknął.

- Dobrze, księżniczko, wygrałaś. - Ale patrzył na nią prawie ze smutkiem. - Tym razem. - Pochylił się, żeby ją pocałować. - Nigdy już nie pozwolę nikomu mówić takich rzeczy przy tobie.

- Ale będą mówić - szepnęła. - Może przez długi czas.

- Bzdura - powiedział Teddy.

Roześmiała się. Skinęli na bagażowego i zaczął się końcowy etap tej podróży do domu.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Teddy przyjechał po brata i bratową granatową limuzyną cadillac, którą ojciec ostatnio kupił matce na gwiazdkę. Ale Margaret Fullerton przeważnie wołała nadal jeździć swoim ładnym butelkowitzem lincolnem-zephyrem z podnoszonym dachem. Sama go prowadziła prawie co dzień. Dzięki temu jej synowie mieli do dyspozycji cadillaca i sędziwego szofera, z czego do woli korzystał Greg, jeżeli Teddy nie był szybszy, jak tego właśnie dnia. Matka miała w rozkładzie dopatrzenie ostatnich szczegółów kolacji przedślubnej nazajutrz i zebranie zarządu Amerykańskiego Czerwonego Krzyża, oraz bankiet zarządu jeszcze innej organizacji, w którym zasiadała - dlatego oczywiście nie mogła powitać B.J. i Sereny w porcie. A Greg musiał być z ojcem na ważnej konferencji w śródmieściu, tak że pozostał tylko Teddy, by przyjechać po brata i jego żonę tym eleganckim granatowym samochodem.

- Ho, ho, nowy wóz?

- Mhm. Prezent na gwiazdkę od taty.

- Dla ciebie? - zapytał B.J. oszołomiony.

- Do licha, nie. - Teddy się uśmiechał. - Dla mamy.

- No cóż. To ma sens. Często nim jeździsz, czy tylko na paradne uroczystości?

- Tylko wtedy, gdy Grega nie ma.

Ale zanim zdążyli powiedzieć coś więcej, stary szofer wysiadł z cadillaca i ruszył ku nim, zdejmując czapkę, uśmiechnięty od ucha do ucha. Pracował u Fullertonów, gdy B.J. był jeszcze dzieckiem.

- Cześć, Jimmie. - B.J. klepnął go w ramię i uściskał. Stary zachichotał z radości.

- Dobrze wyglądasz, chłopcze. Kontent jestem, że wróciłeś.

- Ja też. Jimmy, pozwól, że przedstawię ci moją żonę. - Z wyraźną dumą B.J. odwrócił się do Sereny, a stary prawie rozdziawił usta, patrząc na tę piękną blondynkę.

- Miło mi panią poznać, pani Fullerton - powiedział nieśmiało.

Uścisnęła mu rękę serdecznie z uśmiechem, który przeniknął w głąb jej szmaragdowych oczu.

- Brad mi sporo opowiadał o panu.

- Naprawdę? - Jimmie ogromnie się ucieszył. - Witamy w Ameryce. - Zmrużył oczy. - Pani bardzo dobrze mówi po angielsku. Już pani tu była kiedyś?

Przytaknęła.

- Byłam w czasie wojny. Na północy stanu Nowy Jork.

- To dobrze.

Jeszcze raz uśmiechnęli się do siebie, po czym on gestem zaprosił troje Fullertonów do samochodu.

- Ja się zajmę tym bałaganem. Wy się nie turbujcie.

Ale tylko Serena i Teddy wsiedli, B.J. został, żeby pomóc swemu staremu kumpłowi posortować bagaż.

W samochodzie Teddy nadal nie odrywał wzroku od Sereny.

- Jak przeszła podróż? - Nie bardzo wiedział, od czego zacząć rozmowę, tak nieswojo czuł się z nią teraz, bez Brada. Chciał dotknąć jej gładkiego policzka, tych nadzwyczajnie złocistych włosów, a potem nagle szaleńczo zapragnął ją pocałować, ale nie jak szwagier ani nawet nie jak przyjaciel. Na tę myśl zaczerwienił się, rozplomieniony, aż mu czoło zwilgotniało od potu.

- Źle się czujesz? - Serena patrzyła na niego dziwnie. - Nie jesteś chory?

- Nie... przepraszam... Nie wiem... Ja tylko... myślę, że to po prostu podniecenie. B.J. wrócił, poznałem ciebie, Greg się żeni, kończę budę w przyszłym tygodniu. - Wytarł czoło białą płócienną chustką do nosa i usiadł wygodniej. - No, o czym to mówiliśmy? - Ale mógł myśleć tylko o tej twarzy, o tych oczach. Nigdy dotąd nie widział tak ślicznej dziewczyny.

Serena patrzyła na niego z z troskaniem i niewypowiedzianym zrozumieniem.

- Proszę... - zająknęła się tylko przelotnie. - Denerwujesz się przeze mnie, prawda? Czy to taki wielki wstrząs? Czy jestem rzeczywiście taka inna? - Brzmiało w jej głosie poczucie winy i żal.

Ale Teddy przytaknął.

- Właśnie, jesteś inna. Tylko że nie tak jak myślisz. Sereno - westchnął i ujął jej rękę. Do diabła, B.J. przecież go nie zabije. - Jesteś najpiękniejszą kobietą, jaką w życiu widziałem, i gdybyś nie była żoną mojego brata, w tej chwili bym ci się oświadczył!

Myślała, że on żartuje, ale zobaczyła w jego oczach coś przejmującego. Patrzyła na niego zdumiona.

- Nadrabiasz czas z moją żoną, braciszku? - B.J. otworzył drzwi tej eleganckiej limuzyny i wsiadł z miną niedbałą, beztroską, zadającą kłam lekkiemu drzeniu, jakie czuł w sercu, gdy zajmował się bagażem. Teddy to zawsze najprzystojniejszy chłopak i z pewnością bardziej dla niej odpowiedni wiekiem... Nie bądź głupi - zganił się w duchu. Serena jest moją żoną, kocha mnie i spodziewa się mojego dziecka.

Teddy tylko się roześmiał i przeczesał włosy palcami.

- Chyba w porę mnie uratowałaś, Brad - powiedział - przed zrobieniem z siebie absolutnego osła.

- Mam wysiąść, żebyś spróbował jeszcze raz?

- Nie! - wykrzyknęli Teddy i Serena jednogłośnie, wymienili spojrzenia i zaczęli pokładać się ze śmiechu jak rozhisteryzowane dzieci, co zupełnie rozładowało sytuację. Śmieli się przez całą prawie drogę do domu, dokuczając sobie i B.J., i w ten sposób zrodziła się serdeczna przyjaźń między nimi.

Teddy szybko opowiedział bratu i Serenie, jak zaplanowano ślub i wesele, i kto został zaproszony na kolację przedślubną. B.J. już wiedział, że będzie głównym drużbą, a Teddy jednym z jedenastu drużbów kierujących gości na wyznaczone miejsca. Ponadto ma być główna drużna i jedenaście druzhen, dwoje dzieci do niesienia obrączek i kwiatów. Ślub w kościele Świętego Jakuba na Madison Avenue, zaraz po ślubie ogromne przyjęcie w hotelu Plaza. Zapowiada się wspaniała gala. Athertonowie wydają na to fortunę.

Kolację przedślubną natomiast wydaje ojciec w swoim klubie Knickerbocker, osób tylko czterdzieści pięć, obowiązuje smoking.

- Ó rany! - B.J. głośno jęknął. - Powtórz, kiedy to?

- Jutro.

- A dzisiaj? Możemy mieć trochę czasu dla siebie, czy musimy wykonać jeszcze jakiś taniec plemienny wszyscy w komplecie?

- Mama planuje małą kolację rodzinną. Tylko wy, mama, tata, Greg i ja, i oczywiście Pattie - w oczach Teddy'ego mignął niepokój.

- To powinna być sielanka. - Odkąd Pattie zobaczyła Serenę i nazwała ją dziwką, a on, B.J., zerwał zaręczyny, nie minął nawet rok.

Po chwili podjechali pod markizę nad wejściem i już odzwierny pospieszył otworzyć drzwi, już Jimmy pomagał im wysiąść.

- Mama jest na gorze? - B.J. chciał szybko mieć to spotkanie za sobą. Utkwił wzrok w Teddym, jak gdyby potrzebował poparcia i energii młodszego brata do pomocy w chronieniu żony przed wstrząsami.

- Jeszcze nie. Będzie dopiero o trzeciej. Mamy dom cały dla siebie, żeby Serena się rozejrzała. - Było to coś w rodzaju błogosławieństwa.

Serena ulegle weszła pod eskortą męża i szwagra do hallu ze wspaniałą boazerią i gobelinami, i marmurową podłogą, z ogromnymi roślinami w donicach pod zwieszonym z wysokiego stropu migotliwym żyrandolem iście godnym Wersalu.

B.J. i Teddy pociągnęli ją do windy i wkrótce znaleźli się na najwyższym piętrze, gdzie korytarz prowadził do jednego tylko mieszkania - domu na dachu tego drapacza chmur z widokiem na Central Park. Tutaj trzej młodzi Fullertonowie dorastali. B.J. poczuł dreszcz podniecenia, gdy

Teddy swoim kluczem otworzył drzwi i przepuścił Serenę i jego przed sobą. W hallu gorączkowo ścierały kurze dwie pokojówki w czarnych sukienkach, białych koronkowych czepeczkach i fartuszkach. Tutaj na ścianach były nadzwyczaj piękne japońskie malowidła, marmurowa podłoga w czarne i białe romby, a żyrandol jeszcze piękniejszy niż w hallu na dole. Ten żyrandol Waterforda sprzed dwustu lat, rzeczywiście dzieło sztuki, uzupełniały kunsztowne kinkiety. Cały hall przypominał Serenie rzęsiście oświetloną salę balową. Pokojówki powitały B.J. w domu i wybiegły, żeby powiedzieć kucharce, że on już jest. Obiecał przyjść do kuchni za chwilę. Najpierw chciał pokazać żonie swoje stare kąty.

W pewien sposób to mieszkanie przypominało Serenie palazzo. Mniejsze, bo ostatecznie nie dom, tylko mieszkanie, miało jednak w sobie atmosferę wielkopańską i urządzeniem raczej się nie różniło od wnętrz, w których dorastała. Zobaczyła tu subtelnie stonowane dywany Aubusson, draperie z adamaszku i wspaniałe brokaty, w bibliotece fortepian i od podłogi do sufitu półki ze znakomitymi książkami. W jadalni zbiór portretów rodzinnych na trzech ścianach. W salonie, pełnym finezji, uroczym, bardzo francuskim, były dwa obrazy Renoira i jeden Moneta, sporo mebli Ludwik XV, rzeki szarego adamaszku i białego jedwabiu akcentowane przygaszoną różowością, mnóstwo złocień i marmuru. To mieszkanie, którego nikt by nie nazwał „domkiem na dachu”, podobało się Serenie przede wszystkim dlatego, że sprawiało wrażenie dobrze jej znane. Jak tamte pałace z czasów jej dzieciństwa. Nieomal chciała odetchnąć i pełna ulgi powiedzieć: „To dobrze, że jestem tutaj”. Teddy zauważył wyraz jej twarzy i zażartował:

- Czego się spodziewałaś? Lwów i tygrysów, kobiety z batem i krzesłem? Śmiejąc się odpowiedziała:

- Niezupełnie, ale... - popatrzyła na niego przekornie.

- Ale prawie! No, masz szczęście. Rzucamy chrześcijan lwom na pożarcie tylko we wtorki.

A dzisiaj jest czwartek.

- To piękny dom.

Brad, który rozglądał się tak, jakby wszedł tu po raz pierwszy, uśmiechnął się do nich obojga.

- Wiecie, zapomniałem, jak tutaj ładnie. - Przed dziesięcioma miesiącami, gdy przyjechał na urlop, w rozgorączkowaniu jakoś wszystko to uchodziło jego uwagi.

- Witaj w domu, najstarszy bracie.

- Dziękuję, chłopcze - uścisnął Teddy'emu ramię i objął Serenę. - Kochanie, dobrze się czujesz? Nie jesteś zanadto zmęczona? - W ten sposób ostrzegał Teddy'ego.

- Coś nie tak? - Teddy spojrzał niespokojnie. Było coś w oczach brata, czego dotychczas nie widział, czułość, duma i podniecenie. - O co chodzi? Czy może jestem wścibski?

- Chyba nie. Chciałem ogłosić to dopiero wieczorem. Ale tobie powiem teraz. -B.J. uznał, że brat ma prawo wiedzieć pierwszy. Sięgnął po rękę żony i uśmiechnął się do Teddy'ego. - Spodziewamy się dziecka.

- Już? - Ted osłupiał. - Kiedy?

- Za sześć miesięcy. Sześć i pół, dla ścisłości. - B.J. zrobił minę. - Przyzwoicie. Ślub wzięliśmy pół roku temu.

- Źle mnie zrozumiałeś. - Teddy zakłopotany spojrzał na Serenę. - Po prostu wydaje mi się, że dosyć szybko.

- Szybko i to bardzo dobrze. Nie jestem taki młody jak ty. Nie chcę tracić czasu i Serena też się cieszy. - Znow B.J. promieniał, aż Teddy się uśmiechnął.

- Myślę, że skręcam się z zazdrości, ale, co jeszcze gorsze, nie mam sobie tego za złe.

B.J. parsknął śmiechem rozbawiony tym szczerym wyznaniem i wszyscy troje długo chichotali. Coś dziwnego zaszło między nimi. Nowa więź wytworzyła się między braćmi, którzy już się kochali od początku życia, i teraz udało im się w to włączyć osobę trzecią. Jak gdyby we troje stali w jakimś zaczarowanym kręgu. Każde z nich zdawało sobie z tego sprawę.

- O rany, więc będę stryjem! - Teddy zaczął podskakiwać. Serena się śmiała. B.J. na próżno go mitygował.

- Jeszcze nie mów całemu domowi, na litość boską. Chcę najpierw powiedzieć mamie. Sądziysz, Teddy, że jest gotowa zostać babcią?

Wymienił z bratem znaczące spojrzenie. Po chwili ciszy Teddy mruknął:

- Nie jestem pewny.

Tylko Serena nie powiedziała ani słowa przez tych parę minut, odkąd zaczęli mówić o dziecku.

- Dobrze się czujesz, Sereno? - zatroszczył się o nią Teddy raptem na równi z B.J. Rozśmieszył ją tym.

- Tak. Świetnie. Doskonale. Fantastycznie.

- To cudownie. - I z figlarnym uśmiechem, znów złościącym mu dołki w policzkach, Teddy zawołał: - Szkoda, że to dziecko nie może poczekać dwa lata! Wtedy już ja bym przyjął je na świat.

- Jakoś przeżyjemy fakt, że nie ty je przyjmiesz. Ale - pospieszył B.J. dodać -przynajmniej będziesz tam z nami, kiedy nadejdzie ta wielka chwila. - Był zadowolony, że młodszy brat też będzie mieszkał w San Francisco, czy choćby w pobliżu. W ciągu czterech lat studiów medycznych Teddy'ego miał nadzieję często się z nim widywać. Powiedział mu to.

Teddy przytaknął entuzjastycznie.

- Zwłaszcza teraz. Chcę odwiedzać mojego bratanka.

- O nie! - zaprotestował B.J. dziwnie stanowczo.

- Nie? - zdumiał się Teddy. - Nie będę mógł go widywać?

- Będziesz mógł widywać ją. Bratanicę.

- Bratanicę? Chcecie mieć dziewczynkę? - Aż się zgorszył. - To nienaturalne. Czy mężczyznom w naszej rodzinie nie powinno zależeć na kontynuacji nazwiska?

- Powinno, ale ja zamierzam mieć córkę i niech ona sobie wyjdzie, jeżeli zechce, za faceta, który będzie się nazywał Obadiah Farthinblitz. Szczęśliwy jak diabli, wyprawię jej wesele.

- Gonisz w piętękę. Szczerze mówiąc - przeniósł wzrok z B.J. na Serenę -podejrzewam, że oboje gonicie. Co może się okazać waszym zbawieniem. Wiecie, chyba piekielnie dobrze będziemy się bawić w Kalifornii.

- Będziesz nas odwiedzał często? - Serena patrzyła na niego serdecznie.

- Tak często, jak mi pozwolicie. Rozpoczynam studia od września. Na lato jadę do Newport, żeby narobić tam szkód, ile tylko się da. W drodze powrotnej zatrzymam się w Chicago. No, w ostatnim tygodniu sierpnia będę już z wami. Pomieszkać przez te parę dni u was - oświadczył z rodzinną pewnością siebie. B.J. się roześmiał.

We troje poszli do kuchni, przywitali się z kucharką, ukradli kilka ciastek, skosztowali szparagów, powąchali coś tajemniczego, co pachniało, jak B.J. przysięgał, indykiem, a potem schronili się w dawnym gabinecie B.J., należącym teraz do Teda, i snuli wspomnienia, jedząc cienkie kanapki, rzeżuchę na lekkim białym chlebie i popijając lemoniadą. Przyjemny to był sposób spędzania popołudnia, zanim wróci do domu reszta rodziny. Po obiedzie Serena zasnęła na sofie ku zadowoleniu B.J. i Teddy'ego, którzy wiedzieli, że następne godziny mogą być dla wszystkich trudne. Coś już Bradowi mówiło, że teraz, gdy wrócił, nic w rodzinnym domu nie będzie łatwe. Przedtem różnie sobie wyobrażał, jak się to ułoży, jak będzie zachowywać się matka. Gotów był grać sam ze sobą, stawiać na taki czy inny wariant. Ale już nie teraz, nie tutaj. W tym domu sama siła matki dawała się odczuć tak wyraźnie, że niemożliwością było łudzić się co do niej bodaj przez chwilę. Żona, jakiej Margaret Fullerton życzyła sobie dla B.J., to któraś z tych niezliczonych bogatych panien na wydaniu, kręcących się w jego orbicie od lat, dziewczyna mniej więcej taka jak Pattie Atherton.

Ona sobie nie życzyła synowej jakiejś tam principessy z Rzymu. Chciała, żeby to była córka kogoś z jej znajomych z Klubu Kolonialnego, kogoś kto bywa w tych samych domach co oni, zna tych samych ludzi, zajmuje się tymi samymi sprawami. I B. J. wiedział, że Serena nigdy nie dopasuje się do jego matki. Serena jest zupełnie inna. Właśnie to w niej kochał. W ciągu paru godzin już oczarowała Teddy'ego. Nadzwyczajna pod każdym względem. Efektowna, piękna, diabelnie inteligentna, ale nie według szablonu nowojorskich klubów Stork, 21, Golony. B.J.

patrzac na spokojnie spiacą rzymską arystokratkę, którą poślubił, uświadomił sobie jaśniej niż kiedykolwiek przedtem, że będą kłopoty.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Margaret Fullerton wróciła do domu kwadrans po trzeciej, wyglądając zupełnie tak jak rano, gdy wychodziła z domu, nieskazitelnie elegancka w perłowszarym jedwabnym kostiumie Chanel i bluzce z tego samego wrzosoworóżowego jedwabiu co podszewka żakietu. Uzupełniały to pantofle z miękkiej szarej giemzy, szare pończochy i mała torebka z szarej jaszczurki. Jej białe włosy falowały gładko, doskonale, nienaruszone od ósmej rano. Weszła jak zwykle do głównego hallu, witając służbę, kładąc torebkę i rękawiczki na dużej srebrnej tacy. Przesunęła wzrokiem po listach z porannej poczty, starannie przez jedną z pokojówek ułożonych na innej tacy, i skierowała się do biblioteki.

Tutaj jak zwykle albo by zadzwoniła, żeby podano jej podwieczorek, albo zaczęłaby telefonować w odpowiedzi na telefony, które w czasie jej nieobecności kamerdyner zapisywał i których spis czekał na biurku. Ale dzisiaj wiedziała, że B.J. wrócił. Nie była całkowicie pewna, czy oni już są w domu, i żałowała teraz, że sama nie pojechała po syna. Usiadła przy biurku. Spojrzała na zegarek z uczuciem miłego oczekiwania, zadzwoniła na kamerdynera. Po chwili stanął w drzwiach.

- Tak, proszę pani?

- Czy mój syn już jest, Mikę?

- Jest, proszę pani. Są dwaj, pan Theodore i pan Bradford. - Mikę służył u nich od trzydziestu lat bez mała.

- Gdzie?

- Na górze. W gabinecie pana Theodore'a. Mam ich tu poprosić?

- Nie. - Wstała spokojnie. - Ja pójdę do nich. Są sami?

- Nie, proszę pani. Z panią Fullerton... z panią Bradfordową Fullerton - wyjaśnił.

Oczy jej błysnęły, ale tylko skinęła głową.

- Ach, tak. Dziękuję, Mikę. Pójdę tam za chwilę. - Musiała się zastanowić, co i jak ma powiedzieć. Trzeba to wziąć w garść natychmiast, bo inaczej Brad będzie dla niej stracony na zawsze.

Wiedziała też, że Teddy'ego nie należy wtajemniczać. Już popełniła błąd, mówiąc mu, co myśli. Bardzo głupio, bo jej najmłodszy syn to marzyciel o gorącym sercu, jego filozofia życiowa nadaje się tylko do romantycznej powieści, kiedy na prawdziwym świecie roi się od głupców i oportunistów, od włoskich kurewek z apetytem na fortunę jej syna.

Margaret Hastings Fullerton mając dwadzieścia dwa lata została sierotą. Jej rodzice zginęli

w katastrofie kolejowej za oceanem. Odziedziczyła ogromny majątek. Miała dobrych doradców w osobach wspólników ojca prowadzących nadal jego kancelarię adwokacką i w rok później wyszła za Charlesa Fullertona. Dwie fortuny się połączyły. Jej powstała z hut stalowych i z biegiem lat pomnożyła się o wielkie obszary ziemi i liczne banki. Natomiast Charles Fullerton pochodził z rodu wzbogacającego się bardziej „po pańsku”. Fullertonowie w ubiegłym stuleciu zbili majątek na herbacie, dodali do tego szalone zyski wyciągane z kawy, mieli olbrzymie aktywa w Brazylii, Argentynie, Anglii, Francji, na Cejlonie i Dalekim Wschodzie. Była to fortuna, od której zakręciło się w głowie nawet Margaret Hastings, a miała tęgą głowę. Zawsze doskonale się orientowała w świecie finansów, urzekały ją sprawy międzynarodowe i polityka, i gdyby jej rodzice żyli, ojciec z pewnością by się postarał, żeby została żoną dyplomaty czy męża stanu, a może nawet prezydenta Stanów Zjednoczonych. Ale w istniejącej sytuacji poznała Charlesa Fullertona, jedyne syna Bradforda Jarvisa Fullertona II. Charles miał trzy siostry, których mężowie pracowali u jego ojca. Wciąż jeździli po świecie, zarządzali zagranicznymi spółkami dobrze i ku zadowoleniu teścia pod każdym możliwym względem z wyjątkiem jednego. To nie byli jego synowie. Charles był synem, cóż, kiedy wcale się nie palił do odziedzczenia tronu jego imperium. Chciał żyć spokojnie, prowadzić praktykę adwokacką, podróżować jak najwięcej i tylko zbierać owoce osiągnięć dziadka i ojca. Dopiero Margaret odkryła, że inwestycje Fullertonów są fascynujące. Chciała, żeby Charles przyłączył się do szwagrów, i w końcu stanął na czele firmy. Ale już po kilku miesiącach małżeństwa wiedziała, że nie ma na to nadziei. Wyszła za jednego z najbogatszych ludzi w kraju, a temu wcale się nie uśmiechało ekscytujące obracanie posiadanymi pieniędzmi, jej plany tak samo jak plany jego ojca spełzły na niczym, bo on postawił na swoim. Z kilkoma kolegami ze studiów otworzył kancelarię i spokojnie na własny sposób poświęcił się adwokaturze. Nie miał w sobie ani krzty ambicji i błyskotliwości swych przodków. Ani też żelaznej energii swej małżonki, która rzeczywiście charakterem przypominała jego ojca. Rozumiała się z teściem doskonale, a gdy umarł i zaczęto po trochu imperium sprzedawać, to właśnie ona szczerze nad tym ubolewała. Już nie było tych wielkich aktywów w egzotycznych krajach, już nie było marzeń, że Charles kiedyś się opamięta i zajmie należne mu miejsce u szczytu, a faktycznie wszystkim będzie rządzić Margaret Fullerton.

Przeniosła wówczas nie spełnione ambicje z międzynarodowego biznesu na politykę. Tu przez krótki czas jej się powiodło. Zdołała przekonać Charlesa, że jego największym pragnieniem w życiu jest zasiąść w senacie. Przydałby blasku swojej karierze zawodowej, pomógłby swojej kancelarii, uradowałby żonę i przyjaciół. Zapewniała go, że nic więcej mu do szczęścia nie potrzeba, aż uległ. Ale prawdę mówiąc, ta zaszczytna funkcja męczyła go i nudziła, szkoda mu było czasu spędzanego w Waszyngtonie, więc po wygaśnięciu mandatu nie kandydował po raz

drugi. Z ulgą wrócił do kancelarii w Nowym Jorku. Straciła co do niego wszelkie złudzenia i nie bardzo już miała o czym marzyć. Zaszył się, tak jak chciał, przy biurku i wystarczyło mu to całkowicie. Jej nie wystarczyło. Teraz mogła już tylko szukać nadziei w swoich synach.

Bradford był z nich trzech najbardziej przedsiębiorczy, ale podobnie jak ojciec nie poddawał się wpływom, robił zawsze wszystko według własnego uznania. Żadnej z posad, jakie dotychczas miał, nie uważała za godną młodego Fullertona, nigdy nie korzystał z niczyjego poparcia i chociaż polityką dosyć się interesował, zaczynała podejrzewać, że brak mu ambicji, by wybrać ten kierunek w życiu. On chciał raczej jak jego ojciec - nieraz myślała o tym z przestachem - żyć „przyjemnie”, robić to, co ma znaczenie dla niego samego, nie oglądając się na ludzi. Nie pociągało go władanie, tak jak ona to widziała, przemysłem czy handlem na wielką skalę czy takim imperium, jakim władali jego przodkowie.

Greg był o wiele podatniejszy. Chociaż wiedziała, że daleko mu do bardzo zdolnego i inteligentnego B.J., pokładała w nim większą nadzieję. Będąc zięciem kongresmana, Greg z pewnością znajdzie się we właściwym kręgu, by zrobić karierę polityczną, ku której go popychała. I wiedziała, że Pattie wprawi go odpowiednio w ruch - na to mogła liczyć.

Teddy przedstawiał sobą coś zupełnie innego. Zorientowała się, jakie jest jej najmłodsze dziecko, prawie zaraz po jego urodzeniu. Theodore Harper Fullerton chodził własnymi drogami w ustalonym przez siebie tempie, czasie i kierunku. Energię miał po niej, chociaż usposobieniem się różnił. Teraz będzie studiował medycynę z determinacją równą tej, z którą ona by studiowała, gdyby chciała zostać lekarzem. Nie mogła nie szanować Teddy'ego, ale też musiała pomijać go w swoich planach. Nie dawał sobą kierować bodaj trochę i właśnie z nim wciąż się ścierała. Nie przyznawał jej racji w niczym, poczynając od polityki, a na pogodzie kończąc. A już szczególnie ostatnio w kwestii rzymskiej przyjaciółeczki B.J. Powiedziała całej rodzinie dokładnie, co myśli o tym nonsensie, i jeszcze dokładniej mężowi, co jej zdaniem należy zrobić. Szkoda, że się nie zapobiegło przywiezieniu tej dziewczyny do Nowego Jorku, ale wobec rychłego ślubu Grega nie mogła pojechać do Paryża, żeby się z Bradem i z tą dziewczyną zobaczyć. Odłożyła sprawę do ich przyjazdu, spokojna zresztą, że załatwi to bez trudu. Oczywiście, tak jak Pattie mówi, tej Włoszce chodzi o pieniądze, ale jeszcze nie jest za późno -myślała - przekupić ją. Zapłaci się za jej przejazd do Europy, da się pokazać sumę, żeby się odczepiła, i od razu się wystąpi o unieważnienie małżeństwa. Jeżeli ta dziwka będzie mądra i zechce współpracować, Brad nawet się nie dowie o moim z nią układzie. Będzie tylko musiała mu powiedzieć, że się rozmyśliła i chce wrócić do swojego kraju.

Idąc teraz na górę do gabinetu Teddy'ego, Margaret myślała o dokumentach w szufladzie biurka gotowych do podpisu. To będzie takie proste. Zastanowiła się nad tym ponownie w ten

poranek i z ulgą uznała, że zmartwienie się kończy. Gorące pragnienie pozbycia się Sereny zaćmiewało ostatnio prawie wszystkie inne sprawy. Omal nie zapomniała o ślubie Grega i nawet nie cieszyła się tak bardzo z powrotu B.J. Po części dlatego nie pojechała po niego do portu. Chciała przede wszystkim odprawić Serenę, żeby móc się rozkoszować tym, że jej pierworodny jest znowu w domu. Już planowała odwiedziny u niego w San Francisco jesienią. Odwiedzając Teddy'ego w Stanford, będzie mogła zobaczyć też Brada na jego nowym stanowisku w bazie Presidio. Ponadto miała tam starych przyjaciół, wiedziała, że przyjemnie spędzi ten czas. Planowanie jesiennej podróży rozgrzewało ją, gdy przystanęła na chwilę, jak gdyby zbierała siły, po czym uśmiechnięta półgębkiem, zdecydowanie zapukała do drzwi.

- Tak? - to odezwał się Teddy. Usłyszała za drzwiami śmiech, głos kobiecy i niski głos Brada. Odpowiedziała Teddy'emu:

- To ja, kochanie. Mogę wejść?

- Oczywiście. - Teddy otworzył drzwi, patrząc na matkę jeszcze z uśmiechem rozjaśniającym mu oczy. Ale zaraz przestał się uśmiechać. Wyczuł napięcie i zapragnął ochronić Serenę. - Prosimy, mamó. Brad i Serena są tutaj. Czekaliśmy na ciebie.

Skinęła głową, szybko weszła do pokoju i stanęła twarzą w twarz ze swoim najstarszym dzieckiem. Nie podeszła bliżej, ale widoczne było w jej oczach wzruszenie.

- Witaj, Brad.

Zupełnie swobodnie B.J. podszedł i serdecznie ją uściskał.

- Witaj, mamó.

Przywarła do niego na chwilę i cofnęła się o krok. Oczy miała zamglone łzami.

- Boże, jak dobrze, że jesteś w domu zdrów i cały.

- A jakże, jestem tutaj i nie rozdrobniony. W domu po wojnie, nareszcie. - Uśmiechnął się do niej wesoło, odstąpił na bok i czułym gestem wskazał stojącą za nim wysoką, zgrabną w jedwabnym kostiumie koloru kości słoniowej blondynkę o oczach jak szmaragdy. - Mamó, chcę ci przedstawić moją żonę, Sereno, to jest moja matka. - Ukłonił się sztywno i nastąpiła w tym przytulnym pokoju chwila absolutnego bezruchu. Zapanowała głucha cisza, jak gdyby wszyscy wstrzymali oddech, ale ostatecznie to Serena przełamała lody. Podeszła szybko, ze swą piękną wyciągniętą ręką, z uśmiechem bojaźliwym, ale przyjaznym.

- Proszę pani, bardzo mi miło. - Wyglądała ślicznie, gdy tak stała, a matka Brada, mrużąc oczy, mierzyła ją spojrzeniem od stóp do głów. - Jestem bardzo szczęśliwa, że mogę panią poznać.

Margaret Fullerton wyciągnęła rękę.

- Miło mi. Podróż, mam nadzieję, była przyjemna. - Patrzyła lodowato, nikt by nie poznał, że to jest pierwsze spotkanie teściowej z synową. Patrzyła na jakąś osobę zupełnie obcą, którą

chciała jak obcą do końca traktować. - Przykro mi, że nie mogłam powitać cię w porcie, Brad. Ale zjemy dziś razem kolację. I jutro też. - Całkowicie pomijała Serenę w swoich projektach. - A potem, oczywiście, w sobotę jest ślub. Musisz jutro być na próbie i masz kilka innych obowiązków. Wstąpisz też do krawca ojca. Uszył ci żakiet i spodnie w dawnych rozmiarach, trzeba jednak przymierzyć, dopóki nie za późno na ewentualne poprawki.

- Świetnie. - B.J. miał przy kącikach oczu drobne zmarszczki zdenerwowania.

Do diabła z żakiem i spodniami sztuczkowymi. Chciał, żeby matka czymś okazała, że zaakceptowała jego żonę. - Może jutro zjemy gdzieś bez szumu obiad we troje?

- Kochanie, nie mogę. Wyobrażasz sobie to urwanie głowy przed weselem? - Jej oczy nic nie zdradzały, ale czuł, jak wszystko się w nim napina.

- Czy to nie powinno być sprawą Athertonów? Myślałem, że urwanie głowy ma zawsze matka panny młodej.

- Ja muszę się zająć kolacją przedślubną.

- No, w takim razie później spędzimy trochę czasu razem. - To nie była prośba, to było żądanie.

Teddy słuchając zaczął się w duchu skręcać. Matka znalazła pretekst, żeby nie pojechać do portu, i teraz tak samo się wymiguje. Co ona, niech to diabli, wyprawia? - zastanowił się. Próbuje udawać, że Sereny w ogóle nie ma. Z jakiej racji zachowuje się w ten sposób? Tknęło go niemiłe uczucie, że może się stać coś, czego wszyscy pożałują.

- Postaram się, kochanie - powiedziała matka nieobowiązująco. - Już widziałeś się z ojcem?

- Jeszcze nie. - Nagle B.J. sobie uświadomił, że tylko Teddy wyruszył na powitanie jego i Sereny. Szkoda tego czasu wygoszparowanego, żeby zamiast jechać prosto do San Francisco, złożyć wizytę w domu. Mogli byli przecież pojechać do Rzymu, pożegnać tamte strony albo przez dwa tygodnie włóczyć się po Europie przed odlotem do Stanów.

Ale uznał, że może powinien dać im jeszcze szansę. Przecież to dla nich gorączkowy okres, trudno wymagać, żeby wszyscy tylko ze względu na niego oderwali się od przygotowań. Nie sobą jednak przejmował się, tylko Sereną. Spoglądając na nią, już zobaczył jakąś ostrożność w jej oczach.

- Będziesz dzisiaj na tej kolacji z nami, prawda, Brad? - Matka wpatrywała się w niego.

- Tak - odpowiedział dobitnie. - Oboje będziemy. Aha, i który pokój chcesz nam przydzielić?

Po twarzy Margaret Fullerton tylko przemknął cień rozdrażnienia. On ją zmusza, by rozprawiła się z problemem Sereny już teraz, a na to jeszcze za wcześnie. Ale zdała sobie sprawę, że przynajmniej na razie trzeba ustąpić.

- Chyba niebieski pokój będzie odpowiedni. Długo zamierzasz tu zostać, kochanie? - Patrzyła tylko na syna, ani razu nie przeniosła wzroku na tę dziewczynę.

- Do San Francisco jedziemy za dwa tygodnie.

- To cudownie. - Odwróciła się, spojrzała badawczo na Serenę i znów na Brada. - Muszę teraz dopatrzeć kilku szczegółów, synku. Niedługo się zobaczymy. - Po czym nieoczekiwanie spojrzała znów na Serenę i przemówiła do niej: -Chyba byłoby dobrze, żebyśmy we dwie trochę ze sobą porozmawiały. Mogłabyś przyjść do mojego buduaru na pół godziny przed kolacją, myślę, że nikt nam nie będzie przeszkadzał.

Serena natychmiast przytaknęła. B.J. się zdumiał. Może staruszka ostatecznie zdobywa się na wysiłek, może krzywdzę ją posądzeniem - pomyślał.

- Pokażę Serenie, gdzie to jest, mamó - powiedział, wyraźnie zadowolony, ale w oczach Teda, czego nie zauważył, była obawa.

W parę minut później matka wyszła z pokoju. Teddy zasępił się dziwnie. B.J. zażartował z niego, Serena z przeciągłym nerwowym westchnieniem usiadła, zapatrzona w nich obu.

- Dlaczego twoja matka chce rozmawiać ze mną samą? Mąż uśmiechnął się, widząc jej zdenerwowanie.

- Po prostu chce cię poznać. Nie daj się zastraszyć, kochanie. Nie mamy nic do ukrycia.

- Powiedzieć jej o dziecku?

- Czemuż by nie? - Brad spojrzał na nią dumnie i uśmiechnęli się do siebie, ale Teddy szybko się wtrącił.

- Nie, nie mów! -i zaczerwienił się, gdy patrzyli na niego zaskoczeni.

- Rany boskie, dlaczego ma nie mówić?! - wykrzyknął B.J. prawie rozjątrzony. Jest w domu zaledwie od kilku godzin, a już rodzina go przygasza. Co za dziwni ludzie! Przypomniały mu się te wszystkie intrygi i spiski, to napięcie i zniewagi. Matka zawsze utrzymywała ich w stanie rozgorączkowania. Wszyscy diabli nadali, znowu w to wpadł! - Dlaczego Serena ma jej o tym nie mówić?

- Może powiedzcie jej oboje.

- A cóż to za różnica?

- Nie jestem pewny, ale matka mogłaby powiedzieć coś, co by Serenę zdenerwowało.

B.J. zastanowił się nad tym i przytaknął.

- Dobrze. W każdym razie - spojrzał jej w oczy znacząco - nigdy nie pozwalaj, żeby stare damy miały cię za nic. Tylko bądź sobą, matka nie zdoła się tobie oprzeć. - Pochylił się i uściskał ją nieomal czując, jak drży. - Przecież się jej nie boisz, prawda?

Serena rozpatrywała to przez chwilę.

- Owszem, chyba boję się jej. Jest imponująca. Bardzo silny charakter. - Nie dodała, że matka Brada jest ładniejsza i o wiele bardziej nieustępliwa, niż się spodziewała. Nigdy dotąd nie spotkała kogoś takiego jak pani Margaret Fullerton. Jej babcia była kobietą silną, ale w czystym znaczeniu tego słowa. Miała siłę ducha spokojną, pełną determinacji. Natomiast pani Fullerton, jak dało się wyczuć, korzysta ze swojej siły, żeby zdobyć wszystko, co chce, i to może w sposób czasami brzydki. Coś pod powierzchownością pani Fullerton jest zimne jak lód i ostre jak gwoździe.

- Ale nie masz czego się bać, Sereno - powiedział B.J. łagodnie. Pomógł jej wstać z kanapy i poprowadził do niebieskiego pokoju, który wybrała dla nich matka.

Teddy idąc za nimi modlił się, żeby brat miał rację.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Tak się złożyło, że B.J. był jeszcze w wannie wtedy, gdy Serena poszła o wyznaczonej porze na spotkanie z teściową. Kamerdyner ją prowadził korytarzem, gdzie na ścianach wisiały nieduże, znakomite obrazy: trzy maleńkie Corota, jeden Cezanne'a, jeden Pissarra, dwa szkice Renoira, jeden Mazy Cassatt. W pięknych ramach, doskonale oświetlone na tle draperii z aksamitu koloru kreta, wyglądały jak w galerii sztuki. Na podłodze leżał gruby dywan tego samego koloru co draperie. Serena przywykła do nie przykrytych marmurowych posadzek w Rzymie, w Wenecji i w Paryżu. Stąpając po dywanach we wspaniałym mieszkaniu Fullertonów doznawała wrażenia, że chodzi po obłokach. Meble były ładne, nie krzykliwe, sporo w stylu królowej Anny, kilka Chippendale, kilka Hepplewhite i bardzo skromne sprzęty Ludwik XV, ale wszędzie drewno znakomite, kolory złamane. Tutaj nie widziała żadnych złocień i marmurów tych ozdobniejszych mebli Ludwik XV ani projektowanych pod wpływem starożytnej Grecji mebli Ludwik XVII. Mieszkanie Fullertonów zostało urządzone ze wszechmiar gustownie. Widać było wszystko, co najlepsze, w wielkiej obfitości, a przecież czuło się, że nic nie jest wyeksponowane na pokaz. Nawet kolory Margaret Fullerton dobrała z umiarem: beże, ciepłe brązy, kość słoniowa, tu i ówdzie ciemna zieleń czy spokojny błękit. Nie było brzoskwiniowych różów, rubinowej czerwieni ani jaskrawej zieleni. Wszystko to wyglądało zupełnie inaczej niż splendor Odrodzenia w pałacach, które Serena знаła i szczerze mówiąc wołała. A przecież widziała tutaj pewne ciepło i musiała przyznać, że te wnętrza są powściągliwie eleganckie, jak sama Margaret Fullerton.

Kamerdyner stanął przed drzwiami buduaru, odsunął się, żeby Serena zapukała, po czym z ukłonem szybko odszedł. Serena weszła do buduaru. Jej teściowa z kieliszkiem w ręce siedziała na kanapie przy pięknym owalnym stoliku, na którym stała taca z czasów Jerzego II, a na tacy obok misternie rznętej kryształowej karafki czekał drugi kieliszek. Nad tą kanapą koloru kości słoniowej wisiał portret mężczyzny. Ów mężczyzna w ciemnym surducie według mody z końca ubiegłego stulecia miał sumiaste wąsy i oczy wybałuszone zza binokli, jak gdyby wzrokiem zadawał setki pytań.

- Dziadek mojego męża - wyjaśniła pani Fullerton, gdy Serena, czując na sobie ten jego wzrok, popatrzyła na portret. - Prawie wszystko, co mój mąż posiada, jest spuścizną po nim - mówiła bardzo dobitnie, żeby młoda Włoszka stojąca przed nią dobrze ją rozumiała, ale Serenie jej słowa wydawały się dziwne. - Proszę, usiądź.

Serena usiadła skromnie na krawędzi małego krzesła w stylu Królowa Anna. Już przebrała się do kolacji, była teraz w czarnej aksamitnej sukni, dopasowanej, z głębokim dekoltem karo

między szerokimi ramiączkami, i w krótkim białym zakieciu atłasowym. Ten model B.J. kupił jej przed samym wyjazdem z Paryża i wiedziała, że długo nie będzie mogła go nosić. Za ciasny się stanie w talii. Ale dzisiaj był to doskonały strój wieczorowy wraz z perłowymi kolczykami i sznurem pereł na szyi, wyglądała dojrzałe i ślicznie. Znow jej się przyglądając Margaret Fullerton musiała przyznać, że ta dziewczyna jest ładna, nie ma to jednak nic do rzeczy. Bo rzecz w tym, że ona zrujnuje Bradowi życie, jeżeli natychmiast nie znajdzie się znowu w Europie.

- Wina? - zapytała.

Serena szybko potrząsnęła głową. Od paru tygodni dziecko wyraźnie sobie nie życzyło, żeby bodaj powąchała alkohol. Margaret więc tylko napełniła ponownie swój kieliszek. W szafirowej jedwabnej sukni i naszyjniku z szafirów i brylantów, który mąż jej kupił u Cartiera w Paryżu, wydawała się zdumiewająco dystygowana. Serena patrzyła przez chwilę na naszyjnik, a potem na kolczyki z ogromnymi szafirami i na bransoletkę z szafirów. Margaret Fullerton, mylnie sobie tłumacząc to zainteresowanie, przytaknęła i uznała, że czas wykonać pierwszy ruch.

- Sereno, będę z tobą zupełnie szczerą. Nie myśl, że jest jakikolwiek powód, żebyśmy się liczyły ze słowami. O ile wiem od... od przyjaciół - wahała się tylko parę sekund - poznałaś Brada w Rzymie, kiedy pracowałaś u niego. Zgadza się?

- Tak, ja... dostałam tę pracę po powrocie do Rzymu.

- Musiała to być pomyślna okoliczność dla ciebie.

- Wtedy tak. Nie miałam w Rzymie nikogo oprócz... - zdławiła właściwe określenie Marcelli - pewnej starej znajomej.

- Rozumiem. Więc praca w tym palazzo była darem z niebios. - Pani Fullerton się uśmiechnęła, ale oczy miała przerażająco zimne.

- Była. Tak samo jak pani syn.

Drgnęła prawie widocznie, gdy ta dziewczyna siedziała na krześle wyprostowana, z ładną jasną twarzą obramowaną stojącym kołnierzem białego atłasowego zakiecia, z włosami wyszczotkowanymi, aż lśniły. Trudno było znaleźć wady w Serenie, ale ona nie dawała się nabrać na pozory. Już wiedziała, co myśleć o tej poszukiwaczce złota. Mówiła dalej zdecydowanie.

- Takie właśnie odniosłam wrażenie, Sereno. Że potrzebowałaś pomocy Brada i on cię uratował może tym, że cię wywiózł z Włoch. Wszystko to dobrze o nim świadczy i chyba nawet jest bardzo romantyczne. Jednak sądzę, że zawarcie małżeństwa może posunęło sprawę trochę za daleko, nie mam racji? - Przez chwilę Serena szukała odpowiedzi, cokolwiek jednak by jej przyszło na myśl, nie została dopuszczona do głosu. - Wszyscy wiemy, że mężczyźni w czasie wojny nieraz pakują się w niezwykle sytuacje, ale... - Pani Fullerton odstawiała kieliszek i dokończyła z oczami pałającymi: - To, że on cię przywiózł tutaj, było szaleństwem.

- Właśnie. - Wydawało się, że Serena cała się kurczy na krześle. - Myślałam, że może... kiedyśmy się poznali...

- Co myślałaś? Że ja się nabiorę? Raczej nie. Jesteś bardzo ładna, Sereno. Obie to wiemy. Ale twoje bzdurne wywodzenie się z książąt sprowadza się do faktu, że byłaś sprzątaczką zatrudnioną przez armię amerykańską i uczepiłaś się armii na dobre. Tylko że nie byłaś dość mądra, by wiedzieć, kiedy się odczepić.

Serena, jak uderzona w twarz, odchyliła się na krześle i łzy błyszczały w jej oczach. Margaret Fullerton wstała, podeszła do biurka. Po chwili usiadła z powrotem, trzymając niedużą aktówkę. Patrzyła prosto na Serenę.

- Porozmawiajmy szczerze. Jeżeli chciałaś wydostać się z Włoch, już tego dokonałaś. Chcesz zostać w Stanach, ja postaram się to dla ciebie załatwić. Możesz osiedlić się w tym kraju, gdzie ci się spodoba, byle nie tam gdzie będzie Brad, oczywiście, czyli nie w San Francisco. Chcesz wrócić do Europy, natychmiast załatwiam ci podróż powrotną. Na cokolwiek z tego się zdecydujesz, podpiszesz te papiery i kancelaria ojca Brada od razu podejmie kroki w celu unieważnienia małżeństwa, a ty otrzymasz sowite wynagrodzenie za swoją fatygę. - Mówiła rzeczowo ani trochę nie zażenowana.

A Serena siedziała nagle prosto jak struna i jej zielone oczy pałały. - Otrzymam wynagrodzenie?

- Tak - odpowiedziała Margaret, zadowolona. Najwyraźniej obrała właściwy kierunek. - Naprawdę sowite. Omówiłam to wczoraj wieczorem z ojcem Brada. Oczywiście musisz zrozumieć, że nigdy już, gdy te papiery podpiszesz, nie będziesz miała żadnego prawa do występowania o coś więcej. Ograniczysz się do tego, co dostaniesz, i na tym koniec.

- Oczywiście. - Oczy Sereny pałały, ale teraz i ona mówiła rzeczowo. - Dokładnie za jaką cenę państwo chcą odkupić syna?

Przelotnie Margaret Fullerton się zirytowała.

- Nie podoba mi się ten dobór słów.

- Ależ czyż nie jest trafny, proszę pani? Przecież chodzi o odkupienie syna od włoskiej dziwki? Czy nie tak pani patrzy na to?

- Jak ja patrzę, nie ma tu znaczenia. To, co ty zrobiłaś, to że złowiłaś mojego syna, kiedy był w Europie, może zniszczyć jego karierę, całą jego przyszłość. Jemu jest potrzebna żona Amerykanka z jego sfery, z jego świata, żona, która może mu pomagać.

- A ja bym nigdy nie mogła?

Margaret Fullerton w tym małym eleganckim buduarze roześmiała się i rozłożyła ręce.

- Rozejrzyj się. Czy to jest twój świat? Świat, z którego się wywodzisz? Czy też to jest tylko

świat, do którego wzdychałaś? Właściwie co zamierzasz mu dawać poza tą swoją ładną buzią i ciałem? Masz coś do ofiarowania? Pozycję, znajomości, środki materialne, przyjaciół? Czy nie rozumiesz, że on mógłby zrobić karierę polityczną? Ale przecież nie ożeniony z Włoszką, sprzątaczką, moja droga. Jak zdołasz żyć wiedząc, że zdeптаłaś jego karierę... jego życie?

Znów ze łzami w oczach Serena odpowiedziała ochryple:

- Tak, nic nie mam do ofiarowania Bradowi, proszę pani. Z wyjątkiem serca. -

Ale wszystkie inne pytania pozostawiła bez odpowiedzi. Jej pochodzenie to nie sprawa tej kobiety. Rzeczywiście pochodziła ze sfer o wiele wyższych niż ta tutaj, ale kto by to mógł powiedzieć teraz? Tamto się skończyło. Bezpowrotnie.

- Tak jest - ciągnęła Margaret. - Nic nie masz. I mówiąc bez ogródek, jesteś niczym. Podejrzewam jednak, że o coś ci chodzi. A ja właśnie to, o co ci chodzi, mam dla ciebie.

Masz, ty wiedzmo? Serena w duchu szalała z wściekłości... Masz dla mnie miłość... i cierpliwość, i zrozumienie, i dobroć, i obecność przez całe życie? Bo ja przecież tego chcę od Brada i to chcę dawać jemu. Ale milczała.

Nie mówiąc już ani słowa, Margaret Fullerton otworzyła aktówkę, którą przyniosła z biurka, i wręczyła Serenie czek. Był wystawiony na sumę dwudziestu pięciu tysięcy dolarów.

- Może popatrzysz na to?

Serena, wiedzona czystą ciekawością, wzięła czek i spojrzała na tę liczbę z niedowierzaniem.

- Tyle by mi pani dała, gdybym od niego odeszła?

- Tyle bym dała i tyle daję. W istocie możemy tę transakcję załatwić teraz w ciągu paru minut, jeżeli tylko mi to podpiszesz. - Podsunęła zdumionej Serenie krótki maszynopis.

Oczom swoim nie wierząc Serena przeczytała, że niniejszym zgadza się na rozwód albo unieważnienie jej małżeństwa z Bradfordem Jarvisem Fullertonem III w czasie możliwie jak najkrótszym i albo wyjedzie ze Stanów Zjednoczonych, albo zamieszka w innym mieście, zobowiązując się nigdy nie udzielać na ten temat żadnych informacji prasie. W zamian za natychmiastowe zniknięcie z życia Brada miała otrzymać dwadzieścia pięć tysięcy dolarów. Co więcej, następowało oświadczenie, że nie jest w ciąży i że nie będzie próbowała dowodzić ojcostwa Brada w przypadku któregośkolwiek ze swoich ewentualnych dzieci w przyszłości. Po przeczytaniu tego Serena uśmiechnęła się, a potem nagle parsknęła śmiechem. O wszystkim pomyśleli, dranie. To już wydawało się zabawne.

- Coś ciebie najwidoczniej rozśmieszyło.

- Tak, proszę pani, rzeczywiście. - Jeszcze miała w oczach te zielone płomienie, ale czuła się wreszcie panią sytuacji.

- Można wiedzieć co? Ten dokument został bardzo starannie przygotowany.
-Rozwścieczona reakcją dziewczyny Margaret starała się panować nad sobą.

- Proszę pani. - Serena uśmiechnęła się słodko i wstała. - Brad i ja spodziewamy się dziecka.

- Co takiego?

- Jestem w ciąży.

- Kiedy to się stało?

- Dwa miesiące temu stwierdzono. - Serena patrzyła na nią dumnie. - Dziecko przyjdzie na świat w grudniu.

- Twoje chytre plany nabierają więc innego wymiaru, prawda? - Margaret Fullerton ledwie zdołała powściągnąć swoją wściekłość.

- Wie pani - Serena już przy drzwiach, trzymając rękę na klamce, odwróciła się do niej - może pani trudno w to uwierzyć, ale ja nie mam żadnych chytrych planów co do Brada i nigdy od samego początku nie miałam. Pani myśli, że jestem biedną jakąś puszczającą się dziewczyniną z Rzymu i po części się pani nie myli. Boja nie mam ani grosza. Ale pochodzę z rodziny tak samo znakomitej jak wasza. -Spojrzała na portret nad kanapą. - Mój dziadek nie był zupełnie niepodobny do tego pana. A nasz dom - z uśmiechem spojrzała znów na panią Fullerton - był o wiele wspanialszy niż ten tutaj. Właściwie to wszystkie trzy nasze domy. Ale ważne jest coś innego, proszę pani. A mianowicie to, że ja od pani syna niczego nie chcę. Oprócz miłości i tego dziecka. Całej reszty naprawdę nie chcę, ani jego pieniędzy, ani pani pieniędzy, ani pieniędzy jego ojca. Ani tego czeku na dwadzieścia pięć tysięcy dolarów. Nigdy od nikogo z was nic nie będę brała - głos jej złagodniał - z wyjątkiem miłości mojego męża - powiedziała i wyszła z pokoju, cicho zamykając za sobą drzwi.

Margaret Fullerton patrzyła na te drzwi z niepohamowaną już furią i po chwili ktoś, kto by przechodził koło jej buduaru, usłyszałby brzęk tłukącego się szkła. Cisnęła kieliszek sherry o kominek. Ale wiedziała, że jeszcze nie koniec tej bitwy. Zanim Brad wyjedzie z Nowego Jorku do San Francisco, już ona się postara usunąć Serenę z dzieckiem w drodze czy bez dziecka. Czasu jest dość, dwa tygodnie. Wiedziała, że tego dokáže.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Rodzinna kolacja w ten wieczór była uroczystością, którą cechowały dziwne nastroje i przenikały dziwne prądy. Margaret Fullerton w szafirowych jedwabkach siedziała u szczytu stołu, piękna i czarująca. Nic nie świadczyło o tym, co zaszło przed kolacją, i jeśli unikała rozmowy z Sereną, to nie dawało się tego zauważyć. Przy drugim końcu stołu siedział Charles Fullerton zadowolony z obecności wszystkich trzech synów w domu, co zdarzyło się po raz pierwszy od wybuchu wojny. Ładnie wznosił toast za ich zdrowie, a także za zdrowie dwóch młodych pań będących, jak powiedział, „nowym dodatkiem do rodziny”. Greg wydawał się niezwykle wylewny. Już po pierwszym daniu B.J. się zorientował, że brat jest pijany, i pytająco spojrzał na Teddy'ego. Czy Greg się upił podniecony myślą o rychłym ślubie? Czy ze zdenerwowania? Czy może czuje się nieswojo wobec niego, B.J., skoro żeni się właśnie z Pattie? Sama Pattie, gawędząc nieustannie, grała swoją rolę „czarodziejki”, przewracała wielkimi niebieskimi oczami i udawało jej się ściągać na siebie uwagę wszystkich mężczyzn przy stole każdą historyjką, jaką opowiadała. Matce narzeczonego nadskakiwała, że aż mdliło, Serenę ignorowała całkowicie. Tylko Teddy rzeczywiście okazywał Serenie względy. B.J. siedział za daleko od niej, posadzonej pomiędzy Teddym i Charlesem, który przez cały czas kolacji odzywał się bardzo rzadko. Teddy dbał, żeby czuła się mile widziana. Pochylał się ku niej, rozmawiał z nią cicho, parę razy ją rozbawił, była jednak o wiele bardziej małomówna niż przedtem w jego gabinecie. Zapytałby ją, jak poszła jej rozmowa z matką, gdyby się nie obawiał, że ktoś mógłby podsłuchać.

- Dobrze się czujesz? - szepnął ostatecznie, już w połowie kolacji, gdy zapatrzona w kieliszek milczała.

- Przepraszam. - Wytlumaczyła swój ponury nastrój wyczerpaniem po emocjach przyjazdu, ale nie zdołała go przekonać.

- Myślę, że coś nie gra, wiesz - powiedział najstarszemu bratu po kolacji idąc z nim za rodziną do biblioteki.

- Też tak myślę. Greg zalany, aż mu się język płacze, Pattie pochłonięta zgrywaniem się na Scarlett O'Hara, a mama tak rządzi tym całym cyrkiem, że tata nie może wtrącić ani słowa. - B.J. był wyraźnie zniechęcony w ten swój pierwszy wieczór po powrocie do domu.

- Mówisz, jakbyś pamiętał, że kiedyś było inaczej. - Teddy spróbował udąć rozbawienie. - Czy może miałeś nadzieję, że w czasie twojej nieobecności się zmieniło?

- Jedno i drugie po trochu.

- Nie przejmuj się tym. Z biegiem lat będzie jeszcze gorzej. - Teddy spojrzał na Grega i

Pattie. - Czy ona w ogóle odezwała się do ciebie?

- Tylko podziękowała, kiedy gratulowałem jej i Gregowi. - I marszcząc brwi B.J. dodał: - Do Sereny przy stole nie zwróciła się bodaj jednym cholernym słowem, matka także.

- Że ona, to mnie nie dziwi, ale mama... - Teddy strapiony dotknął ręki brata. - Słuchaj, Serenie coś dolegało przy kolacji. Nie wiem, czy po prostu czuła się niedobrze z powodu dziecka, czy co, ale była strasznie zgaszona.

- Przypuszczasz, że to przez matkę? Spojrzeli sobie w oczy.

- Powinieneś ją zapytać. Widziałeś się z nią, kiedy wróciła od mamy?

- Nie. Spotkaliśmy się dopiero przy stole.

Teddy pokiwał głową w zamyśleniu i powiedział z niepokojem:

- Chyba mi się to nie podoba. Ale B.J. uśmiechnął się tylko.

- No, stary, przejmujesz się bardziej niż my wszyscy razem wzięci. Może dla odmiany łyknij sobie porządnie, żeby się odprężyć.

- Jak Greg? - dobitnie zapytał Teddy już zirytowany.

- Od dawna tak się zaprawia?

- Już od paru lat - odpowiedział zniżonym głosem.

- Żartujesz? - teraz B.J. bardzo się przejął.

- Nie. Wcale nie żartuję. Zaczął pić w wojsku. Tata mówi, że z nudów. Mama mówi, że potrzebna mu teraz praca stanowiąca większe wyzwanie, działalność polityczna, na przykład. A Pattie wierci mu dziurę w brzuchu, żeby pracował u jej ojca.

B.J. przygnębiony napotkał nagle wzrok Sereny i od razu zapomniał o tym, o czym mówił najmłodszy brat.

- Zaraz wrócę, Teddy. Chcę tylko wiedzieć, że Serenie na pewno nic nie jest. - Po chwili stanął przy niej i pochylając się, szepnął jej do ucha: - Czujesz się dobrze, najdroższa?

- Doskonale. - Uśmiechnęła się do niego, ale widział, że to nie ten jej zwykły olśniewający uśmiech, który zawsze budzi w nim pragnienie całowania jej natychmiast do utraty tchu. Rzeczywiście jakoś przygasła. Teddy miał rację. Coś niedobrego dzieje się z Sereną. - Tylko jestem zmęczona.

Wiedziała, że on w to nie wierzy. Ale czy można mu powiedzieć prawdę? Wychodząc z buduaru jego matki przysięgła sobie, że mu nie powie. Nie chciała zapamiętać rozmowy z tą kobietą, jej czeku i dokumentów, wrogości i oskarżeń.

- Może chodźmy już na górę? - szepnął B.J. nadal zaniepokojony.

- Kiedy tylko będziesz mógł - odpowiedziała szeptem. Rzeczywiście wieczór był dla niej bardzo przygnębiający. Pan Fullerton okazał się dokładnie taki, jak Brad go opisywał. Słaby

człowiek bez kręgosłupa. Na panią Fullerton dosłownie nie mogła patrzeć. Na Pattie rozszczebiotaną i rozflirtowaną przez cały wieczór, jeśli patrzyła, to z przerażeniem. Bała się, że Pattie zrobi w jakiejś chwili awanturę, zacznie mówić o niej tak jak wtedy na balkonie w Rzymie. Greg przedstawiał się żałośnie, pijany jeszcze przed pierwszym daniem. B.J. siedział za daleko, by miała w nim podporę, i tylko Teddy pomagał jej przebrnąć przez ten wieczór. Nagle musiała samej sobie się przyznać, że jest wykończona. Siedząc w fotelu i patrząc przez okno biblioteki na park daleko w dole, złękła się, że zemdleje albo wybuchnie płaczem. Za dużo przeszła w ciągu ubiegłych trzech godzin. Teraz to odczuła.

- Chodź, pójdziemy już. - B.J. zobaczył jej bladość. Teddy, stojący w pobliżu, przytaknął.

- Widać, że jest zmordowana.

B. J. podał jej ramię, co przyjęła z wdzięcznością, przeprosił towarzystwo i po chwili poprowadził ją na górę, wreszcie do ich pokoju. Gdy zamykał drzwi, położyła się na łóżku i rozplakała.

- Dziecinko... Serena... skarbie... co się stało? - Oszołomiony patrzył na nią od drzwi, zanim pojął, co mogło się stać. Podbiegł do łóżka, utulił ją w objęciach, zaczął głaskać po włosach. - Sereno... kochanie... powiedz mi. O co chodzi? Czy ktoś powiedział ci coś niemilego?

Ale ona niezłomnie postanowiła nie mówić mu o tym. Szlochała tylko, potrząsała głową i powtarzała z uporem, że to tylko ciąża i wyczerpanie.

- No w takim razie - powiedział ze wzrastającym niepokojem - zostaniesz jutro w łóżku.

Przestała płakać, otarła łzy.

- Nie bądź niemądry. Po przespanej nocy będę się czuła świetnie.

- Gadanie. Wezwę doktora.

- A po co? Przecież nic mi nie jest. - Perspektywa pozostania w łóżku jak pułapce w domu jego matki przygnębiła Serenę jeszcze bardziej. A jeżeli pani Fullerton przyjdzie na górę, żeby nękać ją dalej i wciskać jej jakiś inny papier do podpisania? Ale to nieprawdopodobne. Co pani Fullerton może zrobić, teraz kiedy już wie, że będą mieli dziecko? - Ja nie chcę leżeć w łóżku, Brad.

- Porozmawiamy rano.

Ale tej nocy Serena w jego objęciach kilkakrotnie przez sen krzyczała, więc nazajutrz rano był poważnie zaniepokojony.

- Koniec. Nie ma dyskusji. Poleżysz dzisiaj cały dzień. Wieczorem jest próba ślubu, a potem kolacja przedślubna. Możesz przedtem wypocząć i odzyskać siły. - Miał rację, powinna wypocząć, wyczerpana emocjonalnie, chociaż nie fizycznie, .ile nadal ze zgrozą myślała o pozostaniu w łóżku. - Wróć do domu po południu - powiedział - prosto od krawca i będę

dotrzymywał ci towarzystwa.

- Przrzekasz? - Wyglądała jak piękne dziecko, gdy usiadła w pościeli w tym słonecznym pokoju.

- Z ręką na sercu.

Pocałował ją przed wyjściem i leżała z oczami zamkniętymi błędząc myślą daleko, wspominając spacery ich dwojga po ogrodzie w Rzymie, momenty w Paryżu, dzień swojego ślubu i takie to było przyjemne, że przed samym obiadem usłyszała dopiero powtórne pukanie do drzwi.

- Proszę. - Myślała, że przyszedł Teddy, i zanim drzwi się otworzyły, już uśmiechnęła się serdecznie. Uśmiech jednak szybko zniknął. Zobaczyła panią Fullerton, złowieszczą w czarnej jedwabnej sukni.

- Mogę wejść?

- Oczywiście. - Szybko wyskakując z łóżka Serena włożyła różowy jedwabny szlafrok, który B.J. kupił jej w Paryżu. Stała przed panią Fullerton bojaźliwie, wyczekująco. Wiedziała, że jej teściowa przyszła nie tylko po to, by zapytać, jak ona się czuje. Z sercem łomoczącym wskazała dwa wygodne fotele w drugim końcu pokoju. - Usiądziemy?

Margaret przytaknęła i obie usiadły. Zapytała:

- Powiedziałaś Bradowi o naszej małej rozmowie? - Serena potrząsnęła głową. - To dobrze. - Margaret poczuła nadzieję. Najwidoczniej dziewczyna chce wejść z nią w jakieś układy. Gdyby była przyzwoita, zgorszyłaby się i wstrząśnięta od razu powiedziała Bradowi. - Właśnie wróciłam z dwugodzinnej narady z moim radcą prawnym.

- Och. - Prawie ni stąd, ni zowąd łzy napłynęły Serenie do oczu, ale to ostatnio zdarzało jej się często. Doktor powiedział, że płaczliwość nie jest niczym niezwykłym w pierwszych miesiącach ciąży, niech sobie płacze do woli, i nie ma co się tym przejmować. Więc się nie przejmowali, ani ona, ani Brad, aż do wczoraj. Teraz jednak było inaczej. Czowała się zagrożona, jak gdyby ta kobieta zamierzała ją zgładzić. Czowała się tak nie bez racji.

- Chciałabym, Sereno, żebyś przeczytała pewne dokumenty. Może ostatecznie dojdziemy do porozumienia pomimo tego dziecka. - Usłyszała w słowie matki Brada rzeczywiście nienawiść. Potrząsnęła głową i podniosła rękę prawie gotowa odepchnąć panią Fullerton razem ze słowami, które już padły.

- Nie chcę ich widzieć.

- Myślę, że zechcesz.

- Nie. - Łzy popłynęły.

Margaret wyjęła papiery z torebki i dała je Serenie.

- Wiem, to musi być dla ciebie bardzo trudne, Sereno - powiedziała wreszcie coś po ludzku.

- Nie wątpię, że nawet łączą cię z moim synem jakieś uczucia. Ale powinnaś mieć na względzie jego dobro, jeżeli go kochasz. Zaufaj mi. Ja wiem, co dla niego najlepsze. - Swym głosem niskim, mocnym usiłowała rzucić urok, gdy Serena ze zdumieniem czytała to pismo.

Coś nadzwyczajnego, coś koszmarnego było w desperacji, z jaką pani Fullerton chciała rozłączyć ją ze swoim synem. To było jeszcze gorsze niż wszystko, czego się z jej strony obawiała. Obawiała się łez, hysterii, wyzwisk, oskarżeń, ale przecież nie sformułowanych z zimną krwią oświadczeń, kontraktów i pokwitowań mających położyć kres miłości. Tym razem otrzymała dwie propozycje do wyboru. Za sto tysięcy dolarów ona i jej nie narodzone dziecko mają się zrzec wszelkich roszczeń do Brada i nigdy nie próbować się z nim zobaczyć. Dopóki dziecko nie ukończy dwudziestu jeden lat, będzie wypłacane na jego utrzymanie dwieście dolarów miesięcznie, co ogółem stanowi sumę pięćdziesięciu czterech tysięcy, przeczytała. Albo może poddać się aborcji, w którym to przypadku dostanie natychmiast sto pięćdziesiąt tysięcy dolarów gotówką. Oczywiście też pod warunkiem, że zrezygnuje z Brada. Pani Fullerton uważała, że ta alternatywa jest lepsza. Serena zapatrzyła się w nią z niedowierzaniem.

- Pani naprawdę tak myśli?

- Oczywiście. A ty nie? Spokojnie Serena oddała jej ten papier.

- Wczoraj wieczorem byłam wstrząśnięta, niewiele mówiłam. Myślałam jednak, że pani zrozumiała. Ja nigdy w żadnym razie nie zrobiłabym czegoś takiego, nigdy nie zrezygnowałabym z Brada dla pieniędzy. Gdybym z niego zrezygnowała, to tylko dla jego dobra, a nie za „wynagrodzenie”, jak pani to ujęła. I - prawie się krztusiła mówiąc to - nigdy bym... nigdy... nie pozbyła się naszego dziecka. -Łzy spływały jej po policzkach. Podniosła oczy szeroko otwarte, zielone i szczerze, pełne bólu i prawie rozpacz, aż przez chwilę Margaret Fullerton czuła wstyd. -Niech mi pani powie, dlaczego pani mnie tak nienawidzi? Czy rzeczywiście pani myśli, że ja chcę go skrzywdzić?

- Już go skrzywdziłaś. To przez ciebie został w wojsku. Bo wie, że nie ma teraz miejsca nigdzie indziej. Tylko w wojsku wśród chamów i ich żon wojennych, i ich mieszanego potomstwa. Czy takiego życia chcesz dla niego, jeżeli go kochasz? - Serena dławiała się szlochem, a Margaret Fullerton mówiła dalej: - Gdyby nie ty, miałby wspaniałe życie, zrobiłby wielką karierę, byłby mężem Pattie.

- Ale on jej nie chciał. - Serena szlochała, już nie mogła panować nad sobą. -A ja będę się starać, żeby był szczęśliwy.

- Fizycznie, być może. - Jego matka wycofała się w swoją skorupę. - Ale są ważniejsze rzeczy.

- Tak, miłość i dzieci, ognisko domowe i...

Margaret niecierpliwie machnęła ręką. Chciała to załatwić, zanim Brad wróci z miasta.

- Jesteś dziecinna, Sereno. Nie rozumiesz. No, mamy sprawę do załatwienia, prawda?

Była bardzo stanowcza, ale Serena wstała z fotela cała drżąca i przez łyzy wykrztusiła:

- Nie, nie mamy. Pani mi go nie zabierze. Kocham go. I on mnie kocha.

- Kocha? Nie sądzisz, Sereno, że tylko się zadurzył? Co zrobisz za rok czy dwa lata, kiedy będzie tobą znudzony? Wystąpisz o rozwód, pozwolisz jemu wystąpić o rozwód? I co wtedy? Spróbujesz zgarnąć te pieniądze, których nie chcesz wziąć ode mnie teraz?

- Nigdy nie będę chciała od niego pieniędzy. - Serena tak się trzęsła, że prawie nie mogła mówić.

Ale Margaret Fullerton przewidziała też i taką możliwość.

- Udowodnij to. Jeżeli nie chcesz od niego pieniędzy, Sereno, udowodnij to.

- Jak. Mam uciec? Mam zabić moje dziecko? - Serena łkała prawie histerycznie.

- Nie. Tylko podpisz się tutaj. - Margaret Fullerton wyjęła z torebki jeszcze jedno pismo i dała Serenie.

Nie czytając dziewczyna z tym pismem w rozdygotanej ręce tylko patrzyła na matkę Brada.

- Tu jest napisane - powiedziała pani Fullerton - że jeśli Brad cię porzuci albo umrze nie pozostawiając testamentu, zrzekasz się wszelkich praw do jego pieniędzy zarówno w swoim imieniu, jak w imieniu waszych ewentualnych dzieci. W zasadzie to znaczy, że jeśli nie będziesz miała Brada, nie będziesz chciała mieć jego pieniędzy. To podpiszesz?

Serena patrzyła na nią z nie ukrywaną nienawiścią, o wszystkim pomyślała ta wiedźma. Ale tym razem przytaknęła.

- Tak, to podpiszę, bo jeżeli on mnie porzuci, niczego od niego nie wezmę. Zależy mi tylko na nim.

- Więc podpisz. - Nie tego Margaret chciała. Chciała pozbyć się tej dziewczyny raz na zawsze, ale skoro nie zdołała, przynajmniej w ten sposób mogła uchronić Brada. Powoli go przekonam - pomyślała. On nie wytrzyma w małżeństwie z tą dziewczyną wiecznie, chociaż jest taka ładna. Na razie młoda, potem mu się znudzi. I wojsko też mu się znudzi, ostatecznie jeszcze nie za późno, ukończył dopiero trzydzieści cztery lata, tymczasem zajmę się Gregiem. Nie ma pośpiechu, poczekam, aż Brad sam się jej pozbędzie. Patrzyła, jak Serena podpisuje się drżącymi palcami.

Po chwili Margaret Fullerton wyszła z pokoju, odwracając się w drzwiach do synowej.

- To jest dokument prawny, Sereno. Nie będziesz mogła tego obalić. Jeżeli wasze małżeństwo się skończy, czy to rozwiedziona z nim, czy wdowa po nim, nie wyciągniesz od niego czy też od nas ani grosza. Nawet gdyby on chciał ci coś dać, ja mam tu twój podpis i to go

powstrzyma. Już nic od niego nie dostaniesz.

- Nigdy nie chciałam.

- Nie wierzę. -i z tym pani Fullerton odwróciła się i zamknęła drzwi za sobą. Serena prawie się zataczając podeszła do łóżka. Położyła się i znowu tak jak w poprzedni wieczór szlochała spazmatycznie, dopóki nie zabrakło jej łez.

B.J. wracając przeraził się na jej widok. Taka blada i wyczerpana, oczy podpuchnięte od płaczu. Najwidoczniej jest bardzo chora.

- Kochanie, co ci się stało?

Tak jak w poprzedni wieczór, postanowiła mu nie mówić. Ujawnienie tego, co zrobiła jego matka, wydawało jej się absolutną zdradą. To przecież sprawa tylko pomiędzy nią i panią Fullerton. Brad nie może nigdy się o tym dowiedzieć.

- Nie wiem - odpowiedziała. - Może to zmiana wody i klimatu. Czuję się bardzo źle.

- Płakałaś? - Był zaniepokojony.

- Tylko dlatego że tak się czuję. - Uśmiechnęła się do niego słabo. Bez przekonania patrzył na nią, zatrważająco steraną.

- Chyba powinienem wezwać doktora.

- Brad, nie.

Ustał ostatecznie, ale nadal się martwił, gdy w pół godziny później zszedł do kuchni po herbatę dla Sereny i zastał tam Teddy'ego, który robił sobie kanapkę.

- Dla ciebie też? - zapytał Teddy. B.J. potrząsnął głową i postawił czajnik na kuchence. - Co się dzieje?

- Martwię się o Serenę. Od wczoraj nie wygląda dobrze. Teddy od razu posmutniał.

- Coś stało się dzisiaj.

- Nic, o ile ja wiem. Ale teraz kiedy wróciłem z obiadu, ona wygląda strasznie. Jak gdyby przez cały czas od rana płakała, jest blada, rozstrzęsiona. - Uśmiechnął się nieśmiało do brata. - Ty chyba jeszcze na tym wszystkim się nie znasz, nic jej wygląd ci nie powie, prawda? Chciałem wezwać do niej doktora matki, ale ona nie chce. Boję się poronienia, czy czegoś takiego.

- Ma skurcze?

- Nie mówiła. Myślisz, że dlatego płakała? Może ona wie, że coś nie jest jak trzeba, i nie chce mi powiedzieć. - Woda w czajniku zaczęła się gotować. B.J. nagle wpadł w panikę. - Jednak wezwę doktora.

- No uspokój się. - Teddy wziął od niego czajnik i postawił z powrotem na kuchence. - Może przedtem ją zapytaj, czy ma skurcze, czy krwawi.

- O Boże! - B.J. zbladł myśląc o tym. - Gdyby coś się stało jej albo dziecku... -Nie odważył

się dokończyć. Teddy położył mu rękę na ramieniu.

- Nic nie będzie ani jej, ani dziecku, to najbardziej prawdopodobne. Więc przestań się denerwować. Może idź do niej, zobacz, co robi, a ja za chwilę przyniosę herbatę. Dobrze?

B J. spojrział na brata z bezmiernym przywiązaniem.

- Wiesz, jesteś jeszcze lepszy niż dawniej. Zostaniesz nie byle jakim lekarzem, Teddy.

- Zamknij się. Tylko mnie wprawiasz w zakłopotanie. No idź już do swojej żony. Ja zaraz przyjdę.

Ale w parę minut potem Teddy, idąc na górę, spotkał w hallu matkę.

- Dokąd to? I z herbatą! Wielkie nieba, to coś nowego!

- Herbata dla Sereny. Brad mówi, że ona nie czuje się dobrze. - Chciał sprawę zbagatelizować, zobaczył jednak wyraz twarzy matki. - Hm... - powiedział -zawiadomię cię, jeżeli trzeba będzie wezwać lekarza.

- Tak, zawiadom. - Nie zapytała, co Serenie jest. Zapukał do drzwi ich pokoju. B J. szybko otworzył i wpuścił go.

- Coś nie tak? - zapytał widząc jego zaniepokojenie. Teddy szybko się uśmiechnął.

- Nie. Nic. Jak ona się czuje?

- Myślę, że już lepiej. Może masz rację. Może po prostu jest wyczerpana. - B J. zniżył głos, Serena czesała się w łazience. - Mówi, że nie ma skurczów ani krwawienia, więc może nic jej nie jest. Ale na Boga, Teddy, przysięgłbym, że płakała przez całe przedpołudnie.

Rozmowa się urwała, bo Serena wyszła z łazienki zupełnie inna niż była pół godziny przedtem. Uczesana i odświeżona, w długim różowym atłasowym szlafroku, spod którego widać było pompony na różowych rannych pantoflach, miała oczy błyszczące i uśmiechnęła się do Teddy'ego.

- Och, Sereno, wyglądasz wspaniale - Ucałował ją w oba policzki, wziął za obie ręce i usiadł z nią na łóżku. - Brad mówił, że nie czujesz się szampańsko, ale moim zdaniem jesteś w fantastycznej formie. - Po czym z miną prawie profesjonalisty, która wywołała uśmiech starszego brata na wspomnienie psotnego dziewięciolatka tłukącego szyby, zapytał: - Czujesz się dobrze, Sereno? Bardzo nas zaniepokoiłaś.

- Czuję się doskonale. - Przesadnie potrząsnęła głową, ale już znowu miała łzy w oczach i po chwili niepohamowanie wyciągnęła ręce do B.J., rozszlochała się w jego objęciach. Strasznie jej było wstyd, że robi taką scenę, nie mogła jednak się opanować. Z rozpaczą patrzyła znad ramienia B.J. na jego brata, dopóki w końcu się nie wyplakała. Wzięła chustkę od Teddy'ego i wytarła nos. Teddy lekko pogłaskał ją po ręce, spojrział jej prosto w oczy.

- Wiesz, Sereno, to każdemu czasami się zdarza. Masz mnóstwo wrażeń w tych dniach,

mnóstwo zajęć, poznasz mnóstwo nowych ludzi. Nawet gdybyś nie była w ciąży, toby cię chyba zmogło.

- Przepraszam. - Znów otarła łzy. - Tak mi głupio.

- Nie powinno ci być głupio. - Podał jej herbatę, a potem spojrzął na B.J., przechylając głowę, jak przekorny chłopiec szczerząc zęby. - Starszy bracie, jeżeli dam słowo, że nie będę się z nią bawił w doktora, czy zostawisz nas na chwilę samych?

To pytanie było tak rozbijające, że B.J. nie mógł odmówić. Powiedział, że wróci za parę minut z jeszcze dwiema filiżankami herbaty, i wyszedł z pokoju. Teddy czekał, aż jego kroki ucichną na schodach, po czym znów podszedł do Sereny.

- Chcę cię o coś zapytać, i proszę, żebyś mi powiedziała prawdę. Przysięgam, Bradowi nie powtórzę. - Już się domyślił, że jeśli jego podejrzenie jest słuszne, ona Bradowi się nie zwierzy. - Powiesz mi prawdę?

Przytaknęła. Przed Teddym nie musiała mieć się na baczności. Co innego Brad, którego chciała chronić.

- Czy z twoim zdenerwowaniem ma coś wspólnego nasza matka? Zawahała się i napuszyła. Zarumieniona, wysunęła rękę z jego dłoni i zaczęła spacerować po pokoju. Wszystko to ją zdradzało.

- Ona tu była u ciebie dzisiaj, Sereno?

- Tak. - Odwróciła się do niego raptownie. - Ale tylko żeby zapytać, jak się czuję, i zaraz pojechała gdzieś na obiad.

A więc też pokerzystka. Zdecydował się ją zmusić do pokazania kart.

- Nigdzie na obiad nie pojechała, Sereno. I powiedziała mi, że dziś nie widziała się z tobą. Obie kłamiecie. - Spojrzął na nią znacząco, ale bez wyrzutu. - Dlaczego? - To było pytanie proste, jasne i gdy zobaczyła wyraz jego oczu, rozplakała się znowu.

- Nie mogę ci powiedzieć.

- Już ci mówiłem, że nie powtórzę Bradowi.

- Ale nie mogę... Byłoby... - Usiadła na łóżku, znów rozszlochana, i tym razem to Teddy wziął ją w objęcia. Czuł ją przy sobie taką miękką, ciepłą i delikatną, aż mu dech zapierało. Przez jedną krótką szaloną chwilę chciał powiedzieć, że ją kocha, ale przypomniał sobie aż nazbyt prędko, że przecież nie dlatego ją tuli w ramionach.

- Sereno... powiedz mi. Przysięgam, że ci pomogę. Ale muszę wiedzieć.

- Nic nie możesz zrobić. Chodzi tylko o to, że... - urwała i nagle palnęła: - Ona mnie nienawidzi.

- To śmieszne. - Uśmiechnął się w jej włosy. - Z czego wnosisz?

I nie wiedząc dlaczego, poza tym, że mu ufa, nagle zdecydowała się opowiedzieć mu o wczorajszej rozmowie, o tym strasznym kontrakcie i w końcu o oświadczeniu, które podpisała.

- Podpisałaś to? Potwierdziła.

- Tak. Czy to coś zmienia? Jeżeli on mnie porzuci, i bez tego nie będę chciała od niego pieniędzy. Sama zaopiekuję się dzieckiem.

- Och, Sereno - uściskał ją - to przecież wariactwo. Miałabyś prawo do zaopatrzenia dla siebie i dla dziecka. I gdyby on umarł...

Serena przerwała mu wzrokiem. Nie dopuszczała takiej myśli.

Teddy tylko chciał ją ukoić.

- Brad w żadnym razie nie zostawiłby ciebie i dziecka bez zaopatrzenia. Ale co za podłość!

- Zgnębiony, popatrzył na nią. - Witaj w rodzinie, kochana. Miło cię powitała, co? - Znów ją objął ramieniem. - Biedactwo małe - uśmiechnął się dziwnie. - Jeśli cokolwiek rzeczywiście kiedyś mu się stanie, Sereno, i nie będzie jego testamentu, ja się zajmę tobą i waszymi dziećmi, przyrzekam.

- Nie bądź niemądry... - Po chwili dodała z lekkim dreszczem: - Nie mów o tym. - i popatrzyła na niego łagodnie. - Ale dziękuję ci.

- Jednak myślę, że powinnaś powiedzieć Bradowi.

- Nie mogę.

- Dlaczego?

- Wścikle by się rozgniewał na waszą matkę.

- I słusznie.

Znów potrząsnęła głową.

- Nie mogę tego zrobić ani jemu, ani jej.

- Jesteś pomyłona. Ona na to zasługuje. Zrobiła strasznie podłe świństwo. - Ale nie mógł mówić dalej. B.J. już otworzył drzwi i wszedł niosąc tacę z trzema filiżankami gorącej herbaty.

- Jak się ma moja żona? Trochę lepiej?

- O wiele lepiej - odpowiedziała Serena, zanim Teddy zdążył się odezwać. - Twój brat będzie doskonałym lekarzem. Zbadał mi puls i od razu poznał, że jestem w ciąży.

- Jaka prognoza?

- Co najmniej bliźnięta. Możliwe, że trojaczki.

BJ. jednak widział, że Teddy jest zdenerwowany i Serena pomimo brawury i wesołości nie przestaje czymś się dręczyć. Gdy po chwili poszła do łazienki, zapytał Teddy'ego:

- No? Myślisz, że powinienem wezwać doktora?

- Chcesz wiedzieć, co ja myślę? Myślę, że jutro, kiedy tylko Greg poślubi tę laleczkę, powinniście w cholerę zabrać się z Nowego Jorku, pojechać gdzieś, gdzie jest zdrowo i ładnie, i po

prostu odsapnąć. Ją wykończył sam przyjazd tutaj, sądząc z tego, co ty powiedziałaś, i z tego, co wydobyłem od niej. Po prostu wywieź ją z Nowego Jorku daleko od rodziny i wypoczywajcie oboje, zanim osiedlicie się w San Francisco.

B.J. się zastanowił.

- Może to dobra rada, Teddy. Pomyślę o tym.

- Nie myśl. Zrób to. I jeszcze coś ci poradzę. Nie zostawiaj tu jej samej nawet na sekundę.

- Chcesz powiedzieć: w Nowym Jorku?

- Chcę powiedzieć: nawet w tym mieszkaniu. Ona ciebie potrzebuje nieustannie. Jest w obcym kraju wśród obcych ludzi, bardziej przerażona niż to okazuje. Poza tym początki ciąży to dla niektórych kobiet okres bardzo trudny pod względem emocjonalnym. Bądź przy niej, Brad. Przez cały czas. Myślę, że o to właśnie chodziło dzisiaj. Zdenerwowała się, bo ciebie nie było w pobliżu.

Wydawało się to niezwykle w przypadku Sereny, ale B.J. chciał w to uwierzyć. Z pewnością się załamała, bo jego przy niej nie było - innego wytłumaczenia nie widział.

- Co wy knujecie? - Serena wracając, spojrzała podejrzliwie na Teddy'ego, ale wyraz jego oczu i wyraźny spokój na twarzy B.J. świadczyły, że nie została zdradzona

- Właśnie radziłem twojemu mężowi, żeby wziął cię w podróż poślubną od razu po ślubie Grega jutro.

- Chyba już nie jestem do wzięcia. - Spojrzała na swój brzuch i żartobliwie się nadała. Mąż przyciągnął ją i posadził sobie na kolanach.

- Będiesz dla mnie do wzięcia w podróż poślubną raz po raz przez najbliższe dziewięćdziesiąt lat, moja pani. No jak ci się to podoba? Uważam, że Teddy wpadł na dobry pomysł.

Przytaknęła powoli.

- Nie chcesz być tu dłużej? - zapytała troskliwie. Potrząsnął głową.

- Myślę, że obojgu nam pobyt tutaj do jutra wystarczy aż nadto.

- Może jednak zastanów się, zanim zdecydujesz. Ale Teddy wtrącił się, patrząc Serenie w oczy.

- Moim zdaniem, Sereno, pobyt w Nowym Jorku ci nie służy. Potrzebujesz świeżego powietrza i wypoczynku, a tego tutaj nie ma. No więc jak? Wyjedziecie? - Ogarnął wzrokiem oboje.

B.J. się roześmiał.

- Rany boskie, myślałby kto, że chcesz nas stąd usunąć.

- Chcę. Moi koledzy przyjadą w przyszłym tygodniu. Potrzebny mi ten pokój gościnny. -

Teddy uśmiechnął się szatańsko.

- Dokąd pojedziemy, Sereno? Do Kanady? Do Wielkiego Kanionu? Czy do Denver w naszej drodze na Zachód? - Serena nigdzie tam jeszcze nie była, ale Teddy spojrzał na B.J. już mając koncepcję.

- A może do Aspen? Spędziłem w Aspen latem parę tygodni u kolegi. Bajeczne okolice. Moglibyście tam pojechać z Denver samochodem.

B.J. przytaknął.

- Zajmę się tym. - Spojrzał na żonę. - Na razie ustalmy coś innego. Chcę, żebyś darowała sobie tę kolację przedślubną i została do jutra w łóżku.

- Nie - zaprotestowała spokojnie. - Chcę pójść z tobą.

- Czy powinna leżeć? - Znów starszy brat zwrócił się do młodszego, co obu ich rozbawiło.

- B.J., ja jeszcze nie jestem lekarzem, ale myślę, że nie musi. - Teddy przeniósł wzrok na Serenę. - Może jednak byłoby o wiele mądrzej leżeć. - Wiedział, że zrozumiała.

Ale Serena pojęła nagle, że nie chce rezygnować z jeszcze jednej bitwy z teściową. Ta kobieta zdobyła przynajmniej jeden jej podpis i już wie, że ona nie odejdzie od Brada, nie ucieknie z rodzinnymi pieniędzmi, ale na tym koniec, więcej z nią nie wygra. Jeżeli Fullertonowie jej nienawidzą, ona się nauczy z tym żyć. Ale nie da się zastraszyć, nie będzie siedziała jak mysz pod miotłą. Uważają ją za włóczęgę, dziwkę i służącą, i Bóg wie co jeszcze, więc jeśli nie pokaże się w tych ich salonach, wszyscy pomyślą, że Brad się jej wstydzi. A ja właśnie będę tam -postanowiła. Będę u jego boku i to tak, żeby każdy patrzył na niego z zawiścią. Chochliki zapląsały w jej oczach. Spojrzała na męża i szwagra z miną szelmowsko wyniosłą.

- Panowie, idę na bal.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Gdy przed kolacją Serena zeszła do hallu, łatwo było uwierzyć, że jest principessą. Nawet po twarzy jej teściowej przemknął cień czegoś w rodzaju bojaźni. Suknię miała z mieniącego się złotymi nićmi białego jedwabiu, który udrapowany na jednym ramieniu, spływał ' jej do stóp rozmigotaną kaskadą, nie eksponując zgrubiałej już talii. Z białym kwiatem wpiętym we włosy i w złocistych sandałach wyglądała u boku męża jak bogini. Teddy gwizdnął i nawet Greg był wyraźnie olśniony.

W parę minut później wszyscy razem wyszli z frontowego hallu - trzej bracia, ich rodzice i Serena. Z Pattie i jej rodzicami mieli się spotkać w sali bankietowej klubu.

Matka narzeczonego była w długiej sukni z czerwonego atlasu z taką pelerynką, kreacji zamówionej u Diora. Żywo kontrastowały z tą czerwienią jej białe włosy, gdy między Gregiem i Teddym szła do samochodu. Usiadła z nimi na tylnym siedzeniu, ojciec usiadł na jednym z rozkładanych siedzeń, a B.J. i Serenie przypadły miejsca na przodzie przy kierowcy. Dzięki temu Serena mogła być daleko od teściowej, co z zadowoleniem stwierdził Teddy, który zręcznie manewrując sam się do tego przyczynił. Przynęcił sobie, że dołoży wszelkich starań, żeby umilić Serenie ten wieczór. Już bodaj to może dla niej zrobić, skoro jej mąż nie wie, jakich przykrości doznała od teściowej. Serena znów była mu wdzięczna, gdy oczy ich się spotkały. Czuła, że Teddy ją rozumie i że jej nie zdradzi. Nadzwyczajne, poznała go nie dawniej niż wczoraj, a już są serdecznymi przyjaciółmi. Jak gdyby był moim bratem teraz i zawsze - pomyślała zerkając na tylne siedzenie. Uśmiechnął się do niej.

- Flirtujesz z moim bratem? - szepnął jej do ucha B.J. Uśmiechnęła się skromniutko i potrząsnęła głową.

- Nie. Wydaje mi się, że to i mój prawdziwy brat. - To zacytował chłopak.

- Tak jak ty. - Rozpromieniła się, ale gdy B.J. pocałował ją w czubek nosa, pomyślała o jego matce. Czy patrzy? Dziwne, nieprzyjemne uczucie być wciąż pod obserwacją, być znienawidzoną, nie chcianą nawet teraz po podpisaniu jednego z tych oświadczeń. Nie do wiary, że ta kobieta żądała zrzeczenia się nie tylko męża, ale i dziecka. Myśląc o tym, Serena znów przygasła.

- Dobrze się czujesz? - szybko zapytał B.J.

- Świetnie. Bądź spokojny. Dziś wieczorem nic mnie nie rozklei.

- Skąd wiesz? - na pół się z nią przekomarzał.

- Stąd, że ty jesteś przy mnie.

- Więc postaram się nie odchodzić od ciebie ani przez chwilę.

Ale później nie było to takie łatwe. Matka posadziła go przy stole narzeczonych i mając być družbą, siedział z lewej strony Pattie. Teddy też musiał siedzieć przy tym stole. Serena znalazła się w towarzystwie kilku starszych par małżeńskich i bardzo nieciekawych panien, które znały się od lat i prawie wcale z nią nie rozmawiały. Ze swojego miejsca nawet nie widziała bezpośrednio B.J. ani Teddy'ego. Czuła się jak rozbitek wśród obcych na nieznanym łądzie i co dziwniejsze, tak samo przy swoim stole czuł się B.J., szczególnie zirytowany sposobem, w jaki matka przydzieliła im miejsca. To, że posadziła go obok Pattie, wydawało mu się nietaktowne, chociaż w myśl tradycji jutrzejszemu družbie rzeczywiście należało się miejsce obok jutrzejszej panny młodej. Główna drużba siedziała obok Grega i dalej cała czereda druhen i družbów. W sumie była to bardzo wesół kolacja. B.J. zdołał się zająć sąsiadką z lewej strony, wysoką rudowłosą dziewczyną, która ukończyła z Pattie szkołę w Yassar. Właśnie wróciła do Nowego Jorku po długim pobycie u przyjaciół w Paryżu, więc przynajmniej miał o czym z nią mówić. Ponadto w dzieciństwie przez kilka lat mieszkała w San Francisco i znając to miasto, udzielała mu informacji, jej zdaniem potrzebnych, skoro miał się tam przenieść. W jakich dzielnicach jest mniej mgły, na wypadek gdyby nie chciał domu w bazie, i gdzie jest najlepsza plaża, gdzie najlepiej łowić ryby, gdzie w parkach chodzić na spacer, dokąd zabierać dzieci, żeby cudownie się bawiły. Tematów do tej pogawędki nie brakowało i dzięki temu nie musiał rozmawiać z Pattie, dopóki nagle nie został z nią sam, gdy zaczęły się tańce i tę rudowłosą pociągnął na parkiet družba, który siedział z lewej jej strony, a Greg poprosił główną drużnę. Siedział przy Pattie, patrzył, jak tańczą prawie wszyscy inni, i czuł się nieswojo.

Spojrzał w prawo, zobaczył, że Pattie patrzy na niego, więc uśmiechnął się dosyć ponuro, usiłując nie myśleć o tym, co zaszło między nimi w Rzymie.

- Wydaje się, że jesteśmy opuszczeni. - Idiotyczna uwaga, ale pojęcia nie miał, co jej powiedzieć.

Zwróciła ku niemu twarzyczkę w kształcie serca, wyduła usta z tą dobrze mu znaną miną.

- Drażni cię to, Brad.

- Ależ nie. - Wierutne kłamstwo. Drażniła go niezręczna sytuacja.

Pattie siedzi tak, jakby czegoś się spodziewała - że może on ją pocałuje albo obejmie ramieniem. Wszyscy wiedzą, że oni rok temu byli zaręczeni, a teraz raptem, gdy ona ma wyjść za jego brata, oto siedzą przy głównym stole sam na sam. Z pewnością wszyscy są ciekawi, o czym rozmawiają.

- Brad, nie chcesz tańczyć ze mną? - Patrzyła na niego z tym dąsem. Zarumienił się i szybko odpowiedział:

- Chcę, Pattie. Czemuż by nie? - Dobrze przynajmniej, że nie robi mu sceny, nie wypomina

tego, co było.

Wstał, wziął ją za rękę i poszli prosto na parkiet, żeby zatańczyć latynoską merengue. Tańczyła bardzo dobrze i nagle przypomniały mu się ich noce w Stork Club, gdy był na urlopie zaraz po wojnie i gdy Pattie go podniecała jak alkohol. Cholernie ładna dziewczyna, w zupełnie jednak innym stylu niż Serena. Serena wytworna i pełna wdzięku ma twarz, za którą ludzie się oglądają, jest pięknnością zapierającą dech. Pattie natomiast pociąga ciepłokrwistą zmysłowością, dopóki się nie wie, że pod tymi pozorami pieszczoszki jest serce z lodu. Ale tak czy owak, tańczy dobrze i od jutra będzie jego bratową. Więc dokazywał z nią cudów na parkiecie. Merengue przeszła w sambę, samba w fokstrotę, po którym zaraz nastąpił walc, i jakoś nikt przez ten cały czas nie zmienił partnerki. On także nie. Tańczył z Pattie nadal, ku jej uszczęśliwieniu, gdy walc się skończył i rozbrzmiało tango, aż w końcu zapytała ze swym uśmiechem lalki, wachlując się dłonią.

- Nie umrzesz zaraz na zawał?

- Jestem tego bliski.

- Chcesz przewietrzyć się trochę?

Wahał się tylko przez sekundę, po czym uznał, że jest zbyt cnie nieuprzejmy. Cóż zdrożnego ostatecznie w wyjściu na chwilę, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza.

- Oczywiście. - Spojrzał na parkiet szukając wzrokiem Sereny, ale jej nie znalazł. Wyszedł za Pattie przez małą jadalnię i po schodach zeszli na ulicę, gdzie czerwcowe powietrze było prawie tak ciężkie jak w sali.

- Zapomniałem już, jak dobrze tańczysz. - Spojrzał na Pattie, wyjmując papierosa ze swojej złotej papierośnicy. Pattie szybko zerknęła na papierośnicę i podniosła wzrok na niego.

- Wiele rzeczy o mnie zapomniałeś, Brad. - Gdy nie odpowiedział, sięgnęła po papierosa, którego zapalił, zaciągnęła się i pomazanego jej wiśniową szminką wetknęła mu z powrotem między wargi. - Wciąż jeszcze nie rozumiem tego, co zrobiłeś. To znaczy, dlaczego to zrobiłeś? - Spojrzała mu w oczy i już żałował, że z nią wyszedł. - Po prostu na złość mnie? Prawda? Ale dlaczego właśnie ona? Ładna, być może, ale jest kompletnym zerem. I jak długo chcesz to ciągnąć, Brad? Rok? Dwa lata? I co potem, życie zwichnięte przez tę kurewkę?

Już miał wrócić do klubu, słysząc to jednak zatrzymał się jak wryty.

- Nigdy - wycedził lodowato - nie mów tak do mnie, ty dziwko. Od jutra na lepsze czy gorsze, będziemy spokrewnieni. Będziesz żoną mojego brata i chociaż nie bardzo wiem, jakie to ma znaczenie dla ciebie, dla mnie to znaczy, że cholernie będę się starał cię szanować. - Powoli wypuścił nozdrzami dym papierosa i spojrzał na nią z niesmakiem. - To jednak piekielnie dla mnie trudne.

- Nie odpowiedziałeś na moje pytanie. - Nagle się rozgniewała, jej dąs stał się prawie szyderstwem. - Dlaczego się z nią ożeniłeś, Brad?

- Dlatego że ją kocham. Dlatego że ona jest niezwykła. Dlatego że jest kimś szczególnym. I niech to diabli porwą, co tobie do tego? - Przecież nie musiał tłumaczyć się Pattie. - I skoro już o tym mowa, pozwól, że ja cię zapytam tak samo. Czy też bardziej sensownie: Pattie, kochasz Grega?

- Czybym zdecydowała się wyjść za niego, gdybym go nie kochała?

- A wiesz, to interesujące pytanie. Spróbuj mi odpowiedzieć i na to. Może chodzi ci tylko o nazwisko, więc jeden Fullerton jest równie dobry jak drugi. Czy następny w szeregu był Teddy? - B.J. nagle zdał sobie sprawę, że nienawidzi Pattie, zepsutej, niegodziwej. Jak mógł kiedykolwiek myśleć o małżeństwie z nią?

- Jesteś skurwysynem, wiesz o tym? - Przymrużyła oczy patrząc na niego tak, jakby chciała go uderzyć.

- Tylko na takiego zasługujesz, Pattie. Pewne w stu procentach, że nie na Grega.

- Tu się mylisz. Ja z niego coś zrobię. Teraz on jest niczym. - Przez parę strasznych sekund wydawało mu się, że słyszy swoją matkę.

- Nie możesz, do diabła, zostawić go w spokoju?! - Oczy B.J. pały. - To przyzwoity facet. I dobrze mu tak, jak jest. - Ale czy dobrze? Zastanowił się. Czy Greg tak wciąż by się upijał, gdyby mu było dobrze?

- Nim trzeba pokierować.

- W którą stronę? Kariery politycznej, której nie chce? Może zamiast go popychać, po prostu siedź w domu i miej dzieci. - Ale tą radą wywołał jakiś upiorny wyraz na twarzy Pattie. Zbladła.

- To niemożliwe.

- Dlaczego? - B.J. patrzył jej w oczy. Nie rozumiał.

- Greg nie może mieć dzieci, Brad. Zaraził się syfilisem, kiedy był w college'u, i jest bezpłodny.

Przez długą chwilę B.J. milczał, wstrząśnięty.

- Mówisz poważnie?

- Tak. - To był głęboki smutek, ten dziwny wyraz jej oczu. - Zadał sobie fatygę, żeby mnie poinformować, dopiero w zeszłym miesiącu, kiedy już było wiadomo, że jesteśmy zaręczeni. I wiedział, że nie zdobędę się na zerwanie następnych zaręczyn. Boże - roześmiała się krótko, sucho. - Wszyscy w mieście przecież boki by zrywali, biedna mała Pattie Atherton, jeszcze jeden Fullerton dał jej kopniaka.

- To nie to samo... - B.J. dotknął jej ręki. - Tak mi przykro, Pattie. On powinien był powiedzieć ci przedtem. Postąpił parszywie.

- Też tak myślę. - i cicho, obojętnie Pattie dodała: - W końcu za to zapłaci.

- Co ty mówisz, na Boga? Wzruszyła ramionami.

- Nie wiem. - Spojrzała na niego z ponurym uśmiechem. - Chciałam za niego wyjść na złość tobie. Mogłoby się wydawać, że go wykorzystałam. Ale zabawne jest to, że w rezultacie on wykorzystał mnie. On śmieje się ostatni. Najpierw mi się oświadcza i ja się zgadzam, a potem na miesiąc przed ślubem mówi mi, że jest bezpłodny.

- Wyszłabyś za niego, gdybyś wiedziała?

Potrząsnęła głową.

- Nie, nie miał co do tego złudzeń. Dlatego mi nie mówił.

B.J. zadumany patrzył na Pattie. Kiedyś myślał, że ją zna, teraz sobie uświadomił, że nie zna jej wcale. Jest intrygantką, jest mściwa, a przecież ma swoje czułe punkty - potrzeby serca - i zadaje rany sama zraniona. Do głębi żał mu było Grega. Na swój sposób Pattie rzeczywiście jest o wiele gorsza niż ich matka.

- Bardzo źle, że Greg to przed tobą ukrywał. - Przeraziła go ta strona charakteru młodszego brata. - Ale może w końcu to obróci się na dobre. Będziecie mogli całkowicie poświęcić się sobie nawzajem.

Pattie nie od razu odpowiedziała.

- Brad, gdyby twoja żona nie mogła mieć dzieci, czy tobie by to nie sprawiało różnicy?

- Nie, gdybym rzeczywiście ją kochał.

- Ale twoja żona może, prawda?

Wahał się długo, po czym uznał, że nie powinien przed Pattie tego ukrywać. Ona i tak wkrótce się dowie, zresztą chciał być uczciwy.

- Serena jest w ciąży, Pattie. - Ale natychmiast zobaczył, że popełnił błąd. Błyskawice w jej oczach były prawie straszne.

- Szybko jej zrobiłeś dziecko. Czy dlatego się z nią ożeniłeś? - Gdyby tak, poczułaby się lepiej. Może on musiał ożenić się z Sereną... Ale ta nadzieja okazała się płonna.

- Nie, nie dlatego.

Długo milczeli, po czym Pattie odwróciła się na pięcie i odeszła. Po chwili B.J. wrócił do klubu i natychmiast spotkał Grega.

- Gdzie jest Pattie? - Greg popatrzył na niego podejrzliwie i zatoczył się lekko, znowu pijany.

- Gdzieś jest tutaj. Wyszliśmy na świeże powietrze i ona już wróciła. Może jest w

garderobie pań.

- Ona ciebie nie cierpi.

B.J. przytaknął. Patrząc Gregowi w oczy, stwierdził po raz pierwszy w życiu, że niewiele o tym bracie wie.

- Ona nie była dla mnie, Greg. W każdym razie zerwałbym z nią po powrocie, nawet gdybym nie spotkał Sereny. - Teraz już w to nie wątpił. - Tylko byśmy siebie unieszczęśliwili, Pattie mnie, a ja ją. - Ale nie miał pewności, czy nie takie będzie małżeństwo Pattie i Grega. - Greg, jesteś szczęśliwy? - Chciał mu powiedzieć, że jeszcze czas się rozmyślić, że doprawdy lepiej się rozmyślić, ale też nie był pewny, czy powinien.

- Do diabła, tak. Dlaczego nie? - Greg nie wydawał się człowiekiem szczęśliwym. - Ona będzie mnie utrzymywała w gotowości bojowej. - Przez chwilę patrzył na starszego brata bardzo niechętnie. Była też w tym spojrzeniu zazdrość, jeszcze większa niż ta, którą B.J. zobaczył w oczach Pattie. - Ona jest w łóżku jak płonąca głośnia, ale ty to wiesz. Czy może już zapomniałeś?

- Nic o tym nie wiem. - B.J. skręcał się w sobie, uznał, że może zachować dyskrecję.

- Bujda, ona mi mówiła.

- Mówiła? Może tylko, żebyś był zazdrosny.

Greg wzruszył ramionami, jak gdyby w gruncie rzeczy to go nie obchodziło, ale nie zdołał ukryć, że to go boli. Przez całe życie miał kompleks niższości wobec obu swych braci.

- Naprawdę nie dbam o to - powiedział. - Dziewice to gnój. Nie lubiłem dziewczyn nawet w college'u.

- Najwidoczniej. - B.J. za późno ugryzł się w język; Greg spojrzał mu w oczy.

- Powiedziała ci. Dziwka. Niech to diabli porwą, musiała ci powiedzieć?

- Tyś powinien był powiedzieć jej, zanim się z tobą zaręczyła. - W głosie B.J. brzmiała nagana nieomal ojcowska.

- A ty chyba powinieneś zajmować się tylko swoimi cholernymi sprawami. Nie widzę, żebyś kierował swoim życiem gładko. Aż ożenić się z tą włoską dupką, Brad, na Boga, spodziewałbym się, że masz dość rozumu, by zostawić ją tam, gdzie ci się nawinęła.

- Przestań, Greg - powiedział B.J. cicho, ochryple.

- Akurat, przestanę. Matka by mi dała spokój, gdybyś zrobił to, czego się po tobie spodziewała. Błyszcząbyś w polityce, gdzie twoje miejsce, a ja bym mógł żyć tak, jak chcę. Ale skąd! Najstarszy brat musi bawić się w niezależność, mnie zostawić z tym całym bajzlem! I co mi z tego wszystkiego? Królewskie bóle w tyłku od siedzenia na tronie, pistolet przy głowie. Teraz ja jestem nadzieją rodu i aż mnie dławią te ich oczekiwania. Coś mi się wydaje, że ty wymigałeś się aż za łatwo. Jak zwykle! - Był coraz bardziej pijany i nieskończenie bardziej rozgoryczony.

- Przecież nie musisz się podporządkować. Możesz ze swoim życiem zrobić to, co chcesz. -
B.J. rzeczywiście współczuł Gregowi. I jednocześnie wiedział, że Greg nie odważy się stawić czoła
ani matce, ani Pattie.

- Diabła tam mogę. I teraz doszła jeszcze małżonka Pattie. Myśli, że będę pracował u jej
ojca.

- Jeżeli nie chcesz, nie zgódź się.

Greg popatrzył na niego z jakimś gorzkim rozbawieniem. Uśmiechnął się chłodno.

- Dzielnie powiedziane, Brad. Jest tylko jeden szkopał.

- Jaki?

- Że ja nie jestem dzielny. - I to mówiąc Greg odszedł. Rozpaczliwie było Bradowi go żal.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Nazajutrz rano, gdy Serena zeszła po cichu do kuchni po herbatę dla siebie i kawę dla męża, siedziała tam w niebieskim atłasowym szlafroku jej teściowa.

- Dzień dobry, Sereno - powiedziała tak lodowato, że to było gorsze niż całkowite ignorowanie.

Serena przez chwilę czuła się poskromiona i odtrącona zarazem. - Dzień dobry pani. Dobrze pani spała?

- Względnie. - Pani Fullerton nie odwzajemniła się podobnie grzecznym pytaniem. Patrzyła z namysłem i bardzo, bardzo zimno. - Właśnie pomyślałam, że może byłoby roztropniej, gdybyś pod pretekstem, że jesteś chora, nie była na ślubie ani na weselu. W twoim stanie to pretekst doskonały. - Oczywiście miała na myśli ciążę.

Ale Serena się przejęła. Wcale nie chciała być na tych uroczystościach, wiedziała jednak, że wypada jej być.

- Nie wiem, czy Brad...

- Oczywiście to zależy od ciebie. Ale ja na twoim miejscu byłabym zadowolona, że mogę oszczędzić sobie zakłopotania. Ostatecznie to jest święto Pattie, można by to wziąć pod uwagę i już nie robić jej dalszych przykrości.

Serena, bliska płaczu, tylko przytaknęła.

- Zastanowię się nad tym.

- Właśnie, zastanów się. - To mówiąc pani Fullerton wyszła z kuchni. Służące krzątały się gdzie indziej. Serena usiadła i cicho wytarła nos. Gdy już się wzięła w karby, naląła kawę dla B.J., dla siebie wzięła filiżankę herbaty i z tacą wolno ruszyła do ich pokoju, usiłując na coś się zdecydować. Ale gdy doszła do drzwi, wiedziała, że nie ma wyboru. Jeżeli teściowa nie życzy sobie jej obecności, to sprawa przesądzona. I może tak będzie lepiej.

Wchodząc z tacą do pokoju, cicho westchnęła. B.J. usłyszał.

- Coś niedobrze, kochanie?

- Nie... Tylko... tylko okropnie mnie boli głowa.

- Boli? - Zmartwił się. - Więc jeszcze poleż. To po tych nocnych tańcach. Uśmiechnęła się do niego.

- Nie, nie to. Po prostu jestem zmęczona. - I kładąc się, znów na niego spojrzała. - Wiesz, to straszne, co powiem, ale... chyba nie będę na ślubie.

- Czujesz się aż tak źle? - B.J. był zdumiony. Ona nie jest błada i herbatę pije szybko,

czego, jak już zauważył, nigdy nie robi, gdy jej coś dolega. - Chcesz, żebym wezwał doktora?

- Nie - usiadła i pocałowała go. - Myślisz, że twój brat mi wybaczy?

- Tak. Jeżeli chcesz zostać w domu, nie będę ciebie tam ciągnął.

- Dziękuję.

Wkrótce potem patrzyła, jak on się ubiera, i ciężko jej było na sercu, nie dlatego że ją ominie ta gala, tylko z powodu, dla którego ją ominie. Margaret Fullerton wstydzi się takiej synowej jak ona. Robi wszystko, co może, żeby ją trzymać z daleka. Czowała się nie chciana i poza nawiasem. Brad ją kocha, ale to przykre, że jego rodzina nie chce jej akceptować.

- No, jak się czujesz, kochanie? - Spojrzał na nią leżącą, włożył cylinder i rękawiczki.

Wyglądał bardzo sztywnie w zakiecie i sztuczkowych spodniach, w tym szarym cylindrze i szarych rękawiczkach. Miał to być ślub bardzo elegancki i nagle zrobiło jej się żal, że tego nie zobaczy. Prawie w tej samej chwili zapukał Teddy. Wszedł ubrany tak jak B.J., niosąc gałązkę lilii dla niego do butonierki.

- Ja nie mogę być z lilią - powiedział B.J. - Pomyślą, że jestem panem młodym. -i zrobił minę.

- Nie, nie pomyślą. On ma większą. - Dopiero teraz Teddy zdumiał się, widząc Serenę w łóżku. Popatrzył na nią, na brata, i znów na nią. - Co się dzieje, ty nie idziesz?

- Nie czuję się dobrze.

- Wczoraj wieczorem też nie czułaś się dobrze, a na tej kolacji byłaś. O co znów chodzi dzisiaj? - Już coś podejrzewał. Jak gdyby miał znakomite czułki do wychwytywania najchytrzejszych nawet kłamstw, zwłaszcza tych, które miały jakiś związek z jego matką.

- Dzisiaj czuję się gorzej. - Ale Serena powiedziała to zbyt łatwo, siadając i zakładając ręce na piersi.

- Nie wierzę. - Teddy spojrzał na B.J. - Pokłóciliście się?

- Do licha, nie. Serena właśnie oświadczyła, że nie czuje się dość dobrze, żeby być na ślubie. Przecież nie chcę jej zmuszać.

- Dlaczego nie chcesz? - Teddy uśmiechnął się, usiadł przy bratowej. - Rzeczywiście niedomagasz, Sereno?

Potwierdziła:

- Rzeczywiście.

- Żałuję. Będzie nam ciebie brakować.

Ale gdy to powiedział, dwie ogromne łzy spłynęły jej z oczu, Znów się poczuła wykluczona, a teraz już bardzo chciała pójść z Bradem i Teddym. Gdybyż tylko pani Fullerton nie postawiła tej sprawy tak na ostrzu noża - tak jakby ona nie powinna tam być, jeżeli ma w sobie

bodaj odrobinę przyzwoitości i szacunku dla teściowej.

- Co się stało? - Teddy patrzył na nią badawczo. Potrząsnęła głową, bezskutecznie usiłując nie płakać.

- Och, to ta cięza, nic tylko wciąż płacz! - Zaczęła się śmiać z siebie. B.J. podszedł i pogłaskał ją po miękkich, jasnych włosach opadających jej z ramion na poduszkę.

- Spokojnie sobie dziś poleż, a ja wrócę, kiedy tylko będę mógł.

Zostawił ją z Teddym i poszedł do Grega, który nerwowo ubierał się w swojej sypialni przy końcu hallu. Od lat Greg miał własne mieszkanie, ale tę ostatnią swoją kawalerską noc wołał przespać u rodziców w swoim dawnym pokoju. Wiedział, że tutaj, choćby spał najmocniejszym pijackim snem, na pewno nie dadzą mu zasnąć w dniu ślubu.

Gdy B.J. wyszedł, Teddy przymrużył oczy i zapytał Serenę:

- Co naprawdę się stało?

- Nic. - Nie patrzyła jednak na niego. To znaczyło, że coś nie jest w porządku.

- Nie kłam mi, Sereno. Dlaczego nie chcesz być na ślubie? Niesamowite, jak ten człowiek wyciągał ją na zwierzenia i jak bardzo mu ufała.

Mówiła mu to, czego nie powiedziałyby nawet mężowi. Ale już była pewna, że nie zdradził jej zaufania poprzedniego dnia, więc teraz tym bardziej się otworzyła, znowu ze łzami w oczach.

- Wasza matka uważa, że nie powinnam tam być. Ale nie mówię tego Bradowi. Nie chcę, żeby wiedział.

- Ona ci to powiedziała?

- Powiedziała, że to byłoby niezycliwe wobec Pattie, więc jeżeli mam w sobie choć trochę przyzwoitości, powinnam zostać w domu i że już dosyć zrobiłam Pattie.

Teddy zerwał się na równe nogi.

- Co za brednie, Boże miłosierny! Sereno, jeżeli nie zaczniesz się bronić, matka będzie tobą pomiatać do końca życia. Nie możesz jej pozwolić.

- Nieważne. Ona mnie tam nie chce. Pewnie się boi, że was wszystkich skompromituję.

- Sereno. - Teddy spojrział na nią wymownie. - Wszyscy wczoraj wieczorem chcieli wiedzieć, kim jesteś. To znaczy, kim jesteś rzeczywiście. Mówiło się o tobie, że jesteś principessą, i to prawdopodobnie jak diabli zirytowało matkę. Po wczorajszym wieczorze nikt się nie nabierze na te idiotyzmy, że jesteś nikim, że byłaś czyjąś służącą. Widzieli cię, piękną damę z arystokracji. Nie wiem, co mamie się tak nie podoba poza tym, że Brad zrobił, co chciał, i sam o sobie zdecydował. Ale jeśli na synową upatrzyła sobie Pattie Atherton, no to przecież od dzisiaj będzie ją miała. Wkrótce zmieni się w stosunku do ciebie, ale, Sereno, tymczasem nie możesz wciąż jej ustępować. Wczoraj postąpiła z tobą po prostu niemoralnie i naprawdę uważam, że Brad powinien

o tym wiedzieć. Ale skoro nie chcesz, dobrze, niech nie wie. To jednak, co wymyśliła dzisiaj, już przepełnia miarę. Do diabła, to haniebne. - Tylko przemknęło mu przez myśl, że matka jest zazdrosna. Może widzi w Serenie zwycięską rywalkę, którą Brad sam sobie znalazł, zdobył i chce zatrzymać. Może wolałaby go przegrać na rzecz dziewczyny, którą mogłaby manipulować i rządzić, dziewczyny takiej, jak w jej mniemaniu jest Pattie. - Ale ty jej nie możesz na to pozwalać, do diabła. To nie w porządku.

- Co nie w porządku? - B.J. stał w drzwiach patrząc na nich oboje i gdy napotkał ich wzrok, mięśnie twarzy mu się napięły. - Czegoś mi się nie mówi, a ja źle znoszę sekrety w mojej rodzinie. - Zapytał żonę: - Co jest, Sereno? - I gdy odwróciła wzrok, podniósł rękę. - Żadnych łez tym razem. Tylko powiedz mi.

- Ale ona nie chce ci powiedzieć - odezwał się Teddy. - Ona nie chce, żebyś wiedział, myślę jednak, że powinienesz.

Serena omal nie zerwała się z łóżka, wyciągnęła ręce, jak gdyby mogła go uciszyć. Powiedział jej coś oczami. Odruchowo krzyknęła, nieomal wrzasnęła.

- Nie!

- Ja mu powiem, Sereno - rzekł spokojnie. Rozpląkała się.

- Na litość boską, o co chodzi? - B.J. zdenerwował się tym ich małym melodramatem, a i bez tego zdenerwowany wrócił z pokoju Grega, który tak się upił poprzedniej nocy, że jeszcze teraz kamerdyner usiłował go otrzeźwić. - Co się, do cholery, dzieje?

Teddy stanął przed bratem.

- Matka nie chce, żeby Serena była na ślubie i weselu. - Serena wyglądała tak, jakby ją poddano wstrząsom elektrycznym, a jej mąż zareagował tak, jakby też był pod prądem.

- Matka... co? Zwariowałaś?

- Nie. Miała czelność powiedzieć Serenie, że to się od niej należy Pattie. Serena spotkała matkę w kuchni. No i matka doradziła jej chorobę dyplomatyczną.

- Czy to prawda? - B.J. spojrział na żonę z niekłamaną wściekłością. Gdy przytaknęła, podszedł do łóżka. Zobaczyła, że się trzęsie. - Dlaczego mi nie powiedziałaś?

- Nie chciałam, żebyś się rozgniewał na swoją matkę - odpowiedziała drżącym głosem, z wysiłkiem powstrzymując łzy.

- Nigdy już mi tego nie rób! Jeżeli ktoś kiedykolwiek jeszcze powie ci coś takiego, ja chcę o tym wiedzieć! Jasne?

Wyraźnie zdruzgotany, zastanawiał się przez długą chwilę. Potem powiedział bratu:

- Wyjdź stąd, Teddy. - I żonie: - A ty wstawaj z łóżka. Pal licha, w co się ubierzesz, ale masz być ubrana za dziesięć minut.

- Ale, Brad... nie mogę... twoja...

- Nic nie mów! - teraz już ryknął. - Jestem drużbą na ślubie mojego brata, a ty jesteś moją żoną. Czy to jasne? Czy rozumiesz to? Jesteś moją żoną, co znaczy, że bywasz wszędzie, gdzie ja bywam, i akceptują cię ci sami ludzie, którzy akceptują i kochają mnie, czy to przyjaciele, czy rodzina, czy moi współpracownicy. I jeśli ktoś ciebie nie akceptuje i nie okazuje ci uprzejmości, jaka ci się należy, ja zawsze chcę o tym wiedzieć. Natychmiast. A nie dzięki łaskawości usłużnego braciszka. Czy to jasne, Sereno?

- Tak - wyszeptała cicho.

- To dobrze. Bo chcę, żeby to było jasne dla ciebie i dla matki, i dla Pattie, i Grega, i dla każdego innego, kto jeszcze tego nie rozumie. Matce to wyjaśnię zaraz, a ty przez ten czas podnieś tyłek z łóżka i wbij się w to, co miałas włożyć na tę cholerną farsę ślubu. I nigdy mi już tego nie rób. Nigdy nie udawaj chorej, nigdy niczego nie ukrywaj przede mną. Zawsze mi mów. Jasne? - Skinęła głową. Podeszedł, wziął ją brutalnie w objęcia i pocałował. - Kocham cię tak szalenie, niech to diabli porwą. Nie chcę, żeby ktokolwiek sprawiał ci przykrości. Przysięgam kochać cię, szanować i chronić, dopóki będziemy żyli, więc przynajmniej umożliwiał mi to, mała. - Przyjrzała się, zarówno wzruszona, jak wstrząśnięta jego pełną zawziętości urazą do matki. - Sereno, czy wczoraj zdenerwowało cię coś właśnie takiego? - Patrzył jej w oczy, ale tylko potrząsnęła głową. - Na pewno nie?

- Na pewno, Brad. - Przecież nie mogła mu powiedzieć, że podpisała dokument nakłoniona przez jego matkę. Przecież by nie chciał znać swojej matki, gdyby się o tym dowiedział. Zbyt ciężkie byłoby poczucie takiej winy. Dostatecznie winna czuła się z powodu dzisiejszego incydentu.

B.J. szybko podeszedł do drzwi, odwrócił się i uśmiechnął.

- Kocham panią, pani Fullerton.

- Kocham pana, pułkownika. - Przesłała mu całusa, zanim wyszedł usiłując się zahartować przed czekającą go rozgrywką. Zastał matkę w buduarze. Już była w pięknej jedwabnej sukni beż zamówionej u Diora na ślub syna. Tam w Paryżu mieli jej wymiary, więc musiała tylko wybrać coś z naszkicowanych modeli i akceptować próbkę materiału. Już włożyła także kapelusz zaprojektowany dla niej z delikatnych piór dokładnie tego samego koloru beż. Rondo opadało nad jedno oko i było podniesione z tyłu, odsłaniając wytworny skręt jej białych gęstych włosów.

- Mamo, mogę wejść?

- Oczywiście, kochanie - Uśmiechnęła się do B.J. miło. - Dziś taki doniosły dzień. Widziałeś się już z bratem?

- Z jednym i drugim, owszem.

- Pytam o Grega. Jak on się czuje?

- Jest prawie nieprzytomny, mamó. Służba usiłuje go rozruszać. Bardzo wczoraj się upił. - B.J. chciał dodać: jak zwykle, ale nie dodał.

- Pattie doprowadzi go do porządku. - Matka aż parowała pewnością siebie, której po prostu nie mógł zdzierzyć.

- Być może. Ale skoro już mowa o Pattie, chciałbym z tobą coś wyjaśnić.

- Przepraszam, nie rozumiem. - Wyraźnie spłoszył ją swoim tonem, ale nie postarał się mówić łagodniej.

- Rzeczywiście, mamó, powinnaś mnie przeprosić czy raczej nie mnie, lecz Serenę. Chcę, żeby to było dla ciebie jasne raz na zawsze. Serena jest moją żoną, czy ci się ten fakt podoba czy nie. Powiedziałaś jej, o ile wiem, że jej obecność na ślubie Grega nie jest pożądana. To mnie zdumiewa i boli. Gdybyś chciała, żeby nas obojga tam nie było, w porządku, ale skoro chcesz, żebym ja był, powinnaś wiedzieć, że będę z Sereną. - Mówiąc dalej, miał łzy w oczach. Łzy gniewu, furii i rozczarowania. - Kocham ją całym sercem, mamó. To cudowna dziewczyna i za kilka miesięcy będziemy mieli dziecko. Nie mogę cię zmusić, żebyś ją aprobowała. Ale nie pozwolę robić jej przykrości. Nigdy już niech się to nie powtórzy. Z wahaniem matka ruszyła ku niemu.

- Żałuję, Brad, ja... ja... źle zrozumiałam... Niestety to wszystko jest zbyt ciężkie i dla mnie też. Nie spodziewałam się, że ożenisz się z... z inną. Myślałam, że wybierzesz sobie żonę tutaj, pannę z naszej sfery.

- Ale nie wybrałem. I niesprawiedliwie jest karać Serenę za to.

- Powiedz mi. - Matka popatrzyła na niego z zainteresowaniem. - Ona ci to sama mówiła?

- Nie. Widzisz, Serena za bardzo mnie kocha, żeby stanąć pomiędzy tobą i mną. Zwierzyła się Teddy'emu i on mi powtórzył.

- Rozumiem. I nie mówiła niczego więcej? Spojrzał na matkę dziwnie.

- A jest coś więcej? - Czyżby matka jeszcze coś zrobiła? Czy miał rację, niepokojąc się o Serenę tak wyraźnie rozstrojoną wczoraj? - Jeszcze coś powinienem wiedzieć?

- Nie, nic, ależ skąd. - Margaret Fullerton odetchnęła z ulgą. Postanowiła oświadczenia podpisanego przez Serenę nie pokazywać teraz nikomu. Miała je w swoim sejfie. Nadal nie wątpiła, że Serena chce pieniędzy Brada, więc za parę lat, gdy go porzuci i będzie próbowała doić, ona, jego matka go uratuje tym właśnie oświadczeniem, jakże przezornie od Sereny wymuszonym. Kiedyś syn będzie jej dziękował.

B.J. miał coś jeszcze do powiedzenia.

- Myślę, że w tych okolicznościach najlepiej, żebyśmy wyjechali już dzisiaj, po tej

uroczystości. Postaram się załatwić przedział w pociągu nocnym do Chicago, a jeśli się nie da, przenocujemy w hotelu i wyjedziemy jutro rano.

- Nie możesz tego zrobić. - Oczy jej nagle zapalały.

- Dlaczego nie mogę?

- Dlatego że chcę cię mieć tutaj. Nie byłeś w domu przez te lata ani razu przyzwoicie długo.

- Powinnaś była, mamó, pomyśleć o tym, zanim wypowiedziałaś Serenie wojnę. Matka miała w oczach gniew, okrucieństwo i zawziętość.

- Jesteś moim synem, więc mnie usłuchasz. B.J. odpowiedział głosem dziwnie spokojnym:

- Niestety, mylisz się. Jestem dorosły, mam żonę, rodzinę, którą sam założyłem. Nie jestem twoją marionetką. Ojciec może jest i mój biedny słaby brat także, ale ja nie. Nigdy, mamó, o tym nie zapominaj.

- Jak możesz mówić do mnie w ten sposób? Jak śmiesz! B.J. ostrożnie podszedł o krok w jej stronę.

- Mamó, nie wtrącaj się do mojego życia, bo pożałujesz!

- Brad!

Nic więcej nie mówiąc odwrócił się i wyszedł z pokoju. Trzasnął za sobą drzwiami.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

Dostojnie poprowadził Serenę szwagier Teddy na jej miejsce w kościele Świętego Jakuba na Madison Avenue w Nowym Jorku punkt za dziesięć jedenasta. W kościele było pełno wyniosłych drzewek obsypanych białym kwieciem i wonnych girland z białych frezji, róż, lilii i maleńkich korzennych goździków w mgiełkach dekoracyjnych kwitnących trawek. Między drzewkami wisiały białe satynowe wstęgi, środkowe przejście pokrywał długi chodnik z białego ałtasu. Ale nastrój w kościele panował raczej poważny niż świąteczny. Z obu stron przejścia siedzieli mężczyźni w ciemnych garniturach albo w żakietach i sztuczkowych spodniach i strojne kobiety w sukniach różnokolorowych, nierzadko w kapeluszach przybranych kwiatami - starzy i młodzi. Cicho z początku zabrzmiały organy. Serena usiadła na wyznaczonym miejscu i przez chwilę była w tej ławce sama, zanim przyłączyły się do niej dwie imponujące matrony. Jedna z nich, w wymyślnej sukni z krey ciemnofioletowej ozdobionej ametystową broszą i powrozem ogromnych pereł, miała lorgnon, przez które często zerkała na Serenę. Druga dama, w spokojnym szarym jedwabnym kostiumie, wyglądałaby nobliwiej, gdyby nie iskrzyło się na niej zbyt wiele bardzo dużych brylantów. Tu i ówdzie Serena widziała twarze znane jej z kolacji przedślubnej i często przyłapywała się na tym, że spogląda w stronę Teddy'ego, jak gdyby jego widok dodawał jej otuchy. Znała go zaledwie od paru dni, a przecież już myślała o nim jak o kimś kochanym, na kim można polegać. Zajęty lokowaniem gości, raz przechodząc zatrzymał się przy niej i uściskał lekko jej ramię.

Za minutę jedenasta ogromne drzwi frontowe kościoła się zamknęły, organy rozbrzmiały głośniejsze, a wszyscy zebrani ucichli i nawet szept żaden nie przeleciał, gdy jak na czarodziejskie zaklęcie wkroczyli drużbowie i drużny uroczystym pochodem żakietów i sztuczkowych spodni, organdyńowych krynolin koloru bladobrzoskwiniowego. W tych sukniach i kapeluszach z dużym rondem, zdobnych w pióra i kwiaty, drużny wyglądały tak ślicznie, że Serena patrzyła wprost urzeczona. Te suto bufiaste wiktoriańskie rękawy, skromne dekolciki, cienkie talie, te małe treny przy szerokich spódnicach. Każda z nich niosła bukiet różyczek też bladobrzoskowych, a za ostatnią ukazała się dziewczynka w miniaturowej wersji tejsze krynoliny, tyle że z bufkami znacznie węższymi i bez trenu, o który mogłaby się potknąć. Niosła srebrny koszyk pełen płatków różanych i twarzączkę miała anielską, chociaż nie przestawała chichotać patrząc na swojego braciszka. Ten chłopczyk w krótkim ubranku z czarnego aksamitu, uroczyscie niósł aksamitną poduszkę, na której leżały dwie obrączki. Serena uśmiechnęła się do dzieci i oczy jej zwilgotniały. Potem odwróciła się, by zobaczyć, kto idzie za nimi. Nieomal się zachłysnęła. Ujrzała królową z bajki w

koronkowej sukni, jakiej nigdy dotąd nie widziała, sukni najwyraźniej z innych czasów odziedziczonej. Zaszemrało od szeptów i cichych okrzyków w całym kościele, gdy Pattie stanęła tam w sukni ślubnej swojej prababki. Była to suknia z długimi rękawami, wcale nie wycięta pod szyją, kreacja sprzed stu z górą lat. Uzupełniał ją krótki naszyjnik ze znakomitych brylantów, mały taki sam diadem, kolczyki z brylantami i perłami oraz obłok welonu ciągnącego się za Pattie, zdawałoby się, nieskończenie, przysłaniającego jej tren i większą część środkowego przejścia, gdy kroczyła po królewsku, trzymając ojca pod ramię. Olśniewająco piękna brunetka w bieli. Serena zapatrzyła się na nią absolutnie pewna, że to jest najpiękniejsza panna młoda, jaką potrafiłaby sobie wyobrazić. Nawet przez sekundę nie dałoby się skojarzyć takiej piękności z tym wszystkim, co B.J. opowiadał o Pattie. To przecież nie ta sama dziewczyna - zdumiewała się Serena. To jest bogini, królewna. To przecież ona wygląda na principesę. I nagle z ciężkim sercem pomyślała, że Pattie mogła być zostać żoną Brada. On byłby drużbą na Grega weselu już ożeniony z olśniewającą ciemnowłosą piękną z jego świata. I wtedy nie byłoby żadnych sporów, gniewów, problemów między nim i jego matką. Na tę myśl ogarnęło ją straszliwe poczucie winy: spowodowała rozłam w życiu B.J. Znowu popatrzyła na ołtarz. Greg stał sztywno przy swojej pannie młodej. Za nim stał Brad z główną drużyną i patrząc na nią, dystygowaną dziewczynę, której rude włosy widoczne spod wielkiego kapelusza ładnie kontrastowały z bladą brzoskwiniową różowością sukni, zastanowiła się, czy Brad nie żałuje tego, co utracił wskutek swego ożenku. Mógł przecież mieć tę rudą albo którąś z tych ładnych blondynek o jasnych z lekka piegowatych amerykańskich twarzach. Mógł wejść do rodziny, której nazwisko coś wszystkim mówi, której ciotki, wujowie, babki i ojcowie są ogólnie znani. Mógł prowadzić takie życie, jakiego chciała dla niego matka, założyć rodzinę nietykalną. A tymczasem ożenił się z jakąś zupełnie temu światu obcą i stanie się wyrzutkiem. Łzy wezbrały w jej oczach, wolno spłynęły na policzki. Czuliła żal niezmierną. Tak skrzywdziłam Brada. Boże, co będzie, jeżeli ostatecznie on mnie za to znieawidzi?

Siedziała, poważna do końca ślubu, po czym patrzyła, jak orszak ślubny dostojnie przechodzi przez kościół do drzwi. Gdy to się skończyło, ruszyła jak każdy spośród gości wzdłuż szeregu gospodarzy przyjęcia weselnego, podając rękę co najmniej dwom dziesiątkom druhen i drużbów, aż nagle doszła do Teddy'ego, który chwycił ją za ramię.

- Co ty tu robisz, niemądra?

- Nie wiem. - Nagle się zakłopotowała. Czy popełniła coś niewłaściwego? Zrobiło jej się głupio. Teddy z uśmiechem objął ją ramieniem.

- Ty nie musisz być taka ceremonialna. Chcesz stanąć tu z nami? Ale ona wiedziała, że teściowa niewątpliwie dostałaby ataku.

- Poczekam na zewnątrz.

W tym samym momencie zobaczyła ją Pattie i utkwiała w niej gniewne oczy.

- To jest mój ślub, Sereno, nie twój, czy może zapomniałaś?

Czerwieniąc się po korzonki włosów, Serena wyjąkała coś i zaczęła się wycofywać, Teddy szybko ją zatrzymał. Chętnie by trzepnął Pattie po twarzy za tę bezczelność.

- Nie możesz raz wyjątkowo zamknąć swojej cholernej buziuchny, Pattie? Jeżeli się nie pohamujesz, będziesz wyglądać jak sekutnica, nawet w tej sukni -powiedział.

Obejmując Serenę ramieniem, wyszedł z szeregu i gestem wywołał Brada. Margaret patrzyła oczami jak sztylety. Pattie zbladła, ale dostrzegąło to tylko parę osób i już po chwili znaleźli się bezpiecznie przed kościołem.

- No, przynajmniej mam ciebie jako rekompensatę.

- Hmm? - Serena była jeszcze zdenerwowana i niepewna, gdy stali w blasku słońca.

- Jedna bratowa wredna, jedna cudowna.

Serena wbrew sobie parsknęła śmiechem i zobaczyła, że już idzie do nich B.J.

- Coś tam się stało? - zapytał szybko.

Potrząsnęła głową, ale Teddy surowo pogroził jej palcem.

- Nie okłamuj go, niech cię licho. - Uśmiechnął się do B.J. - Nasza świeżo upieczona bratowa po prostu jest sobą.

- Była dla Sereny niegrzeczna? - W głosie B.J. już tlił się gniew.

- Oczywiście. Grzeczna to ona jest tylko dla tych, na których chce zrobić dobre wrażenie. Boże, nie wiem, jak Greg z nią wytrzyma. - Ale obaj, Teddy i B.J., wiedzieli jak. Najprawdopodobniej Greg już do końca życia będzie się upijał. Dzisiaj rano jeszcze pijany powiedział swojemu druzbie, że żeni się z nią, bo była narzeczoną Brada, a wszyscy wiedzą, że B.J. jest wspaniały w łóżku, więc ona też musi być wspaniała. W jednej szalonej chwili B.J. usiłował wyperswadować Gregowi ten ożenek, ale Greg bał się rozmyślić na parę godzin przed ślubem. Przez cały poranek w kościele B.J. pamiętał pytanie Sereny „czy będziesz tym, kto wstanie i sprzeciwi się ich małżeństwu?”

W kilka minut później całe towarzystwo weselne odjechało limuzynami do La Plaža, gdzie zarezerwowano wielką Salę Balową. Tutaj znów było mnóstwo kwiatów. Orkiestra zaczęła grać, gdy tylko przybyli.

Serena jeszcze raz dostała miejsce przy stole wśród nieznanym, daleko od męża i szwagra, i wydawało się, że minęły wieki, zanim B.J. ją odnalazł. Zobaczył, że jest zmęczona grzeczną rozmową o niczym i trochę oszołomiona gwarem tłumu wokoło.

- Wszystko w porządku, najdroższa? - I gdy uśmiechnęła się w odpowiedzi, zapytał: - Jak się ma moja córka?

- Twój syn ma się doskonale.

Zachichotali oboje i poprowadził ją na parkiet do angielskiego walca. Siedząc przy stole państwa młodych, Teddy patrzył, jak tańczą. Rzeczywiście dobrana para, ten wysoki przystojny blondyn i pełna wdzięku złotowłosa kobieta w jego ramionach. Uśmiechali się do siebie, aż mogłoby się wydawać, że blask tych uśmiechów opromienia salę, tacy szczęśliwi, jakby to oni zostali dzisiaj sobie poślubieni, a nie ta mała brunetka w napięciu nerwowym pijąca za dużo, mówiąca za głośno, i nie ten oblubieniec zagapiony przed siebie. Greg bez żadnej iskierki w tępych, zmatowiałych oczach właśnie dopił swoją szkocką z lodem i skinął na kelnera, żeby podał następną.

Wkrótce potem B.J. i Serena podeszli do Teddy'ego. B. J. pochylił się i szepnął bratu, że wychodzą.

- Już?

B.J. przytaknął.

- Jedziemy nocnym pociągiem. Chcę, żeby Serena trochę przedtem wypoczęła. Musimy spakować rzeczy... - Zająknął się. Teddy parsknął śmiechem. Może B.J. chce, żeby Serena wypoczęła, może muszą się pakować, ale widać, że B.J. śpieszy się do czegoś jeszcze. Gdyby byli sami, Teddy zacząłby mu dokuczać. - Do widzenia w San Francisco, smyku. Dokładnie kiedy przyjedziesz?

- Z Nowego Jorku wyjadę dwudziestego dziewiątego sierpnia, więc powinienem być w San Francisco pierwszego września.

- Podaj nam szczegóły listownie, to przyjedziemy po ciebie. - B.J. długo trzymał rękę na ramieniu brata i patrzył mu w oczy. - Dziękuję ci za wszystko. Za to że zadbałeś, by Serena czuła się mile widziana.

- Przecież jest mile widziana. - Teddy spojrzał na swoją nową siostrę. -Zobaczymy się na Zachodzie, Sereno. - Uśmiechnął się od ucha do ucha. -Będziesz wtedy gruba jak wieloryb. - Zachichotali wszyscy troje.

- Nie będę! - Spróbowała udać obrażoną, ale jej to nie wyszło. Zarzuciła Teddy'emu ręce na szyję i ucałowała go w oba policzki. - Zatęsknię do ciebie, braciszku.

- Dbaj o niego, a ty o nią.

Bracia uścisnęli sobie ręce, Teddy jeszcze raz pocałował bratową, po czym Serena pożegnała się grzecznie z panną młodą i swymi teściami i pogratulowała bełkoczącemu prawie niezrozumiale panu młodemu. Wyszli, B.J. i ona. Cóż za ulga mieć ten ślub, to wesele już za sobą. Na ulicy B.J. zdjął krawat i wrzucił go razem z rękawiczkami do cylindra. Skinieniem przywołał dwukołową dorożkę i podał dorożkarzowi adres na Fifth Avenue.

Serena była uszczęśliwiona, gdy przy akompaniamencie klip-klap końskich kopyt wjechali do parku i mąż objął ją ramieniem. Dzień był słoneczny, upalny, lato się zaczęło i wieczorem mieli być już w drodze do swego nowego życia w Kalifornii.

- Szczęśliwa jesteś, kochanie? - B.J. patrzył na żonę zadowolony, że wreszcie jest z nią sam.

Podniosła głowę, pocałowała go.

- Czy mogłabym nie być szczęśliwa przy tobie?

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

Wyszli z mieszkania przed powrotem rodziny. W głównym hallu B.J. zatrzymał się i rozejrzał z żalem, prawie smutkiem.

- Wrócisz tu - powiedziała Serena cicho przypominając sobie, jak się czuła, gdy wyjeżdżała z Rzymu.

Ale B.J., przenosząc wzrok na nią, potrząsnął głową.

- Nie o tym myślałem. Przykro mi, bo bardzo chciałem, żeby tu było ci miło. Chciałem, żebyś w Nowym Jorku cudownie spędziła czas... Chciałem, żeby oni odnosili się do ciebie cudownie. - W oczach błyszczały mu łzy.

Pocałowała go w rękę.

- Non importo. To nie ma znaczenia.

- Owszem, ma. Dla mnie.

- Żyjemy naszym własnym życiem, Brad. Wkrótce będziemy mieli dziecko. Mamy siebie nawzajem. Inne sprawy też są ważne, ale nie tak bardzo.

- Dla mnie bardzo. Zaslługujesz na to, by wszyscy okazywali ci serce.

- Ty mi okazujesz serce. Niczego więcej nie potrzebuję. - Uśmiechnęła się na myśl o Teddym. -i twój brat.

- On chyba jest w tobie po uszy zakochany. - B.J. uśmiechnął się do żony. -Ale nie potępiam go. Bo ja także.

- Obaj chyba jesteście niemądrzy. - Westchnęła myśląc o szwagrze. - Przypuszczam, że znajdzie w Stanford jakąś miłą dziewczynę. Tyle ma do ofiarowania.

B.J. milczał przez chwilę. Wiedział, ile zawdzięcza Teddy'emu. Potem zapytał:

- Gotowa?

Przytaknęła. Wyszli i zamknął drzwi. Na dole już czekała taksówka. Bagaże były na przednim siedzeniu i w bagażniku. Mniejsze torby poutykali przy sobie.

Do Dworca Grand Central dojechali szybko. Wyszli, znaleźli bagażowego i lawirując przeszli w tłoku przez halę dworcową. Serena rozglądała się urzeczona. Zastępy ludzi przeciągały z szuraniem wokoło w tej niebotycznie wysokiej hali. Wszędzie były reklamy, plakaty, tablice ogłoszeniowe i zawiadomienia. Jak mała dziewczynka dreptała u boku męża zadziwiona, aż musiał ją nieomal przegonić krzykiem z głównej poczekalni na peron, przy którym stał ich pociąg.

- Ale tu jest cudownie, Brad.

Uśmiechnął się widząc jej zachwyty i zapłacił bagażowemu za wniesienie walizek do

pociągu.

- Rad jestem, że tu ci się podoba.

W pociągu podobało jej się jeszcze bardziej. Takich luksusów nie widziała w powojennych pociągach europejskich. We Włoszech i Francji wszystko jeszcze było prawie w takim stanie, w jakim to pozostawiły wojska okupacyjne. Tutaj wszędzie mahoń i usłużny personel w białych kurtkach i sztywnych czapkach eskortujący ich do maleńkiego, ale nieskazitelnego przedziału. W przedziale pluszowa kanapa, niepokalane płótna, grube dywaniki, obok maleńka łazienka. Zdaniem Sereny, doskonały apartament na podróż poślubną. Perspektywa spędzenia z Bradem trzech dni w takim wnętrzu zachwycała ją i radowała. Zamierzali po dwóch dniach podróży wysiąść w Denver, stamtąd wynajętym samochodem pojechać do Aspen, następnie wrócić do Denver i dokończyć podróż do San Francisco. B.J. usłuchał rady Teddy'ego. Oboje cieszyli się z wypadu do Aspen, ale z braku bezpośredniego połączenia kolejowego z Denver czekała ich przedtem przesiadka w Chicago, gdzie musieli się zatrzymać na cały dzień.

W pół godziny od chwili, gdy wsiedli, pociąg powoli wyjechał z dworca i śmignął przez Nowy Jork. Serena patrzyła na znikające jej sprzed oczu miasto. B.J. siedząc przy niej milczał.

- Nic nie mówisz. Coś cię martwi? - Spojrzała na niego pytająco.

- Tak tylko rozmyślam.

- O czym?

- O matce.

Przez chwilę Serena nic nie powiedziała. Potem wolno podniosła wzrok na męża.

- Może z czasem ona mnie zaakceptuje. - Ale zdawała sobie sprawę, że teściowa nigdy jej nie polubi. Nigdy jej nie okaże zaufania, zrozumienia, współczucia ani bodaj lekkiego zainteresowania. Będzie tylko zawziętość, niechęć, nienawiść. Przecież pani Fullerton usiłowała ją odprawić przekupstwem. Chciała nawet śmierci swego nie narodzonego wnuka. Co za kobieta z tej Margaret Fullerton?

- Martwię się, że była taka niesprawiedliwa. - A B.J. przecież nie wie wszystkiego.

- To silniejsze od niej. - Serena, myśląc o teściowej, powróciła też myślą do ślubu. Przecież mógł to być ślub Brada i teraz Pattie siedziałyby z nim w tym pociągu. Poczula zimny dreszcz, sięgnęła po rękę męża i trzymała ją mocno.

- Ale nieważne, kochanie. Mamy już własne życie. I na pewno pokochasz San Francisco.

Zanim jednak Serena pokochała San Francisco, do serca jej przypadło Denver i jeszcze bardziej Aspen. Zatrzymali się w Aspen w jedynym tam hotelu cudacznie wiktoriańskim, z wysokimi stropami, z koronkowymi firankami. Łąki były kolorowe od polnych kwiatów, szczyty gór jeszcze białe od śniegu. Serenie wydawało się, że jest w Alpach, gdy wyglądała co dzień rano

przez okno i gdy chodzili na długie spacery brzegiem potoków górskich, i gdy leżeli na trawie w blasku słońca opowiadając sobie o swoich latach dziecięcych, dzieląc się nadziejami na przyszłość swoich dzieci.

Prawie dwa tygodnie spędzili w Aspen i ustalonego dnia żał im było wracać do Denver i do pociągu. Ale w myśl planu znaleźli się w pociągu jadącym z Chicago na zachód, tym razem mając przed sobą tylko jeden dzień podróży, i wkrótce Góry Skaliste zostały za nimi. Nazajutrz rano zobaczyli rozległą równinę i wzgórze w dali, i trochę później Serena z zachwytem dostrzegła przebłęski zatoki. Dworzec był w szczególnie brzydkiej części San Francisco, ale gdy taksówką jechali na północ do śródmieścia, okazało się to urocze miasto. Z prawej strony lśniła gładka zatoka, upstrzona jachtami, obramowana pasmem wzgórz. Wokoło były strome zbocza, a na nich wiktoriańskie domy, maleńkie pastelowe domki i okazałe rezydencje z czerwonej cegły, były też wille śródziemnomorskie ze sztukateriami i piękne angielskie ogrody. To miasto wyraźnie łączyło w sobie uroki wielu krajów i kultur pod niebem niebieskim i białymi obłokami zupełnie jak na obrazku. Podjeżdżając do Presidio, widzieli słynny most Golden Gate wiodący majestatycznie do hrabstwa Marin.

- Och, Brad, to takie śliczne!

- Prawda? - B.J. był zadowolony i wzruszony. Przejechali we dwoje pół świata i teraz tu będzie ich pierwszy prawdziwy dom. San Francisco. Ich pierwsze dziecko tu się urodzi i może następne. Spojrzał na Serenę, zapatrzoną w zatokę i most, pochylił się i delikatnie ją pocałował.

- Witaj w domu, kochanie. - Uśmiechnęła się czule, potakując. Odczuwała to samo co on.

Taksówka przejechała przez Presidio Avenue Gate na Pacific Heights i stromą krętą ulicą zaczęła zjeżdżać w dół. Po chwili zatrzymała się przed Kwaterą Główną. B.J. wyskoczył, włożył czapkę, elegancko zaszalutował żonie. Przyjechał w mundurze, bo od razu miał się zameldować do pełnienia swoich obowiązków. Teraz z czapką pod pachą wszedł do głównego budynku, a Serena czekając rozglądała się wokoło. Przeważał chyba wpływ architektury hiszpańskiej, widok zatoki i mostu był wspaniały, niektóre z domów w Bazie prezentowały się bardzo okazale.

Ku jej zdumieniu B.J. wrócił do taksówki bardzo szybko. Uśmiechał się i niósł komplet kluczy, którymi machał do niej. Podał kierowcy adres i pojechali z powrotem pod górę, tym razem przez las na wzniesienie zdające się unosić nad całą okolicą. Stały tam blisko siebie cztery duże, masywne domy w tym samym stylu hiszpańskim. B.J. wskazał jeden z nich na końcu tej kępy.

- Dla nas? - zapytała Serena oszołomiona. To był przepyszny dom.

- Tak, proszę pani. - Zrobiła na niej wrażenie aż taka dbałość armii o pułkowników, ale B.J. tylko uśmiechał się do niej, otwierając drzwi i przenosząc ją przez próg. - Podoba ci się?

- Jest uroczy!

Potem chodzili po domu. Ktoś przezornie przygotował ręczniki i pościel. Musieli jeszcze kupić meble, ale sam ten dom był rzeczywiście uroczy. Wielką w stylu hiszpańskim kuchnię niedawno ozdobiono białymi i niebieskimi kaflami na sposób meksykański. W sufit wbito haki do rozwieszania roślin w doniczkach. Za ogromnymi oknami rozciągał się widok na zatokę, jedne z drzwi prowadziły do ogrodu. W reprezentacyjnej, okazałej jadalni ze sklepionym stropem i niedużym żyrandolem był kominek. W saloniku również od strony zatoki był kominek jeszcze większy. Na górze mieściły się bardzo miłe sypialnie i przytulny gabinet z boazerią i ze wszystkich tych okien widać było morze.

Dom idealny dla nich, dla dziecka, nawet dla Teddy'ego, który mógłby tu mieć swój pokój. Serena nie zwlekała, żeby to powiedzieć, a B.J. miał taki wyraz twarzy, jakby nigdy w życiu nie czuł się szczęśliwszy.

- Nie jest to twój palazzo, kochanie, ale to ładny dom.

- Lepszy niż mój palazzo - uśmiechnęła się - bo naprawdę nasz. - Przynajmniej na czas jego służby w San Francisco. Być może na długie lata. Presidio uważa się w armii amerykańskiej za placówkę doborową.

Spali na łóżkach polowych, które im dostarczono na tę pierwszą noc, i nazajutrz pojechali do śródmieścia i kupili najpotrzebniejsze meble: duże podwójne łóżko dla nich obojga, dwie francuskie szafki nocne, wiktoriańską toaletkę dla Sereny, piękny kredens, krzesła, stoliki, materiał na zasłony, dywan i mnóstwo rzeczy do kuchni. Od tego zaczęli małżeńskie życie w oczekiwaniu swojego dziecka.

Pod koniec sierpnia dom wyglądał tak, jakby mieszkali w nim od lat. Atmosfera serdecznego powitania i ciepła zachwycała B.J. za każdym razem, gdy po pracy wracał do domu.

Kolory wybrane przez Serenę zawsze działały uspokajająco, umilały wypoczynek. W saloniku współgrały jasny brąz drewna, przygaszona czerwień i rozbielony kolor malinowy. Ściany zdobił szereg ładnych angielskich sztychów, na wszystkich stolikach zawsze stały kwiaty, a zasłony były z pięknego francuskiego żakardu. Jadalnię Serena urządziła w kolorze kości słoniowej i przystroiła storczykami w donicach uzupełniając nimi widok morza kwiatów, które hodowała w ogrodzie. Sypialnię mieli błękitną jak zatoka - mówiła Bradowi. Pokój Teddy'ego, jak nazwała bez namysłu pokój gościnny, był utrzymany w tonach ciepłobrazowych, a pokój dziecka wesołych jasnożółtych. Ciężko pracowała przez całe lato, żeby wszystko przygotować, aż w dniu przyjazdu Teddy'ego wyjeżdżając z Bradem po niego na dworzec, uznała, że może być dumna ze swego dzieła.

- Zapomniałaś czegoś? - zapytał B.J. od drzwi, gdy rozkołysana ruszyła przez hall. Była w piątym miesiącu ciąży i bardzo lubił patrzeć na jej kształty, gdy leżała przy nim w łóżku albo gdy

wychodziła spod prysznica rano. Wydawała mu się dojrzała i cudowna, tak zgrabna jak przedtem, pomimo że dziecko swym ciężarem rozpychało jej brzuch. Szalenie lubił dotykać jej brzucha, czuć pod palcami, jak dziecko kopie, i teraz też uśmiechnął się, pogłaskał ją delikatnie, gdy podeszła.

- Jak tam nasza mała przyjaciółeczka?

- Nasz mały przyjaciel jest ruchliwy. - Obciągnęła wiatrówkę w kratę na swej granatowej spódnicy i uśmiechnęła się do męża. - Wierzgał przez cały poranek.

B.J. się zatroskał.

- Może przesadziłaś z tymi przygotowaniami dla Teddy'ego?

- Ależ nie. - Zamykając drzwi spojrzała przez ramię. - Ładnie jest w domu, prawda?

- Nie. Jest przepięknie. Wspaniale się spisałaś, kochanie.

Zarumieniła się zadowolona. Jak na dziewczynę dwudziestoletnią przeszła już długą drogę i dokonała wielu rzeczy. Nieraz B.J. musiał sobie przypominać, jaka jest młoda. On właśnie ukończył trzydzieści pięć lat w lipcu.

- Cieszę się, że Teddy przyjeżdża.

- Ja też. - Włączył silnik ich ciemnoniebieskiego forda i spojrzał na zegarek. Wydawało mu się, że sami przyjechali do San Francisco zaledwie przed kilkoma dniami, a gdy na peronie zobaczył Teddy'ego wysiadającego z pociągu, poczuł się tak, jakby dopiero co wyjechał z Sereną z Nowego Jorku.

Bracia podali sobie ręce i jeden drugiego poklepał po ramieniu. Serena rzuciła się szwagrowi w objęcia, mocno się uściskali, po czym Teddy ze śmiechem cofnął się i pogłaskał ją po wypukłym brzuchu.

- Skąd masz taką wielką plażową piłkę, Sereno? Zrobiła skromną minę.

- Dostałam od Brada w prezencie.

Wszyscy troje roześmieli się i ruszyli do samochodu. Teddy miał tylko torbę. Resztę rzeczy wysłał prosto do Stanford kilka tygodni wcześniej.

- Jak wam się tu podoba? - zapytał.

- Ogromnie. Ale poczekaj, aż zobaczysz, co Serena zrobiła z naszego domu. -B.J. z dumą popatrzył na żonę. - Wtedy zrozumiesz, dlaczego nam się tu ogromnie podoba.

Istotnie Teddy, ledwie przekroczył ich próg, zrozumiał. Serena nadała temu domowi nastrój dobrego samopoczucia udzielający się chyba każdemu, kto wszedł. Człowiek chciałby się rozłożyć na kanapie, spokojnie milcząc patrzeć na zatokę i w ogóle stąd nie wychodzić.

- Sereno, zrobiłaś to pięknie. - Zadowolona, zerwała się, żeby mu podać herbatę, kanapki i ciasteczka. - I proszę cię, siedź! - poszedł za nią, ale wygoniła go z powrotem do saloniku, do brata, który patrzył na nich jak na dwoje dzieci uradowanych, że mogą znów się ze sobą bawić.

- Jak się miewa Greg? - zapytał B.J. po chwili.

- Mniej więcej tak samo.

- Co to znaczy?

Teddy zawahał się i z krótkim westchnieniem wzruszył ramionami.

- Będę z tobą szczerzy. Nie sądzę, żeby był z Pattie szczęśliwy. Pije jeszcze więcej niż przed ślubem.

- Więcej już chyba by nie mógł - B.J. się zaniepokoił.

- No, z pewnością stara się jak diabli. Nie wiem. - Patrząc na brata, Teddy przeczesał włosy palcami. - Myślę, że ona wciąż go do czegoś popycha, wciąż chce, żeby robił nie to, co robi. Chce mieć większy dom, lepsze życie, chce, żeby miał wyższe stanowisko.

- Wszystko w ciągu trzech miesięcy?

- Szybciej, jeśli to możliwe. Przez dwa miesiące narzekała na ich podróż poślubną. Myślała, że pojedą do Europy, a on wziął ją do Newport, co jej zdaniem żadną podróżą poślubną nie jest. Dom, który wynajął dla niej na lato, nie jest tak luksusowy jak dom wynajęty przez męża jej siostry i tak dalej, i tak dalej.

- Nic dziwnego, że Greg pije - zauważył B.J. przerażony.

- Myślisz, że będzie w tym trwał?

- Prawdopodobnie. Chyba nawet nie widzi wyjścia.

Z pewnością nikt z Fullertonów nigdy sienie rozwiódł, ale zważywszy na relacje Teddy'ego, B.J. doradzałby Gregowi rozwód. Dobrze się stało, że nie wpadł w pułapkę Pattie. Tragedia jednak, że wpadł Greg.

Ale najdziwniejsze było to, że dowiadywał się o tym wszystkim tak pośrednio od najmłodszego brata. Gdy przebywał daleko w Europie, cała rodzina starała się utrzymywać z nim łączność. Pisali do niego tak często, jak tylko mogli, zwłaszcza matka. A teraz, odkąd jest z Sereną w Kalifornii, zupełnie co innego. Greg nie pisuje już wcale, bo czuje się, być może, wobec niego nieswojo z powodu nagłego poślubienia Pattie, czy też może, sądząc z tego co mówi Teddy, jest rozpaczliwie nieszczęśliwy. Od ojca dostał tylko jeden list, a od matki żadnego. Z początku telefonował do niej kilka razy, ale głos miała tak zimny, wyrażała się o Serenie tak uszczypliwie, że zaniechał tych telefonów. Matka nie telefonowała nigdy. Chociaż nie chciał tego przyznać, brakowało mu wiadomości od rodziny. To bardzo przykre, że zostali, on i Serena, wyrzuceni poza nawias jego dawnego życia.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

Teddy spodziewał się, że studia w Stanford wypełnią mu każdą chwilę, ale okazało się, że pierwszy semestr nie jest taki straszny. I chociaż miał wielką stertę koniecznej lektury, udawało mu się przyjeżdżać do miasta, odwiedzać brata i bratową, zwłaszcza pod koniec ciąży Sereny. Już powiedział bratu, że chce być pod ręką, gdy nadejdzie czas rozwiązania. B.J. obiecał zatelefonować po niego i obaj ustalili, że Teddy postara się natychmiast przyjechać pociągiem i towarzyszyć B.J. w poczekalniach, dopóki dziecko nie przyjdzie na świat.

W trzeci weekend grudnia Teddy spędzał ferie u nich. W myśl przewidywań poród miał nastąpić za cztery dni. B.J. wyjechał na manewry w San Leandro, Teddy w swoim pokoju uczył się do egzaminów, a Serena w pokoju dzieciennym składała maleńkie białe koszulki, sprawdzała wszystko po raz czterysta pierwszy, jak wypominał jej Teddy. Właśnie chowała te koszulki z powrotem do szuflady, gdy nagle usłyszała dziwny odgłos, nieomal pafff! - i poczuła ciepło wody potokiem spływającej jej po nogach na połyskliwą drewnianą podłogę. Stała przez moment przerażona, po czym weszła do dziecinniej łazienki po ręczniki, żeby ten płyn nie plamił podłogi. Doznawała dziwnego wrażenia, jakby skurczów w plecach i w dole brzucha. Wiedziała, że powinna wezwać doktora, ale przedtem chciała się zająć podłogą. Doktor już jej mówił, że trzeba go wezwać, gdy tylko zaczną się bóle albo odejdą wody, ale też wiedziała, że po tych oznakach to będzie trwało jeszcze parę godzin. Nawet się nie martwiła, że B.J. jest w San Leandro. Wróci przecież na kolację, a i tak nic by nie mógł zrobić poza odwiezieniem jej do szpitala. I ponieważ nie pozwolono by mu być przy niej w czasie porodu, przynajmniej częściowo będzie mu oszczędzone nerwowe spacerowanie z Teddym po szpitalnym korytarzu. Nie ma powodu, żeby to nie Teddy odwiózł ją do szpitala i wrócił tam później z B.J.

Ogarnęło ją wielkie podniecenie, gdy zdała sobie sprawę, że jej czas nadszedł i już za kilka godzin będzie trzymała w objęciach swoje dziecko. Roześmiała się do siebie, klęcząc z ręcznikami na podłodze, ale śmiech uwiązał jej w krtani i musiała przytrzymać się komody. Chwytał ją taki skurcz, że prawie straciła oddech. Minęło to dopiero po długim, nieskończonym, jak jej się wydawało, czasie i czoło miała wilgotne od potu. Stanowczo już trzeba doktora - pomyślała, trochę zaskoczona odkryciem, że pierwszy skurcz może być taki bolesny. Nikt jej nie uprzedził, że to zacznie się tak gwałtownie. W istocie, doktor powiedział, że z początku prawdopodobnie nie będzie wiedziała, co to są za bóle. Ale ten pierwszy skurcz nie pozostawiał żadnych wątpliwości, tak samo jak następny, który sprawił, że z mokrymi ręcznikami w połowie drogi powrotnej do łazienki padła na kolana. Raptem poczuła parcie tak ostre, tak mocne, że osunęła się na czworaki.

Trzymając się za brzuch, jęczała z bólu i ze strachu. Teddy w swoim pokoju usłyszał dziwne, jak gdyby zwierzęce skomlenie, uznał, że to wiatr, i znów zagłębił się w skryptach. Ale po chwili skomlenie doleciało ponownie. Podniósł głowę, zmarszczył brwi i nagle pojął, że to są ludzkie jęki i wołania. Przeraził się, niepewny, skąd dolatują. Nagle stuknął się w głowę. Serena! Wybiegł na korytarz.

- Sereno? Gdzie jesteś?

Stał w odległości tylko paru kroków od zakrętu korytarza, ale ją znowu chwyciły bóle tak silne, że nie mogła wypowiedzieć jego imienia, a nawet oddychać.

- Sereno? Sereno? Gdzie jesteś? - Słyszac znów straszny jęk pospieszył w tę stronę, wbiegł do dziecinnego pokoju i zobaczył ją skuloną na podłodze w drzwiach łazienki. - Och, mój Boże! Co się stało? - Była tak blada, tak wyraźnie zdjęta bólem, że nogi pod nim zdrząły. - Sereno, upadłaś?

Odruchowo poszukał jej tętna. Stwierdził, że jest normalne, ale gdy trzymał w palcach ten delikatny nadgarstek, zobaczył jej twarz wykrzywioną straszliwie, aż się wzdrygnął. Spróbował wziąć ją w objęcia, ale z krzykiem go odpychała, jak gdyby potrzebowała bodaj trochę powietrza, jak gdyby każde dotknięcie ją bolało. Dopiero po całych dwóch minutach uspokoiła się i zdołała powiedzieć rozsądnie:

- Och, Teddy... to już... nie rozumiem... właśnie się zaczęło.

- Kiedy? - Rozpaczliwie usiłował zebrać myśli. Widział dotychczas tylko jeden poród, chociaż pilnie już przestudiował wszystkie rozdziały w podręczniku na ten temat. Czuł, że nie sprosta zadaniu przyjęcia na świat swego bratanka czy bratanicy, więc natychmiast musi zawieźć Serenę do szpitala. - Kiedy się zaczęło, Sereno? Zadzwońię do doktora.

- Nie wiem... kilka minut temu... dziesięć... piętnaście... - Oddychała jeszcze bardzo ciężko i siedziała bezsilnie oparta o ścianę.

- Dlaczego mnie nie zawołałaś?

- Nie mogłam. Wody odeszły, a potem tak mnie walnęło, że nie mogłam nawet - oddychała już szybciej - mówić... o Boże... och, Teddy - zacisnęła palce na jego przedramieniu. - Znowu... bóle... już... ooch... - zarzęziła.

Ujął ją za ręce i patrzył bezradnie. Odruchowo spojrział na zegarek, gdy jęknęła, po czym ze zdumieniem stwierdził, że ten skurcz trwał ponad trzy i pół minuty. Przypomniał sobie to, co zaledwie przed paroma dniami przeczytał w podręczniku - na ogół skurcze trwają od dziesięciu do dziewięćdziesięciu sekund i tylko w nielicznych przypadkach przeciągają się dłużej, przy czym owe skurcze częstsze i gwałtownie się przeciągające zwykle przyspieszają poród o kilka godzin. Im silniejsze bóle, tym szybciej dziecko się urodzi.

Gdy ból minął, otarł czoło Serenie swoją chustką.

- Sereno, połóż się tutaj. Pójdę zatelefonować po doktora.

- Nie zostawiaj mnie.

- Muszę.

Teddy zamierzał też wezwać ambulans. Był pewny, że poród wkrótce się zacznie, i zanim wyszedł z pokoju, widział, że ona ma znowu bóle. Załatwił telefony tak błyskawicznie, jak tylko mógł. Ambulans obiecano, doktor kazał mu być przy Serenie. Teddy powiedział, że jest studentem medycyny na pierwszym roku, doktor wtedy pouczył go, co trzeba na razie zrobić, gdyby nie zdążył przyjechać przed ambulansem. I dodał, że w tych okolicznościach chce pojechać z panią Fullerton do szpitala. Przypuszczał, tak jak Teddy, że dziecko urodzi się w rekordowym tempie. Wracając do dzieciennego pokoju, Teddy zastał Serenę na czworakach, zapłakaną. Żałośnie podniosła na niego wzrok. Sam był bliski płaczu. Dlaczego to musi być tak trudne tym pierwszym razem i gdzie jest Brad, i co za licho, że wszystko dzieje się tak prędko?

- Sereno, doktor zaraz tu będzie, tylko się nie denerwuj. - I wpadł na pomysł. - Położę cię na łóżku.

- Nie. - Złękła się. - Nie ruszaj mnie stąd.

- Muszę. Poczujesz się lepiej, kiedy będziesz leżała.

- Nie. Nie. - Rozgniewała się nagle.

- Zaufaj mi.

Ale tę rozmowę raptem przerwały następne przeraźliwe bóle. Gdy minęły, Teddy już bez słowa podniósł Serenę i przeniósł na łóżko pod baldachimem, w tym dzieciennym pokoju. Odciągnął koc i ładną żółtą kołdrę i położył Serenę na miękkim chłodnym prześcieradle. Leżała tak ze sterczącym ogromnym brzuchem, z twarzą bladą, wilgotną, z oczami wielkimi ze strachu. Nigdy dotąd nie widział nikogo tak nie opancerzonego, przez chwilę bał się, że ona umrze. Jak gdyby prosto z głębi serca, wyrwały mu się słowa:

- Będzie dobrze, kochanie moje. Kocham cię.

Jak gdyby musiał Serenie to powiedzieć ten jeden tylko raz, żeby nie dać jej umrzeć. Nigdy dotąd nie widział nikogo tak cierpiącego. Uśmiechnęła się, mocno trzymając go za rękę, a on modlił się w duchu, żeby ambulans wreszcie przyjechał. Ale jego modlitwa nie została wysłuchana. Prawie w tej samej chwili zobaczył na twarzy Sereny wyraz straszliwej udręki. Jednym ruchem podciągnęła się i chwyciła go za ramiona przywierając do niego w szalonej trwodze, usiłując nie wrzasnąć.

- Och, Boże... och, Teddy... idzie...

- Nie, nie. - Boże, błagam, nie...

Razem bezwiednie rozplakali się. Byli jak dwoje dzieci zagubionych na bezludnej wyspie. Mieli tylko siebie nawzajem i ona tak mocno trzymała się jego ramion, że aż go bolały.

- Połóż się. No, tak właśnie. - Położył ją znowu na wznak. Bóle minęły, oddychała szybciej, ale zanim oparła głowę na poduszce, już znowu się skręcała i teraz gdy wyciągnęła ręce, nie zdołała powstrzymać krzyku.

- Teddy... dziecko...

Parła na łóżku, potem chwyciła się za brzuch, Teddy nagle zaczął patrzeć na nią nie jak przerażony uczeń, tylko jak człowiek dorosły. Wiedział z podręczników, co się dzieje, i przecież nie powinien jej okazać, że tak samo się boi jak ona. Wiedział, że musi jej pomóc. Nie mówiąc ani słowa, delikatnie ściągnął z niej spódnicę, spokojnie ją rozebrał. Poszedł do łazienki, zobaczył stertę czystych ręczników.

- Teddy! - wpadła w panikę.

- Tu jestem - wysunął głowę zza drzwi i uśmiechnął się do niej.

- Co ty robisz?

- Myję ręce.

- Dlaczego?

- Dlatego że zaraz będziemy mieli dziecko.

Chciała coś powiedzieć, ale przerwał jej następny skurcz. Teddy szybko dokończył szorowanie rąk i wrócił do niej, starannie otulił ją ręcznikami, wziął dwie dodatkowe poduszki, podłożył jej pod nogi. Nic nie powiedziała, za bardzo przejęta swym bólem i niewysłowienie mu wdzięczna za to, że jest przy niej. Raptem znowu nastąpił skurcz, który omal jej nie poderwał z poduszek. Odruchowo Teddy ujął ją za ramiona i podtrzymał, gdy zaczęła przeć.

- W porządku, Sereno, w porządku...

- Och, Teddy, dziecko...

- Wiem.

Położył ją znów i zajrzał między ręczniki na jej nogach. Gdy przy jeszcze jednym skurczu parła, wykrzyknął, podniecony:

- Sereno! Widzę je! No... przyj, nie ustawaj... dobrze...

Sieknęła i opadła na poduszki, ale tylko na chwilę. Sapała, nie mogła złapać tchu, a on trzymał ją za rękę i patrzył, nic nie mając teraz do roboty, obserwował, jak wysuwa się główka dziecka. Przy następnych bólach wyzwoił małe ramionka. Po chwili Serena wydała okrzyk najpierw bólu i zaraz potem uniesienia, a dziecko było już całe w rękach stryja, podniósł je wysoko, żeby pokazać matce.

- To dziewczynka, Sereno! Dziewczynka!

- Och, Teddy! - Serena leżała na poduszkach i strumienie łez płynęły jej z oczu. Wyciągnęła rękę, dotknęła małej rączki i w tej samej chwili usłyszeli dzwonek.

Teddy ze śmiechem położył dziecko przy Serenie.

- To na pewno doktor.

- Powiedz mu, że już jeden tu jest. - Uśmiechnęła się do niego i sięgnęła po jego rękę, zanim odszedł. - Teddy... jak zdołam kiedykolwiek ci podziękować? Umarłabym bez ciebie.

- Nie, nie umarłabyś.

- Jesteś fantastyczny. - i przypominając sobie, co jej powiedział, dodała: - Ja też cię Kocham. Nigdy o tym nie zapominaj.

- Jak mógłbym zapomnieć. - Pocałował ją lekko w czoło i poszedł otworzyć drzwi.

Rzeczywiście to był doktor i prawie jednocześnie przyjechał ambulans. Doktor Andersen przybiegł na górę, wyraził podziw dla dziecka i Sereny, pogratulował Teddy'emu wspaniałego przyjęcia pierwszego w życiu porodu, mocno zasupłał pępowinę i polecił sanitariuszom z ambulansu ostrożnie położyć matkę i dziecko na noszach. Odcięcie pępowiny miało nastąpić w szpitalu, jak również dokładne badanie położnicy i noworodka. Ale wyraźnie uznał, że wszystko przebiegło bardzo gładko. Z uśmiechem popatrzył na pacjentkę, a potem na zegarek.

- Jak długo pani rodziła?

- Która teraz godzina? - Serena uśmiechała się do niego. Była zmęczona, ale niezmiernie szczęśliwa.

- Kwadrans po drugiej. - Doktor spojrzał na Teddy'ego. - O której przyszło na świat dziecko?

- Trzy minuty po drugiej. Serena zachichotała.

- Zaczęło się w pół do drugiej.

- W trzydzieści trzy minuty pierwszy poród? Moja droga, następnym razem zaparkujemy panią na ostatnie dwa tygodnie w hallu szpitala.

Wszyscy troje się roześmieli, po czym sanitariusze wynieśli matkę z córką na noszach. Teddy przed wyjściem rozejrzał się po pokoju. Wiedział, że nigdy nie zapomni, jak uczestniczył z Sereną w tym wielkim wydarzeniu, cieszył się, że byli wtedy sami.

B.J. wieczorem wracając z manewrów zastał brata w kuchni rozpartego nonszalancko i pałaszującego kanapki.

- Cześć, smyku. Gdzie Serena?

- Wyszła.

- Dokąd?

- Na kolację z twoją córką. - I uśmiechnięty czekał, żeby to do B.J. dotarło.

- Co ty pleciesz, na Boga? - B.J. poczuł, jak serce mu się tłucze w piersi. I nagle zrozumiał.

- Czy ona... czy... dzisiaj? - wyjąkał oszołomiony.

- Tak - odpowiedział młodszy brat rzeško. - Dzisiaj. I macie piękną córeczkę.

- Widziałeś Serenę? Jak ona się czuje? - B.J. się zdenerwował i nawet zląkł trochę.

- Świetnie. Dziecko tak samo.

- Długo to trwało?

Teddy uśmiechnął się od ucha do ucha.

- Trzydzieści trzy minuty.

- Żartujesz? - B.J. się zgorszył. - Jakim cudem dowiozłeś ją na czas do szpitala?

- Nie dowiozłem.

- Co?

Teddy wybuchnął śmiechem i uściskał B.J. serdecznie, ale coś teraz wyrosło między nimi, nawet B.J. to zauważył wchodząc. Jak gdyby w ciągu jednego popołudnia Teddy stał się jakiś inny.

- Brad, ja przyjąłem dziecko.

- Co? Wyglupiasz się? - Po chwili B.J. się uśmiechnął. - Wariat. Omal ci nie uwierzyłem. Superdowcip, bardzo zabawny. Ale serio, powiedz mi, jak się to stało.

Teddy spoważniał patrząc mu w oczy.

- Mówię serio, Brad. Nie miałem wyboru. Zastałem ją na podłodze w dzieciennym pokoju skręconą z bólu. Wody już odeszły i zaczęła rodzić w niewiarygodnym tempie. - Mówił dziwnie chłodno, a starszemu bratu oczy omal nie wychodziły z głowy. - Miała skurcze trzy- i trzyipółminutowe co trzydzieści sekund i kiedy wróciłem od telefonu po wezwaniu doktora i ambulansu, zaczynała przeć. Wszystko odbyło się dosyć prędko. Dziecko miało już dziesięć minut, kiedy przyjechał doktor i zaraz po doktorze ambulans.

- Boże! - B.J. powoli osunął się na krzesło i przez chwilę Teddy nie wiedział, czy on się nie gniewa. Może jest zirytowany, bo jego rodzony brat odbierał poród jego żony, ale nie to zobaczył w jego oczach, gdy w nie spojrział.

- Wyobrażasz sobie, co by się działo, gdybym ja był z nią sam? - jęknął B. J. - Wpadłbym w popłoch.

Teddy z uśmiechem dotknął jego ramienia.

- Ja prawie wpadłem w pierwszej chwili. Przez parę minut włos mu się jeżył ze strachu. Ale wiedziałem, że muszę jej pomóc. Słuchaj... przecież nikogo innego nie było.

Długo patrzyli na siebie. B.J. ze łzami w oczach wyciągnął rękę.

- Dziękuję, Teddy. - Chciał mu powiedzieć, że go kocha, ale nie mógł, krtań miał zaciśniętą.

W dwadzieścia minut później stał w szpitalu przy łóżku Sereny, która wyglądała zupełnie

tak jak rano, gdy wyjeżdżał do San Leandro. Ładna i świeża, z oczami błyszczącymi i wesoła. Jedyną różnicą było to, że nie miała brzucha. Widząc jej rozradowanie, nikt by po niej nie poznał, że zaledwie kilka godzin temu przechodziła takie męki.

- Jak było, dziecinko? Rzeczywiście strasznie?

- Nie wiem. - Trochę się wstydziła przyznać, że to tak bardzo bolało. - Przez chwilę myślałam, że nie wytrzymam... ale Teddy... on był tam przy mnie... taki dobry... Brad. - Oczy jej się napełniły łzami radości i wzruszenia. - Bez niego bym umarła.

- Chwała Bogu, że on był.

Pielęgniarka przesadziła Serenę w fotel na kółkach i oboje wyruszyli do swojego dziecka. B.J. roześmiał się na widok maleńkiego różowego tobołka z wykrzywioną buzią i zapuchniętymi oczkami.

- Widzisz, mówiłem ci! Dziewczynka!

Nazwali ją Vanessa Theodora. Imię Vanessa wybrali już przedtem. Theodora dorzucili na cześć jej stryja, lekarza. W tamten wieczór B.J. zatelefonował do matki. Głosem jeszcze drżącym ze wzruszenia zamówił tę rozmowę i wydawało mu się, że czeka na nią całe wieki. Najpierw rozmawiał z ojcem, stosownie gratulującym swemu najstarszemu synowi. Ale w głosie matki, gdy podeszła do telefonu, nie usłyszał ani odrobiny serdeczności.

- To musiało być dla Teddy'ego okropne przeżycie. - Jej słowa były jak zimny prysznic.

- Raczej nie, mamó. I myślę, że jeśli chce być lekarzem, lepiej, żeby nie uważał takich przeżyć za okropne. - Ale nie to przecież było punktem, jak oboje wiedzieli. - Mówił, że to było piękne. - Zapanowało nieszczęsne milczenie. B.J. zwalczał rozczarowanie wobec reakcji matki. Za bardzo był szczęśliwy, żeby mogła mu dopiec, a przecież go przygasła.

- Twoja żona dobrze się czuje?

- Jest cudowna. - Znow się uśmiechał. Może ostatecznie świta jakaś nadzieja. Matka przynajmniej zapytała o Serenę. - I dzieciak jest piękny. Przyślemy ci fotografie, kiedy tylko będziemy je mieli.

- Nie sądzę, Brad, żeby to było konieczne. - Konieczne? Co ona chce przez to powiedzieć? Rany boskie! - Ty chyba rzeczywiście nie rozumiesz, jak ojciec i ja to odbieramy.

- Faktem jest, że nie rozumiem. I mamó, nie wciągaj w to ojca. Ty prowadzisz wojnę z Sereną, a nie on. - Ale oboje wiedzieli, że głową rodziny jest Margaret, ojciec zawsze jej słucha. - Wojnę paskudną. Dziś mój najszczęśliwszy dzień w życiu, a ty starasz się mi go zepsuć.

- Ależ skąd! Bardzo mnie wzrusza ten twój ton, taki ojcowski. To jednak nie zmienia faktu, że małżeństwo z Sereną jest tragedią twojego życia, Bradford, czy przyjmujesz to do wiadomości, czy nie. Więc narodzin dziecka na dodatek, ku dalszemu upiększeniu tego już i tak fatalnego

związku, ja nie mogę z tobą świętować. Cały ten romans jest tragiczną pomyłką, dziecko także.

- To dziecko nie jest pomyłką, mamó. - B.J. już kipiał. - To jest moja córka, a twoja pierwsza wnuczka. Należy do naszej rodziny, nie tylko do mojej, ale i do twojej, czy zgadzasz się na to czy nie!

Po długiej chwili ciszy matka oświadczyła:

- Nie zgadzam się. I nigdy się nie zgodzę.

Powiedział dobranoc i położył słuchawkę. Miał w oczach łzy. Ale matka sprawiła, że kochał Serenę i to maleństwo jeszcze bardziej. Byłaby wściekła, gdyby o tym wiedziała.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

Lata w San Francisco płynęły B.J. i Serenie szczęśliwie. Mieli swój własny pełen radości mały świat w ładnym domu z czerwonej cegły z widokiem na zatokę. B.J. ogromnie lubił pracę w Presidio, Serena nigdy nie nudziła się z Vanessą. Ta urocza złotowłosa dziewczyneczka chyba łączyła w sobie najlepsze cechy rodziców. Rzeczywiście była bardzo podobna do B.J., ale śmiała się jak Serena i odziedziczyła jej wdzięk.

Teddy przyjeżdżał, kiedy tylko mógł. Nazywał Vanessę królowną i bez końca czytał jej bajki. Już nie bywał u nich tak często, jak chciał, bo musiał dobrze się przykładać do studiów w Stanford. Tylko w czasie ferii rzeczywiście się odprężył i spędzał cały czas z nimi. Zabierał Vanessę do zoo i na różne wycieczki. Gdy miała trzy lata, na każdy jego przyjazd czekała w drzwiach i patrzyła na przejeżdżające samochody, żeby wreszcie wykrzyknąć triumfalnie: - Jedzie! Już jedzie! Stryj Teddy!

Poza rodzicami był jedynym członkiem rodziny, którego rzeczywiście znała. Drugiego swojego stryja spotkała tylko dwa razy, gdy Greg i Pattie przejeżdżali przez San Francisco w drodze na Daleki Wschód i z powrotem. Pattie wpatrywała się w dziewczynkę zgłodniałym wzrokiem i kilka razy pozwoliła sobie być dla Sereny bardzo niegrzeczna. Greg zdawał się Sereny w ogóle nie zauważać, apatyczny jak zwykle wtedy, gdy nie pił. I Pattie nie omieszkała opowiadać Serenie, jak ich teściowa nie cierpi tego dziecka, którego nigdy nie widziała.

To Pattie wpadła na pomysł spędzenia wakacji w Japonii. Ostatnio namiętnie lubiła podróżować. Ale poza tymi dwiema wizytami jej i Grega, B.J. i Serena nie mieli kontaktu z rodziną w Nowym Jorku. Odkąd matka tak otwarcie odrzuciła Vanessę, B.J. ograniczył nawet telefoniczne kontakty z nią do minimum, a gdy przyjechała raz do San Francisco, żeby odwiedzić Teddy'ego, i chciała spotkać się tylko z nim samym, on ze swojej strony nie chciał się z nią spotkać bez Sereny, tak że w rezultacie wyjechała z San Francisco nie widząc się z najstarszym synem i synową, nie znając swojej wnuczki. Teddy bardzo się martwił tym rodzinnym konfliktem i błagał ją, żeby zmieniła zdanie, ale się zawzięła, jeszcze niezłomniej zdecydowana niż przedtem.

Vanessa była szczęśliwa niezależnie od tego, jak się do niej ustosunkowali dziadkowie. Zawsze wesoła, słoneczne dziecko o spokojnym usposobieniu, prawie bez humorów. Tak serdecznie ją kochali rodzice i stryj Teddy, że doprawdy nie mogło jej brakować miłości innych ludzi.

Wkrótce po swoich trzecich urodzinach Vanessa dowiedziała się od mamy i taty, że będzie miała braciszka albo siostrzyczkę. Uszczęśliwiona, klasnęła w ręce, a potem prędko pobiegła na

górze, żeby narysować dla nowego dziecka obrazek. Narysowała słonia, który wyglądał raczej jak pies. Serena kazała rysunek oprawić i powiesiła go na ścianie dzieciennego pokoju. Tym razem miała urodzić w sierpniu. Teddy już żartował na ten temat. W czerwcu dostanie dyplom, a ona będzie w siódmym miesiącu.

- Jeżeli myślisz, moja pani, że ucieknę ze sceny, kiedy zaczniesz rodzić, to masz źle w głowie. Poza tym wiedz, że moje honorarium podskoczyło od ostatniego razu.

Był to żart rodzinny i Serena tylko trochę się obawiała, że drugi poród może nastąpić tak niespodziewanie jak pierwszy. Doktor ją uprzedził, że to możliwe, przyrzekła, że od połowy lipca będzie pozostawać zawsze blisko domu i telefonu.

Teddy miał w lipcu po krótkiej wycieczce na Zachód wrócić do Nowego Jorku i w sierpniu rozpocząć staż w nowojorskim szpitalu Columbia Presbyterian.

Ale sama jego promocja wywołała sporo podniecenia w rodzinie. Przyjechali na uroczystość rozdania dyplomów matka, Greg i Pattie. Tylko ojciec po wylewie był jeszcze zbyt chory, by podróżować.

- No, doktorze, jesteś podekscytowany? - B.J. przyjrzał się bratu w toczce i birecie rankiem przed uroczystością. Teddy promieniał. Miał teraz dwadzieścia sześć lat, B.J. miał trzydzieści osiem, ale wyglądali prawie jak rówieśnicy. B.J. zachował jakąś chłopięcość, Teddy ogromnie dojrzał po studiach w Stanford.

- Wiesz, wprost nie mogę w to uwierzyć. Rzeczywiście... w końcu... będę doktorem!

- Ja wiedziałem, że jesteś doktorem, już przed czterema laty.

Uśmiechali się do siebie w tej krótkiej chwili na uboczu, podczas pełnego napięcia zbierania się rodziny. Matka rzeczywiście nie uznawała Sereny, Pattie to cieszyło. Nieświadoma tej wyraźnej wrogości była tylko Vanessa. Teddy popatrzył na nią jak zawsze ciepło.

- Kocham tę smarkulę.

B.J. powiedział z uśmiechem:

- Będzie miała może braciszka. - i coś sobie przypomniał. - Aha, słuchaj, chcę prosić cię o przysługę.

- Licz na mnie. Co to ma być? - Teddy spojrział na brata niby niedbale. Rzadko się zdarzało, żeby B.J. o coś go prosił.

- Za parę dni wyjeżdżam. Mała misja doradcza w Korei. Miej oko na moje dziewczyny, kiedy mnie nie będzie. Wiesz, po tamtym razie wciąż się boję, że jeżeli zapomnę w pracy zadzwonić do domu, ona urodzi dziecko w dwadzieścia minut po drodze z supersamu.

- No nie, powiedzmy, że w pół godziny. - Po chwili jednak Teddy spoważniał. - Czy to misja niebezpieczna? - Nagle doznał jakiegoś dziwnego uczucia. B.J. był niezwykle nonszalancki,

ale w oczach miał niepokój.

- Wątpię. Nasi doradcy już tam są od pewnego czasu. Mam zobaczyć, jak się spisują. My się nie angażujemy. Obserwujemy tylko.

- Długo to, Brad? - Teddy się zmartwił.

- Kilka dni i wracam.

- Nie o to pytam. Czy długo będziemy tylko obserwować?

- Przez jakiś czas - odpowiedział BJ. wymijająco. Spojrzał Teddy'emu w oczy. - Ale muszę być z tobą szczerzy. Myślę, że wplączemy się tam w wojnę. W cholernie dziwną wojnę, tak mi się zdaje. Mam zameldować w Pentagonie jaka jest sytuacja.

Teddy przytaknął.

- Bądź ostrożny, Brad.

BJ. poklepał go po ramieniu.

- Nie ma czego się obawiać, smyku. Nie ma czego się obawiać. -i odszedł. Ale Serena, gdy jej to powiedział, zaskoczyła go swoją reakcją. Zwykle bez wahania akceptowała wszystko, co robił, tym razem zaczęła go błagać, żeby nie wyjeżdżał do Korei.

- Dlaczego? To tylko kilka dni i dziecko przecież dopiero za dwa miesiące...

- Nieważne! - Krzyknęła najpierw, a potem się rozplakała. - Po prostu nie chcę, żebyś wyjechał!

- Nie bądź niemądra.

Zbył to kładąc na karb przeczulenia kobiety w ciąży, ale wieczorem usłyszał, jak ona płacze w łazience, i znów go błagała raz po raz, żeby nie wyjeżdżał, tuliła się do niego prawie histerycznie.

- Takiej nigdy ciebie nie widziałem, Sereno. - Rzeczywiście się zaniepokoił. Moze z tą ciążą jest coś nie tak, jak trzeba, a Serena mu dotychczas nie powiedziała.

Stanowczo jednak go zapewniła, że z ciążą wszystko w porządku.

- Nigdy nie miałam takiego uczucia. Nie potrafię tego wytłumaczyć.

- Więc zapomnij o tym. Teddy tu będzie, ja wrócę, zanim się spostrzeżesz. Ale była w panice. Przeczuwała coś, pełna trwogi.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

W poranek wyjazdu B.J. do Seulu Serena była niezwykle zdenerwowana. W lewym boku miała dziwne lekkie skurcze, dziecko w łonie kopało ją przez całą noc. Przy śniadaniu Vanessa wciąż popłakiwała, a ona musiała zdławić falę łez tak przemożną, jak wtedy gdy B.J. powiedział, że wyjedzie. Znow chciała go błagać, żeby został, ale w obecności ordynansów, sierżantów, poruczników i wyższych oficerów, Vanessy i Teddy'ego przecież nie mogła. Brad wie o jej niepokojach, a jednak wyjeżdża.

- No, doktorze. - B.J. uściskał rękę Teddy'emu. - Dopilnuj mi moich dziewczyn. Za kilka dni jestem z powrotem. - Ze względu na historyczną reakcję Sereny bagatelizował swój wyjazd.

- Tak jest, pułkowniku. - Teddy żartował, był jednak zdenerwowany. Jego też coś w tym wyjeździe B.J. do Korei rozpaczliwie niepokoiło. Ale też tak jak Serena uznał, że nie czas i nie miejsce mówić o tym teraz.

Serena lękliwie pocałowała męża w usta, a on żartobliwie skomentował wypukłość jej brzucha. W luźnej rozkloszowanej sukience z niebieskiego teksasu i w sandałach wyglądała raczej jak Alicja w Krainie Czarów niż kobieta brzemienna. Vanessa machała do tatusia obiema rękami, gdy odchodził, i wkrótce potem samolot był już wysoko w przestworzach. Teddy wyprowadził Serenę i Vanessę z lotniska i odwiózł do domu. Serena zabrała Vanessę do dzieciennego pokoju na przedobiednią drzemkę i w parę minut później wróciła na dół. Oczy miała niespokojne, mięśnie twarzy napięte.

- Dobrze się czujesz? - zapytał Teddy.

Przytaknęła, dziwnie milcząca. Ale wreszcie zdecydowała się zwierzyć.

- Strasznie się denerwuję, Teddy.

Patrzył na nią przez chwilę, prawie gotów jej powiedzieć, że on także. Rozmyślił się jednak.

- Włos mu z głowy nie spadnie.

- A jeżeli coś się stanie? - Łzy znowu napłynęły jej do oczu. Teddy wziął ją za rękę z miną spokojnej ufności.

- Na pewno nic, ja wiem.

Ale nazajutrz rano słysząc dzwonek telefonu pobiegł odebrać z dziwnym przeczuciem. Poruszał się prawie odruchowo, ale gdy już trzymał słuchawkę w ręce, nagle zapragnął cisnąć ją z powrotem na widelki, zanim usłyszy czyjś głos.

- Hallo?

- Czy mogę mówić z panią Fullerton?

- Jeszcze śpi. Może ja to załatwię.

- A kto mówi? Chwila ciszy.

- Doktor - Teddy się uśmiechnął - Fullerton. Brat pułkownika Fullertona. - Ale zaraz przestał się uśmiechać. Okropnie go ścisnęło w dołku.

- Panie doktorze - głos w słuchawce był bardzo poważny. - Niestety, mamy złą wiadomość.

- Teddy wstrzymał oddech. O Boże... nie... zebrało mu się na mdłości, ale ten głos bezlitośnie mówił dalej: - Pański brat nie żyje. Zastrzelony w drodze na północ od Seulu dziś wczesnym rankiem. Był w charakterze doradcy, ale przez pomyłkę...

- Przez pomyłkę? - Teddy nagle wrzasnął. - Przez pomyłkę! Zabity przez pomyłkę? - Zatrwożony, zniżył głos.

- Serdecznie współczuję. Ktoś od nas będzie u pani Fullerton później.

- Jezu! - Łzy płynęły Teddy'emu po twarzy, już nie mógł mówić.

- Wiem. Ogromnie mi przykro. Ciało sprowadzą do kraju za parę dni na pogrzeb. Pochowamy go tutaj w Presidio ze wszystkimi wojskowymi honorami. Przypuszczam, że rodzina będzie chciała przyjechać ze Wschodu. - Dopiero co rodzina przyjechała na jego, Teddy'ego promocję, teraz wróci na pogrzeb Brada.

Porażony tym Teddy skończył rozmowę i rozplakał się. Ukrył twarz w rękach, szlochając cicho, myśląc o najstarszym bracie, zawsze będącym jego bohaterem, i o Serenie, i o Vanessie. W pewnej chwili, jak gdyby coś wyczuł, podniósł głowę, spojrzał. Przy drzwiach stała Serena.

- Teddy? - Strasznie blada, znieruchomiła w napięciu.

Nie wiedział, co zrobić, co powiedzieć. Trochę to było tak, jak wtedy przed przyjęciem na świat jej dziecka. Przede wszystkim musiał wziąć się w garść. Ostatecznie podszedł do Sereny, objął ją i zaczął:

- Sereno... Brad... - i znów się rozszlochał. Utracił brata. Brata, którego bardzo kochał. I teraz ma to powiedzieć jego żonie. - Poległ.

Sprężyła się przy nim i zwiotczała.

- Och, nie... - zapatrzyła się w niego, nie wierząc. - Och, nie... Teddy... nie. - Nagle podniosła rękę do twarzy i zaskowyczała. Trzymając ją, ukląkł i łzy płynęły mu po policzkach. Gdy spojrzał na nią, zobaczył oczy mroczne i ponure, oczy, jakich nigdy dotąd nie widział. - Wiedziałam... zanim wyjechał... czułam to... a on nie chciał słuchać.

Szloch ją rozrywał. Płakali oboje, aż nagle zeszywniała, skierowała wzrok na drzwi. Odwrócił się i też tam spojrzał. Patrząca na nich stojąca w koszulce nocnej Vanessa.

- Gdzie jest tatuś?

- Jeszcze daleko, córeczko. - Serena otarła łzy palcami i wyciągnęła rękę do Vanessy. Ale

gdy dziecko przytuliło się do niej, znów nie mogła się opanować. Teddy'emu serce się krajało na jej widok.

- Dlaczego ty płaczesz i stryj Teddy płacze?

Łkając niepohamowanie zastanawiała się przez długą chwilę, po czym pocałowała Vanesę w miękkie złociste kędziory i spojrzała jej w oczy. Było to spojrzenie pełne smutku i mądrości.

- Płacemy, kochanie, bo dostaliśmy bardzo złą wiadomość. - Dziecko patrzyło na matkę utnie. - Jesteś dużą dziewczynką, więc powiem ci. - Głęboko zaczerpnęła powietrza. - Tatuś nie wróci z tej podróży, kochanie.

- Dlaczego? - zapytała Vanessa tak wstrząśnięta, jakby usłyszała, że już nigdy nie będzie Świętego Mikołaja. Zresztą i dla niej, i dla Sereny rzeczywiście Świat Gwiazdki się skończył.

Serena zmobilizowała w sobie siły i postarała się powiedzieć spokojnie:

- Bóg uznał, że już czas i zabrał tatusia do siebie. Potrzebny był jeszcze jeden anioł.

- Tatuś jest teraz aniołem? - zdumiała się Vanessa.

- Tak.

- Ma skrzydła?

Serena się uśmiechnęła, w jej oczach znów zakręciły się łzy.

- Chyba nie ma. Ale jest tam w niebie u Boga i jednocześnie wciąż jest tutaj z nami.

- Czy mogę go zobaczyć? - Dziewczynka szeroko otworzyła oczy.

- Nie, kochanie. Ale zawsze będziemy go pamiętać i kochać.

- Ale ja chcę go zobaczyć! - Vanessa się rozpląkała. Serena przytulając ją, myślała to samo... Ale nie zobaczę go już nigdy... nigdy... odszedł na zawsze.

Później w to popołudnie przyjechało kilku oficerów. Podali Serenie szczegóły, których nie chciała znać, wygłosili na kilka głosów uroczyste przemówienie o tym, że pułkownik Fullerton oddał życie w służbie Ojczyzny. Powiedzieli, kiedy i jaki będzie pogrzeb i że po pogrzebie ona może zostać w Presidio jeszcze przez miesiąc. Serena usiłowała rozumieć to, co mówili, ale nie rozumiała nic.

- Miesiąc? - Patrzyła pustym wzrokiem na Teddy'ego, nagle zaczęła pojmować. Ten dom jest własnością armii, ona już do armii nie należy. Będzie dostawać niewielką rentę i na tym koniec, musi wyruszyć w szeroki świat, nauczyć się żyć jako osoba cywilna. Nie dla niej już osłonięty, wymarzony mały świat lasów Presidio, i widok zatoki, i opieka męża. Koniec. Prawdziwy świat czeka, żeby ją pożreć.

Serena pamiętała tak samo, jak pamiętał Teddy, jaki dokument podpisała nakłoniona przez teściową, i nazajutrz rano Teddy odkrył, że B.J. nie zostawił żadnego testamentu. Wszystko więc, co posiadał, wraca do jego rodziców. Nie ma nic dla Sereny, dla Vanessy, dla jeszcze nie

narodzonego dziecka.

Przez dwa dni Serena leżała wpatrzona w sufit. On odszedł... nigdy nie wróci...

Brad nie żyje. Powtarzała to sobie raz po raz. Potem otworzyła szafy, zobaczyła jego ubrania. W szafie na dole były nawet jego koszule do prasowania, a on już nigdy nie miał ich włożyć - znów to sobie z całą mocą uświadomiła, z naręczem tych koszul klęcząc na podłodze w pralni i szlochając. Teddy znalazł ją tam i powoli poprowadził na górę, gdzie z kolei znaleźli Vanessę maleńką i przerażoną, kryjącą się w szafie Brada. Vanessa przedtem wspięła się na kolana Teddy'ego i podnosząc oczy wielkie, pełne smutku zapytała:

- Teraz ty będziesz moim tatusiem?

Wszyscy troje byli nieszczęśliwi, ale w napięciu trzeciego dnia Teddy zauważył w Serenie całkowitą zmianę. Poruszała się jak we mgle, nie rozumiejąc, prawie nie myśląc, i nagle przed południem usłyszał jej straszny krzyk. Prawie tak jakby wyczuł, co się dzieje, wbiegł do jej sypialni. Wody odeszły. Leżała na podłodze zgięta w bólach. Ale tym razem było inaczej niż wtedy, gdy rodziła Vanessę. Tym razem bóle trwały nieprzerwanie i zanim dojechali do szpitala, dostała ataku hysterii. To dziecko nie przyszło na świat w pół godziny. Teddy pospiesznie odprowadził Vanessę do sąsiadów i obserwował Serenę bacznie przed przyjazdem ambulansu i potem w drodze. Tym razem tętno miała słabe, oczy szkliste i prawie się dusiła. W szpitalu popadła w stan szoku. W godzinę później urodziła martwego syna. Teddy siedział w poczekalni przez kilka godzin, zanim go do niej dopuszczono. Gdy ją zobaczył, był wstrząśnięty. Te kiedyś szmaragdowe oczy można by tylko porównać z ciemnym morzem cierpienia. Pogrążona w swoim nieszczęściu, nawet nie usłyszała jego głosu.

- Sereno - sięgnął po jej rękę. - Jestem tutaj.

- Brad - skierowała na niego szkliste spojrzenie.

- Nie, Teddy. - Pociemniałe oczy napełniły się łzami. Odwróciła głowę. Jeszcze była w tym stanie nazajutrz rano i w dwa dni później, gdy została zwolniona ze szpitala. W tenże poranek musieli pochować jej syna w białej maleńkiej trumience, powoli spuszczonej w ziemię. I wtedy zemdląca. Następnego dnia sprowadzono ciało Brada. Musiała pojechać do kwatery głównej, podpisać jakieś papiery. Teddy myślał, że ona nie zdoła tego zrobić, ale zdołała, podpisała te formularze ze strachem, a Teddy'emu serce się krajało.

I przez ten czas trzeba było walczyć z Margaret Fullerton. Serena uparła się, że sama do niej zatelefonuje. Matka Brada przyjęła wiadomość o jego śmierci bez krzyku udręki. Mściwie, z niepoohamowaną furią obarczyła Serenę winą za to, co się stało. Gdyby Brad się z nią nie ożenił, nie zostałby w wojsku, nie pojechałby do Korei. Głosem drżącym z wściekłości pani Fullerton dała upust swojej rozpacz, usiłując zmiażdżyć synową, i na zakończenie przypomniała jej jadowicie o

podpisanym kontrakcie.

- I nie myśl, że wyciągniesz ode mnie bodaj dziesięciocentówkę dla siebie czy twojego dziecka. Mam nadzieję, że obie zgnijecie w piekle za to, co zrobiłaś Bradfordowi! - cisnęła słuchawkę.

Serena niepokieszenie przepłakała dwie godziny. Wtedy właśnie Teddy poczuł do matki taką nienawiść, jaką wyczuwał w B.J. Chciał tylko chronić Serenę, ale w żaden sposób nie mógł zmienić faktów dokonanych. Brad odszedł nie pozostawiając testamentu, a nawet gdyby zostawił, niewielka by to była pociecha dla Sereny. Bo ona chciała mieć swojego męża. Jego pieniądze nie chciała.

Margaret Fullerton przyjechała z Nowego Jorku w towarzystwie Grega i Pattie. Ojciec Brada wciąż jeszcze był ciężko chory i na polecenie lekarzy zataili przed nim tę straszną wiadomość.

Teddy powitał ich troje na lotnisku. Matkę sztywną i ponurą, Pattie nerwowo rozszczebiotaną i Grega otępiałego. Gdy jechali z lotniska do miasta, matka powiedziała tylko:

- Nie chcę widzieć tej kobiety. Teddy aż się skręcił.

- Będziesz jednak musiała, mamó. Ona już tyle przeszła, że nie można jej dręczyć jeszcze bardziej.

- Zabiła mojego syna. - Oczy Margaret Fullerton były pełne nienawiści.

- Twój syn został zabity w Korei, gdzie pojechał z misją wojskową, na litość boską! A Serena utraciła dziecko.

- Tym lepiej. Teraz i tak nie stać by jej było na jego utrzymanie.

- Przyprawiasz mnie o mdłości.

- Roztropniej dla ciebie, Teddy, trzymać się od niej z daleka, chyba nie chcesz zadrzeć ze mną.

- Nie będę trzymał się od niej z daleka.

Żadne już słowo nie padło. Odwiózł ich do hotelu i wrócił do Sereny.

Pogrzeb odbył się następnego dnia. Margaret stała z Gregiem i Pattie, Teddy stał pomiędzy Sereną i Vanessą. Dziewczynka nie rozumiała, co się dzieje, Serena w czasie oddawania honorów wojskowych mocno palcami jak szpony trzymała Teddy'ego za rękę. Na zakończenie wręczyli jej złożoną flagę, a ona wtedy odwróciła się powoli i podeszła do Margaret. Drżącymi rękami podała flagę matce Brada. Przez chwilę patrzyły sobie w oczy, a potem Margaret wzięła flagę bez słowa podziękowania. Przekazała flagę Gregowi i odeszła zakrywając twarz czarnym welonem, gdy Serena patrzyła na nią.

Po pogrzebie Teddy odwiózł Serenę i Vanessę do domu. W samochodzie spojrzął na

wycierając nos bratową.

- Dlaczego to zrobiłaś? - zapytał myśląc o fladze. - Przecież nie musiałaś.

- Ona jest jego matką. - Nagle położyła mu głowę na ramieniu i zaszlochała. - Boże, co ja zrobię bez niego?

Zatrzymał samochód i wziął ją w objęcia. Vanessa patrzyła na nich.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

- Sereno? - Podeszedł cicho od tyłu, gdy siedziała w zamglonym ogrodzie i słuchała syren ostrzegających statki. W ciągu ubiegłego tygodnia stała się jakaś niesamowita, nawiedzona. Przykro było na nią patrzeć, doznawało się wrażenia, że życie z niej ulatuje.

- Tak?

- Musisz dojść do siebie, Sereno. Musisz. - Po co? - Patrzyła na niego bez wyrazu.

- Dla mnie, dla siebie samej, dla Vanessy... - Łzy mu się zakręciły w oczach. - Dla Brada.

- Po co?

- Po to, że musisz, rany boskie! - Chciał nią potrząsnąć. - Jeżeli zupełnie się rozkleisz, co będzie z Vanessą?

- Ty się nią zaopiekujesz, prawda? - Teraz w jej głosie zabrzmiała rozpacz. Z westchnieniem przytaknął.

- Tak, ale nie w tym rzecz. Jesteś jej potrzebna.

- Ale zaopiekujesz się nią? - Patrzyła na niego badawczo i oboje pamiętali o tym podpisanym dokumencie. - Jeżeli umrę, weźmiesz ją pod swoją opiekę?

- Nie umrzesz.

- Ale ja chcę. Teraz nią potrząsnął.

- Nie możesz. - i w tej samej chwili usłyszeli dolatujący od drzwi domu głosik.

- Mamusiu, jesteś mi potrzebna!

Vanessa miała zły sen. Na to wołanie Serena zaczęła się budzić ze swojego złego snu.

W następnym tygodniu Teddy pomógł Syrenie znaleźć nowe lokum. Spakowała wszystkie piękne rzeczy, swoje, Brada i dziecka, i przeprowadziła się z Vanessą na Pacific Heights. Było to mieszkanie z dwiema sypialniami, z widokiem na zatokę, takie, na jakie wystarczała jej renta po mężu. Zdawała już sobie sprawę, że jeżeli obie chcą nie tylko mieszkać, ale i jeść, będzie musiała poszukać pracy.

- Może powinnam chodzić po śródmieściu i sprzedawać się? - Cynicznie spojrzała na szwagra, zgoła tym nie rozbawionego. Ale z tego jej sarkazmu zrodził się pomysł. Nazajutrz przeszła się, pytając o posadę, po wszystkich większych domach towarowych w śródmieściu. W południe następnego dnia była już zatrudniona. Powiedziała Teddy'emu:

- Załatwiłam sobie posadę dzisiaj.

- Co zrobiłaś? - Wciąż o nią się martwił. Miała za sobą tak ciężkie przeżycia: utratę męża, dziecka, domu. Co jeszcze mogłaby wytrzymać?

- Będę modelką za siedemdziesiąt pięć dolarów tygodniowo.

- A kto zajmie się twoją córką?

- Znajdę kogoś - odpowiedziała. Już nie chciała skapitulować, choćby życie atakowało ją ze wszystkich stron. Przetrwiała utratę rodziców, przetrwała wojnę. Teraz utraciła Brada, ale niezłomnie sobie postanowiła i to przetrwać. Dla Vanessy.

Teddy potrząsnął głową.

- Nie chcę, żebyś to robiła. Chcę, żebyś przyjęła moją pomoc.

Ale ona by nie przyjęła. Znalazła sobie pracę, wystarczy im obu na utrzymanie. Żeby się waliło, paliło, da sobie radę. Tyle jest winna Bradowi, Zaledwie trzy tygodnie minęły od jego śmierci w Korei, a już Stany Zjednoczone przystąpiły tam do wojny. Jak gdyby jej wojna prywatna zmieniła się w państwową.

Patrząc na Teddy'ego, Serena zapytała nagle z lękiem:

- Kiedy wyjeżdżasz do Nowego Jorku? - Miał zacząć staż w sierpniu, niedługo, bo czerwiec się kończył. Ale Teddy powoli odpowiedział:

- Nie jadę tam.

- Zostajesz? - Przez chwilę wydawała się nieomal uradowana.

- Nie. - Zaczerpnął tchu. - Zaciągnąłem się do Marynarki. Chcę walczyć w Korei.

- Co?! - wrzasnęła i bezwiednie chwyciła go za koszulę. - Nie możesz! Nie ty także... - Łkała cicho przywierając do niego, gdy wziął ją w objęcia sam ze łzami w oczach.

- Muszę. Ze względu na niego.

I ze względu na ciebie - pomyślał. Musiał uciec od uczuć, które groziły ujawnieniem się lada chwila.

- Kiedy wyruszasz?

- Za parę dni. Za parę tygodni. Gdy tylko mnie wezwą.

- A co z nami? - zapytała przerażona.

- Będzie dobrze. - Uśmiechnął się do niej przez łzy. - Do diabła, masz przecież posadę.

- Och, Teddy, nie jedź. - Przytuliła go do siebie i nic więcej nie zostało powiedziane. Stali w milczeniu trzymając się ostatnich strzępów tego, czego już nie było. Jak wtedy, gdy po śmierci jej rodziców pod kulami Mussoliniego skończyło się jej dzieciństwo, tak teraz skończyła się inna era. Już nigdy nie będzie żoną Brada, nie znajdzie się w jego objęciach. I nawet Teddy'ego zabraknie. Oboje dojrzeli. W ciągu trzech krótkich tygodni. Skończyły się młode lata.

CZEŚĆ DRUGA
SERENA: LATA PRZETRWANIA
ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY

O szóstej rano w mglisty dzień pod koniec lipca Serena na molo w Oakland żegnała się z Teddym. Te tygodnie przeleciały szybko, , wprost nie mogła uwierzyć, że on już wyjeżdża. Z początku prosiła, żeby się rozmyślił, ale ostatecznie pogodziła się z jego decyzją. Sądząc z rozwoju wypadków w Korei, było oczywiste, że wcześniej czy później musiałby tam pojechać. Dostał przydział do Marynarki, przeszkolenie miał przejść jako lekarz-stażysta, gdzieś w Korei. Z pewnością odbiegało to od jego planów. Jak wszystko z chwilą śmierci Brada.

W ciągu niecałych dwóch miesięcy świat Sereny zupełnie się wywrócił. Teraz była wdową, zarabiającą na życie swoje i małej córeczki. Patrząc na Teddy'ego w mundurze, uprzytomniła sobie, że gdy on odejdzie, już nie będzie przy niej nikogo, na kim mogłaby polegać. Zamknęła oczy, żeby powstrzymać łzy.

- Boże, Teddy... wołałabym, żebyś nie wyjeżdżał.

- Ja też bym wolał.

Usiłując być dzielną siostrą, uśmiechnęła się krzywo.

- Ale bądź grzecznym chłopcem, noś kalosze, pisz do mnie co niedziela. - Ochryplym szeptem dodała: - Nie zapominaj o nas.

- Och, Sereno... nie mów tak! - Mocno ją przytulił i ludziom, którzy by na to patrzyli, mogłoby się wydawać, że żegna się z mężem, a nie z bratem męża. Otarł jej łzy z policzków, uściskał ją znowu i cofnął się o krok, żeby przyjrzeć jej się po raz ostatni.

- Ja wrócę. I to niedługo. Więc w moim zastępstwie dbaj o siebie i o Vanessę. Przytaknęła płacząc i płacząc, gdy wokół wszyscy się śpieszyli, bo okręt miał odpłynąć za godzinę. Boże, jak ja chcę z nią zostać - pomyślał Teddy. A przecież wiedział, że musi wyjechać, że to jego obowiązek wobec siebie i wobec brata, cokolwiek by kto o tym mówił. Matka przyleciała z Nowego Jorku i z furią groziła, że wykorzysta znajomości i wpływy, żeby wyrzuceno go ze służby kopniakiem. Ale gwałtownie obstawał przy swojej decyzji, aż w końcu skapitulowała. Należało szanować jego motyw i punkt widzenia. Straszna była tylko możliwość, że tam polegnie.

Serena starała się nie myśleć o tym, jeszcze raz wyciągając do niego rękę. Nadzwyczajna więź, która już na początku wytworzyła się między nimi, umocniła się, gdy przyjął na świat Vanessę. Ale od dwóch miesięcy było to coś jeszcze - przebywanie z Teddym stało się niejako zatrzymaniem cząstki Brada. Teraz i to Serena miała utracić. Tylko że może - oby! - nie na zawsze.

- Słuchaj... - zaczął coś mówić i urwał, bo zahuczała syrena, zagłuszając wszystkie rozmowy. Zahuczała trzy razy, po czym zabrzmiał gong. - Już czas. -Przytulił ją do siebie nieomal w popłochu. - Ja wrócę. Wiesz o tym.

- Kocham cię - z oczami pełnymi łez wrzasnęła mu do ucha. Przytaknął, wziął swoją torbę i ruszył na okręt wraz z innymi. Minęło kilka minut, zanim zobaczyła go znowu. Stał na pokładzie wysoko ponad nią i machał do niej ręką. Łzy płynęły jej po twarzy nie powstrzymywane, aż w końcu syreny znów zahuczały i okręt zaczął powoli odbijać. Czuła się tak, jakby ciągnął za sobą jej serce. Dopiero gdy zupełnie zniknął we mgle, odwróciła się powoli i z głową spuszczoną, nadal z płaczem poszła do swojego samochodu.

W domu Vanessa, która czekała z dochodzącą opiekunką, koniecznie chciała wiedzieć, kiedy stryj Teddy wróci. Serena musiała zebrać w sobie wszystkie siły, żeby znów wyjaśnić, że stryj Teddy wyjechał na długo, ale wróci, kiedy tylko będzie mógł. A tymczasem jest mnóstwo przyjemnych rzeczy: we dwie pójdą do zoo i do ogrodu różanego w parku, i do japońskiej herbaciarni, i do cyrku, gdy przyjedzie do miasta... Ale zanim skończyła mówić, znowu oczy miała pełne łez. Przytuliła córeczkę i mocno ją trzymała.

- Czy on tak jak tatuś nie wróci nigdy? - zapytała Vanessa, wielkooka i bardzo smutna.

Serenę przebiegł dreszcz.

- Nie! Stryj Teddy wróci! Już ci powiedziałam! - Chciała to krzyknąć dziecku, które wysłowiło jej twogę. Ale głos jej drżał, był za słaby.

Jak tysiące razy w ubiegłych tygodniach, znów zapragnęła cofnąć zegar. Gdybyż mogła zamknąć oczy i wrócić do swoich czasów z Bradem, kiedy wiedziała, że on ją chroni i zawsze będzie przy niej... wrócić do złotych czasów w Presidio... albo w Paryżu... albo do tych pierwszych dni w Rzymie. Tygodnie temu zawiadomiła Marcellę, co się stało. Dostała odpowiedź podyktowaną jednej z nowych pokojówek w palazzo - smutną odpowiedź, że Marcella współczuje i modli się. Ale potrzebowała czegoś więcej. Potrzebowała kogoś, kto by ją trzymał za rękę, zapewniał, że sobie poradzi.

W ciągu następnych miesięcy nieraz Serena rzeczywiście nie wiedziała, czy przetrwa. W niejednym miesiącu ledwie zdołała zapłacić komorne, zalegała z płaceniem rachunków, stać ją było tylko na masło orzechowe i kanapki z galaretą albo same jajka. Takiej biedy nigdy dotąd nie zaznała. W czasie wojny dbały o nią zakonnice, potem w palazzo w Rzymie ona i Marcella żyły zupełnie dostatnio. Teraz nie miała u kogo szukać pomocy, nie miała od kogo pożyczyć pieniędzy, gdy zostały jej tylko dwa dolary na trzy dni przed wypłatą pensji. Raz po raz myślała o umowie, którą podpisała z Margaret Fullerton. Gdyby nie została zmuszona do podpisania tego cholernego dokumentu, przynajmniej mogłaby z Vanessą jadać lepiej. Vanessa chodziłaby ładnie ubrana i nie

wciąż w tej samej zniszczonej parze jeszcze nie za małych pantofelków. Kiedyś zdesperowana Serena omal nie zwróciła się o pomoc do Fullertonów, ale ostatecznie nie zrobiła tego, wiedząc w głębi duszy, że to by nic nie dało. Margaret Fullerton tak zajadle, tak nieracjonalnie jej nienawidzi, w żadnym razie swego stosunku do niej nie zmieni. Ta nienawiść rozciąga się nawet na Vanesę, jedyną wnuczkę. Margaret Fullerton wcale by się nie przejęła, gdyby ona umarła z głodu, być może, nawet ma na to nadzieję.

Tylko radość przebywania z Vanesą po dniu pracy dodawała Serenie bodźca. Tylko listy Teddy'ego rozgrzewały jej serce. Tylko pieniądze zarobione w domu towarowym na etacie modelki utrzymywały ją i jej dziecko przy życiu. Chwilami Serena myślała, że padnie z wyczerpania, i chciała krzyczeć z rozpacz. Ale co dzień przez sześć dni w tygodniu jeździła do pracy, wędrowała po piętrach ubrana w najnowszą konfekcję, rozdając próbki perfum, albo w efektownym futrze stała przy drzwiach wejściowych, albo też występowała w miejscowych pokazach, i tak było przez cały rok, po czym awansowała, przeniesiona do salonu modeli. Odtąd prezentowała stroje specjalnym klientkom i brała udział w wielkich rewiach mody. Nosila tylko najpiękniejsze kreacje projektantów z Nowego Jorku i Paryża, szybko uczyła się sztuczek swego zawodu, sposobów czesania się najbardziej twarzowo i doprowadzania swego makijażu do doskonałości. Uczyła się poruszać i uśmiechać, sprzedawać prezentowane modele niejako za pomocą czarów. Zawsze była piękna, a już teraz, gdy nabrała tych nowych umiejętności, wyglądała jeszcze piękniej niż kiedykolwiek przedtem. Ludzie w domu towarowym o niej mówili, często gapili się na nią. Klientki przyglądały jej się z zawiścią, ale też nierzadko w urzeczeniu, jak gdyby miały przed sobą jakieś dzieło sztuki. Ich mężowie wpatrywali się w nią prawie z bojaźnią i wkrótce zauważył ją dział reklamy. Została główną modelką firmy, co tydzień jej fotografie ukazywały się w gazetach i pod koniec drugiego roku pracy była już znana w mieście. Mężczyźni pytali o nią. Osoby prawie obce zapraszały ją na przyjęcia, ale odpowiedź dawała zawsze taką samą. Wszystkim bez wyjątku odmawiała. Chciała jak najszybciej wracać do domu, do Vanessy, bawić się z tą złotowłosą małą dziewczynką tak bardzo podobną do B.J., śpiewać z nią niemądre piosenki grając na pianinie, które kupiła na aukcji, czytać jej bajki, rozmawiać z nią o jej i swoich marzeniach. Pewnego dnia powiedziała, że ona będzie kiedyś sławną, piękną damą...

- Jak ty, mamusiu? Uśmiechnęła się.

- Nie, głupiatko, o wiele ładniejszą. Wszyscy będą zatrzymywać się i oglądać za tobą na ulicy. Będzie ci się powodziło, będziesz szczęśliwa. - Zapatrzyła się w przestrzeń, myśląc przez chwilę o własnych marzeniach. Czy tego chce? Żeby się za nią oglądali? Żeby mi się powodziło? Dla mnie jedynym powodzeniem jest praca modelki, ale to dziwne życie. Zarabianie swoim wyglądem. Nieraz czuła się głupia i nieważna jak manekin, którym dosłownie była. Ale co z tego?

Nie mogła sobie pozwolić na takie wątpliwości. Musiała przetrwać.

Życie boleśnie puste. Miała dziecko, pracę i mieszkanie. Poza tym nie miała absolutnie nic. Męża, przyjaciół, nikogo bliskiego. Wydawało się, że w tej pustce jest miejsce tylko dla dziecka. Nocą czytała albo pisała listy do Teddy'ego. Tygodniami szły jej listy na daleką placówkę w Korei. Teddy był tam lekarzem wojskowym i pisał długo i smutno, co myśli o tej wojnie. Jest to bezsensowna rzeź, wojna, której Amerykanie nie mogą wygrać i która nie jest ich wojną. Pragnął wrócić do kraju albo dostać przeniesienie do Japonii. Czytała jego listy raz po raz, trzymała je w ręce i patrząc na zatokę za oknem przypominała sobie jego twarz wtedy, w nowojorskim porcie, gdy się poznali.... i jak wyglądał w zakęcie na ślubie Grega... i tamten dzień, gdy przy nim urodziła Vanessę... i jego promocję w Stanford. Rzecz dziwna, coraz już częściej myliły jej się te twarze -Teddy'ego i męża. Jak gdyby w ciągu dwóch i pół lat oni dwaj połączyli się w jej pamięci.

W trzecie samotne Boże Narodzenie poszła z Vanessą do kościoła i jak co niedziela pomodliły się, żeby Bóg czuwał nad Teddym. Nocą w łóżku płakała, boleśnie odczuwając osamotnienie i wyczerpanie, lata gorzkiej samodzielności i ciężkiej pracy w domu towarowym. Nie było nikogo, kto by przydał jej nowych sił. Tydzień po tygodniu wyczekiwała niecierpliwie listów Teddy'ego. Tylko jego listy podtrzymywały ją na duchu. Tylko w listach do niego otwierała serce. W pewnym- sensie był to jedyny jej prawdziwy kontakt z kimś dorosłym i jedyny jej kontakt z mężczyzną.

W pracy nie rozmawiała prawie z nikim. W jakimś momencie zaczęto sobie szeptać, że przed ślubem z amerykańskim oficerem była włoską księżniczką, i szybko zdecydowano, że jest arogancka i wyniosła. Koleżanki stroniły od niej przerażone jej urodą. Żadna nie próbowała się z nią zaprzyjaźnić. Nie mogły wiedzieć, jak bardzo czuje się samotna za tą fasadą księżycowego chłodu. Tylko Teddy to wiedział z jej listów, w których między liniami mnóstwo było bólu, uczucia osamotnienia i wciąż jeszcze świeżej żałoby po mężu.

„Zdumiewające - napisała do niego w styczniu -jak źle mnie wszyscy rozumieją. Przypuszczam, że uważają mnie za zimną snobkę, ale ja ich nie wyprowadzam z błędu. Bo to chyba łatwiej i bezpieczniej, niż gdybym okazywała, że jestem nieszczęśliwa”. - Nadal brakowało jej Brada, a przecież teraz dołączyło się coś więcej. Brakowało jej kogoś. Kogoś, z kim mogłaby rozmawiać i dzielić się wrażeniami, pośmiać się i spacerować po plaży. Ale nie do pomyslenia byłoby dla niej spędzanie czasu z kimkolwiek, nawet z Teddym, tak jak kiedyś z Bradem. -”Wydaje mi się chwilami, że tak już będzie zawsze. Zawsze będę samotna tutaj z Vanessą, noc za nocą w tym mieszkaniu i dzień za dniem w tym sklepie, rok za rokiem, i nikt nigdy nie będzie mnie dobrze znał. To mnie nieraz przeraża, Teddy. Czuję się tak, jak gdybyś tylko ty jeden znał mnie naprawdę...”

Oczywiście, znała ją też Marcella, ale od tylu lat się nie widziały i ta staruszka tak dawno została w scenerii innego życia. W rezultacie był tylko Teddy w odległej o tysiące mil Korei i dopiero pod koniec wojny on i Serena zaczęli pojmować, co się stało. Po trzech bez mała latach korespondencji, zwierzeń, wzajemnego podnoszenia się na duchu poprzez ten bezmiar odległości Serena wreszcie zrozumiała, dlaczego nie ma nikogo. Przecież ona czeka na Teddy'ego.

Wiadomość, że ta wojna się skończyła, usłyszała w pracy przed południem prezentując czarny aksamitny kostium wieczorowy ze sztywnym kołnierzem z białej organdy. Stała pośrodku salonu i łzy płynęły jej z oczu.

Kierowniczką sprzedaży uśmiechnęła się do Sereny, inne kobiety gawędziły podniecone. Koniec wojny w Korei! Serena chciała krzyknąć: hurra!

- On wraca! - szepnęła do siebie, ale doleciało to do uszu jednej z nich. - On wraca!

- Twój mąż?

- Nie. - Ze zdumieniem powoli potrząsnęła głową. - Jego brat.

Ta kobieta popatrzyła na nią dziwnie, a ona nagle wiedziała, że blisko już jest odpowiedź na dosyć ważne pytanie. Teraz gdy niespodziewanie skończyły się lata listów, kim dla niej będzie Teddy?

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI

Teddy wrócił z Dalekiego Wschodu trzeciego sierpnia i po wylądowaniu w San Francisco został urzędowo zwolniony z Marynarki. Odbył staż w ogniu wojny. Otrzymał przeszkolenie chirurgiczne jak niewielu chirurgów w Stanach i teraz czekała go roczna praktyka u pewnego wielkiego chirurga w Nowym Jorku. Ale nie myślał o tym, wychodząc z samolotu na lotnisku San Francisco. Złotowłosy w słonecznym blasku, opalony, oczami zmrużonymi patrzył na tłum czekających. Jakże to było inne niż wówczas, gdy odpływał do Korei z Oakland. Czuł się teraz zupełnie inaczej. Wracał po trzech latach, właśnie ukończył trzydzieści lat.

Wydawało mu się, że w ciągu tych trzech lat wojny wszystko w nim się zmieniło. Zainteresowania, potrzeby, hierarchia wartości, oceny. Przez długie godziny podróży samolotem z Japonii zastanawiał się, jak na nowo się dostosuje do życia. Od dawna nie widział swojej rodziny. Listy matki były ciekawe, ale czytał je oddalony, zdawałoby się o całe lata świetlne od domu. Greg zdobywał się zaledwie na jeden, dwa listy rocznie. Ojciec umarł rok temu. I większość przyjaciół przestała pisać. Nie przerywała korespondencji tylko Serena. Głównie dzięki niej nie tracił łączności z cywilizacją, a teraz nagle był z powrotem w świecie już nie swojskim i szukał kobiety, której nie widział od trzech lat.

Wodził wzrokiem po tłumie, idąc powoli w stronę powitań: rąk machających, rąk trzymających kwiaty, rąk wyciągniętych gorączkowo do mężów, synów i kochanków, którzy wracali z wojny. I nagle zobaczył ją, tak piękną, że serce mu załomotało. Spokojnie stała, bardzo wysoka w prostej wąskiej sukience z czerwonego jedwabiu i z jedwabistymi włosami blond rozpuszczonymi na ramiona. Wielkie szmaragdowe oczy wlepiła w niego. Tak jak ona, był nadzwyczaj spokojny, nie zaczął wymachiwać rękami, nie spieszył się. Podszedł do niej miarowym krokiem. Objął ją, przytulił serdecznie i obojgu łzy popłynęły po policzkach. Zapominając o latach oddalenia, pocałował ją w usta, jak gdyby tym pocałunkiem zamykał raz na zawsze okres samotności i bólu. A jednak gdy odsunęli się od siebie, ona miała oczy pełne smutku. Teddy wrócił do niej, już to wiedziała, ale Brad nie wróci nigdy. Przez te trzy lata przecież wyczekiwała powrotu Brada, oszukiwała się, że to Brad jest w Korei, a nie Teddy. Teraz odczuła tę prawdę jak cios: jej mąż już nigdy nie wróci. Przez te trzy lata pisząc listy do Teddy'ego, pisała do Brada. Ci dwaj jakoś stopili się ze sobą w jej sercu. Teraz musiała znów stawić czoło rzeczywistości. Z sercem zamierającym usiłowała nie okazać żalu.

- Cześć, Sereno.

Uśmiechnęła się już po tym pierwszym wstrząsie i oboje spojrzeli jednocześnie na stojące

przy niej dziecko. Tu zobaczyli najwyraźniej te trzy stracone lata. Vanessa miała trzy i pół roku, gdy Teddy wyjechał, teraz była dziewczynką prawie siedmioletnią.

- Boże święty, królowo! - Z gwizdnięciem podziwu Teddy przykląkł przed nią. Niebieskie oczy mu jaśniały, uśmiechał się. - Ręczę, że nie pamiętasz stryja Teda.

- Pamiętam. - Vanessa przechyliła głowę i zaprezentowała w uśmiechu brak dwóch przednich zębów. - Mamusia mi pokazywała twoją fotografię co wieczór. Twoją i mojego tatusia, ale on nie miał wrócić. Mamusia mi powiedziała. Tylko ty.

- Tak. - Teddy jak Serena poczuł w sercu bolesne ukłucie, jednak nadal uśmiechał się do dziewczynki. - Stęskniłem się za tobą.

Przyglądając mu się, przytaknęła z powagą.

- Naprawdę jesteś doktorem? - Trochę się zaniepokoiła, gdy potwierdził. -Zrobisz mi zastrzyk?

Zachichotał potrząsając głową. Podniósł Vanesę i posadził ją sobie na ramieniu. - Na pewno nie. Zamiast zastrzyku może chcesz lody?

- Oj, chcę!

Ruszyli w doku do hali lotniska. Musiał wziąć swoją torbę, zanim mogli pojechać do mieszkania na Washington Street, które znalazł dla Sereny przed wyjazdem i które wspominał w dzień i w nocy w dżunglach Korei myśląc o niej. Teraz widział, że się zmieniała. Nie komentował tego, dopóki nie usiedli, żeby napić się kawy, w saloniku z widokiem na zatokę.

Przyjrzał się Serenie długo, badawczo: zobaczył smutek, powagę i zarazem jakąś czułość. Wziął ją za rękę, odstawiając filiżankę.

- Dorostaś, Sereno.

- Mam nadzieję. - Uśmiechnęła się. - Skończyłam dwadzieścia siedem lat,

- To bez znaczenia. Niektórzy ludzie nigdy nie dorosleją.

- Nie bez powodów dorosłam, Teddy. - Spojrzała w stronę sąsiedniego pokoju, w którym bawiła się Vanessa. - Tak samo jak ty.

Przytaknął powoli, przypominając sobie to, czego nie chciał pamiętać.

- Czasami myślałem, że żaden z nas nie przeżyje. - Zmusił się do uśmiechu. -Ale przeżyliśmy. I chyba takie doświadczenie okaże się czegoś warte. - Po chwili widząc wyraz jej twarzy, już nie mógł powstrzymać się od zapytania: - Wciąż jeszcze brakuje ci Brada?

- Tak. Was obu mi brakowało.

- I tylko jednego masz z powrotem. - Popatrzył na nią dziwnie. Zrozumiał wszystko, co zobaczył na jej twarzy, gdy spotkali się na lotnisku. - Może po prostu nie zawsze dociera do świadomości to, że ktoś nie wróci. Nie wiem. - Westchnął. -Czasami kiedy dostawałem list od

ciebie, dziwiłem się, dlaczego nie ma listu od niego. Dopiero po chwili sobie uświadamiałem. Przytaknęła ze zrozumieniem.

- On nie żył zaledwie od dwóch miesięcy, kiedy wyjeżdżałeś. Jeszcze ani ty, ani ja nie zdążyliśmy tego pojąć. - Już dobrze wiedziała, że właśnie tak było.

- Wiem - popatrzył na nią badawczo. - A teraz? Zdawała sobie sprawę, że to jest bardzo poważne pytanie.

- Myślę, że może dzisiaj pojęłam to ostatecznie. - Westchnęła cicho. - Poniekąd ukrywałam przed sobą tę prawdę. Zajmowałam się pracą i Vanessą. - O tym wiedział z jej listów.

- W wieku dwudziestu siedmiu lat niezbyt to bujne życie. - Po chwili uśmiechnął się łagodnie. - Wiesz, wyglądasz inaczej.

- Jesteś rozczarowany? - zapytała zaskoczona. Parsknął śmiechem.

- Och, Sereno. Czy przez te trzy lata nie przeglądałaś się w lustrze? Teraz ona się roześmiała.

- Aż za często! Nic innego nie robiłam.

- No tak czy owak, jesteś jeszcze piękniejsza niż wtedy, gdy cię tu zostawiłem. Rozbawiona, przymrużyła oczy.

- Czyżby wojna osłabiła ci wzrok, poruczniku? -i śmieli się oboje.

- Nie, księżniczko, wcale nie. Jesteś najpiękniejszą kobietą, jaką w życiu widziałem. Pomyślałem tak od razu, kiedyśmy się poznali w Nowym Jorku.

- Ach - zbyła komplement machnięciem ręki. - Teraz to makijaż i sztuczność.

- Nie. - Widział coś więcej. Coś, co trudno określić. Coś w jej twarzy, w oczach, w duszy. To była dojrzałość i łagodność, mądrość i cierpienie, i cała miłość, jaką przelewała na Vanessę. Czyniło ją to czymś więcej niż tylko piękną kobietą. Przykuwało wzrok ludzi i dawało się wyczuć. Patrząc na nią, zapytał: -Sereno, poważnie podchodzisz do zawodu modelki? - Nigdy w ciągu tych lat w Korei nie myślał o tym. Przyjmował, że ona musi mieć jakąś pracę, żeby płacić komorne. Ale teraz, gdy widział jej aparycję, smukłość, uczesanie, „zrobioną” twarz, jej ruchy, było dla niego jasne, że gdyby chciała, mogłaby jako modelka zrobić wielką karierę. Po raz pierwszy przyszło mu to na myśl.

Siedząc przy nim na kanapie Serena wzruszyła ramionami.

- Bo ja wiem, Teddy. Wydaje mi się, że nie. - Uśmiechnęła się i znów wyglądała jak bardzo młoda dziewczyna. - Po co byłby mi ten zawód, gdybym nie musiała płacić komornego? - Nadal z miesiąca na miesiąc ledwie wiązała koniec z końcem.

- Jesteś tak piękna, że mogłabyś jako modelka zarabiać mnóstwo pieniędzy. -Spojrzał na nią z mocą. - Skoro nie chcesz nic przyjąć ode mnie, chyba to dobry pomysł. Nigdy nie myślałaś, żeby

spróbować w Nowym Jorku? - O tym nie pisał w listach, ale teraz, gdy się nad tym zastanowił, zapalił się do tego z racji niezupełnie bezinteresownych.

- Nie wiem. Nowy Jork mnie przeraża. - Zdenerwowała się. - W Nowym Jorku mogłabym nie znaleźć pracy. - A przecież nęcąca była ta perspektywa, możliwość zarabiania więcej niż w ciągu ubiegłych trzech lat.

- Sereno, żartujesz? - Teddy wziął Serenę za rękę i poprowadził przed lustro. -Spójrz tylko, kochanie. - Zakłopotana, rumieniąc się, spojrzała na siebie i przystojnego blondyna stojącego za nią. - Z taką twarzą znajdziesz pracę modelki wszędzie na świecie. Principessa Serena... Księżniczka.

Gdy tak patrzyli na jej odbicie w lustrze, nagle sobie uświadomił, że dzieje się coś czarodziejskiego, jak gdyby on i ona ujrzeli się po raz pierwszy.

- Teddy, nie... Chodź... - Odciągnęła go od lustra wciąż zakłopotana, i wtedy, wolno ją odwrócił i pocałował, nagle ogarnięty falą pożądania, przecież od siedmiu lat potajemnie tę kobietę kochał. Ale poczuł, że ona w jego objęciach sztywnieje, więc się pohamował.

- Sereno... przepraszam. - Zbladł i drżał cały. - To był taki długi czas... i... -zająknął się.

Delikatnie ujęła jego twarz w dłonie. Spojrzała mu w oczy oczami pełnymi łez.

- Przestań, Teddy. Nie masz za co przepraszać. Wiedziałam, że tak będzie. Oboje wiedzieliśmy. Zwierzałyśmy się sobie przez trzy lata. - Odjęła dłonie od jego twarzy, uściskała go, wtuliła głowę w jego ramię. - Kocham cię, Teddy, jak brata. Zawsze cię tak kochałam. Myliłam się, kiedy myślałam, że może być w tym coś więcej. Od roku się zastanawiałam, chociaż nie przyznawałam się do tego przed sobą... no, miałam nadzieję, że wrócisz i... - zakrzuszyła się łzami - zastąpisz... Brada. - Czuła się winna nawet mówiąc to. Odsunęła się od Teddy'ego w końcu. - Nie powinnam była tego się spodziewać. To nie jest to samo. Dziwne. - Uśmiechnęła się przez łzy. - Jesteś tak bardzo do niego podobny, ale ty to ty. Kocham cię, ale jak siostra, nie jak kobieta, kochanka czy żona. - Słowa okrutne, bolały go tak, jakby rzucała w niego kamieniami, były jednak potrzebne. Zbyt wiele lat się łudził.

Patrzyła na niego uważnie, więc odetchnął i łagodnie powiedział:

- W porządku, Sereno. Rozumiem.

- Rozumiesz? - Spokojna, stanowcza, jeszcze piękniejsza niż ta Serena, którą pamiętał, stała w swej wąskiej jedwabnej sukience przed nim. - Nienawidzisz mnie za to, że nie mogę dać ci więcej?

- W żadnym razie bym nie poczuł do ciebie nienawiści. Bardzo cię kocham. I bardzo cię szanuję.

- Za co? - Oczy miała puste i smutne. - Czym zasłużyłam na twój szacunek?

- Przetrwiałaś... w okolicznościach parszywych dzięki mojej matce... Wspaniale wychowujesz Vanesę, rzuciłaś się do pracy, żeby ją utrzymać. Jesteś zdumiewająca, Sereno.

- Nie czuję się zdumiewająca. - Patrzyła na niego ogromnymi oczami. - Smutno mi, smutno, kiedy myślę, jak mało z siebie mogę ci dać.

- Mnie też jest smutno. Ale tak jest chyba lepiej. - Uściskał ją jeszcze raz modląc się, żeby jego pożądanie go nie zdradziło. Po chwili się odsunął. - Tylko mi przyrzeknij jedno. Jeśli kiedyś znów się zakochasz, a myślę, że to nieuniknione, postaraj się, żeby to był jakiś fantastyczny facet.

- Teddy! - Parsknęła śmiechem i napięcie tej półgodziny trochę zelżało. - Co ty pleciesz?

- Mówię poważnie. -i świadczyła o tym powaga na jego twarzy. - Zaslugujesz na najlepszego, jaki istnieje. A w twoim życiu potrzebny jest mężczyzna. - Wiedział z tego, co pisała mu w listach, jak pustelnicze prowadziła życie.

- Mnie mężczyzna nie jest potrzebny. - Teraz Serena się uśmiechała.

- Dlaczego?

- Dlatego że mam brata najwspanialszego na świecie. - Objęła go i pocałowała w policzek. - Ciebie.

Jej bliskość sprawiła, że w całym ciele poczuł mrowienie, ale przebyli w ciągu paru godzin długą drogę w przeszłość i już wiedział, gdzie jego miejsce.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI

Nazajutrz Serena musiała pojechać do pracy i zamiast zostawić Vanesę z opiekunką, zostawiła ją z Teddym. Po obiedzie odwiedzili ją oboje w domu towarowym. Zastali ją na pierwszym piętrze. Była w znakomitej balowej sukni z tafty lila, a Teddy z zapartym tchem na jej widok zatrzymał się przy drzwiach windy, żeby przez chwilę popatrzeć. Cóż za przepyszna kobieta rozkwitła w czasie jego nieobecności! Nawet Vanessa wyczuła w matce coś nadzwyczajnego i przyglądała jej się nieledwie z czcią. Serena wyglądała jak dama z jakiegoś bezcennego obrazu, gdy usiadła w fotelu i wyciągnęła ręce w długich po łokcie białych giewzowych rękawiczkach.

- Hej, kotku! Och, jakaś ty ładna! - wykrzyknęła. Teddy ubrał dziewczynkę w niebieską sukienkę organtynową, w białe skarpetki do kolan, w czarne lakierki i związał jej jasne włosy niebieską wstążką. - Cześć - uśmiechnęła się do niego. - Jak sobie radzisz?

- Jestem stworzony na przedszkolankę. - Gdy Vanessa na chwilę odeszła, popatrzył Serenie w oczy przeciągle, ale zaraz stał się znowu braterski.

- Jakie plany masz z Vanesą dziś po południu? - zapytała.

- Pójdziemy na lody. I już jej powiedziałem, że jutro pojedziemy do zoo.

- Nie chcesz mieć trochę czasu dla siebie? - Martwiła się. Co my będziemy robiły, kiedy wyjedziesz? - pomyślała. Ale może będzie przyjeżdżał w odwiedziny. Rozmawiali o tym rano przy śniadaniu, wszystko jednak poza teraźniejszością wydawało się bardzo dalekie. - Wrócę do domu o wpół do szóstej. Zwolnię cię.

Zachichotał cicho.

- Kiedy cię widzę w tym stroju, wydaje mi się, że nic, tylko chodzisz do opery.

- Niekoniecznie, mój drogi. - Uśmiechnęła się. - Dziś wieczorem muszę zrobić pranie. To tutaj jest na niby.

- Mnie byś na to nabrała - śmiał się cicho, a przecież był jej wyglądem olśniony.

Tymczasem Vanessa przybiegła i pokazała lizak, który dostała od jednej z ekspedientek.

- A teraz pójdziemy na lody! - oznajmiła radośnie matce.

- Wiem. Bawcie się dobrze.

Z dziwnym uczuciem Serena patrzyła, jak ręka w rękę odchodzą. Zawsze czuła się strasznie odpowiedzialna za Vanesę, jak gdyby nie było nikogo, kto by mógł ją przy tym dziecku zastąpić, ale patrząc teraz wiedziała, że może być spokojna. Gdyby w tej chwili coś jej się stało, Vanessa znalazłaby się pod dobrą opieką. Sama ta świadomość wystarczyła, by spadło z niej ciężkie brzemie.

Wieczorem we troje ugotowali spaghetti, potem Teddy czytał Vanessie przed zaśnięciem bajki, a Serena sprzątała. W spodniach i czarnym golfie, z włosami upiętymi wysoko, wyglądała zupełnie inaczej niż ta czarowna istota w balowej sukni lila po południu. Teddy to zauważył, gdy weszła do pokoju Vanessy i powiedziała im, że czas zgasić światło.

- Wiesz, ja poważnie pytałem wczoraj, czy odpowiada ci zawód modelki. -Kończyła sprzątać w kuchni i patrzył na nią żarliwie, jedząc winogrona. - Nadajesz się na modelkę-gwiazdę, Sereno. Nie wiem nic a nic o tej branży, ale wiem, jak wyglądasz, i drugiej takiej w tym kraju nie ma. Kupiłem dziś, kiedy chodziłem z Vanessą, kilka magazynów. - Wyciągnął je z torby na kuchenne krzesło i zaczął przerzucać stronicie. - Popatrz na to... dziewczyno. Żadna nie jest taka jak ty.

- Może podobają się właśnie takie. - Nie chciała traktować tego serio. - Słuchaj, Teddy. - Była prawie rozbawiona tą wiarą w jej możliwości. - Mam szczęście, że pracuję tutaj, że trzymają mnie, bo jestem przydatna, dobrze wyglądam w ich konfekcji. Ale to małe miasto, to nie Nowy Jork, gdzie konkurencja jest ogromna. Gdybym pojechała do Nowego Jorku, prawdopodobnie zostałabym wyśmiana.

- Chcesz spróbować? Serena wzruszyła ramionami.

- Nie wiem. Muszę się zastanowić. - Ale w oczach jej zapląsały światełka. Po chwili spojrzała na Teddy'ego już z powagą. - Nie chcę jednak pojechać tam na twój koszt.

- Dlaczego?

- Nie chcę korzystać z dobroczynności.

- A sprawiedliwość? - Zirytował się. - Przecież ja żyję z twoich pieniędzy.

- Jak to?

- Gdyby mój brat miał dosyć rozumu, żeby sporządzić testament, dostałabyś jego pieniądze i z niczym nie byłoby problemu. A tak dzięki mojej uroczej matce ten majątek przeszedł na jego braci. Dostałem połowę pieniędzy Brada, Sereno, naprawdę one należą do ciebie.

Stanowczo potrząsnęła głową.

- Jeżeli tak, to do Vanessy. - Spojrzała mu w oczy. - Więc kiedy ty napiszesz testament, może kiedyś... - Przykro jej było to powiedzieć, ale Teddy przytaknął.

- Testament sporządziłem przed wyjazdem do Korei, bo byłaś tak cholernie uparta, niczego nie chciałaś wziąć ode mnie.

- Nie ponosisz za mnie odpowiedzialności, Teddy.

- Cholernie bym chciał ponosić.

Nie odpowiedziała. Nie było kwestii. W żadnym razie nie zgodziłaby się przyjąć od niego wsparcia. Osiągnęła niezależność, chciała sama utrzymywać siebie i córkę.

- Dlaczego nigdy nie pozwalasz, żebym ci pomógł? Z powagą w oczach odrzekła:

- Dlatego że muszę radzić sobie sama. Nie ma nikogo, kto by dbał o mnie i o Vanesę zawsze. Teddy, ty masz swoje życie. Nie jesteś nam nic winien. Nic. Jedynym człowiekiem, na którego kiedykolwiek liczyłam, był Brad, ale to się skończyło, Brada nie ma.

- I myślisz, że nikt nigdy nie zajmie jego miejsca? - zadał to pytanie z bólem.

- Nie wiem. - Po chwili westchnęła cicho. - Ale wiem jedno: bez względu na to jak bardzo cię kocham, jak bardzo mi jesteś potrzebny, Teddy, nigdy nie dopuszczę do uzależnienia się od ciebie.

- Ale dlaczego? Brad chciałby tego.

- Nie, bo za dobrze mnie znał, widział, jak szorowałam podłogi w palazzo moich rodziców. Zresztą zawarłam transakcję z twoją matką.

Oczy Teddy'ego zapalały gniewem.

- Transakcję, która jej nic nie kosztowała, podczas gdy ty płacisz latami ciężkiej pracy.

- Nie szkodzi. Pracuję dla Vanessy.

- A o sobie nie pomyślisz? Czy nie masz prawa do czegoś więcej?

- Jeżeli będę chciała czegoś więcej, zdobędę to. Westchnął.

- Nie przypuszczasz, że kiedyś zmądrzejesz i wyjdiesz za mnie?

- Nie. - Serena uśmiechnęła się do niego łagodnie. - Poza tym, już jednego Fullertona oderwałam od rodziny... - Oczy jej spochmurniały, gdy to powiedziała. - Nie mogłabym zrobić tego tobie także. - Zresztą nie było prawdopodobne, żeby Margaret Fullerton kiedykolwiek do tego dopuściła. Wolałaby raczej widzieć Serenę martwą. O tym Serena wiedziała.

- Słabo mi się robi, kiedy pomyślę, jak skrzywdziła cię moja matka. - Teddy był teraz smutny i poważny.

- To już nieważne.

- Owszem, to jest ważne, kogo ty oszukujesz? I kiedyś będzie bardzo ważne dla Vanessy.

Potem oboje długo milczeli. W końcu Serena spojrzała na Teddy'ego z niepokojem.

- Jeżeli pojedę do Nowego Jorku, czy ona się nie uweźmie?

- Co masz na myśli? - zapytał wstrząśnięty.

- Sama nie wiem. Czy mnie jakoś nie wypędzi z Nowego Jorku, nie pokrzyżuje planów, jeżeli będzie mogła... Myślisz, że to by zrobiła?

Chciał zaprzeczyć, ale nie miał pewności.

- Ja bym na to nie pozwolił.

- Ty masz swoje życie i Bóg tylko wie, jak by się do tego zabrała.

- Aż tak potężna nie jest, do cholery jasnej.

- Nie? - Serena spojrzała na niego wymownie. Zbyt dobrze znała mściwość Margaret Fullerton.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY

- Będziesz do mnie pisać? - W oczach Sereny lśniły łzy, ale uśmiechała się, gdy Teddy pocałował ją po raz ostatni.

- Nie tylko. Będę dzwonił do ciebie. I będę przyjeżdżał do was z wizytą, kiedy tylko zdołam się wyrwać. - Jeszcze raz objął Vanessę. - Dbaj za mnie o mamusię, królewno.

- Dobrze, stryju. - Vanessa smutno zakwiliła, - Dlaczego nie możemy pojechać z tobą? Natychmiast podchwycił wzrok Sereny, która poczuła ołowiany ciężar w sercu. Dla Vanessy to znów utrata czegoś, co było. A nawet jeszcze gorzej, bo Teddy znowu zaczął stanowić jej terażniejszość.

Ucałowały go obie i po chwili już był w samolocie, a one stały na płycie lotniska i machały pożegnalnie rękami, gdy samolot zrywał się z pasa startowego. Wróciły do domu tak smutne, jakby połówki ich serc poleciały z Teddym w przestworza.

Po paru dniach zadzwonił do nich z Nowego Jorku. Powiedział, że wszystko idzie dobrze. Za tydzień zacznie pracować w szpitalu u jednego z najwybitniejszych chirurgów amerykańskich, żeby doskonalić się w tym, czego nauczył się w Korei. Nadmienił, że skontaktował się z żoną starego znajomego, która pracuje w agencji modelek. Dał jej wczoraj rano fotografię Sereny. Zadzwoni, gdy tylko będzie wiedział, jaka jest reakcja. Ale po tym telefonie Serena czuła jeszcze większą pustkę niż przedtem. Z bólem prawie fizycznym myślała o Teddym. Był tak daleko - ile czasu upłynie, zanim będzie mógł przyjechać? Oprócz Vanessy jedyny ktoś bliski. Żadnej rodziny poza tymi dwojgiem nie miała.

Zadzwonił w cztery dni później. Śmiał się, podniecony, nieomal bełkotał, gdy pytała, co się stało. Mogłoby się wydawać, że wygrał główny los na loterii.

- Chcą ciebie! Chcą ciebie!

- Kto mnie chce? - Zdezorientowana patrzyła na aparat telefoniczny.

- Ta agencja! Ta, gdzie dałem fotografię!

- Chcą mnie? Co to znaczy? - Nagle poczuła dreszcz podniecenia.

- To znaczy, że chcą, żebyś przyjechała do Nowego Jorku. Chcą reprezentować twoje interesy. Już myślą o kilku domach mody, do których mogą cię wysłać na początek.

- Ależ to absurd!

- Do diabła, żaden absurd. Sereno, jesteś najpiękniejszą kobietą, jaką w życiu widziałem, a ukrywasz się w jakimś pozał się Boże domu towarowym. Jeśli chcesz być modelką, to na litość boską przyjedź do Nowego Jorku i rzeczywiście bądź! Przyjedziesz?

- Nie wiem... muszę się zastanowić... mieszkanie... Vanessa... - Ale uśmiechała się i chichotała, w głowie trochę jej się kręciło.

- Rok szkolny jeszcze się nie zaczął. Jest sierpień. Zapiszesz Vanessę do szkoły tutaj.

- Ale nie wiem, czy mnie będzie stać na to. - Czuła zarówno strach, jak podniecenie. - Zadzwoń do ciebie, muszę się zastanowić.

Siedziała zdumiona, zapatrzona w zatokę za oknami. Modelka w Nowym Jorku... „Pierwszej klasy” - uśmiechnęła się do siebie... Czemuż by nie? Ale nagle znów się przeraziła. Nie sprostaby, to absurd. Ale z drugiej strony tak siedzieć w San Francisco, żyć tak nijako, pracować od rana do wieczora dzień po dniu? To także absurd. Ale co będzie, jeżeli Fullertonowie zaczną ją nękać? Albo może Teddy ma rację? Czy nie powinna zaryzykować i niech się dzieje co chce? Jeszcze się biedziła nazajutrz rano, gdy Teddy znów zadzwonił.

- Dobrze. Miałaś całą noc do namysłu. Kiedy przyjedziesz?

- Teddy, nie popędzaj. - Ale śmiała się przy telefonie. Jednocześnie w głębi duszy stawiała opór.

- Jeżeli nie będę cię popędzał, nigdy nie ruszysz się, żeby przyjechać. Miał rację i wiedzieli to oboje.

- Dlaczego mi to załatwiasz? - Teraz w jej głosie był wyraźny lęk.

- Są dwa powody. Pierwszy: chcę, żebyś tu była. Drugi: nie wątpię, że mogłabyś zrobić szaloną karierę.

- Nie wiem. Teddy. Muszę się nad tym zastanowić.

- Sereno, co za problem, do diabła? - I czekając na odpowiedź Teddy instynktownie już wiedział. - Chodzi o Brada? W San Francisco czujesz się blisko niego.

Tak właśnie było. Trafił w sedno.

- Owszem - potwierdziła udręczona. - Gdybym stąd wyjechała, to tak jakbym ostatecznie go opuściła. - Łzy jej napłynęły do oczu.

Teddy w Nowym Jorku westchnął.

- Sereno, jego już nie ma. Musisz myśleć o sobie.

- Myślę.

- Nie, wcale o sobie nie myślisz. Uparcie tkwisz w mieście, w którym mieszkałaś z nim. Ale to kiepski powód, żeby zrezygnować z kariery. Jak myślisz, co on by powiedział?

- Powiedziałby: wyjedź. - Nie wahała się ani przez sekundę. - Ale niełatwo mi usłuchać.

- Z pewnością. - Serce wrywało się Teddy'emu do niej. - Ale chyba powinnaś się zmusić.

- Zastanowię się nad tym.

Tylko tyle zdołał wyciągnąć od niej tego dnia. Potem nocą w łóżku rozważała każdy

możliwy aspekt takiej decyzji. Pragnęła wyjechać i jednocześnie rozpaczała na myśl o wyjeździe z San Francisco. Tutaj jest bezpieczna, tutaj mieszkała z Bradem, ale jak długo można trzymać się ducha? Już wygląda na to, że będzie przy nim trwała do końca swoich dni. Zdawała sobie z tego sprawę. Od trzech lat nie było żadnych mężczyzn w jej życiu, w którym wszystko kręciło się wokół Vanessy. Nowy Jork oznaczałby możliwość zmiany, rozpoczęcia czegoś nowego. leżała bezsennie jeszcze o piątej rano, rozważała to wszystko, aż nagle w dziwnym podnieceniu odwróciła się na łóżku, sięgnęła po telefon.

W Nowym Jorku była godzina ósma. Teddy w kuchni pił poranną kawę.

- No? - Uśmiechnął się, słysząc jej głos z San Francisco.

W swojej sypialni mocno zacisnęła powieki, wstrzymała na chwilę oddech, po czym świszczaco odetchnęła.

- Przyjeżdżam.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIĄTY

Mieszkanie, które Teddy znalazł dla Sereny w Nowym Jorku, było maleńkie. Serena podała górną granicę komornego, jakie może płacić, i wziął to pod uwagę na tyle, na ile zdołał nie wynajmując i nędznej nory. Znalazł to mieszkanie z jedną sypialnią w domu bez windy, na East Sixtythird Street pomiędzy Lexington i Third. Okolica była przyzwoita. Pociąg jeszcze przejeżdżał z turkotem w krótkich odstępach czasu ponad Third Avenue, ale na Lexington było dosyć przyjemnie, a na Park Avenue tylko o jedną przecznicę dalej było uroczo. Samo mieszkanie, widne i słoneczne, z oknami wychodzącymi na południe, składało się z dwóch pokoi z kuchnią: bardzo małej sypialni i ładnego saloniku.

Serena zachwyciła się tym mieszkaniem. Meble proste, bezpretensjonalne, wiklinowe fotele odświeżone białą farbą, jaskrawy kilim klockowy, wesole reprodukcje na ścianach i na łóżku Vanessy ładna kołdra, jak później odkryła, prezent od Teddy'ego. Wyglądało to na przytulny apartament gościnny w czymś dużym domu, a nie na całe mieszkanie. W kuchni, niewiele większej niż szafa, było akurat dosyć wszystkiego, żeby mogła gotować posiłki dla siebie i Vanessy, więc gdy zamknęła ostatnią szafkę i rozejrzała się, uśmiechnięta jak uradowane dziecko klasnęła w ręce. Vanessa już zaczęła gospodarować w domku dla lalek, który dostała od stryja Teddy'ego.

- Teddy, tu jest świetnie! Podoba mi się jeszcze bardziej niż nasze mieszkanie w San Francisco.

Teddy uśmiechnął się przepaszająco.

- Widoku z okien raczej bym nie porównywał. - Wyjrzał na inne wąskie kamieniczki stłoczone na tej ulicy i wyobraził je sobie w topniejącym śniegu, w błocie i sadzy za parę miesięcy. Odwrócił się. - Sereno, tak się cieszę, że przyjechałaś. - Wiedział, że z jej strony jest to akt wielkiego zaufania. A jeśli ona nie znajdzie tu pracy? A jeśli się mylił? Nigdy nic nie wiadomo.

- Ja też się cieszę. Konam ze strachu - powiedziała z uśmiechem - ale jestem zadowolona. - Podnieciło ją samo tempo Nowego Jorku, gdy jechali z lotniska.

Do końca tego wieczoru Teddy wyjaśniał jej, jak poruszać się po mieście, co gdzie jest, dokąd nie chodzić i gdzie są obszary najbezpieczniejsze. Im dłużej słuchała, tym bardziej to miasto jej się podobało. Miała nazajutrz być w agencji na pierwszej rozmowie, co również ją podniecało.

Ale następnego dnia rano, gdy weszła do Agencji Kerr, była zaskoczona. Nie zastała nic z nastroju swobody i niefrasobliwości panującego w tej branży w San Francisco. Tutaj panował wszechwładnie biznes: gorączkowy pośpiech pod naporem spraw nie pozostawiał ani chwili na

mitręzenie. Przy biurkach siedziały dobrze ubrane, dobrze umalowane kobiety rozmawiając przez telefon nad stertami fotografii i fotomontaży, mając przed sobą tablice z przypiętymi kartami zleceń. Raz po raz rozbrzmiewały dzwonki telefonów. Urzędowo skierowano ją do jednego z biur, przy którym siedziała przystojna brunetka w beżowym kostiumie z szorstkiej wełny, w beżowej jedwabnej koszulowej bluzce z grubym sznurem pereł na szyi, uczesana bezbłędnie „na pazia”.

- Widziałam pani fotografie parę tygodni temu - powiedziała Serenie ta kobieta. - Będzie pani musiała mieć nowe, chyba cały album. - Serena przytaknęła niemo, czując się zbyt głupio, żeby mówić. - Zna pani kogoś, kto może je zrobić?

Z oczami otwartymi szeroko Serena potrząsnęła głową. Była w jasnoniebieskim pulowerku, szarej spódnicy i granatowym blezerze, który kupiła w tym domu towarowym w San Francisco. Na nogach, pięknych, długich, zdawałoby się nieskończenie, co nie uszło uwagi tej kobiety, gdy siadając je skrzyżowała, miała czarne czółenka od Diora. Z włosami starannie upiętymi w kok i kolczykami z pereł wyglądała tak, jakby przyszła raczej na herbatę do znajomej w San Francisco niż na rozmowę w sprawie pracy modelki w Nowym Jorku. Ale zdenerwowana, po długim namyśle zdecydowała się ubrać zwyczajnie. I tak, cokolwiek by włożyła, na pewno im się nie spodoba, więc wszystko jedno, do diabła! Przyszła prawie drętwa z lęku, teraz wpatrywała się w brunetkę za biurkiem niepewnie.

Najprawdopodobniej nie zatrudnią jej. Teddy zwariował. Jakżeż ona by mogła być w Nowym Jorku modelką? A tymczasem brunetka w beżowym kostiumie, kiwając głową, zapisała coś na kartce, po czym jej dała tę kartkę.

- Proszę zwrócić się do tego fotografa, uporządkować zdjęcia z dawnej pracy, obciąć włosy, paznokcie polakierować na ciemnoczerwone i przyjść tu do mnie za tydzień. - I chyba odczytała w jej oczach wątpliwość, czy będzie po co, bo powiedziała z uśmiechem: - Będzie dobrze. Każda z początku się denerwuje. Tu u nas jest inaczej niż w San Francisco. Pani stamtąd, prawda? - Nagle okazała życzliwe zainteresowanie.

Serena w desperacji starała się ukryć onieśmienie.

- Mieszkałam tam siedem lat.

- Kawał czasu. - Brunetka przechyliła głowę, jak gdyby łowiła uchem akcent. - A gdzie pani była przedtem?

- Och! - Serena westchnęła czując się jeszcze bardziej nieswojo. - To długa historia. Przyjechałam z mężem do San Francisco z Paryża. Przedtem byliśmy w Rzymie. Jestem Włoszką. - Zobaczyła, że brunetka uniosła brwi.

- Mąż pani też był Włochem?

- Nie. Amerykaninem. - Omal nie dodała niecierpliwie, że była wojenną żoną, ale czemuż by miała być kąśliwa? Ta kobieta wydaje się zainteresowana szczerze.

- Więc dlatego mówi pani po angielsku tak dobrze?

Serena powoli potrząsnęła głową. W ciągu dwóch minut obcej kobiecie za biurkiem powiedziała o sobie więcej niż komukolwiek innemu od lat. Będąc żoną Brada świata nie widziała poza nim, Vanessą i Teddym, więc nie zaprzyjaźniła się z nikim w bazie, potem, gdy pracowała, pociągało ją tylko towarzystwo córeczki. A teraz nagle ni stąd, ni zowąd tej obcej wyjawiała tak wiele. Nic nie zostało do opowiedzenia, jeśli nie koszmar straty rodziców za sprawą Mussoliniego i śmierć męża. Ale jeszcze musiała odpowiedzieć na pytanie.

- Byłam w czasie wojny tutaj. Rodzina mnie tu wysłała. Brunetka wyraźnie zastanawiała się nad czymś.

- Jeszcze raz, jak pani się nazywa?

- Serena Fullerton. Brunetka się uśmiechnęła.

- To brzmi zbyt angielsko. Nie mogłybyśmy pani nazwać jakoś bardziej egzotycznie? Jak się pani nazywała z domu?

Z wahaniem Serena odpowiedziała:

- Serena di San Tibaldo - wymówiła to w całej pełni po włosku.

- Ślicznie... - Brunetka rozważała to chwilę. - Tylko że za długo... - Popatrzyła na Serenę z nadzieją. - Miała pani tytuł? - Dziwne było to pytanie, ale prowadziła sprzedaż ludzkich istot, pięknych twarzy egzotycznie nazwanych Tallulah, Zina, Zorra, Phaedra. Nie sklepik z takimi jak Nancy czy Mary, czy Jane. Patrzyła wyczekująco, a Serena na razie oniemiała.

- Ja... nie... ja... -i pomyślała: co do diabła, jaką to sprawi różnicę? Czy jeszcze to kogoś obchodzi? Nikt się nie zachłynie, nie uniesie brwi, nie wysunie sprzeciwu. Moja cała rodzina nie żyje i jeżeli tutaj tytuł ma znaczenie, co za sens go ukrywać? Jeżeli to oznacza dużo pieniędzy dla Vanessy i dla mnie, proszę bardzo. -Mam - zobaczyła, że ta kobieta mruży oczy, jak gdyby powątpiewała. - Principessa

- Księżniczka? - Brunetka rzeczywiście się zachłysnęła.

- Tak. Może pani sprawdzić. Podam datę urodzenia i wszystkie dane, jeżeli pani sobie życzy.

- Jejej - była bardzo zadowolona. - To powinno wyglądać bardzo ładnie przy pani zdjęciach... Księżniczka Serena. - Zezem znów spojrzała na kartę Sereny, coś dopisała i znów podniosła wzrok. - Niech pani przez chwilę siedzi wyprostowana. - Serena usłuchała. - A teraz niech pani przejdzie się do tamtego kąta i z powrotem. - Z wdziękiem, z głową podniesioną wysoko, Serena przeszła się i jej zielone oczy jaśniały. - Ładnie, bardzo ładnie. Mam myśl. Niech

pani poczeka, zaraz wrócę.

Po paru minutach brunetka wróciła nie sama.

- Pani Dorothea Kerr - zaanonsowała swoją szefową. - Prezes naszej agencji. - Nie musiała tego dodawać. Serena wstała szybko i wyciągnęła rękę.

- Bardzo mi miło.

Ale szczupła, wysoka dama o siwych włosach ściągniętych w tył i wydatnych kościach policzkowych podkreślających skośność jej ogromnych szarych oczu nie odwzajemniła się grzecznościową formułką. Tylko obrzuciła Serenę wzrokiem od stóp do głów jak konia czy kosztownego kota, którego zamierza kupić.

- Czy ten kolor włosów to twój naturalny?

- Tak.

Odwróciła się do brunetki w beżowym kostiumie.

- Wolałabym zobaczyć, jak wygląda bez tych rzeczy. Myślę, że powinniśmy ją wysłać do Andy'ego. Nie zawracaj sobie głowy z żadnym innym. - Brunetka przytaknęła i błyskawicznie to zanotowała. - Chcę mieć jej materiał za dwa dni. Zdąży się?

- Oczywiście. - To oznaczało pracę po godzinach dla wszystkich łącznie z Sereną, ale jeśli Dorothea Kerr chciała mieć „jej materiał” za dwa dni, to choćby się miało poruszyć niebo i ziemia, ten materiał za dwa dni być musiał. - Już do niego dzwonię.

- Świetnie. - Dorothea pożegnała Serenę skinieniem głowy i szybko odeszła. Prawie natychmiast drzwi jej gabinetu się zamknęły, a Serenie świat zakołował przed oczami. Słuchając rozmowy telefonicznej, zorientowała się po chwili, że ów Andy to Andrew Morgan, najwybitniejszy fotograf modelek na Wschodnim Wybrzeżu. Będzie mu pozowała do zdjęć jeszcze dziś przed południem, tylko najpierw musi pójść do fryzjera, żeby jej skrócił włosy.

- Trafi tam pani? - Bezimienna brunetka w beżowej wełnie z sympatią poklepała Serenę po ręce. - Rzeczywiście pani się jej spodobała. Nie chciałaby tych zdjęć za dwa dni, gdyby nie myślała już o czymś wielkim dla pani. - Ale Serenie nadal oszołomionej trudno było w to uwierzyć. - Podekscytowana, co? Drżącą ręką Serena wzięła kartkę z adresem fryzjera.

- Chyba tak - odpowiedziała. - Tyle stało się w ciągu niecałych pięciu minut, sama nie wiem, jak się czuję.

- No, tylko można się cieszyć. Nie każdej pierwsze zdjęcia robi Andy Morgan. - A n d y Morgan? Andy? Serena omal nie parsknęła jak wariatka śmiechem. Bo czyż da się zachować zdrowe zmysły wobec tego, co zaczyna się dziać? To nieprawdopodobne. To nierealne. Ja zwariowałam - myślała. Ale spojrzała na zegar i wiedziała, że już musi się pospieszyć.

- Czy mam się ubrać jakoś specjalnie do tych fotografii?

- Nie. Dorothea powiedziała, że każe wszystko przysłać. Jej się podoba zwłaszcza koncepcja księżniczki. Pewnie każe mu to wygrać w zdjęciach.

Przez chwilę Serena strasznie się denerwowała żalując, że to zdradziła. Ale było już za późno na żale. Brunetka jeszcze raz dokładnie jej wyjaśniła, gdzie i o której ma być, życzyła powodzenia, po czym wróciła do sterty fotografii i kart rejestracyjnych na swoim biurku.

Serena weszła do studia Andrew Morgana punktualnie, w myśl polecenia, o wpół do dwunastej przed południem. A wyszła stamtąd dopiero około dziewiętej wieczorem. Fotografował ją na czarno-biało i w kolorze, portretowo i bez pozowania, we wspaniałych kreacjach, w sukniach wieczorowych, i ubraną do tenisa, w kostiumach kąpielowych i w gronostajach, szynszylach, sobolach. W modelach Balenciagi i Diora, i Givenchy, i w klejnotach. Podczesywał jej włosy do góry i zczesywał w dół, robił jej makijaż delikatny i gruby, jaskrawy, ekscentryczny. W ciągu dziewięciu godzin u Andrew Morgana włożyła na siebie więcej sukien, kompletów, futer i biżuterii, niż nosiła przez te wszystkie lata pracy w San Francisco. Andrew Morgan był maleńkim człowieczkiem, elfem o cudownym uśmiechu rozjaśniającym jego czarne oczy za okularami w rogowej oprawie, na które wciąż mu spadały kosmyki srebrzyście szarej czupryny. W czarnym golfie i czarnych spodniach, w miękkich gienzowych „trumniakach” zdawał się skakać w powietrze, gdy fotografował. Patrzyła na niego jak na tancerza i oczarowana wypełniała dokładnie każde jego polecenie. Co więcej, on chyba rzucał przy pracy jakiś urok, bo pracowała z nim godzinami bez zmęczenia i dopiero w drzwiach mieszkania zdała sobie sprawę, że ma za sobą bardzo długi i wyczerpujący dzień. Vanessa już spała. Chciała czekać na mamę, ale Teddy jej wytłumaczył, że mamie teraz robią piękne fotografie i że to coś bardzo dla mamy ważnego. Przed snem przeczytał jej dwie bajki i zaśpiewał trzy kołysanki, a raczej dwie i pół, bo w połowie trzeciej zasnęła.

W dwa dni potem Dorothea Kerr sama przez telefon wezwała Serenę po południu do agencji.

Wchodząc tam, Serena czuła, jak kolana się pod nią trzęsą, dłonie jej zwilgotniały od potu. Dobrze, że Teddy znów miał popołudnie wolne, co rzadko mu się zdarzało... już w biurze pośrednictwa zgłosiła zapotrzebowanie na opiekunkę do dziecka, ale tak szybko nie dało się żadnej znaleźć. Przestała jednak się denerwować, gdy zobaczyła fotografie zrobione przez Andrew Morgana. On potrafił! Każde zdjęcie było jak dzieło sztuki, coś do powieszenia w muzeum i prawie nie mogła na nich poznać siebie. Nawet musiała przyznać, że Andy Morgan uchwycił coś przesadnego, jakąś olśniewającą królewskość.

Nie wierzyła, że jest tak piękna, z pewnością nie w prawdziwym życiu. Podniosła wzrok znad fotografii, zobaczyła, że Dorothea Kerr, rozparta w fotelu przy biurku, patrzy na nią zimnymi,

szarymi oczami, ogryzając oprawę okularów.

- No, my tu mamy to, czego nam potrzeba, Sereno. A ty? Interesuje cię to wszystko? Bardzo czy tylko trochę? Dostatecznie, żeby się temu poświęcić? Chcesz tylko mieć jakąś pracę, czy chcesz zrobić zawodową karierę? Bo ja muszę to wiedzieć, zanim zaczniemy marnować czas na osobę, której na tym nie zależy.

- Zależy mi ogromnie - powiedziała Serena szczerze, ale Dorothei to nie wystarczyło.

- Dlaczego? Kochasz ten zawód? Czy samą siebie?

- Nie kocham. - Serena spojrzała jej w oczy. - Mam córeczkę.

- I to jest jedyny powód?

- Po części. Tylko w ten sposób umiem zarabiać na utrzymanie, na dobre utrzymanie. I lubię tę pracę. - Oczy Sereny się zaiskrzyły. - Prawdę mówiąc, bardzo chcę spróbować szczęścia w Nowym Jorku. - Już okazywała podniecenie.

Dorothea się uśmiechnęła.

- Jesteś rozwiedziona?

- Jestem wdową z małą rentą z armii. W tym sęk. Dorothea się zainteresowała.

- Korea? - Serena przytaknęła. - A twoja rodzina nie pomaga ci?

- Nikt z mojej rodziny nie żyje.

- A jego rodzina? - Widząc wyraz twarzy Sereny, Dorothea nie czekała na odpowiedź. - Nieistotne. Jeżeli mówisz, że potrzebujesz tej pracy ze względu na córeczkę, najwidoczniej tak jest. Oby tylko to dziecko miało jak największy apetyt, żebyś nie mogła ustawać w pracy. - Uśmiechnęła się do Sereny, a uśmiechała się bardzo rzadko, i zapytała znów poważnie: - Co z twoim tytułem? - Westchnęła cicho. - Przeprowadziłam małe badanie, więc wiem, że jest autentyczny, Sereno. Masz ochotę go używać? Czy to byłoby wbrew naturze?

Serena się uśmiechnęła.

- Owszem, ale to bez znaczenia. Zgłosiłam się, bo chcę czegoś z panią dokonać. Jak pani to ujęła, zrobić karierę zawodową. Jeżeli tytuł pomoże - przełknęła ślinę, myśląc o babci - proszę, niech go pani wykorzysta.

- Pomoże nam wykreować obraz. Księżniczka Serena. - Dorothea zadumała się na chwilę. - Podoba mi się. Bardzo mi się podoba. A tobie? Jak ci to brzmi?

- Trochę niemądrze teraz. Od dawna jestem Serena Fullerton i właściwie nigdy nie używałam tytułu. To moja babcia była księżną.

- No - Dorothea spojrzała Serenie w oczy - przecież wyglądasz na księżniczkę. Czy może jeszcze o tym nie wiesz? W każdym razie poczekaj, aż zobaczysz swoje fotografie wszędzie w mieście, wtedy będziesz wiedziała. I - zaczęła ogryzać z kolei ołówkę - ponieważ jesteś

księżniczką, zażądamy książęcej gaży, sto dolarów za godzinę pozowania Księżniczki Sereny. Będziemy sprawiać wrażenie, że pieniądze nie są ci potrzebne, że robisz to ot tak sobie, dla żartu, więc jeżeli chcą ciebie, muszą wypruć kieszenie. - Sto za godzinę. Serenę zatkało. Za jedną godzinę sto dolarów? Czy ktokolwiek ją zaangażuje? - Dobrze, zrobimy ci album. Bądź tu jutro, Sereno! Wyśpij się porządnie, włosy, paznokcie, twarz doprowadź do perfekcji. Włóż coś prostego czarnego i bądź tu rano o wpół do dziesiątej. Wyślemy cię jutro z twoim albumem, zaczniesz pracować. Ale ostrzegam: będziemy ci załatwiać tylko te wielkie angaże za sto dolarów godzina, mnóstwo mniej ważnej pracy będziemy odrzucać. To znaczy, wchodzisz od razu na szczyt, jesteś w pierwszej lidze, więc musisz być doskonała. Jakiegokolwiek uchybienie, a staniemy się pośmiewiskiem. Ty i ja.

- Będę dokładać wszelkich starań. - Zielone oczy napęłniły się łzami. Z dwudziestu siedmiu lat połowa uleciała. - Przrzekam.

- Nie przyrzekaj. Tylko staraj się rzeczywiście. - Dorothea Kerr spojrzała na Serenę surowo.
- Jeżeli nie będziesz się starać, księżniczka czy nie księżniczka, wylecisz. - Tu mówiąc odwróciła się i wyszła z gabinetu.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SZÓSTY

Miesiąc później Margaret Fullerton zobaczyła pierwszą reklamę. Całą stronicę New York Times wypełniało ogłoszenie firmy wprowadzającej na rynek nowe kosmetyki. Zaangażowano Serenę do tego zdjęcia w pośpiechu, ale wyszło rewelacyjnie. Margaret Fullerton znalazła tę gazetę złożoną na biurku, gdy Teddy przyjechał na kolację. Nie mówiła o tym nic, dopóki nie usiedli przy kawie w bibliotece. Wtedy wzięła gazetę z biurka ostrożnie, jak gdyby ten papier był zakazony.

Powoli podniosła wzrok na syna i długo na niego patrzyła zaczynając kipieć gniewem.

- Nie powiedziałeś mi, że ona jest w mieście. Bo chyba o tym wiesz? - Wwierciła się w niego wzrokiem. Wiadomo jej było, że nie przestał utrzymywać kontaktu z Sereną i że ogromnie lubi Vanessę, bo wiele razy na próżno usiłował ją przekonać do tej dziewczynki. Nie wątpiła więc, że Serena go zawiadomiła o swoim przyjeździe do Nowego Jorku. - Dlaczego mi nie powiedziałeś?

- Nie myślałem, że to cię interesuje. - Skłamał, ale patrzył jej w oczy śmiało.

- To dziecko też jest tutaj?

- Tak.

- Mieszkają tu?

- Mieszkają.

Z pogardą Margaret rzuciła:

- Jak podejrzałam, ta dziwka jest niewiarygodnie wulgarna. Teddy osłupiał.

- Mamo, jak możesz, na litość Boga, mówić tak o niej? Jest nie tylko wspaniała, ale diabelnie wytworna. Aristokratka. Popatrz na to zdjęcie.

- Dziwka i modelka, nic więcej. To wszystko, co tu widzisz, mój chłopcze drogi, jest sztuczne w sposób skrajnie wulgarny. - Ale z pewnym zainteresowaniem Margaret Fullerton zauważyła, że reklamowane są kosmetyki firmy, w której zarządzie zasiadała. - Przypuszczam, że się z nimi widujesz.

- Tak. - Serce Teddy'emu biło, gdy powściągał gniew. - i zamierzam widywać się dalej z nią i Vanessą tak często, jak tylko będę mógł. Ta mała jest moją bratanicą, a Serena wdową po moim bracie.

- Twój brat miał gust ubolewania godny, jeśli chodzi o kobiety.

- Tylko jeśli chodzi o poprzedniczkę Sereny. - Trafione. Pattie prawie złamała Grega, który był teraz zdeklarowanym alkoholikiem. - Wiesz, mamo. - Wstając spojrzał na matkę groźnie. - Chyba już nie chcę tu siedzieć, kiedy tak szkalujesz Serenę.

- Dlaczego? Czyżbyś ty też z nią sypiał? Tak jak niewątpliwie już połowa Nowego Jorku.

- Boże! - ryknął Teddy. - Co jej możesz zarzucić?

- Wszystko. Zrujnowała karierę mojego syna, pośrednio to ona go zabiła, jeszcze ci mało? Teddy, twój brat nie żyje z winy tej kobiety! - Ale oczy miała pełne nie żalu, tylko wściekłości i pragnienia zemsty.

- On poległ na wojnie w Korei, na miłość boską, czy może to się nie liczy? Tak piekielnie jesteś zaprzątnięta swoją vendettą, że nie potrafisz przyjąć prawdy? Czy nie dosyć ją skrzywdziłaś? Gdyby to zależało od ciebie, ona by po śmierci Brada skonała z głodu. Od czterech prawie lat sama utrzymuje to dziecko, zapracowuje się, a ty masz czelność nią pogardzać, i jeżeli chcesz wiedzieć, do cholery, wciąż jest wierna Bradowi.

- A skąd ty to wiesz? - Teraz matka przymrużyła oczy, zainteresowana. Ale Teddy już nie był roztropny i nie panował nad sobą.

- Stąd, że kocham ją od wielu lat. I wyobraź sobie, ona mnie nie chce. Ze względu na Brada i ze względu na ciebie. Nie chce wejść pomiędzy nas. O rany! -przeczesał palcami włosy. - Tak bym tego pragnął!

- Pragnąłbyś? Nie wątpię, że to dałoby się załatwić. Ale tymczasem, chłopcze, proponuję, żebyś otworzył oczy. Ona ciebie nie chce, bo najprawdopodobniej wie, że jestem mądrzejsza od niej, więc żadnych korzyści by z tego nie wyciągnęła.

- Myślisz, że ona dla korzyści wyszła za Brada?

- Z całą pewnością. Na pewno też nie wątpiła, że w razie potrzeby będzie mogła unieważnić nasz kontrakcik.

- No to dlaczego nie spróbowała? - Teddy nadal mówił niepokojąco podniesionym głosem. Matka patrzyła na niego zirytowana.

- Myślę, że adwokaci jej odradzili.

- Przyprawiasz mnie o mdłości.

- Jeszcze nie o takie, o jakie cię przyprawię, jeżeli nie będziesz trzymał się od tej kobiety z daleka. To nędzna kanciara, nie dopuszczę, żeby cię wykorzystywała tak jak Brada.

- Nie ty kierujesz moim życiem.

- Nie bądź tego tak pewny. Zdaje ci się, że jakim cudem dostałeś się na praktykę do tego swojego ulubionego chirurga?

Spojrzał na nią ze zgrozą.

- Ty to zrobiłaś?

- Ja. - Przez chwilę było mu słabo i postanowił zwolnić się nazajutrz, ale po chwili już wiedział, że odrzuciłby sposobność, jaka już mu się nigdy nie nadarzy. Po raz pierwszy w życiu matka zadała mu cios poniżej pasa. Znienawidził ją za to.

- Jesteś godna pogardy.

- Nie, Theodore. - Oczy miała twarde i zimne jak lśniące marmurowe kulki. - Jestem silna i inteligentna. Przyznasz, że to interesujące połączenie zalet. I niebezpieczne. O tym pamiętaj trzymając się od tej swojej kochaneczki jak najdalej.

Wpatrywał się w nią przez chwilę oniemiały, po czym odwrócił się i wyszedł z pokoju. Nie upłynęło pół minuty, gdy usłyszała trzaśnięcie frontowych drzwi.

Podobny odgłos Serena usłyszała nazajutrz rano w agencji, gdzie czekała w sekretariacie Dorothei Kerr. Drzwi trzasnęły, ściany się zatrzęsły i nagle Dorothea stanęła przed nią.

- Chodź do gabinetu! - nieomal wrzasnęła. Serena usłuchała, kompletnie oszołomiona.

- Coś się stało?

- Ty mi powiesz co. Reklama kosmetyków w New York Times... Do tej agencji reklamowej był telefon z macierzystej firmy, że jeżeli kiedykolwiek jeszcze zrobię reklamę z tobą, stracę konto. Czym to wytłumaczysz? Zdaje się, że przyjechałaś do Nowego Jorku nie z czystą tabliczką, tylko z jakimiś starymi rachunkami do spłacenia, a ja doprawdy nie chcę, żeby twoja cholerna wojna psuła mi interesy. No mów, co, do diabła, się dzieje?

Serena patrzyła, nie rozumiejąc, nagle jednak coś jej zaświtało.

- O Boże... nie. - Podniosła rękę do ust, oczy jej zaszyły łzami. - Przepraszam. Natychmiast odejdę z agencji.

- Akurat odejdiesz. - Dorothea chyba jeszcze bardziej się rozgniewała. - Mam dla ciebie osiemnaście zamówień na najbliższe dwa tygodnie. Więc nie rób z siebie uciśnionej dziewczycy, tylko wyjaśnij mi, z czym mam do czynienia A potem pozwól, że ja zdecyduję, czy cię odprawić, czy nie. Tutaj decyzja należy do mnie, nie zapominaj! - Serena słuchała tych przykrych słów z bojaźnią, ale gdyby przyjrzała się Dorothei, zobaczyłaby w jej oczach zatroskanie. Dorothea dobrze wiedziała, że Serena jest bardziej niż trochę naiwna, i to budziło w niej nieprzeparte pragnienie, żeby ją chronić. - Dobrze, mów już Sereno. Chcę dowiedzieć się, o co chodzi.

- Nie wiem, czy zdołam to omawiać. - Łzy wolno spływały po policzkach Sereny strużkami czarnymi od tuszu.

- Wyglądasz jak maskara. Proszę.

Dorothea dała Serenie pudełko bibulek, a potem szklanę wody. Serena wytarła nos, odetchnęła głęboko, wypila wodę i opowiedziała wszystko od samego początku. O utracie rodziny w czasie wojny, o tym, jak poznała Brada i jak bardzo go pokochała, o jego zerwanych zaręczynach z panną z nowojorskiej elity i o wściekłości matki Brada, i nawet o kontrakcie, który matka Brada kazała jej podpisać. Opowiedziała o śmierci Brada i o utraconym dziecku, i o pracy na utrzymanie Vanessy przez ostatnie trzy lata.

- I to już wszystko. - Ciężko westchnęła i znowu wytarła nos.

- Wystarczy. - Dorotheę ta opowieść wzruszyła, wzburzyła, postawiła w stan gotowości bojowej. - Z pewnością to niewiarygodnie zła kobieta.

- Pani ją zna? - zapytała Serena ponuro. Przecież nie ma sposobu, żeby pokonać Margaret Fullerton. Po pięciu tygodniach w Nowym Jorku wiedziała, że jej teściowa już znowu zabiera się do niej. Tego właśnie się bała, gdy rozważała wyjazd do Nowego Jorku, uspiła jednak obawy płonną nadzieją, że są bezpodstawne.

- Znam tylko ze słyszenia. Ale na Boga, chciałabym ją spotkać.

- Żałowałaby pani tego - powiedziała Serena z chłodnym uśmiechem. - Przy niej Atylla to maminsynek.

Dorothea spojrzała swojej nowej modelce prosto w oczy.

- Nie miej złudzeń, siostró, ona teraz trafiła na równą sobie.

- Niezupełnie. Pani nie jest podła. - Serena rozparła się na krześle wyczerpana. - Pozostaje mi tylko zrezygnować i wrócić do San Francisco.

- Jeżeli zrezygnujesz... - Dorothea nie odrywała od niej wzroku - zaskarżę cię. Podpisałaś kontrakt z moją agencją, więc chcesz tego czy nie, ja cię zatrzymam.

Serena uśmiechnęła się. Czy to sposób uchronienia jej?

- Ale straci pani wszystkich klientów, jeżeli tu będę.

- Ona nie każdą dużą firmę w Nowym Jorku ma we władaniu. I jeśli już o tym mowa, chcę zlikwidować jej powiązania handlowe z tą klasą kosmetyków.

- Nie wydaje mi się...

- To dobrze. Niech ci się nie wydaje. Nie musi. Zrób sobie twarz na nowo, za dwadzieścia minut masz próbę.

- Proszę pani, błagam...

- Sereno. - Szefowa wyszła zza biurka i już bez słowa ją objęła. - Miałaś tyle ciężkich przejść. Ja ciebie nie zawiodę. Potrzebujesz kogoś, kto by cię bronił. - Prawie szepnęła głosem bardzo łagodnym. - Potrzebujesz przyjaźni, dziecino, niech ja przynajmniej to zrobię dla ciebie.

- Ale czy to nie zaszkodzi pani agencji? - Serenę znów ogarnął strach.

- Bardziej by nam zaszkodził twój wyjazd i dlatego chcę, żebyś została. Chcę, żebyś wytrzymała i pokonała tych drani. Sereno, jedyny sposób to nie ustąpić. Wytrwaj ze względu na mnie... na siebie - i Dorothea wyciągnęła atut. - Na swojego męża. Myślisz, że on by chciał, żebyś uciekała przed jego matką?

Serena zastanowiła się nad tym, zanim odpowiedziała.

- Nie, nie chciałby.

- Dobrze. Więc obie stajemy do walki. Już ja tę babę usadzę z powrotem na jej miejscu, nawet jeżeli będzie musiała to zrobić własnymi rękami.

Serena wiedziała, że to nie przerośnia.

- Niech pani tego nie robi.

- Masz jakiś istotny powód?

- To wywoła otwartą wojnę.

- A ty myślisz, że co jest teraz? Zadzwoiła do firmy kosmetycznej, zadzwoniła do agencji i kazała cię wylać. Powiedziałabym, że dosyć otwarcie. - Serena uśmiechnęła się przerażona. - Zostaw to mnie. Ty rób swoje. Ja będę robić swoje. Nieczęsto zdarza mi się walczyć o kogoś, kogo lubię. A ciebie lubię. - Uśmiechnęła się do siebie.

- Ja też panią lubię. I nie wiem, jak dziękować.

- Nie dziękuj. Tylko zmiataj stąd na ten swój pokaz. Zadzwoię tam i powiem, że się spóźnisz. - Machnięciem ręki odprawiła Serenę, która w drzwiach odwróciła się i szepnęła:

- Dziękuję.

Gdy drzwi się zamknęły, Dorothea miała oczy wilgotne. W dziesięć minut później umówiła się przez telefon na spotkanie z Margaret Fullerton.

To spotkanie było krótkie i niezbyt miłe. Margaret dowiadując się, o co chodzi, złodowaciała. Ale Dorothea wcale się tym nie spieszyła. Doradziła jej stanowczo trzymać się jak najdalej od kariery zawodowej Sereny, bo w przeciwnym razie poda ją do sądu.

- Czy to znaczy, że pani jest przedstawicielką tej dziewczyny?

- Nie. Jestem prezesem agencji modelek. I nie mówię słów na wiatr.

- Ja także, pani Kerr.

- A więc się rozumiemy.

- Czy mogę zaproponować, żeby pani klientka zmieniła nazwisko? Już nie ma prawa go nosić.

- Legalnie ma prawo, jeśli się nie mylę. Ale to nieważne. Ona nie używa pani nazwiska, używa swojego tytułu.

- Typowo wulgarnie. - Margaret Fullerton wstała. - Jeśli się nie mylę, powiedziała pani już wszystko, co miała pani do powiedzenia.

- Niezupełnie, pani Fullerton. - Dorothea też wstała, bardzo wysoka, swego czasu była piękną modelką. - Chcę jeszcze powiedzieć, że dziś rano zaangażowałam dla Sereny adwokata. Zostanie on poinformowany o pani szykanach i o kosztach, jakie pani musi ponieść za pozbawienie Sereny jednego zlecenia. I w razie jakichś dalszych kłopotów prasa będzie miała używanie. Czyż pani przyjaciele od serca nie zechcą czytać o pani w Daily News?

- Myślę, że to są czcze pogrożki. - Ale Margaret Fullerton była sina z wściekłości. Dotychczas nikt jej nie groził i nie zdarzało się często, by spotkała przeciwnika równego sobie, a już wśród kobiet nigdy.

- Nie liczyłabym na swoją szczęśliwą gwiazdę, gdybym była na pani miejscu. Bo ja mówię poważnie. Serena będzie najświetniejszą modelką w tym mieście niezależnie od pani podchodów, więc lepiej żeby pani się z tym pogodziła. - Idąc do drzwi, Dorothea spojrzała pogardliwie przez ramię. - Dziwne, że nie jest pani zażenowana tym, co pani zrobiła. Wie pani, takie rzeczy wcześniej czy później wypływają. A takiego rozgłosu pani chyba nie chce.

- Pani mi grozi? - Margaret patrzyła na przeciwniczkę wyprostowana złowrogo, ale ręce jej się trzęsły.

- W istocie. - Dorothea uśmiechnęła się słodko. - Tak. - i wyszła. Margaret Fullerton chętnie by ją zabiła.

Wieczorem zatelefonowała do Teddy'ego i powiedziała mu kategorycznie:

- Zabraniam ci widywać się z tą kobietą.

- Nie możesz, mamó, niczego mi zabraniać. Jestem dorosły. Co mi zrobisz... każesz mnie zwolnić z pracy? - Wiedział już od Sereny o tym wszystkim.

- Mogę w każdej chwili zmienić testament.

- Proszę bardzo. Nigdy nie obchodziły mnie twoje pieniądze. Jestem lekarzem. Potrafię na siebie zarobić. I rzeczywiście wolę to.

- Może będziesz musiał. Ja naprawdę nie żartuję. - Ja też nie. Dobranoc, mamó.

Cisnął słuchawkę, a ona się rozplakała. Po raz pierwszy w życiu czuła się bezsilna. Ale niedługo. Margaret Fullerton była kobietą pomysłową i zdecydowaną. Niech mnie diabli - pomyślała - jeżeli Serena Fullerton... czy jak się tam nazywa... wygra następną rundę.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SIÓDMY

Przez następny miesiąc Vanessa prawie wcale nie widywała matki. Przebywała z opiekunką i ze stryjcem Teddym, a mama wracała do domu co wieczór o siódmej czy ósmej za bardzo zmęczona, żeby jeść czy rozmawiać, czy w ogóle się ruszać. Osuwała się w gorącą wodę w wannie albo nieraz bez kąpieli kładła się spać. Teddy był straszliwie zajęty w szpitalu, po kilka godzin dziennie w sali operacyjnej i musiał wstawać o czwartej rano. Znajdował jednak czas, żeby pomagać Serenie. Przynajmniej to mógł zrobić wobec ciągłych chytrych wysiłków, jakie czyniła Margaret pragnąc wykończyć Serenę. Adwokaci Dorothei Kerr nie mieli dostatecznych powodów do zaskarżenia, a przecież wszędzie, gdzie tylko to było możliwe, bruździła. Nawet insynuowała prasie, że Serena jest nie księżniczką, tylko posługaczką z Rzymu, która szorowała podłogi w jakimś palazzo i stamtąd wzięła swój tytuł. Oczywiście, nie padała przy tym wzmianka, że ów palazzo należał kiedyś do jej rodziny. Serena uważała, że zaprzeczanie i podawanie prawdziwej wersji nie ma sensu. Zresztą zbyt wiele miała bardzo wyczerpujących zajęć. W ciągu dwóch miesięcy ciężkiej pracy i zdenerwowania ubyło jej czternaście funtów. Z każdym zleceniem wydawała się coraz piękniejsza, coraz bardziej wyrafinowana, par excellence wielka modelka z wielkich domów mody w Nowym Jorku, w Paryżu czy w Londynie. Nikt by nie uwierzył, że to nowicjuszka. Pracowała sumiennie, spisywała się doskonale, nawet zdaniem Dorothei Kerr. Ze swoim tytułem dała się poznać w mieście i od pierwszej chwili bez drgnienia wypłacano jej ustalone przez Dorotheę Kerr gaże. Już odłożyła pokaźną sumę i dumnie mogła płacić za naukę Vanessy w cudownej małej szkole prywatnej na Ninety-fifth Street. Szkołę prowadzono na sposób całkowicie europejski, wszystkie lekcje w języku francuskim. Już po dwóch miesiącach Vanessa była dzieckiem dwujęzycznym i to znów przypominało Serenie, że powinna uczyć Vanesę włoskiego. Ale teraz nie był czas na to. Za dużo pracy. Teddy nie posiadał się z podziwu.

- No, słynna damo, jakie to uczucie być najbardziej wziętą modelką w Nowym Jorku?

- Nie wiem. - Uśmiechnęła się do niego, gdy z gazetą siedział przy niej na podłodze w pewną niedzielę. - Zanadto jestem wyczerpana, żeby mieć jakiegokolwiek uczucie. - i spojrzała na niego szelmowsko. - To twoja wina, Teddy, wiesz.

- Nie, to dlatego że jesteś taka brzydka. - Pocałował ją w policzek i spojrzał badawczo. - Masz jakichś kawalerów?

Zastanawiając się, dlaczego on o to pyta, odpowiedziała wymijająco:

- Przecież brak mi czasu. - Ale zaraz zdecydowała się być szczerą. - Chciałabym. Myślę, że ostatecznie jestem gotowa. No, ktoś przychodzi ci na myśl?

- Prawdę mówiąc - powiedział raczej nieśmiało - mój kolega chirurg błaga mnie, żebym ci go przedstawił. Gdyby lekarze mieli szafki, całą swoją wykleiłby twoimi zdjęciami.

Roześmiała się. Wyobraziła to sobie.

- Miły jest? - Ostatnio rzeczywiście chciała poznać miłego mężczyznę. Przez cztery lata nie mogła przeboleć Brada, ale teraz już prowadziła nowe życie. W San Francisco wszystko za bardzo wciąż jej Brada przypominało, tutaj w Nowym Jorku wszystko było inne. - Czyby mi się podobał?

- Możliwe. Jest rozwiedziony. I chyba trochę za cichy. Znow się roześmiała.

- Chcesz przez to powiedzieć, że ja jestem głośna?

- Nie. - Uśmiechnął się do niej jak brat. - Ale stałaś się olśniewająca, dzieciaku. Może ci potrzebny ktoś bardziej błyskotliwy.

- Czy rzeczywiście tak bardzo się zmieniłam? - To nią wstrząsnęło. B.J. nie był błyskotliwy. Był pełen miłości, solidny i silny. Marzyłby się jej ktoś taki, z drugiej jednak strony już nie była tamtą dziewczyną, z którą B.J. się ożenił. Wówczas miała dziewiętnaście lat i wydawało się, że wieki minęły od tamtych czasów, od lat powojennych, gdy tak bardzo się od niego uzależniła. Teraz nie opiera się na nikim z wyjątkiem Teddy'ego. - Może zorganizuj kolację z tym swoim chirurgiem?

Teddy zobaczył, że jest zainteresowana. A jeszcze pół roku temu natychmiast by odmówił.

Ale jak się okazało, do tej kolacji nigdy nie doszło. Planu zajęć Sereny nie można było zmienić. Rzeczywiście nie miała czasu na kolację z kolegą Teddy'ego. Po kilku próbach umówienia ich Teddy zrezygnował, niezupełnie pewny swoich pobudek, wciąż jeszcze zaniepokojony głębią swego uczucia do niej. Agencja zasypywała ją zleceniami w gorączkowym tempie. Nawet Vanessa skarżyła się nieraz.

- W ogóle już ciebie nie widuję, mamusiu.

Ale w siódme urodziny córki Serena zabrała ją i jej koleżanki do cyrku. Było to wielkie wydarzenie i Vanessa wybaczyła jej chaos poprzednich kilku miesięcy.

Sytuacja jednak nie uległa poprawie. Serena miała dosłownie tylko jeden wolny dzień w święto Bożego Narodzenia, które spędziła z Vanessą i Teddym, i już nazajutrz rano w futrze, narzuconym na kostium kąpielowy, pędziła po śniegu, podskakując z rozwianą blond grzywą przed kamerą Andy'ego Morgana. W dwa tygodnie później wysłano ją na zdjęcia do Palm Beach, potem na Jamajkę i wkrótce po powrocie do Nowego Jorku znowu w teren, do Chicago. Udawało jej się za każdym razem brać ze sobą Vanessę, dosyć jej tym wywracając porządek nauki w szkole, ale co wieczór po pracy odrabiała z nią lekcje tak chętnie, że nikt nie miał pretensji o długie godziny jej pracy.

Nadeszło lato. Dorothea Kerr podniosła jej gażę do dwustu dolarów za godzinę i

„Księżniczka” była tematem nowojorskich plotek, tłustym kąskiem dla każdego fotografa w kraju. Dorothea Kerr czuwała nad karierą „Księżniczki” nieustannie, kontrolowała surowo wszystkie jej poczynania, co Serena bardzo sobie ceniła. Była wdzięczna tej starszej pani za przewodnictwo i serdecznie obie się zaprzyjaźniły. Rzadko się widywały poza godzinami urzędowania, ale nieraz rozmawiały długo w gabinecie Dorothei, nie szczędzącej zawsze doskonałych rad. Szczególnie co do Margaret Fullerton, która na razie przestała być problemem. Serena odnosiła zbyt duże sukcesy, żeby oszczercze wiadomości o niej mogły odnieść skutek. Dorotheę to cieszyło.

- Mam nadzieję, Sereno, że ta praca cię bawi, bo to jest rzeczywiście uciecha, dopóki trwa, a przecież nie trwa wiecznie. Zbijesz na tym duże pieniądze. Odkładaj je, żeby zrobić z nimi coś rozsądnego. - Dorothea za pieniądze, które zarobiła jako modelka, założyła agencję, ale Serena nie miała takich ambicji. - I pamiętaj, że ta praca jest tylko na jakiś czas. Teraz jest twój dzień, potem przyjdzie kolej na inną.

Dorothei Kerr podobał się stosunek Sereny do pracy. Dziewczyna inteligentna, z poczuciem kierunku i nie szasta się, nie bywa w nocnych lokalach, po pracowitym dniu wraca do domu, cokolwiek robi, nikt o tym nie wie. Dorothea miała dosyć modelek, które się upijają, trafiają do aresztu, zakłócają spokój publiczny, kupują sportowe samochody i rozbijają się, romansują z międzynarodowymi playboyami, a potem próbują, oczywiście bez rezultatu, popełnić samobójstwo możliwie jak najbardziej publicznie. Serena różniła się od nich. Wracała do swojej córeczki. Dorothea zawsze podejrzewała, że w jej życiu jest niewielu mężczyzn, a i to są spotkania bardzo powściągliwe, nic poważnego w jej wdowieństwie.

Latem minął rok, odkąd Serena przeprowadziła się do Nowego Jorku, i było to lato tak pełne pracy, że ledwie mogła chwilę spędzić z Teddym. Vanessę szczęśliwie wyprawiła na dwumiesięczny obóz szkolny.

W połowie sierpnia wobec przeciążenia codziennymi zleceniami poprosiła Dorotheę, żeby nie planować ich aż tyle. Musiała trochę odsapnąć, zdecydowała się postarać o co najmniej tydzień wolny przed powrotem Vanessy.

- Nie można by tego wszystkiego odłożyć na dwa tygodnie? - Patrzyła na Dorotheę błagalnie.

Dorothea spojrzała na listę klientów domagających się Sereny i uśmiechnęła się wyrozumiale.

- Szczęściara z ciebie, Sereno. Tylko popatrz - pokazała jej tę listę, a ona jęknęła i osunęła się w fotel. Była w krótkiej białej płóciennej spódniczce i opalaczu w białe i czerwone paski, w czerwonych sandałach. Na jednej ręce miała mnóstwo bransolet czerwonych i białych, wyglądała jak lizak miętowy, gdy wstała z fotela, świeża, młoda, jasnowłosa, idealnie wypielęgnowana. Nic

dziwnego, że połowa fotografów w mieście chciała robić jej zdjęcia, już nie mówiąc o dziesiątkach fotografów we Włoszech, Francji, Niemczech i Japonii. - Wiesz, prawie ci zazdroścę. Chciałabym myśleć, że ze mną było tak samo. Ale chyba tak nie było. Z drugiej strony - Dorothea się uśmiechnęła - ty masz o wiele lepsze pośrednictwo, niż ja miałam w moich czasach.

Serena ze śmiechem odgarnęła ręką włosy.

- Więc można mi zrobić przerwę na dwa tygodnie, Dorotheo? Mnie naprawdę jest to potrzebne. Nie wyjeżdżam przez cały rok. - Teddy poleciał do Newport kilka dni przedtem i rzeczywiście mu zazdrościła pobytu nad morzem. Chciał ją zabrać tam na Przylądek, ale ona po wyjeździe Vanessy dwa razy bardziej zajęta, nie mogła się wyrwać. Teraz przynajmniej, gdyby dostała urlop, wyjechałaby do Hampton Beach, czy nawet zostałyby w mieście i luksus nad luksusami - poleżałaby przez parę dni w łóżku!

- Zobaczę, co się da zrobić. - Dorothea zadumała się nad listą. - Rzeczywiście jedyne zlecenie, którego chyba nie mogę przesunąć - zerknęła na nazwisko - Vasili Arbus.

- Kto to?

- Nie znasz go? - Dorothea się zdziwiła.

- A powinnam znać?

- W Londynie mają go za drugiego Andy Morgana. Na pół Anglik, na pół Grek i zupełny wariat, ale... - zastanawiała się nad nim przez chwilę - w swoim fachu nadzwyczaj dobry.

- Taki dobry jak Andy? - Po roku w Nowym Jorku Serena знаła ich wszystkich i Andy Morgan też stał się jej przyjacielem. Od czasu do czasu jadała z nim obiad w studiu między zdjęciami i nieraz po zdjęciach długo rozmawiali o pracy. Nic fizycznego nie było w tej przyjaźni, ale bardzo go lubiła.

Dorothea jeszcze rozważała.

- Nie wiem. Jest znakomity. Jakiś inny niż wszyscy. Zobaczysz.

- Muszę mu pozować?

- Nie mamy wyboru. Zamówił cię już trzy miesiące temu z Londynu, kiedy dostał zlecenie i wiedział, że przyjedzie tu właśnie teraz. Przyjechał tylko na parę tygodni, wykona to swoje amerykańskie zlecenie i pojedzie z powrotem do Europy. Podobno ma jeden dom w Londynie, drugi w Atenach, mieszkanie w Paryżu i willę na południu Francji.

- Czy on tylko podróżuje, czy także pracuje? - Nie wiadomo, dlaczego te szczegóły zirytowały Serenę. Facet wydawał się zepsuty do szpiku kości, a ona spotkała kilku takich. Międzynarodowy playboy ukrywający się za kamerą, którą wykorzystuje, żeby w nowy ciekawy sposób podrywać dziewczyny. Takich ona nie potrzebowała. Była profesjonalistką i pracowała jak profesjonalistka. Vasili Arbus stanowczo jej nie odpowiadał.

Dorothea podniosła na nią oczy za okularami.

- Nie dałabyś mu szansy? -i zaznaczyła: - Jako fotografowi. Nie mężczyźnie. Jest szalenie czarujący, ale to ktoś, z kim lepiej się nie zapomnieć. Co nie znaczy, żebyś ty chciała. - Uśmiechnęła się do Sereny już rozbawionej.

- Chyba znają mnie w tej branży jako Lodową Dziewicę. Dorothea potrząsnęła głową.

- Nie sądzę, Sereno. Chyba większość ich po prostu wie, że ty sienie puszczasz. Tym łatwiej im z tobą pracować. Nie mają żadnych nadziei poza czysto zawodową.

- No, postaram się, żeby pan Arbus to zrozumiał. Dorothea nie zdołała powstrzymać się od uśmiechu.

- Z nim możesz mieć trochę więcej kłopotu.

- Och? - Serena uniosła arystokratyczną brew. Nigdy nie miała ani trochę kłopotu z żadnym fotografem, bo po prostu nie chciała mieć.

- Przekonasz się. On jest jak czarujące duże dziecko.

- Fantastyczne. Ja chcę jechać na urlop, a ty mnie pchasz do pracy z jakimś dziecinny playboyem. - Dorothea znów się zastanowiła. Serena nienaumyślnie doskonale określiła Arbusa. Właśnie taki jest, dziecinny playboy. - W każdym razie postaraj się coś zrobić. Jeżeli nie zdołasz go odwołać, będę mu pozowała. Tak żeby odbębnił tę pracę szybko i żebyśmy mogła wyjechać na wypoczynek, póki mojej rodziny nie ma. - Miała dwa tygodnie czasu przed powrotem Vanessy z obozu i Teddy'ego z Newport.

- Zrobię, co będę mogła.

Ale nazajutrz rano Dorothea powiedziała Serenie, że może przesunąć na późniejsze terminy wszystko z wyjątkiem Vasiliego Arbusa. Czeką na nią w swoim studiu dziś o drugiej po południu.

- Dużo czasu zajmą nam te zdjęcia?

- Powiedział, że chyba dwa dni.

- Dobrze. - Serena westchnęła. Dwa dni jeszcze wytrzyma, jeszcze zdąży na kilka dni wyjechać, wypocząć. Do Teddy'ego w Newport, oczywiście, ze względu na jego matkę nie mogła dołączyć, ale tym się nie martwiła. Wiedziała, że jego życie tam to przyjęcie po przyjęciu, a jej na urlopie nie chciałoby się nawet uczesać.

Dostała adres studia, z którego korzystał Arbus, sprawdziła swoje zaopatrzenie: szminki, spray do włosów, lusterka, pędzelki, cztery pary pantofli, kostium kąpielowy, szorty, pończochy, trzy różne staniki i trochę prostej biżuterii. Nigdy nie wiadomo, co w pracy okaże się potrzebne.

Zgłosiła się pod ten adres punktualnie o wpół do trzeciej i wprowadził ją do studia asystent Arbusa, bardzo przystojny młody człowiek. Mówił po angielsku z obcym akcentem, niezupełnie sepleniąc, niezupełnie bełkocząc. Miał ciemnobrązowe włosy i oliwkową cerę, wielkie oczy i

chłopięcy wdzięk. Słusznie domyśliła się, że jest Grekiem.

- Widzieliśmy mnóstwo twoich zdjęć, Sereno. - Patrzył na nią z uznaniem. - Vasili cię podziwia.

- Dziękuję. - Uśmiechnęła się miło do niego. Ile on może mieć lat? Wygląda na dziewiętnaście. Dwudziestoośmioletnia, poczuła się jego babcią.

- Napijesz się kawy?

- Dziękuję. Mam już zacząć się malować? - Chciała też wiedzieć, jak się uczesać, ale czarnooki młodzieniec potrząsnął głową.

- Tylko się zrelaksuj. Dzisiaj nie będzie zdjęć. Vasili chce przedtem cię poznać. Za dwieście dolarów godzina? Płaci, żeby przedtem mnie poznać? Serena wyraźnie się zdziwiła.

- Kiedy zaczniemy pracować?

- Jutro. Pojutrze. Wtedy, gdy Vasili będzie gotów.

O Boże, już widziała, jak jej urlop wyleci przez okno, gdy Arbus będzie ją poznawał.

- On zawsze tak? - Wydawało jej się to głupotą. Chciała wykonać pracę i wrócić do domu.

- Czasami. Jeżeli klient jest ważny, a modelka nowa. Vasili przykładą wagę do tego, żeby znać swoje modelki.

- Och, naprawdę? - zapytała z lekkim przekąsem. Miała nadzieję, że nie za dużą wagę. Przyszła nie po to, by się zabawiać z Vasilim. Przyszła do pracy przed obiektywem i na tym koniec.

Ale gdy zaczęła coś mówić asystentowi, poczuła za sobą czyjąś obecność. Odwróciła się i napotkała wzrok tego mężczyzny tak magnetyczny, że się zachłysnęła. Zaskoczył ją, bo ni stąd, ni zowąd stanął bardzo blisko, ale też sam był zaskakujący. Jego włosy lśniły jak onyks, oczy, roziskrzone w przyjaznym uśmiechu, miał jak czarne klejnoty, twarz szeroką, prostokątną, wysoko osadzone kości policzkowe, pulchne zmysłowe usta. Opalony na kolor miodu, wysoki, szeroki w ramionach, wąski w biodrach, długonogi, w czerwonej koszulce gimnastycznej, dżinsach i sandałach rzeczywiście wyglądał jak model fotografa, a nie fotograf.

- Cześć, jestem Vasili. - Mówił z wyraźnym, chociaż lekkim akcentem greckim. Przywitał się uściskiem ręki i Serena przez chwilę była wprost oczarowana, ale zaraz zaczęła się z siebie śmiać. Idiotka, tak się zachwycić jego aparycją.

- Jestem Serena.

- Ach. - Podniósł rękę, jak gdyby nakazywał ciszę. - Księżniczko. - Złożył głęboki ukłon żartobliwie, a przecież patrzył na nią tak, jakby ją pieścił wzrokiem, aż ona, o dziwo, zapragnęła przytulić się do tej szerokiej piersi, znaleźć się w tych mocnych ramionach. - Rad jestem, że przyszłaś tu dzisiaj, żeby nas poznać.

Czy powiedział „nas” o sobie i swoim asystencie, czy tylko o sobie w liczbie mnogiej jak król? Serena się uśmiechnęła.

- Myślałam, że przyszłam do pracy.

- Nie. - Znow podniósł rękę władczo. - Dzisiaj nie. To zlecenie jest zbyt ważne. Moi klienci zawsze rozumieją, że najpierw muszę dobrze się zaznajomić z moimi podmiotami.

Wbrew sobie pomyślała, że ta konieczność przecież ich kosztuje majątek, ale najwidoczniej dla niego to nie miało znaczenia.

- Co ma być na zdjęciach?

- Ty. - Oczywiście! Ale nadał temu taki wydźwięk, że poczuła się osobistością, nie modelką, która ma sprawić, że suknia czy samochód, czy komplet ręczników, czy nowy gatunek lodów będzie wyglądać zachęcająco.

Spróbowała inaczej, gdy on nie spuszczał z niej wzroku. Omal jej wzrokiem nie dotykał, i czuła się dziwnie, do głębi poruszona. Opierała się temu, udawała przed sobą, że nic nie czuje, a przecież coś jej szeptało, że Vasili Arbus odegra niemałą rolę w jej życiu. Jak gdyby to było przecucie. Zakazując sobie myśleć o tym, pytała dalej o zdjęcia, do których miała pozować.

Powiedział jej, przytaknęła. Będzie pozowała z dziećmi, z dwoma mężczyznami i sama. Reklamują nowy samochód.

- Umiesz prowadzić?

- Oczywiście.

- To dobrze. Ja nie mam amerykańskiego prawa jazdy, pojedziemy na plażę, tam będziemy robić zdjęcia.

Za dwieście dolarów godzina zwykle nie żądano od niej, żeby była szoferem, ale Vasili Arbus sprawiał, że wszystko wydawało się proste, naturalne, miłe i chciało się przytakiwać, cokolwiek mówił. Patrzył na nią z zainteresowaniem, wiedziała, że pewnie ogląda płaszczyzny jej twarzy do zdjęć, ale czuła się jak obnażona. Przywykła do tego, że zgłaszała się na zlecenie, przygotowała się i pracowała niemal anonimowo. Dziwnie było teraz i trochę krępująco. I gdy patrzył na nią, doznała wrażenia, że widzi ją wyraźnie, całą, jaka jest i jaka nie jest. Nie tylko „Księżniczkę”, twór agencji Kerr, ale rzeczywistą osobę.

- Jadłaś już obiad?

Prawie się złękła, znow zaskoczona. W ciągu tego roku pozowania w Nowym Jorku nikt nigdy nie zatroszczył się, czy jest zmęczona, głodna, chora czy wyczerpana. Nikt nigdy nie zapytał, czy zjadła obiad.

- Ja... no... w tym pośpiechu...

- Nie. - Pogroził jej palcem. - Nigdy, nigdy się nie śpiesz. - Specjalnie opieszale odstawił

filiżankę z kawą i wziął z krzesła jaskrawozielony sweter z wełny szetlandzkiej. - Idziemy. - Wyciągnął rękę.

Serena niewiele myśląc ujęła go za tę rękę i byli już w połowie drogi do drzwi, gdy sobie przypomniała o swoich rzeczach.

- Zaraz... moja torba... -i zapytała nerwowo: - Dokąd idziemy?

- Coś przekąsić. - Olśnił ją śnieżną doskonałością uśmiechu. - Nie obawiaj się, księżniczko, wrócimy.

Było jej głupio, że się denerwuje, ale jego bezceremonialność zbijała ją z tropu - czego można po kimś takim się spodziewać?

Na dole czekał srebrny bentley z szoferem. Vasili wsiadając nonszalancko podał szoferowi po angielsku adres, który nic Serenie nie mówił. Ale dopiero gdy przejechali przez Most Brooklyn, poważnie się zaniepokoiła.

- Dokąd jedziemy?

- Przecież ci powiedziałem. Na obiad. - Przymrużonymi oczami popatrzył na nią i zapytał: - Skąd jesteś?

Po chwili wahania, niepewna, o co mu chodzi, odpowiedziała:

- Z Nowego Jorku... z Agencji Kerr. Roześmiał się.

- Nie, nie. Pytam, gdzie się urodziłaś.

- Aha - zachichotała nerwowo. - W Rzymie.

- W Rzymie? - powtórzył zaskoczony. - Jesteś Włoszką?

- Tak.

- Więc ten tytuł... jest prawdziwy? - Zdumiał się, gdy przytaknęła. - No, niech mnie piorun trzaśnie! - Odwrócił się do niej z uśmiechem. - Prawdziwa księżniczka. - I po włosku: - Una vera principessa. - I na sposób włoski powitał ją uroczyście całując w rękę, bardzo rozbawiony. - Mój angielski pradziadek był hrabią. Ale jego córka, moja babcia popełniła mezalians, wyszła za człowieka szalenie majątnego, tylko że bez żadnych arystokratycznych koligacji. I on dalej robił pieniądze, kupował i sprzedawał fabryki, prowadził handel z Dalekim Wschodem, więc ich syn, mój ojciec musiał mieć trochę bzika. Opatentował szereg nadzwyczajnych mechanizmów do zastosowania na statkach, a potem dał się wciągnąć w interesy armatorów na Dalekim Wschodzie i w Ameryce Południowej. Na zakończenie ożenił się z moją matką, Alexandrą Nastassos i udało mu się zabić siebie i ją w katastrofie jachtu, kiedy miałem dwa lata. I dlatego - przechylając się do Sereny, zniżył głos - prawdopodobnie ja też mam trochę bzika. Wychowywała mnie rodzina matki, rodzice ojca już nie żyli. Więc dorastałem w Atenach, uczyłem się w Eton w Anglii, bo przypuszczali, że mój ojciec chciałby tego. Potem w Cambridge dostałem kopniaka - to powiedział

z dumą - zamieszkałem w Paryżu i ożeniłem się. A potem wszystko stało się straszną nudą. - Jego olśniewający uśmiech był jak eksplozja w samo południe. - Teraz ty opowiedz mi o sobie.

- Boże święty, w dwudziestu pięciu słowach czy krócej? - Serena uśmiechnęła się do niego, dosyć zadziwiona tą opowieścią. Samo nazwisko Nastassos wystarczyło, by każdemu zaimponować. Jedną z najmożniejszych rodzin armatorów w Grecji. Myśląc o tym, Serena przypomniała sobie niejasno, że i o Vasilim już słyszała. Był czarną owcą w tej rodzinie. Żenił się chyba siedem razy. Reportaż z jego trzeciego ślubu zamieszczono na pierwszej stronie gazety w San Francisco - ożenił się wtedy z jakąś daleką kuzynką królowej.

- O czym myślisz? - Patrzył na nią z nie ukrywaną dziecięcą ciekawością w tym ogromnym srebrzystym samochodzie z szoferem zapatrzonym prosto przed siebie.

- Myślę - odpowiedziała szczerze - że kiedyś o tobie czytałam.

- Naprawdę? - zapytał rozbawiony. - Zaczekaj, chyba nie o moim ślubie z Brigitte, pierwszą żoną, mieliśmy wtedy po dziewiętnaście lat. Siostra kolegi z Eton. Ale może o ślubie z drugą, to była Anastasia Xanios. - Pomyślała, że cudownie, potoczyście wymawia słowa, i akcent ma cudowny. - Mogłaś czytać o niej albo może o Margaret. - Podniósł swe wielkie oczy. - Kuzynce królowej. - Tak starał się ją zgorszyć, że parsknęła śmiechem.

- Ile razy się żeniłeś?

- Cztery - wyznał uczciwie.

Policzyła w myśli i spojrzała na niego uśmiechając się tak szeroko jak on.

- O jednym ślubie nie powiedziałaś. Przytaknął, ale już bez śmiechu.

- O ostatnim.

- Z kim? - Jeszcze nie rozumiała, że czwarte małżeństwo nie było takie jak trzy poprzednie.

- To... ona była Francuzką. Modelką. - Oczy miał teraz chmurne, tragiczne. - Umarła wskutek przedawkowania. Miała na imię Helenę.

- Och, tak mi przykro. - Serena dotknęła jego ręki. - Rzeczywiście przykro. Ja też owdowiałam. - Wiedziała, co mógł czuć po śmierci tej ostatniej żony. Wciąż żywo pamiętała niewiarygodny ból żałoby po B J., a od jego śmierci minęły już cztery lata.

- Jak twój mąż umarł? - Vasili patrzył na nią teraz łagodnie.

- W Korei. Był jednym z pierwszych poległych na kilka dni przed wypowiedzeniem wojny.

- Więc ty też przez to przeszłaś. - Zastanowił się. Dziwne. - Wszyscy z tego żartują... żonaty cztery razy... jeszcze jedna żona. Ale za każdym razem przecież jest inaczej. Za każdym razem... - Patrzył na nią, a jej chciało się płakać. - Za każdym razem kocham tak, jakby to był pierwszy raz. A Helenę, jak dziecko... Miała dwadzieścia jeden lat.

Serena nie zapytała, dlaczego to się stało. Przyjęła, że to było samobójstwo,

przedawkowanie tabletek na sen. Żadne inne środki odurzające nie mieściły się w jej wyobraźni. Vasili potrząsnął głową i mocno ujął ją za rękę.

- Życie jest dziwne czasami. Bardzo rzadko to rozumiem. No, ale - przechylił głowę nagle z chłopięcym uśmiechem - już się nie staram. Żyję sobie z dnia na dzień. - Westchnął ciężko. - Mam swoją pracę, swoich przyjaciół i ludzi, z którymi pracuję. Kiedy mam w ręku aparat fotograficzny, zapominam o wszystkim.

- To szczęśliwie dla ciebie. - Serena aż nazbyt dobrze wiedziała, że praca przytępia ból. - Czy masz dzieci, Vasili?

- Nie. - Posmutniał, a potem wzruszył ramionami z lekkim uśmieszkiem. - Może jeszcze nie spotkałem tej właściwej kobiety. A ty, Sereno, masz dzieci?

- Jedno. Córeczkę. - Oczy jej się rozjaśniły.

- Jak jej na imię?

- Vanessa.

- Doskonale. I to blondynka zupełnie taka jak ty?

- Ach, nie. Blondynka bardzo podobna do swojego ojca. - Serena się roześmiała.

- Czy był przystojny? - Vasili się zainteresował.

- Owszem. - Ale to wydawało się już takie dalekie. Cztery lata, szmat czasu.

- Mniejsza z tym. - Pochylił się i pocałował ją w policzek, a ona musiała sobie przypomnieć, że Vasili Arbus jest fotografem, który będzie robił jej zdjęcia, a nie kimś z przyjaciół. Ale wydawało jej się, że zna go już od wielu lat. Dziwnie spokojna czuła się przy nim teraz, oczarowana, jak gdyby na czarodziejskim dywanie leciał z nią do jakiegoś baśniowego kraju.

W kilka minut później samochód zatrzymał się i wysiedli. Byli przed restauracją rybną w Sheepshead Bay. Restauracja na zewnątrz wyglądała dosyć nędznie, ale w sali pachniało bogato - gotowanymi mięczakami, topionym masłem, rybami i przyprawami z ziół, podgrzewanym, świeżym chlebem. Zjedli wyśmienity obiad w nie zakłóconym spokoju i dochodziła już godzina piąta, gdy wyszli z restauracji.

- To było po prostu boskie - powiedziała Serena, przyjemnie syta i zrelaksowana. Chętnie by się gdzieś wyciągnęła i zdrzemnęła. Vasili objął ją ramieniem i wymachiwał swoim swetrem w powietrzu. Z pewnością nie był to nastrój popołudnia pracy.

Uśmiechnęła się do tego fotografa serdecznie, gdy przy samochodzie odsunął się z ukłonem, żeby szofer pomógł jej wsiąść. Potem sam wsiadł, wydał szoferowi polecenie i po paru minutach zorientowała się, że nie jadą z powrotem do jego studia.

- Czy to jeszcze jedna przygoda? - Ostatecznie obiad w Sheepshead Bay nie mieścił się w jej harmonogramie. Ale Vasili tylko uśmiechnął się tajemniczo i wziął ją za rękę. Już nie zdołała

wzbudzić w sobie uczucia, że czas nagli, ani wzburzenia. I przecież w domu nikt na nią nie czekał.

- Dokąd jedziemy? - Rozparła się na wygodnym siedzeniu, uśmiechnięta.

- Na plażę.

- O tej porze? - zdumiała się, ale nie zaniepokoiła.

- Chcę z tobą zobaczyć zachód słońca, Sereno. - Pomysł raczej dziwny, ale nie chciała się sprzeciwiać. Czuła się z tym mężczyzną tak dobrze, jak z żadnym od lat. I co więcej, była szczęśliwa. On ją wprost zalewał jakąś joie idę vivre, która od dawna, a może nawet nigdy nie była jej udziałem.

Szofer dokładnie wiedział, dokąd ma jechać. Pędzili przez różne brzydkie, nieduże podmiejskie osiedla, aż w końcu ten ogromny bentley zatrzymał się statecznie przed małym molo. Przy molo kołysał się uwiązany prom i było już kilkoro pasażerów. Zdążyli akurat na czas.

- Vasili? - Teraz Serena się zdenerwowała. - Co to jest?

- Prom. Popłyniemy na Fire Island. Znasz tę wyspę? - Potrząsnęła głową. - Bardzo ci się tam spodoba. - Vasili tak wyraźnie wiedział, co robi, że przestała się denerwować. - Nie będziemy tam długo. Zobaczymy zachód słońca, przejdziemy się po plaży i wrócimy. - Z jakiegoś powodu ufała mu, jak gdyby wszystko w nim jej mówiło, że pod jego opieką jest bezpieczna. Jakoś sprawiał wrażenie, że można na nim polegać.

Weszli we dwoje na prom, który zaraz odbił od mola. Płynęli pół godziny. Wysiedli na małe wąskie molo Fire Island i Vasili poprowadził Serenę przez tę wyspę prosto na plażę, której widok zaparł jej dech w piersiach. Był piękny. Owiany łagodnymi falami pas piasku idealnie białego, wyciągający się na długość prawie trzydziestu mil w ocean.

- Och, Vasili, to niewiarygodne.

- Czyżby? - Vasili się uśmiechnął. - Mnie zawsze przypomina Grecję.

- Często tu przyływasz?

Wolno potrząsnął głową i czarne oczy roziskrzyły się.

- Nie. Sereno, nieczęsto. Ale chciałem tu być z tobą.

Przytaknęła i odwróciła się nie wiedząc, co powiedzieć. Nie chciała z nim flirtować, a jednak wydawał się taki otwarty, taki ujmujący, miał w sobie coś magnetycznego, co ją przyciągało. Przez jakiś czas spacerowali po plaży, potem usiedli, żeby patrzeć, jak słońce zachodzi, i siedzieli, on obejmując ją ramieniem, zdawałoby się, przez długie godziny, gdy zapadał zmierzch. W końcu wstał leniwie i pomógł jej wstać, bosej, bo sandały wepchnęła w kieszenie, i z włosami rozwianymi. Dotknął jej twarzy ręką, pochylił się, bardzo delikatnie ją pocałował, po czym wolno poprowadził przez plażę z powrotem do przystani promu. Na promie w drodze powrotnej mówili niewiele. I ona ze zdumieniem zdała sobie sprawę, że kilka ostatnich minut

przespała opierając się na jego ramieniu. Ale był właśnie takim mężczyzną. Gdy już wsiedli do bentleya, podkpiwał z tej drzemki, śmiali się i żartowali. W godzinę od zejścia z promu stała już przed swoimi drzwiami na East Sixty-third Street i nie potrafiłaby wyjaśnić, co właściwie się zdarzyło w ciągu ubiegłych ośmiu godzin. Było dopiero parę minut po dziesiątej, a czuła się tak, jakby wróciła z wielkiej podróży do kraju baśni z tym niezwykłym, czarnookim mężczyzną.

- No to do jutra, Sereno - powiedział bardzo łagodnie i nie spróbował pocałować jej znowu. Przytaknęła z uśmiechem, pomachała mu ręką, zanim otworzyła z klucza drzwi domu, weszła do sieni i jak we śnie ruszyła po schodach na górę.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY ÓSMY

Nazajutrz po dniu spokojnym i czarownym nastąpił dzień pracy z Vasilim pełnym morderczego zapamiętania. Bezustannie, godzina po godzinie robił zdjęcia Sereny w studiu, w samochodzie z modelami, »z dziećmi, zdjęcia Sereny samej, zdjęcia samego samochodu. Stwierdziła, że tak nie pracował nawet Andy Morgan. Od Vasiliego było jakieś wariackie podniecenie, naelektryzowanie, aż wszyscy w studiu, gdy ten dzień się skończył, ledwie zipali. Sam Vasili mokry od potu, w granatowej koszulce gimnastycznej przywierającej jak tapeta, musiał wytrzeć ręcznikiem twarz i ręce, zanim usiadł. Wydawało się Serenie, że jest jedyną adresatką uśmiechu, który rozpromienia mu oczy. Podeszła, jak gdyby przyciągnięta, i usiadła obok niego.

- Powinieneś być bardzo zadowolony,

- Tak samo jak ty, księżniczko. Spisałaś się fantastycznie. Zobaczysz, co to będą za zdjęcia.

- Pewnie już skończyliśmy. - Ku swemu zdumieniu była rozczarowana, ale potrząsnęła głową. - Jeszcze nie? Masz zamiar robić dalej? Zrobiliśmy dzisiaj wszystkie, jakie można sobie wyobrazić.

- Nie, ależ skąd? - Spróbował udawać oburzenie, zadawały mu jednak kłam roześmiane oczy. - Dzisiaj były tylko zdjęcia w studiu, jutro popracujemy w terenie.

Uśmiechnęła się do niego.

- Gdzie?

- Dowiesz się.

I nazajutrz się dowiedziała. Upatrzył sobie wzgórze i dziki mały kanion w New Jersey. Fotografował ją tam, gdy prowadziła samochód, gdy leżała na masce samochodu, gdy niby to zmieniała oponę, gdy dokonywała przy samochodzie wszelkich czynności z wyjątkiem przeglądu silnika. Pod koniec dnia to ją nawet bawiło. On dobrze poznawał nie tylko swoje modelki, ale najwidoczniej i ich możliwości. Dokuczała mu tym w drodze powrotnej samochodem do miasta, a on jej znów gratulował znakomitego stylu.

- Wiesz, księżniczko, pracujesz wspaniale.

Patrzyła na niego szczęśliwa, odrzucając w tył swoją blond grzywę. Pragnęła dotknąć jego włosów.

- Ty też.

Zostawił ją pod jej drzwiami w ten wieczór i zatelefonował w dwa dni później.

- Przyjedź zobaczyć nasze dzieło.

- Vasili?

- Oczywiście, Księżniczko. Chcę ci pokazać odbitki i stykówki.

Zwykle nie pokazuje się zdjęć modelce wcześniej niż klientowi, ale on podniecony swoim osiągnięciem chciał, żeby Serena przyjechała natychmiast, więc przyjechała.

Te fotografie, świadczące o wielkim talencie, wyszły znakomicie, nadzwyczajnie. Vasili był wprost w ekstazie, Serena, gdy je zobaczyła, także. Zachwyciła się również Dorothea Kerr w agencji, zachwycił się klient i każdy, kto miał do czynienia z tym zleceniem. W następnym tygodniu Dorothea Kerr załatwiła im cztery dalsze.

- Patrz, kto tu przyszedł! - zażartowała Serena wchodząc do studia za trzecim razem. - Nie masz jeszcze dosyć mojej twarzy, Vasili? - Przedtem chciała mieć urlop, ale teraz wcale już o tym nie myślała. O ileż ciekawiej jest pracować z Vasilim Arbussem. Wiedziała, że on wkrótce wyjedzie ze Stanów. I poza tym nadal działał na nią dziwnym magnetyzmem, wciąż jej się nasuwało wspomnienie zachodu słońca na Fire Island. Pracując z nim, przypominała sobie tamte chwile na plaży i potem na promie, gdy zasnęła z głową na jego ramieniu. Twarz jej się wtedy dziwnie rozświetlała, co widać było później na zdjęciach, i ta ich wspólna praca była jak balet

- Jak się dziś czuje moja Księżniczka? - Vasili pocałował Serenę w policzek i uśmiechnął się do niej.

Tego dnia mieli proste zadanie i uwinęli się w ciągu kilku godzin. Znali się już tak dobrze, że coraz łatwiej im było razem pracować. Po zdjęciach Vasili włożył świeżą koszulkę i spojrzał na Serenę przez ramię.

- Chcesz, Księżniczko, pojechać na kolację? Nie wahała się ani trochę.

- Chcę. Bardzo.

Tym razem zabrał ją do swego ulubionego baru w Greenwich Village. Jedli spaghetti z grzybami i olbrzymią sałatką, popijali białe wino, a potem chodzili po ulicach jedząc włoskie lody.

- Nigdy nie tęskno ci do Włoch, Sereno? Dopiero po chwili potrząsnęła głową.

- Już nie. -i powiedziała mu, co tam utraciła: rodziców, babcię, oba palazzi. -Teraz moje miejsce jest tutaj.

- W Nowym Jorku? - Zdziwił się, gdy przytaknęła. - Nie czułabyś się lepiej w Europie?

- Wątpię. Wyjechałam stamtąd już tak dawno. Przez kilka miesięcy mieszkałam z mężem w Paryżu, ale wydaje się, że było to przed wiekami.

- Jak dawno?

- Osiem lat temu.

- Sereno. - Jego czarne oczy się zaiskrzyły. - Czy pracowałabyś ze mną w Paryżu i w Londynie? Bo ja chcę pracować z tobą, a tu nie zostanę długo.

Zastanawiała się nad tym. Cudowna jest praca z nim i razem osiągają świetne rezultaty. I

przebiegają między nimi jakieś tajemnicze prądy, nie wiadomo co, to przecież uwidacznia się na każdym zdjęciu.

- Tak - odpowiedziała - gdybym mogła coś zorganizować dla mojej córki.

- Ile ma lat?

- Ósmy rok. Uśmiechnął się.

- Mogłabyś ją wziąć ze sobą.

- Chyba. Gdyby to było tylko na kilka dni. Ona musi chodzić do szkoły. Przytaknął.

- Pomyślimy o tym.

- Wyjeżdżasz wkrótce? - zapytała rozczarowana, gdy przeszli przez Washington Square i zostawili Village za sobą.

- Nie wiem. Może powinienem wydebić dalsze zamówienia. Jak myślisz? Serena się roześmiała. Pracowali razem od tygodnia zaledwie, ale te długie godziny, pełne wspólnych wysiłków i uczuć, były jak lata całe.

- Myślę - powiedziała - że lubię pracę z tobą i że będzie mi Ciebie brak. -I dodała prawie nieśmiało: - Nigdy dotąd tak się nie zżyłam z żadnym fotografem.

- Mówiła mi to Dorothea. - Spojrzał na nią przekornie. - Mówiła, że jesteś profesjonalistką z podejściem czysto zawodowym, więc żebym nie próbował swoich sztuczek na tobie.

- Aha! Zwykle stosujesz sztuczki?

Przekomarzała się z nim, on jednak odpowiedział poważnie.

- Od czasu do czasu, Sereno. - Zawahał się i wyznał: - Ja nie zawsze jestem rozważny. - Wyznanie dość dziwne, bo rozważny nie wydawał jej się nigdy. - Czy to dla Ciebie istotne?

- Chyba nie - odpowiedziała szybko, nie bardzo pewna, o co mu chodzi. Każdy z tych fotografów miewał chwile szaleństwa. On nie stanowił wyjątku. Różnił się od tamtych tylko tym, że był cztery razy żonaty.

- Słuchaj - przystanął i odwrócił się do niej. - Jesteś taką niezwykłą kobietą, że chwilami nie wiem, jak ci powiedzieć, co myślę.

- Dlaczego? - Zmarszczyła brwi, złękła się, że sprawia wrażenie sztywnej czy może nadętej. Jeżeli mają być przyjaciółmi, on powinien czuć się swobodnie i być sobą. - Dlaczego nie potrafisz mi powiedzieć, co myślisz?

Oczy mu spochmurniały. Podeszedł bliżej i delikatnie ją pocałował.

- Dlatego że cię kocham. - Czas się zatrzymał, gdy tak stali we dwoje. - Oto dlaczego. Jesteś najmilszą kobietą, jaką kiedykolwiek spotkałem.

- Vasili... - Spuściła oczy i znów je na niego podniosła, ale nie dał jej mówić.

- W porządku. Nie spodziewam się, że ty mnie kochasz. Wariat byłem przez całe życie. A

za to się płaci. - Westchnął i uśmiechnął się smutno. - Toteż jestem nieodpowiedni dla żadnej przyzwoitej kobiety.

- Nie bądź niemądry.

Ale on ruchem ręki znów ją uciszył.

- Chciałabyś kogoś, kto miał cztery żony? - Przenikliwie patrzył jej w oczy.

- Być może. - Głos miała miękki jak aksamit. - Gdybym go kochała. I on miał głos miękki.

- Myślisz, że mogłabyś takiego mężczyznę pokochać... być może... gdyby on cię kochał bardzo, bardzo gorąco?

Poczuła, że potakuje, jak gdyby ktoś zamiast niej kiwnął jej głową, a potem nagle znalazła się w mocnych objęciach. Miażdżył ją niemal, a przecież stwierdziła, że tylko tego właśnie chce. Chciała być z nim, stać przy nim zawsze, i gdy ją pocałował, ona swoim pocałunkiem i całym sercem wrywała się do niego.

Odwiózł ją do domu i znów pożegnał pod drzwiami. Pocałował ją tak namiętnie jak przedtem, ale kazał sobie zaraz odejść. Przyjechał nazajutrz rano ze świeżą kawą i rogalikami, z koszykiem owoców i naręczem kwiatów. Otworzyła mu drzwi zaspana, w nocnej koszuli, oszołomiona, gdy wszedł. To, co się zaczęło potem, było staroświeckimi zalotami. Spędzali razem każdą minutę dnia. On skończył swoją pracę, ona wzięła w agencji urlop. Jeździli na plażę i do parku, i na wieś, trzymali się za ręce i całowali. Dopiero w końcu tego tygodnia zaprosił ją do siebie do hotelu. Miał w hotelu Carlyle piękny ogromny apartament z widokiem na park. Zaprosił ją tylko po to, by jej pokazać ten widok, ale znów ją pocałował i nagle już nie panowali nad sobą. Trzymał ją w ramionach pragnąc jej tak bardzo, że nie mogła się temu oprzeć. Zbyt wielkie było to pożądanie, żeby nadal tamować mającą ich porwać falę. Oddali się sobie namiętnie bez żadnych zahamowań, aż w pewnych chwilach Serena myślała, że chyba tej nocy nie przeżyje. A przecież nadszedł ranek i leżeli wyczerpani, kochankowie, którzy należeli do siebie ciałem i duszą. Serena była teraz własnością Vasiliego - do głębi serca.

Niestety miał nazajutrz rano odlecieć do Paryża. Teddy i Vanessa mieli wrócić za dwa dni.

Przy pierwszej porannej filiżance kawy Serena milczała, bardzo poważna.

- Będzie dobrze, kochanie, przyrzekam ci. Spotkamy się w Londynie.

- Ale, Vasili... - On to ujmuje tak prosto. A ona ma Vanesę, dziecko, którego nie może i nie chce zostawić, i jest Teddy, od Teddy'go też nie chce odjechać. To dla niej brat i przyjaciel od tak dawna i nieustannie w jej nowojorskim życiu obecny... nie wyobrażała sobie rozłąki z Teddym. Patrząc na Vasiliego czuła wzbierający smutek. Nie chciała, żeby wyjechał już jutro.

- Więc jedź ze mną.

- Przecież nie mogę... Vanessa...

- Weź ją. Może zacząć ten rok szkolny w Paryżu albo w Londynie. Mówi po francusku, więc to nie problem. -i Vasili dodał z uśmiechem: - Sama to komplikujesz.

- Nieprawda. Nie mogę jej wyrwać z korzeniami, żeby latać za mężczyzną.

- Nie. - Spoważniał. - Ale możesz ją zabrać ze sobą, jeżeli zdecydujesz się tego mężczyznę poślubić. - Serena nic nie powiedziała, wpatrywała się w niego. -Mówię serio. Zamierzam się z tobą ożenić, wiesz. Jedyna kwestia to data ślubu taka, żeby była dla ciebie dogodna. Bo chyba wszystko poza tym ustaliliśmy w nocy. - Serena gwałtownie się zarumieniła, pocałował ją. - Kocham cię, Księżniczko, muszę cię mieć na własność.

Ale kim rzeczywiście jest Vasili? Serena wpadła nagle w popłoch. Jak mogła się z nim zapomnieć? Co ona robi? Vasili chyba czytał w jej myślach, bo powiedział:

- Nie denerwuj się, mój skarbie. Wszystko obmyślimy. Ale jak? Z odległości trzech tysięcy mil oceanu?

Serena wstała i wolno podeszła do okna, biała, smutna, pięknie rzeźbiona jak posąg w ruchu. Vasili znów jej zapragnął.

- Sereno - powiedział prawie szeptem. - Czy wyjdiesz za mnie? Oczy jej napęły się łzami.

- Nie wiem. - Ale już wiedziała, że wypłynęła na jakieś morze, nad którym przecież nie ma panowania. Pragnęła tego mężczyzny jak żadnego od czasów Brada. Tak jak on, też chciała, musiała go posiadać. Nie było w tym ciszy, nie było spokoju. Była pierwotna namiętność, nieustanny przyływ pożądania.

Vasili podszedł, w pełni gotów. Jego czarne oczy pałały.

- Wyjdiesz za mnie, Sereno? - Nie zabrzmiało to groźbą, ale jakoś cudownie warknął porywając Serenę w objęcia, przyciskając, aż jej zabrakło tchu. - Wyjdiesz za mnie?

Wolno, jak zahipnotyzowana przytaknęła.

- Wyjdę.

Wtedy wziął ją na podłozie pokoju hotelowego, a ona krzyczała, bezwolna w swojej żądzy.

Potem spojrział na nią ze zwycięskim uśmiechem.

- Ja mówiłem poważnie, moja najdroższa Księżniczko. Chcę, żebyś była moją żoną. Odpowiedziałas mi też poważnie? - Przytaknęła. - Więc powtórz to, Sereno. - Przycisnął ją do podłogi i przez chwilę wydawało jej się, że widzi w jego oczach obłęd. - Powiedz, że będziesz moją żoną.

- Będę twoją żoną - powiedziała.

- Dlaczego? - Z twarz mu zmiękła i znów był łagodny. - Dlaczego, Sereno? - To był już tkliwy szept.

- Dlatego że cię Kocham. - Znowu łyzy zakręciły jej się w oczach.

Wziął ją w ramiona i znów się kochali, i mówił jej, wciąż mówił, że kocha ją nad życie.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DZIEWIĄTY

Nazajutrz rano Vasili odleciał do Paryża, Serena na lotnisku patrzyła na jego samolot ginący w oddali. To wszystko było jak sen, czuła się nadal jak we śnie, wsiadając do bentleya, jadąc do swojego mieszkania. Czy on na serio jej się oświadczył? Czy rzeczywiście zamierza się z nią ożenić? Skąd można wiedzieć, znając go tak krótko? Przecież go prawie nie zna. Teraz gdy go nie było, jego urok działał już troszeczkę mniej. I Serena pomyślała o Vanessie... to dziecko nawet go nie widziało. Boże, co ona zrobiła! Chciała zatelefonować do Dorothei, zwierzyć się, ale wstyd jej byłoby się przyznać, że tak łatwo uległa czarowi Vasiliego.

Wieczorem gdy siedziała patrząc w okno, zadzwonił telefon. Vasili w Paryżu już tęsknił do niej, chciał wiedzieć, jak ona się czuje, głos miał tak łagodny i zmysłowy, że znów ją to ścięło z nóg. Następnego dnia raniem mieszkanie było pełne kwiatów. Cztery kosze białych róż Vasili przysłał swojej Księżniczce, a w południe dostała pudło z firmy Bergdorf Goodman, bardzo efektowny płaszcz futrzany.

- O Boże! - Przed lustrem stała w tych norkach narzuconych na nocną koszulę, nie wiedząc, jak się tłumaczyć z tego, że je ma, i znowu z całą mocą sobie uświadamiając, co zrobiła. Za dwie godziny trzeba pojechać na Dworzec Grand Central po Vanessę i Teddy wróci z Newport dziś późnym wieczorem. Chciała Teddy'emu powiedzieć, ale to dziwne właśnie jemu mówić o Vasilim. Stała tak przed lustrem trochę zdenerwowana, gdy Vasili znów zatelefonował. Poprosił, żeby w przyszłym tygodniu przyjechała na parę dni do niego do Londynu. Uznała, że to by jej dało możliwość zbadania swoich uczuć. Zgodziła się szybko, wylewnie podziękowała za futro i powiedziała, że doprawdy nie może takiego prezentu przyjąć. Ale Vasili nalegał. Po tej telefonicznej rozmowie włożyła futro z powrotem do pudła, które następnie schowała w walizce.

Vanessa na dworcu powitała matkę pełna obozowych wrażeń. Przedstawiła jej wszystkie swoje przyjaciółki, zanim płaczliwie się z nimi pożegnała. W drodze do domu buzia jej się nie zamykała. Serena była zadowolona, że musi tylko od czasu do czasu wtrącać achy i ochy podkreślając to odpowiednimi gestami. Myśli jej się tak kłębiły, nie było miejsca na nic poza tym zamętem, nawet na Vanessę.

Ale dopiero o jedenastej wieczorem, gdy usłyszała dzwonek do drzwi, rzeczywiście pojęła, jak bardzo jest niespokojna i zdenerwowana. Z miną raczej niepewną patrzyła, jak wchodzi Teddy, wysoki, jasnowłosy, bardzo opalony.

- Jakoś nie cieszysz się, że mnie widzisz. - Zażartował z serdecznym uśmiechem.

Całując go, roześmiała się nerwowo.

- Przepraszam, kochanie. Jestem tak piekielnie zmęczona. Zmarszczył brwi, prawie się przeraził.

- Myślałem, że chciałaś wziąć urlop.

- Miałam... chciałam... to znaczy, zamierzałam... nie wiem. Po prostu za dużo zleceń jest teraz w agencji.

- To wariactwo - zirytował się. - Przyrzekłaś mi, że wypoczniesz.

- No i wypoczęłam. Poniekąd. - Jakżeby mogła mu powiedzieć? Wiedziała, że nie może, jeszcze nie. Ale postanowiła coś z tego wyznać jak najszybciej, bo jeśli będzie zwlekać, ostatecznie nie odważy się nigdy. - W przyszłym tygodniu wyjeżdżam do Londynu.

- Do Londynu? - Był zaskoczony. - Rzeczywiście ostatnio spokoju ci nie dają. Przytaknęła.

- Będziesz tu mieszkał z Vanessą? - Niezręcznie było prosić go o to, ale nikomu innemu nie powierzyłaby Vanessy z taką ufnością jak Teddy'emu.

- Oczywiście. - Zamyślił się. - Co to znów za zdjęcia? Zajęła się gazetą.

- Jeszcze nie wiem.

Serena wyjechała bardzo zdenerwowana. Żegnając się z Vanessą, płakała. Poczucie winy sprawiło, że przewidywała katastrofę samolotu, nie wątpiła, że cała ta wyprawa będzie nieszczęściem, i rzeczywiście nie chciała wyjechać. A przecież coś ją ponaglało i już w połowie drogi na lotnisko Shannon podniecenie prawie zapierało jej dech. Wszelkie myśli o ukochanych, których zostawiała, uleciały, myślała tylko o Vasilim czekającym w Londynie. Gdy go zobaczyła, to było spotkanie po rozłące pełne radości. Zabrał ją do swego niedużego domu przerobionego z dawnych stajni w Chelsea i kochali się w pięknej, niebiesko-białej małej sypialni na drugim piętrze. Zdjęcia, jak się okazało, zostały odwołane. Zamiast pracy zaplanował szereg przyjęć i zabierał ją na wszystkie najważniejsze imprezy towarzyskie. Sezon londyński jeszcze nie rozpoczął się w całej pełni, a przecież Serena nigdy dotąd nie była na tylu przyjęciach w ciągu kilku zaledwie dni. Vasili przedstawiał ją każdemu, kogo tylko sobie przypominał, chodził z nią na długie romantyczne spacerunki w parku i po zakupy w sklepach Hardy Amies i Harrodsa, i na obiady, i kolacje w przytulnych restauracjach. I tam też wszędzie ją przedstawiał z wyraźną dumą każdemu, kto się nawinął, i już drugiego dnia zamieszczono jej fotografię w gazecie. „Kim jest efektowna nowa miłość Vasiliego Arbusa?

Podobno ta zachwycająca złotowłosa Włoszka jest księżniczką i z pewnością na księżniczkę wygląda. Czyż to nie urodziwa para?” Trzeciego dnia ktoś skojarzył tę fotografię z jej zdjęciami z rewii mody i prasa snuła zuchwałe domysły. Nagłówek KSIĘŻNICZKA SERENA PIĄTĄ ŻONĄ VASILIEGO ARBUSA? zdenerwował Serenę - wiedziała, że często sensacje z Londynu podchwytuje Nowy Jork. Ale w końcu tygodnia już przywykła do tych plotek i wydawało jej się, że

zawsze była częścią życia Vasiliego. Ona mu podawała kawę i rogaliki rano, on ją długo i zmysłowo masował wieczorem. Rozmawiali ze sobą do późnej nocy. Na jego przyjaciół patrzyła zaintrygowana. Przeważnie sprawiali takie wrażenie, jakby świat do nich należał, ale uznała, że z czasem da się wśród nich znaleźć ludzi, z którymi warto się zaprzyjaźnić. Nie mogłaby zgodnie z prawdą powiedzieć, że nie podoba jej się życie, jakie prowadzi Vasili. Miał ogromne studio, urządzone bardzo racjonalnie, i uroczy dom. Miał żywy umysł i talent, poczucie humoru i dobry gust, był czuły. Pod wieloma względami przedstawiał sobą wymarzonego królewicza z bajki. Nie zapominała o tym, że zna go od niedawna, najważniejsza jednak była jego wyraźna miłość do niej i ich namiętność. Kochali się całymi godzinami i raz po raz nalegał, żeby wyszła za niego jak najrychlej. Chociaż uważała, że powinna jakiś czas odczekać, rzeczywiście żadnej zwłoki nie chciała. Pragnęła być z nim wciąż w każdej godzinie, w każdej chwili. Już nie mogłaby sobie wyobrazić życia bez niego, a on chciał wziąć z nią ślub przed Bożym Narodzeniem. I zbywał jej wątpliwości i obawy, że wyjdzie za mąż zbyt pochopnie, że zakłóci spokój Vanessie...

- Ja nie chcę czekać. I nie widzę powodu. Chcę, żebyśmy prowadzili wspólne życie, żebyśmy razem spędzali cały czas, razem pracowali, razem bawili się z naszymi przyjaciółmi. - Popatrzył na nią tkliwie. - Moglibyśmy mieć dziecko, i Sereno, mam już trzydzieści dziewięć lat, śpieszy mi się, chcę zaraz, już zagarnąć cię na zawsze.

- Pozwól mi się przygotować, kiedy wrócę do domu. Muszę powiedzieć Vanessie.

- Czy ty jeszcze chcesz wyjść za mnie? - Wydawał się nagle przybity, więc pocałowała go w usta.

- Oczywiście. Tylko nie chcę jej przerazić tak nagłą zmianą. - I Teddy'emu musiała to wytłumaczyć. Zastanawiała się, jak Teddy zareaguje. Ale Vasili wciąż się upierał.

- Jeżeli coś jest słuszne, nie można z tym zwlekać. - Mówił podobnie jak Brad przed dziesięciu laty, co poniekąd jej pomagało.

- Przygotuję się do tego - powiedziała bardzo cicho.

- Kiedy? - Ponagleniami wprost ją ogłupiał. Już i tak była w wielkiej rozterce, słysząc głos rozumu i głos namiętności.

- Kiedy tylko wrócę do domu.

Gdy wyszła z samolotu na lotnisku Idlewild w Nowym Jorku, powitał ją Teddy, dziwnie poważny, i od razu zauważyła, że oczy ma smutne. Pocałowała go jak zawsze, ale biorąc jej torbę milczał i dopiero w samochodzie zapytał:

- Dlaczego mi nie powiedziałaś, po co tam jedziesz? Poczucie winy jak nóż wbiło jej się w serce. Więc on już wie.

- Teddy... Pojechałam na zdjęcia, ale je odwołano.

- Ale pojechałaś też po to, żeby zobaczyć się z pewnym mężczyzną, prawda? - Wpatrywał się w jej oczy, przytaknęła. - Dlaczego mi nie powiedziałaś?

Westchnęła głęboko i potrząsnęła głową.

- Przykro mi, Teddy. Nie wiem. Po prostu nie wiedziałam, jak to wygląda. Zamierzałam powiedzieć ci po powrocie.

- Więc? - Był zraniony do głębi tym, że mu nie powiedziała. Czytał notatkę w gazecie. Wzmiankę o Vasilim Arbusie i o tym, że Arbus gości u siebie Serenę.

Nabrała tchu i spojrzała mu w oczy.

- Wychodzę za męża. - Nie wiedziała, z jakiego powodu czuła się tak, jakby musiała się przed nim bronić.

- Już? - zapytał wstrząśnięty. - Za Vasiliego Arbusa?

- Już i za Vasiliego. - Teraz się uśmiechnęła. - Bardzo go kocham. Jest inteligentny, cudowny, twórczy i ma lekkiego bzika.

- O tym słyszałem. - Popatrzył na nią. - Sereno, czy ty, do diabła, wiesz, co robisz?

- Wiem. - Ale poczuła w sercu trzepotanie lęku. To wszystko stało się tak szybko.

- Znasz go długo?

- Dostatecznie.

- Sereno, rób, co ci się żywnie podoba, żyj z nim, przenieś się do Londynu, tylko nie wychodź za niego. Nie tak zaraz... Mnóstwo dziwnych rzeczy słyszałem o tym człowieku.

- To niehonorowo, Teddy. Nie w twoim stylu. - Zaniepokoiła się. Chciała, żeby Teddy aprobował jej poczynania.

- Mówię to nie dlatego, że jestem zazdrosny. Mówię to, bo cię kocham. Słyszałem, że on zabił swoją ostatnią żonę. - Siedział przy niej w samochodzie przerażony, blady, ale oczy jej zapalały gniewem.

- Jak śmiesz mówić coś takiego! Ona umarła wskutek przedawkowania.

- A wiesz czego?

- Skąd mogę wiedzieć, do diabła?

- Heroiny.

- Więc była narkomanką, no to co? Nie jego wina, nie on ją zabił.

- O Boże, Sereno... proszę cię, bądź rozsądna, chodzi przecież o ciebie, o Vanessę. - I niech to piorun trzaśnie - pomyślał wysuwając ten sprzeciw - ja cię kocham. - Czy nie możesz dać sobie trochę czasu?

Ale tym bardziej się uparła.

- Wiem, co robię. Nie ufasz mi?

- Ufam - powiedział Teddy bardzo spokojnie. - Ale nie ufam jemu. Potrząsnęła głową i spojrzała w okno.

- Mylisz się, Teddy. To porządny człowiek.

- Skąd wiesz?

- Czuję to. - Z mocą spojrzała Teddy'emu w oczy. -i on mnie kocha. Pracujemy w tej samej branży, Teddy... - Głos jej zmiękł. - Jest dobrze.

- Kiedy wyjeżdżasz?

- Kiedy tylko będę mogła.

- Co z Vanessą?

- Powiem jej dzisiaj. - Serena badawczo popatrzyła na mężczyznę, który był szwagrem i najdroższym przyjacielem przez tyle lat - Będziesz do nas przyjeżdżał?

- Kiedy tylko pozwolisz.

- Zawsze będziesz mile widziany. Jesteś poza Vanessą moją jedyną rodziną. Lepiej tego nie zmieniać.

- To się nie zmieni. - Ale milczał przy kierownicy w drodze do miasta, usiłując ochłonić po wstrząsie. Po raz pierwszy od dawna chciał powiedzieć Serenie, że ją kocha. Chciał powstrzymać ją przed szaleństwem, uchronić ją.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY

- Ale dlaczego musimy przenieść się do Londynu? - Vanessa żałośnie patrzyła na matkę.

- Dlatego, kochanie, że wychodzę za męża, a Vasili właśnie tam mieszka.

Serena czuła się bardzo dziwnie, próbując wyjaśnić to Vanessie. Najtrudniej z tego wszystkiego było uzasadnić pośpiech. Przenosi się tak szybko, rezygnuje z nowojorskiej kariery i opuszcza Teddy'ego, nie poznała przedtem Vanessy z Vasilim. Vanessa patrzyła na nią.

- Czy nie mogę zostać tutaj? - zapytała.

Serena odczuła jej pytanie jak policzek, aż musiała powstrzymać łzy.

- Vanesso, nie chcesz pojechać ze mną?

- Ale kto będzie dbać o stryja Teddy'ego?

- On sam. I wiesz, kiedyś może się ożeni.

- Ale czy ty go nie kochasz? - Vanessa jeszcze mniej z tego rozumiała, a Serena była rozstrojona jeszcze bardziej.

- Kocham go, oczywiście, ale nie w ten sposób, och... Vanesso, miłość jest skomplikowana.

- No bo jak wytłumaczyć dziecku, czym jest namiętność? - W każdym razie teraz zjawił się ten miły pan i chce, żebyśmy obie mieszkały z nim w Londynie. I on ma dom w Atenach i mieszkanie w Paryżu i... - Czuła się jak idiotka usiłując przekonać córkę.

Vanessa była dzieckiem niespełna ośmioletnim, a przecież wiedziała, że mama robi coś nie tak, jak trzeba. Dorothea Kerr podeszła do tej sprawy o wiele bardziej bezceremonialnie.

- Szczerze mówiąc, myślę, że kompletnie zwariowałaś.

- Wiem, wiem. To wydaje się wariactwem - powiedziała Serena wyczerpana, bo wciąż musiała bronić owej decyzji. - Ale Dorotheo, to jest coś niezwykłego. Nie wiem, jak ci powiedzieć. On mnie kocha, ja go kocham. Chyba czary nas połączyły, kiedy był tutaj.

- Aż taki dobry w łóżku? Ale co z tego? Sypiaj z nim w Londynie, w Paryżu czy w Kongo, tylko za niego nie wychodź. Na litość boską, ten facet zenił się już cztery czy pięć razy.

- Cztery - uściśliła Serena.

- I według ciebie, co z twoją karierą? Na szczycie nie będziesz zawsze, dziewczyno. Zjawi się jakaś nowa twarz.

- Zjawi się w każdym razie. I przecież mogę pracować w Londynie.

Nie dało się przekonać Sereny, ale gdy w trzy tygodnie później wyjeżdżała z Nowego Jorku, była w fatalnej formie psychicznej, blada i zmęczona wskutek bezsenności.

Teddy odwiózł Serenę i Vanessę na lotnisko, wszyscy troje płakali, jak gdyby świat się

kończył. Teddy milczący, powściągliwy, a jednak ze łzami spływającymi po policzkach, ucałował Vanessę, która przywarła do niego, jakby żegnała ostatniego przyjaciela na świecie. Serena czuła się tak, jakby rozbiła ukochaną rodzinę, i obejmując Teddy'ego, nie mogła wykrztusić ani słowa. Dopiero przed samym wejściem do samolotu zdobyła się, udręczona, na wyznanie.

- Kocham cię.

Obie pomachały Teddy'emu rękami i już ich nie było. Lot był męczący. Vanessa prawie przez cały czas płakała i zanim doleciały do Londynu, Serena omal się nie zdecydowała od razu wrócić do Nowego Jorku. Ale gdy z drzwi samolotu zobaczyła Vasiliego, roześmiała się przez łzy. Vasili wyglądał jak sprzedawca balonów na jarmarku, stojąc co najmniej z pięćdziesięcioma balonami w jednej ręce i z ogromną lalką w drugiej.

- Czy to on? - Vanessa patrzyła zainteresowana, bardzo podobna do Brada.

- Tak. Na imię mu Vasili.

- Wiem. - Vanessa z lekceważeniem spojrzała przez ramię na matkę. Serena się uśmiechnęła: jakaż zaradna dorosła osoba z niej będzie.

Lalka była w wymyślnej sukience z niebieskiego atlasu, w białej futrzanej pelerynce i w staromodnym kapeluszu. Wyglądała jak dziewczynka sprzed stu lat.

Vasili podszedł do nich powoli z balonami nad sobą, ludzie patrząc się uśmiechali.

- Cześć, mogę sprzedać ci balon, panienko? - Vanessa parsknęła śmiechem. - I tak się składa, że mam lalkę. - Wyciągnął tę ładną, dużą lalkę spod pachy i dał Vanessie. - Cześć, Vanessa. Ja jestem Vasili.

- Wiem. - Zmierzyła go spojrzeniem, aż się roześmiał.

- Cieszę się, że przyjechałaś do Londynu. Powiedziała szczerze:

- Nie chciałam przyjechać. Bardzo płakałam, kiedy wyjeżdżałam z Nowego Jorku.

- Potrafię to zrozumieć. - Mówił do niej łagodnie. - Kiedy byłem małym chłopcem, mieszkałem w Londynie, a potem musiałem się przeprowadzić do Aten i strasznie mnie to zasmuciło. - Serena przypomniawszy sobie, jak opowiadał, że miał dwa lata, gdy utracił rodziców. W żaden sposób przecież nie mógł tego pamiętać, ale przynajmniej zrobił tą powiastką dobre wrażenie na Vanessie. - Już lepiej się czujesz? - Popatrzyła na balony i przytaknęła. - Pojedziemy do domu? - Ujął Vanessę za rękę, a potem wyprostował się i dopiero teraz spojrzał w oczy Serenie. - Witaj w domu, kochanie.

Serce jej stopniało, gdy patrzyła na niego. Chciała mu podziękować za to, że jest taki cudowny dla Vanessy, ale wiedziała, że jeszcze nie czas. Tylko wzrokiem mogła mu wyrazić serdeczność.

W swym małym domu w Chelsea przygotował już wszystko dla Sereny i jej córki. W biało-

niebieskim pokoiku dzieciennym był domek lalek i fotel dziecięcy w odpowiednich rozmiarach.

Na łóżku siedziały lalki. Cały dom zdobiły bukiety pięknych kwiatów. Przyjął nową pokojówkę na usługi Sereny. I szampan chłodził się w srebrnym wiaderku z lodem w małżeńskiej sypialni, gdzie Serena wzdychając usiadła na łóżku.

- Och, Vasili... myślałam, że tego nie przetrwam. - Pomyślała o ubiegłych tygodniach nieomal z dreszczem. W ciągu godzin w samolocie mogła myśleć tylko o Teddym, zdawałoby się, okrytym żalobą, gdy wyjeżdżały, i o jego błaganiu, żeby odłożyła ślub. Płakała też żegnając się z Dorotheą Kerr i już teraz czuła ćmienie tęsknoty za wszystkim, co zostawiła w Nowym Jorku. Nie wątpiła, że czeka ją życie o wiele lepsze, tyle jednak już razy żegnała ukochanych ludzi i ukochane miejsca, że każde następne pożegnanie przypominało jej smutek poprzednich.

- Lot był bardzo burzliwy? Patrzyła na niego dosyć smętnie.

- Trochę, ale starałam się myśleć tylko o tym, że lecę do ciebie, do domu. - Uśmiechnęła się z czułością. - Trudniej mi było przekonywać każdego, żeśmy nie zwariowali. - Jej uśmiech jednak zaprawiła gorycz. - Czy w miłość już nikt nie wierzy? - A przecież nawet serce jej mówiło, że postąpiła szaleńczo, a już w najlepszym przypadku pochopnie.

- Ty wierzysz w miłość, Sereno? - Podał jej kieliszek szampana.

- Nie byłabym tutaj, Vasili, gdybym nie wierzyła.

- To dobrze. Bo kocham cię całym sercem. - I wznosił cicho toast. - Zdrowie kobiety, którą kocham... mojej Księżniczki... - Przeplatając ręce wypili pierwszy łyk. Z oczami roziskrzonymi spojrzał jej w oczy. - Kiedy ślub?

Uśmiechnęła się do niego, zmęczona. - Kiedy tylko chcesz.

- Jutro? - zażartował.

- Może dasz nam trochę czasu, żebyśmy się zadomowiły?

- Dwa tygodnie? - Przytaknęła. - A więc za dwa tygodnie, pani Arbus. Do tego czasu pozostajesz moją Księżniczką.

Uśmiechnął się łagodnie ujmując jej twarz w dłonie i pocałował ją. Chwilę później leżała w jego objęciach na ogromnym łóżku. Teddy i Dorothea, tak jak Nowy Jork, usunęli się prawie w niepamięć.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIERWSZY

Ślub ładny, uroczysty odbył się w domu jednego z przyjaciół Vasiliego w Chelsea. Zaproszono trzydzieści osób, nikogo z prasy. Serena wyglądała wspaniale w beżowej, długiej jedwabnej sukni i z maleńkimi beżowymi storczykami wpiętymi we włosy.

Ślubu udzielił im pastor, który po rozmowie zarówno z narzeczoną, jak z narzeczoną zgodził się to zrobić zważywszy, że trzy z poprzednich ślubów Vasiliego były cywilne. Vanessa stała przy matce i mocno trzymała ją za rękę, zerkając na Vasiliego. W ciągu dwóch tygodni raczej go polubiła, chociaż niezbyt często go widywała. Przez większość dnia pracował w studiu, a wieczorem wychodził z Sereną.

Sama Serena była wyczerpana ich gorączkowym trybem życia. Usiłowała się dostosować, ale jakoś nie mogła nadążyć. Bywali na przyjęciach, balach, koncertach, w teatrze i znów na przyjęciach, po przyjęciach i jeszcze na przyjęciach. Nieraz kładli się spać, gdy słońce świeciło nad Londynem. Jak Vasili zdołał przy tym pilnie pracować, pozostawało dla Sereny tajemnicą. Ona pod koniec tych dwóch tygodni miała oczy podkrążone i odczuwała wielkie zmęczenie. Jediną perspektywą odsapnięcia był zaplanowany tydzień w jego domu w St. Tropez, dokąd mieli wyjechać w podróż poślubną. Ale Vanessa już z tego powodu lamentowała. Nie chciała zostać sama z pokojówką, chciała, żeby ją zabrali do St. Tropez. Serena czuła się rozdzielana na połowy. W wyniku długich dyskusji z Vanessą ostatecznie wyjechali nazajutrz po ślubie. Gdy samolot wystartował, Serena rozparła się w fotelu z ogromnym westchnieniem.

- Zmęczyłaś się. - Vasili spojrzał zdumiony. Parsknęła śmiechem.

- Żarty sobie stroisz? Wprost lecę z nóg. Nie wiem, jak ty to wytrzymujesz.

- Łatwo. - Uśmiechnął się do niej chłopięco i wyciągnął coś z kieszeni. Zobaczyła po chwili, że to fiolka tabletek. - Zązywam prochy.

- Prochy? - Zaskoczona, przeniosła wzrok z niego na fiolkę, po czym spojrzała mu w oczy.

- Zązywasz tabletki? - Tego jej dotychczas nie mówił. Przytaknęła. - Dzięki nim mogę być na chodzie w dzień i w nocy. Chcesz jedną?

- Nie, dziękuję. Do St. Tropez wytrzymam, a tam się prześpię. - Ale w głębi duszy była wstrząśnięta. Przypomniała sobie nagle, co powiedział jej Teddy. Ostatnia żona Vasiliego umarła po przedawkowaniu heroiny.

- Nie patrz tak, najdroższa. - Pocałował ją. - One mnie nie zabiją. Tylko pozwalają mi działać w tempie, jakie lubię.

- Ale czy ci nie szkodzą?

- Nie. - Spojrzał na nią rozbawiony. - Są zupełnie nieszkodliwe a jeżeli wezmę ich za dużo, to mam przecież antidotum. Nie ma się czego obawiać. - Mówił teraz jak aptekarz, ale ją ogarnęło przerażenie. Uświadomiła sobie, jak bardzo mało o nim wie. Chociaż chwilami czuła się z nim tak, jakby byli razem od niepamiętnych czasów, to jednak w innych chwilach doznawała wrażenia, że prawie wcale go nie zna. - Na Boga, Sereno. - Znów na nią spojrzął, już zirytowany. - Wyglądasz tak, jakbyś się dowiedziała, że jestem mordercą! Do cholery... - Wstał i przeszedł na dziób samolotu. Wrócił po paru minutach z połową butelki wina. - Czy może temu też się sprzeciwisz?

- Ja tamtemu się nie sprzeciwiam. Byłam po prostu zdumiona. - Miała do niego żal. - Dlaczego przedtem mi nie powiedziałaś?

- Czy ja muszę wszystko ci mówić?

- Nic nie musisz, Vasili. - Rozgniewała się, nie chciała wina. Ale on złagodniał.

- Owszem, coś muszę zrobić.

- Co takiego? - zapytała nadal z rozdrażnieniem.

- Muszę cię pocałować, tylko to.

Wtedy się uśmiechnęła i po chwili całe napięcie minęło.

Tydzień w St. Tropez był akurat taki, jaki powinien być miodowy miesiąc. Chodzili nago po swojej prywatnej plaży, pływali w spokojnych falach Morza Śródziemnego, jeździli samochodem w Alpy i do kasyna w Monte Carlo, widywali się z gromadką przyjaciół Vasiliego, ale przeważnie spędzali czas sami. Rankiem długo leżeli w łóżku, szli spać późno i kochali się godzinami. Tylko raz ukazała się o nich wiadomość w prasie i to w jednej z francuskich gazet, gdzie zrobiono sensację z tego, że wstąpili do baru hotelu Carlton. „Vasili Arbus i jego nowa żona, miodowy miesiąc w Cannes... ona była księżniczką i modelką, teraz jest jego królową...” Przeczytał jej to nazajutrz przy śniadaniu.

- Skąd wiedzą, że jesteś moją królową? - Uśmiechnął się radośnie.

- Ktoś najwidoczniej sypnął.

- Wiesz, co bym chciał zrobić w przyszłym tygodniu?

- Co, kochany? - Uśmiechnęła się do męża. To małżeństwo bardzo się różniło od małżeństwa z Bradem. Teraz jednak była prawie o dziesięć lat starsza. Czuła się przy Vasilim dojrzałą kobietą, upajała się faktem, że jest jego żoną.

- Chciałbym na parę dni pojechać do Aten. - Ale się nachmurzyła. - Ty byś nie chciała?

- Powinnam wrócić do Vanessy.

- Jej będzie doskonale z Marianną.

- To nie to samo. - Vanessa znalazła się w nowym otoczeniu, potrzebowała matki. Już dostatecznie trudno było ją przekonać, że im po ślubie przecież się należy tydzień sam na sam.

- Więc może skoczmy po nią do Londynu.

- A co ze szkołą? - Serenę ogarnęło zmęczenie na samą myśl, jakie to będzie skomplikowane. Czasami niełatwo iść za Vasilim. On zawsze idzie prosto tam, gdzie chce, nie przywykł do brania pod uwagę jakichkolwiek względów.

- Czy ona nie może kilku dni opuścić?

To mogłoby być prostsze niż dyskusja z Vasilim czy wysiłki, żeby zrozumiał.

- Myślę, że mogłaby.

- Świetnie. Więc zadzwonię do mojego brata, że przyjedziemy.

- Masz brata? - Znów była zdumiona. Nic jej nie mówił o rodzeństwie.

- Jak najbardziej. Andreas jest tylko o trzy lata starszy ode mnie, ale o wiele poważniejszy. - Vasili był rozbawiony. - Ma czworo dzieci i grubą żonę, mieszka w Atenach, prowadzi jedno z rodzinnych przedsiębiorstw. Ja zawsze wolałem życie bliżej moich angielskich krewnych. Andreas w duszy jest całkowicie Grekiem.

- Bardzo chcę go poznać.

- I na pewno on chce poznać ciebie.

Można było w to uwierzyć, gdy w następnym tygodniu we troje wyszli z samolotu w Atenach. Andreas czekał na lotnisku z ogromnym bukietem róż dla Sereny, lalką i pudłem czekoladek dla Vanessy, dla której jego dzieci urządziły małe przyjęcie w domu. Jego najmłodszy syn miał piętnaście lat, a najstarszy dwadzieścia jeden, ale wszystkie z radością powitały pasierbice Vasiliego. Nigdy dotąd Vasili nie ożenił się z kobietą mającą dziecko, intrygowała więc rodzinę Andreasa ta nowa żona. Blondynka, piękna i pełna wdzięku, nawet Andreas się zachwycił. Serena instynktownie go polubiła. Wydawał się dobry, hojny i dbały, rzeczywiście o wiele poważniejszy niż Vasili nieustannie mu zarzucający, że jest pedantem. Był człowiekiem bardzo majątnym i w przeciwieństwie do kapryśnego Vasiliego odpowiedzialnym. Oczarowany swoją nową bratanicą, obwoził ją po Atenach, z powagą pokazując jej widoki w jego przekonaniu dla takiej dziewczynki interesujące, gdy jego dzieci były w szkole, a Vasili i Serena wyruszali na swoje objazdy we dwoje. Vanessa dobrze się czuła z Andreasem. Polubiła go jeszcze bardziej niż ojczyma, który nadal wydawał jej się trochę dziwny i za często pozbawiał ją towarzystwa matki. Natomiast Andreas przypominał jej trochę Teddy'ego i uważała, że jest przystojniejszy niż Vasili. A już gdy z nim wygrała cztery razy z rzędu w warcaby, zapalała do niego pierwszą w życiu miłością.

Spędzili w Atenach ponad tydzień i nadszedł czas powrotu do Londynu. Vanessa była gorzko rozczarowana. Chciała dalej grać w warcaby z Andreasem, swoim ukochanym, a tu Serena i Vasili powiedzieli, że muszą wracać do pracy. Vasili miał kilka zleceń czekających na niego w londyńskim studiu, Serena już umówiła się na rozmowę wstępną z pewną agencją.

Przez następne tygodnie wszyscy troje byli zajęci. Vasili i Serena swoją pracą, Vanessa szkołą i wydawało się, że na dobre zaczęło się znów prawdziwe życie. Wydawało się tak do pewnego wieczoru. Serena czekała na Vasiliego, mając z nim jechać do znajomych na uroczystą kolację. Ale minęła godzina, na którą byli zaproszeni, a on nie wrócił ze studia. Minęły dwie godziny. Serena w złocistej sukni, właśnie przysłanej z Paryża, dzwoniła do studia bez rezultatu. Miała nadzieję, że nic się nie stało, ale gdy Vasili wrócił, doznała wstrząsu. Był brudny i rozchełstany. Włosy miał potargane, pod oczami głębokie kręgi, koszulę zaplamioną, spodnie rozpięte i podszedł do niej niepewnie, zdawałoby się, na nierówno przyspieszonych obrotach.

- Vasili? - Wyglądał tak, jakby go napadnięto. Rano do studia wyszedł w tej samej jasnoniebieskiej koszuli, sztruksowych spodniach w kolorze wielbłądzim i marynarce z samodziału, którą niedawno kupił. Teraz był bez marynarki. - Źle się czujesz?

- Świetnie. Zaraz się przebiorę. - Powiedział to normalnie, ale na tym normalność się kończyła.

Serena zaniepokojona poszła za nim na górę. Odwrócił się i utkwiał w niej wzrok. Zobaczyła, że się zachwiał.

- Dlaczego, do diabła, za mną łazisz?

- Jesteś pijany? - Wpatrywała się w niego. Ale odrzucił głowę do tyłu i parsknął śmiechem.

- Jestem pijany? Jestem pijany? - Powtarzał to raz po raz. - Zwariowałaś? Rzeczywiście na pijanego nie wyglądał, gdy weszła za nim do sypialni mając nadzieję, że Vanessa ich nie słyszy.

- Vasili, nie możemy tam pojechać... nie jesteś w formie. - Podeszła i zobaczyła w jego oczach prawie obłąd. Poruszył ustami, jak gdyby ją przedrzeźniał. - Ja nie jadę - powiedziała gorączkowo. Oto mężczyzna, którego nigdy dotąd nie widziała, ktoś zupełnie obcy.

- O co chodzi? Wstydzisz się mnie? - Ruszył do niej wojowniczo, więc cofnęła się, przerażona. - Myślisz, że cię uderzę? Niech to diabli, jesteś gównem u moich stóp.

Wstrząśnięta, bardzo blada, odwróciła się szybko i wyszła z sypialni. Znalazł ją w parę minut później w pokoju Vanessy. Tłumaczyła dziewczynce, dlaczego się rozmyślili i nie jadą z tą wizytą.

- Vasili jest trochę niezdrów - powiedziała łagodnie.

- Niezdrów! - doleciał ryk od drzwi. - Owszem, zdrów. Twoja matka kłamie, Vanesso.

Zdrętwiały obie, gdy wszedł do pokoju. Trzymał się na nogach znowu pewnie, ale w oczach miał tę samą świetlistość obłądu.

Serena podbiegła i delikatnie wypchnęła go za drzwi.

- Proszę cię, idź na górę.

- Dlaczego? Chcę porozmawiać z Vanessą. Hej, malutka, jak przeleciał dzień? Vanessa nie

odpowiedziała, tylko patrzyła wielkimi oczami. Vasili jeszcze stojąc w drzwiach zatoczył się w stronę Sereny.

- Coś ty zrobiła? Powiedziałaś jej, że jestem pijany? Wypluwał te słowa na nią. Oczy jej zapalały gniewem.

- A nie jesteś?

- Nie, ty dupo, nie jestem!

- Vasili - wrzasnęła - wynoś się z pokoju Vanessy!

- Dlaczego? Boisz się, że zrobię coś, o co będziesz zazdrosna?

- Vasili! - To już warknęła matka lwica.

Zatoczył się i wyszedł z pokoju. Zszedł na dół do kuchni, poplądrował w lodówce i wrócił do sypialni jak zwierzę w poszukiwaniu żeru.

- Chcesz się pieprzyć? - Spojrzał na Serene. przez ramię, biorąc zimny kartofel z talerza, który przyniósł z kuchni. Pytanie wydawało się raczej retoryczne. Serena chciała nim potrząsnąć.

- Co z tobą jest, na Boga? Wziąłeś za dużo tabletek? Potrząsnął głową.

- Nie. Co z tobą? Tyś wzięła za dużo?

Nie sposób było z nim rozmawiać. Ostatecznie zamknęła się na klucz z Vanessą w jej pokoju i tam nocowała. Nazajutrz Vasili spał prawie do południa i gdy w końcu zszedł na dół, zobaczyła, że jest zarówno zawstydzony, jak chory.

- Sereno... - Patrzył na nią pełen skruchy. - Przepraszam...

- Masz za co. - Patrzyła na niego zimno. - I jesteś winien przeprosiny Vanessie. Właściwie co ci się wczoraj stało? - Było przecież tak, jakby postradał zmysły.

- Nie wiem. - Zwiesił głowę. - Trochę wypilem. Najwidoczniej ten alkohol dziwnie podziałał. To już się nie powtórzy.

Ale się powtórzyło. Prawie dokładnie tak samo, raz w następnym tygodniu i dwa razy w dwa tygodnie potem. W dniu urodzin Vanessy było najgorzej i po dwóch dniach Vasili zniknął na całą noc. Wydawało się, że w ciągu miesiąca Vasili popadł w zupełny obłąd. Serena nie mogła tego zrozumieć. Stał się człowiekiem diametralnie innym niż ten, którego znała. Był gniewny, wrogi, ponury, niegodziwy. Coraz częściej miał napady złego humoru. Od czasu do czasu nocował w studiu i wrzeszczał na nią, jeżeli żądała wyjaśnień. Zdenerwowała się jeszcze bardziej, gdy na dwa dni przed Bożym Narodzeniem poszła do doktora. Miewała drobne kłopoty, jak bóle i zawroty głowy, mdłości, skłonność do wymiotów i trudności z zasypianiem, spowodowane jak myślała stanem nerwów. Wyczerpywało ją osłanianie Vanessy przed tym, co się działo, i poważnie już myślała o powrocie do Stanów Zjednoczonych.

- Pani Arbus - doktor patrzył na nią dobrotliwie. - Chyba nie pani nerwy są problemem.

- Nie? - Czy możliwe, że jakaś choroba?

- Pani jest w ciąży.

- O Boże. - To jej nawet przez myśl nie przeszło.

Wieczorem siedziała rozstrojona, nieszczęśliwa, wpatrując się w ogień na palenisku kominka w gabinecie. Vasili był w domu, dziwnie cichy, ale nie chciała mu powiedzieć. Aborcji w Londynie nie dokonywano w żadnym razie i jeszcze nie zdecydowała, co zrobi.

- Jesteś zmęczona? - Od półgodziny usiłował nawiązać rozmowę. Przytaknęła tylko.

- Tak. - Nadal nie patrzyła na niego, aż podszedł i dotknął jej ręki.

- Sereno, to straszne, prawda? Podniosła ogromne, smutne oczy.

- Tak, straszne. Nie rozumiem tego. Jak gdybyś już nie był sobą.

- Nie jestem sobą. - Może wiedział coś, czego nie wiedziała. - Ale ja to zmienię. Przysięgam ci. Zostanę z tobą i Vanessą na Boże Narodzenie, a potem wyjadę gdzieś, doprowadzę się do porządku. Przysięgam. - Oczy miał tak smutne jak ona.

- Vasili... - Patrzyła na niego uporczywie. - Co się stało? Nie rozumiem.

- Nie potrzebujesz rozumieć. To wcale nie musi dotyczyć twojego życia. - Chciała go zapytać, czy to narkotyki, ale się nie odważyła. - Zajmę się tym i będę znów taki, jakiego poznałaś w Nowym Jorku. - Delikatnie wtulił twarz w jej szyję i zapragnęła mu wierzyć. Tak bardzo jej brakowało tamtego Vasiliego, tak bardzo była przerażona. - Chcesz jakoś specjalnie spędzić Boże Narodzenie?

Potrząsnęła głową. On tak zatracił świadomość, że nawet nie zauważał, jak źle ona się czuje.

- Może po prostu zostaniemy w domu?

- A Vanessa?

- Już coś dla niej zaplanowałam.

- A my? Chcesz, żebyśmy poszli na jakieś przyjęcie? Potrząsnęła głową, obojętna, skryta, nieszczęśliwa i to go zabolalo.

- Serena, kochanie... proszę... wszystko będzie dobrze. - Spojrzała na niego, jeszcze bardziej zdezorientowana. Taki kochający, taki pełen zrozumienia. Jak może zmieniać się w kogoś zupełnie innego? - Może połów się już. Widać, że jesteś bardzo zmęczona.

Westchnęła cicho.

- Jestem.

Ale później Vasili myśląc, że ona śpi, przez długie godziny był w łazience. Gdy w końcu stamtąd wyszedł, wstała i poszła tam. Krzyknęła. Na umywalni, przy zakrwawionej wacie leżała strzykawka, zapalka i łyżka.

- Boże!

Nawet nie miała pewności, co widzi, ale wiedziała, że to jest coś straszego, i po trochu, w tej łazience, pojęła prawdę. Przypomniała sobie, co Teddy jej mówił o poprzedniej żonie Vasiliego... o heroinie... i nagle była już pewna.

Nagle też wyczuła, że on stoi za nią, prawie słyszała jego oddech. Odwróciła się. Stał oparty o ścianę, trochę się osuwając, śmiertelnie blady z powiekami opadającymi, jak gdyby umierał. Zdjęta zgrozą, zakwiliła i cofnęła się, gdy zwałście ruszył ku niej. Co ona, do diabła, wyprawia? - mamrotał. Ze zgrozą uciekła z łazienki.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY DRUGI

W Wigilię Bożego Narodzenia rano Serena siedząc naprzeciw Vasiliego przy stole, blada, rozdygotanymi rękami postawiła filiżankę na spodku. Byli w jadalni sami, przy drzwiach zamkniętych. Vasili wyglądał jak zabalsamowany nie dawniej niż w ten poranek i nawet nie próbował spojrzeć jej w oczy. - Chcę, żebyś wiedział. Zaraz po Bożym Narodzeniu wracam do Stanów. Wyjechałabym dzisiaj, ale to by zdenerwowało Vanessę. Tylko trzymaj się ode mnie z daleka, a wszystko pójdzie świetnie.

- Doskonale cię rozumiem. - Rzeczywiście zwiesił głowę pełen wstydu, a ona chciała go uderzyć za to, co zrobił, za to, co robi sobie, a także jej. Nie mogła myśleć nawet o swojej ciąży. Wiedziała, że musi załatwić aborcję, gdy tylko przyjedzie do Nowego Jorku, może Teddy by jej pomógł. Ale tu na myślenie o tym nie chciała tracić czasu. Chciała tylko wrócić do Stanów.

Wstała od stołu. Raptem, gdy szła do drzwi, cały pokój zakręcił się wokół niej i po chwili ocknęła się, leżąc na podłodze. Vasili klęczał przy niej, patrzył zatrwożony, wrzeszczał do pokojówki, żeby przyniosła mokry okład na głowę.

- Sereno!... Sereno!... Och, Sereno... - Płakał na klęczkach przy niej i ona czuła w oczach łzy. Chciała wyciągnąć ręce, objąć go, ale nie pozwoliła sobie. Musi być silna. Musi się z nim rozstać, wyjechać z Londynu, pozbyć się ich dziecka. - Och, kochana moja, co się stało? Wezwę doktora.

- Nie! - Głos miała jeszcze słaby i pokój zakołował, gdy potrząsnęła głową. - Nic mi nie jest - to był szept. - Za chwilę wstanę. - Ale gdy się podniosła, wyglądała jeszcze mizerniej niż on.

- Jesteś chora? - zapytał z rozpaczą zastanawiając się, czy to nie przez niego. Znowu potrząsnęła głową.

- Nie, nie jestem chora.

- Ale to nienormalne tak zemdleć.

Wreszcie stojąc w drzwiach popatrzyła na niego żałośnie.

- Wszystko to, co się dzieje tutaj, też nie jest normalne. Czy może nie zdajesz sobie z tego sprawy?

- Powiedziałem wczoraj, że skończę z tym. Pojutrze pójde na parę dni do szpitala, a potem będę znowu w porządku.

- Jak długo?! - wykrzyknęła. - Jak często zdarzało się to przedtem? Czy właśnie tak umarła twoja żona? Oboje wstrzykiwaliście sobie narkotyki, aż przedawkowała? - Głos jej drżał i łzy płynęły po twarzy.

Ale teraz on się rozplakał.

- Tak, Sereno - wyszeptał w udręce - tak... tak!... Staralem sieją ratować, ale nie zdołałem. Było za późno. - Przymknął oczy, jak gdyby nie mógł znieść tego wspomnienia.

- Przyprawiasz mnie o mdłości. Czy tego samego spodziewasz się ode mnie? Chciałeś znaleźć we mnie towarzyszkę do zażywania narkotyków? - Trzęsła się, krzycząc na niego i oboje nie widzieli schodzącej na dół Vanessy. - No, nie znalazłeś. Czy słyszysz? Małżeństwa z tobą też nie chcę. Kiedy tylko przyjadę do Nowego Jorku, zrobią mi skrobankę i... - Urwała, już i tak powiedziała za dużo.

Vasili natychmiast podszedł do niej.

- Co powiedziałaś? - Z oczami rozszerzonymi chwycił ją za ramiona.

- Nic, niech to diabli... nic!

Trzasnęła za sobą drzwiami jadalni i pobiegła do schodów, gdzie zobaczyła Vanessę, która cicho płakała. W chwilę potem przyszedł Vasili i we troje siedzieli na schodach zapłakani. Ponure byłoby ich zdjęcie, Serena nienawidziła siebie i jego. Vasili przeproszał raz po raz za to, co zrobił im obu. Serena tuliła się do Vanessy, Vanessa krzyczała, że Vasili zabija jej mamę. Wydawało się to nie do rozwikłania i w końcu Vasili poprowadził je obie na górę. Ani słowo już nie padło o dziecku. Ale gdy Vanessa trochę się uspokoiła i została pod opieką pokojówki, Vasili wreszcie sam z Sereną zapytał ją, czy to prawda.

- Jesteś w ciąży? - Przytaknęła i odwróciła się. Podszedł powoli i stając za nią, lekko ją wziął w ramiona. - Chcę, żebyś... nie, błagam, żebyś zachowała moje dziecko. Sereno... proszę cię... daj mi szansę... za kilka dni będę znowu czysty. Będzie tak, jak było przedtem. Nie wiem, co się stało. Może musiałem odreagować dostosowanie się do wspólnego życia, obowiązek podobaania się Vanessie. Na jakiś czas zwariowałem. Ale skończę z tym, przysięgam. Proszę... - Głos mu się załamał i Serena odwracając się, zobaczyła swego męża rozszlochanego. - Nie zabijaj mojego dziecka... proszę...

Nie zdołała mu się oprzeć, objęła go i przytuliła.

- Jak mogłeś być taki, Vasili? Jak mogłeś?

- To już się nie powtórzy. Jeżeli chcesz, pojedę do szpitala jeszcze dzisiaj. Nie poczekam nawet do Bożego Narodzenia. Pojadę zaraz.

Popatrzyła na niego dziwnie i przytaknęła.

- Zrób to. Zrób to natychmiast.

W dziesięć minut potem zatelefonował do szpitala i w godzinę po tym telefonie odwiozła go tam. Pocałowała go na pożegnanie w szpitalnym hallu i obiecał zadzwonić wieczorem. Ze szpitala pojechała prosto do domu i poszła prosto do łóżka. W pół godziny później zadzwonił Teddy

rzekomo tylko z życzeniami świątecznymi, jednak po paru minutach rozmowy zapytał, czy wszystko jest w porządku. Musiała walczyć z sobą, by panować nad głosem. Ale gdy dała słuchawkę Vanessie, dziewczynka tak się rozplakała, że prawie nie mogła mówić. Po chwili trzeba ją było wyprawić do jej pokoju i teraz Teddy przypuścił atak.

- Powiedz mi, co tam się dzieje, czy mam przyjechać i zobaczyć na własne oczy? - Na myśl o przyznaniu się Teddy'emu do swojej pomyłki Serena aż się skręciła, ale już nie zdołała go oszukiwać. Przez łzy lejące się strumieniami powiedziała mu, co się dzieje.

- O Boże, musisz się z tego wyrwać.

- Ale to niehonorowo. On właśnie pojechał do szpitala na odtrucie. Chyba powinnam dać mu szansę. Mówi, że kiedy wyjdzie, znów będzie sobą.

- To niewiele.

Serena otarła łzy i chlipnęła.

- Parszywy komentarz.

- On jest parszywy. Spójrz prawdzie w oczy, do diabła! Strasznie się pomyliłaś. I nie możesz na takie przejścia narażać Vanessy ani siebie.

- Ale jeśli wyjdzie ze szpitala zdrowy? - Pomyślała o jego dziecku. Znow się rozplakała myśląc o tych wszystkich problemach i decyzjach, przed którymi stoi. - Och, Teddy... nie wiem, co zrobić.

- Wróć tutaj. - Nigdy dotąd nie był tak stanowczy. - Mówię poważnie. Rusz się jutro do samolotu i wróć do Nowego Jorku. Możecie mieszkać u mnie.

- Teraz nie mogę wyjechać. On jest moim mężem. Tak się nie postępuje. - Odkryła swoją udrękę, swoją rozterkę, opierając się propozycji Teddy'ego całą siłą woli.

- Więc przyślij Vanessę, żeby tu była, dopóki nie nabierzesz pewności, że się wyleczył.

- Mam z nią nie być w Boże Narodzenie? - Serena rozplakała się znowu.

- Och, na miłość boską, Sereno, co się tam dzieje, na Boga... co się dzieje z tobą?

Usiłując mu odpowiedzieć, poczuła się bardziej pomyłona niż Vasili.

- Tak się martwię, że nie mogę zebrać myśli.

- Tyle wiem.

Ale reszty nie wiedział.

- Jestem w ciąży. Zagwizdał cicho.

- Kurczę pieczone. - I po chwili namysłu powiedział: - Wiesz, wypocznij, zadzwonię jutro.

Ale nazajutrz, gdy Teddy zatelefonował, w Nowym Jorku wrzało. Ktoś ze szpitala, gdzie Vasili był na odwyku, podrzucił tę ciekawostkę prasie, przeleciało to przez ocean i już rankiem ukazała się krótka, ale paskudna notatka w gazetach amerykańskich. Do Margaret Fullerton

przyjechał z biura wycinków prasowych goniec z tymi wycinkami. Czytała je wściekła i zarazem niemal zwycięska.

- Dość fatalnie, że ona pod naszym nazwiskiem paradytuje po całym Nowym Jorku, jeszcze na dodatek związała się z tym żalonym kawiarnianym narkomanem. Na miłość boską, Teddy, co będzie dalej? - Zadzwoń do syna o ósmej rano. - Czy ty jeszcze odzywasz się do tej kobiety?

- Telefonowałem do niej wczoraj wieczorem.

- Ja ciebie nie rozumiem.

- Mamo, do diabła, ona jest moją bratową. I przechodzi bardzo ciężkie chwile. - Tym razem jednak trudno było Teddy'emu bronić Sereny. Bo Serena dokonała kiepskiego wyboru. Nie jej wina, oczywiście, ale prasa nie lubi się rozczulać i ten artykuł z pewnością jest kłopotliwy dla rodziny. Raz wyjątkowo matka ma rację. Co do Vasiliego, ale nie co do jego żony.

- Ona zasługuje na ciężkie chwile. I pozwól sobie przypomnieć, że już nie jest twoją bratową. Twój brat nie żyje. I przecież wyszła za tego zgniłka.

- Dlaczego zadzwoniłaś do mnie, mamo? - Cóż innego mógł powiedzieć? Nie chciał bronić Vasiliego i nie chciał rozmawiać z matką o Serenie.

- Chciałam wiedzieć, czy już czytałeś ten artykuł. To dowód, że mam rację jak zwykle.

- Jeśli chodzi o Vasiliego Arbusa, przyznaję ci rację w całej rozciągłości. O Serenie nie dyskutujemy. W tej sprawie od lat nie okazujesz rozsądku.

- Zdumiewa mnie, Teddy, fakt, że pacjenci od ciebie nie uciekają. Ty chyba jesteś niespełna rozumu. Przynajmniej pod tym względem. Ona musi rzucać jakieś uroki, sądząc po twoim bracie i tobie.

- Czy jeszcze coś, mamo?

- Już nie. Tylko możesz ją poinformować, że jeśli ktoś kiedykolwiek w związku z nią wymieni nasze nazwisko, czy napomknie o jej poprzednim niefortunnym małżeństwie z moim synem, naprawdę podam ją do sądu. Tu już nie wkroczy ta wiedźma, Dorothea Kerr. Bo przypuszczam, że „Księżniczka” - dorzuciła zjadliwie - wyleciała z obiegu.

- Chwilowo.

- Pewnie, dziwki zawsze mogą wrócić do swojego fachu.

Po tych słowach matki Teddy się wyłączył i zatelefonował do Sereny. W Londynie było wczesne popołudnie, Serena miała głos bardziej rzeźki niż w poprzedni wieczór. Powiedziała, że przez cały poranek uspokajała Vanessę i że gdy rozmawiała z Vasilim w szpitalu, wydawał się trochę bardziej sobą.

- Więc nie przyjedziesz do Stanów? - zapytał Teddy, udręczony.

- Jeszcze nie.

- Przynajmniej pisz do mnie często. Jeżeli nie będę miał wiadomości od ciebie, znów zadzwonię.

Serena wróciła do pokoju Vanessy, żeby usłyszeć następną diatrybę o Vasilim. To były dni męki.

- Nienawidzę go. Szkoda, że nie wyszłaś za Teddy'ego albo za Andreasa. -Vanessa wciąż pamiętała brata swego ojczyma w Atenach.

- Przykro mi, że tak to przyjmujesz, Vanesso. - Serena znów miała oczy pełne łez. Czula się wciąż rozdarta między nimi dwojgiem.

Vanessa teraz popatrzyła na nią dziwnie.

- Czy naprawdę spodziewasz się dziecka?

Serena przytaknęła.

- Tak. - To również będzie problem. Już nic nie jest łatwe. Aż nie mogła nawet sobie przypomnieć, kiedy to było. - Bardzo cię to niepokoi?

Vanessa zastanawiała się przez chwilę, po czym spojrzała na Serenę.

- Czy nie możemy po prostu wyjechać z tym dzieckiem z powrotem do Stanów?

O tym właśnie Serena przedtem myślała, ale też i o aborcji.

- To jest dziecko Vasiliego także - powiedziała łagodnie.

- Czy musi być jego? Nie może być tylko nasze? Powoli Serena potrząsnęła głową.

- Nie, nie może.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY TRZECI

W tydzień później Vasili wrócił ze szpitala i był prawie jak anioł. Prowadzili spokojne życie, przeważnie siedzieli w domu, i troszczył się o Vanessę, dobrotliwy, kochający. Jak gdyby po ostatnim szaleńczym popuszczeniu sobie wodzy wreszcie się opamiętał. Wyjaśnił Serenie, że spróbował heroiny dziesięć lat temu właściwie dla żartu, żeby wiedzieć, jak to jest, ale już po kilku tygodniach wpadł w nałóg. Andreas wówczas przyjechał z Aten, zobaczył, w jakim on jest stanie, i natychmiast umieścił go w klinice. Po odwyku Vasili przez cały rok żył normalnie, aż kiedyś na pewnym przyjęciu poczęstowany przez kogoś narkotykiem znów stracił panowanie. Przez następne pięć lat bywało różnie, potem odzwyczaił się całkowicie i wszystko szło dobrze, dopóki nie poznał swej ostatniej żony. Wkrótce po ślubie odkrył, że jest narkomanką. Chciała, żeby też wstrzykiwał sobie heroinę, żeby nie czuła się „taka samotna”, jak powiedziała mu nadąsana, no i zgłupiał, znów się zaczęło. Ich małżeństwo było katastrofą, narkotyzowali się oboje, aż w końcu ona umarła. Jego znów przywrócono do normalnego życia i dopiero ostatnio spróbował heroiny jeszcze raz. Ale tym razem to już na pewno koniec. Serene. jednak bardzo przygłębiło wyznanie, że leczył się już tyle razy.

- Dlaczego mi nie powiedziałaś? - Patrzyła na niego ze smutkiem. Przecież ją oszukiwał.

- Czyż można to komuś powiedzieć? „Jestem narkomanem”. Nie rozumiesz?

- Ale, Vasili, jak w twoim pojęciu ja się czułam, kiedy to wyszło na jaw? - Widział w jej oczach, wielkie to dla niej cierpienie. - Jak mogłeś myśleć, że ja się nie dowiem? - Znów popłynęły łzy.

- Myślałem, że już w to nie wpadnę. Przymknęła oczy, oparła głowę na poduszkach.

- Sereno, nie... Kochanie, nie martw się.

- Jak mogę się nie martwić? - Spojrzała na niego, znękana. - Skąd mogę wiedzieć, że nie zaczniesz znowu? - Już mu nie ufała. Jeśli chodzi o jego życie, w nic nie wierzyła.

Z namaszczeniem podniósł rękę.

- Przysięgam, że nie.

W ciągu następnych miesięcy dotrzymywał słowa. Zachowywał się wprost przykładnie, rozpieszczał Serenę, robił co tylko mógł, żeby wynagrodzić wszystkie troski, jakich jej przysporzył, i uciszyć jej obawy, że znów sięgnie po heroinę. Cieszył się ze swego przeszłego ojcostwa, mówił o tym każdemu, przyjaciółom, klientom, modelkom, rozwodząc się nad tym nieskończenie, aż wszyscy już o jego dziecku w drodze wiedzieli. Najpierw oczywiście zadzwonił z tą wiadomością do Andreeasa, swego brata. Andreas przysłał największego pluszowego misia,

jakiego Serena kiedykolwiek widziała, i ten miś zasiadł w pokoju przeznaczonym dla niemowlęcia. Dla Vanessy Andreas jednocześnie przysłał staroświecką lalkę -pannę młodą.

Były dni czułości, serdecznej więzi pomiędzy Vasilim i Sereną. On znowu tchnął swoim chłopcym wdziękiem i godzinami spacerowali ręka w rękę. Zabrał Serenę dwa razy do Paryża, ferie wielkanocne Vanessy spędzili w Atenach z Andreasem, jego żoną i dziećmi, a potem wracając do Londynu zatrzymali się w Wenecji, gdzie mu pokazała dom babci i wszystkie swe ulubione miejsca. Cudowne były te dni i wydawało jej się, że nigdy w życiu nie była szczęśliwsza, gdy wrócili do domu. Dziecko miało się urodzić po pierwszym sierpnia. Na początku czerwca zaczęła urządzać pokój niemowlęcy. Kupiła już piękne kołderki i kilka świetnych starych obrazów olejnych i akwarel przedstawiających postacie z baśni. Ponadto zamierzała sama namalować tam fresk, a Vanessa przestała się interesować lalkami i zwierzątkami z pluszu, oczekując zjawienia się żywej lalki i w końcu była już bardzo podniecona. Serena w ósmym miesiącu prawie nie mogła uwierzyć, że czas mija tak szybko. Andreas zaprosił Vanessę na letnią wycieczkę jachtem z jego rodziną, ale dziewczynka wolała zostać przy matce, żeby od razu zobaczyć bobaska, kiedy się urodzi. Zresztą bała się samotnych podróży. Nie chciała nawet polecieć do Teddy'ego, żeby spędzić z nim wakacje w Stanach.

- Kiedy już bobas będzie - odpowiedziała na jedno i drugie zaproszenie. Serena śmiała się, bo Vasili mówił tak samo.

Ta ciąża była zdumiewająco łatwa i niepokoiło Serenę tylko to, że dziecko mogłoby się urodzić tak raptownie jak Vanessa. Gdyby poród zaczął się w domu, Vasili przecież nie miałby takiej zimnej krwi jak Teddy. Był kłębkim nerwów wobec samej takiej perspektywy i za każdym razem, gdy poruszyła się w łóżku, podskakiwał, wlepił w nią czarne oczy, wstrząśnięty.

- To już? To już?

- Nie, głuptasie, śpij. - Serena uśmiechała się leżąc przy nim, myśląc o ich dziecku i o latach, jakie są przed nimi. Panował taki spokój, epizod z heroiną wydawał się teraz dawnym koszmarnym snem, aż do pewnego wieczora w pierwszym tygodniu lipca, gdy Vasili nie wrócił do domu. Serena myślała, że stało się coś strasznego, może wypadek samochodowy. Potem jednak, w miarę jak godziny mijały, coraz natrętniej nasuwało jej się przypuszczenie, że znów zaczyna się tamto. Ze strachem i gniewem czekała na Vasiliego, nie kładąc się do wpiół do piątej rano. O piątej usłyszała jego kroki na frontowych schodkach. Drzwi głośno trzasnęły.

Wstała z łóżka i boso, rozdygotana, bo dziecko w niej omal nie skakało, zeszła na dół. Bała się tego, co zobaczy, ale zobaczyć musiała, żeby wiedzieć, czy Vasili znów sięgnął po narkotyki. Wszystkie dawne obawy zbudziły się na nowo w ciągu jednej zaledwie nocy.

Zatrzymała się w połowie schodów. Stał w hallu, napotkał jej wzrok ze sztuczną brawurą, z

szerokim uśmiechem filmowego amanta.

Zorientowała się natychmiast, że jest czymś napompowany. Nerwowo, głupio popędził ku niej, usiłując udawać, że powrót do domu o godzinie piątej rano to nic nadzwyczajnego.

- Cześć, kochanie, jak tam małeństwo? - Głos miał ochryply, tak jak w swoim narkotycznym okresie przed Bożym Narodzeniem.

Nie odpowiedziała mu, a on wbiegł na schody i spróbował ją pocałować. Cofnęła się ze zgrozą.

- Gdzie byłeś? - Głupie pytanie, zdawała sobie z tego sprawę. Przecież chodzi nie o to, gdzie był, tylko o to, co robił. Nie czekając na odpowiedź, odwróciła się i ruszyła po schodach na górę najszybciej, jak tylko mogła. Wydawało jej się, że zacznie rodzić lada chwila. Była napięta, męczyły ją skurcze wskutek nocnego czuwania. Czy to po prostu złe samopoczucie czy już poród?

- Nie bądź taką cholerną kołtunką! - wrzasnął Vasili, gdy dochodziła do sypialni.

Odwróciła się z furją.

- Ciszej, bo obudzisz Vanessę. - Ale to był nie tyle gniew, co strach pełen rozpaczy. Osobisty demon Vasiliego znów wtargnął w ich życie.

- Do diabła z Vanessą, to i tak mała dziwka.

Na sam dźwięk tego słowa Serena rzuciła się ku niemu. Zamierzyła się, żeby go uderzyć, ale chwycił ją za nadgarstek i odepchnął do ściany. Raczej oszołomiona niż uderzona, potknęła się i upadła z jękiem. Stał nad nią i przez łzy zobaczyła w jego oczach obłęd jak wtedy przed Bożym Narodzeniem, koszmar. Już nie mogła tego znieść. Zakipiała wściekłością prawie nie do opanowania.

- Przyprawiasz mnie o mdłości! - Podniosła się trzęsąc cała i znów się zamierzyła. Tym razem też ją uprzedził. Rozczapierzonymi palcami chwycił ją za twarz, pchnął i gruchnęła na podłogę sypialni. W tym właśnie momencie przybiegła Vanessa.

- Wracaj do swojego pokoju! - Serena nie chciała wciągać w to dziewczynki, ale Vasili pchnął Vanessę także.

- Dobrze wam tak, płaksy - powiedział, gdy bezwładnie upadła obok matki. -Jedna warta drugiej. - Odwrócił się i splunął przez ramię. - Idiotki dwie!

Serena szeptem kazała Vanessie wrócić do swojego pokoju. Vanessa przestraszona nie chciała odejść.

- On ciebie zabije.

- Nie, na pewno nie. - Serena też się tego bała, ale nie chciała, żeby Vanessa widziała jej strach.

- Ale tak, zabije!

Dziewczynka się rozszlochała lgnąc do matki.

- Kochanie, proszę cię.

Serena ostrożnie wstała i zaprowadziła Vanessę do jej pokoju. Dopiero pół godziny później wyszła stamtąd. Vasili siedział w fotelu, głowę miał spuszczoną na piersi, w palcach niedopałek papierosa.

- Co? - Podniósł głowę, jak gdyby coś powiedziała, i spojrzał w jej stronę zezując.

- Nic nie mówiłam. - Cicho zamknęła drzwi za sobą. Nienawidziła go całą duszą. - Ale chcę ci coś powiedzieć, ty skurwysynu. Jutro rano kiedy oprzytomniejesz, będę u adwokata, a potem wracam do Stanów.

- Co tym udowodnisz? Kto będzie utrzymywał twoje dziecko?

- Ja.

Znienawidziła go właśnie takiego. Pod wpływem narkotyków brał w nim górę człowiek zły, niegodziwy, i to niweczyło wszystkie jego dobre cechy, wszystkie jej nadzieje, jej marzenia. Chciała tylko uciec. Spróbowała wyjść z sypialni, ale on, pozornie senny, nagle zerwał się z fotela i przyskoczył do niej.

Chwycił ją za rękę i pociągnął. Pchnął ją na łóżko.

- Kładź się.

- Nie chcę spać tutaj. - Dygotała, ale usiłowała panować nad sobą. Miała takie skurcze, że nie mogła się wyprostować. Wbrew woli zaczęła gwałtownie się wyrywać. - Nie chcę być przy tobie.

- Dlaczego? Czujesz do mnie wstręt?

- Puść mnie. Wykręcasz mi rękę.

- Wszystko inne ci wykręcę, jeżeli nie będziesz zachowywać się przyzwoicie.

- Co to znaczy, do diabła? - Wiedziała, że kłótnia tylko pogorszy sytuację, kiedy jest w tym stanie, a przecież nie mogła się powstrzymać. Chciała nim wstrząsnąć. - Spodziewasz się, że ja będę zgadzać się na to i zostanę z tobą? No zrozum, że nie, i niech cię cholera weźmie! Możesz sobie iść do diabła. Ja stąd wyjeżdżam jutro rano.

- Czyżby? - Znów podszedł do niej. - Czyżby?

Dygotała już niepohamowanie, gdy stał nad nią, i nagle bezsilna osunęła się na wznak i rozszlochała. Płakała przez godzinę, on się do niej nie zbliżał, a potem zasnęła. Obudziła się o jedenastej przed południem. Jeszcze chrapał. Wstała, na palcach wyszła z sypialni, zaczęła szukać Vanessy. Ale Mariannę zabrała dziewczynkę na spacer.

Chodząc wolno po domu, Serena się zastanawiała. Trzeba wyjechać, wywieźć Vanessę, zanim to wszystko posunie się znów za daleko, trzeba wyjechać ze względu na drugie dziecko.

Nagle jednak wpadła w panikę. Może Vasili ma rację. Kto jej pomoże? Dokąd się udać? Trudno wymagać od Teddy'ego, żeby zajął się tym dzieckiem. A nikogo innego nie ma. Czowała się jak w potrzasku.

Siedziała na schodach w hallu i nie słyszała, jak Vasili zszedł z góry. Dopiero gdy dotknął jej ramienia, podskoczyła z cichym krzykiem. Odwracając się, zobaczyła jego spustoszoną twarz. Tym razem niszczące działanie narkotyku stało się widoczne już po kilku godzinach. Przedtem dopiero po kilku tygodniach wyglądał tak fatalnie jak teraz - wymizerowany, wynędzniały, przypominający łasicę.

- Dobrze się czujesz? - Na tej wyblakłej twarzy widziała lęk. Przytaknęła, ale patrząc na niego z przerażeniem, nie zdołała powstrzymać się od płaczu. Zniżył głos: - Sprawilem ci ból?

- Nie - powiedziała bardzo cicho. - Ale przestraszyłeś Vanessę. - Jak gdyby sama nie istniała, jak gdyby liczyły się już tylko dwie istoty: Vanessa i to dziecko jeszcze nie narodzone. Ją mógłby nawet zabić, byleby nie skrzywdził jej dzieci. A takie wyczerpujące się wydawało bronienie ich. Potrzebowała teraz kogoś, kto by się nią opiekował. Musiała jednak, zdana wyłącznie na siebie, sama uporać się z tym jego koszmarem. - Co zamierzasz zrobić? - Podniosła na niego oczy zbitego psa. Nie był już tamtym, którego znała. W ciągu jednej nocy tamten zniknął na zawsze.

- Nie wiem. Ale sobie z tym poradzę. Było tylko kilka razy.

- Kilka razy? - Zdumiała się, ponieważ tego nie zauważyła. Zdumiewająco też był teraz szczery. Wiosną w Atenach rozmawiała kiedyś na ten temat z Andreasem, który powiedział, że Vasili nigdy nie przyznaje się do zażywania narkotyków, gdy już zaczyna je zażywać. Jeśli więc mówi, że „kilka razy”, ile razy to może oznaczać? Patrzyła na niego zrozpaczona. - Dlaczego?

- A bo ja wiem - zirytował się nagle.

- Pojedziesz znów do szpitala? - zapytała błagalnie i znowu poczuła skurcz w nabrzmiętym brzuchu.

- Tym razem to niepotrzebne.

- Skąd możesz wiedzieć?

- Stąd, że wiem, do cholery! - Był w dżinsach i koszuli tej samej co poprzedniego dnia, i w pantoflach bez skarpetek.

- Wychodzisz?

- Muszę. Mam do odebrania film.

- Rzeczywiście. Gdzie?

- Nie twój zakochany interes. Dlaczego nie idziesz na górę, żeby się położyć?

- Dlatego że właśnie wstałam.

- No to co? Czy nie powinnaś wypoczywać? Czy wcale nie dbasz o dziecko? - Jak gdyby atakowaniem jej mógł się wyzwolić.

Chociaż usiłowała przemówić mu do rozumu, w pięć minut później wyszedł i wrócił dopiero po północy. Przez cały ten dzień chodziła po domu, zastanawiała się i nienawidziła go, ale wbrew swojej groźbie nie zadzwoniła do adwokata. W końcu skrzyczała Vanessę, wybuchnęła płaczem i miała takie skurcze, że omal nie wezwała doktora. A gdy wrócił, zobaczyła, że znów jest po narkotyku.

- Długo to będzie się tak ciągnąć? - zapytała bliska historii. Przytaknął udając, że jej słucha.

- Tak długo, jak zechcę. Jeżeli to w ogóle jest twoja sprawa.

- Chyba jestem twoją żoną i spodziewamy się dziecka. Więc to jest moja sprawa.

Uśmiechnął się niegodziwie.

- Taka mała konserwatystka.

Patrząc na niego ze zgrozą poczuła, jak żołądek jej się wywraca.

- Nie możesz się zgłosić do jakiegoś państwowego ośrodka walki z heroiną jak nałogowiec, załatwić tego w ten sposób? - Co za pomysł. Słuchając swego głosu omal się nie wzdrygnęła, może jednak to by go ograniczyło do jakiejś dawki, z którą mógłby żyć, i nie musieliby przechodzić wciąż przez to samo piekło.

Ale on z niej szydził.

- Co takiego? Żeby stracił wszystkie zlecenia? To byłoby interesujące!

- A tak jak jest, możesz pracować? - Oboje wiedzieli, że może. Ilekroć się urywał, asystenci go osłaniali.

- Pilnuj własnego zakichanego nosa, dziwko.

Tym razem nie podniosła się, żeby go trzepnąć w policzek, tylko odwróciła się plecami w łóżku, zadając sobie pytanie, dlaczego nie wyniosła się z jego domu rano.

Wydawało się jej, że jest niezdolna do tego, by się ruszyć, by zacząć działać, i że może, jeśli zostanie przy Vasilim dość długo, on znowu się opamięta. Ale tak nie było. Koszmar stawał się tylko z dnia na dzień okropniejszy, gdy siedziała bezradnie i patrzyła grzęznąc coraz głębiej w trzęsawisku rozpacz. Pod koniec tego pierwszego tygodnia Vasili co dzień jej obiecywał, że rozpocznie kurację odwykową, i co dzień wychodził, żeby znów puścić się na swoje mętne wody. Niezmiennie zamierzał rozpocząć kurację nazajutrz rano, a ona niezmiennie zamierzała nazajutrz rano zadzwonić do adwokata i możliwie szybko wyjechać do Nowego Jorku. To była karuzela pogróżek, obietnic i lęku. Ale już w ciągu tych pierwszych dni zdała sobie sprawę, że mogłaby tylko przenieść się do hotelu. W tak zaawansowanej ciąży nie mogłaby polecieć do Nowego Jorku samolotem. Tymczasem poród się zbliżał, aż czekał ją lada dzień, po czterech prawie tygodniach,

które przesiadła biernie w tych ruchomych piaskach, uważnie obserwowana przez Vanesę. Dziewczynka była niemal tak wielkooka i blada jak ona.

- Jak się czujesz? - Teddy zatelefonował do nich z Long Island w przewidzianym dniu porodu, jeszcze bardziej zaniepokojony niż przedtem. Było ostatnio w prasie więcej wiadomości o Vasilim: fotografie przedstawiające jego samego w nocnych lokalach, domysły, czy jego małżeństwo z „Księżniczką” nie uległo rozbiciu. -i co z nim?

- Coraz gorzej. Och, Teddy... - Serena się rozplakała.

- Chcesz, żebym przyleciał?

- Nie. On by dostał ataku i byłoby tylko straszniej. - Chociaż nie mogła sobie tego wyobrazić: jeszcze straszniej?

- Jeżeli będę ci potrzebny, przylecę.

- Zadzwoń do ciebie. - Ale kładąc słuchawkę na widełki uświadomiła sobie, jak bardzo jest od Teddy'ego odizolowana, od Teddy'ego i od wszystkich, zdana na siebie w koszmarze, który stworzył Vasili. Wciąż się bała i martwiła, czuła się chora. Ale nic nie mówiła swemu lekarzowi. Wstydziła się wyznać komukolwiek, z wyjątkiem Teddy'ego, co przeżywa.

Teddy zadzwonił już po kilku godzinach. Nie mógł znieść tej sytuacji. Powiedział, że za parę dni będzie w Londynie. W pięć minut potem Serena poszła do pokoju Vanessy, która smętnie wyglądała przez okno.

- Złotko, dobrze się czujesz? - Przerazająco cała historia ponurych ubiegłych miesięcy była wypisana na twarzy dziewczynki.

- Ja dobrze, mamusiu. A bobas?

- W porządku, ale martwię się o ciebie.

- O mnie? - twarzyczka Vanessy się rozjaśniła. - Ja o ciebie się martwię przez cały czas.

- Nie ma powodu. Wszystko będzie świetnie. Myślę, że Vasili w końcu da się wyleczyć, a pojutrze, wiesz, przyjedzie Teddy.

- Naprawdę? - Dla dziewczynki to było jak wiadomość, że już pojutrze, przyspieszone o cztery miesiące Boże Narodzenie. - Jakim cudem?

- Powiedziałam mu, co tu się dzieje, i chce przyjechać, żeby dotrzymać ci towarzystwa, kiedy będę zajęta narodzinami bobasa.

Vanessa przytaknęła powoli i podniosła swe ośmioletnie oczy pełne niepokoju i cierpienia. Widziała poniewierkę swojej matki, bitej po twarzy, popychanej, lekceważonej, zastraszonej, zaniedbywanej, opuszczonej. Żadne dziecko nigdy nie powinno takich scen widzieć. Serena miała tylko nadzieję, że z czasem większość tego zatrze się w pamięci Vanessy.

- Mamusiu, dlaczego on to robi? Dlaczego tak się zmienia? - Vanessa wiedziała, że Vasili

bierze narkotyki. - Po co mu to?

- Nie wiem, serduszko. Też tego nie rozumiem.

- Czy on naprawdę nas nienawidzi?

- Nie. - Serena westchnęła. - Prawdopodobnie on nienawidzi samego siebie. Nie wiem dlaczego, ale nie sądzę, żeby to miało coś wspólnego z nami.

- Słyszałam, jak mówił, że boi się tego dziecka.

Serena spojrzała na Vanesę. Więc ona tyle słyszy, tyle chłonie, więcej niżby się wydawało.

- Może przeraża go odpowiedzialność za dziecko.

- Ciebie przeraża?

- Nie. Kocham cię całym sercem i na pewno będziemy kochać bobasa.

- Ja będę kochać bobasa szalenie. - Vanessa patrzyła na matkę z dumą. Dziwne, że w tych okolicznościach nie czuła do jej mającego się narodzić dziecka nienawiści. Wszystkie złe uczucia skoncentrowała na Vasilim. - To będzie mój bobasek, mamusiu. Będę kapitalną siostrą. - Pocałowała Serenę w policzek. - Myślisz, że ono narodzi się niedługo?

- Nie wiem.

- Czasami męczą mnie to czekanie. Serena się uśmiechnęła.

- Mnie też. Ale myślę, że to już lada dzień. - Skurcze, które miała od paru dni, mówiły jej, że to już lada chwila. - Może ono zaczeka na stryja Teddy'ego.

Vanessa przytaknęła, uściskały się, Serena poszła na górę. Zatelefonowała do Andreeasa, powiedziała mu o Vasilim. Andreas się przeraził, pełen współczucia dla niej.

- Biedaczko, i to w takim czasie jak teraz. Powinno się go zastrzelić!

- Czy zechcesz przyjechać i postarać się go namówić na szpital? Mnie już wcale nie słucha.

- Spróbuję. Ale przyjadę dopiero za parę dni. Alecca jest chora, nie mogę jej tak zostawić. - Jego żona chorowała od kilku miesięcy. Serena wiedziała o tym, wszyscy zaczęli podejrzewać, że to rak.

- Rozumiem. Tak tylko pomyślałam, że może ty byś na niego wpłynął.

- Postaram się. Przyjadę w końcu tygodnia, Sereno. Dbaj o siebie i o małą Vanesę. Niemowlaczka nie widać? - W jego głosie zabrzmiał łagodny uśmiech, a ona jeszcze bardziej posmutniała. Prawie nie miała kiedy myśleć o tym dziecku. Nałóg Vasiliego przysłał jej wszystko.

- Nie, jeszcze nie, ale to już wkrótce. Zawiadomię cię.

- Postaram się przyjechać przedtem.

Tej nocy, wiedząc, że Teddy i Andreas przyjadą, była prawie spokojna, jak nigdy od kilku tygodni. Vanessa będzie miała opiekę i co daj Boże, Vasili na jakiś czas zostanie usunięty. Teraz

zależało jej tylko na tym, żeby nie urodzić przed ich przyjazdem do Londynu. Myśląc o tym leżała bezsennie, Vasili nie wrócił na noc. Nad ranem, gdy już zapadała w drzemkę, poczuła na nogach coś mokrego i ciepłego. Z uczuciem, że pływa w bardzo ciepłej wodzie, usiłowała jednak zasnąć, nie chciała wiedzieć, co to jest. Aż nagle brzuch jej zacisnęło jakieś ogromne imadło i obudziła się przerażona, od razu wiedząc, co czuje.

- Niech to diabli... - wymamrotała. Wszystkie kobiety, które знаła, zaczynały rodzić stopniowo. Miały niegwałtowne bóle całymi godzinami i nawet się zastanawiały, czy to są bóle porodowe. Ale siadając w pościeli przypomniawszy sobie, co jej przed laty mówił Teddy i co ostatnio mówił angielski doktor. Wiedziała, że musi się śpieszyć, jeżeli nie chce urodzić drugiego dziecka na własnym łóżku, i że tym razem nie ma nikogo do pomocy. Wstała tak szybko, jak mogła, trudno jej było jednak się poruszać, bo dziecko w ciągu ubiegłych paru godzin osunęło się niżej. Czowała się boleśnie obciążona, gdy szła do łazienki po ręczniki. Ledwie tam weszła, znów złapały ją skurcze i musiała cicho sapać, żeby je wytrzymać. Potem się wyprostowała, wzięła sukienkę z wieszaka, zdjęła nocną koszulę, włożyła tę bawełnianą sukienkę, wsunęła stopy w sandały, a potem sięgnęła po torebkę. Zaśmiała się cicho do siebie, podniecona, jak dziewczę bez mała lat wcześniej. Niech diabli porwą Vasiliego. Postanowiła porzucić go, gdy tylko urodzi dziecko. Teraz jeszcze musiała obudzić Vanessę i z nią pojechać do szpitala. Pokojówka miała wolną tę dobę, Vanessa przecież nie mogła zostać w domu sama. Czy też, co jeszcze gorsze, z Vasilim, gdyby wrócił.

Ostrożnie poszła po schodach na górę do pokoju Vanessy. Potrząsnęła delikatnie jej ramieniem, pochyliła się, żeby ją pocałować, pogłaskała ją i nagle klęcząc przy łóżku zachłysnęła się raptownie. Ale gdy Vanessa się obudziła, bóle już minęły.

- Wstań, kochanie. Czas jechać.

- Jechać? Dokąd?

- Do szpitala, żeby bobas się urodził.

- Teraz? - Vanessa się przeraziła, spojrzała w okno, zobaczyła, że jest jeszcze ciemno. Serena z rozpaczą pomyślała, że nie dało się zaczekać do przyjazdu szwagrów. Trzeba Vanessę zabrać do szpitala. Tam jej dadzą jakieś łóżko w innym pokoju, jeśli okaże się to konieczne. Teddy przyjedzie we wtorek.

- Prędejj, kotku, wstawaj. Ubierz się w coś i weź nocną koszulę. I książkę do czytania - dodała po chwili, zanim rozdarł ją straszliwy ból.

- Och, mamusiu! - Vanessa wyskoczyła z łóżka, nie przygotowana na widok takiej męki. - Mamusiu, co ci jest? Mamusiu!

- Psst... kochanie. Nic. - Serena zgrzytnęła zębami i spróbowała się uśmiechnąć. - Bądź dużą dziewczynką, zadzwoń po taksówkę... prędko.

Vanessa w nocnej koszuli zbiegła na dół z džinsami i koszulką trykotową pod pachą. Ubrała się, czekając, żeby ktoś w przedsiębiorstwie taksówkowym się odezwał, po czym powiedziała, że to pilne, mamusi rodzi się dziecko.

Taksówka podjechała pod drzwi frontowe w ciągu niecałych pięciu minut. Vanessa pomogła Serenie wsiąść. Czuła się bardzo dorosła, pomagając matce, ale się wzdrygnęła, gdy znowu nastąpiły bóle.

- Bardzo to boli?

- Tylko dość mocno, żeby wypchnąć ze mnie bobasa.

Vanessa przytaknęła, nadal jednak zaniepokojona. Bóle się wzmagaly. Przed szpitalem wyjęła z torebki matki pieniądze i zapłaciła kierowcy. Uśmiechnął się do nich obu i życzył Serenie szczęścia. Ze szpitala przybiegły dwie pielęgniarki, posadziły Serenę w fotelu na kółkach. Serena uśmiechnęła się blado do Vanessy i pomachała do niej ręką, odjeżdżając w fotelu. Dziewczynka usiadła w kącie poczekalni. Przypuszczała, że braciszek czy siostrzyczka urodzi się za kilka minut.

Po godzinie, gdy nic się nie działo, zapytała jakąś przechodzącą pielęgniarkę, ale dostała tylko zdawkową odpowiedź. Po południu była już w panice. Gdzie jest mama? Co się stało? Dlaczego bobas się nie urodził?

- Te sprawy trwają trochę czasu - usłyszała od innej pielęgniarki.

Gdy o czwartej przyszła druga zmiana, te nowe pielęgniarki były dla niej bardziej życzliwe. Jednak nie rozumiały, dlaczego jest w poczekalni zupełnie sama, i nieprędko do którejś z nich dotarło, że nikt po tę biedaczkę nie przyjedzie i że ona nic nie jadła. Nie skarżyła się nikomu przez czternaście długich godzin, ale gdy wreszcie dostała od pielęgniarki kanapkę, wybuchnęła płaczem.

- Gdzie jest moja mama? Co się stało? Dlaczego jeszcze nie ma bobaska? -I oczy jej się rozszerzyły. - Czy mama umrze?

Pielęgniarki uśmiechnęły się i powiedziały, że to bzdura, ale im nie uwierzyła. Potem znowu była w poczekalni sama, wyszła i zaczęła błądzić po korytarzach, aż na jednych złowieszczych drzwiach z matową szybą zobaczyła tabliczkę „izba porodowa”. Jak gdyby wyczuła, co za nimi jest, wyprostowała ramiona i cichutko tam weszła. To, co zobaczyła, sprawiło, że głośno się zachłysnęła. Mama leżała na białym stole, nogi miała przywieszzone do jakichś desek w powietrzu, twarz wykrzywioną bólem, ręce skrępowane, jasne włosy zmierzwiłone, usta otwarte w krzyku.

- Mamusiu! - Vanessa się rozplakała podchodząc do matki. W sali nikogo nie było. Instynktownie zaczęła uwalniać Serenie ręce.

Serena spojrzała nie widząc. Dopiero po chwili poznała swoją córkę i rozplakała się tak rzewnie jak Vanessa.

- Och, dziecino... moja dziecinko... - Uwolnioną ręką dotknęła długich złocistych włosów Vanessy i nagle kurczowo chwyciła ją za ramię. Vanessa omal nie krzyknęła z bólu. Serena wyczuła to i puściła jej ramię, ale nie zdołała się powstrzymać od strasznego rżenia.

- Co ci jest... och, mamusiu, co ci jest? - Dziewczynka miała oczy ogromne ze strachu. Matka, złana potem, była upiornie sina.

- Bobas... odwrócił się... - I Serenie nagle coś przyszło na myśl. - Vanessa, zapytaj ich o... moją torebkę... Mam pieniądze... zadzwoń do Teddy'ego... znasz... numer? - Vanessa skinęła głową nadal bojąc się rozpaczliwie. - Powiedz mu... -Ale Serena nie mogła mówić dalej, bóle szarpnęły nią zbyt gwałtownie. Minęło kilka minut, zanim zdołała znów zacząć. - Powiedz mu, że dziecko... pośladki. Rozumiesz? - Vanessa przytaknęła. - Próbowali je obrócić i nie mogli. Dają mi jeszcze parę godzin i dalej będą się starali... idź już. - Z rozpaczą patrzyła na córkę. - Powiedz mu... powiedz, żeby przyleciał dzisiaj. Prędzej.

Vanessa znów przytaknęła i wahała się, ale po następnych bólach matka błagała, żeby wzięła torebkę, znalazła telefon i zadzwoniła do Teddy'ego natychmiast.

Trudno było wyciągnąć od pielęgniarek torebkę Sereny, ale w końcu pojmując, że dziewczynka nie ma nawet pieniędzy na jedzenie, ustąpiły. Vanessa z torebką ukradkiem pobiegła do kabiny telefonicznej w głębi hallu, zamknęła drzwi i włożyła monetę do automatu. Zamówiła połączenie z Teddym na jego koszt. Wiedziała, że chociaż w Londynie jest godzina siódma wieczorem, to w Nowym Jorku jest dopiero pierwsza po południu i Teddy pewnie siedzi w swoim lekarskim gabinecie.

- Z doktorem Fullertonem? - Nowojorska pielęgniarka wydawała się zdumiona. - Jego bratanica, zaraz go poproszę.

W minutę później Teddy był przy telefonie, połączenie zostało akceptowane i Vanessa nieomal wpadła w histerię, usiłując wyjaśnić, co widziała i co mama jej kazała powiedzieć.

- Cała związana, stryju, i nogi ma w powietrzu, i jesteśmy tutaj od piątej rano, i ona mówi... ona mówi... że dziecka pośladki, i że starają się je odwrócić i nie mogą, i... - Rozszlochała się w słuchawkę.

Teddy próbował ją uspokoić.

- W porządku, kochanie. Wszystko w porządku. Tylko mi powtórz, co mama powiedziała.

- Że jej dadzą jeszcze parę godzin i postarają się odwrócić bobasa. Mama chce, żebyś zaraz przyjechał i powiedziała: pospiesz się.

Teddy w Nowym Jorku omal się nie rozplakał. Poród pośladowy w odległości trzech tysięcy mil. Nawet gdyby dostał miejsce w najbliższym samolocie, dopiero za dwanaście do osiemnastu godzin będzie przy Serenie. Jej trzeba zrobić cesarskie cięcie natychmiast,

niepotrzebnie czekają godzinami, żeby spróbować odwrócić dziecko, mogą ją tym zabić i dziecko również.

- Wszystko będzie dobrze, kochanie - powiedział Vanessie pragnąc, żeby mu uwierzyła. - Czy wiesz, jak nazywa się doktor mamy? - Przynajmniej mógłby do niego zatelefonować, ale Vanessa nie wiedziała. - Który to szpital? - To powiedziała mu szybko. - Zadzwoń do nich i zobaczmy, co da się zrobić.

- Stryju, nie możesz przyjechać? - Głos jej świadczył, że wpadała w panikę.

- Spróbuję złapać następny samolot. Jeżeli się powiedzie, będę tam jutro rano waszego czasu, ale może dziecko urodzi się przedtem. - Wiedział, że w sumie dwadzieścia cztery godziny dla Sereny, przywiązanej do stołu porodowego z nogami w strzemionach, z perspektywą porodu pośladowego i prawdopodobnie nie współczującym personelem wokoło, to najgorsze jakie można sobie wyobrazić tortury. - Czy możesz wrócić do mamusi, kochanie?

- Postaram się. Tylko czy mnie wpuszczą?

- Powiedz jej, że przylecę. Nie wiesz, gdzie jest Vasili?

- Nie wiem i nie chcę, żeby tu był. Jest pomyłony.

- Wiem. Wiem. Tak tylko zapytałem. Zostawiłście mu w domu wiadomość, gdzie jesteście?

- Nie.

- Co z jego bratem?

- Mamusia powiedziała, że przyjedzie, ale dopiero w końcu tygodnia, bo jego żona jest chora.

- Dobrze, tygrysku, tylko trzymaj się w tej twierdzy, dopóki nie przyjadę. Może to być długa noc, ale ja tam będę i wkrótce to się skończy. - Już notował polecenia dla swojej sekretarki. Nie zamierzał nawet wstąpić do mieszkania. Wszystkie potrzebne rzeczy może kupić w Londynie. Zabierze ze sobą tylko torbę lekarską i teczkę. - Jestem z ciebie bardzo dumny, Vanesso. Spisujesz się wspaniale.

- Ale mamusia...

- Będzie się czuła świetnie, daję ci na to słowo. Czasami trudno jest urodzić dziecko, ale nie zawsze, i kiedy już przyjdzie na świat, nawet się o tych bólach nie pamięta, daję ci słowo.

- Ale mamusia wygląda tak, jakby umierała. - Głos się Vanessie załamał.

W pięć minut potem Teddy zadzwonił do tego szpitala, rozmawiał z dyżurną pielęgniarką, nie mógł jednak porozmawiać z żadnym doktorem. Pani Arbus jest w dobrym stanie. Położenie dziecka jest rzeczywiście pośladowe, ale jeszcze nie trzeba dokonać cesarskiego cięcia. Będą z tym czekać co najmniej do jutra rana. I nie, nie mogli dziecka odwrócić, ale ufają, że dalsze wysiłki

w tym kierunku odniosą skutek. Owe dalsze wysiłki miały oznaczać, że w czasie bólów pielęgniarka albo stażysta będą wpychać w nią ręce jak najgłębiej, żeby obrócić dziecko do góry nóżkami. Samej myśli o tym Teddy nie mógł znieść, mając przed oczami Serenę. Pojechał prosto na lotnisko i zgłosił się w Idlewild o godzinie wpół do trzeciej. Samolot do Londynu miał o czwartej, więc jeszcze raz zadzwonił do tego londyńskiego szpitala. Nic się nie zmieniło, ale najwyraźniej zrobił tam wrażenie. Nie każda pacjentka ma lekarza, który przylatuje do niej z Nowego Jorku.

Samolot startujący o czwartej miał wylądować w Londynie o drugiej w nocy, czyli według tamtejszego czasu o ósmej rano. Prędzej w żaden sposób Teddy nie mógłby się do Londynu dostać. W samolocie powiedział stewardowi, że leci tam, żeby odebrać poród pewnej bardzo ważnej pacjentki cesarskim cięciem z komplikacjami. Musi jak najszybciej przyjechać z lotniska do szpitala, będzie więc potrzebował ambulansu albo eskorty policyjnej. Steward od razu porozmawiał z kapitanem, wiadomość została przekazana, gdy tylko nawiązano łączność z Londynem, i po wylądowaniu Teddy od razu mógł przejść przez komorę celną bocznymi drzwiami do czekającego ambulansu. Na sygnale ambulans popędził do miasta. Szczęśliwie samolot wylądował o pół godziny wcześniej, niż powinien według rozkładu, toteż już pięć po ósmej Teddy wysiadł z ambulansu na londyńskiej ulicy. Podziękował kierowcy dając mu hojny napiwek, wbiegł do szpitala i zapytał o oddział położniczy, z torbą w ręce pognął po schodach do dużej, nieprzytulnej poczekalni, gdzie zobaczył śpiącą na krześle Vanessę. Pośpieszył do recepcji i porozmawiał z pielęgniarką.

- Z Ameryki? Do pani Arbus? - Pielęgniarka była bardzo zaskoczona. Natychmiast poszła do przełożonej, która z kolei poszła do dyżurnego lekarza. Lekarz pani Arbus kilka godzin temu wyszedł ze szpitala, ale oczywiście, jeżeli doktor Fullerton ma przy sobie odpowiednie dokumenty, to chyba, jeżeli cesarskie cięcie okaże się rzeczywiście potrzebne, będzie mógł asystować chirurgowi brytyjskiemu. Teddy od razu przedstawił wymagane papiery, umył ręce i powiedział, że chce zobaczyć Serenę. Poprowadzono go na czele całego orszaku do drzwi, które trzynaście godzin przedtem wypatrzyła Vanessa. Serena leżała prawie nie oddychając, mokra od potu, półprzytomna, oszołomiona bólem. Teddy obejrzał ją, zbadał jej puls, posłuchał bicia serca dziecka. Wydawało się, że Serena go nie poznaje. Jej serce biło słabo, nierówno, bicie serca dziecka zaczynało ustawać, ciśnienie krwi miała tak niskie, że zastanowił się, czy zdołają ją uratować. Bez namysłu wydał brzmiące jak salwa karabinowa polecenia, żeby przygotowano wszystko do operacji. Chętnie by kogoś z nich zabił za to, że nie dokonano cesarskiego cięcia dwadzieścia cztery godziny wcześniej. Gdy badał Serenę i ustalał, jak nisko jest dziecko, widział, co oni jej zrobili, nieustannie usiłując odwrócić dziecko. Poczul zagrożenie, w tak okropnym była stanie. Chciał ją wziąć w ramiona i zabrać

jak najdalej od jej koszmarnej cierpienia, ale tylko uwolnił jej nogi ze strzemion, delikatnie położył ją na wznak na tym stole na kółkach. Już ją przewozili do sali operacyjnej, gdy poruszyła się i spojrzała na niego dziwnie.

- Pan wygląda... - wykrakała ledwie dosłyszalnie - ...jak Teddy.

- Jestem Teddy, Sereno. Wszystko będzie dobrze. Vanessa do mnie zadzwoniła, urodzimy bobasa cesarskim cięciem.

Przytaknęła i po chwili znów krzyczała z bólu. W sali operacyjnej zjawił się nieco spłoszony tą niezwykłą procedurą młody doktor i już bez żadnych ceregieli uspił pacjentkę.

Teddy po wyszorowaniu się i przebraniu do operacji, zaczął nacinać brzuch Sereny. Anestezjolog z dwiema pielęgniarkami czuwali nad jej zamierającym tętnem. Teddy widząc, jak błyskawicznie ona umiera mu pod nożem, czuł się tak, jakby miarowo cofał wskazówki zegara. Po chwili już miał to dziecko, doskonale kształtną, piękną, malusieńką dziewczynkę, ale gdy wyjął ją z łona, nie było płaczu, nie oddychała i zląkł się, że zaraz je utraci obie, to maleństwo i Serenę. Wydał polecenia stojącym w pogotowiu pielęgniarkom, a sam dalej robił swoje. Robił wszystko, żeby utrzymać Serenę przy życiu, wezwany pediatra pomagał pielęgniarkom i młodemu anestezjologowi w wysiłkach, żeby jej dziecko zaczęło oddychać. Wydawało się, że wieki minęły, zanim usłyszeli ten pierwszy płacz, wreszcie jednak w sali rozległy się piski pełne wigoru i prawie jednocześnie ciśnienie krwi Sereny powoli się podniosło, a serce biło równo. Teddy chciał wrzasnąć: hurra! - ale miał jeszcze pracę do wykonania. Gdy już było po wszystkim, popatrzył na śpiącą kobietę, którą kochał od tylu lat, i jak najbardziej nieprofesjonalnie pochylił się nad nią i pocałował ją w policzek.

Gratulowano mu tej wspaniałej szybkiej operacji, a on w pośpiechu wyszedł z sali operacyjnej. One obie, Serena i jej nowo narodzone dziecko są już uratowane, teraz musiał zobaczyć Vanessę. Biedna dziewczynka przeszła sama swoją ciężką próbę. Nadal spała - kwadrans po dziesiątej. Usiadł przy niej. Jak gdyby to wyczuła, otworzyła oczy i spojrzała niepewnie ze zmarszczonymi brwiami. Uśmiechnął się.

- Hej, smarkatko. Masz dużą, tłustą siostrę.

- Tak? - Usiadła, oszołomiona. - Skąd wiesz? Widziałeś ją?

- No pewnie. Sam ją przyjąłem na ten świat.

- Ty? - Zrzuciła mu ręce na szyję. - Och, stryju, jesteś fantastyczny! - i zapytała z niepokojem: - A mama?

- Śpi. - Wyjaśnił jej, co to jest cesarskie cięcie.

- Straszne. - Sposępniała. - Nigdy, nigdy nie chcę mieć dziecka. Związali mamę, wiesz. - Umilkła i dokończyła zdławionym głosem: - ...i tak krzyczała... Myślałam, że umrze...

Objął ją ramieniem.

- Ale nie umarła. Czuje się doskonale. I ta małeńka jest śliczna. Chcesz ją zobaczyć?

- Wpuszczą mnie tam?

- Jeżeli nie wpuszczą, powiem im, że jesteś moją pielęgniarką.

Vanessa zachichotała i po cichej rozmowie przełożona poprowadziła Teddy'ego i ją do dużej taflovej szyby na końcu korytarza. Za szybą było co najmniej dwadzieścia noworodków, ale pielęgniarka pokazała Vanessie „pannę Arbus”. Patrząc na twarzączkę swojej siostry, Vanessa zobaczyła to samo, co już w pierwszej chwili Teddy.

- Ona jest bardzo podobna do mamusi! - stwierdziła w oszołomieniu. - Poza tym, że ma czarne włoski. - Rzeczywiście to niemowlę było bardzo podobne do Sereny. Małeńki wykapany jej obraz. - Taka ładna, prawda, stryju?

Teddy położył jej rękę na ramieniu i patrząc na niemowlę przytaknął ze zmęczonym uśmiechem.

- Owszem, ładna.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY CZWARTY

Andreas przyjechał, tak jak obiecał, w końcu tygodnia i zastał brata odurzonego w sypialni. Vasili nie kąpał się od wielu dni, miał pryszcze, włosy przetłuszczone, sińce pod zapadniętymi oczami i był w brudnym szlafroku. Andreas usiłował go nakłonić do umycia się przed wyjściem, ale on tylko kiwał głową. Z obrzydzeniem i rozpaczą Andreas zobaczył na stoliku strzykawkę. Zauważył ten i żółtawy kolor twarzy Vasiliego i zląkł się, że to może być zapalenie wątroby. W końcu musiał wezwać swego kierowcę, żeby z jego pomocą podnieść Vasiliego z fotela i wyprowadzić go w tym szlafroku do samochodu. Zawiózł go prosto do kliniki. Swojej żony, powoli wracającej do zdrowia po męczarniach i cesarskim cięciu, Vasili nie odwiedził. Swojej córki nie widział również i o tym, że dziecko się urodziło, wiedział tylko mgliście, gdy brat zostawił go w klinice.

- Tym razem jest w fatalnym stanie - powiedział Andreas Serenie bez ogródek. - Ale powinien wkrótce przyjść do siebie. - Nie napomknął o zapaleniu wątroby, które w klinice potwierdzono.

Po chwili milczenia Serena westchnęła. Była jeszcze dosyć obolała, a myśli o Vasilim i konieczności uwolnienia się od niego dręczyły ją przez cały poranek.

- Andreas, chyba się z nim rozwiódę.

- I wrócisz do Stanów? - Andreas był zdruzgotany. Przywiązał się do niej i do Vanessy, a przecież uważał, że już nie powinny żyć w tym koszmarze.

- Chyba tak. Nie ma powodu, żebym tu została. - Nie zdążyła przed ciążą dać się poznać w Londynie jako modelka. I teraz miała już nie jedną, tylko dwie córki na utrzymaniu.

- Mogę wrócić do pracy w Nowym Jorku. Powoli, ze smutkiem Andreas powiedział:

- Nie będziesz musiała. Serena przemilczała to.

- Sereno, jeżeli on odwyknie, czy dasz mu jeszcze jedną szansę?

- A cóż by się zmieniło tym razem? Sądząc z tego, co mi mówił, od dziesięciu lat ta sytuacja się powtarza.

- Ale teraz jest inaczej. On ma ciebie i dziecko. - Andreas wpadł w zbożny zachwyt, gdy zobaczył to piękne maleństwo. Serena jednak podejrzewała, że na Vasilim ono nie zrobi takiego wrażenia.

- Miał nas przez cały czas. Mnie w każdym razie i Vanessę. I jest tak samo, jak było.

- Ale teraz będzie miał to dziecko. - Uśmiechnął się. - Jak ją nazwiesz?

- Charlotte. - Serena uśmiechnęła się do niego. - Charlotte Andrea. Omal się nie rozplakał,

tak go tym ucieszyła. Pochylił się i ucałował ją.

- Jesteś piękną dziewczyną. - Po czym przyznał ze smutkiem: - Nie powinienem pozwolić, żebyś marnowała się przy moim bracie. Ale... przykro mi, że on utraci ciebie i tę malutką. - Wstał powoli i zobaczyła, że jest naprawdę pociągającym mężczyzną. Przystojniejszym na swój sposób niż Vasili. Nie było w nim nic z rozhukanego czy psotnego ładnego chłopca. Miał taką samą urodziwą twarz, ale przy tym godność dojrzałego mężczyzny. - Zrób to, co ci się wydaje dla ciebie najlepsze. Wiem, że to zrobisz, więc jeżeli wyjedziesz, zawiadom mnie, gdzie będę mógł cię znaleźć, Sereno. Kiedyś przyjadę do Nowego Jorku, żeby odwiedzić moją imienniczkę.

Serena zapytała go o żonę. Odwrócił wzrok. Nie chciał myśleć o nieuchronności. Tylko pocałował Serenę lekko w policzek i pozostawił ją własnym myślom. Dotychczas Vasili się do niej nie odezwał. Ale w przeddzień zwolnienia ze szpitala, gdy szła przez hall, podpierana przez pielęgniarkę, nagle go zobaczyła. Wyglądał porządnie, ładnie prawie tak, jakby był w dobrej formie. Wyraźnie się przeraził, aż myślała, że on ucieknie. Zatrzymała się opierając ciężko na ramieniu pielęgniarki żałując, że sama nie może szybko uciec, ale nie mogła, a Vasili podszedł i już stał przed nią.

- Cześć, Sereno.

- Cześć. - Kolana się pod nią uginały. Po części chciała go widzieć, po części chciała, żeby odszedł, tym razem może na zawsze.

- Dobrze się czujesz? - Przytaknęła. Pielęgniarka zaczęła się kręcić niespokojnie, wyczuwając, że to jest jakieś kłopotliwe spotkanie. - A dziecko?

- Doskonale. Chcesz ją zobaczyć?

- Jeszcze nie. Chciałem najpierw zobaczyć ciebie. Tylko że... ja... uch... -Zerknął na pielęgniarkę. - Dopiero dziś wróciłem do miasta.

Zauważyła, że jest blady. Odtrucie zwykle następowało szybko, ale dużo czasu mijało, zanim znów wyglądał zdrowo, a tym razem miał ponadto żółtą cerę. Wiedziała, co to jest, ale też wiedziała, że żółtaczka przeniesiona igłą strzykawki nie jest w żaden inny sposób zaraźliwa. Strasznie żałowała, że przyszedł. Nie chciała go widzieć.

- Myślisz, że moglibyśmy porozmawiać? - zapytał. Wskazała swoją separatkę. Prowadzona przez pielęgniarkę, poszła tam powoli. Położyła się na łóżku, wyczerpana. Vasili patrzył na nią dziwnie, potem zwiesił głowę, starając się nie rozplakać.

- Nie wiem, co ci powiedzieć, Sereno.

- Myślę, Vasili, że już nic nie zostało do powiedzenia. - I po raz pierwszy od dawna, gdy patrzyła na niego, nie czuła nic. Ani obrzydzenia, ani gniewu, ani smutku, ani miłości. W sercu miała ciszę.

Podniósł głowę. Czarnymi oczami spojrzał w jej zielone oczy.

- Co to znaczy, nie zostało nic do powiedzenia?

- Właśnie to. Po tych wszystkich naszych przejściach, co można powiedzieć? Przykro mi? Wszystkiego najlepszego? Żegnaj.

- Moglibyśmy jeszcze raz spróbować. - Powiedział smutno, łagodnie. Ale nadal widziała w nim narkomana. I wiedziała, że tak będzie zawsze. I że nigdy mu nie przebaczy.

- Moglibyśmy? Dlaczego?

- Dlatego że cię kocham.

- To już mówiłeś przedtem. - Popatrzyła na niego z wyrzutem. - Gdybyś był osiągalny i przy zdrowych zmysłach, może bym nie rodziła tak ciężko. Omal nie umarłam. Czy wiesz, że niewiele brakowało do mojej śmierci i do utraty tej córeczki? Gdyby Vanessa mnie nie znalazła i nie zatelefonowała do Teddy'ego, obie byśmy teraz leżały w grobie.

- Wiem. - Łzy powoli spłynęły mu z oczu. - Andreas mi powiedział.

- Mógłbyś żyć z poczuciem takiej winy? Potrząsnął głową i znów spojrzał na nią.

- Nie mogę sobie przebaczyć niczego, co zrobiłem, więc zrozumieć, jeżeli ty mi też nie przebacysz. Ale już jestem inny. Byłem tak bliski utracenia wszystkiego, ciebie i tego dziecka, i nawet samego siebie. Gdybyśmy spróbowali jeszcze raz... wiem, że tym razem będzie zupełnie inaczej.

- Już w to nie wierzę. Jak możesz choćby tak mówić?

- Pewności nie mam. Ale mogę ci powiedzieć, że będę się starał z całej duszy. - Wolno podszedł do łóżka i delikatnie pocałował ją w rękę. - Kocham cię. Wydaje się, że to niewiele, ale to najlepsze, co mam. Zrobię wszystko, żeby cię zatrzymać. Będę cię błagać... będę się czołgać... Sereno, ty nie wiesz, jak bardzo cię kocham. - Słuchając, oczy miała pełne łez, które teraz popłynęły. Schyliła głowę. Wyciągnął do niej rękę.

- Och, kochanie, proszę...

- Odejdź... nie dotykaj mnie. - Nie chciała mieć go znowu. Nie mogła sobie pozwolić na przeżywanie tego wszystkiego. Siłą podniósł jej głowę, żeby na niego spojrzała.

- Kochasz mnie jeszcze? - Potrząsnęła głową, ale jej oczy powiedziały, że kocha, a on patrząc na nią, widział wszystko, co przecierpiała będąc jego żoną i rodząc jego dziecko, i nienawidził siebie. - Co ja zrobiłem! - Rozplakał się i nagle wziął ją w objęcia.

Przez długą chwilę słychać było w separacie tylko łkanie Sereny. I znów ją błagał, żeby dała mu jeszcze jedną szansę. Tak ją to wyczerpało, że nie zdołała mu odpowiedzieć. W końcu zapytała tylko, czy chce zobaczyć dziecko.

- Ogromnie. - Przypomnił sobie coś. - Jutro wracasz ze szpitala do domu?

- Wychodzę stąd. - Serena wytarła nos, unikając jego wzroku. - Ale nie jestem pewna czy do domu, czy do hotelu. - Myślała o przeniesieniu się do hotelu Connaught, w którym zatrzymał się Teddy - na razie, dopóki nie podejmie ostatecznej decyzji. Teddy miał wyjechać do Stanów za parę dni.

- Rozumiem.

Vasili podał Serenie ramię i z trudem oparła się na nim. Powoli znów wyszła z separatki i poszli korytarzem do szyby, za którą mogli zobaczyć swoją córeczkę. Pielęgniarka noworodków uśmiechnęła się do Sereny, z zainteresowaniem przyjrzała się mężczyźnie u jej boku. Poznała go z fotografii w gazetach, chociaż wyglądał teraz zupełnie inaczej. Przejęta, podniosła jego dziecko, żeby zobaczyć je po raz pierwszy. Stał jak zahipnotyzowany za szybą przed tym maleństwem o twarzy Sereny i jego czarnych, lśniących włosach. Łzy znowu napłynęły mu do oczu. Objął Serenę ramieniem.

- Jest taka piękna, taka mała. Serena się uśmiechnęła.

- Mnie się wydaje duża. Osiem i pół funta to w tym wieku sporo.

- Rzeczywiście? - Vasili uśmiechnął się do żony z dumą. - Jest taka doskonała.

- Poczekaj, aż ją weźmiesz na ręce.

- Często płacze?

Serena potrząsnęła głową i przez kilka minut opowiedziała mu o dziecku. Gdy odprowadził ją z powrotem do separatki, popatrzyli sobie w oczy.

- Sereno, czy nie możemy jeszcze raz spróbować? Nie chcę cię utracić. Nie teraz... Nigdy.

Drżąc zamknęła oczy i znów je otworzyła. Kochała go nadal, była coś winna ich dziecku. Może przynajmniej spróbować? Jednak bała się, że gdyby wrócił do narkotyków, ten koszmar by ją zabił. Znowu była w rozterce - co jest winna sobie samej, co jest winna dziecku?

- Dobrze. Spróbujemy jeszcze raz - wyszeptała ledwie dosłyszalnie. - Ale jeśli znowu to zrobisz, koniec. Rozumiesz? - Rozsądek jej nakazywał zabrać dzieci i zaraz wyjechać, a przecież urok Vasiliego nadal działał. Nadal miała go we krwi.

- Rozumiem. - Podeszedł i pocałował ją, wyrażając tym pocałunkiem swój ból wobec cierpienia, na jakie ją naraził. Powiedział, że przyjedzie po nią nazajutrz, i wyszedł.

Z westchnieniem Serena podniosła słuchawkę telefonu, żeby zadzwonić do Teddy'ego. Nie wiedziała, jak mu wytłumaczyć to nowe szaleństwo. Chociaż zdawała sobie sprawę, że postępuje niesłusznie, chciała widzieć w tym słuszność. Nie mogła. I jak się teraz usprawiedliwić przed Teddym?

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIĄTY

Gdy Serena z niemowlęciem wróciła ze szpitala, dom wyglądał jak urządzony na nowo. Nowoczesna olśniewająca biel i chromy, ogromne pastelowe obrazy pozostały, ale Vasili dobrze się zakrzętnął. Wszędzie były kwiaty dla Sereny, góry prezentów, pełne wyposażenie i zabawki dla dziecka, sterta lalek i zabawek dla Vanessy. Kupił im wszystko, co tylko przyszło mu na myśl, łącznie z niewiarygodną wprost brylantową bransoletą dla żony. Jak przedtem, ilekroć zaczynał nowe życie, wszystkiego, co robił, było mu nie dosyć i gdy po raz pierwszy wziął na ręce swoje dziecko, twarz mu jaśniała nieledwie jak oblicze Madonny. Był oczarowany tą maleńką i zakochany po uszy w jej matce. Wciąż chciał być przy nich i czekał niecierpliwie na dzień, w którym Serena będzie mogła z nim wyjść z domu. Po dwóch tygodniach doktor pozwolił jej na niedalekie spacerki. Po jeszcze jednym tygodniu Vasili wziął Serenę, dziecko w wózku i Vanessę na pierwszą wycieczkę we czworo. Zaczął się już wrzesień. Vanessa znów chodziła do szkoły. Przeszła do czwartej klasy i zbliżały się jej dziewiąte urodziny.

- Jesteś szczęśliwa, kochanie? - Popatrzył na Serenę dumnie krocząc z aparatem fotograficznym na szyi. Już zrobił setki zdjęć niemowlęcia.

- Bardzo. - Ale Serena była jakaś przygaszona, jak gdyby dawne szczęście uleciało bezpowrotnie. Wyczuwał to i chwilami się denerwował. Bał się, że kiedyś ona go opuści. Może czasy w Rajskim Ogrodzie rzeczywiście już się skończyły?

Wrócili do domu po południu i bawili się z niemowlęciem. Vasili jeszcze nie zaczął pracować po skróconym przez siebie odwyku w szpitalu. Chciał cały czas spędzić na łonie rodziny, aż Serena zaczęła się zastanawiać, czy to nie odbije się na jego zawodowej karierze. On jednak nie dbał o to i w kilka dni po tej wycieczce powiedział, że wyjeżdża w pewnej sprawie do Paryża. Wyjechał bardzo ożywiony, obiecując zaraz z Paryża zatelefonować, ale nie zatelefonował. Serena nie mogła dodzwonić się do jego paryskiego mieszkania i w końcu zrezygnowała przypuszczając, że przecież się odezwie, ale znów opadły ją obawy. Pewności jednak nie miała, dopóki Vasili nie wrócił w tydzień później. Serce jej zamarło, gdy wszedł do domu. Znów się zaczęło. Znów przegrał swoją bitwę z heroiną. Tym razem, chociaż patrzyła na niego tak, jakby ostatecznie nastąpił koniec świata, nie powiedziała ani słowa. Poszła na górę, spakowała walizki, zatelefonowała do Teddy'ego i zarezerwowała miejsca w samolocie. Zaledwie, trzęsąc się cała, ustawiała zamknięte walizki na podłodze, do pokoju wszedł Vasili.

- Co ty wyprawiasz?

- Odchodzę od ciebie, Vasili. W szpitalu postawiłam sprawę jasno: jeżeli znów po to

sięgniesz, odejdę. Sięgnąłeś. Wyjeżdżam. Nie mam nic do powiedzenia, Koniec.

Była przede wszystkim zmęczona, wyczerpana do głębi duszy, ale też bała się trochę, co on zrobi, czy coś powie. Zawsze taki nieobliczalny pod wpływem narkotyków. Nieważne zresztą - pomyślała. Skończyło się.

- Nie sięgnąłem, jesteś niespełna rozumu. - Same te jego słowa sprawiły, że zakipiła gniewem.

- Nie. - Popatrzyła na niego z furią. - Ty jesteś niespełna rozumu! Wynoszę się stąd w diabły, dopóki jeszcze mogę. Nic dla ciebie nie ma znaczenia poza tym obrzydlistwem, które sobie wstrzykujesz w rękę. Nie mogę zrozumieć, dlaczego to robisz, kiedy są wszelkie powody po temu, żebyś spasował, ale przecież te powody wcale ciebie, do diabła, nie obchodzą, wyjeżdżam - powiedziała dobitnie. - Żegnaj.

- I wydaje ci się, że możesz zabrać moje dziecko?

- Owszem, mogę. Spróbuj mnie powstrzymać, a postaram się, żeby we wszystkich gazetach na świecie napisali, że jesteś narkomanem.

- Szantaż, Sereno? - uniósł brew. Przytaknęła.

- Właśnie, i nie myśl, że to jest czcza pogróżka. Nie pozbierasz już swojej kariery.

- Myślisz, że mi na niej zależy? Jesteś niespełna rozumu. Jakież parszywe zdjęcia do reklam czy magazynów?

- Chyba ci nie zależy, skoro się odurzasz. Już nie mówiąc o tym, że zależy ci na mnie i na dziecku.

Patrzył na nią przez długą chwilę.

- Chyba nie.

Zniknął znowu na całą noc i gdy nazajutrz rano wyjeżdżała z dziećmi, jeszcze go nie było. Z Vanessą, niemowlęciem i walizkami, które przywiozła ze sobą do Londynu, oraz z rzeczami potrzebnymi dla małej, wsiadła do samolotu bez żadnych problemów. W dziesięć godzin później wylądowała w Nowym Jorku, dokładnie w trzynaste miesiocy po wyjeździe do Londynu. Rozglądając się na lotnisku, czuła się jak we śnie. Po raz pierwszy w życiu nie bolała nad wyprowadzką. Była odrętwiała. Jak we śnie szła z niemowlęciem na ręku i uczeponą jej Vanessą. Przez jedną sekundę doznawała takiego samego wrażenia jak wtedy, gdy w czasie wojny przyjechała do Ameryki z grupą dzieci i zakonniami. Łzy jej popłynęły po twarzy i nagle na widok Teddy'ego rozszlochała się, już wcale nad sobą nie panując.

Teddy poprowadził Serenę z niemowlęciem i Vanessą do swojego samochodu i zawiózł do umeblowanego mieszkania, które dla niej wynajął na miesiąc. Serena przytulając niemowlę do piersi, rozejrzała się po tym nieprzytulnym, małym, dwupokojowym mieszkanku. Wszystko jedno,

gdzie będzie mieszkać. Dobrze, że w odległości trzech tysięcy mil od Vasiliego. Pieniądzy miała bardzo mało, ale przywiozła tę brylantową bransoletę, którą jej dał w poprzednim miesiącu, i zamierzała ją sprzedać. Jeżeli szczęście dopisze, zapewni jej to utrzymanie, dopóki nie zacznie znów pracować. Już prosiła Teddy'ego, żeby zadzwonił do Dorothei.

- No, jak się czujesz tutaj z powrotem? - Teddy uśmiechał się do niej, ale oczy miał zatroskane. Serena taka mizerna i Vanessa wygląda prawie nie lepiej.

- Chyba jeszcze wciąż jestem drętwa - odpowiedziała Serena. Patrzyła na ściany białe i gołe, na duńskie nowoczesne meble.

- Ritz to nie jest - przeprosił z uśmiechem. Po raz pierwszy się roześmiała.

- Teddy, kochany mój, naprawdę to dla mnie nieistotne. Jest dach nad naszymi głowami i nie jesteśmy w Londynie.

Vanessa też się uśmiechnęła. Teddy wziął na ręce niemowlę.

- Jak się czuje moja mała przyjaciółka?

- Ciągle głodna.

- Nie tak jak jej mama, która wygląda, jakby żyła tylko powietrzem. - Serena straciła na wadze wszystko, co jej przybyło w czasie ciąży, i poza tym jeszcze piętnaście funtów. Przez sześć tygodni od urodzenia dziecka.

- Jeżeli mam być znowu modelką, to bardzo dobrze. Aha, co powiedziała Dorothea?

- Że czeka na ciebie z zapartym tchem, tak samo jak każdy fotograf w Nowym Jorku.

Serena się ucieszyła.

- No, świetna wiadomość. - Ale wiadomością dla niej najświetniejszą było to, że uciekła od Vasiliego. Nieraz przecież myślała, że nigdy tego nie dokona, że zabłądziła raz na zawsze, zupełnie tak jakby nie mogła się wydostać z dżungli. Ale to wszystko już skończone, i Vasili wie o tym. Zawiadomiła Andreasa. Miała nadzieję, że już Vasiliego nie zobaczy, dosyć się nasłuchiwała kłamstw, dosyć miała urazów - wystarczy na całe życie.

- Myślisz, że on tu przyjedzie za tobą? - zapytał Teddy, gdy Vanessa poszła spać.

- To mu nic nie da. Bo ja nie chcę go widzieć.

- Co z maleńką?

- A czyż mu na niej rzeczywiście zależy? Znadto jest zajęty sobą i swoimi narkotykami.

- Nie bądź taka pewna. Sądząc z tego, co mówiłaś, on ją kocha do szaleństwa.

- Nie aż tak, żeby skończyć z heroiną.

- Nadal trudno mi w to uwierzyć.

- Mnie także. Nieraz się zastanawiam, czy jeszcze kiedykolwiek będę taka sama, jak byłam.

- Będiesz. Daj sobie czas. - Serena tyle już przetrwała. Teddy nie wątpił, że przetrwa i to.

Bogu dziękował, że porzuciła Vasiliego.

Westchnęła i zamknęła oczy, zanim znów na niego spojrzała.

- Nie wiem, Teddy. Chyba masz rację, ale to był taki koszmar. Nie sposób zrozumieć, co się stało. Wiesz... myślę, że to paskudztwo wpędza go w obłąd.

- Żalozne.

Serena zmieniła temat i zaczęli rozmawiać o szkole dla Vanessy. Biedna dziewczynka dużo przeżyła w ciągu tych sześciu tygodni. Serena skłaniała się do zwolnienia jej z nauki, dopóki się dobrze nie zaaklimatyzuje. Vanessa chciała tylko opiekować się dzieckiem. Była wprost zakochana w swojej siostrzyczce, którą nazywała Charlie, a nie Charlotte. Serena prawie nie mogła jej oderwać od niemowlęcia i zapędzić do łóżka. Zresztą Vanessa była cudowną piastunką.

- To wspaniały dzieciak - powiedział z dumą Teddy o bratanicy, a Serena się roześmiała.

- Owszem.

Zostawił je same, żeby się zadomowiły. Serena nakarmiła dziecko i od razu się położyła. Spała mocno, bez snów, obudziła się nazajutrz już nie tak wyczerpana.

W parę dni później przysłała do Agencji Kerr. Dorothea, trzymając się pod bok, popatrzyła na nią wymownie.

- A nie powiedziałam ci? - Serdecznie się uśmiechnęła. - Ale cieszę się bardzo, że wróciłaś.

- Nie tak bardzo jak ja się cieszę, że tu jestem.

Wypiły kawę i Dorothea uraczyła Serenę nowojorskimi plotkami. Jest w mieście nowa dziewczyna, która latem stała się rewelacją. Niemka, trochę podobna do Sereny, ale na pewno zostało miejsce dla „Księżniczki”.

- Brakowało im ciebie, co do tego nie ma wątpliwości.

Dorothea zauważyła coś nowego i interesującego w twarzy Sereny po urodzeniu drugiego dziecka. Serena zeszczuplała, w oczach jej widać mądrość, większą powagę. To właśnie mówi, jaką ciężką próbą było jej małżeństwo z Vasilim.

- A co z nim? Skończone?

- Absolutnie.

- Na zawsze? - Serena tylko przytaknęła. - Zechcesz mi powiedzieć dlaczego? Ale ona potrząsnęła głową i pogłaskała starą przyjaciółkę po rękę.

- Nie, kochanie, nie zechcę. I ty nie chciej wiedzieć. To było jak pobyt w miejscu, z którego się nigdy nie wróci. Ale teraz już jestem tutaj. I wolę nie wspominać, nie pamiętać, nawet nie myśleć o tym, że jednak wróciłam. Jedyną miłą pamiątką z ubiegłego roku jest Charlie i mam ją tu przy sobie.

- Bogu dzięki. - Dorothea się przejęła. Rok Sereny z Vasilim musiał być jeszcze gorszy, niż

przypuszczała.

W końcu tego tygodnia do Agencji zaczął telefonować Vasili, tak często, że Dorothea była bliska szału. Chciał wiedzieć, gdzie jest Serena, gdzie ją zastać, pod jaki numer telefonu do niej zadzwonić. Na stanowcze żądanie Sereny nie udzielano mu żadnych informacji. Dopiero gdy przypadkiem telefon odebrała, przez grzeczność kogoś zastępując, jedna z modelek, Vasili osiągnął to, czego chciał. Ta dziewczyna wyszukała numer telefonu i adres Sereny w kartotece i bez namysłu podała mu, nie mając pojęcia, co zrobiła.

Nazajutrz Vasili przyleciał do Nowego Jorku i zjawił się w mieszkaniu Sereny właśnie gotowej do wyjścia.

- Sereno...

Otworzyła drzwi, usłyszała swoje imię i omal nie wyskoczyła ze skóry na jego widok. Po jego oczach poznała, że nadal się narkotyzuje i jest na pół przytomny. Cofnęła się w głąb mieszkania. Dzieci były w saloniku z dochodzącą opiekunką, chciała zatrzaskać te drzwi, ale on przepchnął się obok niej, mamrocząc ponuro, że musi zobaczyć swoją maleńką, nie można mu tego odmówić. Stała z teczką, w której miała swoje fotografie, i patrzyła czujnie, jak on przygląda się niemowlęciu. Na nowo wzbierał w niej lęk i gniew. Całą skłębioną szpetotę ubiegłego roku ujrzała przed sobą, gdy ten człowiek odwrócił się i wlepił w nią oczy chmurne i obłądne.

- Jak mnie znalazłeś, do diabła? - Głos miała ostry, oczy jej pałały. Przebyła trzy tysiące mil, żeby uciec przed nim, a on jest przy niej znowu.

- Musiałem - zapatrzył się w nią tępo. - Jesteś moją żoną. - Opiekunka dzieci zagapiła się na niego ze strachem, Vanessa odruchowo wzięła niemowlę w objęcia. Patrzyła na coraz bardziej rozgniewaną matkę, patrzyła na Vasiliego, który wyglądał tak, jakby zupełnie oszalał. - Dlaczego nie wróciłaś?

- Ja w ogóle nie wrócę. I nie chcę o tym rozmawiać tutaj. - Serena spojrzała z niepokojem na dzieci. Vanessa już widziała dosyć takich scen w przeszłości, niech jej to będzie oszczędzone teraz.

- Więc wejdźmy tam. - Vasili wskazał sypialnię. Serena poszła za nim długimi, gniewnymi krokami. - Chcę, żebyś wróciła. - Stał twarzą do niej.

Potrząsnęła głową bardzo stanowczo.

- Nie. Czy rozumiesz? Nie! Vasili, nigdy do ciebie nie wrócę. I wynoś się z mojego domu, wynoś się z mojego życia.

- Ani mi się śni! - wrzeszczał piskliwie. - Zabrałaś moje dziecko, jesteś moją żoną, musisz wrócić do mnie, jeżeli ci każę!

- Nic nie muszę! Jesteś cholernym narkomanem i omal nie zabiłeś mnie i moich dzieci...

- Ale nie zabiłem. Nie zabiłem... - przerwał. - Kocham cię... kocham cię... - I podszedł do niej z błyskiem w obłądnych czarnych oczach patrząc jej w oczy, instynktownie oburącz chwycił ją za szyję, zacisnął ręce mocniej, i jeszcze mocniej, aż zaczęła się dusić i sfioletowała. - Kocham cię!... Kocham cię!... Kocham cię! - wrzeszczał.

W sąsiednim pokoju Vanessa słyszała go, ale po paru minutach nie słyszała matki. Nagle zatrwożona, wyczuła coś nienormalnego i z dzieckiem w objęciach wbiegła do sypialni. Vasili łkał klęcząc, jeszcze trzymając za szyję Serenę, która leżała z głową jakoś dziwnie przekrzywioną, z oczami otwartymi, wśród rozrzuconych zdjęć z teczki.

- Co zrobiłeś mojej mamie?! - wrzasnęła Vanessa i mocno przytuliła Charlie.

- Zabiłem ją - powiedział cicho. - Bo ją kocham. - Po czym rozsłochał się histerycznie i osunął na podłogę obok Sereny.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY SZÓSTY

Rozgłos w ciągu następnych dwóch tygodni był na skalę międzynarodową. Śmierć Sereny Fullerton-Arbus wywołała niemałą sensację. Raz po raz przypominano w prasie jej pochodzenie, utratę rodziców, małżeństwo z Bradem, a potem z Vasilim. Doszła do wiadomości publicznej cała historia nałogu Vasiliego, obrabiano jego poszczególne małżeństwa, wyczerpująco omawiano jego kuracje odwykowe w szpitalach dla psychicznie chorych. Napomykano też, że toczy się bitwa o opiekę nad dziećmi. Skandal się zrobił, jakiego świat nie widział, a przecież głównym problemem do rozwiązania był los tych dzieci. Serena tak jak Brad, który umarł pięć lat wcześniej, nie zostawiła testamentu. I chociaż pieniądze po niej można było podzielić równo pomiędzy jej córki, pozostawało największe zagadnienie, gdzie i z kim będą mieszkać. Czy zostaną razem, czy zacznie się wojna Fullerton contra Arbus? Przesłuchanie stron w sprawie opieki nad nimi miało się odbyć pod koniec października. Po przesłuchaniu sprawa, co daj Boże, się rozstrzygnie.

Teddy chciał adoptować obie córki Sereny, jego matka była tym przerażona. Przysięgła, że go powstrzyma.

- Ja do tego nie dopuszczę. Bóg jeden wie, na co wyrosną dzieci takiej matki. Ojciec tej młodszej, na domiar złego, jest narkomanem i mordercą.

- A Vanessa? Możesz o Vanessie źle mówić?

Teddy czuł do niej wściekły żal. Był po śmierci Sereny odrętwiały, porażony rozpaczą, a ona nawet wobec tego horroru nie znalazła w sercu ani krzty życzliwości dla swojej jedynej wnuczki. To zwarzyło resztki jego synowskiego uczucia. Tylko Pattie wydawała się niezwykle współczująca. Greg przeważnie był za bardzo pijany, żeby to go choć trochę obchodziło. Ale Pattie wciąż komentowała doniesienia w gazetach i ubolewała nad tragizmem faktu, że to wszystko spotkało jedynaczkę Brada. Z początku Teddy słuchał wzruszony jej troską o Vanesę, ale z czasem to się stało niemal jej manią prześladowczą i zaczęło go denerwować. Dzwoniła do niego do szpitala, żeby o tym rozmawiać, i na kilka dni przed przesłuchaniem zapytała o nazwisko sędziego.

- Bo co?

- Tak się zastanawiam, może tatuś go zna.

- Jaką by to sprawiło różnicę?

- Mogłoby uprzyjemnić tę całą sprawę.

- Komu?

- Vanessie, rzecz jasna. Może on byłby przychylniejszy, rozstrzygnąłby szybciej.

Wydawało się to raczej bezsensowne, a jednak Teddy dopatrzył się pewnego sensu. Przypuszczał, że ona sama może się dowiedzieć, jeżeli bardzo chce. Jeszcze więc jeden powód, żeby martwić się o Vanessę. Dzieci od śmierci Sereny miał na razie u siebie, Vasili był zamknięty w Bellevue do czasu przesłuchania imigracyjnego. Andreas Arbus starał się jak tylko mógł o jego ekstradycję. Zaręczył, że jeśli pozwolą zabrać Vasiliego do Aten, umieści go tam w szpitalu. Bał się procesu, który czekał Vasiliego za morderstwo. Bał się śmiertelnie, że Vasili nigdy by nie wyszedł z więzienia.

Ale troski Teddy'ego były jeszcze większe. Vanessa od dnia, w którym zobaczyła matkę uduszoną, pozostawała w jakimś dziwnym otępieniu. W tamten poranek zaczęła krzyczeć i jak opowiadała opiekunka, krzyczała, dopóki nie przyjechali policjanci i delikatnie jej stamtąd nie zabrali. Kurczowo trzymała w objęciach Charlie, którą dała dopiero Teddy'emu, gdy przyjechał. Przewiózł je obie do swojego mieszkania, przyjął nianię i kilkakrotnie był z Vanessą u doktora. Wydawało się, że ona nic nie pamięta z tego, co się stało, i że nawet nic z dnia na dzień nie może sobie przypomnieć. Poruszała się jak mały robot, ilekroć Teddy próbował ją przytulić, odpychała go. Chciała być tylko z Charlotte, chciała miłości tylko swojej małej siostrzyczki, którą wciąż trzymała w objęciach i której nuciła całymi godzinami. Doktor zabronił Teddy'emu wspominać jej o Serenie i sama też nigdy o matce nie mówiła. W pewnym momencie miała dojsć do siebie, tylko nie wiadomo kiedy. Może to nastąpić i za dwadzieścia lat, uprzedził Teddy'ego doktor, a tymczasem w żadnym razie nie wolno tego przyspieszać.

Zgodnie z zaleceniem Teddy postarał się, żeby Vanessa nie wiedziała o pogrzebie Sereny. Był na pogrzebie sam, pogrążony w bezmiernym żalu - na pogrzebie zamordowanej jedynej kobiety, którą kochał. Wprost nie mógł uwierzyć, że jej już nie ma, że już nigdy jej nie zobaczy pięknej, dumnej, z chochlikami w zielonych oczach... Bez niej czuł pustkę do głębi duszy.

Jeszcze poniekąd w szoku wszedł do sali sądowej, gdy zaczęło się przesłuchanie w sprawie opieki nad dziećmi. Usiłował zebrać myśli, słuchając jednostajnie buczonego sędziego. Jego adwokat wystąpił o powierzenie córek Sereny jemu i miał nadzieję, że przekona sąd co do słuszności takiej decyzji. Przeszkodę stanowił tylko Andreas Arbus. Spokojnie Grek wyjaśnił sądowi, że poczyniono przygotowania w Atenach, żeby Vasiliego odosobnić - dziś rano biuro imigracyjne i prokuratura udzieliły zgody na ekstradycję. Z Vasilim i dwoma strażnikami odleci z Nowego Jorku po południu. Ale stawił się w sądzie, uważając za swój obowiązek zaopiekowanie się niedawno urodzoną bratanicą, która nie mając żadnych innych krewnych, będzie w Atenach rosnać wśród swoich kuzynów, ciotek i wujów otoczona rodzinną miłością. Sędzia odniósł się do tego z wyraźnie życzliwą powagą. Teddy już nabrał tchu, by wytoczyć argument, że tych dziewczynek nie można rozłączyć, gdy ku jego zdumieniu jeszcze jeden obecny w sali, zresztą

znany mu adwokat ni stąd, ni zowąd wystąpił w imieniu pani Gregory Fullerton, pragnącej zaopiekować się swoją bratanicą. Nieomal rozdziawiając usta, Teddy słuchał oświadczenia, że państwo Gregory Fullerton od lat bardzo są przywiązani do Vanessy i że ich brat Theodore oczywiście byłby dobrym ojcem, ale ponieważ nie jest żonaty, Vanessa w jego domu nie miałyby matki.

Sędzia i to także wyraźnie wziął pod uwagę, a Teddy zastanawiał się gorączkowo, jak przeciwdziałać, zanim sprawa przybierze najgorszy obrót. Dlaczego, na Boga, Pattie zachciało się Vanessy? - poza tym, że sama nie może mieć dzieci i że Vanessa jest dzieckiem Brada. Czy możliwe, że Pattie jeszcze go kocha po tych wszystkich latach? Czy może to po prostu ostatni akt zemsty na Serenie? Ukraść jej dziecko teraz, kiedy ona nie żyje, ukraść tak, jak ona ukradła Brada w Rzymie. Greg to pijak, Pattie to żmija, daleka od uczuć macierzyńskich. Teddy podszedł ze swoim adwokatem, został wniesiony sprzeciw, nastąpiła dyskusja z sędzią, ale w pół godziny potem było już po wszystkim. Charlotte Andrea Arbus została przyznana swojemu stryjowi, ponieważ Teddy nie był jej krewnym, a Vanessa Theodora Fullerton przeszła pod opiekę swojego stryja i ciotki, Gregory'ego i Patricii Fullertonów, ponieważ Theodore Fullerton, nieżonaty, dałby dziewczynce dom nie dość odpowiedni.

Pattie stała w sali uśmiechnięta zwycięsko, gdy wprowadzono Vanessę, dźwigającą niemowlę w objęciach, i sędzia jej wyjaśnił, jaką podjął decyzję.

- Pan jemu daje Charlie? - zapytała Vanessa tak wstrząśnięta i z taką nienawiścią, że Teddy się przeraził widząc jej oczy. - Nie może pan, ona jest moja. Ona jest z mojej mamy.

Ale sędzia nie ustępował i gdy się opierała, woźny po prostu zabrał jej dziecko i dał Andreasowi. Andreas ze łzami współczucia spróbował do niej przemówić, ona jednak nieomal jak katatoniczka wcale go nie słyszała. Siedziała na podłodze kołysząc się w przód i w tył. Teddy podbiegł, na migi doradził Andreasowi wyjść jak najszybciej i przytulił Vanessę. Nawet nie zdążył ostatni raz spojrzeć na Charlie. Zniknęła na zawsze, zanim odwrócił głowę.

- Vanesso... - Głos miał stanowczy, ale do dziewczynki nic nie docierało. -Serduszko, już dobrze. Jestem tutaj. Wszystko się ułoży.

W końcu Vanessa podniosła na niego oczy.

- Możemy już wrócić do domu? - zapytała tak, jakby cofnęła się o jeszcze jeden krok w przeszłość. Ale musiał zaprzeczyć.

- Pojedziesz teraz do swojej ciotki Pattie, kochanie. Ona chce, żebyś u niej mieszkała.

- Nie u ciebie? - Do oczu Vanessy napłynęły łzy. - Dlaczego?

- Tak zdecydował sędzia. Więc teraz będziesz miała ciotkę i stryja jako mamę i tatę.

- Ale ty mi jesteś potrzebny - powiedziała żałośnie siedząc na podłodze, wyciągając do

niego ręce.

- I ty mnie też, kochanie. - Teddy już był u kresu wytrzymałości. - Będę cię często odwiedzał. Będzie ci dobrze u stryja Grega i cioci Pattie. - Mówiąc to, czuł się kłamcą i bydlakiem. Mógł sobie wyobrazić Vanessę tylko nieszczęśliwą u tych dwojga zupełnie dla niej obcych ludzi. Na razie jednak trzeba się zastosować do decyzji sądu. Jeśli chodzi o Charlotte, wiedział, że klamka zapadła. Sędzia stwierdził fakt. Do tego dziecka on nie ma prawa z racji pokrewieństwa, a prawo z racji miłości do Sereny przecież nie byłoby argumentem w sądzie. Ale z Vanessą inna sprawa, łączy ich więź rodzinna od jej dziesięciu lat. Patrząc, jak bratowa wyprowadza Vanessę z sali, postanowił wnieść apelację.

- Czy mam szansę? - zapytał swego adwokata, gdy Vanessa u boku Pattie oglądała się przez ramię bezradnie.

- Spróbować możemy - odpowiedział adwokat. - Zawsze możemy spróbować. Teddy przytaknął i wyszedł za nim. Na twarzy miał wyraz zawziętości.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY SIÓDMY

Gdy Teddy zajrzał do pokoju Vanessy w mieszkaniu Grega i Pattie, serce mu się ścisnęło jak nigdy dotąd. Vanessa siedziała zapatrzona w okno, nie reagowała na jego głos, na nic z tego, co mówił. Nie poruszyła się, dopóki nie potrząsnął lekko jej ramieniem. - Vanesso!

Wtedy skierowała na niego wielkie puste oczy, mówiące o jej rozpaczach więcej niż mógł znieść. Usiłował wykazać Gregowi bezsens opieki Pattie nad Vanessą, ale stwierdził, że rozmowa z Gregiem jest właściwie niemożliwa. Greg już nigdy nie był trzeźwy po południu. Siedział w swoim gabinecie wyłącznie po to, by podtrzymywać fikcję, że dalej prowadzi kancelarię adwokacką, ale prowadzili ją za niego inni. Musiał tylko siedzieć przy biurku popijając ukradkiem i starać się nie wypaść z fotela. Trzeba było zaskoczyć go tam wcześniej rano, co po tygodniu bezowocnych wysiłków wreszcie się udało, zanim nalał sobie pierwszą tego dnia whisky.

- Rany boskie, człowieku, jak możesz na to pozwalać? Ty i Pattie jesteście dla tej małej obcymi ludźmi. Ona was nie zna. Jej są potrzebni tacy, z którymi czuje się dobrze. Utraciła matkę, dom, siostrzyczkę. Jest w szoku, na litość boską. Kiedy się na nią patrzy, oczy ma szkliste. - Teddy nie zdołał dotychczas mówić z Vanessą o czymkolwiek ważnym, ale nawet próby pogawędki o błahostkach wyraźnie ją płoszyły. - Pattie jej nie zna i co więcej, nienawidziła jej matki. Na co wam, do diabła, dziewięcioletnia dziewczynka?

- Mnie na nic. - Greg patrzył tępo. - Ale Pattie zawsze chciała mieć dzieci. - Wyciągnął z szafki biurka butelkę kukurydzianej. - Powiedziała mi kiedyś, że chce mieć dziecko Brada. Ja jestem bezpłodny, wiesz. Złapałem tę cholera w college'u. - Wzruszył ramionami i pociągnął pierwszy łyk. - Mówiłem jej o tym przed ślubem, powiedziała, że dla niej to nieważne. - Teraz spojrzał na Teddy'ego trochę smutno. - Ale to było ważne. Zawsze wiedziałem. Chyba powinienem był jej powiedzieć jeszcze przed zaręczynami, no ale nie powiedziałem. - Spojrzał na Teddy'ego z większym już smutkiem, a potem przez chwilę wpatrywał się w szklankę z whisky. - Wiesz, nie sądzę, żeby ona mnie kiedykolwiek kochała. Wyszła za mnie, żeby wyrównać rachunki z Bradem, ale Brad chyba się tym nie przejął. Szalał za Sereną. Ładna dziewczyna. Myślę, że matka nie miała racji z tą vendettą. Już jednak za późno.

- Nie, jeszcze nie jest za późno. Jeszcze ty możesz zrobić coś przyzwoitego. Daj mi Vanessę... to ja jestem jej potrzebny.

Greg wzruszył ramionami.

- Nie mogę, Teddy, skoro Pattie zdecydowała, że chce mieć tę małą, ani ty, ani ja nic nie wskóramy. Wiesz, jaka jest Pattie. Pod pewnymi względami gorsza niż matka. Uparta, małostkowa

i mściwa - powiedział bezradnie dopijając pierwszą szklanę kukurydzianej.

Teddy przymrużonymi oczami podchwycił jego wzrok.

- Owszem, coś możesz zrobić, do licha! Możesz nie zgodzić się, żeby to dziecko było u was. Pattie nie kocha Vanessy, ja ją kocham.

- Kochasz ją? - Greg patrzył na brata ze zdumieniem. - No, ja nie bardzo lubię dzieci. - Dla Teddy'ego to raczej nie było dziwne. Greg nie lubił nikogo, a już szczególnie samego siebie. Poza tym od dziesięciu lat był gotowany na wolnym ogniu, cud że pozostawał przy życiu. - Nie wiem dlaczego, do diabła, tak ci na niej zależy, chyba że... - podniósł wzrok na Teddy'ego znów napełniając szklanę - zawsze kochałeś jej matkę, prawda? - Teddy nie odpowiedział. - Co w tym złego? Sam w swoim czasie miałem kilka kociaków. - Teddy poczuł ucisk w żołądku. Greg ma trzydzieści dziewięć lat, a mówi jak załamany starzec. I co gorsze, tak wygląda. Patrząc na niego nikt by nie odgadł jego wieku. Można by mu dać lekko około sześćdziesięciu lat. Wieloletnie pijaństwo zostawiło ślady. - Spałeś kiedy z Sereną, Teddy? - Rozparty w fotelu Greg uśmiechnął się brzydki.

- Nie, chociaż to nie twoja cholerna sprawa. I jestem tu nie po to, żeby rozmawiać o Serenie. Chcę mówić o Vanessie. Dlaczego, niech to wszyscy diabli, twoja żona dostała ją pod tymczasową opiekę?

- Ona chce ją adoptować. - Greg był najwyraźniej nie zainteresowany, Teddy kipiał w głębi ducha.

- Zupełny absurd. Przecież jej nie kocha.

- No to co, na litość boską? Miłość, do diabła, jaką sprawia różnicę? Myślisz, że nasza matka nas kocha? Gówno! Kto o tym wie i kogo to obchodzi?

- Greg. - Teddy pochylił się nad biurkiem i chwycił brata za rękę sięgającą znów po butelkę. - Powiedz w sądzie, że nie chcesz tego dziecka. Proszę cię, ona jest taka nieszczęśliwa u ciebie i Pattie. Przykro mi, że rozmawiam z tobą tak szorstko, ale wystarczy, żebyś popatrzył na nią. Ona gaśnie. Ciebie nigdy nie widuje, przy Pattie czuje się nieswojo. Nie możecie jej trzymać w domu jak więźnia, na litość boską! - Teddy poczuł łzy w oczach, a jego brat uwolnił rękę i nalał sobie następną whisky.

- Więc kupimy jej jakieś zabawki.

- Zabawki! - Teddy zerwał się na równe nogi. - Zabawki! Ta mała nie ma ojca, matkę jej dopiero co łajdak zamordował, widziała swoją siostrzyczkę prawdopodobnie po raz ostatni, a ty chcesz jej kupować zabawki. Nie wiesz, czego takie dziecko potrzebuje?

Greg zapatrzył się na niego zirytowany.

- Będzie miała wszystko, co trzeba. Teddy. I już na litość boską, daj spokój. Możesz ją

widywać, kiedy ci się podoba. A jeżeli tak cholernie chcesz mieć dzieci, to się ożeń i zrób je. Ja z Pattie nie mogę.

- Ale ty dzieci nie chcesz. I przecież nie o to chodzi, do diabła. Chodzi o to, co jest dobre dla Vanessy.

- Jeżeli decyzja sądu ci nie odpowiada - Greg wstał i zaczął chodzić po gabinecie już chwiejnie, jak Teddy zauważył patrząc przez ramię - to wnieś sprawę z powrotem. Sąd wie, co robi. Tamto drugie przyznał Grekom, tę Brada przyznał nam. Ty nie masz żony, Teddy. Dziecku jest potrzebny dom z mężczyzną i kobietą. Kawaler nie może wychowywać dziecka.

- Dlaczego? A jeżeli żona umrze, to co się robi? Wystawia się swoje dzieci do adopcji?

- Tobie żona nie umrze, bo jej nie masz.

- Nie w tym rzecz.

- Owszem, w tym. - Greg znowu usiadł naprzeciw Teddy'ego. - Myślę, że zawsze byłeś zakochany w tej seksbombie, z którą Brad aż się ożenił. Nienawidziłeś Pattie, a teraz znowu chcesz bruździć?

Teddy zapytał oszołomiony:

- Czy ja ci kiedy bruździłem?

- Też coś! - Greg prychnął i wychylił resztkę ze szklanki. - Kiedy mi nie bruździłeś? Tata zawsze uważał, że spisujesz się fantastycznie. Dla mamy tyś był syneczkiem, tak jak Brad gwiazdorem. Ilekroć chciałem zwrócić ich uwagę na mnie, zjawiałeś się z miną anioła i wszystko mi obracałeś wniwecz. - Pelen pretensji, popatrzył na młodszego brata. - Przed laty miałem tego potąd - podniósł rękę do zmarszczki między brwiami. - A teraz chcesz, żebym się naraził mojej żonie. Ta kobieta od dnia naszego ślubu nie przestaje mi wiercić dziur w brzuchu to o to, to o tamto i jeśli się uweźmie, zawsze wygrywa. Pewne jak diabli, że nie stanę po twojej stronie, bo i tak by nie oddała tej małej. Tylko mnie by doprowadziła do obłądu, więc zapomnij o tym. - Spojrzał na Teddy'ego spode łba i nappełnił szklankę po raz trzeci w ciągu półgodziny. - Zrozumiałeś, koleżko? Odpuść już!

Teddy stał jeszcze i patrzył na Grega pół minuty, prawie obojętnie się zastanawiając, jak szybko brat umrze na marskość wątroby. Potem już bez słowa odwrócił się i wyszedł. Następną wizytę w ten poranek złożył matce - z nie lepszym skutkiem.

- Śmieszne. - Margaret Fullerton miała twarz dosyć już pomarszczoną, ale nadal piękną i włosy nadal gęste, jedwabiście białe. - To dziecko nie należy do naszej rodziny. Nigdy nie należało. I teraz nie jest twoje ani Grega, ani Pattie. Ja bym ją wysłała do tych Greków, tam jej miejsce. Niech oni ją mają.

- Rany boskie, mamo, nigdy się nie zmienisz? - Był przybity. Nikt nie chce mu pomóc.

Rozpaczliwie chciał Vanessę zabrać do siebie, bo kochał ją i ona poniekąd była przedłużeniem życia Sereny. Ale właśnie dlatego jego matka jej nienawidziła. A fakt, że jest córką Brada, sprawiał, że chciała ją sobie przywłaszczyć Pattie. -Oni to dziecko zmarnują. Wiesz o tym, prawda?

- Nie mój kłopot ani nie twój.

- Do diabła! Ona jest twoją wnuczką, moją bratanicą.

- Jest córką dziwki - powiedziała Margaret Fullerton spokojnie, jadowicie.

- Piekło cię pochłonie! - Z oczami pełnymi łez Teddy gotów był ją uderzyć, ale zgorszony gwałtownością swojego wzburzenia odwrócił się trzęsąc.

- Już skończyłeś? - Nie odpowiedział. - Proponuję, żebyś wyszedł i nie wracał tu, dopóki nie odzyskasz zdrowych zmysłów. Widać, że twoja nedorzeczna namiętność do tej kobiety padła ci na rozum. Do widzenia, Teddy.

Wyszedł milcząc, cicho zamykając drzwi za sobą.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY ÓSMY

Po wniesieniu apelacji przesłuchanie trwało i trwało. Zaczęło się w tydzień po Bożym Narodzeniu i ciągnęło się prawie przez dwa tygodnie. Teddy i jego adwokat wytaczali wszelkie argumenty, jakie tylko przychodziły im na myśl, Pattie i Greg sprowadzili wszystkich przyjaciół Pattie, żeby oświadczyli, jak bardzo oni byli przywiązani do Brada i jak im zależy na tym, by mieć u siebie jego córkę. Twierdzili, że Serena przez zazdrość „nie dopuszczała” ich do tego dziecka. Teddy próbował przekonać sędziego, że zapewni Vanessie należyty dom. Kupi posiadłość, ograniczy swoją praktykę lekarską do czterech dni w tygodniu, przyjmie gospodynię i bonę. Sprowadził ludzi, którzy w ciągu ubiegłych lat widywali go z Vanessą. Wszystko to jakoś na próżno. Ostatniego dnia sędzia powołał samą dziewczynkę. Jest za młoda, żeby mieć w tej sprawie coś do powiedzenia, ale sąd chce zadać jej kilka pytań. Urzędniczka sądowa poprowadziła do łoży świadków Vanessę w krótkiej, szarej plisowanej spódniczce, białej bluzce, białych skarpetkach i lakierkach, z włosami blond zaplecionymi w warkocze. Margaret Fulerton też była na rozprawie, nie zajęła jednak stanowiska po żadnej ze stron. Tylko obserwowała, zwłaszcza Grega. Jakimś cudem Greg pozostawał trzeźwy cały czas od pierwszego dnia przesłuchania. Wykazywał Teddy'emu, że gdyby był alkoholikiem, nie zdołałby tak długo nie pić. Teddy jednak znał prawdę. Wszyscy wiedzieli, że Greg już w dziesięć minut po wyjściu z sądu jest zbyt pijany, żeby o własnych siłach wysiąść z samochodu. Matka powtarzała uparcie, że to skutek nerwowego napięcia. Teddy wolał tego z nią nie poruszać, chociaż jego adwokat już na początku dał sądowi do zrozumienia, że pan Gregory Fullerton ma kłopoty z alkoholem. Pani Patricia Fullerton zaprzeczyła temu pod przysięgą, a lekarz rodziny wypowiedział się tak wymijająco, tak strzegł tajemnicy lekarskiej, że Teddy ostatecznie wyszedł na głupca ze swym oskarżeniem.

Vanessa w łoży świadków siedziała tak jak ostatnio zawsze, zapierając się stopami o podłogę, zwieszając ręce przy bokach, patrząc prosto przed siebie. Teddy, któremu Greg i Pattie już nie pozwalali przebywać z nią sam na sam, od miesiąca doznawał wrażenia, że ona coraz bardziej zamyka się w sobie, spojrzenie miała szkliste, ta dziewczynka, dawniej tak pełna życia i czarownego wdzięku swojej matki, teraz była apatyczna. Gdybyż mógł rozmawiać z nią dostatecznie długo, postarać się ją ożywić...

Sędzia patrzył na Vanessę przez chwilę bez słowa. Na jego życzenie adwokaci obu stron zgodzili się, żeby tylko on zadawał jej pytania i miało to ich klientom wystarczyć. Zagaił. Vanessa zdawała się nie słyszeć i spoglądała tam, gdzie siedział, dopiero wtedy, gdy padło jej imię.

- Vanesso? - Mówił szorstko, ale patrzył dobrotliwie. Był duży, otyły, miał wnuki i

współczuł temu dziecku o ponurych szarych oczach, oczach jak martwe pola w zimie. - Czy rozumiesz, dlaczego jesteś tutaj? - Przytaknęła niemo. -Możesz nam powiedzieć dlaczego?

- Dlatego że stryj Teddy chce, żebym u niego zamieszkała. - Zerknęła na Teddy'ego, ale nie tyle z tego zadowolona, ile przerażona. Przeraził ją ten sąd. Coś jej przypominał, chociaż nie wiedziała co. Wiedziała tylko, że tamto nie było przyjemne, więc to teraz też nie jest.

- Czy jesteś przywiązana do stryja Teddy'ego, panienczko? Przytaknęła tym razem z uśmiechem.

- Stryj zawsze mi przychodził na pomoc. I gramy w ciekawe gry.

- Co to znaczy: przychodzi Ci na pomoc?

- To znaczy, kiedy coś się stało. - Była już troszeczkę ożywiona. - Na przykład kiedyś... - Zasmuciła się, znów daleka. - Kiedy moja mama była chora... przyjechał do nas... nie pamiętam... - Podniosła wzrok niepewnie, jak gdyby zapomniała, o czym chce opowiedzieć. Teddy obserwując ją przymrużył oczy. Mówiła o jego przyjeździe, gdy Serena rodziła Charlotte. Ale czy rzeczywiście nie pamięta, czy boi się o tym mówić? Nie rozumiał. - Nie pamiętam - powtórzyła i oczy znowu szkliste spuściła na swoje ręce.

- W porządku, panienczko. Myślisz, że chciałabyś mieszkać u stryja Teddy'ego? - Przytaknęła i poszukała Teddy'ego wzrokiem, ale brak wyrazu na jej twarzy był wprost przerażający. Wydawało się, że gdy Serena zmarła, ona umarła także. - Czy dobrze ci jest w domu twojej cioci i stryja teraz? - Znów przytaknęła. - Oni są dla ciebie dobrzy?

Przytaknęła i spojrzała na sędziego ze smutkiem.

- To miło. Czy zżyłaś się ze swoją ciocią, panią Fullerton?

Długo nie odpowiadała, wreszcie przytaknęła i wzruszyła ramionami. Sędziemu coraz bardziej żal było tej dziewczynki, wydaje się taka załamana i samotna. Oczywiście potrzebuje matczynej pociechy, opiekun mężczyzna to za mało.

- Bardzo ci brakuje twojej mamy i siostry? - zapytał łagodnie, ale Vanessa spojrzała na niego ze zdumieniem.

- Ja nigdy nie miałam siostry! -i znów ten brak wyrazu

- Ale miałaś, oczywiście... chciałem powiedzieć... - Sędzia trochę się zmieszał. Vanessa wpatrywała się w niego.

- Nigdy nie miałam siostry. Mój tatuś poległ na wojnie, kiedy miałam trzy i pół roku - wyrecytowała, a Teddy'emu siedzącemu na swoim miejscu nagle oczy zabłysły. Pierwszy zrozumiał, co to znaczy, gdy Vanessa ciągnęła jak wyuczoną lekcję: - Nie miałam żadnych braci ani sióstr, kiedy umarł.

- Ale twoja mama ponownie wyszła za męża. - Sędzia zmarszczył brwi, dosyć

zaintrygowany.

Vanessa potrząsnęła głową.

- Moja mama wcale nie wyszła ponownie za mąż.

Sędzia się zirytował, a Teddy szepnął coś swemu adwokatowi, który podniósł rękę. Sędzia nie udzielił mu głosu.

- Vanesso, twoja mama wyszła za mąż ponownie. Za niejakiego pana... - Nie dokończył, bo zobaczył, że adwokat Teddy'ego podbiega. Nie zdążył jednak skarcić tej niesubordynacji.

Adwokat coś szepnął, sędzia uniósł brwi, przez chwilę się zastanawiał, po czym gestem przywołał Teddy'ego. Nastąpiła krótka rozmowa szeptem, w czasie której był wyraźnie rozżalony i zaniepokojony. Potem skinął głową, Teddy i adwokat wrócili na swoje miejsca.

- Vanesso - powiedział sędzia teraz powoli, patrząc na dziewczynkę uważnie. - Chciałbym cię jeszcze zapytać o twoją mamę. Co o niej pamiętasz?

- Że była bardzo piękna - powiedziała cicho Vanessa, jak gdyby rozmarzona. - I dbała, żebym była bardzo szczęśliwa.

- Gdzie z nią mieszkałaś?

- W Nowym Jorku.

- Czy kiedykolwiek mieszkałaś z nią gdzie indziej?

Vanessa pomyślała. Już gotowa potrząsnąć głową, nagle przypomniała sobie.

- W San Francisco. Zanim tatuś poległ.

- Rozumiem. - Teraz adwokat drugiej strony spoglądał dziwnie to na Vanesę, to na sędziego, ale sędzia gestem odmówił mu głosu. - I poza tym nigdy nie mieszkałaś z mamą gdzie indziej? - Vanessa potrząsnęła głową. - Czy byłaś kiedyś w Londynie, Vanesso?

Vanessa znów myślała przez chwilę i potrząsnęła głową.

- Nie.

- Czy twoja mama wyszła ponownie za mąż?

Vanessa zaczęła wiercić się w fotelu, niespokojnie. Wszyscy w sali sądowej jej współczuli. Miętosząc palcami warkocz odpowiedziała głosem zdławionym:

- Nie.

- Nie miała dzieci oprócz ciebie? Podniosła oczy znów szkliste.

- Nie.

I nagle pytanie wstrząsające:

- Jak twoja mama umarła, Vanesso?

Wszyscy w sali zamarli, a Vanessa tylko siedziała tam zapatrzona prosto przed siebie.

- Nie pamiętam. Chyba zachorowała... nie pamiętam... stryj Teddy przyjechał... i umarła.

Zachorowała... - Rozszlochała się. - Tak mi powiedzieli...

Sędzia się przeraził. Podeszedł, pogłaskał ją po włosach.

- Mam już tylko jedno pytanie, Vanesso. - Płakała dalej, ale w końcu spojrzała na niego. - Czy mówisz mi prawdę? - Przytaknęła chlapiąc. - Dajesz słowo?

Z tymi oczami stworzenia zdruzgotanego, słabym głosem odpowiedziała dzielnie:

- Tak. - I widać było, że jest szczerą.

- Dziękuję.

Sędzia skinął, żeby ją wyprowadzono z sali. Teddy pragnął podejść do niej, ale wiedział, że nie może. Ledwie drzwi się za nią zamknęły, w sali zapanował gwar. Sędzia uderzył młotkiem i dosłownie ryknął na obu adwokatów.

- Dlaczego nikt mi nie powiedział, że to dziecko ma zaburzenia?!

W łożu świadków z kolei usiadła Pattie, Powtarzała uparcie, że nie wiedziała o tym i że nie odważyła się rozmawiać z Vanessą o morderstwie. Ale coś w sposobie jej zeznawania mówiło Teddy'emu, że ona kłamie. Wiedziała, w jakim Vanessa jest stanie, tylko wcale jej to nie obchodziło. Vanessa dla niej to przedmiot - czy jeszcze gorzej, jeniec wojenny. Teddy zeznał, że nigdy nie pozwalała mu przebywać z Vanessą dostatecznie długo, by mógł cokolwiek stwierdzić, chociaż zaczynał wyciągać wnioski z pewnych wypowiedzi Vanessy. Sędzia odroczył przesłuchanie i zarządził dalsze śledztwo. Wyznaczył psychiatrę do określenia stanu psychicznego dziewczynki, zanim zostaną podjęte dalsze decyzje. Tymczasem cała ta sprawa przeniknęła do prasy i nagłówki gazet głośiły, że wnuczka Fullertonów, córka znanej międzynarodowej modelki przypuszczalnie jest „katatoniczka”, odkąd w jej obecności zamordował jej matkę angielski playboy Vasili Arbus. Dalej było omawianie poprzednich małżeństw Vasiliego, faktu, że został po cichu wywieziony ze Stanów i przebywa teraz w sanatorium w Alpach Szwajcarskich. I jeszcze dalej doniesienie, że o opiekę nad Vanessą toczy się teraz bitwa pomiędzy dwoma braćmi jej ojca: Gregiem Fullertonem, szefem rodzinnej kancelarii adwokackiej, i „chirurgiem z wyższych sfer” doktorem Fullertonem. Te codzienne artykuły były straszne, aż w końcu nie dało się posyłać Vanessy do szkoły. Przedtem szkoła miała być dla niej powrotem do normalności, ale ona prawie nic nie rozumiała z lekcji i przeważnie do szkoły nie chodziła.

Psychiatra potrzebował całego tygodnia, żeby postawić diagnozę. Vanessa czekała w pokoju sędziów, gdy doktor wydawał jej świadectwo. Dziewczynka w stanie ciężkiego wstrząsu cierpi na depresję i częściowy zanik pamięci. Wie, kim jest, i pamięta dobrze swoje życie do czasu małżeństwa matki z Vasilim Arbussem. Zupełnie zatarło się w jej umyśle tamte półtora roku, stłumione z taką mocą, że doprawdy nie wiadomo, kiedy, jeśli w ogóle kiedykolwiek, jej się przypomni. Pamiętała tylko, że matka była ciężko chora. Ale jak Teddy podejrzewał, po prostu

wspomnienie z londyńskiego szpitala wygodnie się nałożyło, bo przecież nie pamiętała, że to się działo w Londynie i że powodem „choroby” był poród. Wraz z pamięcią o Vasilim uleciała pamięć o ukochanej siostrzyczce, maleńkiej Charlie. Vanessa stłumiła w sobie to wszystko, broniąc się przed udręką.

Ona nie jest obłąkana, stwierdził doktor. W istocie, to co zrobiła, dowodzi poniekąd jej zdrowia psychicznego. Wycięła i pogrzebała wspomnienie całej części swego życia zbyt dla niej bolesne. Uczyniła to nieświadomie albo zaraz po śmierci matki, albo, jak domyślali się psychiatra i Teddy, wtedy gdy Andreas Arbus w sądzie zabrał jej siostrzyczkę. Właśnie w tamtym momencie wszystko stało się dla niej absolutnie już nie do zniesienia. I od tamtego właśnie momentu tak się zmieniła. Ona z tego wyjdzie, psychiatra nie wątpił, ale czy kiedykolwiek odzyska pamięć tamtych wydarzeń, nie potrafił powiedzieć. Jeśli tak, może to się stać w każdej chwili - za miesiąc, za rok, kiedyś w życiu. Jeśli sobie nie przypomni, w jakiś sposób ten niesprecyzowany ból będzie nękał ją zawsze. Zalecił leczenie psychiatryczne, przez jakiś czas, to może wspomnienia się wyłonią. Stanowczo jednak zaznaczył, żeby nie wywierać na nią żadnych nacisków i żeby jej nie mówić, jak umarła matka. Należy zostawić ją z zapomnianymi wspomnieniami samą, jeżeli sobie przypomni, tym lepiej. Jeżeli sobie nie przypomni, należy pozwolić, żeby nadal miała je pogrzebane. Trochę to jak życie z bombą zegarową, bo któregoś dnia prawdopodobnie pamięć jej wróci, ale którego, nie sposób przewidzieć. Jest nadzieja - oświadczył ten psychiatra sądowi i zainteresowanym stronom - że gdy dziewczynka poczuje się znów bezpieczna, jej stłamszona obecnie psyche odpręży się dostatecznie, by sobie pozwolić na rozprawienie się z faktami. Bo rozprawić się z nimi trzeba - dodał smętnie. Kiedyś. Jeśli nie, ciężko pokaleczą psychikę tego dziecka.

Sędzia zapytał, czy zdaniem doktora Vanessa jest szczególnie potrzebna osoba zastępująca matkę, czy też obejdzie się bez kogoś takiego.

- Jak najbardziej potrzebna - wybuchnął doktor. - Bez bliskiej sobie kobiety to dziecko nigdy ze swojej skorupy nie wyjdzie.

Sędzia ściągnął usta. Teddy czekał i w pół godziny później usłyszał, jaka zapadła decyzja. Stałą opiekę nad Vanessą sędzia powierzył Gregowi i Pattie. Greg wyszedł z sali wyraźnie pełen ulgi, Pattie była wprost w uniesieniu. Nawet nie spojrzała na Teddy'ego, popychając Vanessę przed sobą. Dziewczynka szła jak nakręcona lalka, nie patrzyła, nie widziała, nie czuła. Teddy nie odważył się nawet dotknąć jej w przejściu. Nie mógł tego znieść. Gdy wolno schodził ze schodów gmachu sądu w chłodne powietrze, podeszła do niego matka.

- Przykro mi, Teddy - powiedziała ochryple. Spojrzał na nią gniewnie.

- Nie, wcale ci nie jest przykro. Mogłaś była mi pomóc i nie pomogłaś. Zostawiłaś ją tym dwojgu. - Wskazał limuzynę ruszającą od krawężnika, odwożącą Vanessę do ich mieszkania z

powrotem.

- Oni jej nie krzywdzą bardziej, niż skrzywdziła ją już jej mamusia. Nic nie powiedział, odszedł od matki jak mógł najszybciej.

Wieczorem siedział sam w ciemnym pokoju i patrzył przez okno. W mroku za szybą unosiły się płatki śniegu. Zaplanował sobie ten wieczór zupełnie tak jak jego brat. Po powrocie z sądu wyciągnął nie napoczętą butelkę szkockiej, żeby ją całą wypić do rana. Był już w połowie tej butelki, gdy usłyszał dzwonek. Nie ruszył się, nie poszedł otworzyć drzwi. Nikogo nie chciał widzieć, świateł nie zapalił, wyglądało przecież na to, że nie ma go w domu. Ale ktoś dzwonił do drzwi uporczywie, potem zaczął się dobijać, walić w drzwi raz po raz i w końcu dało się słyszeć przytłumione wołanie.

- Stryju!

Przerażony Teddy odstawił szklanekę, zerwał się na równe nogi, podbiegł do drzwi i otworzył. Stała przed nim Vanessa trzymając w jednej ręce papierową torbę, a w drugiej starą lalkę, którą jej dał przed laty.

- Co ty tu robisz?

Przez chwilę nic nie mówiła, po chwili nagle się złękła.

- Uciekłam.

Nie był pewny, czy śmiać się, czy płakać”, gdy patrzył na nią. Oboje stali w świetle z sieni. Zapalił światło w swoim hallu.

- Wejdz, to porozmawiamy. - Wiedział jednak, że nic ta rozmowa nie da. W każdym razie będzie musiał odwieźć ją do braterstwa.

Jak gdyby czytając jego myśli, Vanessa w sieni się zmobilizowała.

- Ja tam nie wrócę.

- Dlaczego?

- On jest znowu pijany, a ona mnie nienawidzi.

- Vanesso... - Teddy westchnął ze zrozumieniem. Gdybyż nie wypił pół butelki whisky, zanim Vanessa przyszła. Nie myślał tak jasno, jak powinien, i cieszył się ogromnie, że ją widzi.

- Ona wcale nie czuje do ciebie nienawiści. Nie walczyłaby tak o opiekę nad tobą, gdyby cię nienawidziła.

- Ona mnie chce jak rzecz. - Vanessa się rozgniewała. - Jak te wszystkie stroje, które kupuje dla siebie, i kryształ na stoliku, i lalki, które kupuje dla mnie. Tylko rzecz. -Ja to jedna rzecz więcej. - Teddy wiedział, że tak rzeczywiście jest, ale nie mógł tego powiedzieć. - Nienawidzę ich.

- Nie przesadzaj. - Przecież miała mieszkać u nich długo, bardzo długo. Wyrok sądu.

- Nie wrócę do nich. - Patrzyła na niego spode łba, gdy zapalił światło w pokoju.

- Vanesso, musisz.

- Nie wrócę.

- No, porozmawiajmy o tym. - Czuł się trochę niepewnie na nogach, z ulgą by już przy niej usiadł.

Ale ona stała uparta jak przysłowiowy muł. - Nie wrócę do nich, żeby nie wiem co. Przechesał ręką włosy.

- Proszę cię, na miłość boską, bądź rozsądna. Nic nie możemy zrobić. Nie możesz mieszkać u mnie, skoro sąd ich wyznaczył na twoich opiekunów.

- Więc będę wciąż od nich uciekać, aż mnie wyślą gdzieś daleko do szkoły. Uśmiechnął się smutno.

- Tego by nie zrobili.

- Zrobiliby - powiedziała Vanessa rzeczowo. - Ona sama mówiła.

- Boże! - Po to mu ją zabrali? Żeby grozić jej internatem!

- Słuchaj, nikt ciebie nigdy nie wyśle, Vanesso. Ale nie możesz tu zostać.

- Nawet na dzisiejszą noc? - Oczy miała takie duże i smutne bezgranicznie, że zmiękł i z uśmiechem wyciągnął do niej rękę.

- Och, królewno. Że też to wszystko musiało nas spotkać.

Łzy lśniły w jej oczach, gdy podniosła ku niemu twarzyczkę i znowu w tej małej dziewczynce zobaczył Brada.

- Dlaczego mamusia musiała umrzeć, stryju? To nie w porządku. - Tak. - Prawie nie mógł mówić, myśląc o Serenie. - Nie w porządku.

- Och, błagam cię - przywarła do niego, swe małe ręce przycisnęła do jego koszuli. - Nie każ mi odejść od ciebie. Tylko dzisiaj.

Westchnął, nagle czując się bardzo, bardzo trzeźwy i wreszcie przytaknął.

- Dobrze. Tylko dzisiaj.

Ale nie zdążył zadzwonić do Grega i Pattie. Zanim się z nimi połączył, Pattie zadzwoniła do niego. Wrzasnęła mu w ucho:

- Ona tam jest?!

- Vanessa? - zapytał dziwnie spokojny. - Tak.

- Niech to diabli, Teddy, natychmiast ją przywieź! Sąd dał ją nam, teraz ona jest nasza! - Jak roślina czy walizka. Sama ta myśl przyprawiła go o ciarki.

- Odwiozę ją do was jutro rano.

- Chcę ją tu mieć zaraz! - Pattie wrzeszczała, Teddy'emu oczy zapalały.

- Ona chce nocować u mnie.

- Nieważne, czego ona chce. Jest już nasza i ma robić to, co ja jej każę. Przyjadę po nią.

- Ja na twoim miejscu tego bym nie robił - powiedział Teddy głosem jak aksamit, ale z ukrytym ostrzem. - Powtarzam ci, odwiozę ją do was jutro rano. Może spać tutaj.

- Nie, nie może. Słyszałeś orzeczenie sędziego. To ze wszech miar niestosowne. Jesteś kawalerem. Jej nie wypada u ciebie nocować - powiedziała Pattie filuternie. - Chcę ją mieć zaraz w domu.

- No, ale ona dziś nie przyjedzie. Zobaczymy się jutro.

Nazajutrz Teddy zobaczył się jednak nie z Pattie, tylko z policją. Zjawili się ci policjanci akurat wtedy, gdy przygotowywał dla Vanessy śniadanie. Zadzwonili do drzwi, jeden z nich zapytał, czy to Theodore Fullerton. Teddy odpowiedział, że tak, to on, i dowiedział się, że został aresztowany. Zatrzasnęli mu na rękach kajdanki i w obecności Vanessy, patrzącej na nich ze zgrozą, wyprowadzili go. Jeszcze jeden policjant zgasił gaz pod śniadaniem i łagodnie polecił Vanessie wziąć swoje rzeczy. Przez chwilę histeryzowała rozglądając się nieprzytomnie... Było coś w tych mundurach... w tych policjantach... nie mogła tego określić, ale to ją przejmowało strachem. Chwyliła lalkę i pobiegła do drzwi za Teddym. Gdy zbiegła na dół z już towarzyszącym jej policjantem, samochód, którym zabrali Teddy'ego do komisariatu, właśnie odjechał. Ją odwieźli do mieszkania Grega i Pattie i uśmiechając się, uprzejmie państwu Fullerton zwrócili.

Tymczasem w śródmiejskim komisariacie rejestrowano Teddy'ego zatrzymanego pod zarzutem porwania. Pattie wniosła oskarżenie w nocy. Wyznaczono kaucję w wysokości piętnastu tysięcy dolarów, dosyć wygórowaną. Przesłuchanie miało się odbyć nazajutrz i prowadzić je miał tenże sam sędzia.

Nie ogolony, wyczerpany Teddy znalazł się następnego dnia rano w sali sądu, kajdanki mu zdjęto, sędzia patrzył na niego groźnie przez kilka minut, zanim zaczął przesłuchanie. Kazał wszystkim wyjść z sali, zwłaszcza reporterom - same już nagłówki w gazetach porannych robiły fatalne wrażenie. CHIRURG z WYŻSZYCH SFER PORYWA BRATANICĘ. Był nawet chytry domysł w tym artykule, że Vanessa, zważywszy, jak namiętnie on się nią interesuje, jest być może jego dzieckiem, a nie Brada.

- No, doktorze Fullerton, nie mogę powiedzieć, żeby przyjemnie mi było znów pana tutaj zobaczyć. Co właściwie ma pan do powiedzenia w tej sprawie? Nie urzędowo, tylko do wiadomości sądu.

- Nie porwałem jej, Wysoki Sądzie. Ona sama przyszła do mnie. Sędzia się zakłopotał.

- Kazał pan jej przyjść?

- Oczywiście, że nie.

- Czy podała panu powód?

- Tak. - Teddy zdecydował się powiedzieć prawdę. Nie miał już nic do stracenia. - Ona nienawidzi mojego brata i jego żony.

- To niemożliwe. Wcale o tym nie mówiła w sądzie.

- Proszę ją znów zapytać. Sędzia wpadł w gniew.

- Pan ją pouczył.

- Nie pouczyłem jej. - Oczy Teddy'ego błysnęły. - Moja bratowa już jej grozi, że wyśle ją do internatu, tak właśnie ją kocha, Wysoki Sądzie. Gdyby mnie kto pytał - rozżalony, uśmiechnął się do sędziego żałośnie - to Wysoki Sąd dokonał bardzo kiepskiego wyboru.

Sędzia oziębło przyjął ten komentarz.

- Ona jest dzieckiem nie zrównoważonym, doktorze. Pan wie o tym. Potrzebuje normalnego domu z matką i ojcem. Pan, chociaż bardzo ją kocha, jest tylko mężczyzną.

Teddy westchnął.

- Moja bratowa nie ma w sobie ani krzty uczuć macierzyńskich, Wysoki Sądzie. Nie cierpiała matki Vanessy z całą pasją. Była swego czasu zaręczona z ojcem Vanessy i on z nią zerwał, nie z nią się ożenił. Myślę, że teraz Pattie... pani Fullerton... chce niejako wyrównać rachunki. Chce ostatecznie „posiąść” jego dziecko i to za wszelką cenę, żeby coś udowodnić. Ona Vanessy nie kocha, Wysoki Sądzie, nawet jej nie zna.

- Czy to prawda, że matka tej małej nienawidziła pani Fullerton?

- Chyba nie. Myślę, że cała nienawiść była ze strony wyłącznie Pattie, mojej bratowej. Szalenie zazdrosnej o Serenę.

- Biedna kobieta. - Sędzia, myśląc o Serenie, pokiwał głową. - A pański brat, Gregory? - zapytał posepnie. Najgorsza sprawa, ze wszystkich jakie miał od lat, a wydaje się, że dla Vanessy nie będzie należytego rozwiązania. - Czy lubi to dziecko?

- Wysoki Sądzie - Teddy westchnął - mój brat jest alkoholikiem. Moim zdaniem, już w jednym z ostatnich stadiów. Niezbyt to ładny widok dla Vanessy, czy dla kogokolwiek innego, jeśli już o tym mowa.

Sędzia znów pokiwał głową i wzdychając rozparł się w fotelu.

- No, mam tu wniesione na pana oskarżenie o porwanie i wygląda na to, że powinienem rozpatrzeć na nowo sprawę pana bratanicy. - Wyraz twarzy miał tak nieszczęśliwy jak Teddy. - Doktorze, zrobię coś bardzo niezwykłego. Skażę pana na trzydzieści dni więzienia za rzekome porwanie bratanicy po wydanym przez mnie wyroku. Może pan zażądać procesu w tej sprawie, jeżeli pan chce, ale ja w uzasadnieniu wyroku podam nie porwanie, tylko lekceważenie sądu. A lekceważenie sądu trzeba odsiedzieć, nie ma zwolnienia za kaucją. Więc odsiedzi pan całe trzydzieści dni. W ten sposób będę zupełnie pewny, że pan jej nie porwie rzeczywiście. - Patrzył

spode łba na przestach Teddy'ego. - W ciągu tych trzydziestu dni zostanie przeprowadzone wyczerpujące śledztwo w sprawie opieki nad tą małą, po czym dokładnie za trzydzieści dni sformułuję moje orzeczenie inaczej. To będzie - zajrzał szybko do swego terminarza - czwartego marca. - Dał znak woźnemu i bez dalszych ceregieli wyprowadzono Teddy'ego z sali.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY DZIEWIĄTY

Czwartego marca o godzinie dziewiętej rano Teddy znów znalazł się w sali sądu, tym razem ogolony i schludny, ale prawie o dwanaście funtów szczuplejszy po miesiącu więzienia. Zobaczył swego brata, bratową i Vanessę. Przez ten miesiąc, ciągnący się nieskończenie, nie mógł widywać Vanessy, więc teraz na jej widok serce mu podskoczyło i uśmiechnął się. Jej oczy też się rozjaśniły i stwierdził, że ona wygląda trochę lepiej. Może ostatecznie będzie jej u nich dobrze. Woźny przywołał salę do porządku, oznajmił, że trzeba wstać, bo sąd idzie. Sędzia wszedł, ze zmarszczonymi brwiami popatrzył na nich wszystkich. Powiedział, że śledztwo przeprowadzone w sprawie opieki nad Vanessą było najbardziej wnikliwe ze wszystkich śledztw, jakie zarządził w czasie swego sędziowania. Powiedział, że naprawdę nie wątpi o zacności wszystkich obecnych, więc nie jest to sprawa uznania kogoś za odpowiedniego, a innych za nieodpowiednich. Sprawa sprowadza się do zagadnienia, co będzie najlepsze dla Vanessy. Z pewnych szczególnych względów - sędzia popatrzył w oczy dorosłym wiedząc, że go rozumieją -bardzo trudno wybrać właściwy dom dla tej dziewczynki. Jakkolwiek sprawa się rozstrzygnie, ma nadzieję, że wszyscy pozostaną życzliwi, bo w jego przekonaniu na pewno Vanessa potrzebuje ich wszystkich wokół siebie. Wyjątkowo sążniste przemówienie wygłosił ten zazwyczaj małomówny sędzia. Potem odchrząknął, z szelestem przejrzał jakieś papiery, spojrzął na Margaret Fullerton i przeniósł wzrok na jej najmłodszego syna.

- Doktorze Fullerton. Chyba pan ma prawo wiedzieć, że przeprowadziłem długą rozmowę z pana matką. - Teddy spojrzął na nią, natychmiast ją podejrzewając, nic jednak w jej oczach nie mógł wyczytać. - Okazuje się, że pana przywiązanie do tej dziewczynki jest nie tylko godne podziwu, ale i niezmiennie od lat. Po śmierci brata, o ile mi wiadomo, pozostawał pan w serdecznej przyjaźni z matką Vanessy i obie mogły zawsze na panu polegać. Wiadomo mi również, że państwo Gregory i Patty Fullerton nie mieli żadnego kontaktu z Vanessą i jej rodzicami. -Teddy znów spojrzął na matkę, tym razem ze zdumieniem. Ona to wszystko powiedziała sędziemu? Ale dlaczego? Dlaczego raptem zechciała mu pomóc? -

Toteż myślę, że Vanessa mieszkając u pana, chociaż pan nie jest żonaty, będzie czuła poczucie jakiejś ciągłości, co zdaniem psychiatry jest jej bardzo potrzebne. Doktorze Fullerton, udzielam panu definitywnie prawa do opieki nad tym dzieckiem.

Vanessa zachłysnęła się głośno i podbiegła do Teddy'ego. Wziął ją w ramiona, płacząc. Sędzia patrzył na nich oczami też wilgotnymi. Potem Teddy zobaczył, że matka ociera oczy chusteczką i poczuł ogromną wdzięczność. Raz wreszcie postąpiła przyzwyczajenie. Tylko Pattie miała

taki wyraz twarzy, jakby chciała ich wszystkich zabić, gdy sztywno i wyniośle wychodziła z sali. Ale Greg zatrzymał się, żeby ucisnąć Teddy'emu rękę i życzyć jemu i Vanessie wszelkiej pomyślności. Wiedział, że teraz decyzja sądu jest słuszna.

Margaret Fullerton patrzyła na swego najmłodszego syna, zastanawiając się, co w końcu sprawiło, że zmiękła wobec Vanessy. Koniec z przeszłością, to dziecko było takie zagubione bez Teddy'ego. Chyba czas, żeby dawne dzieje stały się wspomnieniem. Może się starzeję - pomyślała i uśmiechnęła się do siebie.

W sali sądowej Teddy jeszcze przytulał Vanessę i śmieli się oboje, po czym triumfalnie wyszli. Wcale się nie przejmowali tym, że wokoło roi się od mających swój wielki dzień fotoreporterów.

Vanessa zbiegła ze schodów na ulicę jak mała gwiazda filmowa uśmiechając się od ucha do ucha, trzymając się ręki stryja tak mocno, że palce mu drętwiały. Teddy przywołał taksówkę i pojechali do jego mieszkania, którego - tak jak Vanessy - nie widział przez miesiąc. Ale gdy przekręcał klucz w zamku, wydawało mu się, że wracał po całym roku. Stał na progu, spojrzął na uśmiechniętą, ukochaną bratanicę niepewny, czy przenieść ją przez próg, czy nie - przecież zaczynają nowe życie. Ostatecznie razem przestąpili próg, i za progiem przywitani się uściskiem dłoni ceremonialnie. Vanessa wspięła się na palce, pocałowała stryja w policzek.

- Witaj w domu, królewno.

- Stryju, kocham cię.

- Och, serduszko. - Zamknął ją w objęciach. - Ja kocham cię. Mam nadzieję, że będziesz tu szczęśliwa. - Chciał jej naprawić przeszłość, ale wiedział, że to nieosiągalne, że może tylko dawać jej teraźniejszość.

- Będę szczęśliwa, stryju. - Patrzyła na niego z uśmiechem i po raz pierwszy od miesiący wyglądała jak dziewięcioletnie dziecko. Nie było śladu tragedii, udręki, apatii, ani śladu tego, co przeszła. Rzuciła się na kanapę, głośno chichotała i z miną psotnego małego elfa zrzuciła z nóg pantofle.

Nagłówki gazet wieczornych głosiły ELITARNY CHIRURG OJCEM BEZ ŻONY i poniżej po raz tysięczny pisano, że oskarżony o porwanie przesiedział miesiąc w więzieniu. Pattie postarała się, by zarówno ten wyrok, jak wszystkie szczegóły sprawy o opiekę długo jeszcze rozdmuchiwano. Teddy chował przed Vanessą gazety. Vanessa nadal nie pamiętała niczego w związku z Vasilim, siostrzyczką, zamordowaniem matki, ale z dnia na dzień wydawała się coraz bardziej dawną sobą. To była tylko kwestia czasu.

CZEŚĆ TRZECIA
WANESSA I CHARLIE
ROZDZIAŁ PIĘCDZIESIĄTY

- Vanesso? Vanesso? Jesteś w domu? - Teddy statecznie wszedł frontowymi drzwiami, położył kapelusz na stoliku w hallu, zdjął płaszcz i zajrzał do gabinetu. Vanessy tam nie było. Chodząc po mieszkaniu domyślił się, że jest w ciemni. Od czterech lat często tam przesiadywała. Musiał zrezygnować dla niej z pokoju gościnnego, gdy na pierwszym roku w Yassar odkryła, czym jest fotografia. Ale fotografowała tak dobrze, że to była rzeczywiście przyjemność. W ciągu tych trzynastu lat, gdy Vanessa mieszkała u Teddy'ego, przyjemnością było prawie wszystko. Zżyli się, ucząc się i dorostając razem, czasami walcząc ze sobą jak pies z kotem, zawsze jednak ogromnie się nawzajem szanując. Matka Teddy'ego umarła, gdy Vanessa miała lat dwanaście, ale Vanessa nie odczuwała szczególnie jej braku. Babcia nigdy jej nie akceptowała i nie zmieniła się przed śmiercią. Nie zostawiła jej niczego ze swojej wielkiej fortuny. Wszystko podzieliła równo między synów. Greg umarł w dwa lata po niej, jak to było do przewidzenia, na marskość wątroby, a Pattie przeniosła się w końcu do Londynu, gdzie wyszła za „kogoś szalenie ważnego”. Teddy sądząc z pogłosek, które słyszał od czasu do czasu, przypuszczał, że jest szczęśliwa, ale nie martwiłby się, gdyby już nigdy w życiu nie miał jej zobaczyć. Zupełnie przestała się interesować Vanessą, odkąd utraciła prawo do opieki nad nią, i wcale się z nimi nie widywała. Tak więc przez te lata Teddy i Vanessa byli sami. Teddy się nie ożenił, całym sercem oddany wypełnianiu obowiązków samotnego ojca. Bywały chwile absolutnej rozpacz, bywały chwile hysterii nie do wysłownienia, ale też bywały chwile warte całego życia. Gdy Vanessa ukończyła studia w Yassar, dzień jej promocji miał pozostać dla Teddy'ego wspomnieniem zawsze wzruszającym. Dorosła Vanessa stała się jeszcze bardziej podobna do Brada, niż była w dzieciństwie, nieraz Teddy stwierdzał to z rozbawieniem.

Wysoka i szczupła jak Brad, włosy też jasne, taki sam typ urody, takie same oczy niebieskie, takie samo poczucie humoru. Ilekroć się śmiała, doznawał wrażenia, że to Brad w nowym wcieleniu, tym razem kobieta. Bardzo lubił patrzeć na nią, przebywać z nią, była tak pełna życia, dynamiczna. Energię i siły witalne odziedziczyła po matce. Nie chciała być modelką, wołała fotografować. Studiowała w Yassar sztuki piękne, spisując się doskonale, ale rzeczywiście interesowało ją tylko to, co widziała w soczewce swego aparatu fotograficznego, i co z tego następnie robiła.

Cicho zapukał do drzwi ciemni. Vanessa zapytała:

- Tak? Kto tam?

- Zły duży wilk.

- Nie wchodź, wywołuję.

- Prędko skończysz?

- Za parę minut. A bo co? - Wydawało mu się, że większość ich rozmów toczy się przez drzwi ciemni.

- Chcesz pojechać gdzieś na kolację?

- Czy nie wolałbyś bawić się z dziećmi w twoim wieku? - Zawsze mu dokuczała, że powinien się ożenić.

- Pilnuj swojego nosa, mądralo.

- Lepiej bądź dla mnie grzeczny, bo mogę sprzedać prasie to twoje zdjęcie z zeszłego tygodnia. - Ryknął śmiechem. Na zabawę w Dniu Wszystkich Świętych Vanessa i kilkoro jej przyjaciół przebrali się za emblemat Plon Owoców, ale w ostatniej chwili chłopiec, który miał być kiścią winogron, zawiadomił ich, że nie może być na tej zabawie. Vanessa ubłagała stryja, żeby go zastąpił. Teddy zawsze był dobrym kumplem, więc się przebrał. Na zabawie nawet dostali za swoje kostiumy pierwszą nagrodę, po czym Vanessa zrobiła zdjęcie. - Jak byś wyglądał w charakterze winogron na łamach tygodnika medycznego?

- To szantaż.

- Lepiej bądź grzeczny. Znowu sprzedałam jedno zdjęcie do Esquire. - Już od pięciu miesięcy Vanessa z wolnej stopy fotografowała dla różnych magazynów, w czym też spisywała się bardzo dobrze.

- Wypływa na szerokie wody. - Tedy jeszcze stał na korytarzu i mówił do drzwi. - Czy ty kiedyś wyjdiesz stamtąd?

- Nigdy! - odwrzasnęła.

- Co z tą kolacją?

- Brzmi nie najgorzej. Gdzie?

- Może P.J. Clarke. Odpowiada?

- Szaleńczo. Jestem w dzinsach i nie chce mi się stroić.

- Nic nowego. - Przekomarzał się. Zawsze chodziła w dzinsach, w rozmaitych kurtkach i kamizelkach z demobilu, i ze swymi wspaniałymi blond włosami rozpuszczonymi. Chciała czuć się swobodnie, żeby wciąż fotografować. Nie zawracała sobie głowy strojami.

- Dobrze, zrobię się na bóstwo.

Teddy wszedł do swojej sypialni i rozluźnił krawat. Od lat prowadził dwa życia, jedno jako wzięty stateczny chirurg w Columbia Presbyterian, w ciemnych garniturach tenis, białych

koszulach i ciemnych krawatach, drugie całe z Vanessą. Życie pełne jazdy na łyżwach i jazdy na kucach, i wycieczek do zoo, i dni ojca w obozach wakacyjnych, i hokeja, i lodów w lodziarniach. Życie w dzinsach i koszulkach gimnastycznych, z policzkami zaróżowionymi i włosiem rozwianym. Dzięki Vanessie zachowywał młodość i mając czterdzieści pięć lat, wyglądał na nie więcej niż trzydzieści. Nadal bardzo przystojny blondyn, rzeczywiście był dosyć podobny do bratanicy; wysoki i szczupły, szeroki w ramionach, nawet podobnie się uśmiechał, nic więc dziwnego, że Vanessa mogła uchodzić za jego córkę. Gdy była mała, przedstawiała go czasami: „mój tatuś”, ale nazywała Teddym i przeważnie mówiła koleżankom, że jest jej stryjem. Pamiętała ze wszystkimi szczegółami pełen chwały dzień, gdy mu ją ostatecznie przyznano w sądzie, ale przeszłość ze swą szpetotą jeszcze nie wyłoniła się z głębi jej podświadomości.

Teddy w ciągu tych lat zwracał się do niejednego psychiatry i w końcu wszyscy go przekonali, że nie ma czym się martwić. Owszem, niepokojące, że dotychczas nic z tamtych przeżyć jej się nie przypomniało, możliwe jednak, że nie przypomni jej się nigdy, orzekli. Jest szczęśliwa, dobrze przystosowana do życia, nic nie wróży, żeby cokolwiek z przeszłości raptownie ją dopadło. Ale też nadmieniali, że ostatecznie, mógłby jej to opowiedzieć, gdy już będzie dorosła. Zdecydował się tego nie robić - dobrze jest, jak jest, ciężar prawdy o zamordowaniu matki chyba byłby dla niej nie do udźwignięcia. Przejmować się należało tylko możliwością, że ona cierpi na poważny uraz. W takim razie, być może, niektóre ze wspomnień zostały raz na zawsze wyparte. W dzieciństwie często miewała koszmarne sny, ale od lat już się to nie powtarzało, w końcu więc Teddy przestał się o nią martwić. Była jak każda inna dziewczynka, radosna, beztroska, bardziej dobrodusznna niż większość dzieci i nigdy nie sprawiała kłopotów, jakie zwykle pociąga wychowywanie nastolatki. Wspaniała smarkula, kochał ją tak, jakby była jego córką. A teraz kończyła już dwadzieścia trzy lata. Nie mógł uwierzyć, że tak szybko lata przeleciały.

Wrócił do drzwi ciemni w dwadzieścia minut później, w dzinsach, ciemnobrązowej marynarce z kaszmiru włożonej na beżowy golf. Vanessa czasami kupowała dla niego w firmie Bloomingdale rzeczy, których sam sobie by nie kupił, ale gdy już je miał, musiał przyznać, że mu się podobają.

- Czy ty wreszcie stamtąd wyjdiesz, panno Cartier-Bresson?

W tej samej chwili drzwi się otworzyły i stanęła przed nim, imponująco urodziwa z włosami jak łan pszenicy w lekkim podmuchu wiatru i z promiennym uśmiechem.

- Właśnie wywołałam kilka zdjęć rzeczywiście wspaniałych.

- Czego?

- Dzieci w parku przedwczoraj. Są po prostu przepyszne. Chcesz zobaczyć? -Patrzyła na niego zadowolona, więc wszedł za nią do ciemni. Zapaliła światło i obejrzał te odbitki. Miała rację.

Były uroczyste.

- Sprzedasz je?

- Nie wiem. - Przechyliła głowę, grzywa blond opadła jej na ramię. - Pewna galeria w śródmieściu chce wystawić moje prace. Myślę, że mogłabym je tam pokazać.

- Piękne są, kochanie. W ostatnich tygodniach masz świetne osiągnięcia. Uszczypnęła go w policzek i pocałowała.

- To dlatego że mój stryj kupuje mi świetne aparaty. - Kupił jej leikę na gwiazdkę i jeszcze jednego nikon z racji dyplomu. Pierwszego nikon dostała na osiemnaste urodziny.

Wyszli z mieszkania ramię w ramię i wsiedli do taksówki, która zawiozła ich do klubu P.J. Często wychodzili razem wieczorami, odkąd Vanessa wróciła z college. Lubił ją zabierać do lokali rozrywkowych, ona lubiła z nim tam bywać, a przecież nieraz dręczyło go poczucie winy. W szkole Vanessa raczej nie przyjaźniła się z koleżankami. Była trochę odludkiem, zawsze trzymała się jego. W Yassar miała grono przyjaciół, ale wydawało się, że najszcześniejsza jest sama ze swoim aparatem fotograficznym. I dotychczas - a za kilka tygodni miała ukończyć dwadzieścia trzy lata - zachowała dziewictwo. Jeszcze nie zjawił się żaden mężczyzna ważny w jej życiu, raczej od mężczyzn stroniła. Dotknięcie ręki, czyjaś dłoń na ramieniu prawie zawsze wywoływały w niej niemiły dreszcz. Dostyc to niepokoiło Teddy'ego. Jak powiedział tamten pierwszy psychiatra w sali sądowej przed laty, pogrzebane w podświadomości horrory, jakie widziała, pozostawią trwałe ślady, jeżeli nigdy nie wyłonią się na powierzchnię. Nie wyłoniły się i Teddy nie wiedział, czy ona podświadomie pamięta, że Vasili zabił jej matkę i tego właśnie się boi. Czy też może jest to pogrzebane dość głęboko, by nie sprawiać żadnej różnicy? Jak szrapnel pozostały po dawno zapomnianej wojnie.

- Strasznie jesteś dzisiaj poważny, stryju doktorze. Dlaczego tak milczysz? Stało się coś? - Zawsze rozmawiała z nim otwarcie.

- Tak tylko rozmyślam.

- O czym? - Pałaszując ogromny kotlet, wyglądała na czternastolatkę. Uśmiechnął się do niej.

- O tobie. Jakim cudem jesteś taką cnotliwą dziewczyną? To nienormalne.

- Jestem opóźniona. - Znad kotleta uśmiechała się do niego. - Wolałbyś, żeby się złapała za narkotyki? - Uśmiechała się, bo wiedziała, co on myśli o epidemii narkomanii, chociaż nie mogła wiedzieć, z jaką wielką myśli zgrozą i dlaczego.

- Proszę cię, ja teraz jem.

- Dobrze, więc tylko bądź zadowolony, że jestem nudna. - Bo też wiedziała, do czego on zmierza. Powinna być w lokalach z jakimś miłym młodym człowiekiem, a nie ze swoim starym

stryjem. Już słyszała takie przemówienia setki razy i zawsze wtedy mówiła mu, że powinien się ożenić.

- Kto powiedział, że jesteś nudna?

- Przecież chciałeś już mi znowu wymawiać moje dziewictwo.

- Czyżby? - zapytał rozbawiony. - Bardzo dobrze mnie znasz, Vanesso.

- Do licha, jak mogłabym nie znać. - Zachichotała. - Mieszkam z tobą od trzynastu lat. -

Powiedziała to za głośno, kilka osób siedzących w pobliżu zagapiło się na nich, zwłaszcza dwie kobiety wyraźnie pełne dezaprobaty.

Teddy ze swym czarującym uśmiechem pochylił się ku nim.

- To moja bratanica - wyjaśnił słodko.

- Znamy takie gadki - warknęła jedna z nich i odwróciła się przy swoim stoliku, gdy Vanessa serdecznie się roześmiała.

- Pani zachowuje się skandalicznie niż ja. Wie pani?

A przecież oni tak się lubili i tak dobrze czuli się ze sobą, że żadne z nich nie potrzebowało innego towarzystwa, co wcale nie było dobre, ani dla niej, ani dla niego. Teddy rzeczywiście nie przebolewał utraty Sereny i przez lata całe bardzo zajęty jako samotny ojciec, miał doskonały pretekst, żeby nie podchodzić poważnie do żadnej innej kobiety. Od czasu do czasu zdarzały mu się miłości, ale zawsze bez istotnego znaczenia. A Vanessa najwyraźniej bała się zainteresować na dobre mężczyzną. Czowała się przy obcych mężczyznach nieswojo, po prostu ją onieśmielali. Teddy to widział. Vanessa ukrywa się za swoim aparatem fotograficznym, widzi wszystko i wmawia sobie, że nikt jej nie widzi.

- Piekierne marnotrawstwo, mała. - Z uśmiechem popatrzył na nią, płacąc rachunek.

- Co?

- To, że wciąż jesteś ze mną. Poza tym w ten sposób nigdy się ciebie nie pozbędę. Nie chcesz wyjść za mąż? - Ale kiedykolwiek mówił o małżeństwie, zawsze w oczach miała strach.

- Nie, nigdy. To nie dla mnie. - Właśnie w takich chwilach widywał odłamki tego szrapnela. One zawsze tkwią. Tylko że Vanessa o tym nie wie.

Nazajutrz rano spokojnie siedzieli jedząc jajecznicę na boczku. Przygotowywali śniadanie na zmianę, jednego dnia ona, następnego on. W jej dni były jajka na boczku, w jego dni francuskie grzanki. Doprowadzili to do perfekcji. Przy śniadaniu czytali gazety harmonijnie wymieniając się stronicami. Ruchy mieli zsynchronizowane jak dwoje tancerzy w balecie. I nie mówili ani słowa, aż do drugiej filiżanki kawy.

Ale w ten poranek Teddy sięgnął po swoją filiżankę z kawą na próżno. Vanessa z twarzą bez wyrazu wpatrywała się w gazetę. Wyczuwając coś, Teddy uważnie jej się przyjrzał.

- Coś niedobrze?

Vanessa zaprzeczyła ruchem głowy. Teddy wstał i stanął za nią. To, co zobaczył na stronie, którą czytała, dosłownie nim wstrząsnęło. Fotografia Vasiliego Arbusa. Ona czytała notatkę poniżej, ale wciąż przenosiła wzrok na tę fotografię. Notatka była krótka. Vasili Arbus umarł wskutek przedawkowania w wieku pięćdziesięciu czterech lat. Dodano, że pięć lat przebywał w szpitalu dla psychicznie chorych po popełnieniu morderstwa i że był żonaty sześć razy. Wyjątkowo jednak nie wymieniono jego kolejnych żon. Nawet Sereny. Teddy chciał coś powiedzieć widząc, jak Vanessa patrzy na tę fotografię, ale wiedział, że nie powinien. Trzeba to zostawić własnemu biegowi. Nie wolno jej pomagać, żeby znowu to w sobie zdławiła. Więc nic nie mówił, gdy ona spoglądała na fotografię Vasiliego jeszcze przez dziesięć minut. W końcu podniosła oczy znad gazety i uśmiechnęła się, zmieszana.

- Przepraszam. Zbikowałam. Po prostu nie potrafię tego wytłumaczyć... mam wrażenie, że już gdzieś tego człowieka widziałam, i to mnie drażni. - Teddy milczał, wzruszyła ramionami. - Do diabła, miał sześć żon, może jakoś hipnotycznie działał na kobiety. Ja też patrzę na jego fotografię jak w transie.

Teddy nieomal drżał. Po tylu latach oto wreszcie. Ale Vanessa najwyraźniej otrząsnęła się z tego nastroju. Nalała mu drugą filiżankę kawy i dalej czytała gazetę. A przecież w kilka minut później znów popatrzyła na fotografię Vasiliego.

Ciekawe, że nie napisali, kogo Vasili zamordował, Teddy Bogu dziękował za to. Ona by doznała zbyt straszego wstrząsu. A tak sama jej pamięć musi popracować.

Uważnie obserwował ją w ten poranek, ale gdy wychodził do pracy, wydawała się normalną sobą. Na wszelki wypadek zabrał gazetę, żeby się nad fotografią nie biedziła, kiedy jego nie będzie. Oby to wszystko do niej nie wróciło wtedy, gdy będzie gdzieś sama.

Przez dwadzieścia minut Teddy usiłował skoncentrować się na pacjentach w swoim lekarskim gabinecie, po czym zrezygnował z tych wysiłków i zadzwonił do ostatniego psychiatry Vanessy, ale odkąd z nim rozmawiał, minęło osiem lat. Okazało się, że ten doktor już przeszedł na emeryturę i jego praktykę przejęła kobieta. Teddy wyjaśnił jej, o co chodzi, poszła poszukać karty Vanessy. Wróciła do telefonu po chwili i zastanawiała się nad kartą.

- Jak pani doktor myśli? Powinienem jej teraz powiedzieć? - Teddy się denerwował, a ta kobieta odpowiedziała irytująco spokojnie:

- Czy nie lepiej, żeby sama doszła? Przypomni sobie tylko to, z czym może się uporać. To właśnie jedyny cel zdławienia pamięci. Sposób, w jaki umysł się chroni. Dopóki nie mogła się z tym uporać, nie pamiętała. Kiedy już może, to do niej wróci. Prawdopodobnie po trochu, po kawałku. Kiedy strawi jeden, będzie następny.

- To chyba długi proces. -i przygnębiający, pomyślał.

- Niekoniecznie. Cała ta sprawa mogłaby się skończyć w ciągu dnia, ale też i ciągnąć przez tydzień, miesiące czy nawet lata.

- Straszne. A ja mam tylko siedzieć i patrzeć, jak ona przeżywa.

- Tak jest, panie doktorze. Pan mnie zapytał, ja odpowiedziałam.

- Dziękuję. - Nazywała się Linda Evans. Nie był pewny, czy poczuł do niej sympatię.

- Wie pan, jeszcze coś chyba powinnam panu powiedzieć. Ona może mieć koszarne sny. To byłoby dosyć normalne, kiedy te wspomnienia wypychają się na powierzchnię.

- Co wtedy robić?

- Być przy niej. Rozmawiać z nią, jeżeli będzie chciała mówić. Może to wyjdzie prędzej w ten sposób. - Zastanawiała się przez chwilę. - Gdybym była potrzebna, panie doktorze, niech pan do mnie zadzwoni. Zostawię wiadomość sekretarce. To jest szczególny przypadek. Chętnie przyjadę o każdej porze.

- Dziękuję. - Pierwsza rzeczywiście miła rzecz, jaką powiedziała. - Jestem pani wdzięczny.

- Zachichotał. - Gdyby miała pani kiedyś kłopoty ze śledzioną, ja ze swojej strony chętnie bym się nią zajął.

Skwitowała śmiechem kiepski dowcip. Lekarze słyną z niewczesnych żartów, ale ten miał miły głos i szczerze było jej żal jego bratanicy. Zresztą takie przypadki zawsze ją intrygowały. Przypomniała sobie, jak studiowała kartę Vanessy Fullerton, gdy zaczynała praktykę. '

Skończyli rozmowę i Teddy znów zajął się pacjentami, nie czując się zbytnio podniesiony na duchu, ale wieczorem zastał Vanessę w ciemni, najwyraźniej pogodną. Służąca zostawiła im pieczeń, zjedli kolację w domu, porozmawiali o swojej pracy i ona poszła z powrotem do ciemni, a on wcześniej położył się spać.

Raptownie coś go wyrwało ze snu. Spojrzał na budzik na nocnym stoliku: pół do trzeciej nad ranem. Wiedział natychmiast, że obudziła go Vanessa. Słyszał z daleka jej krzyki. Zerwał się i pobiegł do jej sypialni. Siedziała w łóżku zapłakana, zapatrzona przed siebie, mamrocząc. Oczy miała otwarte, ale spała. Mamrotała, kwiliła i popłakiwała cicho, gdy siedział przy niej przez całą godzinę, ale się nie obudziła i już nie krzyczała.

Rano Teddy zadzwonił do doktor Evans. Wysłuchała jego relacji, kazała mu się uspokoić i tylko patrzeć, co będzie się działo, czy to się powtórzy tej nocy albo następnej. Powtarzało się przez całe tygodnie, żadne wspomnienia jednak się nie wyłaniały. W ciągu dnia Vanessa była wesoła, zajęta, zupełnie taka jak zawsze, a nocą w łóżku jęczała i cicho płakała przez sen. Wydawało się, że jakąś cząstką głęboko pochowaną wie, ale reszta jej jaźni nie chce wiedzieć. Teddy w udręce wybrał się do doktor Evans. Dosyć długo siedział w poczekalni, aż wreszcie

pielęgniarka powiedziała mu, że pani doktor może go przyjąć. Od pierwszej chwili sobie wyobrażał, że jest to niska krępa kobieta na grubych nogach, bardzo serio i w okularach. A tymczasem pięknym uśmiechem powitała go posągowa brunetka o dużych zielonych oczach, z koczkiem na karku jak baletnica, w spodniach i jedwabnej męskiej koszuli. Sprawiała wrażenie swobodnej i inteligentnej zarazem. Teddy wszedł do jej gabinetu zdumiony i nagle niepewny.

- Coś niedobrze, panie doktorze? - spoglądając szybko, zobaczył jej harwardzki dyplom na ścianie i wyliczył, że musi mieć trzydzieści pięć lat, chociaż wyglądała młodziej.

- Nie... ja... Przepraszam. - Uśmiechnął się do niej i już był bardziej sobą. - Nie jest pani taka, jak myślałem.

- To znaczy jaka? - Panowała nad sytuacją. Zrobiło mu się głupio.

- Osoba... no... inna. - Parsknął śmiechem. - Do diabła, myślałem, że jest pani brzydka jak grzech i ma dwie stopy wzrostu.

- I brodę? Jak Freud? Czy tak? - Śmiała się z niego, ale zarumieniona lekko. - Pan też nie jest taki, jak się spodziewałam.

- Czyżby? - zapytał rozbawiony.

- Myślałam, że pan jest strasznie ważny, panie doktorze. Garnitur tenis, okulary w rogowej oprawie - popatrzyła na tego przystojnego blondyna - i łysy.

- No, dziękuję. Rzeczywiście zwykle noszę garnitury z tenisu, ale dziś zrobiłem sobie wolne popołudnie, żeby zobaczyć się z panią. Więc jestem po cywilnemu. - Uśmiechnął się. Był w spodniach z gabardyny i w blezerze. Prezentował się bardzo dobrze. - Czy wolno mi coś zaproponować? Może byśmy przestali się tytułować doktorami? Strasznie dużo tego „doktorze”.

Uśmiechnęła się i przytaknęła.

- Niech mi pan mówi: Linda.

- Jestem Teddy.

- Dobrze. - Rozparła się w wygodnym fotelu obitym czarną skórą i spojrzała Teddy'emu prosto w oczy. - Opowiedz mi o swojej bratanicy. Szczegółowo.

Opowiedział jej wszystko, co się działo, a ona potakiwała. Gdy skończył swój recital, powiedziała łagodnie:

- Nie pamiętasz? Mówiłam, że to może trwać miesiące, a nawet lata. Była możliwość przy pierwszym wstrząsie, że ona raptownie przypomni sobie całą tę historię. Okazało się jednak, że to powoli przenika w jej podświadomość. Może tak przenikać bardzo długo albo znów popaść w niepamięć. Mało prawdopodobne, żeby stało się jeszcze raz coś, co by nią tak wstrząsnęło, jak ta fotografia. To był fuks na torze.

Zgodził się.

- Zdumiewająco ją to uderzyło. Wpatrywała się w tę fotografię chyba przez pół godziny.

Linda Evans przytaknęła.

- Musiała mieć okropne wspomnienia w związku z tym człowiekiem. Nic dziwnego, że coś w niej reagowało na widok jego fotografii.

- Nie sądzisz, że powinniśmy powiedzieć jej, żeby z tym już skończyć?

- Nie, nie sądzę.

- Czy ona nie powinna przyjść do ciebie? - Linda zastanowiła się nad tym i potrząsnęła głową.

- Na jakiej podstawie? Jak mógłbyś jej doradzić coś takiego? Rozumiesz, ona jeszcze nie ma pojęcia, co się dzieje. Jeżeli kiedyś ocknie się i zechce pójść do lekarza, to inna sprawa, ale jeżeli ty jej to doradzisz, mogłaby się zaniepokoić. Myślę, że na razie trzeba ją zostawić samej sobie.

Teddy przytaknął, pogawędził z Lindą, pożegnał ją uściskiem dłoni i wyszedł. Ale po tygodniu znów się zjawiał, żeby z nią porozmawiać, i w końcu regularnie bywał w jej gabinecie. Już nie zwalniał się na popołudnie. Widywał się z nią w czasie przerwy obiadowej.

- Widzisz, mówiłem ci. Chodzę w takich garniturach.

Śmiała się z niego. Rzeczywiście niewiele miał teraz do powiedzenia o Vanessie, której po miesiącu koszmary śniły się coraz rzadziej. Po prostu lubił rozmawiać z Lindą Evans. Stwierdzali, że zgadzają się ze sobą pod niezliczonymi względami, mieli te same poglądy, zainteresowania i upodobania. Wreszcie zaproponował, żeby tę godzinę obiadową spędzała z nim w restauracji, a nie w swoim gabinecie. Stąd miał już tylko jeden krok do zaproszenia jej na kolację. Normalnie Linda wyznawała niezłomną zasadę niespotykania się z pacjentami prywatnie, ale on przecież nie był pacjentem. Był stryjem pacjentki, której nawet nie widziała, którą znała jedynie z kartoteki odziedziczonej wraz z praktyką, no i był kolegą lekarzem. Zresztą ku swemu zdumieniu, zaczęła pragnąć jego towarzystwa. Teddy natomiast zdumiewał się sobą - nawet parokrotnie, opowiadając Lindzie o przeszłości Vanessy, zastanawiał się, czy przypadkiem sam nie próbuje pozbyć się własnych duchów, które go nawiedzają. Po raz pierwszy od bardzo dawna mógł mówić o Serenie bez bólu i z wolna mu zaświtało, że się zakochał w Lindzie. Dwa, trzy razy w tygodniu zabierał ją na kolację, czasami do teatru albo na operę. Nawet zaprosił ją na kolację z Vanessą i cieszył się, że od razu znalazły wspólny język. Przy tej okazji Linda mogła się Vanessie przyjrzeć. Uznała, że to urocza dziewczyna i nic w niej nie świadczy o jakichkolwiek psychicznych udrękach.

Nadeszła wiosna, Teddy i Linda spotykali się prawie co wieczór, aż Vanessa zaczęła z tego podkpiwać. Coraz częściej Linda składała wizyty u nich, a ona żartowała, że jeśli dalej tak będzie, to Linda też musi na zmianę z nimi przygotowywać śniadanie. Vanessa już myślała o tym, że czas

zamieszkać osobno. Nie chciała zrobić Teddy'emu przykrości, ale miała już dwadzieścia trzy lata, marzyła o mieszkaniu połączonym ze studiem fotograficznym i widziała, że Teddy szaleje za Lindą.

- Dlaczego, do diabła, nie oświadczasz się jej, Teddy?

- Zwariowałaś! - warknął na nią przy śniadaniu. - Poza tym twoja jajecznicą dzisiaj jest paskudna. - Ale myśl o małżeństwie już mu przelatywała przez głowę, tylko nie chciał jej o tym powiedzieć.

- Właśnie! - Tak walnęła pięścią w stół, że Teddy podskoczył. - Wyprowadzam się!

- Przestań! - Bardzo go zdenerwowała, nagle jednak zobaczył w jej oczach łagodność i smutek. Z początku się z nim przekomarzała, teraz powiedziała to poważnie.

- Naprawdę, stryju - wyglądała jak mała dziewczynka. Serce mu się ścisnęło.

- Dlaczego? - zapytał z niepokojem. - Czy z powodu Lindy? Myślałem, że ją lubisz. - Był tak wyraźnie rozczarowany, że szybko go pocałowała.

- Bardzo ją lubię, ty niemądry. Po prostu jestem już dużą smarkulą i chcę mieć swoją pracownię i... no... jakieś własne kąty. - Czuła się zdrajczynią, czuła się potworem.

- Zaczęłaś szukać mieszkania?

- Nie, chciałam zacząć za parę tygodni.

- Już? - Blady wycofał się za gazety, a gdy wychodził z domu, widziała, że jest wstrząśnięty.

W pół godziny potem Teddy zadzwonił do Lindy.

- Vanessa chce się wyprowadzić. - Powiedział to tak, jakby oznajmił, że żona chce się z nim rozwieść. Linda uśmiechnęła się do słuchawki, ale zapytała łagodnie:

- Co jej powiedziałaś?

- Właściwie nic, za bardzo byłem zdenerwowany. Jest za młoda i... Co będzie, jeżeli znowu zaczniesz mieć koszmary, jeżeli to wszystko wróci?

- Wtedy zadzwoni do ciebie. Zresztą może tak się nie stanie. Mówiłeś, że jej to minęło.

- Ale mogłaby znów coś zobaczyć. - Denerwował się. Linda się uśmiechała.

- Skarbie, to już dorosła dziewczyna. Twoje piskłę wylatuje z gniazda. Będziesz musiał się z tym zmierzyć.

Jęknął cicho.

- Wiesz, czuję się kompletnym wariatem, ale coś się we mnie wywraca. - Już także się uśmiechał, uspokojony brzmieniem głosu Lindy. Potrzebował teraz Lindy bardziej niż kiedykolwiek dotąd. Od lat Vanessa wypełniała ogromną pustkę w jego życiu, pustką pozostałą po Serenie. Ale teraz po trochu, stopniowo, zajmowała to miejsce Linda, a on na to pozwalał.

- Nie ty jeden tak się czujesz. To się zdarza wszystkim rodzicom. Zwłaszcza ojcom jest przykro, kiedy widzą, że córka dorosła, a matkom jeszcze bardziej przykro, kiedy dzieci opuszczają dom rodzinny. Jesteś ojcem i matką jednocześnie, więc boli cię podwójnie. I wiesz co, doktorze? To zupełnie normalne.

- Słuchaj, omal się nie rozplakałem.

- Oczywiście. Kto by się nie rozplakał? - Tak ładnie postarała się, żeby uznał, że wszystko w porządku i nie jest pomyłony.

- Powiem ci coś. Jesteś pierwsza klasa. Zjedźmy dziś razem obiad. Zerknęła w terminarz.

- Brzmi to zachęcająco. - I wpadła na pomysł. - Może przyjedziesz do mnie, do domu?

Teddy w swoim gabinecie zachichotał.

- No, to pomysł wspaniały, pani doktor Evans. Na konsultację?

- Pewnie, że tak. - Oboje się roześmieli.

W południe spotkali się w jej mieszkaniu i kochali się do godziny pół do trzeciej. Linda budziła w Teddym namiętność, jakiej nie znał przez całe życie. Po raz pierwszy od lat nie czuł się po stosunku ani pusty, ani winny. Wiedział, że duch Sereny ostatecznie zanika.

- Wiesz - w zamyśleniu wodził palcem po piersiach Lindy. - Kiedyś myślałem, że z tym już koniec.

- Z czym?

- Och, nie wiem... - Westchnął. - Tak długo nie byłem zakochany, Lindo. - Popatrzył na nią przeciągle, ze smutkiem. - Tak bardzo kochałem matkę Vanessy, że właściwie nigdy nie chciałem żadnej innej.

- Musiałeś doznać urazu, kiedy on ją zabił. W oczach Teddy'ego zalśniły łzy.

- Sam chciałem zabić tego skurwysyna. Nigdy nie zrozumiem, jak on mógł... i dali mu wyjechać ze Stanów.

- Musiał mieć piekielne plecy.

- Miał. Jego rodzina jest bardzo ustosunkowana. Tak czy owak, nie wiem. Kiedy dawałem z siebie wszystko Vanessie, niewiele zostawało dla kogokolwiek innego. Myślę, że chyba byłem drętwy. - Uśmiechnął się do tej pięknej kobiety leżącej u jego boku i pogłaskał ją lekko.

- Teraz już nie jesteś drętwy.

- Dziękuję, pani doktor. - Pocałował ją i po chwili znów wezbrało pragnienie. Kochali się jeszcze raz, a potem rozstali się, żeby wrócić do pracy z żalem, chociaż za kilka godzin mieli zjeść kolację znowu razem.

W miarę jak Vanessa rozwijała tempo w swoich przygotowaniach do przeprowadzki, spędzali ze sobą coraz więcej czasu. Aż mogłoby się wydawać, że puszczając Vanesę, Teddy ma

wolne ręce, żeby sięgnąć po Linde. Vanessa w końcu przeprowadziła się do samodzielnego mieszkania z pracownią, i od soboty tegoż tygodnia Linda przebywała u Teddy'ego przez cztery dni. Potem Teddy mieszkał przez większą część następnego tygodnia u niej. Wróciła do niego na weekend i została na cały tydzień. Wydawało się, że od siebie odchodzą tylko do pracy i gdy w sierpniu spędzali z Vanessą weekend na Cape Cod, Teddy odchrząknął i nieśmiało powiedział:

- Vanesso, mam wiadomość dla ciebie, serduszeko.

Linda patrzyła na niego z czułością i rozbawieniem. Chwilami był wciąż jeszcze bardzo nieśmiały. Ale także i to w nim kochała.

Vanessa spojrzała pytająco. Napotkała i przytrzymała wzrok Lindy, która jednak szybko odwróciła głowę, nie chcąc psuć niespodzianki.

- Jaką znowu? - Nie zabrzmiało to tak nonszalancko, jak Vanessa chciała. Nagle poczuła dreszczyk podniecenia, miłego oczekiwania.

- Ja... hm... Linda i ja... - Teddy prawie dusił się słowami. Nabrał tchu. -Pobierzemy się.

- Najwyższy już chyba czas na to. - Vanessa się rozpromieniła.

- Kiedy ślub?

- Jeszcze nie ustaliliśmy. Myślimy, że może we wrześniu.

- Czy będę mogła fotografować?

- Oczywiście. - Patrzył na nią badawczo, jak gdyby czekał na jej pozwolenie. Rozpromieniona rzuciła mu się na szyję. Przez tyle lat łączyło ją z nim coś szczególnego, ostatnio to się trochę zmieniło, ale zdrowo dla nich obojga i cieszyła się ogromnie, że on się ożeni z Lindą. Są wprost stworzeni dla siebie. Teddy teraz czterdziestosześcioletni nigdy nie był żonaty, Linda ma trzydzieści dziewięć i nigdy nie była zamężna.

- Tak się cieszę, stryju. - Tulila się do niego, a Lindzie serce rosło, gdy na nich patrzyła. Po chwili ona z kolei znalazła się w objęciach Vanessy.

- To ja zostanę ciocią czy... - Vanessa się zastanowiła. - No, czym ja bym była? Kuzynką? Do licha, chyba mogłabym mieć lepszy tytuł. - Oczy jej dziwnie sposepniały. Omal nie powiedziała, że chce być siostrą, ale coś ją powstrzymało. Teddy i Linda zobaczyli to, ale milczeli.

- Czy mogę być ciocią?

- Pewnie, że możesz. - Linda się uśmiechnęła. - Ale trochę zanadto wybiegasz w przyszłość, Vanesso. Mam przyjemność oznajmić, że to nie będzie ślub pod groźbą dubeltówki.

- Mógłbym postarać się, żeby był taki. - Teddy z uśmiechem objął Linde i Vanessę ramionami i gdy szli tak po plaży rozmawiając o ślubie i weselu, czuł się najszczęśliwszym człowiekiem na świecie.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY PIERWSZY

Uroczystość ślubna w połowie września była uroczą. Na weselu w hotelu Carlyle bawiło się sto zaproszonych osób i Vanessa robiła zdjęcia. A w święto Bożego Narodzenia jej życzenie się spełniło. Po kolacji z indykiem, gdy siedzieli przy kominku, Linda dotknęła ręki męża i spojrzała na Vanesę.

- Muszę, Vanesso, czymś się z tobą podzielić - powiedziała z tajemniczym uśmiechem, w blasku ognia wydając się jej śliczna jak nigdy. Była w jedwabnej sukni pawioniebieskiej, włosy luźno opadały jej na ramiona. Oczy miała niebieskozielone, cerę różaną i wcale nie wyglądała na swoje trzydzieści dziewięć lat.

- Jeżeli to jeszcze coś do jedzenia, Lindo, ja już nie zmieszczę. - Vanessa jęknęła i położyła się na dywanie, uśmiechnięta.

- Nie, to nie do jedzenia. - Linda zachichotała. Teddy się uśmiechał z takim błogim zadowoleniem, jakiego Vanessa nigdy dotąd na jego twarzy nie widziała. -Będziemy mieli dziecko.

- Dziecko? - powtórzyła Vanessa oszołomiona. Przez chwilę to do niej nie docierało. Znow można było niemal widzieć, że ona coś słyszy, jakieś echo. Teddy patrzył na nią, bojąc się, że ta nowina sprawi jej ból. Ale po chwili oczy jej się roziskrzyły, twarz pojaśniała. - Och, Lindo! - Uściskała przyjaciółkę, a potem Teddy'ego, klaskała w ręce z radości.

Nazajutrz Vanessa wyszła i kupiła ogromnego misia dla dziecka, po czym przez pięć miesięcy kupowała niezliczone dalsze prezenty: niedźwiadki panda, żyrafy, srebrne grzechotki, ręcznie szyte kołderki, małe koszulki nocne ze starych koronek, czapeczki i nawet sama zrobiła szydełkiem parę butków. Linda i Teddy byli wzruszeni tymi prezentami. Jednak od czasu do czasu Linda patrząc na Vanesę czuła niepokój. Bo widziała w niej jakieś dziwne napięcie, jak gdyby przeczucie, że coś ma się stać. Nieraz próbowała z nią o tym porozmawiać, ale ona najwyraźniej nie wiedziała, o co chodzi, upierała się, że nic jej nie trapi. A przecież, gdy się patrzyło na Vanesę uważnie, doznawało się jakiegoś nieokreślonego wrażenia, jak gdyby ta dziewczyna w głębi duszy była rozpaczliwie nieszczęśliwa. I to wrażenie się potęgowało, w miarę jak zbliżał się czas narodzin dziecka.

Z drugiej strony Linda wydawała się coraz szczęśliwsza i spokojniejsza, w miarę jak jej brzuch pęczniał. Miała w sobie pogodę ducha urzekającą każdego, kto ją znał. Nawet pacjenci komentowali ze wzruszeniem ten jej, jak ktoś z nich to nazwał, „różany blask Madonny”. Jej błyszczące oczy i ciepły uśmiech mówiły wszystkim, że będzie szczęśliwą matką. W wieku czterdziestu lat czekała na swoje dziecko, o którym marzyła przez całe życie, myśląc już od lat, że

nie jest jej sądzone.

- A tu ni stąd, ni zowąd tyś wszedł do mojego gabinetu - z uśmiechem powiedziała Teddy'emu pewnej nocy - i wiedziałam, że to właśnie ty. Królewicz z bajki. - Promieniała, a mąż się uśmiechał.

- Och, wiedziałaś? Czy dlatego kazałaś mi potem przychodzić na te wszystkie konsultacje?

- Nie kazałam! - udała oburzenie. - Chciałaś przychodzić, żeby rozmawiać o Vanessie.

- No, z początku. - Zamyślił się. - Skoro już o niej mowa, widziałaś się z nią ostatnio? - Linda przytaknęła. - Martwię się o nią. Schudła i wydaje się bardzo zdenerwowana.

- Myślę, że jest zdenerwowana. Staralam się z nią o tym porozmawiać przedwczoraj.

- Coś ważnego? - Martwił się. Ostatecznie w pewnym sensie Vanessa była jego pierwszym dzieckiem i Linda to rozumiała. Odpowiedziała jednak z namysłem:

- Szczerze mówiąc, nie wiem. Myślę, że może nowina o dziecku poruszyła w niej jakieś dawne wspomnienie. Z pewnością ona tego nie wie, ale i tak coś w tym jest dla niej wyraźnie. To musi coś w niej poruszać. - Wzdychała przez chwilę. - I myślę, że ten człowiek, którego ostatnio poznała, też ją zdenerwował.

- Jak to? - Teddy się zdumiał. - Któż to taki?

- Nic ci nie mówiła? Teddy westchnął.

- Ona prawie nigdy nic nie mówi. Kiedy wreszcie się zdecyduje mi powiedzieć, ci faceci już są skreśleni z jej listy. - Zawsze smuciło go to, że Vanessa tak zamyka się przed mężczyznami i jakąkolwiek formą bliższej znajomości. Bliscy jej są tylko on i Linda. Z nimi jest otwarta na swoje i ich uczucia, od innych ucieka jak przerażona sarna. Ma już dwadzieścia cztery lata, a jak wiedział, nigdy nie była zainteresowana fizycznie żadnym mężczyzną. - Kto to taki?

- Chyba agent jakiegoś fotografa, poznała go na przyjęciu. Powiedziała, że jest bardzo miły i najwidoczniej chce być jej agentem. Już to brała pod uwagę, ale potem zaproponował jej randkę i zaczęła się denerwować.

- Spotkała się z nim?

- Tak. Byli tu i tam razem dwa czy trzy razy. Polubiła go. Mieli dużo ze sobą wspólnego i jemu szalenie się podobały jej prace. Mówiła, że on daje jej dobre rady, jak powinna wejść na rynek. Wszystko szło świetnie.

Teddy powiedział ponuro:

- Dopóki jej nie pocałował. Linda dotknęła jego ręki.

- Nie bierz tego tak do serca, Teddy.

- Nie mogę. - Spojrzał na żonę. - Wciąż myślę, że gdybym pokierował tym należycie, gdybym był doskonałym wzorem mężczyzny, ona by się tak mężczyźni nie bała.

- Teddy, ona widziała, jak mężczyzna zabił jej matkę. Bądź rozsądny. Co mogłeś zrobić, czy czego nie zrobić, żeby to zmienić?

Westchnął znowu.

- Wiem, wiem... Ale wciąż myślę... - Patrzył na Linde ze smutkiem. - Nie uważasz, że powinienem być jej powiedzieć?

Linda potrząsnęła głową.

- Nie. Nie uważam. I nie uważam, że powiedzenie jej mogłoby cokolwiek zmienić. Nadal by musiała żyć z tym koszmarem, świadomie albo nieświadomie. Jeżeli kiedyś zaufa mężczyznom, czy bodaj tylko jednemu mężczyźnie, to będzie zaufanie, które przyjdzie samo wtedy, gdy się zjawi ten właściwy. Wciąż jeszcze jest taka wrażliwa, wiesz, Teddy. Vanessa to młoda dziewczyna. Niezupełnie przeciwna miłości. Tylko boi się.

- Więc co z tym facetem? - Teddy poczuł trochę nadziei po przemówieniu Lindy.

- Na razie nic. Przestała się z nim spotykać, dopóki się nie zdecyduje, czy chce, żeby był jej agentem. Mówi, że jeśli się zdecyduje, nie będzie z nim nigdzie bywać prywatnie, ograniczy tę znajomość do spraw czysto zawodowych.

- Identycznie jak ty. - Pocałował ją, a potem głaskał po ogromnym brzuchu. - Czy na pewno to nie bliźniaki?

Roześmiała się.

- Zdaniem mojego doktora, nie. Dzieciak prawdopodobnie ma jak ja duże stopy. - Uśmiechnęła się do męża. - i może już futbolówkę.

- Albo damską torbę. - Oboje się śmieli, a potem Teddy westchnął myśląc o Vanessie. - Przypuszczasz, że ona zacznie znów się z tym facetem spotykać?

- Możliwe.

- Jak on się nazywa?

- John Henry.

- John Henry i jak?

- Tylko tak. John Henry.

- Nazwisko jak imię. Wydaje się oszustem.

- A ty - Linda śmiała się z męża - wydajesz się ojcem. W jednej chwili martwisz się, że ona nigdy już nie pójdzie z nim na kolację, a w następnej uważasz go za drania.

- Widziałas go?

- Nie. Ale Vanessa ma rozeznanie. Jeżeli mówi, że on jest pierwsza klasa, to na pewno jest. Zważywszy na jej opory, jeżeli wreszcie ten jej się podoba, powiedziałabym, że prawdopodobnie będzie zwycięzcą.

- No, zobaczymy.

- Tak, zobaczymy. - Linda popatrzyła na Teddy'ego. - Nie przejmuj się tym zbytnio. Z nią wszystko dobrze, Teddy.

- Mam nadzieję - położył się w łóżku na wznak. - Martwiłem się o nią.

Ale troskę o Vanessę przyćmiewało podniecenie. Zbliżała się przewidywana data narodzin dziecka i Teddy już nie mógł się doczekać. Dostyc się niepokoił tym, że Linda będzie po raz pierwszy rodzic mając czterdzieści lat. Oboje, przecież lekarze, znali niebezpieczeństwo pierwszego porodu w tym wieku, ale jej doktor był raczej pewny, że nie będzie kłopotów.

Coraz częściej jednak przypominały się Teddy'emu ciążę Sereny. Pamiętał, jakim złocistym blaskiem Serena jaśniała przed urodzeniem Vanessy. Pamiętał tamto popołudnie, gdy sam przyjmował jej dziecko w domu w bazie Presidio. Opowiadał o tym Lindzie któreś nocy, a ona uważnie na niego patrzyła. Zawsze, ilekroć mówił o Serenie, twarz miał smutną. Patrząc na niego, mogła sobie wyobrazić tę kobietę, i żałowała, że jej nie знаła. Widziała fotografie Sereny wśród starych rzeczy Teddy'ego - rzeczywiście piękność wprost niewiarygodna. To dziwne, że Vanessa ma tylko figurę matki. Oczy, rysy twarzy, wszystko odziedziczyła po ojcu. Nie Vanessa przypomina Teddy'emu Serenę, tylko oglądanie starych zdjęć. Tylko we wspomnieniach dawnych miłych sercu chwil Serena staje przed Teddym jak żywa.

- Nie bałeś się? - zapytała Linda słuchając, jak Teddy zastał Serenę wijącą się w bólach porodowych na podłodze.

- Byłem w śmiertelnym strachu. - Teddy się uśmiechnął. - Na medycynie zaledwie od czterech miesięcy. O porodach wiedziałem tylko to, co zobaczyłem w kinie. Gorąca woda, dużo pary, a potem doktor wychodzi z pokoju wycierając ręce. A tu nagle ten cholerny film się wywraca i to ja jestem tym doktorem.

- Bardzo cierpiała? - zapytała Linda z odrobiną lęku. W ostatnich tygodniach trochę się denerwowała. Teddy zrozumiał to natychmiast. Pocałował ją i potrząsnął głową.

- Nie, właściwie nie bardzo. Chyba oboje baliśmy się głównie dlatego, że nie wiedzieliśmy, co się dzieje. Ale kiedy tylko zaczęła przeć, wszystko poszło wspaniale.

- Wiesz. - Uśmiechnęła się do męża nieśmiało. - Przykro mi powiedzieć... w moim wieku i z moim przeszkoleniem... - Uśmiechnął się już wiedząc, co ona powie - ...ale ostatnio zaczynam się denerwować.

- Przykro mi powiedzieć, pani doktor, ale to jest zupełnie normalne. Każda kobieta denerwuje się przed porodem. No bo kto by się nie denerwował. To wielkie wydarzenie w życiu i fizycznie zawsze trochę straszne.

- Mnie jednak głupio. Jestem psychiatrą. Powinnam umieć sobie radzić z nerwami. -

Popatrzyła na niego teraz w panice. - A jeżeli nie wytrzymam tego bólu?... Jeżeli skrewię?

- Ależ nie - wziął ją w objęcia i pogłaskał po ciemnych włosach - wszystko pójdzie cudownie.

- Skąd wiesz? - bała się, jak każda z miliona pacjentek, i jeszcze bardziej kochała ją za to.

- Jesteś zdrowa, nie ma z tobą żadnych problemów, no i ja będę przy tobie przez cały ten czas.

Linda tak ogromnie była podniecona swoim pierwszym dzieckiem, że od dnia gdy się dowiedziała, że jest w ciąży, kupowała dla niego wszystko, co zobaczyła. Pokój dziecienny wyglądał jak morze białych angielskich haftów z niebieskimi i różowymi wstążkami. Były tam półki wypełnione lalkami, antyczny pleciony wózek przystrojony białą organdyą, kołyska - prezent od pacjentki, ręcznie szyte kołderki i mnóstwo niemowlęcych ciuszków udzierganych na drutach przez Linde i jej matkę. Kilkanaście razy dziennie wchodziła do tego pokoju, rozglądała się i zawsze jej się wydawało, że czegoś brak. Na pięć dni przed swoim czasem w końcu pojęła, co jeszcze powinno tam być, i ze śmiechem powiedziała o tym Vanessie przy obiedzie.

- Przecież dziecko! - Śmiały się obie z tego objawienia. Linda przerwała praktykę tydzień wcześniej i cieszyła się wolnym czasem w tych ostatnich dniach oczekiwania. - Muszę przyznać, że jestem trochę rozkojarzona. To po części dlatego, że po raz pierwszy od piętnastu lat nie pracuję. Czuję się z tego powodu winna jak diabli. - Ale miała podjąć pracę na pół etatu już w miesiąc po urodzeniu dziecka, więc te pięć wolnych tygodni rzeczywiście było tylko jak urlop zdrowotny.

- Twoi pacjenci poczekają.

- Przypuszczam - Linda westchnęła - ale martwię się o nich.

- Jesteś taka okropna jak Teddy. Zanim cię poznał, załamywał się nerwowo, kiedy szedł na dwutygodniowy urlop. Coś niedobrze z lekarzami. Mają manię prześladowczą.

Linda uśmiechnęła się.

- My lubimy to nazywać sumiennością.

- No, przyznaję, że to podziwiam. Ale ja, kiedy siedziałam przez cały ubiegły tydzień beczynnie, nie robiłam z tego problemu, przeciwnie, napawałam się tym.

- Tak? - Linda się zainteresowała. - Siedziałaś z kimś szczególnym, jeśli to nie jest niedyskretne pytanie?

Oczy Vanessie migotały, gdy odpowiedziała.

- Znowu widziałam się z Johnem Henry. Zdecydowałam, że może być moim agentem.

Jak na Vanessę to duży krok. Linda była prawie pewna, jakie wyjście wybrała. Kiedy ten John Henry już zostanie jej agentem, będzie to dla niej pretekst, że nie może się do niego zbliżyć na płaszczyźnie prywatnej.

- Ciekawa decyzja - powiedziała wymijająco. Vanessa się uśmiechnęła.

- Mówisz jak psychoanalityk.

- Naprawdę? - Linda parsknęła śmiechem. - Przepraszam, chciałam to powiedzieć jak ciotka.

Popatrzyły na siebie serdecznie.

- Jako ciotka też jesteś niezła. Nie, nie wiem. Sporo o tym myślałam i jakoś dziwnie mi się wydaje, że już zanadto jesteśmy sobą zainteresowani, żebyśmy mogła z nim załatwiać sensownie interesy. Dziwne - dodała Vanessa zaintrygowana - ale on mnie pociąga.

- To aż taki szok?

- Dla mnie tak. Przeważnie, Lindo - wzruszyła ramionami - nawet jeżeli któryś mi się podoba, wcale nie chcę pójść z nim do łóżka. Po prostu... po prostu... nie mogę.

- Kiedy zjawi się on przez duże O, będzie inaczej.

- Skąd wiesz? - zapytała Vanessa, nagle bardzo młoda, - Czasami myślę, że jestem nienormalna. To nie znaczy, że nie lubię mężczyzn, tylko... - Szukała słów. - Jest tak, jak gdyby oddzielał mnie od nich jakiś mur, którego nie mogę obejść.

Tak właśnie było, Linda aż za dobrze o tym wiedziała. Miała jednak nadzieję, że kiedyś Vanessa trafi do drzwi albo odważy się przez ten mur przedostać.

- Nie ma takich murów, żeby nie dało się wspiąć na nie, moja złota. Tyle że niektóre wymagają dłuższej wspinaczki. Myślę, że to może zależeć od chęci.

- Nie wiem - powiedziała Vanessa bez przekonania. - Nie w tym rzecz... chyba ja po prostu nie wiem, jak zacząć i co zrobić... Ale - westchnęła cicho - to idiotyzm. John chyba rozumie.

- Ile on ma lat?

- Dwadzieścia siedem.

Szkoda, że nie starszy - pomyślała Linda. Nie bardziej dojrzały.

- Ale wydaje się bardzo poważny jak na swój wiek. Był przez cztery lata żonaty. Pobrali się, ledwie wyszedł z college'u. Miłość z dzieciństwa i w ogóle. Ona zaszła w ciążę, więc się pobrali, kiedy miał osiemnaście lat. Ale - Vanessa się zawahała, pojmując, że popełniła straszną gafę. Podniosła wzrok na Lindę. - Nieistotne. To długa historia.

- Chciałabym ją usłyszeć.

I co więcej, Vanessa chciała Lindzie opowiedzieć. Musiała zrzucić ciężar z serca, a właśnie z Lindą zawsze mogła mówić otwarcie.

- Przykro mi, kochanie, to okropna historia. Ale może, skoro jesteś doktorem... Ich dziecko urodziło się z wadą. Jakąś fatalną, wrodzoną. Myślę, że oni pozostawali ze sobą z powodu tego dziecka. To było straszne, kiedy mi o tym opowiadał. Przez pierwszy rok na zmianę siedzieli w

szpitalu, a potem mieli tego synka w domu, aż... - przełknęła ślinę - umarł. O ile wiem, odbiło się to strasznie na ich małżeństwie. Ledwie umarł, rozeszli się i koniec. Pięć lat temu. Myślę, że to nim wstrząsnęło na długi czas.

Linda słuchała też wstrząśnięta, chociaż wady wrodzone nie były dla niej niczym nowym, ale ku uldze Vanessy nie okazała żadnego wrażenia.

- Zrozumiałe, tak samo jak ich rozwód. W wielu przypadkach małżeństwo nie może przetrwać takiej tragedii.

Vanessa przytaknęła.

- Przepraszam, że ci to opowiedziałam teraz. Zaczęłam o tym mówić bez zastanowienia...

- Nie szkodzi. - Linda dotknęła jej ręki. - Jestem dużą dziewczyną, wiesz. I nawet doktorem.

- Uśmiechnęły się do siebie.

- Ale naprawdę dziwne, że ja go tak bardzo lubię. Czuję się przy nim dobrze, jak gdyby rzeczywiście mnie rozumiał.

- I tak cię to zdumiewa?

- Tak. - Vanessa znów cicho westchnęła. - Wszyscy inni zawsze chcieli mną rządzić. Podrywacze, jeden wieczór i już do łóżka. Spróbowałam wyjaśnić Johnowi, że to nie dla mnie, i okazał zrozumienie. Powiedział, że po śmierci synka i rozwodzie przez dwa lata nie sypiał z żadną. Po prostu nie chciał. Poza tym myślał, że coś z nim nie jest tak, jak trzeba, ale powiedział mi, że się mylił, bo tylko był odrętwiały, czy coś tam.

Linda potwierdziła.

- Ma rację. To przypadek bardzo pospolity.

- Wiesz, powiedział, że może jakieś zdarzenie w moim życiu sprawiło, że mam takie zahamowania. - Z uśmiechem Vanessa wzruszyła ramionami. - Ale ja mu powiedziałam, że jestem wariatką chyba od urodzenia. - Roześmiała się, jakoś jednak głucho i patrzyła na Linde niemal pytająco.

Linda powiedziała bardzo spokojnie:

- Myślę, że musiałaś doznać ogromnego urazu, kiedy twoja mama umarła, i była ta sprawa o opiekę nad tobą. Nigdy nie wiadomo, jak takie urazy przejawiają się później.

- Tak. - Vanessa się rozrzewniła. - Niektórzy w rezultacie zaczynają się jąkać. Ja... ja jestem zimna. - W oczach miała smutek, gdy znów spojrzała na Linde, ale Linda potrząsnęła głową.

- Niekoniecznie. Nawet poważnie wątpię. Jeszcze nigdy z nikim się nie kochałaś, Vanesso. Jeszcze nie wiesz, jaka jesteś.

- To fakt. Jestem nijaka - powiedziała Vanessa rozczarowana sobą.

- Daj sobie czas. - Linda jej współczuła. - Wydaje się, że ten John to przyzwoity człowiek.

Może będzie dla ciebie coś znaczył.

- Może. - Vanessa znowu westchnęła. - Jeżeli do tego dopuszczę.

Nie wyglądało na to, żeby była nieświadoma swoich problemów. Zastanowiła się nawet, czy nie zwrócić się do psychoanalityka, co Linda przyjęła z zadowoleniem. Może ona ostatecznie to wszystko z siebie wyrzuci. Może ten czas już nadszedł. Wieloletnia blokada w końcu zaczęła jej przeszkadzać.

Przez dwie noce Linda miała kłopoty z zaśnięciem. Dziecko się osunęło i było tak ciężkie, że chodziła z trudem. Zaczęły się upały, czuła się okropnie, coś ją pędziło z miejsca na miejsce. Pewnego dnia wstała o piątej rano, krzyż ją bolał, miała zgagę, wiedziała, że już nie zaśnie, więc zrezygnowała i poszła do kuchni, zaparzyła sobie kawę. Po kawie chwycił ją skurcz, i gdy Teddy wstał o siódmej rano, miotła się jak lew w klatce.

- O której wstałaś, kochanie? - Patrzył zdumiony, że ona, wcale nie zaspana, jest taka pracowita. W pokoju dzieciennym już od szóstej składała na nowo bieliznę, sprawdzała w walizce rzeczy spakowane dla dziecka. Od miesięcy tak się nie krzątała, więc nagle widząc jej dziwną minę, przyjrzał jej się bacznie.

- Coś niedobrze? - zapytał jak najniedbalej, gdy przekładała rzeczy na toaletce.

- Dogodziłam sobie tą cholerną kawą, mam okropne skurcze. - I z twarzą ściągniętą, lekko pomacała brzuch. Nagle zrozumiała, co się dzieje. Spojrzała na Teddy'ego zdumiona, uśmiechnęła się od ucha do ucha. - Boże, ja chyba rodzę.

- O której wstałaś?

- Koło piątej, nie mogłam spać, nie mogłam uleżeć, więc przyszłam tutaj, żeby czymś się zająć.

Uśmiechnął się do niej.

- Jak na panią doktor, nie jesteś zbyt mądra. Kiedy skurcze się zaczęły?

- Koło wpół do szóstej. - Ale były takie lekkie, nie zdawała sobie sprawy, że to przedporodowe.

- Może zadzwoń do swojego doktora.

- Już? Przytaknął.

- Już. - Miała czterdzieści lat. To nie przelewki, nie zamierzał czekać do ostatniej minuty. Uparł się, żeby zaraz ją odwieźć do szpitala, chociaż raczej miała jeszcze czas. Ale gdy wzięła prysznic, włożyła świeżą sukienkę i pocałowała go w drzwiach, cała ta sprawa wydawała się przygodą.

- Kiedy tu wrócimy, będziemy mamą i tatą.

Uśmiechnął się na myśl o tym, pocałował ją tęsknie. Od tygodni nie mogli się kochać, był

głodny jej ciała.

- Lepiej ruszaj się już stąd, pani doktor Evans, bo cię zgwałcę tutaj w hallu. - Ledwie jednak to powiedział, zaczęły się pierwsze bóle i zdumiona wydała cichy okrzyk, zanim ją podtrzymał obejmując ramieniem. - Myślę, kochanie, że musimy już jechać. Ostatni noworodek, którego przyjąłem na ten świat w domu, zdarzył mi się dwadzieścia pięć lat temu. Nie powiem, żebym się palił do przeżywania tego na nowo.

- Tchórz. - Uśmiechnęła się, patrząc na niego.

W szpitalu była bardzo podniecona, bóle zaczęły powtarzać się regularnie. Uśmiechała się do wszystkich, wprost kipiała tym podnieceniem i energią. Teddy pomógł jej rozpakować torbę z zaopatrzeniem potrzebnym przy stosowaniu metody Lamaze, potem ją przygotowano i gdy wrócił do niej, leżała w różowym szlafroku szpitalnym na łóżku, miała lizak między zębami, włosy związane z tyłu różową wstążką.

- Dobry Boże, żono, wyglądasz, jakbyś grała główną rolę w filmie, a nie rodziła dziecko.

Dumna z siebie, poczuła znowu bóle.

- Czy nie tak wyglądają kobiety, które rodzą?

- Nie wiem. Zapytaj eksperta.

Ten doktor właśnie przyszedł. Zbadał Linde i oświadczył, że wszystko idzie wspaniale. Niech próbuje urodzić w sposób naturalny, chociaż jeśli zechce, on jej zaaplikuje zastrzyk przyspieszający. Ale oboje, Linda i Teddy zgodzili się, że dla dziecka lepiej bez tego.

W kilka minut później bóle nabrały tempa, a w godzinę później Teddy już jej mówił, żeby lekko sapała. Oczy miała trochę szkliste i nalot potu na czole, włosy kleiły jej się do twarzy. Ścisnęła rękę Teddy'ego, gdy bóle nią szarpały.

- To nie takie łatwe, jak myślałam.

Patrzyła na niego niespokojnie i zacisnęła zęby, bo znów się zaczęło, aż musiał na nią wrzasnąć, żeby równo oddychała. Gdy bóle ustępowały, wycierał jej czoło wilgotną ściereczką, dawał jej lód, trzymał ją za rękę i mówił, że jest cudowna. Pielęgniarki przychodziły, wychodziły, nie szczędziły słów otuchy, chwaliły ją spisującą się nadzwyczajnie, i pod drzwiami na korytarzu plotkowały o nich, dwojgu lekarzach. Widziały już poród metodą Lamaze przedtem, a już w tym roku, tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym pierwszym było to dosyć rozpowszechnione, ale rzadko im się zdarzało widzieć takie oddanie. Oni oboje, Linda i Teddy, pracowali ciężko, Teddy pomagał Lindzie wprost zadziwiająco.

Następna faza trwała do późnego popołudnia, o godzinie szóstej Linda wydawała się zupełnie wyczerpana. Twarz miała spustoszoną bólem, włosy przyklejone do twarzy i karku, usiłowała rozpaczliwie nie kwilić i nagle, gdy znów ją szarpnęły skurcze, krzyknęła i rzuciła się

ku Teddy'emu.

- Nie mogę. Nie mogę... nie mogę, powiedz im, żeby mi coś dali... o Boże... Ale on ją zagadał. Zgodnie z prawdą mógł powiedzieć, że wszystko idzie dobrze. O całe niebo to było lepsze niż drugi poród Sereny. Gdy przyleciał do Londynu w tamten poranek, wiedział, że Serena dosłownie umiera. Zostawili ją na tak długi czas, że serce jej przy tym wysiłku w końcu by przestało bić i dziecko by także zmarło, gdyby nie zaczął działać szybko. Ale w przypadku Lindy było zupełnie inaczej. Oczywiście, cierpiała straszliwie, ale wszystko się działo w tempie umiarkowanym, więc jej nie pokonywało. Poród odbywał się należycie. Po trzynastu godzinach rozwarcie było na osiem centymetrów, mogła już lada chwila przeć. Ale oboje wiedzieli z wykładów metody Lamaze, że teraz zaczyna się najtrudniejsza część porodu. Następne dwie godziny były męką. Teddy nie odchodził od Lindy, ścisnął ją za rękę, ponaglał ją, oddychał razem z nią, przytrzymał przed nią torbę do oddychania, gruchał do niej cicho, jak gdyby była niemowlęciem, aż nagle wrzasnęła i z wyrazem triumfu na twarzy zaczęła przeć. Starał się ją powstrzymać, ale doktor szybko przyszedł, dał znak pielęgniarce i bezzwłocznie przetoczyli jej łóżko do sali porodowej. Przenieśli ją na stół, nogi wsunęli w strzemiona i w pięć minut później parła już na dobre. Cały personel ją dopingował, gdy Teddy trzymał ją za ramiona, przy czym pot spływał mu z twarzy, z pleców i rąk nie mniej obficie, niż pociła się ona. Linda nigdy w całym życiu nie pracowała tak usilnie. Teddy'emu się wydawało, że sam prze razem z nią.

- No, przyj! - wszyscy wołali chórem.

Linda, z twarzą czerwoną z wysiłku, stękała. Wydawało się, że to będzie trwać wiecznie, a przecież nagle doktor się uśmiechnął i podniósł rękę, żeby oznajmić.

- Jest główka... no, Lindo... przyj... no... widzę włoski... No przyj!

Linda znów się wysiliła i dziecko przesunęło się o jeszcze jeden cal, małe ciemię prawie już było na zewnątrz. Teddy czuł piekące łzy w oczach, gdy patrzył w lustro. Mając czterdzieści siedem lat, zostaje ojcem swego pierworodnego. W tym momencie kochał Linde ponad wszystko w życiu.

- No, najdroższa... no, możesz to zrobić... och... dobrze... no... jeszcze.

Parła niemal do pęknięcia i raptownie zachłysnęła się, jęknęła. Główka dziecka się wyłoniła cała, w sali rozległo się pełne wigoru „Uuuu”. Doktor się uśmiechnął, pielęgniarki się roześmiały, a Linda i Teddy uśmiechając się i śmiejąc razem z nimi, jednocześnie się rozplakali.

- Och, jakie ono jest? - Linda spróbowała się uśmiechnąć...

- Chłopiec! - wykrzyknął doktor triumfalnie. - Wspaniały, duży piękny chłopiec!

Linda i Teddy przez łzy popatrzyli na synka. Linda ze śmiechem pocałowała męża, on zgarnął jej włosy z czoła, patrzył na nią z bezgranicznym podziwem.

- Jesteś najpiękniejszą kobietą, jaką w życiu widziałem.

- Och, Teddy. - Uśmiechnęła się przez łzy. - Kocham cię.

- Ja też cię kocham. Och, patrz na niego... - Nie posiadał się z radości. Noworodek był wprost doskonały.

- Osiem funtów dwanaście uncji. Brawo, pani Fullerton. - Doktor bardzo zadowolony przekazał dziecko ojcu.

- A ty myślałaś, że będą bliźniaki. - Teddy uśmiechnięty przypatrzył się synowi i dał go żonie. - Proszę, twój chłopak, mamó.

I znowu oboje mieli łzy w oczach, gdy ona trzymała ich dziecko.

To był wieczór pełen rozradowania i podniecenia. Wrócili do separatki i Linda nieomal miała u ramion skrzydła. Wstała z łóżka i poszła korytarzem, żeby przez szybę sali noworodków popatrzeć na dziecko.

Teddy ją podtrzymywał, wyglądali oboje jak najdumniejsi rodzice pod słońcem.

- Prawda, Teddy, że jest piękny?

- No pewnie. - Nie mógł oczu oderwać od syna. - Jak mu damy na imię? Uśmiechnęła się.

- Myślałam, że moglibyśmy nazwać go Bradford ku pamięci twojego brata. Teddy poczuł kulę w gardle. Przytulił żonę, milcząc. Wiedział, że więzi, jaka teraz utworzyła się między nimi, nic nie przetrnie. Czekali pół życia na to, by się spotkać, i spotkali się, gdy myślał, że zawsze będzie bolał nad utratą Sereny. Ale Serena była jego marzeniem, kochał ją nieosiągalną, rzeczywiście nie należącą do niego. Serena należała do Brada, a potem do Vasiliego, do niego przecież nigdy. A ta kobieta, która dzisiaj urodziła mu syna, jest jego, tak jak on jest jej, i nikt mu jej nie zabierze. Powoli wracali do separatki Lindy. Wydawało się, że duch Sereny di San Tibaldo cicho odchodzi bezpowrotnie.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY DRUGI

- Chłopiec? Hurra! Och, Teddy, to super! - Teddy zadzwonił do Vanessy o wpół do dwunastej w nocy. - Och, to przepięknie! - wykrzykiwała w upojeniu i dopiero po chwili zapytała z niepokojem: - Jak Linda to przeszła? Było ciężko? - Vanessa zawsze się denerwowała, gdy mówiło się o porodach, i zawsze oświadczała, że nie chce rodzić dzieci. 'Woli adoptować. John Henry się z nią zgadzał. Chciał następnym razem wiedzieć, co dostaje. Nie wyobrażał sobie, że mógłby znowu przeżyć udrękę ze zdeformowanym niemowlęciem, i przerażała go groza czekania przez dziewięć miesięcy na to, by stwierdzić, czy dziecko jest normalne. A przecież tak jak Vanessa chciał mieć dzieci.

Ale Teddy odpowiedział, wyraźnie uradowany:

- Nie, ona jest po prostu fantastyczna. Chyba żadna nie przeszłaby tego lepiej. I wyglądała ślicznie. - Omal znów się nie rozplakał. - Poczekaj, aż zobaczysz dzieciaka!

- Już nie mogę się doczekać! Jak mu na imię?

- Bradford, po twoim ojcu. To pomysł Lindy. Chyba będziemy go nazywać Brad. Vanessa uśmiechnęła się do słuchawki.

- Wzięłaś sobie panią pierwsza klasa, Teddy.

- Wiem. - Powiedział to tak, jakby nie mógł uwierzyć w swoje szczęście. -Ona jest taka wspaniała, Vanesso. Powinnaś była ją widzieć.

- Będę ją widziała jutro z samego rana.

- Świetnie. Mogłabyś przyprowadzić swojego przyjaciela, Johna Henry. Może on też chciałby zobaczyć małego.

Vanessa zrozumiała i zachichotała głośno.

- Nie wiem, czy będzie miał czas. - Ale wiedziała, że on by nie mógł. Są pewne rzeczy, które wciąż jeszcze go rozstrajają, między innymi oglądanie noworodków w szpitalu. Już jej powiedział, że to ponad jego siły. Zobaczy dziecko jej stryja później, już w domu. Przyjęła to ze zrozumieniem. - Prawdopodobnie przyjdę sama, Teddy. Nie chcę dzielić się tym dzidziusiem z nikim, nawet z tobą.

Teddy się roześmiał, ale gdy Vanessa przyszła do szpitala nazajutrz rano i zobaczył ją wychodzącą z windy na piętrze oddziału położniczego, przeraził się, tak była blada.

Obserwował ją. Po wyjściu z windy wydawała się zdezorientowana. Z uśmiechem ruszył ku niej, ale się zatrzymał. Była prawie szara. Chciał powiedzieć coś Lindzie, nie zdążył jednak. W tej samej chwili Vanessa stanęła przy nim. Oczy miała wielkie, szare, przerażone.

- Dobrze się czujesz, serduszko?

- Tak, to tylko ból głowy czy coś. Pracowałam wczoraj w ciemni do późnej nocy i myślę, że to dlatego. - Uśmiechnęła się, ale jakoś nieprawdziwie, po czym zmusiła się do okazania większej wesołości. - Gdzie mój brat stryjeczny? Aż piszczę, żeby go zobaczyć.

- U swojej matki.

Teddy patrzył z uśmiechem, szedł jednak za Vanessą do separatki nadal zaniepokojony. Linda siedziała na łóżku i kończyła karmić synka. Vanessa przystanęła, wyciągnęła z torby aparat fotograficzny, pstryknęła kilka zdjęć. Dopiero potem podeszła, z wielką powagą popatrzyła na Linde i bez słowa przeniosła wzrok na dziecko. Błada, wielkooka, stała zapatrzona i ręce jej się trzęsły.

- Chcesz go potrzymać? - Usłyszała głos Lindy z bardzo daleka. Przytaknęła niemo i wyciągnęła ręce. Usiadła w fotelu trzymając ten maleńki tobolek. Dziecko zasnęło po karmieniu i teraz w jej objęciach spało rozkosznie. Przyglądała mu się długo, aż Teddy i Linda uśmiechnęli się do siebie porozumiewawczo.

W pewnej chwili jednak, gdy Linda nagle spojrzała na Vanessę, łzy spływały strumieniami po rozdzierająco smutnej twarzy dziewczyny. Zanim Teddy się odezwał, Vanessa zaczęła cicho mówić:

- Jest taka piękna... jak ty, mamusiu. - Mówiąc to, nie patrzyła na Linde zneruchomiałą, niespokojną zarówno o nią, jak o swoje dziecko. - Jak jej damy na imię? -i cicho wygruchała: - Charlotte... Charlie. Chcę ją nazwać Charlie. - Teraz podniosła wzrok na Linde, ale nie widziała nikogo wokół siebie. Kołysała dziecko delikatnie, zaśpiewała cicho, a Teddy i Linda bacznie ją obserwowali. Głęboko zakorzeniony instynkt macierzyński nakazywał Lindzie zabrać synka z rąk Vanessy, ale wiedziała, że trzeba go teraz Vanessie zostawić.

- Prawda, Vanesso, że ona jest ładna? - zapytała szeptem. Teddy z bojaźnią patrzył, co się dzieje. - Lubisz ją?

- Kocham. - Vanessa patrząc na Linde widziała swoją matkę. - Ona jest moja? Ona jest moja? Prawda, mamusiu? Wcale nie musi być jego. Jest nasza. On na nią nie zasługuje.

- Dlaczego?

- Dlatego że jest taki podły dla ciebie i... to, co wyprawia... te narkotyki... i nie wraca... i stryj Teddy powiedział, że o mało nie umarłaś. - Wydawała się udręczona, ale zarazem pełna ulgi, gdy to przeżywała na nowo. - Nie umarłaś, bo stryj Teddy przyjechał i wyjął bobasa na świat. - Wzdrygnęła się nagle sobie przypominając widok matki bliskiej śmierci, z nogami w strzemionach, bezradnej, przypasanej do stołu. - Po co oni ci to zrobili? Po co?

Linda instynktownie odpowiedziała.

- Po to, żebym mogła ją urodzić. Po prostu. Nie chcieli mnie skrzywdzić.

- Ale skrzywdzili, prawie dali ci umrzeć... a on był...

- Gdzie?

- Nie wiem. Mam nadzieję, że odszedł na zawsze. Nienawidzę go.

- Czy on ciebie nienawidzi?

- Nie wiem... - Vanessa się rozplakała. - Nie obchodzi mnie... - Jeszcze pokołysała dziecko i jak gdyby tym zmęczona, oddała je Lindzie. - Proszę, myślę, że ona chce, żebyś ją już wzięła.

Linda przytaknęła, wzięła śpiące niemowlę i dała je Teddy'emu, ruchem głowy wskazując drzwi. Teddy wyszedł z dzieckiem natychmiast i po chwili wrócił już sam. Patrzył, jak ten dramat się rozwija, przerażony, ale zawsze wiedział, że to kiedyś będzie musiało nastąpić. I przecież lepiej, że nastąpiło teraz, tak od razu i przy Lindzie, która umie pokierować sytuacją.

- Czy on ciebie nienawidzi, Vanesso?

- Nie wiem... Nie wiem... - Vanessa zerwała się z krzesła i podeszła do okna, wyjrzała przez okno nie widząc. Po chwili odwróciła się do Lindy. - On nienawidzi ciebie... nienawidzi ciebie... bił cię... och, mamusi... musimy uciekać... z powrotem do Nowego Jorku, do stryja Teddy'ego. - I znowu sposepniała, zapatrzyła się gdzieś przed siebie, pełna zgrozy. - Z powrotem do stryja Teddy'ego... - Stało się to monotonnym śpiewem nieomal. - Z powrotem do Nowego Jorku... och, nie... och, nie... - Rozejrzała się gorączkowo, przeniosła wzrok z Lindy na stryja, a Teddy zląkł się, że może już nigdy nie będzie normalna, nie będzie sobą. - Och, nie! Och, nie! - I nagle lament. - On ją zabił! Ten człowiek... zabił moją mamusię! - Szlochając wyciągnęła ręce do Lindy. - Zabił ciebie... zabił ciebie... zabił ciebie... -i nagle spojrzała na Linde tak, jakby zobaczyła ją dopiero teraz i już nie miała twarzy małej dziewczynki jak jeszcze przed chwilą. To już była sterana młoda kobieta. - Ten człowiek... - szepnęła ochryple, już wracając do siebie - ten na fotografii w gazecie, wtedy przy śniadaniu... on zabił moją matkę. - Wlepiała oczy w Teddy'ego już przytomnie i mówiła dalej, jak gdyby budziła się ze snu i usiłowała sobie ten sen przypomnieć. - Potem przyszła policja, zabrali go, a ja -popatrzyła na nich oboje z zastanowieniem - trzymałam Charlie. - Przymknęła oczy i trzęsła się. - Charlie. Tak się nazywała... to maleństwo, które mama urodziła w Londynie... I zabrali mi ją w sądzie... - Rozszlochała się głośno, urywanie. -I kazali mi mieszkać u Grega i Pattie... - Spojrzała na Teddy'ego, wyciągnęła do niego rozwarłe ramiona. - A potem zamieszkałam u ciebie... ale nie wiedziałam... nie pamiętałam, aż... - spojrzała na Linde wstrząśnięta, zrozpaczona - zobaczyłam dziecko... i myślałam, że... - przeniosła wzrok z Lindy na Teddy'ego. - Nie wiem, co myślałam...

W końcu Linda jej pomogła.

- Myślałaś, że to Charlie.

- Czy to wszystko prawda? - zapytała Vanessa. - Wydaje mi się, że to mi się śniło.

Linda spojrzała na męża.

- To prawda. Zdławiłaś to w sobie i przez lata to czekało, żeby się wydostać.

Vanessa się przeraziła.

- Czy jest coś więcej? Jeszcze coś się stało?

- Nic więcej - szybko odpowiedziała Linda. - Przypomniałaś sobie już wszystko. I koniec na tym, Vanesso. To wyszło. - Teraz pozostawało Vanessie tylko nauczyć się z tym żyć. Sprawa jednak niełatwa. Patrzyła na dziewczynę uważnie. Taki ogromny wstrząs. - Jak się czujesz?

Przez chwilę Vanessa miała twarz bez wyrazu.

- Jestem przerażona... pusta... smutno mi. - Dwie wielkie łzy stoczyły jej się po policzkach. Zwiesiła głowę i znów szlochała. - On zabił moją matkę. - Trzęsła się cała. - Kiedy weszłam do pokoju, mama... mama leżała tam... oczy otwarte... jego ręce na jej szyi i wiedziałam, że nie żyje... Wiedziałam... - Nie mogła mówić dalej. Zapłakaną, Teddy wziął ją w objęcia.

- Och, dziecinko... tak mi przykro.

- Dlaczego? Dlaczego on to zrobił? - Po szesnastu latach padło to pytanie.

- Dlatego że był obłąkany. I może dlatego że był narkomanem. Nie wiem. Myślę, że ją kochał, ale miał straszne zaburzenia. Porzuciła go, wydawało mu się, że nie może bez niej żyć.

- Więc ją zabił. - Po raz pierwszy Vanessa powiedziała to z zawziętością, a potem wstrząśnięta podniosła wzrok na stryja. - Co się stało z Charlie? Dali ją jemu?

- Nie, jego zamknęli w zakładzie dla psychicznie chorych. Na jakiś czas, przynajmniej. Twoją siostrę dano pod opiekę jego bratu. To chyba przyzwoity człowiek. Był wówczas tak samo rozstrojony jak ja i zależało mu na Charlotte. - Teddy uśmiechnął się smutno. - Ciebie też bardzo lubił. Pamiętasz go choć trochę?

Potrząsnęła głową.

- Czy byłeś z nim w kontakcie przez te wszystkie lata? Teddy westchnął.

- Nie. Sędzia to odradzał. Powiedział, że wasze drogi, twoja i Charlotte, definitywnie się rozeszły. Nie wiem, jak Arbus, ale ja bałem się o ciebie, bo tyś zdławiła w sobie pamięć o tym wszystkim, nie chciałem dla ciebie żadnych wstrząsających niespodzianek.

Vanessa przytaknęła ze zrozumieniem. Po chwili rzekła cicho:

- Ona już ma prawie szesnaście lat. Ciekawa jestem, jak wygląda. - Usta jej znów drżały. - W niemowlęctwie była bardzo podobna do mamusi.

Teddy'emu coś przyszło na myśl, ale uznał, że jeszcze jest za wcześnie, żeby to zaproponować. Może z czasem, gdy Vanessa wszystko sobie przyswoi, mogliby pojechać do Grecji, poszukać Andreasa Arbusa. Vasili, jak wiadomo było z tamtej gazety, umarł dwa lata temu.

Oczywiście to właśnie tamta fotografia i wywołane fotografią koszarne sny Vanessy doprowadziły go do Lindy. Uśmiechem podziękował żonie. Jak pięknie Linda pomogła Vanessie.

- Przepraszam, Lindo, że wszystko zepsułam. Przyszłam tu zobaczyć bobasa, cieszyć się razem z wami, a tymczasem zwariowałam. - Vanessa ponuro wytarła nos. Czula się bardzo dziwnie, jak po biegu dziesięciomilowym albo po wspinaczce wysoko w górach. Nad radością przeważało wyczerpanie.

Linda z matczyną serdecznością objęła ją ramieniem.

- Nie zwariowałaś. Zrobiłaś coś bardzo zdrowego. Ostatecznie sięgnęłaś w przeszłość i otworzyłaś drzwi przez tyle lat zatrzęsnięte. Twoja psyche ci pozwoliła, bo byłaś już gotowa, twój umysł wie, że już możesz sobie z tymi wspomnieniami poradzić. Potrzebowałaś na to szesnastu lat i to było trudne, jak wszyscy troje wiemy.

Vanessa tylko potakiwała przez łzy. Linda spojrzała na Teddy'ego tajemniczo. Zrozumiał.

- Teraz cię odwiozę do domu, serduszek, żebyś trochę wypoczęła. - Odciągnął ją delikatnie od Lindy. - Chcesz, żebym cię odwiózł?

Usiłując się uśmiechnąć, Vanessa odpowiedziała smutno:

- Chciałabym, ale czy nie wolisz zostać tu z Lindą?

- Wrócę do niej później.

- Zresztą i ja muszę trochę wypocząć. - Linda uśmiechnęła się do nich obojga, ale w oczach miała uśmiech specjalny dla męża. Odkąd współpracowali przy urodzeniu swojego dziecka, kochała go jeszcze bardziej niż przedtem. Już czuli oboje, że to dziecko wytworzyło nową więź między nimi. - Możecie sobie odpuścić. Brad i ja za parę dni wrócimy do domu, będzie mnóstwo czasu, żebyśmy byli wszyscy razem. - Jeszcze raz pocałowała Vanessę i zapewniła ją, że jej uczucia są normalne i zdrowe, że powinna im pofolgować, dopuszczać wspomnienia, płakać nad stratą i smucić się, czuć żal i ból, aż w końcu rozprawi się z tym wszystkim raz na zawsze. Na zakończenie łagodnie dodała: - Myślę, że coś o tym mogłabyś powiedzieć swojemu przyjacielowi Johnowi.

Ale Vanessa zapytała wstrząśnięta:

- Jak mogę mu powiedzieć? Pomyśli, że mam źle w głowie.

- Nie, on tak nie pomyśli. Wypróbuj go. Sądząc z tego, co mi mówiłaś, na pewno się nie rozczarujesz.

- Co? Mam tak po prostu uraczyć go opowieścią, jak po szesnastu latach sobie przypomniałam, że moja matka została zamordowana? Nawet mnie się to wydaje obłądne.

Pomimo jej rozgoryczenia Linda była stanowcza.

- Musisz zrozumieć, że to nie jest obłądne. To, co zdarzyło się dzisiaj, jest najbardziej

normalnym zdarzeniem w twoim życiu w ciągu tych twoich dwudziestu pięciu lat. I temu, że twoja matka została zamordowana, Vanesso, przecież nie jesteś winna. Nie mogłaś temu zaradzić. To nie rzutuje na ciebie ani nawet na nią. Stało się. Jej mąż był najwyraźniej niespełna zmysłów, kiedy to zrobił. A ty przecież nie mogłaś go powstrzymać.

- Był niespełna zmysłów na długo przedtem. - Vanessa już wyraźnie przypominała sobie i znów nienawidziła Vasiliego. - Kochałeś moją mamę? - Zwróciła się nagle do stryja. Pytanie szorstkie i bolesne. Teddy wiedział, że Serena go kochała, ale nie taką miłością, jaką on kochał ją. Przytaknął powoli.

- Tak. Byłem kimś, na kim mogła polegać. Byłem dla niej jak brat, jak bardzo serdeczny przyjaciel. - Spojrzał na żonę. Dotychczas tego Lindzie nie mówił, teraz chciał, żeby wiedziała.

Linda patrzyła na niego łagodnie i bardzo czule.

- Dlaczego nie pozwolili ci zatrzymać Charlie? - Vanessa dręczyła się tym już od półgodziny.

- Dlatego że to nie moja krewna. Jej stryj chciał się nią opiekować i miał do tego prawo.

- Czy ty byś ją wziął? - Musiała to wiedzieć. Nagle zapragnęła wiedzieć wszystko o rozdzieleniu jej z siostrą. Jak gdyby teraz koniecznie potrzebowała odpowiedzi na wszystkie „dlaczego”.

- Ja bym ją wziął. Bardzo chciałem.

Vanessa przytaknęła, po chwili wyszli z separatki. Teddy zabrał ją do swego domu, gdzie położyła się na kanapie i rozmawiali jeszcze przez godzinę o jej matce. Teddy opowiedział, jak po raz pierwszy zobaczył Serenę, jak przyjmował Charlie na świat w Londynie i jak Serena zakochała się w Vasilim. Aż w końcu Vanessa chyba już nie mogłaby wchłonąć więcej, zamknęła oczy i zasnęła na tej kanapie. Teddy siedział przy niej przez cały dzień, kilkakrotnie dzwoniąc do szpitala do Lindy. Martwił się o Vanesę, ale Linda go uspokajała: wszystko poszło bardzo dobrze. I gdy Vanessa obudziła się po czterech godzinach, zobaczył, że ona czuje się już lepiej. Była bardzo smutna, jak gdyby dopiero teraz okryła się żalobą, w której nie odważyła się pograć przed laty. Pamiętał tę zastygłą twarzyczkę, te puste oczy, a teraz w dorosłej dziewczynie widział całą rozpacz, jaką nosiła w sobie pogrzebaną przez tyle lat.

O piątej zdecydowała się wrócić do swojego mieszkania. Była umówiona z Johnem Henry i nagle do niego zatęskniła.

- Będzie dzisiaj parszywie czuł się w moim towarzystwie, ale rzeczywiście nie chcę tego spotkania odwołać. - Popatrzyła na stryja. - Dziękuję ci, Teddy. - Oczy jej napełniły się łzami. - Za te wszystkie lata.

Przytulili się do siebie i Teddy też cicho płakał. Jak gdyby tego dnia we dwoje ostatecznie

pochowali Serenę. Dla Teddy'ego był to drugi jej pogrzeb, będący teraz już tylko wspomnieniem, a przecież prawie nie do zniesienia.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY TRZECI

Linda z dzieckiem wróciła ze szpitala w trzy dni później i Vanessa przyszła do nich wyglądając o wiele lepiej niż przed kilkoma dniami. Oczy jej błyszczały, była już nie tak blada, chociaż jeszcze mizerna i zmęczona. Tym razem wzięła Brada na ręce bez urazu i szpetne wspomnienia już nie czyhały w ciemnych zakamarkach podświadomości. Ujawniły się razem ze wspomnieniami dobrymi, odczuwała teraz utratę Charlie tak żywo, jakby utraciła siostrzyczkę zaledwie przed tygodniem. Ale ten bobas był inny. Trzymała go, gaworzyła do niego i śmiała się, gdy myślała, że on się uśmiecha. Uwielbiała go ku radości Teddy'ego i Lindy.

W sumie wydawała się wyleczona z urazu, ale w miarę jak lato mijało, Linda nabierała pewności, że ona wciąż jeszcze cierpi.

- Co się dzieje z Johnem? - odważyła się ostatecznie zapytać ją w sierpniu. Dotychczas nie chciała wywierać na nią żadnego nacisku.

- Niewiele - odpowiedziała Vanessa wymijająco. - Nadal się widzimy.

- Och, nastąpiło ochłodzenie? - John Henry był u nich parę razy z Vanessą i oboje go polubili. Vanessa nie myliła się co do niego. Przystojny, inteligentny, delikatny i dobrotliwy, dojrzały ponad swój wiek. Nie chciał wziąć dziecka na ręce, tylko stawał nad łóżeczkiem. Najwyraźniej jeszcze zbyt bolesne wspomnienia nasuwało mu to niemowlę. Lepiej się czuł w innym pokoju rozmawiając z Teddym czy Lindą. Rzeczywiście dręczyły go reminiscencje, tak samo jak Vanessę. Jej nieraz maleńki Brad przypominał Charlie, ale przychodziła bardzo często. Właśnie przyszła tego dnia, gdy Linda zapytała ją o Johna Henry.

- Nie wiem. Może nam sążone być tylko przyjaciółmi.

- Jest jakiś szczególny powód? - Ale Linda już wiedziała, w czym rzecz. Vanessa palnęła prawie zaczepnie:

- Tak. Wbrew temu, co mówiłaś, jestem zimna. Po prostu nie chcę iść z mężczyzną do łóżka.

Linda patrząc na nią, westchnęła.

- Chyba znów jesteś niedojrzała, Vanesso. Dwa miesiące temu doznałaś ogromnego wstrząsu. Musisz dać sobie czas.

- Ile czasu? Kończę już dwadzieścia pięć lat - powiedziała Vanessa z gniewem, wydawałoby się, chociaż obie wiedziały, że to gniew tylko na siebie samą.

- Mówiłaś mi, że kiedy dziecko Johna umarło, John przez dwa lata nie miał potrzeb seksualnych.

- Ile to lat w moim przypadku? Szesnaście? - Vanessa miała już dosyć swoich problemów, usiłując się z nimi pogodzić, usiłując je przezwyciężyć, zapomnieć. Tylko o tym myślała od dwóch miesięcy.

- Jak długo ty wiesz? Dwa miesiące zaledwie. Jesteś dla siebie bardzo niesprawiedliwa.

- Może jestem.

Ale w miesiąc później Vanessa przestała się widywać z Johnem Henry. Powiedziała mu, że nie potrafi określić swego stosunku do niego, dopóki nie uporządkuje chaosu w głowie, i spotkała się z wielkim zrozumieniem. Powiedział jej po prostu, że ją kocha, że chce być przy niej i pomóc jej, ale jeśli ona potrzebuje samotności, on to uszanuje. Prosił tylko, żeby nie zrywała z nim kontaktu i od czasu do czasu dawała mu znać o sobie. Tamtego dnia wychodząc z jej mieszkania, stanął w drzwiach i spojrzał na nią ze smutkiem.

- Chcę, Vanesso, żebyś wiedziała dwie rzeczy. Po pierwsze, kocham cię, po drugie, jesteś zupełnie zdrowa psychicznie. Miałaś okropne przeżycia i może ci zabrać trochę czasu uporządkowanie sobie tego. Ale ja będę zawsze na twoje wezwanie. Za rok, czy już jutro. Nigdy nie spotkałem takiej jak ty. Więc kiedy to rozpracujesz, tylko zadzwoń.

Z oczami pełnymi łez przytaknęła i odwróciła się, gdy zamknął za sobą drzwi. Potem czuła się samotna, jak nigdy dotąd w życiu. Pragnęła go rozpaczliwie sercem i ciałem. Ale ilekroć pomyślała o kochaniu się z nim, widziała obraz Vasiliego stojącego nad zwłokami jej matki i nie mogła tego znieść. Wydawało jej się, że gdyby pozwoliła komukolwiek tak się zbliżyć, czekałby ją taki sam los.

- Czy to normalne? - zapytała wreszcie Linde któregoś dnia w lekarskim gabinecie. Linda wczesną jesienią wróciła do pracy na pełnym etacie. Teraz był koniec września.

- Owszem.

- Jak ja, do diabła, to w sobie pokonam?

- Zdaj się na czas. I na swój zdrowy rozum. Musisz tylko wciąż sobie przypominać, że John nie jest Vasilim, a fakt, że Vasili coś zrobił, wcale nie znaczy, że John cię skrzywdzi. Vasili nie reprezentuje wszystkich mężczyzn. To jeden mężczyzna. A ty nie jesteś twoją matką. Nie znałam jej, ale myślę, że jesteś zupełnie inna. Jesteś osobą mającą zupełnie inne życie. Musisz tylko raz po raz to sobie powtarzać, aż w końcu to zacznie docierać. - Linda uśmiechnęła się do Vanessy łagodnie. Trudne są te miesiące dla dziewczyny, ale zmagania z sobą prowadzą do dojrzałości.

- Wiesz, myślę o tym, żeby na jakiś czas wyjechać.

- Uważam, że to wspaniały pomysł. Zaplanowałaś już dokąd? Vanessa patrzyła na Linde przez długą chwilę, po czym odpowiedziała.

- Do Grecji.

Linda powoli przytaknęła.

- Chcesz mi powiedzieć dlaczego? Czy mam zgadnąć? Vanessa odetchnęła głęboko, prawie bojąc się to wysłować.

- Odkąd Brad się urodził, strasznie mnie ciągnie do odszukania Charlie.

- Rozumiem - powiedziała Linda cicho.

- To trochę zwariowane, wiem, ona już nie jest tym maleństwem, ale jest moją siostrą. Moi rodzice nie żyją i poza stryjem Teddym tylko ona mi została z przeszłości. Muszę ją znaleźć. I jednocześnie jestem w piekielnym strachu. Może ostatecznie nie będę miała odwagi zobaczyć jej. Może pojedę do Europy i tak tylko tam się pokręcę.

- To by ci dobrze zrobiło. - I Linda zawahała się. - Masz wiadomości od Johna?

Vanessa potrząsnęła głową.

- Powiedziałam mu, żeby do mnie nie dzwonił, więc nie dzwoni.

- Mogłabyś ty zadzwonić do niego.

- Nie jestem gotowa. - Vanessa ze smutkiem wzruszyła ramionami. - Może nigdy nie będę.

- Wątpię. Może on to jeszcze nie ten właściwy. Ale Vanessa znów potrząsnęła głową.

- Nieprawda. Gdyby miał być ktoś - powiedziała bardzo cicho - to chciałabym, żeby właśnie on. Jest takim człowiekiem, z jakim chętnie bym została do końca życia. Mamy ze sobą mnóstwo wspólnego. Nigdy... nigdy nie potrafiłam z nikim rozmawiać tak jak z nim.

- Podobnie ja czuję się z Teddym. To bardzo ważne. Może kiedy wrócisz z Europy?

Vanessa znów wzruszyła ramionami i powiedziała wymijająco:

- Może.

Myślała o tej podróży jeszcze przez tydzień, po czym załatwiła rezerwację. Miała wyjechać pierwszego października. W ostatni wieczór przed wyjazdem zadzwoniła do Johna i powiedziała mu, dokąd jedzie, zadał jej te same pytania co Linda, i udzieliła mu tych samych odpowiedzi.

- Chcę pojechać do Grecji, ale nie wiem, co zrobić. Zdecydowałam się wyruszyć na coś w rodzaju pielgrzymki ku pamięci mojej mamy. Może potem będę czuła się na siłach.

- To wydaje mi się dobrym pomysłem. - John Henry był szczęśliwy, że zadzwoniła, i bardzo chciał ją przed wyjazdem zobaczyć, ale wiedział, że ona się na to nie zgodzi. Prawie tak jakby bała się z nim spotkać, jakby bała się tego, co on sobą przedstawia, i tego, co do niej czuje. Powiedziała kiedyś, że nie ma mu nic do ofiarowania, bo chyba ofiarowała się całkowicie tym, którzy już nie istnieją, i nie widzi drogi powrotnej z przeszłości. - Dokąd najpierw polecisz? - Po chwili zaczął znów mówić o jej podróży.

- Do Wenecji. Wiem, że mama mieszkała tam u swojej babci. Tylko nie wiem dokładnie gdzie. Ale chcę być w Wenecji. Wszyscy mówią, że to piękne miasto, zwłaszcza w październiku.

Potwierdził.

- Piękne.

- A potem Rzym. Chcę zobaczyć ten palazzo, pochodzić trochę po miejscach, o których mój ojciec opowiadał Teddy'emu. A potem - zawahała się - zobaczę. Może Grecja.

- Vanesso - powiedział prawie natarczywie. - Jedź tam.

- Do Grecji? - zapytała zdumiona.

- Tak.

- Dlaczego?

- Dlatego że tam znajdziesz tę brakującą część. Ofiarowałaś się Charlie i zabrano ci ją, więc musisz do tego wrócić, żeby ją odnaleźć i odnaleźć siebie. Coś mi mówi, że nigdy nie będziesz szczęśliwa, jeżeli tego nie zrobisz.

- Może masz rację. Zobaczę.

- Dasz mi znać, jak się czujesz? - W jego głosie zabrzmiał niepokój.

- Będę czuła się dobrze. A ty?

- W porządku. Tylko tęsknię do ciebie. Bardzo. - Niech to licho, ona też tęskni do niego.

- John... - Chciała mu powiedzieć, że kocha go, bo rzeczywiście go kochała. Ale cóż ona może mu dać? On zasługuje na miłość pełną oddania. Jednak zdecydowała się powiedzieć pomimo wszystko: - Kocham cię.

- Kocham cię. Przysięknij, że pojedziesz do Aten. -i gdy usłyszał w słuchawce jej nerwowy śmiech, zaznaczył: - Mówię poważnie.

- Zgoda, przysięgam.

- To dobrze.

Położyła słuchawkę na widełki i nazajutrz poleciała do Paryża i stamtąd z lotniska Orly innym samolotem do Wenecji, gdzie zaczęła się jej pielgrzymka.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY CZWARTY

Vanessa spędziła w Wenecji dwa dni i pokochała to miasto, najpiękniejsze ze wszystkich miast, jakie kiedykolwiek widziała. Spacerowała godzinami w labiryncie krzywych uliczek, przechodziła po wąskich mostkach, rozpięła się w gondolach, patrzyła na Lido i na wspaniałe pałace. Żałowała, że nie wie, gdzie mieszkała w dzieciństwie jej matka, ale te pałace były tak śliczne, że to nie miało znaczenia. Zachwycona pobylem w Wenecji, przyłapywała się na myśli: szkoda, że John nie jest tu ze mną.

Potem pojechała do Rzymu. Widok Palazzo Tibaldo trochę ją oszołomił. W Nowym Jorku widziała kilka razy wspaniałą siedzibę Fullertonów, ale to było nic w porównaniu z tym splendorem. Palazzo wydawał jej się ogromny. Od paru lat zajmował go ambasador Japonii i stali tam japońscy żołnierze na warcie. Chciałaby przejść się po ogrodzie, wiedziała jednak, że nie może. Przypominała sobie, jak matka mówiła o Marcelli, zmarłej przed wieloma laty. Do końca pobytu w Rzymie wędrowała po licznych piazzas: Piazza Navone, Piazza di Spagna, siadywała na Hiszpańskich Schodach wśród innych turystów, podchodziła do fontanny Trevi, piła wino w kawiarni na Via Veneto. W sumie miała cudowne wakacje, ale piątego dnia w Rzymie zaczęła niespokojnie myśleć o celu swej podróży. Dwa pierwsze etapy pielgrzymki miała już prawie za sobą. Mnóstwo było do oglądania, zrobiła wiele zdjęć, ale aż za dobrze wiedziała, że nie po to jest w Europie. W piąty poranek w Rzymie leżąc w łóżku przypomniała sobie rozmowy z Lindą i nagle zadźwięczało jej w uszach to, co przyrzekła Johnowi. W tym łóżku, w tym hotelu, w ten poranek pojęła, że nie ma wyboru. Wyruszyła przecież w podróż, od której zależy jej życie, więc teraz musi zrobić następny krok. Zatelefonowała do portiera, zamówiła miejsce w najbliższym samolocie do Aten. Samolot miał odlecieć o drugiej po południu.

Przyjechała na lotnisko punktualnie, przeszła przez cło, wsiadła do samolotu i w godzinę później znalazła się na lotnisku Hellinikon w Atenach, wielkooka, rozpaczliwie przerażona. Już nie pamiętała, dlaczego uważała tę część podróży za tak bardzo ważną. W ateńskim hotelu słaba z przejścia, aż nogi jej drżały, weszła do swego pokoju, postawiła na podłodze walizkę. Od razu, jak gdyby nie mogła zwlekać ani chwili dłużej, chwyciła książkę telefoniczną. Usiadła z tą książką na łóżku, ale nie znała alfabetu greckiego, więc czytała nie czytając, tak jakby jej się to śniło. Zeszła na dół do recepcji i poprosiła, żeby jej znaleziono ten numer telefonu. Nie zamierzała jednak telefonować. Chciała mieć numer telefonu i adres „na wszelki wypadek”. Recepcjonista znalazł jej to szybko. Podał adres i numer telefonu Andreasa Arbusa i wyjaśnił, że to niedaleko. Ale jakoś te informacje pogorszyły sprawę, Vanessa wróciła do swojego pokoju i po dziesięciu minutach

musiała po prostu przed sobą uciec. Nie wytrzymała świadomości, że może już jest bardzo blisko. Przywołała taksówkę, powiedziała kierowcy po angielsku, że chce przejechać się po Atenach. Zapłaciła mu hojnie w drachmach i po godzinie przejażdżki zatrzymała się w jakiejś kawiarni, wypła karafkę wina.

Pogoda była wspaniała, budowle bielily się jaskrawo pod niebieskim niebem, a Vanessa zapatrzona w kieliszek żałowała, że przyjechała do Aten. Jak gdyby usiłowała odwlec nieuniknioną chwilę, wróciła do hotelu pieszo, ale gdy weszła do swojego pokoju, zdjęta paniką, wiedziała, że już czas. Jak skazana na śmierć, ociągając się, podeszła do telefonu, podniosła słuchawkę, nakręciła numer podany jej przez recepcjonistę.

Telefon odebrała jakaś kobieta. Vanessie serce zaczęło regularnie łomotać. Owa kobieta nie mówiła po angielsku, można było tylko poprosić Andreasa. Po chwili odezwał się w słuchawce męski głos.

- Pan Andreas Arbus? - Vanessa denerwowała się rozpaczliwie, a on jej odpowiedział po grecku. - Nie... przepraszam... nie rozumiem. Czy pan mówi po angielsku?

- Tak - nawet to jedno słowo powiedział z uroczym akcentem, nadal jednak nie mogła sobie wyobrazić, jak on wygląda. - Z kim mam przyjemność?

- Ja... - Teraz się bała, nie chciała mu powiedzieć. Co będzie, jeżeli on rzuci słuchawkę? Co, jeżeli jej siostra nie żyje? Całą siłą woli odepchnęła te wariackie myśli. - Przyjechałam ze Stanów i chciałabym się z panem zobaczyć.

Wydawał się zaintrygowany.

- Kim pani jest? - Śmiech brzmiał w jego głosie, może przypuszczał, że to jakiś żart, ale zdała sobie sprawę, że nie może wymagać, żeby się zobaczył z nieznajomą, która nie chce mu podać swojego nazwiska. Nabrała tchu niemal dusząc się szlochem.

- Nazywam się... Vanessa Fullerton - wyrwało się jej raptownie. - Może panu to nic nie mówi, ale moja matka była żoną pańskiego brata i... - łzy zatykały jej krtań.

- Vanessa? - zapytał łagodnie. - Jesteś tutaj? W Atenach? - Słyszała w jego głosie oszołomienie i nie wiedziała, czy nie będzie się gniewał, może nie chce, żeby tu była. Bóg jeden wie, co oni mówią Charlotte. - Skąd dzwonicz?

Podala mu nazwę hotelu,

- Recepcjonista powiedział, że to blisko pana.

- Oczywiście. Ale jestem zdumiony, że cię słyszę. Dlaczego przyjechałaś? - zapytał miło, jak gdyby rzeczywiście był tym zainteresowany.

- Ja... właściwie nie wiem, proszę pana. My... myślę, że po prostu musiałam. To długa historia. Ja... może... my...

- Chciałabyś się spotkać?
- Tak, chciałabym. Czy można?
- Oczywiście, moja droga. Jesteś teraz zajęta?
- Nie. Nie. Nie.
- Przyjadę tam za pół godziny. Odpowiada ci?
- Świetnie. Dziękuję.

No, zrobiłam to - powiedziała sobie Vanessa. Zadzwoiłam do niego. Teraz nie miała pojęcia co dalej. Chyba przyjedzie sam, bez Charlotte. Ale przynajmniej się pokaże, odpowie na pewne pytania. Sęk jednak w tym, że ona jeszcze nie bardzo wiedziała jak, o co go pytać.

Czekała w swoim pokoju przytupując nerwowo. Uczesła się, umyła twarz. W szarym pulowerze, szarych spodniach, w brązowych pantoflach z firmy Gucci i z aparatem fotograficznym, który przewiesiła przez ramię tak z przyzwyczajenia, jak ze zdenerwowania, wreszcie zeszła na dół. W hallu stała, jak gdyby wrosła w podłogę, i patrzyła na wchodzących, i dopiero po chwili sobie uprzytomniła, że przecież ani mu nie powiedziała, jak wygląda, ani nie wie, po czym go poznać.

Stała tam dziesięć minut niepewna, czy już wszedł, aż nagle patrząc na drzwi, zobaczyła Andreasa Arbusa. Nie pamiętała go wcale, a jednak od razu wiedziała, że to on. Dobrze zbudowany, bardzo elegancki w granatowym ubraniu, na pewno uszytym w Londynie czy w Paryżu, miał interesującą, pięknie wyrzeźbioną twarz i szpakowate włosy. Zwróciła uwagę na jego oczy inteligentne, bystre, gdy się rozejrzał po hallu. Zapytał o nią w recepcji, a potem ruszył ku niej, mężczyzna rzeczywiście interesujący, poczuła jego magnetyzm i zdumiała się. Bo też Andreas Arbus stanowił dziwne połączenie: wyglądał zupełnie staro i zarazem bardzo młodo. Pięćdziesięcioośmioletni, wysportowany, mógłby mieć równie dobrze lat czterdzieści co najwyżej.

Podszedł do Vanessy powoli, jak gdyby się bał, ale w oczach miał łagodny uśmiech.

- Vanessa? - W głosie jego zadźwięczało dalekie wspomnienie. - Jestem Andreas. - Podał jej rękę i jego oczy wzbudziły w niej ufność.

- Cześć. - Uśmiechnęła się. Stwierdził, że jej twarz niewiele się zmieniła w ciągu tych szesnastu lat.

- Czy w ogóle mnie pamiętasz? - Stał przed nią, wysoki. Potrząsnęła głową, a potem powiedziała:

- Ale z pamięcią mam trochę kłopotu.

- Och? - Spojrzał na nią z niepokojem i wskazał drzwi do baru. - Wejdzmy tam. Może znajdziemy jakiś cichy kącik.

Przytaknęła i zrównała z nim krok. Dziwne, ale był taki męski, że kobiety musiały przy nim

czuć się tym bardziej kobietami. Vanessa właśnie tak się czuła, idąc u jego boku. Spojrzał na nią, uśmiechnął się do jej pięknych włosów.

- Wyrosłaś na piękność, Vanesso. - Znalazł w barze wolny stolik i usiedli. -

Zawsze zresztą wiedziałem, że tak będzie. - Przyjrzał jej się w milczeniu. - Chcesz mi powiedzieć, dlaczego tu jesteś? - zapytał po chwili. Westchnęła.

- Naprawdę nie wiem dlaczego. Po prostu wiedziałam, że muszę przyjechać tutaj.

Nie powiedział ani słowa o Charlotte. I nagle to już było silniejsze od niej. Opowiedziała mu, jak zdławiła w sobie pamięć i jak przypomniała sobie to wszystko dopiero wtedy, gdy urodziło się dziecko Teddy'ego. Opowiadając powstrzymywała łzy i wydawało jej się niedorzecznością, że mówi to komuś obcemu. Ostatecznie on jest bratem człowieka, który zabił jej matkę. A przecież nie zdołałaby go nienawidzić i gdy skończyła swoją opowieść, uświadomiła sobie, że daje mu się trzymać za rękę.

Pogłaskał i puścił jej rękę, spojrzał jej głęboko w oczy.

- Zupełnie zapomniałaś o Charlotte? - Trudno mu było w to uwierzyć.

- Zupełnie - potwierdziła Vanessa. - Aż to do mnie wróciło, wszystko naraz. Potrzęsnałam głową wczuwając się w jej ból.

- To straszne dla ciebie.

Nie mogła powstrzymać się od zapytania:

- Czy ona wie o mnie? Uśmiechnął się.

- Tak. Wszystko wie o tobie. - Westchnął. - Wszystko to, co ja wiedziałem. Twój stryj nie życzył sobie żadnych kontaktów. Amerykański sąd uznał, że to niewskazane. Oczywiście. - Posmutniał. - Rozumiem... to był straszny czas. - Tym razem on miał łzy w oczach. - Vanesso, mój brat był bardzo dziwnym, bardzo chorym człowiekiem. - Vanessa słuchała milcząc. Po części nie chciała słyszeć o Vasilim, po części jednak chciała. Przecież i po to przyjechała do Aten. - On nie był rzeczywiście zły, tylko źle pokierował swoimi dążeniami. Jak gdyby nie tam, gdzie trzeba, skręcił w młodości. - Andreas znów westchnął. - Właściwie nigdy się nie zgadzaliśmy. On miał zawsze kłopoty... i kobiety... narkotyki... straszne rzeczy. Jego poprzednia, przed twoją matką, żona popełniła samobójstwo. - Przerwał raptownie, patrząc na Vanessę, bojąc się mówić dalej. - A potem, oczywiście, doszło do tej tragedii w Stanach.

- Czy Charlotte wie? - Dziwne było zadawanie tych pytań obcemu, a przecież Vanessa wiedziała, że może, że musi je zadawać.

- O tym, że jej ojciec zabił jej matkę? - Powiedział to bez ogródek, nieomal zgorszył Vanessę. - Owszem. Wie o nim to, co dobre, i wie to, co złe. I wie wszystko to, co ja wiedziałem o jej matce. Ma prawo wiedzieć. Ma prawo starać się to zrozumieć na swój własny sposób. Myślę, że

to przyjmuje. To jest okropne i boli ją, ale nigdy ani matki, ani ojca nie znała. Dla niej są tylko postaciami z opowieści - powiedział ze smutkiem. - Nie tak jak by było, gdyby jej powiedziano, że ja kogoś zabiłem. Wtedy byłoby inaczej, ją by to złamało. Ale Vasili... wasza matka... to dla niej tylko imiona.

Vanessa przytaknęła.

- Czy wychowywała ją kobieta?

Potrząsnął głową.

- Kiedy moja żona umarła, Charlotte miała dwa lata. Nie pamięta mojej żony. Moje córki zawsze były dla niej jak starsze siostry, no i byłem ja. - Coś smutnego przemknęło po jego twarzy. Vanessa nie potrafiła tego odczytać. - A ty? Czy twój stryj się ożenił, kiedy byłaś mała? - Tak się wpatrywał w Vanesę, jak gdyby czytał z jej twarzy coś, o czym ona sama nie wiedziała. Wydawało jej się to dziwne, ale po kilku minutach oswoiła się z tym. Jakiś władczy był ten człowiek.

- Nie, stryj ożenił się dopiero w zeszłym roku. Byliśmy sami, kiedy dorastałam.

- Martwiło cię to? - Wyraźnie był ciekaw. Wzruszyła ramionami, myśląc, co mu odpowiedzieć.

- Chyba nie. Teddy był jak ojciec i matka w jednej osobie. Tęskniłam do mamy, ale to inna sprawa.

Bardzo łagodnie powiedział:

- Charlotte zawsze ogromnie się tobą interesowała. W dzieciństwie często mówiła, że ma siostrę Amerykankę, bawiła się niby to z tobą, fantazjowała, raz napisała do ciebie list. Gdzieś mam ten list schowany. Zastanawiałem się, czy kiedyś znów tu przyjedziesz.

- Byłam tu już przedtem? - Vanessa się przeraziła.

- Parę razy z Vasilim i z matką. Grywaliśmy w warcaby, ty i ja... - Przeciągnął te słowa, jak gdyby coś ujrzał z daleka. Vanessa zamknęła oczy i zaczęła sobie przypominać. Widziała go pod powiekami, jego, i jego żonę, i dzieci... Gdy otworzyła oczy, lśniły w nich łzy.

- Pamiętam.

- Byłaś cudowną dziewczyneczką. - Sposepniał. - Pamiętasz, jak Charlotte się urodziła, przyjechałem do Londynu... - Potrząsnął głową i spojrzał na Vanesę. -Przeżyłaś sporo. Twoja matka nie powinna była wyjść za Vasiliego.

Vanessa zgodziła się z nim, myśląc, jak dziwne są drogi ich życia: zbiegły się, rozbiegły i znów się zbiegają.

- A ty? - Miał teraz ciepłe światła w oczach. - Jeszcze nie jesteś zamężna?

- Nie. - Przez chwilę była zgaszona, potem się uśmiechnęła.

- Taka piękna dziewczyna jak ty? Marnotrawstwo. - Pogroził jej palcem. Mimo woli się roześmiała, zanim zadała następne pytanie.

- Czy ona jest choć trochę podobna do mnie?

Przyjrzał jej się, szukając podobieństwa, i potrząsnął głową.

- Właściwie nie. Jest jakieś wrażenie, raczej w ruchach, w sylwetce. Ale nie twarz, nie oczy i włosy. - Znów spojrzął na Vanesę, teraz tak jakby widział ją na wskroś. - Czy chcesz się z nią zobaczyć, Vanesso?

Patrząc mu w oczy powiedziała uczciwie:

- Nie wiem, nie jestem pewna. Chcę, ale... co potem? Co to da nam obu?

- Może nic. Może spotkacie się jak dwie dziewczyny sobie obce i jako takie się rozstaniecie. A może spotkacie się jak siostry. Albo się zaprzyjaźnicie. Nie wiadomo. - Andreas się zawahał. - Vanesso, powinnaś wiedzieć, ona jest bardzo podobna do waszej matki. Jeżeli pamiętasz matkę, może cię jej widok zdenerwować. -Dziwne było dla Vanessy, że ta dziewczyna, której nigdy nie widziała, wygląda jak mama. Dziwne było mieć siostrę, wprost przechodziło to jej wyobrażenie. Nagle, siedząc przy tym stoliku z Andreasem, poczuła się wyczerpana. Zobaczył te wszystkie uczucia na jej twarzy i wziął ją za rękę. - Masz czas, żeby się zdecydować. Ona wyjechała na dwa tygodnie. Wycieczka jachtem z przyjaciółmi. - Wyjaśnił nieśmiało: - Nie powinna opuszczać szkoły, ale... długo trzeba by opowiadać... przekonała mnie. Moje dzieci mówią, że psują ją do szpiku kości, ale to rozsądna osóbką.

Vanessa pomyślała chwilę.

- Kiedy wróci?

- Za dwa tygodnie od dzisiaj. Wyjechała wczoraj wieczorem.

Gdybym nie zwlekała w Rzymie, Vanessa poczuła rozjątrzenie, gdybym przyjechała do Aten przedwczoraj, byłoby już po wszystkim. Już bym wracała do Stanów z tymi wrażeniami, jakie miałabym, i z poczuciem, że zrobiłam to, co musiałam zrobić. Teraz trzeba czekać czternaście dni.

- Chyba mogłabym dokądś pojechać i wrócić tu... - Zastanawiała się nad tym, a Andreas ją obserwował. Gdy myślał, że nikt na niego nie patrzy, twarz miał bezgranicznie smutną.

- Nie chciałabyś zostać tutaj, w Atenach? - Uśmiechnął się jak pan domu. -Mogłabyś wprowadzić się do nas, jeżeli z hotelem jest kłopot.

- Pan jest bardzo uprzejmy, ale nie chodzi o hotel. Po prostu nie mam pewności, czy przez dwa tygodnie tu usiedzę. Mogłabym pojechać do Paryża. - Rzeczywiście jednak nie chciała. Chciała zobaczyć Charlotte i wrócić do kraju. Zdobyła się już na tak dużo, i jeszcze ma czekać dwa tygodnie.

- Ale może spróbujesz poczekać tutaj? - Przechylił głowę jakoś dziwnie. -Zrobię, co będę

mógł, żebyś się nie nudziła.

- Nie, doprawdy. Nie mogłabym się narzucać... Przerwał jej.

- Czemuż by nie? Szesnaście lat czekałaś na tę chwilę. Czy nie wolno mi jej dzielić z tobą? Pomóc ci przezwyciężyć obawy, wytrzymać to oczekiwanie, być kimś, z kim możesz porozmawiać? - Gdy to mówił, zapragnęła, żeby zajmował się nią zawsze, miał w sobie coś takiego, jakby gotów był dawać z siebie wszystko, co może. Nieomal czuło się, że dałby nawet cząstkę swojej duszy.

- Pan na pewno ma ważniejsze zajęcia.

- Nie. - Spojrzał na nią bardzo dziwnie. - Nie mam. Najważniejszy jest teraz twój przyjazd. Poza tym - wzruszył swobodnie ramionami - październik to leniwy miesiąc w Atenach. - Roześmiał się po swojemu, ochryple. - Ateny są leniwe przez cały rok. - Iz uśmiechem zapytał: - Czym zajmujesz się w Nowym Jorku, Vanesso? Twój stryj jest, jak wiem, lekarzem.

- Tak, i jego żona również. Ja jestem o wiele mniej szacowna niż oni. - Uśmiechnęła się do niego. - Jestem fotografem.

- Naprawdę? - Był wyraźnie zadowolony. - Dobrym?

- Czasami.

- Więc będziemy razem robili zdjęcia. Ja też ogromnie lubię fotografować. Zaczęli rozmawiać o wystawie, niedawno otwartej w Nowym Jorku, a także w Atenach, i czas popłynął im szybko, jak dwojgu starych przyjaciół. O dziesiątej oboje sobie przypomnieli, że nie jedli. Andreas uparł się, żeby poszli do pewnej restauracji niedaleko hotelu, jak się okazało, uroczego małego lokalu, w którym podawano wyśmienite potrawy. Vanessa, gdy Andreas odprowadził ją z powrotem do hotelu o pierwszej po północy, wyczerpaną i szczęśliwą, czuła się zupełnie inną dziewczyną niż ta, która przyjechała tego dnia do Aten. Spróbowała powiedzieć to Andreasowi, ale on tylko uściskał ją i pocałował w jeden i drugi policzek.

- Daj spokój, Vanesso. To ja tobie dziękuję. Zobaczymy się jutro. Odpowiada ci? Będziemy robić zdjęcia na Akropolu, jeżeli zechcesz.

Nic lepszego nie przyszłoby jej na myśl. Powiedzieli sobie jeszcze raz dobranoc i wróciła do swojego pokoju.

Opieszale się rozbierając, dumiała o tym, co jej mówił, a potem usnęła, dalej myśląc tylko o nim. Perspektywą dwóch tygodni czekania na to, by zobaczyć Charlotte, nadal nie była zachwycona, ale przynajmniej przez kilka dni będzie mogła spędzić trochę czasu z Andreasem, a później jakoś sobie czas wypełni.

Nazajutrz rano pokojówka przyniosła olbrzymi bukiet kwiatów. Pachniały ślicznie i wyglądały wspaniale, jaskrawe w ładnym białym wazonie. Vanessa z łóżka patrzyła oszołomiona.

Na załączonym bilecie było tylko „Witaj, miłego pobytu, Andreas”. Bardzo ją wzruszył i powiedziała mu to, gdy przyjechał po nią dużym srebrzystym mercedesem, z całym koszem greckich smakołyków dla niej na tylnym siedzeniu. W dodatku miał kosz piknikowy na wypadek, gdyby nie wrócili na obiad do miasta. Patrzyła na niego przez chwilę oniemiała. Napotkał jej wzrok.

- No?

- Dlaczego jesteś dla mnie taki dobry, Andreas? - Może mu jej żal, może czuje się zobowiązany. Ale jego oczy mówiły coś innego.

- Po pierwsze, jesteś uroczą młodą kobietą, możliwe, że najbardziej uroczą, jaką kiedykolwiek widziałem! Po drugie, troszczę się o ciebie, Vanesso. Troszczyłem się o ciebie dawno temu, kiedy byłaś dzieckiem. Stałaś się dla mnie kimś szczególnym, już wtedy.

- Ale teraz nie znasz mnie. - Zaintrygowana, chciała wiedzieć, co on w niej widzi.

Głęboko patrzył jej w oczy.

- Znam ciebie, malutka. Widziałem, co się z tobą działo wtedy. Widzę, co się z tobą dzieje teraz. - Pomyślała, że on jest ojcowski i zarazem wcale, wcale nie jest. Niezwykły, szczególny, szalenie interesujący. Porywał ją jakiś prąd, ogarniało ją uczucie, którego nie rozumiała.

- Jakim cudem? - Udała rozbawienie.

- Widzę w twoich oczach.

- Co widzisz, Andreas? - zapytała cicho. Zjechał na pobocze i zatrzymał samochód.

- Widzę, jak ciężko zostałaś zraniona, Vanesso. Widzę, jaką krzywdę wyrządził ci Vasili, kiedy byłaś dzieckiem. Wydaje się, że jest w tobie coś pękniętego. -I dodał rzeczowo: - Widzę, że się boisz mężczyzn.

Chciała zaprzeczyć, ale pokonana przytaknęła.

- Więc to widać tak wyraźnie?

- Nie. - Uśmiechnął się, jeszcze przystojniejszy niż kiedykolwiek przedtem. -Po prostu ja jestem mądry.

- Spoważnij. - Zaczęła się z niego śmiać i on się roześmiał.

- Spoważniałem. - Odwrócił się do niej i rzucił pytanie, które ją zgorszyło. -Vanesso, czy jesteś jeszcze dziewicą?

- Ja... nie... - zacerwieniła się jak burak i spuściła oczy.

- Nie kłam mi.

- Nie kłamię. - Po chwili powiedziała cicho: - Jestem.

- Jest ktoś, kogo kochasz? - Pomyślała, że dziwne są takie pytania, a przecież chciała dać na nie odpowiedź, zupełnie tak jakby chciała dać Andreasowi siebie.

- Może jest. Nie wiem. Nie zdecydowałam się.
- Ale do łóżka z nim się nie wybierasz? Westchnęła.
- Nie mogę.

Potem gdy jechali szosą, biegnącą po wzgórzach wokół Aten, powiedziała mu, jak to jest z nią i z mężczyznami - boi się, gdy zanadto się do niej zbliżają, trzyma się na dystans, jeszcze bardziej, odkąd przypomniała sobie to morderstwo.

- Kiedyś, Vanesso, zapomnisz o tym. - Andreas potrząsnął głową. - Nie, nie tak. Nie zapomnisz. Ale to nie będzie ciebie prześladować. Najważniejsze to przestać się bać.

- Ale w jaki sposób? - zapytała go, jak gdyby znał wszystkie odpowiedzi. Poniekąd znał.
- Czas. Czas goi rany. Ja dosyć ciężko przeżyłem śmierć mojej żony.
- To nie to samo. Spojrzał na Vanessę.
- Słusznie. Nie to samo.
- Co z Charlie... z Charlotte... czy ona jest taka jak ja? Zachichotał.

- Nie, malutka. - Oczy miał jednak poważne, gdy pogłaskał Vanessę po rękę. - Ale ona nie ma co pamiętać. Była wtedy niemowlęciem. Teraz jest młoda, piękna, chłopcy ją kochają, ona kocha chłopców. Przekorna, kokietka, bestia mała. Przy niej - przewrócił oczami i znów się roześmiał - jakiś biedak nie zazna spokoju. - Vanessa słuchała tego z zazdrością. Wydawało jej się to życiem na innej planecie. Ale Andreas rozumiał ją. - O wiele trudniej - powiedział znowu serio - dziewczynom takim jak ty. Charlotte wie o swoim życiu tylko to, że zawsze była serdecznie kochana. Jest owocem nieszczęśliwego związku dwojga ludzi, którzy zderzyli się i rozbili, jak spadające gwiazdy na niebie, gwiazdy eksplodujące gradem pięknych komet. Charlotte jest kometą, te spadające gwiazdy po prostu zniknęły z nieba.

- Tak ładnie to ujmujesz.
- To przez jakiś czas było ładne, Vanesso. Oni się bardzo kochali.
- I dużo im z tego przyszło.

- Nie - powiedział Andreas surowo - nie możesz tak patrzeć na to. Vanesso, musisz widzieć również początek, czasy, kiedy to rzeczywiście coś znaczyło. Jeżeli zawsze się patrzy tylko na tuman kurzu za samochodem, nigdy się nie zobaczy piękna karoserii. - Tą alegorią wywołał jej uśmiech. - Wszystko przez jakiś czas jest piękne. Niektóre sprawy mają wielkie znaczenie w pewnej chwili życia, a to, jaki obrót przybierają później, nie zawsze znaczy aż tyle. W przypadku twojej matki skończyło się tragicznie, ale ich miłość była faktem, który wcale przez to nie traci swojego znaczenia. Ich dziecko, Charlotte, jest radością dla każdego, kto ją zna, zwłaszcza dla mnie. Tak samo jak ty byłaś owocem miłości twojej matki do twojego ojca. Kiedy twój ojciec umarł, nic z tego piękna nie mogło być zapomniane, bo byłaś ty. Musisz nauczyć się zatrzymywać

te chwile, Vanesso, tylko te chwile... nie próbuj ogarniać całości życia.

Vanessa długo milczała, gdy Andreas to powiedział. Robili potem zdjęcia na Akropolu, urządzili piknik przy górskiej szosie. W to południe już nie poruszali żadnych trudnych tematów i rozśmieszali się wzajemnie zabawnymi wspomnieniami i anegdotami. Porównywali swoje aparaty fotograficzne, on fotografował ją, ona jego, flirtowali, śmieli się, bawili się cudownie. Jak dwoje rówieśników, chociaż Andreas był dość stary, żeby być ojcem Vanessy. Gdy odwiózł ją do hotelu, żałowała, że musi się z nim rozstać.

- Zjemy dziś razem kolację, czy jesteś zmęczona?

Chciała mu odmówić, a przecież nie zdołała. Nie wypadało tak zajmować mu całego czasu, ale czuła się w jego towarzystwie doskonale i nic w Atenach nie miała do roboty.

Spotkali się więc wieczorem, i w następny wieczór, i w następny. Po piątej kolacji tańczyli i odwoząc ją do hotelu, Andreas był niezwykle milczący.

- Coś niedobrze, Andreas? - Wydawało jej się, że zmarszczki pod jego oczami są głębsze.

Odpowiedział z uśmiechem.

- Myślę, że mnie wykończyłaś. Jestem stary, wiesz.

- To nieprawda. - Z pewnością trudno w to było uwierzyć patrząc na niego.

- No chyba jednak prawda i kiedy przeglądam się w lustrze... - Zrobił straszliwą minę.

Zaprosiła go do hotelu na kawę. Pomimo zmęczenia dał się zaprosić i usiedli nad kawą i ouzo. Czuła się dziwnie nostalgicznie. Dni w Grecji były najszcześniejszymi dniami w jej życiu.

- O czym myślisz?

Patrzyła na niego przez długą chwilę i nagle zanim się zastanowiła, wyrwało jej się:

- Że cię kocham.

Wyglądał tak, jakby tymi słowami dotknęła samej głębi jego serca. Zaskoczony, bardzo wzruszony, powiedział łagodnie:

- Najmilsze jest to, że ja kocham ciebie.

- Dziwne - patrzyła na niego, gdy ujął jej rękę - przyjechałam, żeby zobaczyć moją siostrę, a od kilku dni raczej o niej nie pamiętam. - Po chwili dodała zakłopotana: - Myślę tylko o tobie.

- Ja się w tobie zakochałem od razu, najdroższa, ale uznałem, że to nie uchodzi... piękna młoda dziewczyna i taki starzec.

- Przestań. - Sprawił jej przykrość. - Nie jesteś stary. Popatrz na nią smutno.

- Wkrótce będę.

- Czy to ważne? - Mówiła cicho, czuła na twarzy jego oddech, siedział tak blisko. - Dla mnie to nieważne, Andreas, zupełnie.

- Może jednak powinnaś wziąć to pod uwagę. - Też mówił cicho.

- Co z tymi spadającymi gwiazdami? Czy nie mamy prawa być także jak spadające gwiazdy? Przez jedną chwilę, zanim spadniemy z nieba i znikniemy na zawsze?

- Czy tego chcesz, chcesz tylko chwili zamiast całego życia? Moje kochanie, zasługujesz na więcej.

- Powiedziałeś mi, że podchodzę niewłaściwie. Że powinnam poszukiwać chwili, a nie myśleć o całym życiu.

- Ach - uśmiechnął się łagodnie. - Sama widzisz... mówię głupstwa... - Ale patrzył na nią z taką miłością, że przysunęła się do niego i już była w jego ramionach, już całował ją, jak nie całował żadnej kobiety w swoim dotychczasowym życiu, już niczego nie pragnął do końca swoich dni, poza tą wspaniałą, młodą dziewczyną. - Kocham cię, Vanesso. Och, kochanie...

Trzymał Vanessę mocno. Chciał ją zabrać na górę do jej hotelowego pokoju, ale jeszcze bardziej chciał ją zabrać do siebie do domu. Położył na stoliku pieniądze dla kelnera, wstał i z uśmiechem wyciągnął do niej rękę. Wyszła z nim z hotelu, wsiadła do jego samochodu. W dziesięć minut później byli w jego pałacowej rezydencji z fontannami i atrium, i dziedzińcem wewnętrznym, z mnóstwem egzotycznych roślin i bezcennych dzieł sztuki, które zbierał na całym świecie. Spokojnie poprowadził Vanessę do swojej sypialni, zamknął drzwi na klucz, żeby nikt ze służby nie zaskoczył ich rano, i przeszli do sąsiedniej małej biblioteki, gdzie często siadywał przed kominkiem. Rzucił zapalną świecę na stertę drewna na palenisku i po chwili płomień pląsał, zrobiło się bardzo przytulnie. Usiadł przy Vanessie, pocałował ją, ukląkł przed nią, ujął jej twarz w dłonie. Palcami muskał jej nos i wargi, przeczesał włosy, dotknął jej szyi i piersi, aż w końcu objął ją w całość. Pieścił ją, dopóki płomień nie przygasł. I zapytał, czy mu pozwoli zaprowadzić się do sypialni.

- Pójdiesz ze mną, Vanesso? - zapytał tak delikatnie, że poszłaby z nim nawet na koniec świata.

W sypialni rozebrał ją, położył się przy niej na łóżku. Podziwiał, jak cudownie jest zbudowana, wdzięcznie krągła, smukła i gibka. Potem delikatnie z początku, stopniowo coraz namiętniej, posiadł ją. Krzyknęła, wiedział, że sprawia jej ból, ale przyciskał ją do siebie, cierpiał z nią razem, aż to się skończyło. I znowu ją pieścił, pełen miłości, i wkrótce znowu się kochali.

Rano obudziła się u jego boku uśmiechnięta, spokojna jak nigdy dotąd. Nie tyle dlatego, że kochała się z Andreasem, ile dlatego, że dała mu swoje serce, zaufała mu, wreszcie otworzyła te drzwi dawno ukryte, do których przez tyle lat nie mogła trafić.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY PIĄTY

Następne dni przelatywały zbyt szybko, gdy Andreas i Vanessa cały czas spędzali ze sobą. Chodzili po Atenach, odkrywali targowiska, jeździli za miasto, raz popłynęli jego jachtem. Vanessa nazajutrz po ich pierwszej nocy przeniosła się z hotelu do jego rezydencji, gdzie umieścił ją w okazałym pokoju gościnnym, niedaleko jego apartamentu. Nocowała w jego sypialni i co dzień rano jak dwoje dzieci biegli do jej pokoju, żeby skłębic” pościel na jej łóżku, upozorować, że przyzwoicie tam spała. Śmieli się przy tym, aż w któryś poranek Andreas uznał, że nieporządek będzie wyglądał prawdziwiej, jeżeli i na tym łóżku się pokochają. Nigdy w życiu Vanessa nie była tak niewysłowienie szczęśliwa, wszystko, co było przedtem, usunęło się we mgle. Wydawało się, że Teddy, Linda i ich dziecko kiedyś jej się tylko śnili. Każdą myśl o Johnie Henry, jeśli zdarzyło jej się o nim pomyśleć, po prostu odsuwała. Pragnęła tylko być z Andreasem, dopóki może - przez chwilę czy przez całe życie.

Zauważyła parę razy, że on wydaje się trochę roztargniony rankiem, zauważyła też dużo tabletek w jego ubieralni. Ale uznała, że nietaktem byłoby zapytać go o to. Od czasu do czasu jeszcze przejawiał drażliwość na punkcie różnicy wieku między nimi. Chciał jednak przedstawić ją swojej rodzinie i to ona zaproponowała, żeby z tym poczekali do powrotu Charlotte.

Ostatni swój wieczór sam na sam spędzili w cichej restauracji, wrócili do domu wcześniej i kochali się, po czym Andreas głęboko zasnął. Vanessa chodziła powoli po jego sypialni zastanawiając się, co jutrzejszy dzień przyniesie. Jaka okaże się ta dziewczyna, która chociaż zupełnie obca, jest jej siostrą?

Na podstawie tego, co mówił Andreas, Vanessa podejrzewała, że Charlotte jest niemożliwie rozpieszczona, tym bardziej że żyje w środowisku najzamożniejszych greckich armatorów. Andreas już chciał kupić Vanessie dwie brylantowe bransolety, ale z uporem mu wyjaśniła, że ich nie chce. Kupił więc cudowne soczewki do aparatu fotograficznego i piękny skromny pierścionek ze szmaragdem. - Ale ja nie mogę tego przyjąć, Andreas. To takie kosztowne. Rozbawiony jej zaniepokojeniem, powiedział:

- Daję ci słowo, kochanie, że stać mnie na to. - Całując ją namiętnie, uciszył jej sprzeciw, ale później w jego objęciach znów miała skrupuły.

- Nie powinnam, to zbyt okazały prezent.

- Ach, cóż za pokrzepienie, kobieta, która woli mniejsze szmaragdy! - Znów był rozbawiony. - Kochaneczko, możesz mi wierzyć, moja żona nie miała takich zastrzeżeń.

Vanessa musiała śmiać się z niego i kiwać nad nim głową. W końcu zgodziła się przyjąć

pierścionek i teraz miała ten iskrzący się w mroku szmaragd na lewej ręce. Wyglądał poniekąd jak pierścionek zaręczynowy i znaczył dla niej wiele. Był symbolem jej miłości do tego mężczyzny i wszystkiego, co ten mężczyzna dla niej zrobił. Wydostał ją na wolność z jej pustelniczej wieży. Nie spadła z wysoka, bo chwycił ją w objęcia. Gdyby jej się oświadczył, wyszłaby za niego, ale nigdy nie było mowy o przyszłości. Andreas najwyraźniej żył wyłącznie teraźniejszością.

Nazajutrz rano Vanessa wstała wcześniej i była już ubrana, gdy Andreas wyszedł ze swojego pokoju. Miał pojechać po Charlotte do portu i przywieźć ją do domu, gdzie miała czekać Vanessa. Tak sobie życzyła nie chcąc, żeby Charlotte doznała wstrząsu. Ale Andreas jeszcze raz jej wyjaśnił, że Charlotte to radosny, krzepki dzieciak, którego niespodzianka na pewno nie zdenerwuje. W końcu Vanessa dała się namówić i gdy zawiadomiono przez telefon, że jacht jego przyjaciela wrócił, pojechała z nim do portu. W samochodzie bawiła się swoim pierścionkiem, wyglądała przez okna, czując kulę w gardle, nie posiadając się ze wzruszenia, zdawałoby się, wzbierającego w niej kaskadą.

Gdy zatrzymał samochód, pocałował ją z uśmiechem.

- Dobrze się czujesz, kochana moja?

Przytaknęła, popatrzyła na jego pobrużdżoną, urodziwą twarz, dotknęła jego srebrnych włosów.

- Dobrze, dzięki tobie. Nigdy nie czułam się lepiej. Ale - westchnęła - trochę się boję.

- Czego? - I zaraz zrozumiał. - Tego, że ona cię odtrąci?

- Może. Nie wiem. Tak bardzo ją kochałam, kiedy była niemowlęciem, a teraz mam ją spotkać, zupełnie obcą. A jeżeli będę jej po prostu obojętna?

- Nigdy jej obojętna nie byłaś w tych bajkach, które mi opowiadała, w tych jej fantazjach. Zawsze byłaś ukochaną starszą siostrą.

- Ale ona mnie nie zna. Co będzie, jeżeli ja rzeczywiście strasznie jej się nie spodobam?

- Wykluczone. - Oczy mu zamigotały. Była w nich czułość połączona z namiętnością. - Skoro ja tak bardzo cię kocham.

- Och, Andreas, czym było moje życie, zanim ty się zjawiłeś? - Swego dotychczasowego życia prawie nie pamiętała. Po dwóch tygodniach z Andreasem czuła się tak, jakby należała do niego zawsze.

Wskazał jej ten wspaniały jacht, pomalowany na czarno, z trzema niebotycznymi masztami i rozwiniętymi żaglami. Powiedział, że są tam kabiny dla osiemnastu osób, a poza tym jest dwunastoosobowa załoga. Pomyślała, że Charlotte z pewnością miała przyjemny rejs.

- Co ja mam zrobić? Czekać tutaj? - Najchętniej by uciekła. Andreas uśmiechnął się do niej.

- Możesz poczekać. Wejdę na pokład, porozmawiam z nią samą parę minut i przyjdziemy

do ciebie. Chyba że chcesz obejrzeć jacht? - Ale widział w jej oczach, że ją obchodzi tylko Charlotte. Jacht mógłby zatonać z chwilą, gdy jej siostra wyjdzie na ląd. Nic poza Charlotte się nie liczy. Wprost musiał znowu uśmiechnąć się do niej.

- Co ty jej powiesz?

- Powiem, że jesteś tutaj, że przyjechałaś aż z Nowego Jorku, żeby się z nią zobaczyć. Że dotychczas nie wiedziałaś, gdzie ona jest.

- I powiesz o nas? - Vanessa się zaniepokoiła. I nagle pomyślała, że Linda w swoim czasie słusznie mogła obawiać się jej, Vanessy, reakcji.

Ale Andreas potrząsnął głową.

- Nie, kochanie, nie teraz. Nie wszystko od razu. Ona ma zaledwie szesnaście lat. Przyznała mu rację. I poczuła ulgę. Już dostatecznie trudno poznać swoją nie znaną siostrę, nawet gdy się nie musi powiedzieć, że się kocha jej stryja i pragnie się zostać jej stryjenką. Przekręciła na palcu pierścioneł ze szmaragdem, a on poszedł spokojnie do schodni i po chwili zniknął jej z oczu.

Wydawało się, że minęły godziny, zanim wrócił, ale to było tylko dwadzieścia minut. Po przywitaniu się z przyjaciółmi spokojnie wziął Charlotte na bok i porozmawiał z nią. Wyjaśnił, że Vanessa jest w Atenach, dorzucił to wszystko, co miał powiedzieć.

- Ona? - Charlotte szeroko otworzyła oczy. - Ona jest tutaj?

- Jak najbardziej. - Uśmiechnął się widząc ten entuzjazm.

- Gdzie?

- Charlotte... kochanie - Nagle też się zaniepokoił. Może Vanessa ma rację. Może to nie będzie takie łatwe. - Ona jest tu blisko.

- Na molo? - Charlotte wyprostowała się na całą wysokość, jej czarne włosy jak onyksowa przęda opadły na jedno ramię. Włosy miała Vasiliego, ale poza tym w każdym calu była Sereną. - Jest tam? - Wskazała molo z niedowierzaniem i podnieceniem szesnastolatki.

Uśmiechając się, powoli Andreas przytaknął i wtedy wybiegła z kajuty na pokład, z pokładu na molo, rozejrzała się podniecona. I nagle zobaczyła ją, wysoką, poważną blondynkę przy samochodzie stryja. Ta blondynka wyglądała zupełnie tak, jak Charlie ją sobie wymarzyła. Tak zupełnie, że oszałamiająca była rzeczywistość.

Gdy Charlotte przystanęła, patrząc z daleka, Vanessa zdrętwiała. Zobaczyła tę dziewczynę biegnącą z jachtu - te czarne włosy, długie nogi, wszystko. Zobaczyła swoją matkę, tyle że z czarnymi włosami. Jęknęła w udręce. Nagle odruchowo ruszyła w stronę Charlotte i zatrzymała się dopiero przed nią. Stały jedna przed drugą, łzy spływały po policzkach Charlotte tak samo jak po policzkach Vanessy. Bez słowa Vanessa otworzyła ramiona. Charlotte rzuciła się w nie i tuliły się tak do siebie, gdy Andreas patrzył z pokładu, sam też ze łzami w oczach. Wydawało się, że

Vanessa nigdy nie wypuści swojej Charlie z objęć.

- Och, bobasku - powtarzała Vanessa raz po raz. - Och, Charlie.

- Wróciłaś. - Charlotte z twarzą ich matki, z oczami dziecka patrzyła na siostrę w zachwycie. - Wróciłaś.

- Tak, najdroższa. - Vanessa patrzyła na nią, wreszcie kobieta. Uśmiechnęła się przez łzy. - Wróciłam.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY SZÓSTY

Przez dwa tygodnie ta trójka była nierozłączna. Vanessa tylko do szkoły nie chodziła razem z Charlie. Ale wtedy miała przy sobie Andreasa. ' I w nocy, gdy Charlie już spała, sami we dwoje cieszyli się sobą jak przed powrotem Charlie do Aten. Idylliczne czasy dla nich trojga. Vanessa nigdy dotąd nie zaznała takiego szczęścia. Miała wszystko, mężczyznę, którego kochała, siostrę, którą uwielbiała, i nawet wszystkie dobre wspomnienia z całego życia, powracające, ledwie się uwolniła od tamtych złych. Przypominała sobie cudowne chwile z matką, patrząc na tak bardzo do Sereny podobną Charlie. Teraz odważała się odsłaniać przeszłość dotychczas przykrytą, jak gdyby jakimś czarodziejskim płaszczem, który wlokła za sobą przez długie lata.

W drugim tygodniu po powrocie siostry Vanessa wstała rano, a Andreas nie przyszedł na śniadanie. Zaniepokoiła się, bo zawsze przychodził elegancki w swych angielskich ubraniach, w doskonale wykrochmalonych białych koszulach, uczesany nienagannie, pachnący lawendą i korzeniami.

- Chyba źle się nie czuje. - Vanessa marszcząc brwi, niespokojna, spojrzała na Charlie. Przecież w nocy czuł się dobrze, ale tego siostrze nie powiedziała. Zachowywali swój romans w tajemnicy.

Charlie smarowała grzanek masłem, też wyraźnie zdenerwowana.

- Myślę, że może ma swój niedobry dzień. Jeżeli tak, zadzwonimy po śniadaniu do doktora.
- To zadziwiające dziecko odrzuciło czarne włosy za ramię i zaczęło pałaszować grzanek.

- Swój niedobry dzień? - powtórzyła Vanessa nie rozumiejąc.

- Czasami miewa takie dni. - Charlie popatrzyła na Vanessę dziwnie pytająco, ale Vanessa dalej nie rozumiała. - Czy czuł się dobrze, kiedy mnie nie było?

- Świetnie. - Vanessę coś zaczęło ścisnąć w piersi. ->Czy jest chory?

Charlie nie odpowiedziała. Siedziała w całym swym czarnym splendorze i ogromnymi zielonymi oczami długo wpatrywała się w Vanessę. Te zielone oczy były pełne łez, gdy w końcu zapytała:

- Nie powiedział ci?

Vanessa potrząsnęła głową.

- On ma raka.

Przez chwilę pokój kołował. Potem chwyciła się stołu i podniosła wzrok na siostrę.

- Mówisz poważnie?

Charlie przytaknęła z godnością swojej matki.

- Ma od dwóch lat. Powiedział mi o tym od razu. Powiedział, że ja muszę wiedzieć, bo nie ma nikogo, kto by się mną opiekował, kiedy jego nie będzie. Powiedział, że dlatego muszę szybko dorosnąć. - Łzy płynęły jej po twarzy, z trudem mówiła: - Mogłabym mieszkać u każdego z jego dzieci, ale - przełknęła łzy - to już nie byłoby to samo. I on ma rację. - Patrząc na Vanessę płakała bez skrępowania. - Nie byłoby.

- O Boże. - Vanessa obeszła stół, usiadła przy niej, objęła ją ramieniem. -Biedna dziecino. - Ale w głowie miała chaos, gdy tak tuliła siostrę. - Nic nie mogą dla niego zrobić?

Charlie chlipała głośno.

- Robili. Robili cuda. Aż omal nie utraciliśmy go w zeszłym roku. - Mówiła po angielsku bardzo poprawnie i Vanessa kochała jej akcent. Wszystko w niej kochała. - Ale potem mu się polepszyło. Teraz kiedy wyjeżdżałam, nie czuł się zbyt dobrze, ale wydawał się w dobrej formie i przyrzekł, że mnie wezwie z jachtu, gdyby źle się poczuł. To wątroba i żołądek.

Vanessa zauważyła, że Andreas jada bardzo mało, myślała jednak, że to próżność, dbałość o smukłą sylwetkę. Teraz wiedziała. Serce jej szlochało. Ukochany, jedyny umiera. Rozrzewniła się nad sobą, czeka ją jeszcze jedna utrata w życiu, ale prawie natychmiast zabrzmiał jej w uszach głos Andreasa. Trzeba żyć chwilą... I teraz jest Charlotte, o którą musi się troszczyć. Utrata Andreasa będzie potężnym ciosem. Długo obie, Vanessa i Charlotte siedziały w milczeniu, aż w końcu Vanessa, widząc szofera w hallu, spojrzała na zegarek.

- Spóźnisz się do szkoły.

- Zajrzysz do niego? I nie wierz w ani jedno słowo z tego, co ci powie. Jeżeli źle wygląda, wezwij doktora.

- Na pewno.

Vanessa odprowadziła Charlotte do drzwi, pomachała ręką odjeżdżającej limuzynie i pobiegła do sypialni Andreasa. Weszła, gdy odpowiedział na jej ciche pukanie. Leżał w łóżku śmiertelnie blady, ale usiłował powitać ją wesoło.

- Andreas... - Nie wiedziała, co powiedzieć. On chce udawać, że wszystko jest dobrze, a ona nie potrafi udawać z nim razem.

- Przepraszam, zasnęłam. - Usiadł uśmiechając się słabo. W ciągu kilku godzin zupełnie się zmienił. Charlotte mówiła, jaki jest w swoje „niedobre dni”, po których nagle wydawał się znowu w lepszej formie i przez jakiś czas był sobą. Ale doktor już przed miesiącem uprzedził Charlotte, że dobre dni wkrótce się skończą. -Pewnie za bardzo mnie zmęczyłaś tej nocy...

- Kochanie... - Głos jej drżał. Usiadła. Andreas uśmiechał się do niej. Jeden krótki miesiąc i stała się kobietą. Ani śladu tej przerażonej dziewczyny, jaką była, gdy przyjechała do Aten. - Ja... - Nie wiedziała, jak to powiedzieć, ale już wiedziała, że powiedzieć to musi. Nie da się

podtrzymywać pozorów. I skoro Charlotte zna prawdę, przecież i ona powinna znać. Podniosła na Andreeasa ogromne oczy, wzięła go za rękę. - Dlaczego mi nie powiedziałeś?

Andreas zobaczył jej łzy i milczał przez chwilę, zaskoczony, nie przygotowany.

- O czym ci nie powiedziałem?

- Rozmawiałam dziś z Charlie. - Zająknęła się. Natychmiast zrozumiał i przytaknął.

- Ach! Więc już wiesz. - Posmutniał. - Nie chciałem, żeby ktokolwiek ci powiedział.

- Dlaczego?

Widział smutek w jej oczach i serce mu się krajało.

- Dostyc już, najdroższa, utraciłaś w życiu. Chciałem cię wyprawić do domu, dopóki czuję się dobrze, tak żebyś zabrała stąd tylko radosne wspomnienia.

- Ale nieprawdziwe, jeżeli prawda jest taka.

- Prawda jest w jednym i drugim. Jest w tym wszystkim, co przeżyliśmy ze sobą. W tej całej naszej miłości, w tych szczęśliwych chwilach, Vanesso. - Patrzył na nią łagodnie. - Nigdy żadnej kobiety tak nie kochałem, jak kocham ciebie. Gdybym był młodszy i... - opuścił te słowa - gdyby było ze mną inaczej, poprosiłbym cię, żebyś została moją żoną, ale w tym stanie rzeczy nie mogę.

- Ja bym chciała, wiesz.

- Cieszę się, że to wiem. - Był zadowolony. - Ale ty masz stąd wynieść coś lepszego niż małżeństwo. Lepszą znajomość samej siebie, świadomość, jak bardzo jesteś kochana. Chcę, żebyś stąd wyniosła nie przeszłość, tylko swoją przyszłość.

- Ale jak mogę odjechać od ciebie? Jesteś chory, chcę być przy tobie. Z łagodnym uśmiechem potrząsnął głową.

- Nie, moje kochanie, na to nie mogę pozwolić. Przeżyliśmy razem tę krótką chwilę, o której ci mówiłem. Może ta chwila jeszcze się powtórzy, może jutro poczuję się znowu lepiej. Ale w tym stanie rzeczy, tym razem musisz wyjechać. I chcę... - Zawahał się, wyraźnie zwalczył ból - żebyś wzięła ze sobą Charlotte.

Vanessa oszołomiona zapytała:

- Nie chcesz jej tutaj?

- Nie. - Mówił bardzo dobitnie. - Chcę, żeby dwie osoby, które kocham, odjechały w swoją przyszłość. W sercach zabierzecie mnie ze sobą. Ty jesteś mi bardzo droga, malutka, pamiętałem cię jako dziecko przez te wszystkie lata. Teraz ty będziesz mnie pamiętać przez całe życie. - Wiedziała, że tak, ale nie chciała go zostawić. Potrząsnął jednak głową, nie dopuszczając do protestu. - Moje dzieci będą tu przy mnie, Vanesso. Nie zostanę sam. I wkrótce - powiedział bardzo cicho - czas już odejść.

Pochyliła głowę, rozplakała się, a przecież w końcu podniosła wzrok na niego.

- Andreas, nie mogę od ciebie odjechać. Nie mogę zrezygnować z tego, co mieliśmy.

- Nie zrezygnujesz. Weźmiesz to ze sobą. Nie weźmiesz? - Patrzył na nią tak łagodnie, że jeszcze rzewniej płakała. - Nie będziesz pamiętać mnie zawsze?

- Zmieniłeś całe moje życie.

- Jak ty zmieniałaś moje. Czy to nie wystarczy? Rzeczywiście chcesz więcej? Taka jesteś chciwa? - Jego oczy się z nią przekomarzały, aż uśmiechnęła się przez łzy i wytarła nos chustką, którą jej podał.

- Właśnie, jestem chciwa.

- No, ale nie możesz być taka. I musisz za mnie wypełniać ważny obowiązek. Przez dwa lata martwiłem się, co będzie z Charlotte. Myślałem, że zajmą się nią moje dzieci. Ale dla niej to za mało. Jest szczególnym dzieckiem potrzebującym wielkiej miłości. Kogoś kochającego ją tak bardzo jak ja. - Teraz on też miał łzy w oczach. - Lubię patrzeć na was dwie razem. Jesteś dla niej taka dobra. - Łza stoczyła mu się po policzku, Vanessie serce się ścisnęło. - Czy będziesz ją miała u siebie? - To było jak przekazanie uświęconego daru, Kielicha Świętego Graala. Vanessa zdumiała się, że on ją o to pyta.

- Tak, ale nie chcesz jej tutaj?

- Nie. Chcę, żeby była jak najdalej od tego wszystkiego, Przecież się orientuję. Będzie to bardzo brzydkie. I - powiedział surowo - później niech ona tu nie przyjedzie na mój pogrzeb. To barbarzyńskie i zbyteczne. - Spode łba popatrzył na Vanessę, która teraz zrobiła minę.

- Przestań tak rządzić się życiem ludzi.

- Nie, kochanie. - Uśmiechnął się do niej znów łagodnie. - Rządzę tylko waszym, dlatego że was kocham.

- Mówisz poważnie? Rzeczywiście chcesz, żebym zabrała Charlie do Stanów? - Uśmiechnął się. Charlotte tylko dla Vanessy była Charlie, ale lubił to spieszczenie. - Czy ona tam nie będzie strasznie samotna?

- Przy tobie na pewno nie. Posyłaj ją do jakiejś dobrej szkoły. Będzie miała ogromne dochody pod zarządem powierniczym. Po swoim ojcu odziedziczyła fortunę.

- Ale ja żyję skromnie. Czy jej to będzie odpowiadać? Jest przyzwyczajona do takiej wystawności.

- Myślę, że jej się to spodoba. Dopilnuję, żebyście obie miały wszelkie konieczne wygody.

Ale Vanessa potrząsnęła głową.

- Nie mogę na to pozwolić. Mam wystarczająco dużo. I wiem, że Teddy myśli o moim zaopatrzeniu. I dosyć zarabiam moimi fotografiami. Tylko mówię, że... - zakłopotana się - to nie są luksusy.

- Ona nie potrzebuje luksusów. Ona potrzebuje ciebie, Vanesso, proszę - błagał oczami. - Weź ją.

Vanessa patrzyła na niego.

- Muszę przedtem ją zapytać, czy chce. Tak chyba należy zrobić.

Miał co do tego wątpliwości, ale ostatecznie się zgodził. Po południu, gdy Charlotte wróciła ze szkoły, Vanessa spokojnie zadała jej to pytanie. Charlotte była przez chwilę wstrząśnięta.

- On chce, żebym wyjechała?

- Myślę, że tak. - Vanessa patrzyła na nią ze smutkiem. - Ale ja ciebie nie wezmę, jeżeli nie chcesz. Zostaniesz, jeżeli chcesz, u niego w Atenach. - Przecież Andreas nie może ich do tego zmusić. I zawsze mogłaby przyjechać po Charlie później.

- Nie. - Charlotte potrząsnęła głową. Znała Andreasa lepiej niż Vanessa. - On mnie wyśle do Paryża czy dokądś tam. Bo nie chce, żebym tu była, kiedy nadejdzie koniec. - Od dwóch lat rozmawiali o tym. Przynęła powoli. - Chcę pojechać z tobą.

Vanessa nic nie powiedziała, tylko wzięła siostrę w objęcia i mocno ją przytuliła. Wszystkie uczucia macierzyńskie, których nie spodziewała się kiedykolwiek ze swego serca wydobyć, znalazły ujście ześrodkowując się na dziewczynie tak bardzo podobnej do ich matki. Było tak, jak gdyby zwracała teraz to, co otrzymywała przed laty. Jak gdyby te uczucia zatoczyły pełen krąg.

Wieczorem powiedziały Andreasowi, że Charlotte się zgodziła. Andreas powiedział, że zleci swoim adwokatom załatwić transfer kapitału i wszystkie inne konieczne sprawy. Jego sekretarka dowie się o szkoły w Nowym Jorku. Chyba najlepsza byłaby jakaś szkoła katolicka prowadzona przez zakonnice. Nie zanadto zachwycił tym Charlie. Ona chciała chodzić do szkoły „wolnomyślicielskiej, naprawdę amerykańskiej” - miała dosyć zakonnice i ich szkoły w Atenach. Ale zainteresowana perspektywą wyjazdu do Stanów, szybko przestała grymasić. W sumie domowe nastroje w ciągu następnych dwóch tygodni były różne, podniecenie tamował smutek.

Na trzy dni przed wyjazdem Vanessa zatelefonowała do Teddy'ego i Lindy z wiadomością, że wraca z Charlotte. Pisała do nich radosne, długie listy o swoim pobycie w Atenach. Pisała, jaki cudowny jest Andreas, ale ani słowem nie napomykała o tym, co ją z nim łączy. Uznała, że to jej osobista sprawa. Linda jednak wyczuła, że ona coś pomija.

- Czy przyjedziecie po nas na lotnisko? - Vanessa była zmęczona, ale nie całkowicie nieszczęśliwa. Powiedziała o chorobie Andreasa, a oni aż za dobrze zrozumieli, że to dla niej cios. Nie mogli jednak wiedzieć, jak bardzo ją to boli. Bo nie wiedzieli, jak ona go kocha.

- Oczywiście, przyjedziemy. - W głosie Teddy'ego brzmiało wprost upojenie. - I to nawet z małym. - Wpadł na pomysł. - Chcesz, żebym zadzwonił do Johna Henry?

- Nie - odpowiedziała Vanessa natychmiast.

- Przepraszam.

- Nie ma za co. Nie przejmuj się tym. Sama do niego zadzwonię po powrocie. -Ale to było jakieś wymijające.

- Dzwonił do nas kilka razy. Pytał, czy mamy wiadomości. Chyba martwił się.

- Wiem. - Wysłała do Johna tylko dwie widokówki na początku swojej podróży, a potem z Aten już do niego nie pisała. Nie mogła. Była tak bez reszty zajęta Andreasem. - Pomyślę o nim.

Teddy jednak podejrzewał, że z Johnem już skończyła, i później powiedział to Lindzie.

- Myślę, że jeszcze nie jest gotowa.

- Możliwe. - Linda się przejęła, ale musiała pójść do dziecka.

W Atenach przygotowania trwały, aż w końcu wszystkie walizy zostały zamknięte. Kilka skrzyń z takimi rzeczami, jak stereo Charlotte, nadano na bagaż. Andreas powiedział, że Charlotte może przyjechać za pięć miesięcy, gdy będzie miała ferie wielkanocne, ale tego tematu nie rozwijali. Od kilku dni stało się jasne, że choroba Andreasa rozwija się błyskawicznie.

W ostatni wieczór przed wyjazdem Vanessa siedziała przy łóżku Charlie i opowiadała jej o swoim życiu w Nowym Jorku, o Teddym i Lindzie, i ich dziecku.

- Nie masz chłopaka? - Ku rozczerowaniu Charlotte Vanessa potrząsnęła głową. - Dlaczego?

- Po prostu nie mam. Mam przyjaciół. - Pomyślała o Johnie Henry i poczuła się trochę winna. Przecież poniekąd dzięki niemu przyjechała do Aten. Wymógł na niej przyrzeczenie, że to zrobi. -i widuję się z pewnym miłym człowiekiem.

- Jak się nazywa?

- John Henry.

- Czy ja go polubię? Czy jest przystojny? - Wyglądając akurat na swoje szesnaście lat, Charlotte wygodnie wtuliła się w poduszki.

Vanessa uśmiechnęła się do niej.

- Raczej przystojny, chyba. Myślę, że go polubisz.

- Ja sobie znajdę chłopaka - oświadczyła Charlotte stanowczo. Vanessa uśmiechnęła się jeszcze szerzej i wstała.

- No, przedtem się wyśpij. - O Andreasie rozmawiały niewiele. Vanessie wydawało się to dziwne, ale Charlie najwidoczniej pogodziła się z sytuacją. Miała w sobie jakiś fatalizm, jakąś mądrość niezwykłą jak na jej wiek. Andreas dobrze ją przygotował. - Śpij dobrze. Zajrzę do ciebie jutro rano.

- Dobranoc. - I gdy Vanessa już stała w drzwiach, Charlie zapytała: - Idziesz teraz do Andreasa?

Vanessa patrzyła na nią oszołomiona.

- Bo co?

- Tak się tylko zastanawiałam. On ciebie kocha, wiesz. Wtedy Vanessa musiała powiedzieć:

- I ja kocham jego. Ogromnie.

- To dobrze. - Charlotte nie wydawała się zdumiona. - To będziemy kochać go razem. - A więc tak jak powiedział, miały go obie zabrać ze sobą w przyszłość.

Vanessa delikatnie zamknęła drzwi i poszła do sypialni Andreasa, gdzie spędzili tę noc w jego łóżku serdecznie się obejmując, dopóki nie zasnął mocnym snem. Wiedziała w tym momencie, że na całe dalsze życie zabierze go ze sobą.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY SIÓDMY

Ich rozstanie było krótkie, bohaterskie i brutalnie bolesne. Charlotte zaciskając zęby przytuliła się do Andreeasa, a potem odeszła o krok i przeciągle popatrzyła na niego.

- Kocham cię, Andreas.

- I ja ciebie kocham. -i powiedział: - Żegnaj.

Pożegnanie z Vanessą trwało trochę dłużej. Przyciągnął ją do siebie, przez chwilę czuł jej ciepło, po czym wypuścił ją z objęć.

- Weź to, czego się nauczyłaś, i dobrze to wykorzystaj, moje kochanie. Daję ci dwa prezenty, odwagę i moje serce - powiedział cicho, dosłyszalnie tylko dla niej i odsuwając się, wetknął jej w rękę małe pudełeczko. Wzrokiem nalegał, żeby je przyjęła.

A potem nagle zrobił się gwałt, musiały już wejść do samolotu i on odszedł. Vanessa płakała i Charlie płakała. Usiadły w samolocie obejmując się ramionami i dopiero po wystartowaniu przerwały milczenie. Charlie była przygaszona. Vanessa patrząc na nią pomyślała, że ona prezentuje się wspaniale i że to najładniejsza dziewczyna, jaką kiedykolwiek widziała. Zauważyła, gdy szły na swoje miejsca, że sporo osób odwraca się za Charlie. Połączenie cery jak kość słoniowa, oczu jak szmaragdy i płachty włosów jak czarny atlas wprost olśniewało.

Znacznie później Vanessa otworzyła pudełeczko, które dostała od Andreeasa. Z pudełeczka wypadł jej na dłoń cienki złoty łańcuszek. Na łańcuszku był roziskrzony piękny brylant soliter w takiej oprawie, że wyglądał jak gwiazda. Włożyła łańcuszek na szyję, rozumiejąc, co ten brylant oznacza. Spadająca gwiazda. Dotknęła go i oczy jej znów napelniły się łzami. Znała Andreeasa tylko sześć tygodni, a wydawało się to całym życiem.

Samolot w godzinę potem wylądował w Londynie, skąd miały innym samolotem polecieć do Nowego Jorku. Dowiedziały się, że muszą czekać dwie godziny.

- Chcesz coś zjeść? - zapytała Vanessa siostrę, gdy załatwiły formalności. Charlotte była podekscytowana. Już się odprężyła po wyjeździe z Aten, już oczy jej jaśniały. Poznała w samolocie troje Anglików nastolatków i wprost nie mogła się z nimi nagadać. Lecieli do Londynu, ona im oznajmiła, że leci do Nowego Jorku. Vanessa ją podziwiała. Taka żywa i otwarta; taka swobodna w rozmowie z ludźmi. Charlie nie ma zahamowań, wcale się nie boi, że zostanie zraniona czy odtrącona. Przywykła do tego, że jest kochana, do wnoszenia radości wszędzie, gdziekolwiek się znajduje.

Ramię w ramię weszły do kawiarni i usiadły przy stoliku. Charlie zamówiła hamburgera, Vanessa herbatę.

- Nie będziesz nic jadła? - zapytała Charlie zdumiona, a Vanessa nagle się zdenerwowała. - Co ci jest?

- Nie wiem - odpowiedziała Vanessa. - Chyba tak działa na mnie to lotnisko. -Wspomnienia zaczęły się jej nasuwać... Była tu przecież z matką... potem z matką i Vasilim, gdy lecieli do Aten... i wtedy po raz ostatni, gdy wracały z Londynu do Nowego Jorku. Patrząc Charlie w oczy, drżąc trochę, przypominała sobie to wszystko, nawet przerażającą scenę w londyńskim szpitalu i telefon do Teddy'ego, żeby przyjechał, uratował jej matce życie.

- O czym myślisz? - Charlie wyraźnie się zafrasowała. Vanessa uśmiechnęła się powoli.

- O twoich narodzinach.

- Andreas mówił, że mamusia o mało wtedy nie umarła.

- Tak - potwierdziła Vanessa z powagą. - Mój stryj Teddy przyleciał i wyjął cię po cesarskim cięciu.

Charlie przytaknęła. Wiedziała o tym.

- Gdzie był mój ojciec? Vanessa zapatrzyła się w dal.

- Nie wiem. Zniknął. - Westchnęła głęboko. - Był wówczas straszny dla mojej mamy... dla naszej mamy - poprawiła się.

Charlie znów przytaknęła.

- Kiedyś mnie przerażał. Po pewnym czasie Andreas nie pozwolił mu się ze mną widywać. - Miała pięć lat, gdy Vasili wyszedł z zakładu dla psychicznie chorych, a czternaście gdy umarł. Ale widziała go zaledwie kilka razy.

Przestały mówić o nim. Vanessa siedziała zamyślona.

- Jak ci było w twoim dzieciństwie? - Charlie patrzyła pytająco swymi dużymi, zielonymi oczami.

- Zależy kiedy. - Vanessa się uśmiechnęła. - Nieraz cudownie... nieraz gorzej. - Ale teraz widziała to inaczej. Wszystko widziała inaczej, odkąd spotkała Andreasa. Nic już nie wydawało się tak obezwładniające.

- Pamiętasz swojego ojca? - Charlie pofolgowała ciekawości. Szalenie kochała starszą siostrę, chciała wiedzieć o niej jak najwięcej.

Vanessa potrząsnęła głową.

- Właściwie, to nie. Tylko z fotografii. Jedynym mężczyzną, którego pamiętam z dzieciństwa, jest stryj Teddy. - Ale teraz pamiętała również Vasiliego. I rzecz dziwna, pamiętała go bardzo wyraźnie. Wydawał jej się szpetny, z tym wszystkim, co uczynił jej matce. Ale już jej nie przejmował grozą jak przedtem. Gdy o nim myślała, to z gniewem i smutkiem wobec tego, co uczynił, ale myślała także o Andreasie, którego kochała i który ją kochał. Vasili był teraz tylko

pojedynczym mężczyzną. Już nie reprezentował wszystkich mężczyzn. Rozważając to, tknięta nagłą myślą, spojrzała na Charlie i na zegarek.

- Musimy się śpieszyć?

Charlie chciała jeszcze zamówić koktajl mleczny.

- Zamów. Ja muszę zatelefonować.

- Do kogo? - Te szesnastoletnie oczy były zawsze ciekawe. Vanessa się roześmiała.

- Do kogoś ze znajomych w Nowym Jorku.

- Stąd? Będzie bardzo drogo. - Andreas zrobił Charlie cały wykład o powściągnięciu się od szastania pieniędzmi w Nowym Jorku. - Nie możesz zadzwonić już stamtąd?

- Chcę, żeby witał nas na lotnisku, Panno Wścibska, więc nie mogę. - Uśmiechnęła się i poszła do kabiny telefonicznej przy kawiarni, a Charlie zamówiła koktajl mleczny z czekoladą i kawałek ciasta, nie bojąc się, że utyje.

Telefon zadzwonił dwa razy, John odebrał i głos miał w pierwszej chwili zdławiony. Vanessa mu powiedziała, że czuje się doskonale i że przyjeżdża z Charlie. Po chwili niezręcznej ciszy dodała:

- Chcę się z tobą zobaczyć, John... - Nie wiedziała, o czym mówić jeszcze, jak mu powiedzieć, że...

- Na lotnisku?

- Tak.

- Będę tam.

I gdy wylądowały w Nowym Jorku, był. Wyszły z samolotu dosyć potargane i zmęczone, i pełne oczekiwania. Gdy przechodziły przez cło, Vanessa spojrzała w górę na oszkloną galerię i wskazała ich siostrze.

- Są tam, kochanie, czekają na nas.

John Henry stał przy Teddym i Lindzie z dzieckiem, strasznie poważny, i oczu nie odrywał od Vanessy. Wyglądała jakoś inaczej, bardziej wyrafinowana, bardziej kobieca. Gdy zatrzymała się, żeby porozmawiać z celnikiem, zobaczył na jej szyi coś roziskrzonego. To był brylant, który dał jej Andreas.

Vanessa uśmiechnęła się do Charlie.

- Ty także już? - zapytała przed wyjściem z komory celnej.

- Tak - odpowiedziała Charlie prawie bez tchu. Drzwi otworzyły się automatycznie i ręka w rękę we dwie weszły w nowe życie. W hali lotniska Vanessa przez chwilę widziała, jak Teddy łapie ustami powietrze. Widok Charlotte po raz pierwszy był dla niego jak powrót zmartwychwstałej Sereny. Nawet to, że kolor włosów jest inny, nie miało znaczenia, gdy się widziało te dobrze znane

zielone oczy. Teddy przez łzy patrzył na tę dziewczynę, a potem raptownie odtrącił żonę i Johna, i podbiegł do niej, wziął ją w objęcia przypominając sobie, jak widział ją ostatnio, niemowlę w sali sądu. Oto teraz wróciła po szesnastu latach. Tulił ją do siebie. Dziecko Sereny w końcu wróciło do domu.

Linda patrzyła na Teddy'ego trzymając ich dziecko, a Vanessa wolno podeszła do Johna Henry. John tylko patrzył na nią i nic nie mówił. Nie musiało być żadnych słów między nimi. Pojechała do Aten, tak jak jej powiedział, dotknęła swojej przeszłości, odnalazła swoją siostrę i wróciła. Vanessa czuła, jak ręce mu drżą, gdy ją uściskał, i uśmiechnęła się do niego. Widząc jej uśmiech, wiedział, że wszystko dobrze. Mocno wziął ją za rękę, Teddy objął ramieniem Linde, Charlie szła między tymi dwiema parami promiennie uśmiechnięta.

- Witaj w domu - powiedział jej John Henry przez ramię. A Teddy szepnął:

- Witaj z powrotem.